

# podcięte skrzydła

JAN H. JANCZAK



# Podcięte skrzydła

---

*Jan H. Janczak*

## Długa podróż

Nowaka zbudził blask wschodzącego słońca, wdzierający się przez znajdujące się tuż przy jego hamaku małe, okrągłe okienko iluminatora, i brak ciągłego kotysania, do którego przywykł podczas długiego rejsu.

Ubrał się pośpiesznie i już po chwili znalazł się na pokładzie olbrzymiego, nowoczesnego statku o egzotycznej i niezrozumiałej dla Polaków nazwie: „Awatea”, którym przy płynął tu w prawie ośmiusetosobowej grupie polskich lotników i marynarzy ze Związku Radzieckiego, aby po trwającej niemal sześć tygodni podróży przybić nareszcie do miejsca przeznaczenia - Wysp Brytyjskich. Był początek maja 1942 r.

Na górze było już rojno, wciąż przybywało wysypujących się z luków statku żołnierzy. Płynęli obecnie wąskim przesmykiem od strony Hebryd i wolno wchodzili na Morze Irlandzkie, które w tym dniu było bardzo spokojne.

Po obu stronach widoczny był ląd. Ciekawie spoglądali nań Polacy, świadomi, że oto nadszedł kres ich długiej wędrówki. Przybyli, tu w celu zasilenia walczącego już przy boku RAF i ponoszącego straty Lotnictwa Polskiego i Polskiej Marynarki Wojennej.

Po kilku godzinach, gdy brzegi Irlandii zniknęły już w dali, a po lewej stronie rozciągał się brzeg angielski, przed oczyma stojących na pokładzie zamajaczyły zarysy olbrzymiego portu. Teraz statek wolno, bez pilota, wchodził do basenu portowego. Byli w Liverpoolu.

Jakże różnił się ten port od Freetown, skąd właśnie przy płynęli. Tam nie przybijali do mola, statek stał w odległości około 500 metrów od lądu. Z pokładu podziwiać można było afrykański brzeg, biegnący w górę aż do ginącego w oddali lasu, w którym tętniło zapewne bujne życie. Od zielonego tła odcinały się białe, kryte czerwoną dachówką domki. Na wodzie, w małych łódeczkach, uwijali się wokół angielskiego kolosa miejscowi chłopcy, ubrani tylko w przepaski na biodrach. Żołnierze ciskali im pieniądze. Rzucona w wodę moneta nie od razu szła na dno - balansowała przez chwilę, powoli obracając się i zanurzając. Chłopiec pilnie śledził jej ruchy i odczekawszy nieco nurkował, by zaraz wypłynąć już z trzymanym w garści „skarbem”. Potem „poławiacz” wchodził zgrabnie do łódki, spoglądając bacznie w górę, aby po chwili znów dać nura po następnym pieniążek.

Zdarzało się i tak, że do łupinek chłopców podpływała z dużą szybkością pokaźnych rozmiarów motorówka policyjna, nad którą śmiesznie bujał się duży baldachim. Rozpędzona, wpadała na łódeczki, ale te, choć niekiedy wywracane, nie pozwalały się zatopić. Chłopcy na ten czas znikali pod wodą, czekając, aż policjantom znudzi się „akcja porządkowa”, a gdy ci odpływali, wskakiwali na powrót do swoich czółen i zabawa rozpoczynała się od nowa. Policjanci uznawszy, że zrobili, co do nich należało, nie zwracali już na urwisów uwagi.

W pewnej chwili od lądu zbliżyła się motorówka, na której powiewała flaga brytyjska. Gdy podeszła bliżej, można było rozpoznać w niej ludzi w mundurach. Opuszczono im trap i za moment znaleźli się na pokładzie. Okazało się, że to Polacy, służący w tamtejszym garnizonie artylerii przeciwlotniczej.

Dowiedziawszy się, że na statku „Awatea”. płyną do Anglii rodacy, nie omieszkali skorzystać z okazji, aby ich odwiedzić. Wraz z nimi przybył brytyjski kapelan katolicki. Zaraz też nawiązał kontakt z

polskim kapelanem, bardzo młodym księdzem, który nie miał jeszcze sutanny ani munduru, bo oficjalnie nie był wciągnięty w szeregi Wojska Polskiego. Ponieważ nie znał angielskiego, rozmowę prowadzili w języku łańskim.

Powitanie rodaków było bardzo serdeczne. Żołnierze otoczyli przybyłych oficerów kołem, padały gorączkowe pytania i odpowiedzi. Tak oto w zakątku Afryki spotkali się na krótką chwilę synowie, jednego kraju, których wojenny los rozproszył po całym świecie...

We Freetown „Awatea” zatrzymał się na trzy dni. W obawie przed możliwością zarażenia i przywleczenia na Wyspy chorób tropikalnych władze angielskie nie zezwoliły na postój w porcie, tak więc uzupełnianie zapasów żywności, wody i paliwa odbywało się na morzu, przy dużej fali, co znacznie utrudniało załadunek.

„Awatea” był to piękny, nowoczesny, luksusowo wyposażony statek. Olbrzymia sala jadalna mogła pomieścić teraz 300 osób jednocześnie, ponieważ i na środku - przedtem parkiecie dancinowym - ustawiono stoliki. Jadalnia była widna; na jednej ze ścian znajdowały się iluminatory, które dawały sporo światła, mimo iż przez cały czas były zamknięte. „Okna” umieszczono na wysokości metra od poziomu morza, tak że nawet przy większej szybkości statku, nie mówiąc już o wysokiej fali, woda wlewałaby się do wnętrza. W sali jadalnej uwijali się kelnerzy, ubrani w kremowe smokingowe marynarki i czarne spodnie, podając na tacach smaczne potrawy. W korytarzach były wszędzie lustra, zabite teraz dyktą, która chroniła je od uszkodzeń, bo przecież obecnie statek dostosowano do przewożenia wojska. Było na nim kino, świetlica i sklep, który otwierano w określonych godzinach. Można tam było dostać po bardzo niskich cenach papierosy, biszkopty, czekoladę, różne słodczyce, piwo i inne napoje. Alkohol sprzedawano tylko na wyższym pokładzie w pierwszej klasie, gdzie mieściły się kabiny oficerskie. Oficerowie spożywali posiłki w oddzielnej jadalni.

Polskich żołnierzy zaokrętowano na ten statek w Capetown, dokąd przywiózł ich ogromny, budowany jeszcze przed pierwszą wojną światową, trzykominowy parowiec o nazwie „Empress of Russia”. Na jego pokładzie przybyli z Bombaju, eskortowani przez kontrtorpedowiec brytyjski, który na kilka mil przed portem pożegnał „pasażera” trzykrotnym wyciem syreny okrętowej.

Teraz płynęło ich około tysiąca: nasi lotnicy i marynarze oraz rozbitkowie brytyjskiej floty spod Singapuru. „Awatea” pozbawiony był już eskorty, aczkolwiek musiał przejść przez bardzo niebezpieczny akwen kontrolowany przez Kriegsmarine. Jedyne atutem statku była jego duża - jak na ówczesne czasy - prędkość: 27 węzłów. Poza tym „Awatea” płynął przez cały czas „zygzakiem”, co miało go podobno uchronić przed atakami U-bootów.

W czasie długiej podróży Nowak zaprzyjaźnił się z niektórymi podoficerami brytyjskiej marynarki wojennej, mieszkającymi w sąsiedniej kabinie. Oni uczyli go angielskiego, on ich gry na akordeonie, który zdobyli gdzieś po drodze. Zaprzyjaźnił się również z radiooficerem na „Awatea”, por. mar. Marykiem, który mu powiedział, że przepływać będą w pobliżu Dakaru, stolicy Senegalu, gdzie mieściła się baza niemieckich okrętów podwodnych. Dakar, jak wiadomo, wchodził w tym czasie w skład zamorskich posiadłości Francji, pozostającej pod administracją kolaborującego z Niemcami rządu Vichy.

Niewesoło, pomyślał Nowak. W razie storpedowania „łajby” nawet nie będzie się można bronić, bo i jak. A z pływaniem też u mnie nie najlepiej...

Statek posuwał się jednak szybko, jakby lekceważąc grożące mu niebezpieczeństwo. Co parę minut zmieniał kurs, znacząc przebytą drogę zygzakami białej piany.

Statek nie był bezbronny - zainstalowano na nim liczne gniazda karabinów maszynowych, zaś na rufie i dziobie stały po trzy działa, obsługiwane przez zawodowych artylerzystów brytyjskich. Dostęp do dział był surowo wzbroniony.

Dwa gniazda cekaemów obsadzili Polacy, którzy wykazali się znajomością ich obsługi. Nowak starał się również o ten przydział, ale cóż, spece mieli pierwszeństwo. Często do nich zachodził na pogawędkę, szczególnie w nocy. Lubił wtedy patrzeć w dół, na bijącą o burtę statku wodę, w której tysiącem maleńkich światełek lśniły żyjątka występujące w morzach na tej szerokości geograficznej.

Płynęli teraz blisko afrykańskiego brzegu. Pewnej nocy Nowak leżał na pokładzie, wpatrzony w jasno świecące na bezchmurnym niebie gwiazdy. Wyraźnie odczuwał przechyły statku. Sam nawet nie wiedział, kiedy się zdrzemnął. Zbudziła go gwałtowna wibracja. „Awatea”, jak się zdążył zorientować, szedł na pełnych obrotach, przechylony na lewą burtę.

Nowak zerwał się i spojrzał za rufę. Pienisty kilwater wskazywał, że statek wykonuje nagły zakręt o 90 stopni, kierując się w lewo, na pełne morze.

Niemal jednocześnie Nowak dojrzał z prawej strony drugi, już znacznie węższy tor wodny. Zobaczył, a raczej domyślił się, że jest to torpeda. Statek szedł już wolniej kursem zbieżnym do kursu torpedy, która minęła go w odległości nie większej niż sto metrów, aby potem zniknąć gdzieś na pełnym morzu.

Nowak skierował się do kabiny radio, mieszczącej się na tym samym pokładzie. Zanim jednak zdążył zapukać, drzwi otworzyły się nagle i stanął w nich kapitan statku, którego przedtem widywał tylko z daleka. Speszony, odsunął się szybko na bok i stanął w postawie pełnej szacunku. Kapitan minął go bez słowa, jakby nie zauważając jego obecności.

Nowak odczekał jeszcze chwilę i zapukał. Otworzyły się drzwi i stanął w nich jego przyjaciel Maryk. Nowak bez słowa wskazał mu biały ślad torpedy.

- Tak, to była torpeda - powiedział Maryk. - Mieliśmy cholerne szczęście.

- Ale jak udało się ją wam wykryć? - zapytał Nowak.

- Chodź, zobaczysz sam - powiedział radiooficer, pociągając go do środka. - To jest asdic - objaśniał Henrykowi. -Urządzenie służące do wykrywania okrętów podwodnych. Jeśli jego sygnały przybierają inną barwę, wiemy, że mamy kontakt z nieprzyjacielem.

Nowak popatrzył na łącznościowców z nabożnym szacunkiem. Przecież tylko dzięki ich czujności i wiedzy znajduje się w tej chwili na suchym pokładzie i, co najważniejsze, żywy... Maryk poczęstował go papierosem. Zaciągnęli się z przyjemnością. Teraz, gdy Nowak uświadomił sobie grożące im przed chwilą niebezpieczeństwo, papieros smakował mu szczególnie. Następnego dnia już z samego rana otrzymali osobliwą „eskortę”. Było to składające się z około piętnastu sztuk stado delfinów, płynących równoległe do statku w odległości około stu metrów. Sympatyczne ssaki baraszkowały pociesznie; co chwila któryś z nich wyskakiwał wysoko w górę, aby potem wpaść w wodę jak kamień. Wyraźnie

urządzały sobie zabawę. Towarzyszyły tak statkowi przez trzy dni, odpływając o zmroku i wracając nazajutrz rano. Ostatniego dnia pod wieczór zatoczyły wielkie koło, jakby żegnając się ze statkiem.

Teraz „Awatea” stał w porcie liverpoolskim nieruchomy, przycumowany do nabrzeża. Tylko szum wentylatorów i plusk wpadającej do morza wody z urządzeń asenizacyjnych świadczył o tym, że olbrzym nie zamarł, a tylko odpoczywa.

Port był pusty; za wyjątkiem kilku robotników, którzy przycumowywali statek do nabrzeża, nie było tu widać żywej duszy.

Opuuszczono trap i po chwili z budynku portowego wyszło kilku ubranych po cywilnemu mężczyzn, którzy udali się na statek.

Po krótkiej rozmowie z oficerem trapowym i okazaniu mu legitymacji zniknęli w kabinie dowódcy polskiego transportu, kmdr. ppor. Henryka Kłoczковского. Nie minęło nawet pięć minut, gdy opuścili pokład w jego towarzystwie.

Jak się okazało później, komandor jako były dowódca ORP „Orzeł” - wstawionego brawurowym przedarciem się do Wielkiej Brytanii z Tallina - postawiony został przed sądem Polskiej Marynarki Wojennej pod zarzutem samowolnego opuszczenia okrętu w warunkach bojowych, co uznano za dezercję. Wyrok w tej sprawie miał zapaść po wojnie.

Spodziewając się zapewne takich następstw, komandor po dołączeniu do obozu lotników i marynarzy w Kołtubance zajmował osobną kwaterę i nikomu nie pokazywał się na oczy.

Obozem dowodził w tym czasie major lotnictwa Górski. W Krasnowodsku, przed załadowaniem na statek „Turkmenistan”, całą grupę podzielono na dwie części.

Kmdr Kłoczkowski został dowódcą pierwszego transportu, jego zastępcą zaś - kpt. mar. Jankowski. Nie umiał jednak, czy też mu na tym nie zależało, pozyskać sympatii podległej mu grupy. Często zarządzał na pokładzie statku uciążliwe apele, przeprowadzał inspekcje, które w miarę upływu czasu stawały się coraz częstsze. Nigdy nie odezwał się do żadnego z żołnierzy. Był despotyczny. Podobno kpt. Jankowski miał z nim niemałe kłopoty.

Po zdjęciu ze stanowiska Kłoczковского dowództwo przejął kpt. Jankowski. W towarzystwie pozostałych oficerów transportu udał się na ląd, skąd po upływie godziny powrócił i zarządził ewakuację.

Polacy powoli opuszczali statek, który był ich domem przez trzy tygodnie. Przechodzili teraz przez olbrzymią salę komory celnej i odpraw pasażerskich, ale nikt ich nie pytał o paszporty ani o deklaracje. Anglicy wiedzieli, że Polacy nie mają nic do oclenia.

## Kwarantanna w Szkocji

- Nowak! - usłyszał Henryk tuż za swoimi plecami głos dowódcy czwartej eskadry por. Baranowskiego, w skład której wchodził, pełniąc funkcję dowódcy drużyny. - Bierz swoich ludzi i ładujcie się do wagonu numer sześć, po ośmiu do przedziału. Zajmiecie przedziały siedem i osiem - dodał.

- Tak jest, panie poruczniku! - skwitował krótko polecenie. Skrzyknął swoich ludzi i w kilka minut cała drużyna siedziała już w miękkich, wygodnych fotelach pulmanowskiego wagonu.

Nowak przypomniał sobie, jak to w listopadzie 1941 roku zameldował się na stacji w Buzułuku i po przejściu przez komisję lekarską w Tockoje skierowano go do miejsca postoju grupy lotniczej w Kołtubance. Został tam już duży obóz namiotowy, który rozrastał się w miarę napływu ludzi. Trafił do formującej się właśnie czwartej eskadry.

Jako ostatnia powstała eskadra piąta, składająca się przeważnie z bardzo młodych ludzi. Jej dowódcą, ku wielkiemu zdziwieniu Nowaka, został kpt. Polubiatko. Nowak znał go bardzo dobrze, ale nigdy wcześniej nie rozmawiali o lotnictwie. Polubiatko okazał się bardzo dobrym organizatorem, dbał o swoich ludzi. Ponieważ zawsze trzymał z szeregowymi i nie w pełni podzielał poglądy dowództwa na pewne sprawy, po uprzednim ostrzeżeniu osadzony został przez polskie władze wojskowe w więzieniu pod zarzutem przywłaszczenia sobie stopnia kapitana.

Następnym z kolei dowódcą piątej eskadry został por. pil. Wicherkiewicz. W prywatnych rozmowach nie krył swoich zapatrywań. Nieraz mówił młodym żołnierzom, że ich miejsce jest tu, w Związku Radzieckim, że stąd wiedzie najkrótsza droga do Polski. Ostatecznie pozostał na terenie ZSRR.

Kiedy pociąg, kierując się ku Szkocji, ruszył ze stacji w Liverpool, była już godzina 18.00. Nowak wyszedł na korytarz. Przed jego oczyma przesuwały się wysokie, brudne budynki znajdujące się tuż przy dworcu kolejowym. Wkrótce pociąg wybiegł na otwartą przestrzeń. Prowiantowi zajęci byli tymczasem pobieraniem racji żywnościowych ze specjalnego, umieszczonego w tyle pociągu wagonu.

Na dany znak Nowak wziął z przedziału dwóch ludzi i już po chwili, otrzymawszy prowiant, rozdał go swoim chłopakom. Tego dnia dostali po jednej puszce „cornbeefu” (wołowina), bochenek białego pszennego chleba na dwóch, margarynę, dżem, tabliczkę czekolady, paczkę bakalii i paczkę papierosów.

Wszyscy wiedzieli już, że podążają do Szkocji. Po sutym podwieczorku żołnierzom dopisywał humor. Wreszcie skończyło się to „cholerne kiblowanie” na falach morskich. Teraz pociąg, kołysząc się łagodnie, gnał w zawrotnym tempie - albo może tak im się tylko zdawało? - do celu. Po drodze mijali duże stacje, ale pociąg, dudniąc na zwrotnicach, pędził dalej. Nie zatrzymywał się nigdzie.

Powoli ustawały rozmowy, ludzie usypiali. Tylko nieliczni „romantycy” oglądali krajobraz uśpionej Anglii. Gdy się rozwidniło, pociąg biegł już dużo wolniej po pagórkowatym terenie. Krajobraz zupełnie się zmienił, byli już w Szkocji. Pociąg powoli wtoczył się na dużą stację w portowym mieście Kirkcaldy. Padł rozkaz opuszczenia wagonów i po kilku minutach cały transport, uformowany w czwórki, szedł przez budzące się miasto do odległego o trzy kilometry miejsca tymczasowego punktu zbiorczego w

małej miejscowości zwanej Adzertool. Zakwaterowano ich w dużym budynku, w którym mieściła się niegdyś fabryka. Była to wielka, piętrowa budowla. Na betonowej podłodze ułożono materace, dano każdemu po dwa koce. Spano na obu poziomach. Na dużym dziedzińcu zainstalowano kuchnię połową i jadalnię. Po drugiej stronie budynku rozciągała się rozległa, może pięciohektarowa łąka ogrodzona wysokim parkanem. Tam odbywały się zbiórki i ćwiczenia. Z podwórka wychodziło się na drogę, która wijąc się przecinała całą wioskę. Tuż po przeciwnej stronie, w budynkach mieszkalnych, znajdowało się dowództwo obozu i sklep, gdzie można było nabyć nie podlegające reglamentacji drobiazgi.

Stacjonowała tam jednostka polska wchodząca w skład dywizji pancernej gen. Maczka. Nasi lotnicy z zazdrością spoglądali na rosnących chłopców, którzy posługiwali się z łatwością językiem angielskim, a wieczorami chodzili pod rękę z miejscowymi dziewczętami. Wyglądali wspaniale w swych czarnych beretach, ładnie przerobionych battledressach, z białym napisem „Poland” na czerwonym, znajdującym się na ramieniu półkołu.

Lotnikom zakazano opuszczać kwatery. Zarządzono kwarantannę, ale nie znalazła się siła, która byłaby w stanie utrzymać Polaków za ogrodzeniem. Już następnego dnia spotkać ich można było w Kirkcaldy. Anglicy patrzyli na to przez palce, a doszedłszy do wniosku, że z tej całej kwarantanny będą nicy, już po tygodniu oficjalnie ogłosili jej zakończenie.

Nowak i jego przyjaciel, Wacek Kordel, postanowili wybrać się do Kirkcaldy na „dance”. Z Kordelem poznali się w Związku Radzieckim, razem trafili do wojska, a potem spali w jednym namiocie i wspólnie przeżywali różne przygody. Kordel, wysoki blondyn o niebieskich, zawsze śmiejących się oczach, skory był do żartów. Gdy go coś wytrąciło z równowagi, zaczynał mówić z charakterystycznym lwowskim akcentem, co bardzo śmieszyło Nowaka, pochodzącego z Warszawy.

Sala tańca była duża, grały tu na przemian dwie doborowe orkiestry. W rogu znajdował się niewielki bufet, w którym można było wypić lemoniadę czy zjeść biskopt. Alkoholu w tych lokalach nie sprzedawano i nikomu nawet nie przyszło do głowy, aby go ze sobą przynieść. Może dlatego, że nigdzie nie sprzedawano alkoholu we flaszkach, a tylko w barach na kieliszki. Faktem jest, że awantury były tu rzadkością. Za szylinga człek mógł się wyhasać do woli od godziny 17 do 22. Oglądało się tam mundury wszystkich rodzajów broni i różnych stopni za wyjątkiem, rzecz jasna, oficerskich, bowiem ci bawili się bądź w klubach, bądź w specjalnych hotelach. Nie wypadło im brać udziału w zabawach z „pospółstwem”, „błękitna krew” przecież zobowiązywała.

Przychodziły tu również dziewczęta z pomocniczej służby kobiet. Widziało się ładnie skrojone granatowe mundury „wrenek” (WRNS-Women's Royal Naval Service), stalowe mundury „wafek” (WAAF - Women's Auxiliary Army Forces), koloru khaki stroje „ejtyesek” (ATS - Auxiliary Territorial Service) i Land Army (LA).

Wszystkie angielskie dziewczęta po ukończeniu 18 lat musiały wziąć udział w zmaganiach wojennych. Pozostawiono im możliwość wyboru: służy ochotniczo do wojska lub też do pracy w fabrykach czy na roli. Nawet dziewczęta, które wybrały rolnictwo, z uwagi na ważność tej gałęzi gospodarki narodowej otrzymały takie prawa jak wojsko oraz umundurowanie. Składał się na nie okrągły zielony kapelusz z umieszczoną na nim oznaką wojskową, gruby wełniany zielony sweter, do tego welwetowe jasne spodnie-bryczesy, jak do konnej jazdy, grube zielone pończochy i brązowe pantofle.



Nowak robił w angielskim szybkie postępy, ale jeszcze nie znał języka na tyle, aby się swobodnie porozumieć. Na stereotypowe pytanie: „How do you like England?”<sup>1</sup> odpowiadał niezmiennie: „I came from Russia”<sup>2</sup>. Na ogół słyszał wówczas: „O, I see”<sup>3</sup>, co go utwierdzało w przekonaniu, iż był rozumiany i, co ważniejsze, zabierał głos „na temat”.

Pewnego razu tańcząc zauważył, że jego partnerka zaczerwieniła się nagle, a gdy spojrzał na nią pytająco, szepnęła:

- Przepraszam.

- Za co przepraszasz?- spytał zdumiony Nowak.

- Nadepnęłam ci na nogę - powiedziała jeszcze bardziej speszona.

- Doprawdy? - zdziwił się i roześmiał. No tak, dziewczyna nie mogła wiedzieć, że jego buty były co najmniej o dwa numery za duże. Wyfasował je w Bombaju; przeznaczone były dla Hindusów, którzy z natury mają niskie podbicie. Nic więc dziwnego, że aby nie chodzić boszo, musiał wziąć takie „kajaki”.

Przyjeżdżało teraz do Adzterttool wielu Polaków z różnych rodzajów broni. Chcieli zobaczyć przybyłych i zapytać ich o krewnych lub znajomych, których los rzucił na tereny Związku Radzieckiego. Niektórzy mieli szczęście - znajdowali bliskich właśnie tutaj. Przybysze z kontynentu patrzyli na odwiedzających ich lotników z uczuciem pewnej zazdrości. Niektórzy z nich dosłużyli się już wysokich stopni podoficerskich, na piersiach nosili baretki odznaczeń wojskowych. Większość lotników była z personelu latającego. Świadczyły o tym widniejące na mundurach „gapy” - srebrne i złote sępy, atakujące z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Złote wieńce laurowe, które trzymały w dziobach, zazwyczaj pokryte były warstewką zielonej emalii. Właściciel takiej odznaki należał do personelu bojowego i wykonał co najmniej dziesięć lotów nad terenem wroga.

Po zakończeniu kwarantanny zaczęło się wreszcie coś dziać. Żołnierzy wzywano codziennie na przesłuchania, kazano im pisać o tym, co było w Związku Radzieckim, co tam słyszeli i widzieli. Zakładano książki ewidencyjne, które towarzyszyły im później przez cały okres służby w Polskich Siłach Powietrznych. Niektórzy wypisywali niesamowite bzdury, które władze, niestety, traktowały poważnie. Jeden chciał się przypodobać nowym władzom, inny przy okazji załatwiał porachunki osobiste. Nowak, który często zachodził w głowę, dlaczego pomijany był każdorazowo przy awansach w polskim stopniu, dowiedział się znacznie później, że jakiś podkomendny, któremu musiał się kiedyś narazić, „odmalował” go w swoim sprawozdaniu jako „niebezpiecznego komunistę”.

Pod koniec tygodnia do obozu przyjechało trzech oficerów Marynarki Wojennej, próbując przeprowadzić werbunek do tej broni. Rysowali przed nowo przybyłymi uroki służby we Flocie, ale rekrutacja nie dała pożądanego efektu. Każdy miał dosyć prawie dwumiesięcznego pobytu na morzu, a poza tym byli przecież lotnikami!

Następnego dnia, już z samego rana, zjechała „wysoka” Komisja Rekrutacji do Lotnictwa. Na łące za budynkiem fabrycznym ustawiono dwa stoły, nakryto je zielonymi kocami, a na stojących tuż koło nich taboretach ułożono w stosy książeczki ewidencyjne żołnierzy.

---

1 Jak ci się podoba Anglia?

2 Przybyłem z Rosji.

<sup>3</sup> Widzę

Na początku przemawiał pułkownik, który zaapelował o ochotnicze zgłaszanie się do załóg latających. Powiedział między innymi:

„Panowie! Mamy tu Polskie Lotnictwo, które walczy z wrogiem, walczy skutecznie, czego dało dowód w »Bitwie o Anglię«. Bijemy Niemców w powietrzu, zadajemy im ciosy w ich własnym domu, ale, niestety, to jest wojna, ponosimy również straty, a jak dotychczas nie dostaliśmy żadnych uzupełnień.

Mamy trzy silne dywizjony bombowe. Potrzebny jest napływ świeżych załóg, aby tamci mogli trochę odetchnąć. Potrzeba nam nie tylko pilotów, ale przede wszystkim radiotelegrafistów, nawigatorów i strzelców pokładowych. Liczymy na was, uzupełnicie nasze dywizjony i w ten sposób pozbędziemy się angielskiego personelu. W polskich dywizjonach służyć będą tylko Polacy, noszący takie odznaki wojskowe, jakie widzicie na naszych mundurach”.

Istotnie, na czapkach mieli orły, otoczone husarskimi skrzydłami, na guzikach również orły. Na rękawach mundurów nosili angielskie dystynkcje, polskie zaś, bardzo małe, na krawędziach kołnierzy.

Rozpoczęła się wreszcie rekrutacja. Był już koniec maja 1942 roku. Przygotowanymi zawczasu książkami ewidencyjnymi opiekowali się specjali podoficerowie. Nad każdym stołem widniały litery „od-do”, na które rozpoczynały się nazwiska. Książeczki ułożone były w porządku alfabetycznym, tak że nietrudno było znaleźć odpowiedniego delikwenta.

Przed stołami potworzyły się długie kolejki. Podchodzący podawali swoje nazwisko, a wtedy podoficer wyszukiwał odpowiednią książeczkę, którą podawał członkowi Komisji. Przewodniczący lustrował ochotnika, zaglądał do jego dokumentów i zadawał stereotypowe pytanie:

- Czym chcecie być?

Odpowiedź zwykle padała ta sama:

- Pilotem!

Nadeszła wreszcie kolej Nowaka. Oficer spojrzał na niego i już lekko znudzonym głosem rzucił:

- Wy co, też pilot?

- Nie, panie pułkowniku. Radiotelegrafista!

Ten popatrzył na niego bystro, jeszcze raz spojrzał do książki ewidencyjnej, w której w rubryce „zawód” było napisane: „muzyk” i powiedział z ożywieniem:

- Panie, pan będzie radiotelegrafistą pokładowym, i to dobrym, ja to czuję, a oni - tu wskazał na stos wypełnionych blankietów - oni będą, większość z nich - poprawił się - będą niczym, nie pilotami! - Potem sięgnął po inny, mniejszego rozmiaru druczek i wypełnił go.

Pułkownik po części miał rację. Tamci musieli długo czekać na miejsce w szkołach pilotażu, inni zaś zaczęli naukę bez żadnej zwłoki.

## W RAF

Nowak już po dwóch dniach znalazł się w Blackpool.

Blackpool. Baza Polskich Sił Powietrznych. Przez to miasto musieli przejść wszyscy polscy lotnicy, tak personel latający, jak naziemny. I ci, którzy dopiero zaczynali, tak jak Nowak, i ci, którzy przybyli prosto ze szkół na pierwsze loty bojowe, i ci, którzy po wykonaniu serii lotów operacyjnych szli na zasłużony odpoczynek. Dowódcą bazy był ppłk pil. Wiktor Pniewski.

Leżące nad Morzem Irlandzkim miasto było rajem dla turystów. Trzy czwarte jego mieszkańców pracowało dla ludzi, którzy przyjeżdżali tu odpocząć czy zabawić się. Bywało, że kobiety oszczędzały przez cały rok po to, aby wszystko wydać w ciągu dwóch tygodni. Blackpool tani nie był, tu za wszystko trzeba było płacić, i to nieraz słono. W celu uatrakcyjnienia turystom pobytu, a także dla wyciągnięcia z nich pieniędzy, zbudowano tu specjalne obiekty. A więc przede wszystkim Tower. Był to olbrzymi gmach, na którym stała wysoka wieża, kształtem przypominająca wieżę Eiffla w Paryżu. Wewnątrz gmachu, na parterze, znajdowało się pomieszczenie, w którym przed wojną odbywały się przedstawienia operowe, w czasie wojny zaś „dance”. Wokół sali o kształcie podkowy znajdowały się piętrowe balkony. Trzymając się bliżej ściany można było obejść całe piętro, mając z lewej strony łoże. Tutaj można było usiąść, odpocząć i popatrzeć na tańczące pary. Na wielkiej obrotowej scenie grały dwie orkiestry. W czasie zmiany zespołów obydwie wykonywały ten sam utwór, a wtedy scena robiła obrót.

Gwoździem wieczoru był trzydziestominutowy koncert na organach Hammonda, które, zwykle ukryte w głębi sceny, wyjeżdżały wtedy na jej środek. Na organach grała piękna, kruczowłosa kobieta. Jak głosił afisz, nazywała się Ina Baga, ale był to chyba pseudonim. Artystka rozpoczynała zawsze od tej samej melodii, a potem przez pół godziny bez przerwy grała do tańca.

W bocznych salach urządzono bary, gdzie można było coś wypić lub przekąsić. Na pierwszym piętrze było ZOO. Tak, właśnie ZOO. W wielkich klatkach umieszczono lwy, tygrysy i inne dzikie zwierzęta. Powietrze nie było tam szczególnie świeże, więc na ogół nie widziało się tam zbyt wielu zwiedzających. Wysoko, pod samą kopułą, znajdowały się przepiękne egzotyczne ogrody, a w nich rzadkie okazy drzew i krzewów, palmy i agawy.

Były tam ławeczki, zawsze oblepione tulącymi się do siebie parkami. Brzydsze ich połowy z reguły nosiły na ramionach napis „Poland”...

Na głównej ulicy Princess Road, po której przebiegały piętrowe tramwaje, panował zawsze ożywiony ruch. Była to właściwie szeroka aleja; po jednej jej stronie stały olbrzymie, piętrowe domy-pensjonaty, po drugiej szumiało morze. Nad brzegiem rozciągały się przepiękne plaże i długie, szerokie molo, zwane „Pierre”.

Blackpool ogłoszono miastem otwartym i w odróżnieniu od innych miast czy osiedli na terenie Wielkiej Brytanii nie było zaciemniane. Na ulicach, przed wejściem na plażę, molo czy deptak znajdowały się stoiska, który właściciele oferowali różne angielskie smakołyki dostępne w owym czasie, bo żywność i odzież podlegała reglamentacji. Aby je nabyć, trzeba było mieć kupony, których wciąż brakowało. Przechodnie kupowali krewetki - małeńkie, czerwone skorupiaki, ale te nie cieszyły

się powodzeniem wśród naszej braci. Wśród Polaków najbardziej popularny był „fish and chips”, czyli gorące, prosto z rusztu frytki i smażona ryba.

Zwykle gdy wracało się z Toweru już po godzinie 23.00, brało się w jedną rękę torebkę z frytkami, w drugą zaś gorącą rybę i idąc ulicą, nieraz całą paczką, zaczepiało się „babki”, częstując je. Angielskie dziewczęta miały poczucie humoru, nie obrażały się, a nawet często przyjmowały „chipsa”, śmiejąc się razem z polskimi żołnierzami.

Był to właściwie jedyny sposób, aby o tej porze zaspokoić głód, bowiem restauracje czy kantyny NAAFI (Navy Army Air Forces Institutes - instytucja żołnierskich kantyn) były pozamykane, a na pójście do hotelu na kolację nie pozwalała zawartość portfela.

W Blackpool pełno było pensjonatów i hoteli dla gości z „grubszą” gotówką. Właścicielka pensjonatu - najczęściej prowadziły je kobiety - miała przeważnie swoich stałych gości, którzy przybywali tu każdego roku. Osoba przyjeżdżająca na wczasy oddawała właścicielce swoje bony żywnościowe, co było podstawą zaprowiantowania.

Polacy zajmowali kwatery zwane „billetingami”. Zależnie od wielkości pensjonatu mieszkali po dwóch, trzech lub czterech. Podobnie jak urlopowicze otrzymywali pełne wyżywienie. Płacili za nich RAF. Racje żywnościowe, jakie otrzymywali lotnicy, były prawie dwukrotnie większe niż przysługujące ludności cywilnej. Nie pozostawało to bez wpływu na zaopatrzenie pensjonatu, bo dzięki temu na przykład w niedzielę wszyscy goście otrzymywali na śniadanie szynkę, której nie widzieli od początku wojny.

Bywało, że w sezonie gospodyni przenosiła niektórych „Polusów” (za ich zgodą, oczywiście) na poddasze, przy czym ich dyskrecja była w ten czy inny sposób rekompensowana, a pokoje, które zajmowali, oddawano pensjonariuszom, za odpowiednio grubszą opłatą. Oczywiście praktyki te starannie ukrywano przed władzami wojskowymi. Po sezonie Polacy wracali na dół i wszyscy byli zadowoleni.

Kiedy szło się główną ulicą mając po swej prawej stronie morze, z daleka już można było dojrzeć „wesołe miasteczko”. Anglicy nazywali je: „Amusements”. W „wesołym miasteczku” zainstalowano wiele urządzeń rozrywkowych. Prawie w każdej wnęce, nieraz po prostu na chodniku, ustawiano automaty do gry hazardowej. Za jednego pensa teoretycznie wygrać można było dziesięć, ale nim się je wygrało, traciło się trzydzieści lub więcej. Jedno było pewne: właściciel nie dokładał do takiego „interesu” nigdy.

Szczególnym powodzeniem w wesołym miasteczku cieszył się „pociąg grozy” (the ghost train). Na pasażerów, wsiadających do sześciuosobowych wagoników, czekało podczas podróży przez wykuty w skale tunel mnóstwo „atrakcji” - upiory, straszdyła i przeróżne okropieństwa. Był też „labirynt-niespodzianka” z ruchomą częścią wiodącego przezeń chodnika, tak że rzadko komu - a zwłaszcza paniom - udawało się przejść tamtędy bez „wywrotki”.

## Pierwszy lot na Wellingtonie

Po przybyciu do Blackpool - był to pamiętny dla niego dzień 2 czerwca 1942 r. - Nowak został skierowany na prywatną kwaterę. Poinformowano go też, że następnego dnia o godz. 8.00 rano odbędzie się zbiórka na jednym z małych placyków. Znajdowały się tam gabloty, w których zawsze wisiały aktualne informacje i plany na dzień następny.

Rano, gdy zgodnie z rozkazem Nowak zameldował się w wyznaczonym miejscu, czekała tam już garstka przyszłych lotników. Najpierw odbyła się gimnastyka, a potem dwaj oficerowie poprowadzili ich do gmachu, w którym mieściło się jedno z biur sekcji polskiej RAF. Tam, przy pomocy tłumacza - oficera, młoda, urodziwa „wafka” w stopniu porucznika spisywała ich personalia. Następnie Polacy udali się do fotografa. Ten nie bawił się w zbytnie ceregiele - po prostu ustawił całą szesnastkę w trzech poziomach i trzasnął jedno zdjęcie. Po powiększeniu i wywołaniu zdjęcia powycinał poszczególne „twarze”, potrzebne do dokumentacji RAF oraz do legitymacji osobistych, popularnie zwanych Form-1250.

Jeszcze tego samego dnia udali się prawie na drugi koniec miasta do magazynu mundurowego. Tutaj wzdłuż prawej strony bardzo przestronnej sali ciągnął się długi kontuar, za którym widać było poukładany na półkach ekwipunek lotniczy. Przy drzwiach stał sierżant, mistrz krawiecki, który obmierzył Nowaka centymetrem, a potem krzyknął coś do stojącego za ladą kolegi. Ten już wiedział, co robić dalej.

Cisnął w Nowaka jednym mundurem, potem drugim - battledressem i workami, pokazując jednocześnie, że ma w nie ładować wszystkie „bambetle”. A było ich cholernie dużo! Następny Anglik już rzucał mu bieliznę, kolejny dwie pary obuwia, pantofle gimnastyczne, szczotki do ubrania i butów oraz do zębów. Nowak dostał też maszynkę do golenia, żyletki i masę innych przedmiotów, których nawet nie sposób wymienić.

Nowak był przestraszony, już dawno się w tym wszystkim pogubił. Wbrew obawom nikomu nic nie kwitował i nikt go nie oszukał. Przekonał się o tym, kiedy przytargał wszystkie „skarby” na kwaterę i porównał je z otrzymaną z „mundurówki” kartką.

Tego samego wieczora „pokołował” do Toweru już jako lotnik, ubrany w stalowy mundur RAF z napisem „Poland” na ramionach i złotymi guzikami z orłem. Jutro miał stać przed osławioną Medical Board (Komisja Lotniczo-Lekarska), która zadecyduje, czy będzie mógł wejść w skład personelu latającego.

Już z samego rana pomaszzerowali do Polskiej Bazy, gdzie odbywał się egzamin z zakresu matematyki, algebry i fizyki, a także test psychologiczny. Kandydaci na lotników otrzymali po dwa arkusze, na których były numerowane pytania. Odpowiedzi punktowano zależnie od stopnia trudności pytań. Chłopcy zaczęli zwykle od najłatwiejszych, aby zdobyć choć trochę cennych punktów, trudne zostawiając na sam koniec. Test psychologiczny zawierał nieraz humorystyczne pytania, typu: „Jeśli pan nie ma dzieci, to jaki będzie stosunek pokrewieństwa do pana wnuczka pańskiego dziadka?” Na odpowiedź pozostawiano trzy sekundy.

W pewnej chwili egzaminujący oficer pokazał Nowakowi dwa obrazki, na których narysowane były takie przedmioty, jak: pędzel, drabina, kot, wiadro i krzesło, a potem spytał:

- Proszę mi powiedzieć, ile ta drabina ma szczebli?

A Nowak już był prawie pewien, że mu się udało... A tu takie pytanie! Zamknął oczy i przywołał obraz ponownie; przez chwilę miał wątpliwości, ale chyba osiem?

- Osiem - powiedział.

- Zgadza się, jest pan wolny, winszuję.

Było to już ostatnie pytanie, postawione mu przez Komisję Wstępną, kwalifikującą na Medical Board. Nowak uzyskał 79 punktów na 100 możliwych.

Wystarczy, pomyślał sobie. Asem nie jestem, ale zmieściłem się.

Po sześciu godzinach badania komisja lekarska ogłosiła werdykt: „fit for all aircrew duties” 4.

Podskoczył do góry z radości. A więc nawet w pierwszej grupie? Widocznie trochę naciągnęli mu wyniki, bo do pierwszej grupy, w skład której wchodziłi piloci i nawigatorzy, potrzeba było 80 punktów lub powyżej, od radiotelegrafistów wymagano minimum 70, strzelcom zaś wystarczało 50.

Oznaczało to również, że będzie szkolony w pierwszej kolejności i w swojej specjalności, ale punktów nabierał sobie na zapas i po ewentualnym zakończeniu tury operacyjnej (39 lotów) może się ubiegać o skierowanie go do szkoły pilotażu, i to bez czekania!

Był szczęśliwy.

Następnego dnia wysłano go do OTU (Operational Training Unit - operacyjna jednostka treningowa) nr 18, który mieścił się na stacji RAF w Bramcote. Nowak wysiadł z pociągu w Nottingham, skąd autobusem udał się do Nuneaton. Na miejscu, przed dworcem autobusowym, czekał mały Hilman. Na błotniku samochodu Nowak dostrzegł małą biało-czerwoną szachownicę, za kierownicą siedział kapral z napisem „Poland” na ramieniu.

- Siadaj, koleś - pozdrowił go grzecznie. - Czekam tu na ciebie!

Pomógł mu załadować „manele”, a było tego sporo, po czym udali się do obozu.

Zakwaterowany został w murowanym budynku, co było jak na ówczesne czasy rarytasem, bowiem w większości pomieszczenia mieszkalne personelu mieściły się w specjalnie budowanych długich drewnianych barakach, zwanych „huts”, bądź też w „beczkach śmiechu”. Ponieważ w Bramcote znajdowała się stacja RAF; budynki koszarowe postawione zostały jeszcze przed wojną. Panował tu nawet swego rodzaju komfort, ale o tym wszystkim Nowak jeszcze nie wiedział.

Nazajutrz po przybyciu polecono mu udać się na lotnisko, odszukać samolot z literą „J” i zaczekać tam na załogę. Następnie miał się zameldować dowódcy, z którym odbędzie próbny lot szkoleniowy.

Pobrał z magazynu zwanego Parachute Section spadochron, założył szelki i trzymając go w ręku udał się na dispersal<sup>5</sup>, gdzie na polu wzlotów w sporych odstępach stały samoloty. Przy jednym z nich

---

4 Zdolny do służby w powietrzu bez ograniczeń.

5 Dispersal - rejon rozmieszczenia samolotów w gotowości startowej. W pobliżu nich znajdował się zwykle barak dla pilotów i obsługi technicznej.

Nowak ujrzał siedzącą na trawie grupkę ludzi, ubranych w stroje lotne. Na kadłubie była wymalowana litera „J”. A więc to „jego” maszyna!

Podszedł do siedzącej załogi, aby się zameldować dowódcy, ale potem stanął skonfundowany, nie wiedząc, co począć: wszyscy ubrani byli w battledressy i mieli na sobie „maywestki” (żółta kamizelka ratunkowa, która pozwalała lotnikowi utrzymać się na wodzie przez dłuższy okres. Nazwana od imienia słynnej wówczas gwiazdy filmowej May West, która miała dość okazały biust). Nowak rozglądał się gorączkowo, szukając starszego stopniem. Sami sierżanci! Poznaje to po dużych winklach na ich rękawach.

Jest! Spod „maywestki” wystaje kawałek naramiennika, na którym widnieje grubszy siwo-granatowy paseczek. To flying officer, czyli porucznik. Podszedł do niego, zasalutował przepisowo, jak go kiedyś uczono w szkole podoficerskiej, i chciał się zameldować.

- Panie poruczniku...

Tamten nie pozwolił mu dokończyć.

- On tu jest dowódcą, jemu meldujcie, nie mnie - powiedział, wskazując młodego sierżanta o czarnych, kręcących się włosach.

Nowaka zbiło to zupełnie z tropu. Zwrócił się stremowany w stronę sierżanta, wskazanego mu przez porucznika.

- Dobra, dobra, siadaj pan! - machnął niedbale ręką tamten i nie zwracając na niego uwagi podjął przerwana jego przyjściem rozmowę.

Onieśmielony usiadł na trawie. Jeden z członków załogi wyciągnął paczkę Playersów, zapalili wszyscy. Mówili teraz o bliskiej już chwili, kiedy zakończą szkolenie w OTU i przejdą do dywizjonu bojowego.

- Chłopaki - mówił „dowódca”. - Prosiłem starego, aby nam dał przeniesienie do dywizjonu trzysta, tam by sobie człowiek polatał za granicę. Zwiedziłoby się Francję i inne kraje Europy zachodniej, bo jak nas dadzą do trzysta cztery, to w Coastal Command (Lotnictwo Obrony Wybrzeża) będziemy tylko ryby topić.

- A co na to stary? - spytał porucznik.

- A wiesz pan, jak to on, nigdy nic konkretnego, załania się Blackpoolem<sup>6</sup> - odpowiedział na to drugi z członków załogi.

- No, kolesie, na nas już czas - powiedział po chwili sierżant-dowódca, spoglądając na zegarek i rozdeptując papierosa w trawie.

Podeszli do samolotu. Był to dwusilnikowy bombowiec typu Wellington, zwany przez polskie załogi: „Okopconym Olbrzymem” bądź też „Dziadzią Wellingtonem”. Pierwsze przezwisko miało prostą genezę: chodziło po prostu o ochronny kolor maszyny i jej rozmiary.

---

6 W Blackpool mieściła się Baza Uzupelnień PSP.

Nowak z zainteresowaniem oglądał Wellingtona. Otwierane do środka drzwi znajdowały się pod kadłubem, pod siedzeniami pilotów. Były one wykładane skórzanym materacem, na którym w czasie akcji kładł się nawigator-bombardier. Przez oszklony przód samolotu miał wtedy przed sobą doskonały widok. Tutaj też zainstalowany był przyrząd celowniczy; z jego prawej strony znajdowało się 16 przełączników wyzwalających podwieszane wewnątrz kadłuba bomby. Przed ich wyrzuceniem trzeba było otworzyć drzwi bombowe, co wybitnie niekorzystnie wpływało na szybkość samolotu. Dlatego czynność tę wykonywano w ostatniej chwili, tuż przed celem. Bombardier rozpoczął od przełączenia w dół bezpieczników, w zależności od liczby jednorazowo wyzwalanych bomb, dla ostrożności zakrytych łątką do zdarcia czerwoną bibułą, naprowadzał pilota nad cel i zwalniał śmiertelny ładunek, przyciskając guzik trzymanej w rękach gruszki. Obowiązki bombardiera w samolocie typu Wellington pełnił nawigator.

O tych wszystkich „mądrościach” dowiedział się Nowak dużo później. Teraz po drabince przystawionej przez mechanika wchodził do środka pierwszy pilot, a za nim reszta załogi. Nowak stał na uboczu, nie bardzo wiedząc, co z sobą zrobić. Wydawało się, że zupełnie o nim zapomniano.

Po chwili pilot, który gotował się już do zapuszczania silników, przypadkowo spojrzał w jego stronę. Na jego twarzy odbiło się zniecierpliwienie; dał mu znak, aby szybko wchodził do środka.

Nowak pnąc się po drabince zobaczył najpierw nogi obu pilotów, obute w długie, ciepłe buty, z których wystawały białe, grube, wełniane pończochy. Wszedł wyżej i po chwili znalazł się na pokładzie samolotu. Dowódca odwrócił się do tyłu i zawołał któregoś z członków załogi. W wąskim przejściu pojawiła się twarz porucznika-nawigatora.

- Panie ten! - powiedział pierwszy pilot do porucznika. - Niech pan pokaże temu nowemu, gdzie ma iść.

- OK - odpowiedział porucznik. - Chodź pan - tu skinął na Nowaka.

Cóż za brak dyscypliny, pomyślał zgorszony Nowak. W okresie międzywojennym dowódca był zawsze oficerem - nawigatorem (zwano go wówczas obserwatorem), podczas gdy tu sierżant wydaje rozkazy, a porucznik musi je wykonywać. Świat się kończy!

Nawigator jednak z miłym uśmiechem na twarzy wziął go za rękę i pociągnął do środka maszyny, wibrującej już w rytm pracy silników.

Nowak nie miał hauby, więc nie mógł korzystać z intercommu, bo właśnie w haubie zainstalowane były słuchawki, zaś w masce tlenowej mikrofon. Z tego powodu nawigator musiał do niego mówić nieco podniesionym głosem.

- Tu jest moje stanowisko - wołał, pokazując na przytulony do ścianki samolotu stolik, na którym Henryk dostrzegł rozłożone mapy, cyrkiel, suwak nawigacyjny. Naprzeciwko stołu, na harmonijce, zamocowana była lampka, którą można było przesuwac w miarę potrzeby. - A tu - pokazał na siedzącego przed radiostacją sierżanta - będzie pana królestwo.

Przekazał go „radzikowi”, nawiązującemu właśnie łączność z kontrolą lotniska. Po chwili samolot już kołował po trawie, kierując się w stronę pasa startowego.



Nowak przyglądał się ciekawie pracującemu sierżantowi, który w pewnej chwili puścił do niego „oko”.  
- Co, też radiota, kolega po fachu? - zagadnął. Skinął głową. Zazdrościł tamtemu, że już ukończył szkołę, że siedzi oto w samolocie bojowym przy radiostacji jako pełnowartościowy członek załogi, podczas gdy on musi się jeszcze tyle uczyć. Pocieszał się tylko, że zdąży jeszcze zrewanżować się Niemcom za Wrzesień, za gorycz nierównej walki. Ale najbardziej zazdrościł „radzikowi” trzech sierżanckich winkli na rękawach.

Spojrzał do przodu w stronę siedzących pilotów. Dowódca obserwował przyrządy, drugi pilot trzymał rękę na dźwigniach gazu, grzejąc silniki. Samolot mocno blokowany hamulcami drżał jak w febrze. Po krótkiej wymianie zdań między pilotami i radiotelegrafistą Wellington wolno ruszył i wkołował na betonowy pas startowy. Tu się na moment zatrzymał, a potem, szarpnięty gwałtownie przez dwa silniki, poderwał się do biegu. Początkowo sunął niezdarnie, ociężale, jakby mu żal było rozstawać się z matką ziemią, ale wkrótce nabral rozpędu. Koniec pasa zbliżał się już z przerażającą szybkością, gdy „pierwszy” nieznacznie ściągnął wolant na siebie i wstrząsy raptownie ustały. Byli w powietrzu. Mozaika ostrzegawczych świateł lotniskowych wpadła im pod płaty. Szli teraz szeroką rundą, nabierając wysokości.

Nowak spojrzął na wysokościomierz. Wskazywał 600 na wznoszeniu. Niemożliwe! pomyślał patrząc w dół. Nie ma więcej niż 200 metrów, czyżbym źle oceniał wysokość? zaniepokoił się nagle.

- Jak to, jesteśmy już na wysokości sześciuset metrów? - zapytał dowódcę.

Tamten spojrzął na wysokościomierz, uśmiechnął się do niego i powiedział:

- To są fity!7

Cóż za osioł ze mnie! Przecież w Anglii mierzą w stopach, a nie metrach, skarcił sam siebie.

Przed nimi, w dole, morze wrzynało się w ląd, przy brzegu białe grzywy fal biły w skalisty cypel.

Jakże to ich morze jest niepodobne do naszego Bałtyku, pomyślał Nowak. To tutaj jest zupełnie szare!

Byli w powietrzu już około trzech godzin. Zajęty obserwowaniem pracującego radiotelegrafisty Nowak nawet nie zauważył, że wrócili już nad ląd i pomału wytracają wysokość. W dole pod nimi leżała ziemia, przykryta jakby ciemnoniebieską zasłoną, która w miarę schodzenia stawała się coraz bardziej przejrzysta, aż w pewnej chwili można było już wyraźnie rozróżnić zabudowania, farmy, szachownicę pól i widniejące w oddali miasto.

Nagle ktoś pociągnął go za rękaw. To drugi pilot, który wyciągnąwszy rękę krzyknął:

- Patrz pan tam, to Coventry!

Nowak spojrzął we wskazanym kierunku. W oddali dostrzegł ruiny dużego miasta: morze gruzu i szkielety wypalonych domów.

Wiele słyszał o tym mieście, barbarzyńsko zniszczonym przez lotnictwo niemieckie. Musieli rzucić tam tysiące bomb, pomyślał. Coventry chyba się już nigdy nie odbuduje.

---

7 Od „foot” - stopa (ang.) Stopa = 0,3048 m

Wtedy jeszcze nawet nie przeczuwał, jaki los spotka Warszawę... Na ziemi poczekał, aż z samolotu wysiądzie dowódca. Chciał podziękować mu za lot.

## „Sympatia”

W baraku czekał na niego list od... Gwen. Poznał ją w Towerze w Blackpool. Stała samotnie pod filarem, paląc papierosa, i obserwowała tańczące pary. Była to szczupła, może dwudziestopięcioletnia ciemna blondynka w okularach. Gdy poprosił ją do tańca, obrzuciła go uważnym spojrzeniem, potem wolno zgasiła papierosa w stojącej tuż obok wysokiej popielniczce i podała mu ramię.

Tańcząc, milczeli oboje. Ona co chwila zerknęła na niego, jakby jej kogoś przypominał.

Zazwyczaj grano po trzy różne tańce, po czym następowała krótka przerwa. Ponieważ poprosił ją w połowie pierwszego, tańczyli dość długo. Miał szczęście, że nie grano tym razem boogie-woogie, którego nie umiał tańczyć.

Gdy orkiestra przestała grać i pary powoli opuszczały parkiet, dziewczyna wzięła go pod ramię i skierowała tam, gdzie przedtem stała. Nowak postanowił się jak najszybciej „urwać”, ale nieznajoma nie puszczała jego ramienia. Stali tak bez słowa, rozglądając się po sali. Wiele par stało jeszcze na parkiecie, czekając na następny taniec.

Nowak czuł się trochę głupio. Wypadało coś powiedzieć, ale on, oględnie mówiąc, władał angielskim niezbyt biegle. Wreszcie milczenie przerwała dziewczyna.

- Jak ci na imię? - spytała po prostu.

- Henryk - odpowiedział trochę zawstydzony, że dotychczas się jeszcze jej nie przedstawił.

- Gwen - odrzekła, wskazując na siebie palcem. - Gwen, Gwen Glover. - Uśmiechnęła się, odsłaniając piękne, białe zęby.

Orkiestra znów zaczęła grać, poszli na parkiet. Grano teraz popularny w Anglii taniec zespołowy, dla Nowaka zupełnie obcy. Gwen wystąpiła w roli nauczycielki, co ją wyraźnie bawiło.

Podczas przerwy, już nieco zmęczeni, udali się do bufetu. Gwen uparła się, że będzie za siebie płacić. Ustąpił jej tym bardziej, że nie miał za dużo pieniędzy. Blackpool był stanowczo za drogi na kieszeń kandydata na radiotelegrafistę pokładowego lotnictwa Jego Królewskiej Mości! Przeszli się trochę po ZOO, potem weszli na górę, do ogrodu botanicznego.

Po kolejnych tańcach usiedli w łoży pierwszego piętra i patrzyli w dół na wirujące pary. Było tu dużo polskich lotników; sami młodzi chłopcy, oficerowie, i podoficerowie, noszący na piersiach baretki wysokich odznaczeń bojowych lub też same odznaczenia: Virtuti Militari, Krzyż Walecznych. Nowak dostrzegł nawet baretki Distinguished Flying Cross i Distinguished Flying Medal<sup>8</sup>, który przyznawano podoficerom. Wszyscy mieli „gapy”; był to personel latający. W tym czasie odznaczeń przyznawano sporo, bo rzeczywiście loty były trudne. Nierzadko samotny Wellington szedł na dziesięć lub więcej godzin nad teren nieprzyjaciela, przez cały czas „szarpany” przez niemiecką obronę przeciwlotniczą czy nocne myśliwce, zrzucił swój ładunek i wracał, niejednokrotnie sam ciężko poharatany. Później, gdy przeprowadzano bardziej zmasowane naloty, wyróżnić się czymś szczególnym nie było łatwo.

---

<sup>8</sup> Odpowiednik polskiego Virtuti Militari, przyznawany jedynie członkom załóg latających (krzyż - oficerom, medal - od chorążego w dół)

Niektórzy Polacy mieli w Blackpool swoje stałe „sympatie”, do których przyjeżdżali na urlopy czy weekendy. Chyba jedna trzecia młodszych mieszkanki tego miasta mówiła po polsku, inne uczyły się na potęgę. W osłupienie wprawiła kiedyś Nowaka młoda konduktorka w tramwaju, która powiedziała do niego łamanym polskim językiem: „Czo sztoisz jak szlup, poszuń sze!”, a widząc jego zdumioną minę, parsknęła śmiechem.

Gwen pochodziła z Yorkshire. Po raz pierwszy zobaczyła Polaków w Blackpool, aczkolwiek podczas „Battle of Britain” słyszała o nich wiele.

Po zabawie odprowadził Gwen do pensjonatu, w którym mieszkała. Umówili się na następny dzień, to miało być ich ostatnie spotkanie, bowiem wyjeżdżał już z Blackpool do Bramcote, a stamtąd do szkoły.

Gdy się żegnali, podała mu swój adres, prosząc, aby często pisał. Napisał zaraz po przybyciu do Bramcote i oto miał odpowiedź. Nie mógł jednak sobie poradzić z odcyfrowaniem tego listu; Gwen pisała bardzo niewyraźnie. Musiał teraz znaleźć kogoś, kto by mu w tym dopomógł.

W Nuneaton, najbliżej od lotniska położonym mieście, wstąpił do pobliskiego pubu. Spotkał tam sierżanta - pilota, z którym odbył swój pierwszy ćwiczebny lot na terenie Wielkiej Brytanii. Tamten poznał go od razu.

- Cześć, panie Nowak - powiedział.

- Cześć, panie Wyskrobek - odrzekł Nowak. Było to nazwisko, nie przezwisko pilota.

- Panie Władziu - krzyknął sierżant w stronę barmana. - Daj pan jeszcze dwie podwójne.

--Co to, Polak? - spytał zdumiony Nowak.

- Nie, ale my go tu tak nazywamy, on już trochę po naszymu „bałaka” - mówiąc to jednocześnie podsunął mu wysoką szklankę z podwójną whisky podaną przez „Władzia”.

Wyskrobek okazał się bardzo miłym kolegą. Nie zadzierał nosa, jak to niektórzy czynili w stosunku do nich, przybyłych ze Związku Radzieckiego. Zdecydował się przeto na pokazanie mu listu od Gwen. Prosiła w nim, aby poszukał sobie kogoś, kto mógłby być ich tłumaczem, gdyż z jego listu zrozumiała niewiele.

Niewesoło, pomyślał Nowak. A mnie się już wydawało, że daję sobie wspaniałe radę...

Usiedli przy jednym ze stołów, bo dotychczas stali oparci o ladę, i napisali odpowiedź do Gwen.

## W Polskiej Szkole Technicznej

Nowak nie zagrał miejsca w Bramcote, po kilku dniach był już w drodze do znajdującej się w Halton (Buckingham) Polskiej Szkoły Technicznej. Zameldował się tam 8 sierpnia 1942 roku, rozpoczęcie zajęć nastąpiło 11 sierpnia. Szkoła mieściła się na terenie olbrzymiej angielskiej uczelni technicznej, podzielonej na dziewięć rozrzuconych na wielkiej przestrzeni części, zwanych przez Anglików: „site”. Polacy mówili po prostu: „sajty”. Polski „sajt” miał numer cztery. Był to kompleks budynków, położony nieco w bok od innych. Za „sajtem” numer cztery rozciągało się boisko sportowe, gdzie każdej soboty rozgrywano mecze piłki nożnej. „Site” składał się z około dziesięciu budynków-baraków, wśród których wydzielono kuchnię-łazienkę, stołówkę, baraki mieszkalne i sale wykładowe.

Komendantem Polskiej Szkoły Technicznej był ppłk Rudnicki, jego zastępcą do spraw łączności mjr Białowieski, sprawami administracyjnymi zajmował się mjr Paweł Owczarski, oświatowymi kpt. Pionko. Prawie cały personel instruktorski również składał się z Polaków. Zajęcia z alfabetu Morse'a prowadzał sierż. Wybraniec, z radiokorespondencji sierż. Rzeczewski, radiotechniki plut. Sut i sierż. Malik. Instruktorem sportowym był sierż. Kasia.

Dla Nowaka i jego kolegów, tworzących grupę o nazwie AG-34, rozpoczęło się twarde życie. Dyscyplina jak wszędzie w szkołach wojskowych. Zaraz po śniadaniu, punktualnie o ósmej, zasiadali w ławkach lub przy długim stole, gdzie koło każdego stanowiska zainstalowany był klucz do nadawania i słuchawki.

Największy nacisk kładziono na naukę alfabetu Morse'a, przy czym zastosowano przyspieszony system nauki. Cały alfabet podzielono na grupy sygnałów; na opanowanie poszczególnych grup dawano trzy dni. Kiedy „delikwenci” znali już cały alfabet, zaczęło się doskonalenie tempa nadawania i odbioru, które rosło z tygodnia na tydzień.

Nauka w szkole radiotelegrafistów była bardzo intensywna. Słuchacze w ciągu sześciu miesięcy musieli opanować materiał, na który normalnie trzeba było jednego roku. Dochodziła ponadto nauka języka angielskiego (dwie godziny dziennie), bowiem absolwenci tej szkoły mieli być kierowani do specjalistycznej szkoły angielskiej, gdzie wykłady prowadzone były tylko w tym języku.

Przedmiotów było sporo. Przede wszystkim elektrotechnika, do opanowania której niezbędna była matematyka. Trzeba więc było sobie przypomnieć różne wzory i równania, na co poświęcono tylko dziesięć godzin lekcyjnych. Dochodziła jeszcze meteorologia, radiokorespondencja, przyrządy pokładowe, mechanika lotu. Niektórzy nie mogli sobie poradzić, odeszli więc ze szkoły już po miesiącu, aby po trzech miesiącach praktycznego szkolenia zostać strzelcami samolotowymi, zwanymi po angielsku „air gunner”, po polsku „ogonowcami”. Ci właściwie zyskali, bowiem otrzymywali szybko stopnie sierżanckie i latali na operacje bojowe, czego koledzy bardzo im zazdrościli.

Nowak i kilku jemu podobnych uczyło się jednak wytrwale. Przecież na nich czekano, radiotelegrafistów wciąż brakowało. Niewielu kończyło szkoły, gdyż długie i trudne szkolenie zniechęcało, a poza tym bez dobrego słuchu muzycznego trudno było zostać radiotelegrafistą. Nowak pamiętał jeszcze o jednym: pilot, nawigator czy strzelec pokładowy po wojnie będzie mógł znaleźć

pracę tylko na liniach lotniczych, zaś radiotelegrafista zdobywał konkretny zawód, mógł pracować w wielu miejscach, po niewielkiej praktyce nawet jako radiotechnik.

W soboty po południu odbywały się zajęcia sportowe - zwykle były to mecze piłki nożnej rozgrywane pomiędzy poszczególnymi „sajtami”. W czasie wolnym od zajęć można było jechać do miasta, pójść do miejscowego kina, do świetlicy czy do kantyny NAAFI.

W każdą niedzielę rano obowiązuje wszystkich nabożeństwo. Odbywała się też, jak zresztą w całej Anglii, tak zwana „Church Parade”. Przodem maszerowała orkiestra, dobosze przystrojony w skóry lamparcie wywijali pociesznie pałeczkami, za nimi oficer, dalej szła trójkami cała szkoła. Brakowało tylko czwartego „sajtu”, ponieważ Polacy jako katolicy zwolnieni byli z parady, przy czym mieli obowiązek pójść do kościoła katolickiego znajdującego się w pobliskim miasteczku Vindower. Biada temu, kto będąc na urlopie przypadkowo natknął się na taką paradę, a nie stanął frontem i nie oddał honorów wojskowych! Dla takiego pechowca urlop się skończył, a zaczynała odsiadka w miejscowym garnizonie, bo postępujący razem z paradą MP (Military Police) nie przepuścili nikomu.

Pewnego razu na „Church Parade” nadział się i Nowak. Zafascynowany widokiem ubranych w skóry lamparcie doboszy i wywijającego buławą tambur-majora, zapomniał o całym świecie. Drgnął, kiedy usłyszał tuż za plecami tubalny głos:

- Airman!9

Obejrzał się i zobaczył dwóch rosyłych żandarmów MP.

- Pójdziecie z nami - padła krótka komenda. Nowak próbował się usprawiedliwić, nic z tego. Szedł teraz między dwoma dryblasami. Nie miał ochoty spędzić nocy w areszcie. Wiedział ponadto, że na tym się nie skończy - wyślą meldunek do szkoły - czym jej komendant, ppłk Rudnicki, na pewno nie będzie zachwycony.

W Komendzie przekazano go dyżurnemu oficerowi, który sprawdził mu dokumenty, a potem zapytał, czy zna „Kings Regulation”. Był to zbiór regulaminów, określający praktycznie wszystkie prawa i obowiązki żołnierzy. Sprawiał on niemało kłopotu Polakom, którzy nie zawsze żyli w zgodzie z przepisami.

Nowak postanowił „nic nie rozumieć”; w wielu wypadkach była to niezawodna metoda. Oficer zadał jeszcze trzy dalsze pytania. Nie otrzymał na nie odpowiedzi. Kiedy Nowak zaczął mu coś klarować po polsku, tak się zdenerwował, iż zbeształ żandarma, który go tu przyprowadził, a jego samego wyrzucił za drzwi.

Tym razem Nowak wykręcił się sianem, ale postanowił, że już więcej nie będzie gapił się na „Church Parade”.

Początkowo Nowakowi trudno było wejść w rytm szkolnych zajęć, oszałamiało go szybkie tempo, jakie im narzucono. Pierwszego dnia wieczorem długo nie mógł zasnąć. Za oknem słyszał szum wiatru. Wszyscy już głęboko spali, a on błędził myślami daleko stąd, po Kołtubance w Związku

Radzieckim. Była zima. Obóz lotników i marynarzy mieścił się na wielkiej polanie w lesie. Mimo siarczystego mrozu, panującego na dworze, wszyscy spali w namiotach, osadzonych na kwadratowym wykopie głębokości jednego metra. Wewnątrz po obu stronach porobione były nary z młodych chojaków, na nich trochę iglastych gałęzi i słoma. Ponieważ każdy miał tylko jeden koc, spali trójkami. Od wewnątrz na płótnie namiotu była warstwa szronu, ale ponieważ w piecyku zawsze płonął ogień, zima okazała się nie taka straszna. Najgorzej było wychodzić w nocy za swoją potrzebą. Nikt nie miał ochoty wyskakiwać z ciepłego pośłania i gnać na skraj lasu, gdzie urządzona była latryna.

Tuż za namiotem, w którym mieszkał Nowak, stała samotna stara sosna. Wyglądała ona teraz żałośnie, okryta grubą warstwą lodu - po prostu sąsiedzi obrali ją sobie jako „ścianę płaczu”.

Mieszkańcy namiotu postanowili temu przeciwdziałać. Nowak z Rapsem wybrali się kiedyś do stacjonujących w jednostce odległej od obozu około 500 metrów żołnierzy radzieckich i pożyczili od nich 24-woltowy akumulator samochodowy.

Otoczyli pień drzewa przeciętą metalową obręczą, zerwaną z jakiejś starej beczki, związali ją drutem, aby zamknąć obwód i podłączyli dwa kawałeczki kabla. Końcówki przewodu przeciągnęli do środka namiotu. W nocy wszyscy czekali w skupieniu na „sikacza”. Około dwunastej w sąsiednim namiocie dał się słyszeć skrzyp otwieranych drzwiczek (były one usztywnione drewnianą listwą i ponadto pokryte szronem, wydawały więc charakterystyczny odgłos), potem szybki bieg w stronę ich drzewa.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Raps trzymał końcówki kabla, oczekując na znak Nowaka, który tymczasem patrzył przez szparę koło „komina” piecyka. Janek Lewandowski przytrzymywał końcówki kabla na akumulatorze.

- Już, Władek, już! - rozległ się w pewnym momencie przytłumiony głos Nowaka.

Raps połączył końcówki trzymane w ręku. „Sikacz” drgnął - przez obręcz na drzewie popłynął prąd, który po strumieniu moczu dotarł do delikwenta i zaczął go trochę tarmosić. Początkowo zdumiony facet nie wiedział, co się dzieje, ale zaraz wrzasnął wniebogłosy i już teraz darł się jak opętany. Obudził całą eskadrę.

W namiocie spało ich dwunastu, po sześciu z każdej strony. Był wśród nich Janek Wojewódka z gitarą. Postanowił on założyć zespół rewelersów, który w krótkim czasie zyskał sobie sławę i rozgłos. Spośród mieszkańców namiotu dobrał sobie członków zespołu. Należeli do nich: Bolek Dłuski, Janek Lewandowski (brat jego, Maksymilian, był jednym z dowódców dywizjonu 307, on sam latał w dywizjonie 309 Ziemi Czerwińskiej), Władek Raps, no i sam Wojewódka, który obecnie mieszka w USA i jako impresario angażuje polskich artystów na występy w Stanach Zjednoczonych.

Śpiewali pięknie, wieczorami skromny namiot nie mógł pomieścić gości. Po przybyciu do Anglii (Lewandowski został w Kermine, ponieważ zachorował na tyfus i przybył do Anglii w kilka miesięcy później; na jego miejsce wszedł Ziniewicz) Wojewódka ze swoim zespołem jeździł po wszystkich dywizjonach, dając koncerty. Stali się bardzo sławni, występowali również w radio. Ich słynna piosenka kompozycji Janka Wojewódki: „My z Polski dziś tułacze” stała się szlagerem.

Wiatr za oknami rozszalał się na dobre. Poruszał wiszącymi na zewnątrz baraku ogromnymi płóciennymi worami, w których gromadziło się makulaturę. Nowak zasnął.

Zbudził go gwar głosów, przespał pobudkę. Zerwał się, schwycił przybory do golenia i mycia. Po chwili był już w sąsiednim baraku, w którym mieściły się umywalnie. W następnej sali znajdowały się prysznicze; tym razem - bo nie zawsze tak bywało - puścili gorącą wodę. Słyszając jej plusk Nowak szybko zrzucił odzież i po chwili znikł w obłokach pary. Gdy namydlił już całą twarz, poczuł raptem, że go ktoś bierze za ramię. Poprzez parę dojrzał twarz Władka Zająca, nałogowego pokerzysty, któremu jednak nie dopisywało szczęście, toteż zawsze chodził bez grosza.

- Heniek! - usłyszał jego przytłumiony głos. - Bądź człowiekiem i pożycz funta do wypłaty, jak się odegram, oddam dwa, dobrze?

- Odczep się! - odpowiedział Nowak, szukając czegoś po omacku, gdyż całą twarz miał w pianie. - Przez ciebie zgubiłem gdzieś mydło.

- Do diabła z myd... Aj!!! - Rozległ się głuchy stuk padającego ciała; Zając nastąpił na mydło i przejechał się po śliskiej podłodze.

Na śniadanie, jak zwykle, była owsianka na mleku, zwana „porridge”, herbata z mlekiem, biały chleb z margaryną, dwa kawałki smażonego bekonu. To zazwyczaj wystarczało do godziny 11.00, kiedy była przerwa na „cup of tea”. O 12.30 powrót do koszar i do godz. 14.00 przerwa obiadowa.

Powoli zbliżał się koniec pierwszej części szkolenia. W ostatnią już prawie sobotę na boisku sportowym tuż za polskim „sajtem” miał się odbyć sensacyjny mecz. Polski „sajt” dysponował bardzo mocnym zespołem głównie dzięki dobremu atakowi, w którym grał sierżant WF Kasia i dusza całej ofensywy Adaś Wolanin. Wcześniej grał on w „Pogoni” lwowskiej, potem w moskiewskim „Spartaku”. Zdarzyło się kiedyś, że przy stanie 1:1 w meczu pucharowym z „Dynamo” Moskwa strzelił karnego. Drużyna na ramionach zaniosiła go przed honorową trybunę.

Podczas rekrutacji do Wojska Polskiego w ZSRR znalazł się w grupie lotników, z którą trafił potem do Anglii. Tutaj od razu stał się filarem polskiego zespołu. Jak tylko dopadł piłki, nie było na niego mocnych: po samotnym rajdzie przez całe boisko strzelał z wielką siłą gola. Najdziwniejsze było jedno - mimo iż kibice zwracali na niego baczną uwagę, żaden z nich nie mógł dostrzec jego nagłych ruchów, które sprawiały, że atakujący go przeciwnik fikał kozła. Dzięki niemu polski „sajt” był niepokonany; ze wszystkimi już wygrał wysoką różnicą bramek, na placu boju pozostał tylko siódmy, najgroźniejszy „sajt”, toteż przed meczem w powietrzu pachniało emocją.

Tej soboty na boisko ciągnęły tłumy kibiców; byli wśród nich cywile z okolicznych osiedli, a nawet miłośnicy futbolu z Londynu, którzy do Halton przybyli popołudniowym pociągami. Droga na boisko wiodła przez polski „sajt”, toteż cały ten nie kończący się korowód przewijał się koło zabudowań, w którym mieszkali Polacy.

Rozpoczął się mecz. Już w pierwszych minutach rzuciła się w oczy szalona przewaga gości. Trzech graczy tak obstawiło Adasia Wolanina, że teraz dla odmiany on wywracał kozły, podczas gdy przeciwnicy strzelali. Po półgodzinie stan meczu był już pięć do zera dla nich.



Nowak przyjrzał się baczniej jednemu z graczy, który znalazł się akurat naprzeciwko, i wprost nie mógł uwierzyć własnym oczom. Spojrzał na drugiego, który biegł tamtemu na spotkanie i nagle przypomniał sobie te twarze. Nie do wiary! Przecież ci dwaj, ubrani w mundury lotnicze, pytali go o drogę na boisko. Wtedy sądził, że to elewi z innej szkoły; przecież ci z „siódemki” powinni znać boisko bardzo dobrze, nieraz tu trenowali!

Podzielił się natychmiast swoimi wątpliwościami z oficerem oświatowym kpt. Pionko. Ten aż się zatrzęsł z wrażenia.

- Panie, ale czy pan jest tego pewien? - pytał gorączkowo, - Panie, jak Boga kocham, będzie cholerna granda. Ale na pewno? - powtórzył pytanie.

- Na pewno, panie kapitanie, głowę daję - potwierdził Nowak.

Pionko uspokoił się i szybkim krokiem podszedł do porucznika żandarmerii, również zażartego kibica, i coś mu poszeptał na ucho. Zaraz potem obaj podeszli do mjr. Owczarskiego. Podczas przerwy wskazanych przez Nowaka zawodników poprosili o legitymacje.

Miał nosa Nowak. W drużynie siódmego „sajtu” było aż czterech” zawodowych graczy-cywilów, którzy zostali wynajęci za ciężkie pieniądze. Przyjechali z Londynu, więc nie znali terenu.

Mecz oczywiście wygrali Polacy walkowerem. W obawie przed zemstą ze strony fanatycznych kibiców niefortunnych graczy odwieziono pod eskortą samochodem.

## U „dżemojadów”

Krótki urlop po zakończeniu szkoły w Halton i wyjazd do wyższej szkoły angielskiej w Cranwell.

Po przybyciu na miejsce, a było to w pierwszych dniach stycznia 1943 r., okazało się, że dla jedenastki Polaków (bo tylko tylu ukończyło szkołę) miejsca nie ma. Wysłano ich przeto do pokrewnej, znajdującej się po sąsiedzku Nr 4 Radio School w Madley koło Hereford. Tu zostali wcieleni do 44 Entry<sup>10</sup>, w którym było około stu elewów, w tym polska jedenastka. Podczas końcowych egzaminów okazało się, że sito w Halton było dosyć gęste. Jako tłumacza przydzielono Polakom sierżanta, zawieszono w lotach przez Medical Board strzelca ogonowego. Przesłano go specjalnie przez dowództwo Polskich Sił Powietrznych z Princess Street z Londynu. Nie było z niego, jak się później okazało, wiele pociechy, bowiem okazał się kompletnym laikiem w sprawach technicznych i zupełnie nie radził sobie z terminologią lotniczą.

Polska jedenastka wyfasowała stroje, lotne: ciepłe obuwie, szelki spadochronowe, biały, wełniany gruby golf, także pończochy sięgające kolan, skórzaną kurtkę na futrze i spodnie, haubę, w której zainstalowane były słuchawki i mikrofon. Do tego specjalny worek, zwany „kitbag”, z białego brezentu. Ponadto każdy otrzymał biały skrawek materiału, który musiał założyć za fatkę furażerki, czym wyróżniał się spośród innych elewów-członków personelu naziemnego.

Dostali również książki lotów (log book), do których trzeba było wpisywać wszystkie loty - teraz treningowe, a w przyszłości operacyjne.

Porządek dnia był następujący: o godzinie 7.30 zbiórka na placu alarmowym, apel, odczytanie rozkazu, potem w kolumnie marszowej, trójkami, odmarsz do odległej o 500 m centrali, gdzie rozmieszczone były poszczególne budynki, wyposażone w doskonały nowoczesny sprzęt szkoleniowy.

Pierwszego dnia, mimo że przestano tu dokumenty z polskiej szkoły w Halton, wszyscy musieli przejść wewnętrzny egzamin, na podstawie którego zaklasyfikowano ich do poszczególnych grup. I tu przykra niespodzianka! Ci, którzy w Halton zdali Morse'a z bardzo dobrym wynikiem, tutaj nie zdołali zaklasyfikować się do wyższej grupy. Prawie wszyscy otrzymali najniższą grupę, czyli tempo 60 znaków na minutę. Okazało się że w Halton były prowizoryczne urządzenia i odbierało się Morse'a nadawanego ręką, tu zaś po raz pierwszy usłyszeli automaty. Sytuacja jednak się zmieniała: co dwa tygodnie odbywał się egzamin kontrolny i jeśli ktoś zaliczył go dobrze, przechodził do wyższej grupy.

Tak więc z uwagi na nierówny poziom polska jedenastka zajęcia z Morse'a odbywała w różnych grupach; na inne zajęcia, jak przedtem, uczęszczali w dalszym ciągu razem.

Piątki i soboty przeznaczone były na wyszkolenie bojowe piechoty. I to było dla Polaków chyba najgorsze. Nowak nigdy nie był miłośnikiem „polówki”. Może dla Anglików, 18-20-letnich chłopaków, był to ubaw, ale dla nich, starych koni, z których każdy liczył co najmniej 23 lata, była to swego rodzaju obelga, bowiem cała jedenastka brała udział w walkach we Wrześniu.

---

10 Entry - pododdział ewidencyjny.

Tutaj tymczasem uczono ich, jak być dobrym komandosem, przeprować się przez rzeki, przełazić pod zasiekami z drutów kolczastych, skakać przez rowy, czołgać się w specjalnie zrobionym świeżym błotku i wielu innych specjalnie dla nich wymyślonych „atrakcji”.

Oto jedna z nich. W pobliżu przepływała rzeka około trzydziestometrowej szerokości. Na przeciwległym brzegu rośnię drzewo, pochylone ku wodzie. Miejsce wprost wymarzone do najróżniejszych ćwiczeń. Trenowali więc chłopcy pokonywanie przeszkody wodnej w ten sposób, że chwyłali rzuconą przez instruktora, przywiązaną do konaru linę, i trzymając się jej lądowali na przeciwległym brzegu, rzucając linę następniemu. Jednym słowem zabawa w Tarzana. Śmiechu było przy tym co niemiara. Jakiś wystraszony elew zamiast puścić linkę w połowie drogi na drugi brzeg, trzymał ją dalej kurczowo, więc wrócił na miejsce „startu”, potem wylądował na drugim brzegu, powtórzył jeszcze raz ten nie zamierzony manewr, aż w końcu zatrzymał się na wysokości pochyłego drzewa, na środku rzeki, siedząc do połowy w zimnej wodzie i wrzeszcząc przy tym przeraźliwie.

Po kilku dniach takich ćwiczeń przełożeni doszli do wniosku, że można już elewom zrobić „próbę wojnę”. Szli teraz rozciągniętą tyralierą poprzez pola i łąki w kierunku lasu. Za nimi podążał sierżant piechoty, rzucając petardy, które powodowały straszliwy huk i dym.

Upodobał sobie szczególnie Nowaka i wtedy, gdy ten najmniej się spodziewał, rzucał petardę, która wybuchła tuż za jego plecami. Widocznie odruchowy przestach Polaka wprowadzał podoficera w dobry humor.

Nowakowi znudziła się w końcu ta zabawa. Pochylił się, położył karabin na trawie, udając, iż poprawia sznurowadło. Byli akurat na skraju lasu, porośniętego porozrzucanymi tu i ówdzie krzewami jałowca.

Sierżant przystanął chwilę, obejrzał się, a widząc, że Nowak marudzi, przykazał mu dołączyć do oddziału i ruszył w dalszą drogę. Nowak tylko na to czekał. Z tylnej kieszeni battle-dressu sierżanta wystawało jeszcze kilka petard. Były to wąskie, długie rolki tektury, w których znajdował się środek wybuchowy. Wystarczyło podpalić postrzępiony koniec owej rolki, by wybuch nastąpił prawie natychmiast.

Nowak poszedł za podoficerem. Miał przy sobie nie przeczytaną jeszcze gazetę, kupioną rano przed budynkiem szkoły. Zwinął ją w trąbkę i gdy był już blisko nie spodziewającego się niczego sierżanta, podpalił gazetę i przytknął do wystających mu z kieszeni petard.

Gdy zobaczył, że frędzelki już się palą, odskoczył na bok i skrył się za krzakiem pobliskiego jałowca.

Huknęło porządnie! Usłyszał przeraźliwy wrzask sierżanta i zobaczył, jak biegnie w stronę pobliskiej rzeki. Dopadłszy wody wskoczył w nią z wielkim pluskiem i usiadł na płytkim dnie, zanurzając dymiący tyłek. Nowakowi zdawało się przez chwilę, że obserwuje go adiutant dowódcy Entry pilot officer (podporucznik) Fuller.

Okazało się, że znenawidzony przez wszystkich sierżant miał osmalony pośladek i trafił do Izby Chorych. Kto go tak urządził, pozostało tajemnicą. Tylko ppor. Fuller uśmiechał się jakoś dziwnie, kiedy przypadkiem jego oczy spotkały się ze spojrzeniem Nowaka.

Polacy postanowili w końcu zbojkotować musztrę. Zazwyczaj maszerowali na początku kolumny, był to gest kurtuazyjny ze strony Anglików. Teraz, kiedy padła komenda: „About turn!” (w tył zwrot),

Polacy maszerowali spokojnie dalej jak gdyby nigdy nic, podczas gdy cały oddział wykonywał rozkaz. Dopiero po pewnym czasie, słysząc śmiechy i krzyki, zawracali i pędem doganiali kolumnę.

Postawiono ich tedy na końcu kolumny, ale historia się powtarzała: zmów przy komandzie „about turn” nie reagowali, udając, że nie rozumieją. Dla odmiany wpadli teraz na Anglików, którzy wykonywali zwrot.

W końcu dla dowódcy Entry, squadron leadera Hungerfarda, który ich bacznie obserwował, przestało to być zabawne. Zarządził przerwę i wezwał do siebie kpr. Sawickiego, który był „bossem” polskiej drużyny.

Po krótkiej rozmowie z dowódcą Sawicki powrócił podniecony.

- Chłopaki - powiedział - gramy teraz o wielką stawkę. Obiecałem majorowi, iż pokażemy mu, jak powinna wyglądać prawdziwa musztra. Jesteśmy przecież absolwentami szkół podoficerskich i polówkę chyba pamiętamy, no nie? No to, chłopaki, idziemy na całego! Trzydzieści minut w kość, trochę prawdziwej wojny, a potem zobaczymy.

Całe Entry śledziło uważnie Polaków idących na ćwiczenia.

Wyszli w pole, aby mieć więcej miejsca. Padały krótkie, donośne komendy Sawickiego:

Kawaleria z lewej, na stanowiska! Bacność! W dwuszeregu biegiem zbiórka! Rojem marsz! Lotnik, kryj się!

Po niecałej półgodzinie takiej harówki byli już całkiem mokrzy. Nikt się nie oszczędzał, każdy dawał wszystko, na co go było stać.

Sawicki zameldował koniec ćwiczeń. Mówił po polsku, ale mjr Hungerford wiedział, o co chodzi. Przez chwilę milczał, jakby się nad czymś zastanawiając, a potem zwrócił się przede wszystkim do instruktorów:

- Tak właśnie powinno wyglądać wojsko w akcji bojowej. Zapamiętajcie to sobie! Widzieliście przed chwilą prawdziwych żołnierzy, wielkich żołnierzy - podkreślił. - Wznówić ćwiczenia! - rzucił komendę. - A wy zostańcie - powiedział w stronę Polaków.

Anglicy wrócili do zajęć, a major chodził zadumany, od czasu do czasu kierując spojrzenie w stronę wyczekujących Polaków.

- No dobrze, ale co będziecie robić w dniach wychowania polowego? - zapytał, nagle się zatrzymując.

Polacy już wiedzieli, że wojnę wygrali, że ich trud się opłacił.

- Będziemy się uczyć angielskiego, sir! - odpowiedział Nowak.

- Wspaniały pomysł - zgodził się rozpromieniony major. - W tej chwili wydam odpowiednie zarządzenie. Ale od ostrego strzelania was nie zwolnię - dodał z uśmiechem.

- Może-być - odpowiedzieli chórem. - Tego nigdy nie jest za wiele.

Major uśmiechnął się ponownie i krzyknął w stronę adiutanta:

- Pilot officer Fuller!

- Sir! -odpowiedział krótko adiutant, stając na baczność.

- Bierzcie samochód i nie wracajcie bez flight lieutenanta Dunne!

- Yes, Sir!

Kapitan Dunne był oficerem oświatowym szkoły, ale dotychczas żaden z Polaków go jeszcze nie widział.

W niespełna kwadrans wrócił ppor. Fuller, wioząc ze sobą oficera oświatowego. Ten po krótkiej rozmowie z dowódcą zabrał Polaków do miejscowej świetlicy. Zaopatrzył wszystkich w podręczniki „Essential English” i od tej pory w dniach wychowania polowego przerabiali pod jego kierunkiem angielski i wiedzę o Wielkiej Brytanii.

W trzecim tygodniu spóźnił się raz kwadrans, przepraszając za niepunktualność, w następnym o godzinę, aż w końcu przywiózł im dodatkowe materiały, prosząc, aby uczyli się sami, ponieważ ima coś do załatwienia w mieście. Potem nie pokazywał się już wcale, ale oczywiście nikomu nie przyszło nawet do głowy, aby zameldować o tym dowódcy.

I tak zakończyła się edukacja z języka angielskiego w szkole w Madley, ale z „polówką” do końca Polacy mieli już spokój.

## Sylwester w ratuszu

Z Wackiem Kordelem Nowak nie widział się już od sześciu miesięcy. Rozstali się w Blackpool, gdy Kordel wyjechał na krótkie przeszkolenie do Hucknall. Ponieważ był zawodowym pilotem z szóstego pułku lotniczego ze Lwowa, nie miał specjalnych trudności w opanowaniu lotów na nowym sprzęcie. Obecnie latał w dywizjonie 308 Krakowskim, w stopniu P/O. Przyjaciele pisywali do siebie często. Umówili się, że spędzą razem urlop świąteczny - zbliżało się Boże Narodzenie - ale stało się inaczej: urlop Nowak spędził u Gwen.

Jeszcze w listopadzie prosiła go, aby przyjechał do Yorkshire na całe święta i Nowy Rok. Wiedziała, że będzie miał w tym okresie czternaście dni urlopu. Dla Nowaka wyglądało to zachęcająco, tym bardziej że Wacek mu bardzo doradzał-ten wyjazd. „Spotkać się możemy zawsze - pisał w jednym ze swoich listów. - A tam zetkniesz się z nowymi ludźmi, zyskasz przyjaciół, poznasz ich zwyczaje itp”.

Na stacji kolejowej w Skipton, bo tam mieszkała Gwen, w Wigilię 1942 roku było pusto i zimno. Dął przejmujący chłodem wiatr. Peron był pusty, na tej stacji nie wysiadało zbyt wielu pasażerów. Nowak rozglądał się wokół, niepewny, w którą udać się stronę. Odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył wynurzającą się z tunelu dla pieszych Gwen. Po chwili już witali się serdecznie.

- Gdzie twoja walizka, Henry? - spytała. - Przecież przyjechałeś tu na dwa tygodnie.

- Ot, ano ja walizka - pokazał jej szczoteczkę do zębów.

Zaśmiała się zażenowana.

Przed dworcem stał mały, czarny Hillman. Jak się okazało, wóz należał do Gwen. Nowak był zaskoczony, nigdy mu o tym nie mówiła. Właściwie wiedział o niej niewiele - tyle tylko, że pracuje w szpitalu. Wypominał jej to teraz z lekkim wyrzutem. Prowadząca samochód Gwen spojrzała na niego kątem oka i powiedziała cicho:

- Jak to miałam zarobić? Właściwie to ci mówiłam, ale ty niewiele wtedy jeszcze rozumiałeś. Teraz to co innego, zrobisz szalone postępy, Henry, jestem dumna z ciebie.

Gwen żartowała, ale Nowak rzeczywiście czuł, że może porozumiewać się z nią bez trudu.

Droga od stacji do śródmieścia nie była daleka i na dobrą sprawę samochód nie był potrzebny. Być może dziewczyna myślała, że będzie miał ciężką walizkę.

Wyjeżdżając na urlop niczego nie potrzebował. Wszystko mógł otrzymać w kantynach NAAFI lub YMCA, łącznie z noclegiem i wyżywieniem. Nie miał nawet piżamy, bo nie mógł dostać kuponów na jej kupno. Lotnicy od sierżanta w dół otrzymywali tylko raz do roku kupon na sześć chusteczek do nosa. Tak więc rzeczy osobiste Nowak mógł z powodzeniem zmieścić w przysłowiowej męskiej skarpetce. Miał tylko dwie zmiany bielizny, z których jedna zawsze była w pralni.

Zastanawiało go teraz, skąd Gwen bierze benzynę, bo przecież był to również artykuł ściśle reglamentowany i tylko przedstawiciele niektórych zawodów otrzymywali nań talony.

Sprawa wyjaśniła się bardzo szybko. Gwen była lekarzem; pracowała w miejscowym szpitalu i prowadziła prywatną praktykę. Wyjeżdżała często do pobliskich miejscowości, wizytując chorych. Sama wynajmowała pokój u szkolnej koleżanki, której mąż był kierowcą autobusu. Mieli małą, śliczną córeczkę imieniem Marjorie.

Czekali na nich z obiadem. W czasie posiłku gospodarze obserwowali go ciekawie, czemu Nowak się specjalnie nie dziwił, ponieważ Gwen uprzedziła go lojalnie, że jest tu pierwszym Polakiem i że dla „tubylców” będzie pewnego rodzaju curiosum. Jack, mąż Betty, okazał się bardzo sympatycznym kumplem. Wziął Nowaka w obronę, gdyż kobiety zaczęły sobie z niego dworować. Byli zresztą niemal rówieśnikami. Nowak miał trudności w zrozumieniu go, gdyż mówił z silnym yorkshirskim akcentem, ale Gwen spieszyła mu z pomocą.

Po obiedzie poszli zwiedzać Skipton.

- Wielkie miasto to chyba nie jest? - spytał nieco złośliwie Nowak. - A czy jest tu u was metro?

- Nie - wpadła w jego ton - ale jak się tu osiedlisz i zostaniesz burmistrzem, to chyba zbudujesz?

Rzeczywiście, miasto nie było duże i, jak wszystko w tym kraju, bardzo stare. Po prawej stronie na końcu długiego placu, pośrodku którego był skwer, stał wielki zamek. Dalej rozciągał się park, a w nim stał duży trzypiętrowy budynek z czerwonej cegły, uwieńczony attykami i strzelistymi gotyckimi wieżyczkami po obu narożnikach. Był to, jak powiedziała Gwen, college.

W drodze powrotnej pokazała mu szpital, w którym pracowała. Niemal wszyscy przechodnie się im kłaniali, uśmiechając się do Nowaka. Widać było, że Gwen sprawia to wyraźną przyjemność. Dało się odczuć, że była tu lubiana. Nie kryła też, że jest dumna z jego towarzystwa.

Odprowadził ją do szpitala. Miała tu jeszcze dyżur do godziny siedemnastej i poprosiła Nowaka, aby po nią przyszedł.

Punktualnie o umówionej godzinie znalazł się w dużym hallu. Kręciło się tu mnóstwo ludzi w białych fartuchach i pielęgniarek w mundurach wojskowych. Aczkolwiek był to szpital cywilny i pracujący w nim lekarze byli cywilami, lecz połowa pielęgniarek ukończyła wojskowe szkoły medyczne i otrzymała stopnie oficerskie. Po prawej stronie znajdowała się recepcja; tu skierował swoje kroki Nowak. Nie bardzo wiedział, gdzie ma się udać. Nagle poczuł, że go ktoś bierze za ramię, a obejrzwawszy się ujrzał uśmiechniętą twarz Gwen. Dziewczyna wydawała mu się niższa niż zazwyczaj, gdy tak stała przy nim w swoim białym kitlu, z jedną ręką włożoną do kieszeni, z której wystawał stetoskop.

- Za minutkę będę gotowa, Henry - powiedziała. - Wejdz i zczekaj tu na mnie - to mówiąc popchnęła go lekko w kierunku drzwi, na których zdążył zauważyć napis: „Medical Staff” (personel lekarski).

Znalazł się w pokoju lekarskim. Obejrzał się za nią, gdy zniknęła w drzwiach.

No tak, przecież ona jest w miękkich pantoflach, pomyślał, a zawsze widywałem ją noszącą wysokie obcasy. Stąd ta różnica we wzroście!

Pokój był niewielki, stały tu małe klubowe fotele, szafki na ubrania, dwa stoły, w rogu małe bilard, na ścianie tarcza z korka, do której rzucało się grube strzałki zakończone ostrym szpikulcem, zwane „drafts”. W oknach firanki, na parapetach kwiaty.

Nowak niby był sam, ale co chwila ktoś zaglądał, mówił: „sorry” i oglądał go przy okazji. Henryk postanowił nie zwracać na nikogo uwagi. Wziął leżący na stole ilustrowany magazyn „Look” i nie odwracając głowy pogrzyżył się w lekturze. Po chwili usłyszał głos:

- Henry, pozwól sobie przedstawić ordynatora szpitala, pana profesora Fishera.

Obok Gwen stał wysoki, starszy pan o bardzo miłej powierzchowności, i uśmiechał się do niego przyjaźnie.

- How do you do, Sir - powiedział, prostując się po wojskowemu.

Podali sobie ręce. Weszło jeszcze kilku lekarzy i lekarek. Zrobiło się gwarno. Po chwili w drzwiach ukazała się kobieta z dymiącymi filiżankami kawy na tacy.

No, to już chyba było specjalnie zaaranżowane, pomyślał. Było mu nieswojo, oglądano go jak jakiegoś dziwoląga. Zaczynał być wściekły na Gwen. Czuł na sobie ludzkie spojrzenia, które jak gdyby mówiły: „To tak wygląda Polak?”

Gwen odgadła jego nastrój.

- Nie dziw się, Henry, że jesteśmy ciekawi was, waszego kraju - powiedziała. - Dużo o was słyszeliśmy podczas naszych trudnych dni, wiele mówiło się o waszym bezprzykładnym bohaterstwie i poświęceniu dla naszej ojczyzny, o waszej brawurze, ale przedtem nic o was nie wiedzieliśmy. Orientowaliśmy się tylko, że gdzieś we wschodniej Europie jest kraj, który nazywa się Polska. Wetknęliśmy się z wami nagle i poznaliśmy was z najlepszej strony. Jesteśmy waszymi dłużnikami - zakończyła kurtuazyjnie.

- Jesteśmy dumni, że dzięki doktor Gwen może my gościć i poznać bliżej polskiego lotnika - dorzucił dr Fisher.

- Do lotnika to mi jeszcze daleko - odparł Nowak - ale miło mi słyszeć, iż moi bracia cieszą się dobrą opinią mieszkańców Skipton. Bardzo to sobie wysoko cenimy - odpowiedział grzecznością na grzeczność.

Tego samego wieczoru wyjechali do rodziców Gwen, którzy mieszkali w Starbotton, około 20 mil od Skipton. Tam właśnie spędzili święta.

Państwo Glover mieszkali w dużym, staroświeckim, jednopiętrowym domku. Do pokojów sypialnych i łazienki, które mieściły się na piętrze, wodę pompować trzeba było ręcznie do dużego zbiornika zainstalowanego wyżej, skąd już spływała w dół pod własnym ciśnieniem.

Pokój Henryka mieścił się po lewej stronie od drzwi wiodących na piętro, pośrodku był pokój gospodarzy, po prawej pokój Gwen.

Późno wieczorem, już po Wigilii, która była zupełnie odmienna od obchodzonej w kraju, udał się do swego pokoju. Na wierzchu przygotowanego do snu łóżka leżała jasna oficerska koszula RAF, spod kołdry wystawała kolorowa piżama, a pod łóżkiem stały czarne giemzowe pantofle. Zrobiło mu się głupio. O tych wszystkich rzeczach skrycie marzył... Ale przecież nigdy nie wspomniał o tym Gwen, był tego zupełnie pewien. Jak ona to odgadła? Widocznie kobieca intuicja. W każdym razie otrzymał piękny prezent gwiazdkowy.



Najgorsze było to, że on dla niej nic nie miał, nic jej nie kupił na gwiazdkę. Żeby chociaż flakonik perfum! Ale teraz jest już na to za późno. Sklepy pozamykane, a zresztą i tak by nie starczyło mu na nic pieniędzy. Jako elew otrzymywał tylko 22 szylingi na dwa tygodnie, a przecież trzeba było za te pieniądze kupować żyłki, papierosy, które były zawsze drogie, wypić piwko, pójść do kina czy na tańce.

Cholerny świat! zaklął w duchu. Co za głupia sytuacja! Że też dał się namówić na ten przyjazd.

Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Poczuł straszliwą tęsknotę za krajem, za ludźmi, których kochał, a którzy zostali tam, pod niemiecką okupacją. Jakaż jest ich Wigilia?

Dwa dni świąt spędził mimo wszystko bardzo przyjemnie. Ojciec Gwen, emerytowany inżynier, pełnił społeczną służbę w Home Guard i w drugi dzień świąt był na służbie. Po obiedzie pojechali go odwiedzić na posterunku. Ojciec Gwen pełnił służbę obserwatora przeciwlotniczego. W szczerym polu stała szopa, w której zainstalowany był telefon, bezpośrednio połączony z jednostką lotniczą, grzejnik elektryczny do gotowania herbaty oraz olbrzymia lorneta polowa. Zadanie polegało na bacznej obserwacji określonego rejonu powietrznego. Posterunek znajdował się w dolinie, między dwoma pagórkami, na których zieleniły się oziminy. Gdy dyżurujący członek Home Guard usłyszał szum silników samolotowych, wychodził na zewnątrz, obserwował samolot przez szkła, rozpoznawał i meldował telefonicznie wszystkie dane, a więc typ maszyny, kierunek lotu, wysokość itp. Gdy niebo było zachmurzone, meldowano tylko, że prawdopodobnie w kierunku... leci jedno-lub dwusilnikowa maszyna. Zadziwiające było, że ci starszycy po pracy silników rozpoznawali poszczególne typy samolotów swoich i obcych niekiedy lepiej od zawodowych lotników. Oczywiście przechodzili specjalne przeszkolenie, a poza tym dokładali wszelkich sił, by swoje obowiązki wykonywać jak najlepiej. Szczególnie mobilizowała ich świadomość, że są potrzebni, że w tych trudnych chwilach im zaufano.

Praca ich była czysto społeczna. Otrzymywali bezpłatne umundurowanie typu lotniczego (battledressy), na ramionach mieli napis: „Home Guard”. Wyposażono ich ponadto w maskę przeciwgazową, hełm i talony na kupno benzyny, potrzebnej na dojazd do miejsca, w którym pełnili służbę. W obronie Anglii zaangażowana była cała jej ludność, rząd nie lekceważył niczyjej pomocy.

Święta się skończyły, trzeba było wracać do Skipton. Tu, w mieście, Nowak nie miał nic do roboty. Nudził się, bowiem nie przywykł do lenistwa. W dzień wałęsał się po mieście, wieczorami zaś chodził do przyjaciół Gwen na „party”. Program przyjęć był zawsze z góry ustalony. Nowak czuł się na nich jak mała zamknięta w klatce, drażniło go to, że jest obiektem cudzego zainteresowania. Próbował się buntować, ale Gwen zawsze umiała go w porę przekonać, że taka wizyta jest celowa.

Uciekała się nawet do próśb, tłumaczyła mu, że ludzie, którym go chce przedstawić, należą do wpływowych i że kto wie, może w jakiś sposób będąc uprzejmym dla nich przysłuży się swojemu krajowi.

- Staliście się modni, Henry - przekonywała go. - I powinniście to wykorzystać.

Na takie dictum Nowak nie miał już argumentów i pozwalał się prowadzić, gdzie chciała. Pewnego razu dożyli wizytę w domu jakiegoś wpływowego miejscowego dygnitarza. Po dopełnieniu przewidzianych etykietą ceremonii powitalnych, podczas gdy mężczyźni paląc siedzieli w dużej bibliotece, do pokoju weszła pani domu razem z Gwen i poprosiła Henryka, aby uczynił grzeczność jej

staremu ojcu, który bardzo pragnie go poznać, a przyjść tu nie może, bowiem już od lat nie opuszcza swojego pokoju.

Nowak wyraził zgodę i we troje udali się do pokoju starego pana. Pokój umeblowany był w stylu Ludwika XV, na ścianie wisiał obraz Rubensa i dwa inne ze szkoły flamandzkiej.

Starszy pan stał przy wysokim biurku.

- Ojciec - odezwała się pani domu podniesionym głosem, bo staruszek, który miał 90 lat, trochę nie dosłyszał - ojciec, przyprowadziłam ci gościa. To jest ten polski lotnik.

Starzec odwrócił się, ciągle oparty o biurko, popatrzył na niego bacznie i powoli wyciągnął rękę w jego stronę. Wydał się Nowakowi podobny do Bernarda Shawa.

- Powiedz mi coś w twoim ojczystym języku - poprosił, ciągle jeszcze trzymając dłoń Nowaka w swojej, jakby nie chcąc utracić kontaktu.

- Nie wiem co - odpowiedział po angielsku. - Przecież pan i tak nic nie zrozumie.

- Nie szkodzi, Henry - powiedziała Gwen. - Mów o czymkolwiek, na przykład o pogodzie.

Zaczął mówić wolno, jak gdyby recytował wiersz. Sędziwy gospodarz słuchał uważnie, pochyliwszy się do przodu, a gdy Nowak skończył, powiedział:

- Dziwny język, łagodny, miękki, dobrze się odbiera. Czy wiesz? Przez chwilę wydawało mi się, że spaceruję jesienią po parku. Na ziemi suche, pożółkłe liście, a ja sobie po nich idę... Taki jest twój język, młody człowieku, bardzo ładny język - zakończył.

Puścił jego rękę, pogładził po ramieniu i na powrót zajął się pracą.

Niewiasty dały mu znak do wyjścia. Henryk był głęboko poruszony, nigdy przedtem nie przypuszczał, że polska mowa może być odbierana w taki właśnie sposób.

Nadszedł Sylwester 1942 roku. W salach ratuszowych Skipton miał odbyć się wielki bal. Dochód z tej imprezy przeznaczono na Czerwony Krzyż. Gwen z dumą pokazała Nowakowi dwa małe kartoniki z ozdobnie wykaligrafowanymi na nich nazwiskami. Takie zaproszenie podobno było bardzo trudno zdobyć, ale Gwen należała do „towarzystwa”, więc dla niej się znalazło.

W czasie jednej z codziennych wędrówek po mieście Henryk zobaczył olbrzymi plakat informujący o balu w ratuszu. Na samym dole widniała cena za kartę wstępu - dwa funty szterlingi. Bagatelka! Jego prawie całomiesięczne pobory, więcej niż jeden garnitur! Za jeden bilet, to przecież fortuna!

Gwen ustaliła z Henrykiem, że w sylwestrowy wieczór przyjdzie do niej do szpitala o godzinie 17.00, potem idą do domu i tu mają dwie godziny na przygotowania. Potem jadą samochodem na obiad do dyrektora college'u, a stamtąd wraz z gospodarzami udadzą się na bal.

Gdy wrócili do domu, Gwen i Betty zniknęły mężczyznom z oczu, by zrobić się „na bóstwa”. Dziecko zabawiał Jack. Nowak występował w mundurze, więc tylko ogolił się i wziął kąpiel, a teraz trochę zniecierpliwiony czekał. Był mocno podekscytowany.

Mówiąc prawdę nie bardzo wiedział, jak zachowywać się na tak wytwornym przyjęciu. Dotychczas często strzelał gafy. Gdzie w końcu miał się nauczyć dobrych manier? W wojsku?

Nareszcie obie panie pojawiły się na dole. Gwen ubrana była w długą wieczorową suknię koloru turkusowego, obramowaną cienką, błyszczącą materią. Mocno odsłonięte plecy, na szyi kolia, na rękach. długie, z tego samego materiału uszyte rękawiczki. Była bez szkieł.

Nowak poczuł onieśmienie. Wydawała mu się obca, daleka. Dopiero jej śmiech, którego nie mogła opanować na widok jego zdumionej miny, przypomniał mu dawną Gwen. Zadowolona z wywołanego wrażenia wręczyła mu dwa zaproszenia.

- Idziemy. Gotów? - zapytała, uśmiechając się figlarnie.

Skinął głową. Podał jej palto, nałożył płaszcz i furażerkę i po chwili byli już na ulicy. Poszli jednak pieszo, więc byli nieco spóźnieni. Skierowali się przez park do dużego piętrowego domu. W drzwiach stał lokaj, który odebrał od nich okrycia, po czym weszli do hallu, gdzie czekał na nich pan domu z małżonką.

Był to mężczyzna lat około pięćdziesięciu, średniego wzrostu i tuszy, lekko łysiejący, w okularach. Stojąca obok niego małżonka, wysoka, szczupła, młodsza od męża z pięć lat, jeszcze bardzo przystojna, wydała się Nowakowi typową angielską lady.

Po dopełnieniu ceremonii powitalnych skierowali się do salonu, gdzie była już reszta zaproszonych gości. Przyszli ostatni.

- No, to jesteśmy w komplecie - powiedział pan domu.

- Nowak wszystkich gości miał już okazję uprzednio poznać. Po chwili panie ich opuściły, na placu boju pozostała tylko Gwen, która spełniała rolę jego opiekuna i tłumacza. Gospodarz przyrządził cocktaile i wręczył każdemu długą, napełnioną do połowy szklaneczkę. Wzniesiono toast i Nowak popełnił pierwszą gafę tego wieczora - wychylił bardzo mocny zresztą trunek do dna. W tym samym momencie zeszywniał. Wiedział już, o co chodzi, kiedy wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę. Dałby wiele za to, aby móc cofnąć czas. Profesor, ratując sytuację, szybko napełnił jego szklanę powtórnie, mówiąc przy tym z uśmiechem:

- Cieszę się, że ci ten trunek smakuje, proszę, oto następny. Mocną głowę ma nasz polski gość!

Gwen oparła mu mocniej rękę na ramieniu. Jednocześnie postyszał jej szept:

- For Havens Sake, drink slowly!<sup>11</sup>

Potoczyła się dalej przerwana na chwilę rozmowa. Panowie rozmawiali o toczącej się wojnie, pociągając powoli ze szklaneczek. Często zwracali się w stronę Nowaka, jakby szukając potwierdzenia swoich racji. W pewnym momencie Gwen roześmiała się. Widząc pytające spojrzenia przeprosiła wszystkich i wyjaśniła, że nie mogła powstrzymać się od śmiechu, obserwując toczącą się dyskusję. Zauważyła, że wszyscy rozmawiali raczej półgłosem, zaś zwracając się do polskiego gościa, zmieniali ton: mówili wolno i głośno.

---

<sup>11</sup> Na miłość boską, pij powoli!

- Przecież Henry nie jest głuchy - zakończyła.

Teraz śmieli się już wszyscy.

Po chwili weszła pani domu i poprosiła wszystkich do stołu. Wstali z foteli i przez hall, gdzie czekały na nich panie, przeszli do sali jadalnej. Był to długi pokój, o ścianach wyłożonych drewnianą rzeźbioną okładziną. Długi, przykryty śnieżnobiałym obrusem stół zastawiany był różnorodnymi nakryciami.

Nowaka posadzono na honorowym miejscu po prawej ręce gospodarza. Henryk zerkał na leżące przed nim sztuce: noże, widelce różnych wielkości i kształtu, łyżki, łyżeczki. Już dawno się w tym wszystkim pogubił, nie wiedział, co do czego ma służyć. Pocieszał się jedynie, że będzie naśladował sąsiadów. Jakież było jego przerażenie, kiedy na znak pana domu potrawy poczęto serwować właśnie od niego jako honorowego gościa.

Koniec! Był wściekły! Z zupą poszło mu stosunkowo gładko. Uprzątnięto talerze. Weszła pokojówka, trzymając długi półmisek, na którym leżały smakowite kęski pieczeni, przybrane jarzynami i sałatą. Podsunęła go Nowakowi. Niezgrabnie, postugując się widelcem i łyżką, nałożył sobie na talerz, przy czym niewiele brakowało, by nie upuścił go na podłogę. To go speszyło jeszcze bardziej. Potem odpowiadał już niezmiennie:

- No, thank you 12

Robił to z prawdziwym żalem, bowiem podawane potrawy bardzo lubił. Służba na jego „nie” automatycznie .przechodziła dalej; nikt tu nikogo nie namawiał do jedzenia, jak to nakazywał polski zwyczaj. Nowak czuł się źle. Było mu wstyd i smutno. Był głodny, a tu jeszcze perspektywa całonocnego balu! Odczuwał to tym bardziej, że patrzył na smacznie zajadających.

Profesor, chcąc go jakoś rozruszać, zwrócił się do niego z zapytaniem, w jakim języku może się swobodnie porozumieć, gdyż znał kilka. Gwen zaprotestowała, sugerując, aby przy stole mówiono po angielsku, ponieważ tylko w ten sposób wszyscy mogą wziąć udział w rozmowie.

- Gospodarz wykazał wielką znajomość stosunków panujących w Polsce przedwrześniowej. Pytał go o pochodzenie, warunki, w których żył, o to, gdzie się uczył. Mówił przeważnie on. Wszyscy słuchali go z wielkim zainteresowaniem. Opowiadał wolno, z dobrą dykcją, tak że Nowak rozumiał prawie wszystko.

- Czy ty wiesz, młody człowieku - kontynuował, zwracając się tylko w jego stronę - że ludzie u was, nawet ci mieszkający w suterrenach czy na poddaszach, byli tak biedni, że wynajmowali swój kąt jeszcze biedniejszym od siebie, gdyż nie mieli czym płacić czynszu i groziło im wyrzucenie na bruk? Często cała rodzina plus obcy człowiek gnieździła się w jednym, często niewielkim pokoju, podczas gdy inni mieszkali w pałacach lub olbrzymich apartamentach. Wystarczyło przejść się ulicą Marszałkowską albo Alejami Ujazdowskimi, by to zobaczyć.

Nowak doskonale o tym wiedział. Był przecież dzieckiem Warszawy i chociaż nie mieszkał na Marszałkowskiej czy Frascatti, uważał, że to są polskie sprawy, o których nie powinno mówić się z obcymi.

---

12 Nie, dziękuję.

- Tak, słyszałem o tym, sir - odpowiedział wymijająco. - Ale byłem za młody, by to zrozumieć. Poza tym wszystkie te sprawy wiążą się z naszym położeniem geograficznym, długoletnią niewolą i ustrojem. Przecież zaborca nigdy nie dba o dobro podbitego kraju, nie inwestuje bez doraźnej dla siebie korzyści, czego przykładem są choćby... kolonie brytyjskie.

- Panowie, panowie, proponuję zmienić temat - powiedziała Owen. - On nie zna na tyle angielskiego, aby mógł polemizować z takim wygą politycznym, jakim jest nasz kochany gospodarz - tu skłoniła głowę w stronę profesora.

Nowak był uratowany.

Padano deser, potem ciastka. Obiad zakończył się bez żadnych już sensacji i wszyscy przeszli do biblioteki na kawę i papierosy.

Nadeszła pora wyjścia na bal. Ponieważ były tylko dwa samochody, a osób szesnaście, uradzono, iż dr Fisher i panie udadzą się wozami, panowie zaś i Gwen pójdą pieszo. Pomaszrowali więc przez park.

W wielkim westybulu ratusza czekały na nich panie. Zostawili palta w szatni i udali się na górę, gdzie mieściły się bufety. Sala balowa była na parterze, gdzie, jak zdążył zauważyć Nowak, zdejmując płaszcz, tańczyło mnóstwo osób. Prawie wszyscy byli w strojach wieczorowych: smokingi, fraki. Tu i ówdzie widać było mundury, ale lotniczych Henryk nie zauważył.

Na górze w barku młody dr Ollerenshaw pytał każdego, na co iwa ochotę. Nowak poprosił o „double whisky”. W pewnym momencie poczuł, że musi przerwać picie, gdyż był już po trzeciej kolejce whisky bez wody, a przecież wiele na kolację nie zjadł... Do grupki, w której stał Nowak, podszedł wysoki, zażywny jegomość z dużym, złotym łańcuchem na piersi. Nowo przybyły coś mówił, ale Henryk nie bardzo mógł go zrozumieć. Czekał tedy cierpliwie, aż odejdzie, aby podjąć przerwana rozmowę. Dostojny gość po krótkiej wymianie zdań zwrócił się wyraźnie w jego stronę. Nowak przypuszczał, że to znów jakieś komplementy pod jego adresem - do tego już zdążył się przyzwyczaić - dlatego nic nie mówiąc skłonił się lekko. Tamten podziękował, przeprosił i odszedł.

Polak odetchnął z ulgą, ale widząc kierowane w jego stronę spojrzenia i uśmiechy na twarzach gości, znowu się zaniepokoił. Nie podjął już przerwanej rozmowy, zastanawiając się, o co chodzi. Pewno znów palnąłem jakieś głupstwo, ale przecież nic nie mówiłem, tłumaczył się sam przed sobą. No właśnie, nic nie mówiłem, a może akurat trzeba było coś powiedzieć?

- Przepraszam, co się właściwie stało? - spytał z niepokojem panią Fisher.

- Oh, nic, nic takiego - powiedziała szybko doktorowa. - Ale czy ty przynajmniej wiesz, coś obiecał burmistrzowi?

A więc to był burmistrz!

- Ja nic mu nie obiecywałem - zatrwożył się.

- Tak też myślałam - odpowiedziała.

- O tak, obiecałeś, i musisz teraz dotrzymać słowa - rzuciła niezadowolona Gwen.

- Nie rozumiem, dlaczego robicie dramat? - stanęła w jego obronie młoda pani Ollerenshaw. - On ciebie prosił - zwróciła się do Nowaka - abyś o północy wszedł na scenę i złożył wszystkim, zgodnie ze zwyczajem, życzenia noworoczne. Przecież to jest wyróżnienie i dla ciebie, i dla nas, bowiem jesteś naszym przyjacielem - zakończyła z uśmiechem.

- Żałuję, ale nie zrobię tego - powiedział twardo. - Nie zrozumiałem, co do mnie mówił, i to mnie po trosze tłumaczy. Gotów jestem przeprosić go za sprawiony zawód, ale to było nieporozumienie. Wytłumaczę się brakiem dobrej znajomości języka.

- Za późno - odparł profesor, spoglądając na zegarek. - Lepiej zejźmy na dół, dochodzi północ.

W hallu podszedł do Nowaka burmistrz, pomówił chwilę z jego towarzystwem, potem poprowadził go za kulisy sceny, na której grała orkiestra. Byli tam już dwaj oficerowie, jeden z marynarki, drugi z wojsk lądowych. Oficerowie wzięli go między siebie i razem wyszli na scenę. Stali tak na środku we trzech.

Na sali zrobiło się ciemno. Perkusista wybił na czynelu dwanaście uderzeń. Po chwili światło znów rozbliżyło. Wszyscy się całowali i składali życzenia.

Teraz przyszła kolej na tych, co stali na scenie. W myśl umowy Nowak miał wyjść nieco do przodu. Porucznik marynarki, widząc jego niezdecydowanie, popchnął go nieznacznie. Orkiestra zagrała .tusz. Na sali światło ponownie przygasło, blask rzucały tylko skierowane na scenę reflektory. Gwar powoli zamierał, aż w końcu zrobiło się przeraźliwie cicho.

Nowak spoglądał w mrok sali, patrzył na białe gorsy koszul frakowych, mundury i poczuł, że zaschło mu w gardle. Zapomniał wszystkiego, czego się nauczył po drodze od młodego dr. Ollerenshaw, daremnie szukał w pamięci wątku. Spojrzał bezradnie na stojących tuż koło sceny przyjaciół, jakby szukając ratunku, i ujrzał, że profesor dał mu mak ręką, jakby mówił: „Zaczynaj, nie bój się!”

- Ladies and Gentleman - zaczął i ponieważ w dalszym ciągu nic nie przychodziło mu do głowy, zaczął mówić po polsku. Mówił wolno, wyraźnie, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że nikt go nie rozumie. Życzył im i sobie, swojemu narodowi i Anglikom, wszystkiego, co jest najdroższe: Polakom wolności, Anglikom, by nie musieli opuszczać swojego kraju.

Powoli pamięć zaczęła mu wracać. Początkowo mówił łamanym językiem, ale wreszcie znalazł właściwe słowa i zakończył już dobrym angielskim:

- Mam głęboką nadzieję i wierzę, iż następny rok, rok tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci, przyniesie nam zwycięstwo.

Zerwała się burza oklasków. Jego współtowarzysze uściśli mu dłoń. Zbiegł ze sceny wprost w objęcia przyjaciół. Teraz oni składali mu życzenia. Gwen pocałowała go pierwsza.

List, który otrzymał od niej po powrocie do szkoły, był pełen wycinków z prasy miejscowej. Opisywano bal w ratuszu i jego wystąpienie noworoczne.

Z Gwen widział się jeszcze tylko raz, zaczęła bowiem traktować ich przyjaźń zbyt poważnie, wspominając nawet o małżeństwie. Powiedział jej wówczas, że ma żonę w Polsce. Nie uwierzyła, jak

zresztą każda, której to mówił. Wyglądał wówczas bardzo młodo. Ponieważ nie ukrywał, że jest żonaty, pytano go o dzieci, ale gdy mówił, że ma dwoje, nigdy nie traktowano tego serio.

## Pierwsza Wielkanoc na obczyźnie

Wacek Kordel ożenił się z Angielką z Nottingham. Stacjonował w pobliżu tego miasta w szkole pilotów i tam się poznali.

Ślub ich był niezwykły, odbył się w kościele katolickim, a udzielał go polski kapelan, aczkolwiek panna młoda i jej rodzice byli anglikanami.

Przy wyjściu młodej pary z kościoła Polacy zrobili szpaler. Nie mieli kordzików, podnieśli więc ku górze ręce, tworząc nad głowami nowożeńców „daszek”. W tym czasie nadleciały nad miasto trzy Spitfire'y i zniżyły swój lot, nurkując prosto na zabranych. Przeleciały nad głowami z wielkim hukiem i gwizdem sprężarek, ciągnąc za sobą tumany kurzu, a potem wyprysnęły świecą do góry, zrobiły przepisową pętlę i przeleciały raz jeszcze, ale tym razem wyżej. Przyszły teraz na trzystu metrach i wzięły kurs powrotny do bazy.

Joan była bardzo ładną dziewczyną. Nowak nawet dziwił się w duchu, co ona widziała w Wacku, aczkolwiek musiał przyznać, że przyjaciel zmieniał się na korzyść z każdym dniem. To już nie był ten beztroski „lwowski baciara”, który nie zawsze żył w zgodzie z prawem, ale oficer, dojrzały pilot myśliwski z Krzyżem Walecznych na piersi. Z Nowakiem w dalszym ciągu żyli w wielkiej przyjaźni mimo dzielącego ich teraz dystansu. Jakoś mu „szajba nie odbiła”, jak to się przytrafiało niektórym oficerom.

Żona Kordela w tym czasie już nieźle mówiła po polsku. Była bardzo miła; Nowak cieszył się, że jego przyjaciel znalazł dom, kochającą żonę i dumnych z niego teściów.

Przyjęcie odbyło się w sali recepcyjnej hotelu „Carlton”. Polacy wykazali wyjątkową wstrzeźliwość w picu alkoholu, bowiem starali się nie przynieść wstydu Wackowi.

Nadchodziła Wielkanoc 1943 roku. W Wielką Środę przyjechał do szkoły polski kapelan. W czasie porannego apelu Nowak i jego koledzy dowiedzieli się, iż na prośbę księdza są zwolnieni od zajęć do końca tygodnia, czyli do samych Świąt.

Następnego rana zamiast na plac alarmowy, gdzie zwykle odbywały się apele, pociągnęli niechętnie do świetlicy, gdzie czekał już na nich ksiądz. Byli mocno niezadowoleni. Powiedzieli sobie po drodze, że do żadnej spowiedzi nie pójdą, a przynajmniej nie na rozkaz, tak jak to działo się przed wojną w pierwszym pułku lotniczym, a chyba i w innych jednostkach.

W świetlicy stawili się jednak w komplecie. Kapelan wystąpił w mundurze RAF. Na wyłogach kołnierza miał złote krzyżyki, a na szyi czarną koloratkę, na ramionach, podobnie jak ani, napis „Poland”, zaś na rękawach dystynkcje squadron leadera (major), a na kołnierzu polskiego kapitana.

Okazało się, że jest tu ich więcej: zameldowało się również trzech pilotów-Polaków w stopniach sierżantów, którzy służąc w tej szkole „wozili” ich podczas późniejszych ćwiczeń w powietrzu.

Ksiądz witając się każdemu podawał rękę i jakby czytając w ich myślach nawet nie wspominał o czekających ich rekolekcjach i spowiedzi. Rozpoczął z nimi rozmowę o postępach w nauce, stopniowo



przeszli na sprawy polskie, na stosunki panujące na Wyspie. Był to dobry psycholog, człowiek doświadczony, trzeźwo myślący i bardzo miły w obejściu.

Ani się spostrzegli, kiedy nadszedł czas obiadu. Zaprosili go do swojej stołówki. Zaproszenie przyjął, aczkolwiek czekał na niego obiad w oficerskiej mesie. Był jedynym oficerem, który jadł obiad w stołówce elewów, dlatego spojrzenia Anglików ciągle kierowały się w stronę polskiej grupki.

Następnego dnia po godzinnej rozmowie z nimi powiedział:

- Jak się panowie chyba domyślacie, przysłano mnie tutaj, abym wypełnił moje obowiązki duszpasterskie. Mam gorącą nadzieję, iż mi w tym dopomóżecie.

Już przedtem stopniowo przechodził na sprawy religijne, tak że nikt nie był zaskoczony.

Po południu ksiądz rozwiesił w rogu świetlicy koc, usiadł za nim na krześle i nie zwracając na nich uwagi, czytał brewiarz.

Patrzyli po sobie. Polubili kapelana, nie chcieli mu robić przykrości, ale na razie nie było chętnych, każdy czekał na tego pierwszego. Ksiądz cierpliwie czytał, a oni patrzyli na siebie spode łba.

W końcu odważył się Nowak. Jeśli musiał zrobić coś, na co nie miał ochoty, to robił to jak najszybciej.

Podszedł. Kapelan widząc go natychmiast odłożył brewiarz. Nie była to właściwie spowiedź, raczej szczerą rozmową, w czasie której Nowak odpowiadał na zadawane mu pytania. Kiedy odchodził od „konfesjonału”, zaczęła się formować kolejka. Początek został zrobiony.

Wyszedł ze świetlicy zadowolony, że ma to już poza sobą. Następnego dnia odbyła się msza, a po południu rozjechali się na urlopy wielkanocne. Nowak udał się do Edynburga, do Szkocji.

## Radiota czy „ogonowiec”?

Każdy elew dysponował w ciągu roku czterema bezpłatnymi biletami. Podczas urlopu brało się taki bilet do najdalszej stacji. Po drodze można było wysiąść, zrobić kilkudniową nawet przerwę, zwiedzić dowolnie wybraną miejscowość. Można było tak robić kilkakrotnie, ale tylko w jednym kierunku. Gdy raz się zawróciło, trzeba było utrzymywać kierunek powrotny.

W każdym większym angielskim mieście był hotel dla wojskowych przebywających na urlopie. Żołnierz miał tam zagwarantowane spanie i mógł kupić obiad w kantynie NAAFI, YMCA czy Salvation Army, a także na wszystkich dworcach, nie wyzbywając się nawet swych kartek żywnościowych. Najważniejsze, że tak wyżywienie, jak zakwaterowanie było bardzo tanie. Z uprawnień tych korzystali członkowie załóg statków Marynarki Handlowej (Merchant Navy), którzy narażali życie na morzu na równi z kolegami z Royal Navy. Aczkolwiek nie nosili mundurów, także byli żołnierzami.

Tak więc ze spędzeniem urlopu Nowak nie miał specjalnych kłopotów. Spacerował teraz wzdłuż głównej ulicy Edynburga, Princess Street. Po jednej stronie stały wysokie domy o niejednolitej architekturze, po drugiej głęboki wąwóz z kwietnikami i dużą muszlą, w której właśnie w tej chwili koncertowała orkiestra Salvation Army. Był ładny, ciepły dzień wiosenny; stający po drugiej stronie parowu zamek królów szkockich jaśniał w blaskach promieni słonecznych.

Z podziwem patrzył Nowak na wielkie zamczysko, na wysokiej górze, w swoim czasie siedzibę Stuartów, skoliigaconych z polskimi władcami poprzez małżeństwo jednego z nich z córką Klementyny z Sobieskich. Po chwili zszedł po schodkach w dół parowu, usiadł na ławce i kąpiąc się w promieniach wiosennego słońca słuchał koncertu. Grano uwerturę Suppego do opery „Chłop i poeta”.

Wcale niezłych muzyków mają ci fanatycy z Armii Zbawienia, pomyślał sobie.

Po koncercie wyszedł znów na górę i poprzez Princess Street skierował się ku dworcowi, gdzie skręcił w lewo. Tam na jednej z ulic mieścił się polski klub, „Klub Orła Białego”. Tak jak na ulicach miasta, tak i w klubie pełno było żołnierzy polskich: najwięcej pancerniaków z dywizji gen. Maczka, trochę marynarzy, a najmniej lotników.

Nowak spędził tam kilka wieczorów, nawiązał nowe znajomości, bo przychodzili tu również cywile, i nawet się nie obejrzał, kiedy nadeszła pora, by wrócić do szkoły.

A tymczasem materiału przybywało. Zaczęły się praktyczne szkolenia w powietrzu. Do samolotu brano po kilku elewów, sadzano po dwóch przy radiostacjach i na zmianę musieli nawiązywać łączność z drugim samolotem i bazą. W czasie tych ćwiczeń panowały warunki zbliżone do normalnych. Ale na razie takie zajęcia odbywały się tylko raz w tygodniu, bo ciągle jeszcze trzeba było pracować nad Morse'em i materiałem technicznym: radiokorespondencją, sygnalizacją optyczną, tzw. semaforem, czy też lampą Aldisa. Tempo Morse'a ustawicznie rosło; automaty w słuchawkach biły coraz szybciej. Co dwa tygodnie egzamin kontrolny. Jeśli go ktoś zaliczył (dopuszczano trzy błędy), przechodził do następnej grupy.

Chwilami Nowak denerwował się, że gdy już był „dobry” i chciał się nacieszyć odbiorem, przynosili go na wyższe tempo, gdzie znów musiał się trudzić.

Na zajęciach technicznych mieli kłopoty. Polski tłumacz wyraźnie się gubił. Przepraszał elewów, alarmował nawet Londyn, prosząc o zmianę, ale im to nic a nic nie pomagało. Oni musieli iść z programem, naprzód. Czasu było niewiele, trwała wojna, a na nich czekano...

Nowak denerwował się na równi z innymi. Na jednej lekcji nie wytrzymał i słuchając tłumacza przecząco pokręcił głową. Instruktor, który już dawno podejrzewał, że coś nie jest w porządku, szybko zareagował.

- Nie zgadzasz się z tłumaczeniem sierżanta? - zapytał.

Nie było odwrotu, musiał postawić sprawę jasno.

- Właśnie, sir! Przykro mi, ale się me zgadzam, nie mogę się zgodzić.

- Rozumiesz temat? - spytał go powtórnie wykładowca.

- Chyba tak - odparł i powtórzył ostatni przykład.

- Właśnie tak. A wy, czy rozumiecie? - zwrócił się do pozostałych.

Na sali cisza.

- Bądź tak dobry i przetłumacz - zwrócił się znów do Nowaka.

Nowak spojrział przepaszająco na zmieszanego sierżanta. Zrobiło mu się go żal, ale tu toczyła się gra o wielką stawkę. Nie miał wyboru. Powtórzył cały wykład po potoku.

Odetchnęli Wszyscy oprócz Henryka, do którego teraz zwracał się wykładowca. Widocznie zameldował o tym w dowództwie szkoły, bo od tej chwili wszyscy instruktarzy prowadził wykłady jakby specjalnie dla niego. Powtarzali, jeśli miał wątpliwości, czekali cierpliwie, kiedy tłumaczył, potakując przy tym śmiesznie głowami, jakby rozumieli, co mówi i że się z tym zgadzają. Teraz Nowak nie mógł pozwolić sobie na żadne „wyskoki”, musiał pilnie śledzić wykłady.

Pytał często, wykładowca chętnie wyjaśniał. Prowadzone w ten sposób zajęcia stały się bardziej interesujące dla obu stron. W trakcie dyskusji z wykładowcą Nowak rzucał polskie terminy, które przyswoili sobie nawet instruktorzy angielscy.

Polacy pilnie się uczyli; tu już nie chodziło o ich pojedyncze wyniki, ale o honor narodowy. Dowódca 44 Entry mjr Hungerford ciągle bowiem stawiał Polaków za wzór innym elewom, podkreślając, że uczą się podwójnie: tematu i języka.

Nowak przeszedł do najwyższej klasy Morse'a, tak zwanej „A” Speed. Tu już nie nadawała maszyna czy instruktor, tu się brało bezpośrednio Reutera, a ten sypał równo 120 znaków na minutę, jak obszył! I tak bez przerwy godzinę lekcyjną, czyli 50 minut!

Nowak podziwiał angielski zmysł organizacyjny. Szkoła, do której uczęszczał, była olbrzymia, a mimo to wszystko było na czas, nikt na nic nie czekał, nikt się nigdy nie spóźniał. W olbrzymiej stołówce, gdzie jednocześnie spożywało posiłki około 500 ludzi, panował zawsze idealny porządek. Podchodziło się kolejno do długiej lady, brało się talerze, na które nakładały stojące po drugiej stronie popularne „wafki”. Kawę (prawdziwą!) czy herbatę z mlekiem każdy nalewał sobie do dużego porcelanowego

kubka z dużych pojemników sam. Praktycznie kurek pojemnika był zawsze odkręcony, bowiem gdy ktoś napełnił kubek, zaraz ktoś inny podstawił swój.

Z tymi kubkami chłopcy natychmiast wymyślili sobie zabawę. Rzucony na podłogę rozbijał się z charakterystycznym dźwiękiem, tak silnym, że mimo panującego zawsze gwaru słysząc go było wyraźnie. I wtedy, jak na komendę, z pięciuset gardzieli wyrwał się jeden dźwięk: „o”!

Sam Nowak celowo zbił trzy kubki jedynie po to, aby usłyszeć to przeciągłe „o”! Zawsze darli się bezbłędnie. Później on darł się również.

Na śniadanie dostawali prawie codziennie po dwie kiełbaski, podobne do polskich parówek, tyle że więcej w nich było chleba niż mięsa.

Pewnego razu szkołę wizytował jakiś air commodore (w Wojsku Polskim nie ma odpowiednika dla tego stopnia pośredniego między stopniem pułkownika i generała). Elewi jedli akurat śniadanie. Gdy gość podchodził do stolika, przy którym siedzieli, zrywali się na baczność i z wielkim przejęciem odpowiadali na stawiane im pytania.

Air commodore zobaczył w pewnym momencie Polaków, którzy siedzieli przy stole zwartą grupą. Podszedł do nich, a ponieważ Nowak siedział pierwszy z brzegu, „zahaczył” właśnie jego.

- Jak ci smakuje śniadanie? - spytał, znając już z góry odpowiedź, gdyż wszyscy elewi odpowiadali: „Bardzo dobrze, sir”.

Nowak siedząc spojrzął na niego i poprosił o pozwolenie zadania pytania. Towarzyszący mu oficerowie i dowódca szkoły zbledli, gdyż w ich mniemaniu była to bezgraniczna bezczelność.

Generał popatrzył na niego rozbawiony i powiedział:

- Go a head!<sup>13</sup>

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, generale - spytał niewinnie, trzymając na widelcu kiełbaskę - z czym coś takiego powinno się właściwie jeść, z dżemem czy z musztardą?

Generał popatrzył na niego w osłupieniu, potem przesunął czapkę i podrapał się w głowę.

- Damn me - powiedział po chwili - I don't know<sup>14</sup>.

Miał facet poczucie humoru.

- Słuchaj, airman - zagadnął go jeszcze - czy u was nie należy stać, jeśli się rozmawia ze starszymi stopniem?

- Melduję, iż nasz regulamin przewiduje dwa wypadki, w których żołnierz nie wstaje ze swego miejsca podczas wizytacji przełożonego: kiedy spożywa posiłek lub też robi coś odwrotnego.

Generał pokręcił głową i przeszedł do następnego stolika, a towarzyszący mu oficerowie z trudem tłumili śmiech.

---

<sup>13</sup> No to wal!

<sup>14</sup> Niech mnie diabli porwą, jeśli wiem.

Ostatni tydzień przed egzaminem. Materiał w zasadzie już przerabiany; należy go teraz powtórzyć. Pierwszym egzaminem, który miał się odbyć na dwa dni przed głównym, był egzamin z odbioru optycznego. Instruktor, aby ułatwić Polakom zdawanie, poprosił ich o polską gazetę, z której wybrał fragment tekstu.

Do egzaminu stanęli parami. Trzy minuty odbioru światła lampy oddalonej o 5 km, następnie króciutka przerwa, podczas której następuje zmiana na stanowiskach, i następni. Parami odbiera się dlatego, że podczas gdy odbiera jeden, głośno czytając, drugi, odwrócony do niego plecami, zapisuje.

Lampa Aldisa zamrugnęła kilkakrotnie. Przygotować się! Uwaga! Czytaj! I tu zaczęła się tragedia. Anglicy zaczęli kląć jak szewcy, Polacy też! Polskiego tekstu nie byli w stanie odbierać nawet Polacy, a co dopiero biedni „strusie”?

Te „szcza”, „sza”, „dz”, „rz” doprowadzały ich do szału! Angielski tekst jest bardzo łatwy w odbiorze, wszyscy do niego przywykli, a tu... Anglicy przestali odbierać, po chwili zrezygnowali również Polacy. Egzamin został przerwany. Na szczęście dowództwo doszło do wniosku, że język polski do egzaminu się nie nadaje i ku ogólnej radości egzamin powtórzono, ale już w angielskim.

Na dwa dni przed egzaminem na odprawie dowódca szkoły air commodore Wilburn zapytał Polaków, w jaki sposób chcą odpowiadać na egzaminach - przez tłumacza przysięgłego, który w tym celu przyjedzie z Londynu, czy też w języku angielskim.

- Osobiście radziłbym wam zdawanie po angielsku, nawet gdy macie braki językowe - mówił. - No, ale to już wasza sprawa.

Nowak wraz z dwoma kolegami postanowił zdawać po angielsku.

Nadszedł wreszcie „wielki dzień” - był to 5 maja 1943 roku.

Trochę podenerwowany wszedł Henryk do wielkiej sali wykładowej, w której spędził tyle godzin lekcyjnych. Dziś wyglądała ona zupełnie inaczej, bardziej uroczyście, niemal obco. Na miejscu ławek stały długie stoły, na których poukładano przeróżne znane z wykładów eksponaty. Na samym końcu, przy stole instruktorskim, zasłanym teraz zielonym sukniem, zasiadł cały areopag - komisja, której przewodniczył air commodore Wilburn. Po jego prawej ręce siedział przysłany z ramienia Air Ministry oficer techniczny w stopniu group captaina (pułkownika), dalej niżsi oficerowie, dowódcy Entry.

Major Hungerford i dwaj instruktorzy siedzieli nieco z boku. Dwóch innych stało koło stołów przy eksponatach. Z boku na specjalnym krześle, siedział przysłany z Londynu tłumacz w stopniu flight lieutenanta (kapitana).

Bez zbędnych ceremonii sypały się jak lawina pytania.

„Co zrobisz, jeśli w nadajniku w czasie lotu zostanie przestrzelony obwód oscylacyjny? Czym go zastąpić? Zademonstrować! Znaleźć wśród leżących tu eksponatów część taką lub taką... Nastroić i przygotować do pracy Marconi 1154-1155 (radiostacja używana głównie przez samoloty RAF w lotnictwie bombowym), trzy częstotliwości. Na jakiej fali nadaje się SOS?”

Nowakowi jakoś szło. Znał dobrze temat, a przy tym miał szczęście. W pewnym momencie przewodniczący Komisji polecił podać sobie wskaźnik kursu Sperry'ego.

Nowak podał mu go.

- Na jakiej zasadzie pracuje ten przyrząd? - pada pytanie. - I do czego to właściwie służy?

- Jest to wskaźnik kursu i pracuje na zasadzie bączka żyroskopowego.

- Quite!<sup>15</sup> Na zasadzie żyroskopu, opiszcie to bliżej - powiedział air commodore.

Nowak odpowiedział i na to.

Pułkownik z Air Ministry kazał sobie podać pompę olejową, którą wskazał ręką. Nowakowi zaczęło się teraz wszystko trochę mącić. Nie był już pewien, czy to jest w ogóle pompa, czy jakiś zawór, a jeśli pompa, to czy paliwowa, czy od oleju. Zamyślony nagle usłyszał, że mjr Hungerford mówi półgłosem:

- Pompa olejowa typ 104-A.

Nowakowi przemknęło przez myśl, że może jest to pułapka, ale powtórzył.

- On wiedział, tylko trudno mu było znaleźć właściwe słowo angielskie, sir - zwrócił się major do generała. Tamten ze zrozumieniem skinął głową.

- Thank you, and my hearty congratulation. You are free<sup>16</sup> - powiedział generał. Major Hungerford z uśmiechem skinął mu głową, kiedy zaszalutował przed odejściem.

Dobrze jest, pomyślał uradowany Nowak. Radiotechnikę i przyrządy mam z głowy, na pewno zaliczyłem. Radiokorespondencja jutro, ale to już tylko jeden egzaminator, no i meteorologia, trochę z tym będzie gimnastyki, ale chyba przebrnę. Po trzech dniach wszystkie egzaminy zostały zakończone, ale żaden z absolwentów jeszcze nie znał wyników; nie wiadomo, kto będzie radzikiem, a kto „ogonowcem”. Instruktorzy nie puszczaają pary z ust. Mjr Hungerford na pewno zna wyniki, ale jego nikt nie śmie zapytać.

Czwartego dnia najważniejsza próba: Morse. Tego Nowak obawiał się najmniej, by ukończyć szkołę, zdobyć „trade” (specjalność) i iść na szkołę ognia, skąd wychodziło się w angielskim stopniu sierżanta, wystarczyło 90 znaków na minutę.

W dwa dni po egzaminach, na porannym apelu, ogłoszono nazwiska elewów, którzy mają zgłosić się na powtórny egzamin z Morse'a. Po dwudziestu nazwiskach angielskich wyczytano raptem Jankiewicza i Nowaka.

Cholerny świat! A dałbym głowę uciąć, że poszło ani dobrze, pomyślał Nowak. Przecież wszyscy uważali go za faworyta. Ale jak widać na egzaminie nigdy człowiek nie może być niczego pewny.

Dopiero kiedy padło nazwisko Stefaniuka, który przed wojną był zawodowym radiotelegrafistą w policji, Nowak nadstawił uszu.

---

<sup>15</sup> Oczywiście.

<sup>16</sup> Dziękuję i moje serdeczne gratulacje. Jesteś wolny.

Po odczytaniu wszystkich nazwisk ppor. Fuller zakomunikował, że wycytani udadzą się zaraz na powtórny egzamin i będą odbierać w wyższym tempie, 100 znaków na minutę.

Mają teraz szanse zdawać na stopień AC-1 (aircraft man nr 1 - starszy szeregowiec). Zakomunikował im również, że w dowództwie wisi lista tych, którym nie powiodło się na egzaminach. Ci zgłoszą się natychmiast po zbiórce w kancelarii szkolnej po odbiór dokumentów podróży. Jedno jest pewne, szkoleni już więcej nie będą.

Nowak Odetchnął z ulgą. Jest radiotelegrafistą! Nawet jeśli teraz obleje, pozostanie w swoim starym stopniu AC-2 tylko do czasu ukończenia szkoły ognia.

Oczywiście dobrze byłoby zdać. Zawsze jest to 10 szylingów na dwa tygodnie więcej, nie bagatelka!

Weszli po raz ostatni do sali Morse'a. Przy stole siedział flight sergeant (starszy sierżant) Due, jeden z najlepszych radiotelegrafistów w Wielkiej Brytanii. Nowak spojrzawszy na niego przypomniał sobie pewien epizod. Kiedyś zetknął się z Duem w polskiej szkole w Halton, gdy ten przyszedł zastąpić polskiego instruktora sierż. Wybrańca, wezwanego służbowo do Londynu. Usiadł wtedy przy stole i nie wdając się z nikim w dyskusję zaczął nadawać właściwe tempo. Pochyliwszy się nad kartkami papieru starali się „łapać” nadawane przez niego znaki, ale nie mogli sobie dać rady. Tempo było dla nich za wysokie. Kręcili się na swoich stołkach, a Due nic, tylko sypał równo.

Nowak siedział tuż koło niego. Pewien, że instruktor nie rozumie, szepnął do kolegi:

- Cholera, przyszedł nas tu męczyć ten „leśny dziad!”

Była to pogardliwa nazwa, której używano dla określenia starszych oficerów bez przydziału i starszych podoficerów zawodowych.

Można sobie wyobrazić ich zdumienie, kiedy st. sierż. Due przerwał nadawanie, spojrzął na niego spod oka i zapytał:

- Hto jes leśny siad?

Nowaka o mało szlag nie trafił. Skulił się w sobie i zajął pilnie odbiorem, a Due zadowolony z wrażenia, jakie wywołał, z uśmiechem nadawał dalej. Jak się Nowak dowiedział później, już po egzaminach, które oblewali w pubie w Hereford, Due znał po polsku zaledwie parę słów i cały czas był w strachu, aby któryś z nich nie zagadnął go po polsku.

Usiedli teraz przy stołach. Przy każdym stanowisku leżał blankiet egzaminacyjny i trzy ostro zatemperowane ołówki. Jak ich poinformowano, mieli odbierać trzy razy po trzy minuty każdego tekstu: szyfrowego, mieszanego i ostatniego z włączonym radiem, powodującym zakłócenia, czyli „interference”. W sumie dziewięć minut bez przerwy.

Padł sygnał, pochyliły się głowy. Nadaje ręcznie F/Sgt Due. Tempo początkowo wydawało się być wolne, więc Nowak nabrał pewności siebie. Po chwili znak rozdziału i szum radia, potem gwizd, który szedł ostro iw dół i w górę. Ton uciekał, lecz powoli, nie wychodząc poza granicę słyszalności. Do tej chwili Henryk „brał” tekst swobodnie, nawet rozglądał się po sali patrząc, jak sobie dają radę inni. Niektórym wyraźnie się nie wiodło. Ta cholerna trema kładła niejednego! Znał tych wszystkich

chłopców i wiedział, że niektórzy z nich byli lepsi od niego, ale jednak... Jednemu złamał się ołówek! Schwycił drugi, to samo.

No, ten już gotów, pomyślał. Szkoda chłopca, porządny to był „struś”. Ale co to? Nagle zauważył, że i on zaczyna się opóźniać. Już przestał się rozglądać, pochylił się nisko nad arkuszem, aby zbliżyć dystans dzielący ołówek od papieru. Tempo nadawania wyraźnie rośnie. Trzymał się kurczowo, ale czuł, że lada chwila podda się, jak to już zrobiło kilku innych. Jeszcze tylko dwie grupy, jeszcze jedno zdanie i puszczam, pomyślał, i w tym momencie... krzyżyk, znak zakończenia audycji, tak miły znak AR!

Mam, wygrałem! Chyba nie zrobiłem więcej niż trzy błędy, a trzy są dopuszczalne. A może jednak więcej?

Okazało się, że Due rozpoczęła nadawanie od 85 znaków, w ten sposób ich uspokoił, a gdy nabrali pewności siebie, zaczął stopniowo przyspieszać i zakończył na 130.

Egzaminu nie zdało tylko trzech. Reszta zdobyła stopień AC-1 i dostała 14 dni urlopu. Ci, którzy nie zaliczyli głównych egzaminów, nie otrzymali urlopu.

W dokumentach Nowaka odnotowano: „Ukończył szkołę w dniu 5 maja 1943 r. z wynikiem dobrym”. Henryk był szczęśliwy, osiągnięcie to zawdzięczał tylko własnemu upartemu dążeniu do zdobycia zawodu. Wykładowca radiotechniki w polskiej szkole w Halton miał bowiem zastrzeżenia i zastanawiał się, czy dopuścić go do egzaminu. Boczył się na Nowaka za to, że odmawiał udziału w naukach własnych, które prowadzone były przez służbowego instruktora codziennie od godz. 19.00 do 21.00. „Kujony” również mieli mu to za złe. Dopiero na dwa dni przed egzaminem włączył się do nauki własnej.

Teraz Henryk i jego koledzy otrzymali skierowanie do Inverness w Szkocji na szkołę ognia. Mieli się tam stawić zaraz po zakończeniu urlopu.



## „Warszawski Koncert”

Zatrzymał się na kilka dni w Hereford. Było to miasto oddalone od szkoły około 4 mil. Miał tu znajomą kierowniczkę prasowalni w pralni, z którą szkoła miała umowę.

Gdy pewnego razu, jak zwykle w sobotę, otwierał paczkę z czystą bielizną, wypadła z niej kartka. Zaintrygowany szybko przeczytał „Are you Polish? Let me know”<sup>17</sup>

Odpisał krótko, że tak, i włożył odpowiedź do tobołka z brudną bielizną. Po kilku tygodniach dostał następną kartkę z zaproszeniem do kina. Tym razem dziewczyna podpisała się: „Marta”. Podany był również termin, godzina i miejsce ewentualnego spotkania. Poszedł.

W czasie wojny zrealizowano w Anglii film pod tytułem: „The Dangerous Moonlight” („Niebezpieczny blask księżycy”). Opowiadał on o pierwszych dniach Września w płonącej i bombardowanej Warszawie i tragedii polskiego oficera-pilota, zarazem słynnego kompozytora-pianisty. Przez cały film przewijał się motyw „The Warsaw Concerto”. Bohater grał akurat tę melodię w salonie, z którego przez dziurę w ścianie widać było płonący Zamek, gdy do jego w półzniszczonego domu trafiła amerykańska dziennikarka, córka milionera. Widząc grającego pilota, czyni mu wyrzuty, iż gra, gdy na polskim niebie grasują bezkarnie niemieckie Stukasy. Dopiero gdy wstał, zobaczyła, że jest ranny. Następnie pokazana była scena ewakuacji kilku samolotów do Rumunii. Nasz bohater trafił do USA. Jeździł tam z koncertami. Tam też spotkał ową dziennikarkę z Warszawy i pobrali się. Na wiadomość, zresztą skrętnie przed nim ukrywaną, o formowaniu w Anglii jednostek polskiego lotnictwa, przedostaje się na Wyspę, gdzie wstępuje do dywizjonu myśliwskiego. Podczas jednej z walk taranuje wroga. Jakimś cudem ocalony trafia do szpitala, gdzie pielęgnuje go żona. Traci jednak pamięć. Reaguje tylko wtedy, gdy słyszy „Warszawski Koncert”.

W sumie lichy melodramat, typowy „wyciskacz łez”, ale w tym czasie cieszył się ogromną popularnością, przypuszczalnie dlatego, że mówił o Polakach. Jedno było pewne: nakład płytowy „Warszawskiego Koncertu” pobił wszystkie rekordy.

Nowak jakoś nie miał szczęścia do tego filmu, bo gdy przybył do jakiegoś miasta to albo już zszedł z afisza, albo też były tak niesamowicie długie kolejki, że odstraszały najodważniejszego. Dopiero teraz, w czasie pierwszego spotkania z Martą, udało mu się ów „szlagier sezonu” obejrzeć.

Z Martą się zaprzyjaźnił. Przetęńczył z nią cały wieczór na balu, kilka razy był u niej w domu, a nawet kiedyś skopał tam ogródek. Dobrze było mieć życzliwą duszę w ciężkim okresie szkolenia.

W pierwszą niedzielę po zakończeniu szkoły, już kiedy Nowak był na urlopie, również dzięki staraniom Marty poszli do kina. Ten wypadek zapowiadał się szczególnie atrakcyjnie, ponieważ na organach Hammonda miał grać przybyły na gościnny koncert Mc Ferson. Zazwyczaj w dużych miastach w większych kinach odbywał się półgodzinny recital organowy. Wyglądało to w ten sposób, że solista zaczynał od swojej melodii, stanowiącej jakby sygnał, potem przechodził do utworu zamówionego przez kogoś listownie, wybranego drogą losowania, i dalej grał motyw jakiegoś popularnego przeboju. W pewnym momencie, gdy przyciskał umieszczony tuż przy manuale guziczek, na ekran padały słowa piosenki. Wtedy przechodził na „forte” i cała sala śpiewała, aż się mury trzęsły. Taka

---

<sup>17</sup> Jesteś Polakiem? Daj mi znać.

zabawa trwała pół godziny. Ponieważ w angielskich kinach program szedł non-stop, każdy mógł wyjść czy wejść w dogodnym dla siebie momencie i siedzieć, ile tylko dusza zapagnie. Miejsc nie numerowano. Wentylacja na sali była wspaniała, powietrze było zawsze czyste, mimo że każdy mógł palić.

Otóż tej niedzieli Marta szykowała dla niego niespodziankę. Sandy Mc Ferson, skończywszy grać swój motyw, wstał, uklonił się, dziękując za brawa i powiedział:

- Pośród wielu listów, które otrzymałem od was, wybrałem jeden. Zawarte w nim życzenie pokrywa się z moim: zagram dziś państwu „The Warsaw Concerto”.

Grał. Nowak zamarł w bezruchu, zasłuchany w urzekającą melodię. Ten i ów spośród widzów, spoglądając na jego mundur, uśmiechał się życzliwie.

Oprzytomniał, słysząc huraganowe brawa. Artysta stał teraz przy organach i kłaniał się. Tym razem nie było szlagierów, „Warszawski Koncert” wypełnił cały program.

## Sierżanckie „winkle”

Na szkole ognia w Inverness było już łatwiej, przeważała raczej „praca fizyczna”. Aby nie wyjść z wprawy, przerabiali tylko ćwiczenia z radiostacją w powietrzu. Nie było już protonów ani elektronów, tu się po prostu składało i rozkładało karabiny maszynowe, ładowało amunicję w bębny, usuwało różnego rodzaju zacięcia. Na delikatnych rękach radiotelegrafistów pojawiły się pęcherze. Ale to wszystko nic! Każdy dzień zbliżał do końca szkolenia.

Elewi uczyli się rozpoznawania sylwetek samolotów swoich i obcych. Uczęszczali na wykłady z dziedziny rusznikarstwa i nauki o uzbrojeniu. I, co najważniejsze, dużo latali. Na strzelanie do „rękawa”, do tarczy na ziemi i do sylwetek. Do jednego „rękawa” strzelało kilku jednocześnie, ale każdy miał pociski oznaczone innym kolorem, tak że nie było wątpliwości, kto trafił.

Okres szkolenia przeleciał jak z bicia trzask! W pierwszych dniach czerwca 1943 r. znów egzamin, tym razem naprawdę ostatni. Po zgraniu załóg w OTU egzaminu już nie będzie. To był bardzo uroczysty dzień. Wszystkie ceremonie miały się odbyć na otwartym powietrzu, gdzie ustawiono dwa stoły. Pogoda, jak na angielskie warunki, była prześliczna. Ciepły, letni dzień.

Przy jednym stole urzędowała Komisja RAF. Podoficer odczytywał nazwiska, a ponieważ uprzednio zdarzało się, że zniekształcano je, obok stał polski oficer, który albo podpowiadał, jak trzeba wymawiać, albo też wyczytywał sam.

Elewi, starannie ogoleni, w odprasowanych mundurach z wypucowanymi na „wysoki połysk” guzikami, stali w szeregu kilka metrów od stołu. Nowak patrząc na wywołującego ich nazwiska sierżanta nie mógł powstrzymać uśmiechu, bowiem żywo stanęła mu w pamięci scena z „Pay Parade”<sup>18</sup> w szkole w Madley. Wtedy przy stole siedziała oficer-płatnik, obok niej oficer asystujący i bardzo ładna „wafka” w stopniu sierżanta, która z wielkiej księgi wyczytywała nazwiska. Odzewem było, jak w całym RAF, podanie ostatnich trzech cyfr numeru osobistego. Numer był niemal ważniejszy od nazwiska, bowiem wyczytać z niego praktycznie można było wszystko: narodowość, skąd przybył do Anglii i kiedy. A więc podchodziło się do stołu, salutowało zamasyście, odbierało pieniądze, potem w tył zwrot i odmarsz. Wszystkich tych czynności troskliwie doglądał chorąży dyscyplinarny. „Pay Parade” przebiegała sprawnie, póki nie przyszła kolej na Polaków. Już przy pierwszych nazwiskach zaczęły się „łamańce”, ale jak przyszło do nazwiska Koc, to już był koniec! W angielskim slangu słowo to oznacza, powiedzmy, część męskiego ciała, więc przystojna „wafka”, która wymawiała je jako „Kok”, płoniła się niemiłosiernie i wtedy wszyscy wybuchali gromkim śmiechem. Co gorsza Koc udawał, że nie słyszy, więc cała w pąsach i ze łzami w oczach musiała je powtarzać.

Co dwa tygodnie całe Entry czekało na ten moment, łącznie z oficerem płatnikiem. Tylko chorąży starał się zachować powagę i groźnym głosem wołał, poruszając przy tym wąsami:

- Quiet!<sup>19</sup>

Nowak ocknął się, gdy usłyszał swoje nazwisko:

---

<sup>18</sup> Wypłata poborów.

<sup>19</sup> Cisza!

- Sergeant Nowak!

- Yes, Sir, 396! - wykrzyknął i wystąpił do przodu. Zasalutował przepisowo, stuknął obcasami po polaku i podszedł do stolika.

Dowódca szkoły wręczył mu odznakę radiotelegrafisty pokładowego i legitymację RAF, w której wpisany był jego nowy stopień wojskowy. Drugi oficer wręczył mu siedem sierżanckich winkli: po jednej parze na każdy mundur, dwa na płaszcz i jedna sztuka na battledress. Nosiło się je na prawym rękawie.

Teraz przeszedł do drugiego stołu, przy którym siedzieli polscy oficerowie lotnictwa. Tu odbierał gratulacje.

Wreszcie wręczono mu „gapę” radiotelegrafisty. Był to sęp koloru złotego, z jedną poprzeczną błyskawicą. W okresie późniejszym ujednolicono odznaki członków personelu latającego, nie będących pilotami (ci zawsze nosili „gapę” srebrną). Były to złote „gapy” z trzema strzałkami czy błyskawicami, przy czym w trzymanym przez sępa w dziobie laurowym wieńcu umieszczono literkę „R” dla radiotelegrafistów, „S” dla strzelców pokładowych, „N” dla nawigatorów (za wyjątkiem latających na Mosquitach, ci mieli dwie błyskawice), „M” dla mechaników pokładowych, „B” dla bombardierów.

Uroczystość kończyło okolicznościowe przemówienie, z uwagi na dużą liczbę Brytyjczyków - personelu i absolwentów - wygłaszane po angielsku. Wzruszany Nowak słuchał:

- Koledzy! Na was czeka Polska! Musicie wywalczyć jej wolność. Nie dać się wrogowi pokonać! Trzeba polecieć, zachować rozwagę, zadanie wykonać i wrócić!

Z tym ostatnim sadzali się wszyscy: zadanie wykonać i wrócić!

Wreszcie padła komenda:

- Uroczystość zakończona, rozejść się!

Trzeba było zobaczyć, jak wszystkim chłopakom furczały igły w rękach, gdy po powrocie do baraku przyszywali sobie wielkie sierżanckie winkle! Nowakowi również.

## Pierwszy lot bojowy

Nowak znalazł się ponownie w 18 OTU w Bramcote. Po roku, ale już tym razem jako członek personelu latającego, w stopniu sierżanta<sup>20</sup>, z uposażeniem pięciu funtów szterlingów zamiast dotychczasowego jednego. Wszedł w skład załogi bombowej, której celem zgrania przydzielono samolot typu Wellington, taki sam, jakim odbył swój pionierski lot nad Anglią.

Po raz pierwszy wyfasował z magazynu oprócz przepisowych trzech koców dodatkowo dwa prześcieradła, przysługujące dopiero podoficerom - od sierżanta wzwyż. Niżsi stopniem musieli zadowalać się tylko kocami, z których jeden, pełniący rolę prześcieradła, kładło się na materac. Drapał, rzecz jasna, niemiłosiernie.

W załodze było ich sześciu. Pierwszy pilot - jak określali Anglicy: captain of the aircraft, drugi pilot, nawigator, radiotelegrafista i dwóch strzelców. Latali teraz przeważnie nad morze, gdzie bombardowali dymiące boje. Właściwie nie robili nic nowego; chodziło głównie o to, aby załoga zgrała się, rozumiała wzajemnie, aby tworzyła jeden zwarty kolektyw. Ćwiczenia miały trwać dopóty, dopóki dowódca nie zamelduje, że załoga gotowa jest do lotu bojowego. Na razie jej członków można było jeszcze wymienić, później już raczej nie. Niektórzy dowódcy zgłaszali co prawda gotowość przed terminem, ale nic z tego nie wyszło. Doświadczeni Anglicy wiedzieli, że nie da się przyspieszyć tempa bez jakichś zaniedbań, które w przyszłości mogą się zemścić.

Nowak poznawał tajniki goniometru pokładowego, branie namiarów, ustalanie pozycji, rozmieszczenie beaconów<sup>21</sup> na trasie, tajne szyfry, których klucz zmieniał się zawsze o północy i inne problemy. Tu życie wyglądało inaczej; nie było tak surowej dyscypliny, liczone się z nimi, mieli przecież wysokie stopnie podoficerskie. Jadali w mesach sierżanckich, gdzie spożywali posiłki wszyscy od sierżanta do chorążego włącznie. Obsługiwały ich „wafki”.

Pewnego razu, idąc między hangarami w stronę mesy, Nowak przypomniał sobie niespodziewane spotkanie, jakie przeżył właśnie tutaj w grudniu 1942 r., gdy przyjechał do Bramcote na krótki urlop świąteczny. Dostrzegł wtedy dziwnie znajomą sylwetkę wyższego stopniem oficera, który szedł przed nim. Na naramiennikach płaszcza miał trzy grube paski, a więc musiał to być dowódca dywizjonu, wyposażonego w samoloty dwusilnikowe, w stopniu wing commandera (podpułkownik). Nowak dopędził go i ,po chwili już witał się serdecznie ze swoim przyjacielem, o którym nie słyszał od września 1939 r.: wtedy porucznikiem Janem Michałowskim, obecnie kapitanem, w angielskim stopniu podpułkownika.

Byli razem w 1 pułku lotniczym w Warszawie. Zaprzyjaźnili się nie w pułku, różnica między ich stopniami była zbyt wielka. Znali się dobrze z cywila; żony ich były serdecznymi przyjaciółkami. Por. Michałowski popularny był w świątku lotniczym, słynął z brawury. Swojego czasu głośna była sprawa utopienia przez niego samolotu w Wiśle. Leciał wtedy z szefem mechaników sierż. Karolem Blachutą. Ponieważ prawie całe pobory zabierano mu za zniszczony samolot, utrzymywał się głównie z dodatku

---

<sup>20</sup> W niniejszej pracy wszystkie stopnie podoficerskie personelu latającego podane są w stopniach angielskich (*przyp. aut.*).

<sup>21</sup> Latarnia lotnicza o stałym położeniu, wykorzystywana w nawigacji powietrznej. Dzięki sygnałom świetlnym lub radiowym o znanej częstotliwości i charakterystyce promieniowania stanowi ważny punkt orientacyjny, zwłaszcza w lotach nocnych lub przy złej widoczności ziemi.

za wylatane godziny. A miał tych godzin dużo, latał w dzień i w nocy. Był zastępcą dowódcy eskadry treningowej, kpt. Wołkowińskiego, szkolił rezerwę.

Michałowski ucieszył się na jego widok, ale akurat spieszył się na spotkanie z dowódcą szkoły, więc umówili się za dwie godziny, gdy już będzie wolny.

- Tylko, Heniek, gdybym się spóźnił, to czekaj - powiedział na odchodnym.

Nie spóźnił się. Usiedli w kącie kasyna, zamówili whisky i kawę i pogrążyli się we wspomnieniach.

- Awansowałeś, Janku - rzekł w pewnym momencie Nowak. - Nie śmiem mówić ci po imieniu.

- Nie wygłupiaj się - odpowiedział Michałowski. - Tu tak jest, wszystko zależy od szczęścia. Dostałem dowództwo dywizjonu 307 Lwowskich Puchaczy i chociaż nie jestem lwowiakiem, czuję się w nim doskonale. Mam bardzo dobrych pilotów, równi faceci, tylko że czasami trzeba ich mocno przytrzymać w garści. No, a jak tam u ciebie?

Nowakowi przypomniał się ich ostatni, wspólnie spędzony w Polsce wieczór. Było to u Michałowskich na dwa tygodnie przed rozpoczęciem zawieruchy wojennej. Siedzieli w salonie, rozmawiając o przyszłej wojnie, która wisiała w powietrzu. Kobiety gawędziły po drugiej stronie, a Basia, córeczka gospodarzy, stawiała pierwsze kroki. Nikt wtedy nie mógł przewidzieć, w jakich okolicznościach spotkają się ponownie. Henryk i jego przyjaciel pełni byli zapału do walki, ale żony nie podzielały ich entuzjazmu.

- Lepiej wypijmy - przerwał jego rozmyślenia Michałowski. - Pamięć się odświeży.

Wypili. Nowak zamówił drogą kolejkę i gdy usiadł ponownie przy stole, Michałowski zapytał:

- Co z Władą?

- Odkąd wyjechałem z kraju, o żonie nic nie słyszałem - mówił w zamyśleniu Nowak. - Próbowałem szukać przez szwedzki Czerwony Krzyż, ale wszystko na nic, odpowiedzieli mi, że nie figuruje w ich kartotekach. A co z twoimi, masz jakieś wiadomości?

- Tak - odpowiedział, pokonując wzruszenie. - Są w kraju. Jadwiga jakoś sobie radzi, znasz ją przecież, jest taka zaradna. Właściwie to ona była głową rodziny, ja do spraw domowych się nie mieszałem. Obawiam się tylko, aby nie napytała sobie jakiej biedy z Niemcami. Wiesz przecież, jaka jest bezkompromisowa. Mów teraz o sobie - poprosił.

Zrobiło się już bardzo późno. Michałowski musiał wracać do Exeter, gdzie stał jego dywizjon.

- Słuchaj, Heniek. Jak u ciebie z nawigacją? - zagadnął go nagle, jakby jakaś myśl przemknęła mu przez głowę.

- Chyba nieźle - odpowiedział Nowak. - Trochę sobie przypomniałem w szkole, zdobyłem także wiadomości z zakresu nowoczesnej nawigacji, nie znam tylko „astro”, bo to nie wchodzi w zakres moich czynności jako radiotelegrafisty. Ale do czego zmierzasz? - spytał zciekawiony.

- Wiesz, zabiorę cię do siebie - odpowiedział przyjaciel zdecydowanie. - Trochę cię przeszkolimy, koledzy pomogą i zostaniesz „puchaczem” - dokończył ze śmiechem.

- Coś ty, na Mosquito? - wykrzyknął zachwycony Nowak.

- Co, nie masz ochoty? - odpowiedział kolega pytaniem na pytanie. - Taki sam dobry jak każdy inny!

- Dobry? Przecież to jest cud dwudziestego wieku - mówił Nowak podniecony. - Prawie czterysta mil na godzinę!

Michałowski uśmiechał się z zadowoleniem, bo widział, że jego propozycja przypadła Nowakowi do gustu.

- A więc, Heniek, umowa stoi. Kończ szkolenia i staraj się dobrze, ja natomiast zaraz poczynię starania w Londynie. Wiem, że będą trudności, szkolą cię na bombowca, ale ja również mam kłopoty personalne. Jest kilku Anglików, muszę się ich pozbyć. Bywaj, bracie, i trzymaj się, a ja cię odnajdę w nowej jednostce.

Pożegnali się serdecznie i nie przypuszczali nawet, że to będzie ich ostatnia rozmowa.

Przypomniał Nowak sobie to spotkanie teraz, po przybyciu do Bramcote na zgranie załóg. O Michałowskim od tamtej pory nie słyszał.

Na intensywnym treningu minęło kilka dni. Sierżant Wilski, ich dowódca, już za trzy dni miał zameldować załogę zgraną, gotową do wykonywania lotów operacyjnych. Dziś rano rozmawiał w tej sprawie w dowództwie.

Tego popołudnia wybrał się Nowak do pobliskiego miasta Nuneaton. Zaplanował pójście do kina, potem kolację w kantynie NAAFI, no i „dance”. Miał tam znajomą dziewczynę, która uczyła go tańczyć. A zaczęło się to tak: gdy grano wolnego walca, narodowe tańce angielskie lub też szybkie boogie-woogie, Nowak obserwował tylko, bo tego tańczyć nie umiał. Włączał się tylko do tanga czy wiedeńskiego walca, ale tego grano niewiele. Upatrzył sobie tedy jedną babkę, brzydką co prawda jak noc październikowa, „ale świetnie tańczącą, przeważnie zresztą z koleżanką. Gdy orkiestra zagrała quick-stepsa, siedziały akurat w kącie i zjadały biszkopty.

Nowak podszedł i skłonił się, prosząc do tańca. Spojrzała na niego zdziwiona i omal nie zakrztusiła się biszkoptem. Pokazała na siebie palcem, a gdy przytaknął, podskoczyła jak na sprężynie.

- Zaraz, zaraz - powiedział, unosząc lekko rękę. - Alle ja nie umiem tańczyć!

- Nie szkodzi - zaśmiała się. - Zaraz to załatwimy, nic trudnego.

Rzeczywiście nic trudnego, kiedy człowiek się przygląda! Trochę się dziewczyna namęczyła, ale Nowak szybko robił postępy i jeszcze tego samego wieczoru szło mu zupełnie nieźle. Dziewczyna była w siódmym niebie. Miała teraz wspaniałe zajęcie. W czasie przerwy Nowak kupił jej czekoladę, zaś sobie zamówił piwo.

Po kilku dniach tańczył już całkiem dobrze. Wdzięczny był dziewczynie, więc choć urodą nie grzeszyła, dotrzymywał jej towarzystwa tym bardziej, że i tak niedługo miał wyjechać z Bramcote. Więc szedł tego popołudnia wesóły jak szczygiel: ćwiczenia poszły mu dobrze, zbliżał się koniec forsownego szkolenia, nie miał w tej chwili żadnych trosk. Była już piąta po południu. Minął właśnie główną bramę i wartownię, kiedy przez megafony stacyjne usłyszał wezwanie:

- Sergeant Nałek zamelduje się natychmiast w dowództwie szkoły!

Szukają kogoś, przemknęło mu przez głowę. Przyspieszył kroku, bo zobaczył podjeżdżający autobus, i wtedy już z daleka go dobiegło:

- Attention, 396 Sergeant Nałek is to report to the Head Quarters immediately!<sup>22</sup>

Stanął jak wryty, słysząc końcówkę swojego numeru osobistego.

Boże, to przecież ja! Zawrócił pędem. Cóż oni mogą ode mnie chcieć? zaniepokoił się nie na żarty.

Wpadł do budynku, gdzie mieściło się dowództwo szkoły, | zameldował się u adiutanta.

- Sergeant Nowak reporting for summon, Sir!<sup>23</sup>

- O, dobrze, że jesteś. Dowódca szkoły cię potrzebuje.

- Nie wie pan, po co? - spytał.

- Pojęcia nie mam, ale wal tam, bo on już się dwa razy dopytywał o ciebie.

Krewa, pomyślał Henryk. Sknociłem coś, ale co? Nie, przyszła refleksja, jeśli bym nawalił, to nie wzywałby mnie dowódca stacji. Cóż to może być?

Na wyjaśnienia nie czekał długo. Oficer dyżurny połączył się z gabinetem dowódcy.

- Sergeant Nowak has reported, Sir!<sup>24</sup> - zameldował.

Send him in!<sup>25</sup> - usłyszał głos ze słuchawki telefonu.

Wszedł do gabinetu group captaina Gordona. Był to wysoki, rudy, lekko tysiejący mężczyzna, po czterdziestce. Przy jego biurku, z boku, siedział polski dowódca.

Nowak stanął w pozycji na baczność i po zameldowaniu się czekał.

Pułkownik wstał, podszedł do niego, ciągle paląc fajkę, i przyglądał mu się chwilę.

- Miałeś zamiar wyjść? - zapytał, widząc mundur wyjściowy i oficerską, nieprzepisową koszulę.

- Yes, Sir! - odpowiedział krótko.

- Hm... Myśmy tu właśnie dyskutowali z twoim dowódcą i podjęliśmy pewną decyzję - mówił powoli. - Chodzi o to, że dziś w nocy musimy wystawić dziewięć jednostek bojowych na lot operacyjny. Brak nam radiotelegrafisty do jednej z załóg i wybór nasz padł właśnie na ciebie.

Rzadko się zdarza, ażeby z jednostek treningowych brano na operację, ale tak stało się tym razem.

---

<sup>22</sup> Uwaga, 396 sierżant Nowak zamelduje się natychmiast w dowództwie.

<sup>23</sup> Sierżant Nowak melduje się na wezwanie.

<sup>24</sup> Zameldował się sierżant Nowak.

<sup>25</sup> Dawaj go!



- Oczywiście w świetle King's - kontynuował płk Gordon - możesz odmówić i nikt o to do ciebie pretensji mieć nie będzie; nie ukończyłeś jeszcze treningu i byłbyś w obcej załodze.

Nowak był bardzo zaskoczony obrotem sprawy. Myśl jego pracowała szybko.

- Wielki to dla mnie zaszczyt, sir, ale obawiam się, że nie podołam, że nie jestem dostatecznie przygotowany - odpowiedział po chwili.

- Czy ty podołasz, czy nie, to już my rozstrzygniemy - tu wskazał na polskiego dowódcę. - Chodzi nam tylko o twoją decyzję: tak czy nie?

- Yes, Sir! - odpowiedział Nowak, prężąc się słuźbiście.

Gordon uśmiechnął się i powiedział do Polaka:

- Polecisz ze mną, będę miał na niego oko!

Major podszedł do Henryka.

- Spraw się pan dobrze, sierżancie. Powodzenia! - mówiąc to podał mu rękę i wyszedł.

Pułkownik zadzwonił, po chwili wszedł adiutant, który na polecenie Gordona wrócił zaraz ze znanym Nowakowi oficerem łączności.

- Weźcie go w swoje ręce i przygotujcie do lotu. Będzie w mojej załodze - powiedział do niego Gordon, a potem znów zwrócił się do Nowaka: - Po odprawie do godziny dwudziestej pierwszej nie wolno ci się z nikim kontaktować. O wszystkim poinformuje cię flight lieutenant Fullbright - tu wskazał ręką kapitana. - Teraz nic nikomu nie mów. Odprawa załóg w Briefing Room (sala odpraw) o dwudziestej drugiej. Do tego czasu zapoznasz się ze wszystkim i pobierzesz, co należy. Oddaję cię zatem w ręce kapitana. Przepraszam, że popsułem ci plany.

- Nie szkodzi, sir, cieszę się, że megafony w campie<sup>26</sup> pracują dobrze, że zdążyłem usłyszeć wezwanie.

Zasalutował i wyszedł razem z kapitanem.

Fullbright był również podniecony. Przystanął w korytarzu i wziął Nowaka za ramię.

- Nie gniewaj się - powiedział. - Ja również maczałem w tym palce, pytali mnie, kogo wybrać, i zaproponowałem ciebie. Pewien jestem, że dasz sobie radę - dorzucił w formie usprawiedliwienia.

Henryk w odpowiedzi uśmiechnął się tylko i uściśnął mu dłoń.

Nowak zapoznał się z trasą. Poznał dzisiejszy cel. Lecieli nad Bremę. Kapitan wprowadził go w arkana radiolokacyjne i komunikacyjne na trasie dzisiejszego lotu. W dziesięć minut po starcie miała obowiązywać cisza radiowa. Z Grupą utrzymuje łączność w razie nagłej potrzeby tylko samolot dowódcy, a więc ich. Nasłuch prowadzą wszyscy. Broadcast (stacja nadająca audycje) włącza się w 15 i 45 minut po każdej godzinie. Stały nasłuch na fali alarmowej. Odszyfrowywać odebrane z „broadcastu” i transmitowane przez Grupę wiadomości, wyłowić dane dotyczące naszych formacji i

---

<sup>26</sup> Stacja lotnicza.

przekazać dowódcy, a jeśli dotyczą nawigatora, to jemu. Robić często namiary na stacje goniometryczne i na ich podstawie ustalać „fixy” (położenie), przekazywać te dane nawigatorowi i ściśle współpracować z nim. Sprawdzić przed lotem i włączyć w czasie powrotu pokładowy nadajnik rozpoznawczy IFF (Identification Friend or Foe - przyjaciel czy wróg), który pozwalał odróżnić samolot własny od obcej jednostki. W razie groźby przymusowego lądowania na terenie wroga przycisnąć guzik detonatora i wysadzić urządzenie w powietrze. No i ostatnie przykazanie: nigdy nie namierzać się własnym goniometrem na BBC. Maszty tej silnej stacji fonicznej rozlokowane były w czterech odległych od siebie o dziesiątki mil punktach w okolicach Londynu. Transmisja emitowana na jednym nadajniku była raptownie przełączana na drugi. Kombinacja ta zaoszczędziła Londynowi niejednej bomby.

Punktualnie o 22.00, rozpoczęła się odprawa załóg. Na wielkiej tablicy widniał duży napis: „Target for to-night, Bremen”<sup>27</sup>.

Byli tu członkowie wszystkich dziewięciu załóg, biorących udział w dzisiejszym locie.

W odprawie uczestniczył: polski dowódca, który dziś nie leciał, „Intelligent” (oficer Military Intelligence - wywiadu), oficer nawigacyjny, oficer łączności, meteorolog i jeszcze dwóch znanych Henrykowi z widzenia.

Nowak siedział z innymi członkami załogi dowódcy, który stał teraz przy stole. Nad stołem wisiała odkryta już wielka mapa Europy Zachodniej. Henryk rozejrzał się wokół i dostrzegł kilka polskich załóg, które już się wylaszowały<sup>28</sup>. Napotkał ich zdziwione spojrzenia, a kiedy zrozumieli, że leci z nimi, uśmiechali się do niego. Niektórzy unosili porozumiewawczo kciuki w górę, co znaczyło: „Trzymaj się, stary!”

Kapitan Fullbright przedstawił go nowej załodze i polecił opiece nawigatora jeszcze przed odprawą. Nawigator S/Ldr Wadę średniego wzrostu, o gęstej, rudej czuprynie i śmiesznych sumiastych wąsach, klepnął go po plecach. Mówił bardzo szybko, tak że Nowak zaniepokoił się, bo chwilami nie mógł go zrozumieć. A przecież miał dziś z nim współpracować! Podzielił się swoimi obawami z Fullbrightem.

- Nie przejmuj się - powiedział tamten z uśmiechem. - Czasami i ja go nie rozumiem, ale w akcji... Zresztą, zobaczysz sam - uspokoił go.

Już w sali odpraw nawigator przedstawił go pozostałym członkom załogi „Starego”, którzy dopiero tu dołączyli. Teraz było ich pięciu, gdyż szósty, dowódca, prowadził odprawę.

Nie trwała ona długo. Gordon omówił cel, warunki podejścia, czas i kolejność startu, czas wchodzenia nad lotniskiem dla nabrania wysokości, przypuszczalny czas dolotu nad cel, spotkanie z grupą zasadniczą, zapasowy cel, kurs powrotny i inne sprawy dotyczące głównie pilotów. Nowak słuchał tych wywodów jednym uchem, obu nadstawił wówczas, gdy głos zabrał miejscowy „prorok”, czyli meteorolog. Podał im aktualną pogodę, przypuszczalną nad celem i na drogę powrotną.

W zadymionej sali brak było powietrza, ponieważ okna były szczelnie zasłonięte z uwagi na „blackout” (zaciemnienie). Nowak czuł, jak po skroniach i szyi spływa mu pot. Teraz mówił

---

<sup>27</sup> Cel na dzisiejszą noc, Brema.

<sup>28</sup> Wylaszować się (gwarowe) - ukończyć szkolenie praktyczne w powietrzu i uzyskać prawo wykonywania samodzielnych lotów.

„Inteligent”: o rozmieszczeniu poszczególnych punktów nieprzyjacielskiej obrony przeciwlotniczej, o obszarach, na których intensywnie operują nocne myśliwce wroga, i o zachowaniu w razie ewentualnego zestrzelenia - gdzie się udać, z kim skontaktować. Wreszcie kilka słów od polskiego dowódcy i upragnione słowa:

- The briefing is over!<sup>29</sup>

Udali się teraz do gabinetu „Inteligenta”. Tu otrzymali puste koperty, każdy napisał na swojej nazwisko, potem włożył do środka wszystko, co miał w kieszeniach, a następnie oddał do depozytu. Przy sobie nie mogli mieć dosłownie nic, wszak nawet bilet autobusowy mógł zdradzić wrogowi miejsce pobytu zestrzelonego lotnika.

Na koniec każdy otrzymał zapieczętowaną kopertę z obcą walutą: niemieckimi markami, dolarami i belgijskimi frankami. W razie zestrzelenia pieniądze miały pomóc przy ucieczce.

Nowak mógł udać się teraz na kwaterę i przebrać się w strój lotny. Tajemnica już nie obowiązywała. Oczekujący w pokoju koledzy wiedzieli, że ma wziąć udział w operacji, ale nie znali jej celu. Przyszedł nawet nawigator załogi por. Wiącek, który jako oficer jadał i mieszkał osobno.

Otoczyli go teraz i pomagali mu się ubierać. Założył ciepłą bieliznę, gruby wełniany biały golf, naciągnął takie same pończochy, które sięgały aż za kolana. W czasie lotu, a szczególnie w drodze powrotnej przydawały się bardzo, gdyż na dużych wysokościach niesamowicie marzły mu kolana. Na samym końcu Nowak naciągnął długie, futrzane buty. Był gotów. Wstał, wziął podaną przez Wilskiego skórzaną kurtkę na futrze i spojrzał na kolegów. Każdy z nich mu zazdrościł. Wyczytał to z ich oczu.

- Słuchaj, Heniek - powiedział por. Wiącek. - Przyniosłem ci jedwabny szalik, będzie ci cieplej. - Mówiąc (to, włożył mu go na szyję.

- No to, stary, trzym się! Zapamiętaj sobie wszystko, bo zdasz nam szczegółową relację po powrocie - powiedział Wilski, jego dowódca, i ucałował go serdecznie.

Był wdzięczny chłopcom za dodanie mu otuchy. Przecież leciał z obcą załogą, i to pierwszy raz. Bał się trochę, ale za żadne skarby świata nie dałby tego po sobie poznać.

Odprowadzili go pod budynek dowództwa, gdzie czekał już samochód dowódcy stacji. Koło wozu zgromadziła się już prawie cała załoga, czekali tylko na dowódcę, ale i ten pokazał się w drzwiach budynku. Po chwili ruszyli w kierunku dispersalu. Nowak obejrzał się na chłopców, ale w mroku nocy znikli mu z oczu.

Na dispersalu przy samolotach czekała już obsługa naziemna. Rusznikarze kończyli podwieszanie bomb, które znikały w wielkich, wydętych brzuchach Wellingtonów. Po chwili słychać było szum zamykanych drzwi bombowych.

Do wysiadającego z samochodu G/C Gordona podszedł szef mechaników w stopniu chorążego, podając mu długą, grubą książkę samolotu, gdzie każdy ze specjalistów po wykonaniu swoich czynności musiał w odpowiedniej rubryce złożyć podpis. Szef nie kontrolował nikogo; pilnował tylko,

---

<sup>29</sup> Odprawa skończona!

alby każdy specjalista podpisał swoją „działkę”, za którą był odpowiedzialny. Na końcu podpisywał się on sam.

Gordon pochylił się nad podaną mu książką, sprawdził, czy jest tam podpis szefa, i jako ostatni złożył swój, w ten sposób przyjmując maszynę gotową do lotu. Pod samolotem stał już wózek z akumulatorami. Dzięki temu przy zapuszczaniu pierwszego silnika nie pobierano prądu z 24-woltowego akumulatora pokładowego.

Wellington oznaczony był literą „H”.

Dobry znak, pomyślał Nowak. Pierwsza litera mojego imienia.

Kolejno wchodzili do samolotu, trzymając w ręce spadochrony pobrane tuż przed lotem. Nowak zapiął szczelnie „maywestkę” i szelki spadochronu, sprawdzając jednocześnie prawidłowość działania zwalniającej je klamry.

Już na drabince zatrzymał się na chwilę, bo do Wellingtona z literą „H” podjechał wóz z „katering” (dział wyżywienia pokładowego). Nowak wziął od „wafki” prowiant i trzy termosy z gorącą kawą i podał to wszystkemu nawigatorowi. Wchodząc do środka Henryk rzucił okiem na przyrządy. Jaśniały jasnozielonym fosforem, rzucając cień na twarz dowódcy, który siedział za sterami z lewej strony. Dowódca nastawiał wysokościomierz na ciśnienie lotniska.

Przecisnął się do swego miejsca i usiadł na ruchomym fotelu, kładąc jednocześnie spadochron pod radiostację. Przypiął z jednej strony maskę, w której miał zainstalowany mikrofon i wiszący jeszcze luźno przewód od tlenu, poprawił i sprawdził raz jeszcze szelki spadochronu, by nie przeszkadzały mu w czasie pracy. Miejsca miał niewiele. Na razie było mu bardzo gorąco, wiedział jednak, że gdy wyjdą na wysokość, przez liczne szczeliny w maszynie będzie wiało jak wszyscy diabli.

Po chwili wstał. Na wprost jego stanowiska po prawej stronie na ścianie wisiła mała skrzynka IFF. Wetknął w gniazdko wtyczkę intercommu i po chwili usłyszał charakterystyczny dźwięk. W porządku! Gdy wracał na swoje miejsce, dawało się już odczuć lekkie drżenie kadłuba samolotu. To drugi pilot zapuszczał drugi silnik. Silnik kichnął, zakrzuszył się lekko, wypluł z rur trochę dymu i ognia i nareszcie chwycił. Teraz pracował równomiernie na małych obrotach, grzejąc się powoli.

Nowak mógł już uruchomić radiostację główną. Najpierw włączył małą stację, za pomocą której utrzymywał łączność z kontrolą lotniska. Teraz, gdy pracowały już oba silniki, włączył Marconiego 1154-1155. Był to odbiornik-nadajnik, używany prawie we wszystkich samolotach bombowych RAF. Sam odbiornik, mała, czarna podłużna skrzyneczka, miał kilka zakresów fal. Na nim, na specjalnych amortyzatorach i izolatorach, stał kwadratowy, również trzyzakresowy nadajnik. Każdy zakres dla ułatwienia oznaczony był innym kolorem: fale długie kolorem żółtym, średnie czerwonym i krótkie niebieskim. Odpowiednio do tego oznaczono także wskaźniki odbiornika. Na kadłubie umieszczona była antena ramowa goniometru, zaś wewnątrz, na wysokości wzroku radiotelegrafisty, znajdował się okrągły wskaźnik goniometru z podziałką 360° oraz wskaźnik ILS<sup>30</sup> i jego strzałki prowadzące. Identyczny przyrząd miał przed sobą pilot. Prowadząc maszynę obserwował uważnie strzałki - gdy był na kursie, krzyżowały się, zaś gdy rozchodziły się, był to znak, iż należy wykonywać odpowiedni manewr.

---

<sup>30</sup> Instrument Landing System - urządzenie do lądowania przy złej widoczności.

Sprawdził całe swoje „chazajstwo”, wszystko grało. Był zadowolony. Poczut się zaraz różnie. Włączył intercomm na kanał „A”. Gdy urządzenie było na kanale „A”, wzajemnie słyszeć się i rozmawiać mogła cała załoga, na kanale „B” słyszą się wszyscy, nie słysząc tylko radiotelegrafisty, na kanale „C” nikt nie słyszy „radioty”, on też nikogo nie słyszy, natomiast reszta może ze sobą rozmawiać. W zasadzie kanał „C” oznacza: „Jestem zajęty, proszę nie przeszkadzać!”

Ponadto przy każdym stanowisku na wysokości wzroku była umieszczona mała lampka, którą w razie awarii intercommu dowódca wzywał poszczególnych członków załogi. Każdy z nich miał umówioną liczbę świetlnych błysków; radiotelegrafista cztery. Krótkie, ostre błyski zauważało się nawet w trakcie najbardziej intensywnej pracy. Wzywany przełączał się wtedy na kanał „A” i pytał, o co chodzi.

Nowak usłyszał nagle lekkie dmuchnięcie w słuchawkach hauby. To ktoś z załogi sprawdzał mikrofon. Szum silników narastał, narastało też drżenie samolotu.

Nowak pochylił się lekko do przodu i spojrzął w stronę pilotów. „Drugi” trzymał rękę na dźwigniach gazu i obserwując wskazania przyrządów temperatury grzał silniki. Dowódca rozglądał się po kabinie, jakby czegoś szukał. Nowak powrócił do swego „królestwa”. W tej samej chwili usłyszał w słuchawkach:

- Numer pierwszy do drugiego, sprawdzam gotowość, odbiór.

- Numer dwa na odbiorze, sir, słyszę na pięć, gotów.

- Numer trzeci?

- Numer trzeci OK.

- W porządku. Czwarty?

Numer czwarty, to ja, ocknął się Nowak.

- Numer czwarty OK, sir - powiedział może trochę zbyt głośno.

- OK, numer czwarty, mów trochę ciszej. Numer piąty?

- Numer piąty na pięć, sir.

„Numer szósty” stał już koło Nowaka. Nie mógł wejść jeszcze na swoje stanowisko w dziobie samolotu. Podczas startów i lądowań stanowisko strzelca przedniego musiało być puste. Chodziło o jego bezpieczeństwo.

Łączność z załogą została sprawdzona.

- Numer czwarty?

- Na rozkaz!

- Będziesz prowadził rozmowę z wieżą kontrolną, dam ci znać, kiedy. Ja będę na podsłuchu.

- Rozkaz!

Oho, coś nowego, zwykle rozmowy z wieżą kontrolną prowadzi kapitan bądź też „drugi”. Widocznie - Stary” chce mnie sprawdzić, pomyślał Nowak. Niech sprawdza! Nie, to chyba na wypadek awarii.

Nowak, gotów do nawiązania natychmiastowego kontaktu z wieżą kontrolną, trzymał teraz w ręku mikrofon małej radiostacji TR-9. Wychylił się lekko, obserwując dowódcę. Widział tylko połowę jego pleców, prawe ramię i kawałek głowy. Po chwili ręka pierwszego pilota uniosła się ku górze w kierunku Nowaka. Był to dla niego znak; miał teraz prosić o zezwolenie na kołowanie i start.

- Halo „Bluebird”, halo „Bluebird”, This is „Charlie”, seven calling, how do you read, over<sup>31</sup>

Nowak był dumny; użył znaku jednocyfrowego, znaku (dowódcy. Inni piloci mieli znak wywoławczy dwucyfrowy.

- Halo „Charlie” siedem, tu „Bluebird”, słyszę dobrze, nadawaj! - przyszła natychmiastowa odpowiedź z wieży kontrolnej.

Po nawiązaniu łączności z wieżą kontroli lotniska otrzymał instrukcję kołowania na start, kierunek startu, kierunek i prędkość wiatru i pas startowy w użyciu. Nie musiał tego wszystkiego przekazywać pierwszemu pilotowi, bowiem słyszał on doskonale rozmowę Nowaka z wieżą kontrolną i gdy ten chciał zameldować, przerwał mu, podnosząc kciuk do góry.

Samolot drgnął i powoli ruszył z miejsca, tocząc się niezgrabnie po trawiastej części lotniska. Otaczająca ich załoga naziemna rozstąpiła się, robiąc im miejsce, i podnosząc kciuki do góry, życzyła im szczęścia. Za pomocą tego jednego gestu można było przekazać wiele - wszystko, co pomyślne. Natomiast kciuk wędrujący w dół zwiastował złe wieści.

W słuchawkach słychać było głosy pilotów meldujących gotowość. Jeszcze tylko krótkie polecenia Gordona, kierowane do poszczególnych pilotów kołujących na start, i sam już poprosił wieżę o zezwolenie zajęcia pasa i startu. Zajaśniały światła, zapalone tuż przed maszyną.

Otrzymali zezwolenie na start; silniki były już rozgrzane, więc zajęli miejsce na pasie. Nowak zapisał w dzienniku pokładowym treść przeprowadzonej rozmowy, czas odkołowania i teraz czekał z mikrofonem w ręku.

Zawyły silniki. Wellington szarpnął gwałtownie jak koń podcięty batem i zrazu wolno, a potem coraz szybciej zaczął się toczyć po betonowym pasie lotniska. Nowak patrzył na umykające dwa rzędy świateł i na zbliżające się coraz bardziej czerwone światła informujące o końcu pasa i granicy lotniska. Teraz maszyna już biegła z dużą prędkością, drżąc z wysiłku. Światła graniczne były tuż-tuż. Pilot wykonał rękami ledwo dostrzegalny ruch, wibracja nagle ustała, czerwone światła raptownie wpadły im pod płaty. Byli w powietrzu.

Henryk usiadł na swoim miejscu i spojrzał przez małą, umieszczoną po lewej stronie na wysokości wzroku szybę. Lotnisko zostało daleko w tyle.

Zwykle Wellingtony tych okienek nie miały, ta maszyna była wyjątkiem. Samolot leżał w łagodnym skręcie. W tej chwili w powietrze wychodził następny bombowiec, jego światła pozycyjne przechylały

---

<sup>31</sup> Halo „Niebieski Ptak” (kryptonim wieży kontrolnej), woła „Charlie” (kryptonim pilotów jednostki), siódmy woła, jak słyszysz, odbiór!

się w obie strony. Nowak zanotował podany mu przez wieżę czas startu: godzina 23.17. Zaczęli teraz wchodzić na .wysokość, robiąc szerokie rundy nad lotniskiem. Chodzili tak około 40 min., nabierając wysokości. W tym czasie do formacji dołączyło osiem pozostałych maszyn. Weszli na kurs. Podał do kontroli czas odejścia od lotniska i wejście na kurs i na tym łączność z wieżą została zakończona.

- Do powrotu! - usłyszał jeszcze w słuchawkach głos kontrolera.

Wyłączył TR-9 i zapiął wiszącą dotychczas luźno maskę tlenową. Najwyższy czas! Tlen był już potrzebny. Odkręcił kurek butli, znajdującej się z lewej strony jego stanowiska, i natychmiast poczuł rzeźwiący strumień chłodnego tlenu. Zredukował ciśnienie dopływu. Teraz było już dobrze!

Nawigator podał kurs 115 stopni. Szli teraz kluczem po trzy samoloty, tak jak to uzgodniono na odprawie. Maszyna G/C Gordona znajdowała się na czele. Nowak wyrzwał znów przez swojego „judasza”. Po lewej stronie, nieco z tyłu, szedł lewy boczny. Wydawał mu się olbrzymi. Czarny, leżał trochę niżej od ich poziomu.

Po chwili wyskoczył do góry i znalazł się nieco wyżej od Wellingtona dowódcy. Spód miał ciemnoniebieski.

Wychodzili w morze. Mijali Northwich. Nad miastem masa balonów zaporowych. Szli specjalnym korytarzem, czymś w rodzaju bramy wylotowej. Z obliczeń Nowaka wynikało, że miasto zostawało już za nimi. Northwich było zaciemnione, a więc niewidoczne z góry. Gdzieś daleko w przodzie Henryk dostrzegł wrzynające się w ląd morze.

Szybko wziął namiary na znajdujący się w Cromer beacon. Pierwszy namiar, po minucie drugi i za minutę trzeci. Wydawało mu się, że wiatr w górze był dużo silniejszy, niż podawało „meteo” na ziemi. I kierunek też nie bardzo się zgadzał. -Chyba się „Prorok” trochę rąbnął. Podał te dane nawigatorowi. Jednocześnie dokonywał pięciominutowego obowiązkowego nasłuchu na Grupę. Po skończeniu tej czynności wziął ponownie trzy kolejne namiary, tym razem na Margate. Przekazał je szybko nawigatorowi, który pochylony nad rozłożoną na stole mapą już na niego czekał. Po chwili pilot przyjął poprawkę kursu.

Byli już nad morzem. Przez ostatni kwadrans Nowak pilnie pracował, chcąc mieć wszystko gotowe na czas, aby nikt nie musiał na niego czekać. Następne piętnaście minut, do kolejnego nasłuchu, miał do swojej dyspozycji. Mógł trochę odpocząć. Spojrzał znów przez swego „judasza”, a potem zaczął obserwować pilotów. Siedzieli prawie nieruchomo, przed nimi czernił się horyzont.

Nawigator trącił go w rękę, w wyciągniętej dłoni trzymał otwartą paczkę papierosów. Śmiesznie wyglądał w masce, podobnej do świńskiego ryjka. Zapal sobie, mówiły jego oczy.

- Ale jak? - powiedział Nowak głośno do intercommu.

Piloci jak na komendę odwrócili głowy w ich kierunku.

- Good idea!<sup>32</sup> - usłyszał Nowak w słuchawkach głos Gordona. Teraz Henryk trzymał w ręce papierosa, nie bardzo wiedząc, co z nim zrobić. Przecież na twarzy miał maskę.

- Watch!<sup>33</sup> - trącił go znów nawigator.

---

<sup>32</sup> Dobry pomysł!

Odciągnął lekko maskę, zapalił, pociągnął szybko dwa „cugi” i opuścił ją. Nowak zrobił to samo. Spojrzał z wdzięcznością na majora, a ten się roześmiał.

Teraz już nie byli sami. Gdy po piętnastu minutach intensywnej pracy Nowak znów spojrzał przez swoje okienko, zobaczył dużą formację idących tym samym kursem samolotów. Szły w podobnym jak oni szyku. Już nie byli pierwsi. Maszyny szły przed nimi, z boku, z tyłu. Tylko nie wiedział, co po prawej, bo widzieć nie mógł, ale tu widok był imponujący! Czasami miał ochotę krzyknąć z przerażenia, bo wydawało się, że sąsiad z lewej „ładuje” się wprost na nich, ale nie, przeszedł wyżej...

Lecieli przez cały czas nad morzem. W dole bieleły się grzywy wzburzonych fal, na dole też wiatr musiał być silny. Samolotem huśtało zdrowo, Nowak zaparł się nogami i lewym łokciem, bowiem odbierał teraz „broadcast”.

Szybko go odszyfrował i podał nawigatorowi. Było już dobrze po północy, więc musiał zmienić szyfr. Odebrana wiadomość dotyczyła zmiany zapasowego celu: miał być nim teraz port w Bremerhaven.

Wchodzili nad przeciwległy brzeg od strony Rotterdamu. Dostrzegł zarysy zaciemnionego miasta, wysepki i porżnięty kanałami ląd. Świecił księżyc, widoczność była wspaniała. W słuchawkach panowała cisza.

Idą teraz w głąb lądu. Są już nad terytorium Holandii. Zajęty pracą Nowak nie zauważył, że z samolotem dzieje się coś niedobrego. Przepadał on gwałtownie, aby po chwili znów raptownie wyskoczyć w górę. Henryk miał trudności z utrzymaniem się na swym fotelu. Dopiero gdy wyrznął głową w dach, zwrócił uwagę na to, co działo się na zewnątrz. Wychylił się w prawo i ujrzał dziwne światło, które zalewało kabinę pilotów. Teraz było ono wszędzie, wdzierało się szparami nawet do jego pomieszczenia. Światło drgające, pulsujące. Masa światła!

Skąd ja już to znam? myśli gorączkowo. No tak. Zorza Polarna! Widział ją po raz pierwszy na dalekiej północy Związku Radzieckiego. Ale przecież tu nie ma Zorzy Polarnej, więc co to może być? Piloci siedzieli w swej kabinie nieruchomo. Obaj trzymali ręce na sterach. -Story na szybach przednich były zaciągnięte, potoki tego dziwnego światła wlewały się przez, oszklony przód i boki.

Nagle zrozumiał. To przecież były reflektory! Setki reflektorów! Muskały one maszynę i wdzierały się do środka przez każdą szparę. Spojrzał w dół przez swoje okienko.

- Cholerny świat! Władowaliśmy się na balony zaporowe, tego jeszcze brakowało! - zaklął.

Przyjrzał się jednak baczniej, owe „balony” zaczęły powoli rozptywać się w powietrzu. To były obłoczki dymu artylerii przeciwlotniczej! Nie miał nic w tej chwili do roboty, patrzył więc zafascynowany. Ale fajerwerk!

Przez sekundę podziwiał ten zaiste niepowtarzalny widok. Świetlne punkciki biegły z dołu w ich kierunku, podobne paciorkom różańca, śmiesznie kołysały się, wciąż przybliżając, aż wreszcie rozrywały się, na szczęście w przyzwoitej od nich odległości. To były zenitówki. Czasami słyszeli eksplodujące pociski, mimo że byli w haubach.



Nowak poczuł się nieswojo. Znów szybki rzut oka do przodu. Dowódca pokazywał coś ręką drugiemu pilotowi. Natężenie światła w kabinie rosło, ale po chwili gwałtownie zmalało. Samolotem przestało rzucać. Wydostawali się szczęśliwie spod bardzo silnego ostrzału artyleryjskiego. Teraz z kolei groziło im spotkanie z nocnymi myśliwcami. Na razie jednak panował spokój.

- Bili do nas z okolicy Dortmundu i Munster - powiedział nawigator. - Jak się czujesz?

- OK - podniósł kciuk - trzymam się.

- Fine!<sup>34</sup> - zaśmiał się. - To nie było takie straszne - dodał.

Wobec tego co dla niego jest straszne? zaniepokoił się Nowak. Czy może być jeszcze gorzej? Popatrzył na maszyny po lewej, nie leciały już tak ładnym szykiem, odległości nie były wyrównane. Teraz każdy uważał tylko, aby nie władować się na sąsiada. Po chwili znów zaczęły wyrównywać szyki. Lecąc w kluczach tworzyły zwartą siłę, przecież musiały być gotowe na ewentualny atak nocnych myśliwców.

Wellingtonem znów zaczęło lekko podrzucać. To ponownie odezwali się ci z dołu. Po chwili rozpętało się istne piekło. Nowak gotów był się zgodzić z majorem, że tamto nie było straszne. Bombowiec sunie teraz jak po wybrukowanej „kocimi łebkami” ulicy, wstrząsy i raptowne zmiany wysokości coraz bardziej dają się we znaki. Ciągle jeszcze nie zdawał sobie sprawy z tego, co właściwie dzieje się na zewnątrz. Spojrzał znów do kabiny pilotów i wtedy dostrzegł widoczny z dala, oświetlony „flarami” cel... Brema!

Nawigator położył się na skórzanym materacu, ochraniającym drzwi wejściowe, zajmując stanowisko bombardiera. Z prawej strony na tablicy przykryte czerwoną bibułą wystawały końcówki przełączników wyzwalających bomby. Major szybkimi ruchami zrywał bibułki, obnażając bezpieczniki. Opuścił je wszystkie w dół. Poleciała cała seria.

Hurtownik! pomyślał Nowak.

- Bomby odbezpieczone, sir! - zabrzmiał w intercomie głos majora.

- OK, prowadź.

- Tak trzymaj, idziesz dobrze - odpowiedział nawigator, zarzucając oficjalny ton.

Ponieważ Nowak nie miał w tej chwili nic lepszego do roboty, przyglądał się im z zaciekawieniem. Nagle coś przeraźliwie błysnęło. Samolotem szarpnęło nagle w górę, potem w dół! Henryk znów wyrzucił głowę w sufit, aż mu pociemniało w oczach; żołądek podskoczył do gardła.

Maszyna idzie w dół! pomyślał w popłochu.

I rzeczywiście szła! Ale na szczęście wyrównała. Spojrzał przez swoje okienko i aż mu dech zaparło. Oto leciała w dół inna maszyna, podobna do płonącej pochodni. To był jeden z Wellingtonów, trafiony przez artylerię. Drugi eksplodował w powietrzu i to było powodem wstrząsu. Samolot Nowaka znów jakby szedł po kocich łbach.

---

<sup>34</sup> Pięknie!

Henryk widzi w dole tysiące błysków; wydaje mu się nawet, że słyszy huk kanonady, ale to tylko złudzenie. Na szczęście docierał do jego uszu tylko odgłos pracy silników.

- Otwieram drzwi bombowe - dało się słyszeć w słuchawkach.

To drugi pilot, pomyślał Nowak.

- Cel widoczny, idę prosto - tu znowu głos dowódcy.

Pod nimi musiało być piekło. Co chwila nowe serie bomb szły w cel i wybuchały, wzbijając fontanny ognia.

Teraz oni. Nadchodzą nad cel. Nawigator leży na drzwiczkach, twarz przycisnął do celownika.

Prowadzi. W pewnej chwili ręka trzymająca przycisk „gruszki” powędrowała w górę.

- Uwaga - rozległ się jego głos w słuchawkach. - Bomby!

Samolot lżejszy o dwa tysiące kilogramów „bagażu” wyprysnął raptownie w górę, ale doświadczona ręka pilota trzyma go mocno w karbach. „Pierwszy” przewidział ten ruch, wyszedł mu naprzeciw. Po chwili posłuszny już Wellington położył się w skręt, robiąc miejsce innym.

Wracamy! Teraz już po wszystkim, ucieszył się przez moment Nowak, ale zaraz dostrzegł płonący bombowiec, gwałtownie spadający ku ziemi. Niemal jednocześnie przez środek jego maszyny przeleciały jakieś odłamki, gwałtowny wstrząs rzucił go twarzą na radiostację. Na szczęście uderzenie złagodziła maska tlenowa. Nowak zerwał się i spojrzawszy za siebie dostrzegł w kadłubie samolotu kilka dużych, o postrzępionych brzegach dziur.

Wpadł w panikę. Wyrwał wtyczkę intercommu i wyłączył wąż od tlenu. Trzymając się kurczowo ścianek samolotu, wtargnął do kabiny pilotów. Tu dopiero widać było mrowie mknących im na spotkanie pocisków. Z prawej znów szedł w dół płonący Wellington, ciągnąc za sobą smugi dymu i ognia. Białawy czasze spadochronów, to ratowała się załoga.

Nowak stracił panowanie. Chwyciwszy dowódcę za ramię, zaczął krzyczeć z przerażenia. Maskę miał od-, piętą i mikrofon nie podłączony, więc na szczęście żaden z kolegów nie mógł tego słyszeć.

Gordon spojrzął na niego, ściągnął brwi, a potem wskazał zapasowe gniazdko intercommu.

Nowak zrozumiał i, choć na pół przytomny, wcisnął w nie wtyczkę.

- Słyszysz mnie? - spytał Gordon.

Nowak skinął głową; nie mógł wykrztusić słowa.

- Wracaj na miejsce i połącz się z bazą - usłyszał polecenie.

Na Nowaka podziałało to jak przysłowiowy kubek zimnej wody. Uspokoił się zupełnie. Jeśli Gordon, doświadczony pilot, który nieraz był nad takim celem, nie odczuwa trwogi, to znaczy, że wszystko toczy się normalnie. Przecież on też chce żyć, uspokoił sam siebie. Tak widać przebiegają loty operacyjne.

Wrócił na miejsce, przełączył się na kanał C. Nikt go teraz nie słyszał i on również nie słyszał nikogo. Zajął się pracą, od czasu do czasu zerkając na sygnalizator optyczny. Połączył się z Grupą.

Teraz słyszał meldunki składane przez samoloty innych ugrupowań. Ktoś nadawał 3 ikсы, ktoś groźny sygnał SOS. Nowak musiał czekać na swą kolejkę, bo tamci mieli pierwszeństwo. Rzucanie samolotem ustało, powoli wchodzili w pas ciemności. Sygnalizator zamrugał czterokrotnie. Nowak wzywał dowódcę. Szybko przełączył się na kanał A.

- Numer 4 na odbiorze, sir - zameldował.

- Przekazać do bazy: Bomby w celu nr 1, leżymy na kursie powrotnym, czas rzutu godzina 03.06, wejście na kurs powrotny 03.15. Sektor powrotny VI. O stanie pozostałych samolotów za chwilę.

Nowak pokwitował i nie wyłączając kanału A wywołał bazę. Zgłosiła się natychmiast. Nadał to otwartym tekstem. Sypał szybko, tak jak tylko mógł przerzucić przekaźnik antenowy poruszony kluczem. Wszyscy słyszeli, że pracuje, więc nikt mu nie przeszkadzał. Po chwili odebrał z bazy pokwitowanie i depeszę, którą przekazał nawigatorowi. Baza potwierdziła VI sektor i zalecała ostrożność - na tym terenie mogły operować myśliwce.

Teraz łączność z bazą mogły nawiązać już wszystkie maszyny, przy czym samoloty dowódców mają pierwszeństwo. Nowakowi czas już się nie dłużył, pracując na kanale C nawet nie zauważył, kiedy stanął przy nim nawigator i poprosił o dokonanie namiaru, podając nazwę stacji, która powinna być już w zasięgu ich radiostacji. Znajdowali się nad Kanałem.

Nowak wyrzucił nawiniętą na bęben linkę anteny zwisowej, spoczywającą w specjalnym schowku. Dotychczas pracował na falach krótkich, toteż nie była mu potrzebna, teraz musiał przejść na długie. Obciążona ciężarkami antena szybko szła w dół. Patrzył na przyrząd wskazujący, ile jej metrów jest już w dole. Wystarczy! Zablokował i przełączył zakres odbiornika na długie, szukając znajomego sygnału. Złapał na fali jakiś daleki, cichy pisk. Czekał na podpis. Jest!

Nawigator wszedł do wieżyczki „astro”, trzymając w ręku sekstant. Po kilku minutach Nowak ponawia namiar. Sygnał jest już dużo wyraźniejszy. Bierze szybko kolejne namiary na ten sam beacon, co pozwala mu z grubsza określić pozycję własną. Nawigator jest wyraźnie zadowolony. Nanosi poprawkę kursu, jest ona zresztą niewielka. Idą dobrze!

Henryk spojrział przez swojego „judasza”. Lewy boczny jest, ale daleko w tyle. Innych maszyn na razie nie widzi, ale dowódca rozmawia z nimi przez TR-9.

- Jak daleko do brzegu? - pyta Nowak nawigatora.

- Około dwudziestu minut - pada odpowiedź.

Teraz już wie, że wszystkie maszyny z ich formacji wracają. Są rozproszone, mają postrzelane kadłuby tak jak i oni, ale ciągną do domu. Nowak przekazał te dane Gordonowi. Dowódca kiwnął głową z zadowoleniem.

Czas sprawdzić i uruchomić IFF. Włączył, odczekał chwilę. Urządzenie grało. W porządku! Po chwili czerń nocy poczęła ustępować. Świtało. Rozejrzył się teraz po maszynie i aż zamarł z przerażenia. Z lewej, tuż koło jego stanowiska, ziały pustką dwie duże dziury, ich postrzępione brzegi łopotały na

wietrze. Mogło być gorzej, pomyślał po chwili, poważniejszych uszkodzeń na oko nie widać. Maszyna po tygodniu może iść ponownie na lot. Najważniejsze są silniki, one niosą ich do domu. Na szczęście pracują wspaniale, jakby rozumiały, że życie załogi zależy od nich.

Nowak przypomniał sobie wrzesień 1939 roku i artylerię przeciwlotniczą, na którą wszyscy tak psioczyli. Dopiero teraz zrozumiał, że choć wystrzelała ona setki pocisków do samolotów wroga, nie każdy z nich mógł być celny...

Daleko przed nimi majaczy angielski brzeg. Znajome radiolatarnie pracują głośno, inne, przybrzeżne, wesoło mrugają do nich swoimi światłami. Wszystko idzie już normalnym trybem, jak na ćwiczeniach! Tyle że Nowak czuje potworne zmęczenie. Wchodzą nad ląd w pobliżu Cromer. Tu znów zmiana kursu. Idą teraz w lewo kursem na Bramcote tak zwaną bramą przylotową, z przeciwnej strony. Teraz już dowódca może porozumieć się z innymi załogami i Operation Room (pokój operacyjny, w skrócie „Ops”) przez radiostację krótkofalową. Idą prosto po kursie na VFR (Visual Flight Rules - lot z widocznością), a więc namiary już nie będą potrzebne. Nowak wciąga antenę zwisową, aby podczas lądowania nie zaczepić nią o drzewa. Są już blisko domu. Schodzą. Spojrzał na wysokościomierz - wskazywał 900 stóp.

Zamknął dopływ tlenu, odłączył gumowy wąż, odpiął maskę i zaczerpnął świeżego powietrza. Odetchnął pełną piersią. Zakończył rozmowę z bazą, zostawiając „Marconiego” na podłuchu, i wzięł mikrofon radiostacji TR-9.

- Gdzie jesteśmy? - spytał nawigatora.

- Back home<sup>35</sup> - odpowiedział major, wygładzając wąsa, który przyciśnięty maską wisiał teraz żałośnie. - Czterdzieści mil od lotniska - dodał.

Nowak spróbował wywołać wieżę kontrolną. Odpowiedzieli natychmiast. Otrzymał dane meteorologiczne i ciśnienie w rejonie lotniska. Przekazał je pilotowi, a potem wyłączył „Marconiego”, który nie był mu już potrzebny.

Podchodzili do lotniska na trzystu metrach. Teraz i pozostałe maszyny nawiązywały łączność z wieżą kontrolną. Jeden donosił, iż ma kłopot z silnikiem. Jakiś Amerykanin na „Latającej Fortecy” prosił o pozwolenie lądowania, gdyż obawiał się, że na swoje może nie dociągnąć. Dostał zezwolenie i robi teraz podejście na GCA (Ground Control Approach - lądowanie, w czasie którego ziemia prowadzi samolot za pomocą radaru).

Ich samolot „H” jako „najzdrowszy” krąży w strefie oczekiwania. Zapasu paliwa mają jeszcze na godzinę i 45 min. Pogoda jest dobra, silniki spokojnie pracują, mogą czekać. Po kilku minutach przychodzi ich kolej. Dostają polecenie schodzenia i zejścia do lądowania. Mają kolejkę numer dwa. Nowak wychylił się do przodu, aby zameldować o tym dowódcy, ale ten gestem dłoni dał mu do zrozumienia, że słyszy i śledzi sytuację. Przejął stery od „drugiego”.

Wchodzą w rundę. Przed nimi maszyna na jednym silniku, więc idą za nią w dużej odległości, bo nigdy nie wiadomo, jak tamtym wyjdzie lądowanie. Po obu stronach pasa mniej więcej w miejscu, gdzie

---

<sup>35</sup> W domu.

powinna dotknąć kołami ziemi, stoją wozy strażackie i dwie sanitarki. Widoczność jak na angielskie warunki wspaniała!

„Inwalida” ciągnący przed nimi jakoś wylądował, teraz na prostą wchodzą oni. Daleko przed nimi cienka niteczka pasa startowego. Poprzednik okolował już od pasa na bezpieczną odległość i wyłączył silniki, na stojankę będą go ciągnąć traktorem.

- Możecie lądować - słyszy z wieży kontrolnej. - Powtarzam: wiatr...

Drugi pilot opuścił już dźwignię podwozia. Zamigotały światelka kontrolne, zielone, czerwone, znów zielone i tak już pozostało. Samolotem szarpnęło; to wyszło podwozie. Strzelec przedni wygramolił się ze swojej wieżyczki, stanął obok Nowaka i przeciąga zmartwiałe „gnaty”.

Nowak z mikrofonem w ręku stoi w przejściu, czujny na każde skinienie dowódcy, bo przecież w każdej chwili mogą ich poderwać na drugą rundę lub też przerwać podejście zauważwszy coś, czego oni tu, wewnątrz, nie widzą. Przecież ich maszyna też oberwała. Ale wszystko przebiega normalnie. Są już na krótkiej prostej. Obaj piloci mają teraz pełne ręce roboty. Drugi wcisnął dźwignię klap, wyszły. Jedna czwarta, połowa. Oczy utkwione w tablicę przyrządów... Co chwila odczytuje na głos szybkość podejścia: 160 - 140 - 90. „Pierwszy” patrzy przed siebie, trzymając oburącz wolant. Załamał lekko, dodał trochę gazu, aby podtrzymać maszynę przez sekundę, potem zredukował do minimum. Silniki strzeliły jeszcze dwa razy, jakby z uciechy, że za chwilę będą w domu. Lekkie uderzenie o beton, potem drugie i już łagodny wstrząs z lekkim popiskiwaniem hamulców kołującej po pasie maszyny.

- Lądowanie 5.53 - podaje wieża kontrolna.

Nowak pokwitował, zapisał w dzienniku pokładowym, notując także przypuszczalny czas zwolnienia pasa. Zwolnili go szybko, aby zrobić miejsce innym krążącym w strefie oczekiwania maszynom. Teraz Wellington toczy się ciężko po trawie, zamiatając ogonem przy każdym zakręcie.

Nowak odetchnął z ulgą. Jego pierwszy lot bojowy w RAF dobiegał końca. Zapisał w swoim log-book (osobista książka lotów każdego członka personelu latającego) na razie ołówkiem, jutro poprawi czerwonym atramentem: Sortie 1 Bremen, total 6,36<sup>36</sup>.

Podkołowali pod stojankę i wyłączyli silniki. Nowak zdjąwszy haubę stwierdził, że jest spocony. Wytarł chusteczką pozlepiane włosy i mokre czoło. Teraz powoli schodzili po drabince, dźwigając w rękach swoje spadochrony. Gromadnie obstąpili ich mechanicy i koledzy, byli również chłopcy z załogi Nowaka, ciekawi szczegółów jego pierwszego lotu. Każdy ze specjalistów miał „interes” do swojego członka załogi, inni oglądali dziury na kadłubie.

- Jak radio, sir? - zwrócił się do Nowaka radiomechanik i naraz w jego oczach odmalowało się zdziwienie. Dopiero teraz dostrzegł sierżanckie „strajpsy” Nowaka. Zwykle jako radiotelegrafista z pułkownikiem latał kapitan, stąd owo „sir”.

Henryk podniósł kciuk do góry.

- Radio OK Corporal, thank you very much!<sup>37</sup>

---

<sup>36</sup> Pierwsza operacja Brema, suma godzin 6,36 minut.

<sup>37</sup> Radio w porządku, kapralu. Dziękuję bardzo!

Wszyscy czekali teraz na dowódcę. Jak zwykle wyszedł ostatni. Zatrzymał się chwilę, aby pomówić z szefem mechaników chorążym Psujkiem. Nazwisko wcale nie pasowało do mechanika, był to prawdziwy artysta w swoim „fachu”. Obaj oglądali bombowiec, kręcąc głowami.

- Idziemy! - powiedział Gordon. Nagle jego wzrok zatrzymał się na Nowaku.

- Sorry, Sir - powiedział Nowak cicho, wstydząc się swojej paniki. - To było silniejsze ode mnie.

Dowódca położył mu rękę na ramieniu; był dużo wyższy.

- Good show, Sergeant38 - powiedział głośno, a potem już ciszej: - Bales się?

- Strasznie!

- Ja też - odpowiedział wolno, nie patrząc na Nowaka, który wprost nie wierzył własnym uszom. - Ja też - powtórzył zamyślony. - Ale pamiętaj - powiedział z naciskiem - pamiętaj, że kiedyś może i ty będziesz dowódcą. Nigdy nie wolno okazać ci strachu. Podległa ci załoga musi być przekonana, że właściwie oceniasz sytuację, umiesz z niej wybrnąć i że jesteś pewny siebie - zakończył, wciąż trzymając rękę na jego ramieniu. Mówił cały czas półgłosem, tak że pozostali członkowie załogi nie mogli ich słyszeć.

- Jedź pod kasyno - rozkazał kierowcy pułkownik - a potem pojedziesz do „Inteligenta”. Powiedz mu, że będziemy u niego za pół godziny, teraz niech weźmie do „spowiedzi” inne załogi.

Udali się wszyscy do kasyna oficerskiego na drinka. Stawiał G/C Gordon.

## Skierowanie do dywizjonu 300

Załoga Nowaka dostała skierowanie do dywizjonu bombowego 300 imienia Ziemi Mazowieckiej, stacjonującego w tym okresie - był czerwiec 1943 roku - w RAF Station Ingham. Przed wyjazdem do nowego dywizjonu Nowak zaczął zbierać informacje o tej jednostce. Tu, w Bramcote, spotkał ludzi, którzy pamiętali narodziny pierwszego polskiego dywizjonu bombowego. Oto czego zdążył się dowiedzieć.

Wczesną wiosną 1940 roku na lotnisku Hucknall w Wielkiej Brytanii powstała pierwsza polska bojowa jednostka treningowa: 18 OTU. Szkolono się na samolotach typu Fairey „Battle”. Był to lekki bombowiec, dolnopłat konstrukcji metalowej. Jeden silnik Rolls-Royce „Merlin” o mocy 1030 KM. Uzbrojenie: dwa karabiny maszynowe typu Vickers „K”, 450 kG bomb. Prędkość 410 km/h, pułap 8500 m, zasięg 1600 km.

Przeszkolenie przebiegało gładko i 14 czerwca 1940 roku rozpoczęło się formowanie dywizjonu bombowego numer 300 im. Ziemi Mazowieckiej. Stan początkowy: 10 załóg personelu latającego i 180 członków obsługi naziemnej. Pierwszym dowódcą dywizjonu mianowany zostaje dotychczasowy komendant OTU, do 1939 roku Dyrektor Polskich Linii Lotniczych „LOT”, wing commander (podpułkownik) Wacław Makowski. Jego doradcą do spraw technicznych został W/C K. Lewis. Dywizjon wszedł w skład VI Grupy Bombowej. 20 sierpnia 1940 roku doniosły moment: król Jerzy VI i gen. Sikorski wizytują lotnisko w Bramcote. W czasie tej wizyty padają znamienne słowa: polskie lotnictwo bombowe może wejść do akcji.

W dwa dni później dywizjon przenosi się na lotnisko Swinderby koło Lincoln, wchodząc w skład I Bomber Group. Nocą z 14 na 15 września 1940 r. dywizjony 300 i 301 startują na bombardowanie skoncentrowanych we francuskim porcie Boulogne barek niemieckich.

Historia bojowa polskiego lotnictwa bombowego w Wielkiej Brytanii zostaje rozpoczęta. Od tego dnia dywizjon 300 operuje w każdą prawie noc, atakując barki i obiekty wojskowe w Boulogne, Dunkierce, Ostendzie i innych miejscowościach. W październiku tego samego roku dywizjon przezbraja się na samoloty typu Wellington Mk-I, a potem Mk-II i Mk-III. Były to maszyny dwusilnikowe, uzbrojone w 6 sprzężonych karabinów maszynowych. Maksymalny ładunek bomb - 2315 kg. Załoga składała się z sześciu osób. Dane techniczne Wellingtona (zmienne w zależności od silników): prędkość maksymalna: 375 - 395 km/h, zasięg - około 4000 km, pułap 5000 - 10 000 m.

Z 13 na 14 października 1940 r. dywizjon ponosi pierwszą stratę. Wracający z trasy samolot wpadł na lej po bombie i rozbił się doszczętnie. Załoga zginęła w płomieniach. Od grudnia 1940 r. dywizjon zaczyna bombardować teren Rzeszy. Cele: okolice Mannheim, Bremy, Kilonii oraz baza Kriegsmarine w Wilhelmshaven.

27 stycznia 1941 roku dywizjon ponownie wizytuje król Jerzy VI z małżonką.

W styczniu 1941 dywizjon bombarduje Zagłębie Ruhry, Düsseldorf, Kolonię oraz lotniska Luftwaffe. 23 marca tego roku jednostka bierze udział w bombardowaniu dawno oczekiwanego celu - Berlina. W nocy z 3 na 4 lipca z lotniska Swinderby znowu startują polskie Wellingtony nad Bremę. Z tego lotu nie wróciła maszyna płk. pil. Bolesława Stachonia, dowódcy lotniska.

W dniu 14 lipca 1941 roku odbyło się poświęcenie cmentarza lotników polskich w Newark. Na uroczystości obecny był prezydent rządu emigracyjnego Raczkiewicz i gen. Sikorski.

W tym samym miesiącu najstarszy polski dywizjon otrzymał sztandar. Akt przekazania sztandaru na lotnisku w Swinderby mógł się odbyć dzięki inicjatywie kpt. pil. Jana Hryniewicza, który pod koniec 1939 roku przestał z Francji do kraju cztery listy z dokładnym jego opisem. Starania Hryniewicza zakończyły się pomyślnie. Wykonany w kraju sztandar lotnictwa polskiego mimo wielu trudności dotarł do Londynu 4 marca 1941 roku. Z uwagi na nieobecność gen. Sikorskiego, przebywającego z oficjalną wizytą w USA, uroczystość przesunięto na 16 lipca. Tego dnia dowódca PSP w Wielkiej Brytanii gen. Ujejski, otrzymawszy sztandar z rąk gen. Sikorskiego, wręczył go dowódcy dywizjonu 300, płk. pil. W. Makowskiemu. W Swinderby sztandar pozostawał przez trzy miesiące; po upływie tego okresu przekazywano go kolejnym dywizjom. Widniejący na nim napis: „Miłość żąda ofiary” stał się credo lotników walczących o wolność Ojczyzny z dala od jej granic.

18 lipca 1941 r. dywizjon przenosi się na lotnisko w Hemswell. W ciągu tego miesiąca lotnicy wykonali 60 lotów bojowych. Cele wypraw: Rotterdam, Hamburg, Essen, Frankfurt n/Menem, Le Havre, Mannheim, Brema, Bielefeld i Kolonia. Jesienią i zimą dywizjon bombardował nieprzyjacielskie porty, węzły i warsztaty kolejowe. Straty poniesione w 1941 r. wyniosły 50 ludzi z personelu latającego. Rok 1942 rozpoczynają wzmożone bombardowania Niemiec. W kwietniu dywizjon stracił trzy załogi (18 osób). 30 maja nad terytorium Rzeszy idzie potężna wyprawa - 1000 maszyn. Ze strony polskiej biorą w niej udział dywizjony 300, 301, 305 i załogi z 18 OTU. Było to pierwsze bombardowanie dywanowe. Zadanie zostało wykonane; przetarto w ten sposób drogę do przyszłych potężnych uderzeń na Niemcy.

Latem 1942 roku dywizjon 300 dowodzony był przez mjr. obs. Władysława Dukszkę. Lotnisko Hemswell, na którym stacjonował, było bardzo wygodnie urządzone, toteż kiedy później Polacy przenosili się do Ingham, szczerze żalowali starego miejsca postoj.

7 lipca 1942 r. załoga Wellingtona oznaczonego literą „R” - jak „Raławice” otrzymała kolejne zadanie, na które miała polecieć w rejon Borkum Riff. Oficer taktyczny, po wypowiedzeniu tradycyjnego zdania: „Target for to-night in mine lying at position...”<sup>39</sup> zwrócił załodze uwagę, iż na wodach przybrzeżnych w okolicach celu znajduje się spora liczba zakotwiczonych, wyposażonych w broń przeciwlotniczą okrętów. Równocześnie zwiad lotniczy RAF sygnalizował, że na okolicznych wyspach rozmieszczono silne baterie niemieckiej artylerii przeciwlotniczej.

Odprawa ta właściwie nie odbiegała od ustalonego schematu, z tą jednak różnicą, że załodze polecono dokładnie zidentyfikować za pomocą mapy punkt wyjściowy do celu, następnie przyjąć określony kurs, a czas minowania zanotować z dokładnością co do sekundy-

Po krótkiej odprawie i przygotowaniu do lotu o godz. 0.25 Wellington „R” wystartował. Jego pięcioosobowa załoga stanowiła jeden z bardziej doświadczonych zespołów tego dywizjonu. Dwusilnikową maszynę pilotował ppor. J. Sokołowski, nawigatorem był por. Czesław Malinowski. Nad sprawnością radia czuwał sierż. radiotelegrafista W. Brzeziński, który za plecami miał tylnego strzelca sierż. Sępa-Szarzyńskiego. „Nosa” bronił przedni strzelec, a jednocześnie bombardier kpt. Kłosiński. Mimo znacznego różnicowania stopni wojskowych załoga - jak to bywa na wojnie - stanowiła zwarty

---

<sup>39</sup> Cel na dzisiejszą noc: położenie min na pozycji...



i zgrany zespół nie tylko w powietrzu, ale i na ziemi. Biada śmiałkowi, szukającemu zwady z którymś z nich! Oczywiście na co dzień, oprócz momentów służbowych, wszyscy mówili sobie po imieniu.

Początkowo lot odbywał się spokojnie. Nad morzem szli na wysokości 2000 stóp. Po kilkadziesiąt minutach, około godziny 2.20, w rejonie latarni Borkum Riff, nawigator podał nowy kurs na wyspę Schiermonnikoog. Jednocześnie pilot obniżył do 200 stóp. W cztery minuty później rozpętało się istne piekło! Dostali się w ścieżkę silnego reflektora, a Niemcy zaczęli do nich grzać z karabinów maszynowych. Strzelcy podjęli ogniowy pojedynek, teraz oni grali pierwsze skrzypce w załodze. O godzinie 2.28 z pobliskiej wyspy odezwał się „flak”. Pilot zwiększa prędkość, starając się wyjść z niebezpiecznej strefy. Udało się! Przelatują wyspę, jeszcze ostry skręt i znad zachodniego skraju wyspy Schiermonnikoog pilot przyjmuje kurs do minowania. Za chwilę nastąpi najtrudniejszy i najniebezpieczniejszy moment. Chcąc wykonać zadanie pilot musi utrzymywać maszynę na ściśle określonym kursie.

W samolocie robi się gorąco i duszno, narasta napięcie. Właśnie w takich momentach jak ten doskonale widać zgranie załogi. Pilot prowadzi maszynę pewną ręką, nawigator podaje namiary, a radiotelegrafista i obaj strzelcy raz po raz grzeją do „szkopów” ze swoich stanowisk ogniowych.

Co chwila do uszu członków załogi dobiega charakterystyczny dźwięk przebijanej blachy. To pociski z kaemów wroga tłuką po poszyciu pocziwego „Dziadzi Wellingtona”. Ogień nieprzyjaciela staje się coraz bardziej dokuczliwy, do karabinów dołączyła artyleria, ale na szczęście za późno... Oto Wellington osiągnął swój cel. Miny poszły w dół! Teraz szybko zwrot i zmiana kursu. Samolot nabiera raptownie wysokości, odrywa się od prześladowców i bierze kurs na bazę. Baterie nieprzyjaciela milkną, nie mają już nic do roboty. Pewno się Niemcy zastanawiają, jaki był cel rajdu tego samotnego bombowca, a może są dumni, że przepłoszyli „Tommys”, którzy nie zdążyli nawet zrzucić bomb. Oni jednak zdążyli!

Załoga Wellingtona może teraz odpocząć. Radiota opuszcza boczne stanowiska kaemów i wraca do swojej „szafy” - „Marconiego”. W słuchawkach znów słyszy rodzimą bazę. Na szczęście w tej okolicy nie grasowały myśliwce.

Dochodziła godzina 5.40, kiedy Wellington miękko dotknął powierzchni betonowego pasa lotniska w Hemswell. Pilot już po chwili wkołowuje na stojankę, gdzie wyłącza silniki. Uff, mają to za sobą!

Zmęczona załoga opuszcza Wellington, który i tym razem dowiózł ich do domu, udaje się na dispersal, a stąd samochodem do „spowiedzi” do „inteligenta”, który tym razem nie czekał na nich u siebie w biurze, ale już na dispersalu wsiadł z nimi do samochodu. Teraz zadaje wiele pytań dotyczących lotu, sposobu wykonania zadania i miejsc rozlokowania nieprzyjacielskiej obrony przeciwlotniczej.

Informacje takie są bezcenne; być może uratują niejedną ostrzeżoną w porę załogę.

4 sierpnia 1942 r. siedem Wellingtonów Mk-IV dywizjonu wzięło udział w wyprawie bombowej, której celem były obiekty przemysłowe w miejscowości Essen (Zagłębie Ruhry). W czasie lotu bojowego załoga Wellingtona pilotowanego przez ppor. pil. Stanisława Macheja przeżyła dość niezwykłą i niebezpieczną przygodę.

Tej nocy dopisywała piękna pogoda, było bezchmurnie. Wellington pozbywszy się swego ładunku podskoczył radośnie i lekki leciał teraz do domu. Nawigator por. B. Biliński podał pilotowi powrotny kurs do bazy. Załoga, zadowolona z wykonania zadania, snuła plany na następny wolny od lotów dzień, porozumiewając się przez intercomm. W pewnym momencie pierwszy pilot zauważył jakiś niezidentyfikowany samolot, lecący tym samym kursem. Miał on zapalone światła pozycyjne, czego w czasie przelotów operacyjnych nie praktykowano. Polacy obserwowali nieznaną maszynę przez kwadrans, łudząc się, że jest to może bombowiec brytyjski Handley-Page „Hampden”, który wyglądem bardzo przypominał sylwetkę Messerschmitta Me-110. Tym razem jednak nie był to samolot aliancki...

Niemiec zbliżywszy się do Wellingtona zaatakował go od tyłu. Pierwsza długa seria okazała się bardzo celna. Rozległ się krzyk tylnego strzelca, który przeklinając na czym świat stoi meldował pilotowi swoją opłakaną sytuację. Hitlerowiec wiedząc, że Wellington od tyłu już bronić się nie może, ponawiał ataki. Pilot bombowca starał się urwać intruzowi, wykonywał uniki, próbował lotu nurkowego. Wszystko na nic - Niemiec uparcie trzymał się w pobliżu ofiary. Wreszcie gdzieś na wysokości 5000 stóp Wellington dopadł zbawczego cumulusa i skrył się w nim.

Myśliwiec niemiecki tak skutecznie operował ogniem swych działek, że pokrycie bombowca na przestrzeni od wieżyczki „astro” aż do ogonowej zostało niemal całkowicie zniszczone. W kilku miejscach uszkodzona była także konstrukcja nośna samolotu. Tylny strzelec został całkowicie odcięty od reszty załogi; jego pomieszczeniem była však zamknięta wieżyczka, której drzwiczki w wyniku postrzału zacięły się.

Radiotelegrafista był w ciężkim stanie, odniósł bowiem jedenaście ran. Prawy zbiornik znajdujący się w skrzydle był cały podziurawiony. System hydrauliczny został uszkodzony, płyta pancerna z przodu samolotu przebita na wylot. Jednym słowem - rozpacz! Jakby tego było mało, w pewnym momencie stanął w ogniu jeden z silników.

Dowódca podjął decyzję opuszczenia samolotu. Zgodnie z Regulaminem Królewskim w pierwszej kolejności powinien to uczynić drugi pilot, ale gdy przedostał się ku drzwiom, rozległ się głośny warkot i silnik po kilku szarpnięciach podjął pracę. Ponieważ po kilkunastu manewrach ogień zgasł, dowódca zmienił decyzję - załoga miała zostać w samolocie.

Ze zbawczego cumulusa należało w końcu wyjść. Manewrowanie postrzelanym Wellingtonem było bardzo utrudnione, toteż pilot z wielkim niepokojem rozglądał się po niebie, ale na szczęście po Niemcu nie było nawet śladu.

Ponieważ intercomm był uszkodzony, załoga porozumiewała się między sobą pisząc na kartkach. Uszkodzone było też urządzenie nawigacyjne i nadajnik radiostacji pokładowej, tak więc załozde groziło niebezpieczeństwo zabłądzenia. W normalnych warunkach wracający do bazy samolot aliancki włączał urządzenie radarowe IFF, teraz zaś pozbawiony go Wellington znalazł się między przysłowiowym młotem i kowadłem.

Maszyna po trochu traciła wysokość, co było bardzo niebezpieczne. Członkowie załogi wyrzucali za burtę wszystkie zbędne przedmioty; wysokość należało utrzymać za wszelką cenę, tak by dociągnąć jak najbliżej macierzystego brzegu. Wtedy w razie przymusowego lądowania na morzu kontrolerzy w

„Ops” mogliby zlokalizować położenie samolotu i wystać w ten rejon natychmiastową pomoc, tak zwane Air Sea Rescue (służba poszukiwawczo-ratunkowa).

Od połowy Kanału niebo było pochmurne, widoczność znacznie się pogorszyła, ale na szczęście na krótko, bo po kilku minutach dostrzec można było nawet brytyjskie reflektory omiatające w poszukiwaniu obcych samolotów niebo. Załoga rannego Wellingtona poczuła się dużo raźniej. Samolot włókł się niczym stara wysłużona szkapa dorożkarska. Załoga od czasu do czasu strzelała przed siebie rakiety określonego koloru, by dać znać stanowiskom artylerii przeciwlotniczej, że idzie samolot aliancki z uszkodzonymi środkami łączności. Widocznie rozpaczliwe sygnały zostały dostrzeżone, bo w pewnej chwili reflektory skierowano w stronę nadlatującego Wellingtona, a później położono je w kierunku najbliższego lotniska.

Teraz Polacy poczuli się lepiej, chociaż wciąż pojawiały się nowe trudności, szczególnie z utrzymywaniem maszyny na właściwym kursie.

Nad lotniskiem zgodnie z przewidywaniami podwozie nie wyszło. Pilot przymknął gaz i z mistrzowską wprost wprawą posadził maszynę na brzuchu. Udało się! Członkowie załogi kolejno wyskakiwali z samolotu - tym razem nawet nie potrzebowali otwierać drzwi i pobiegli ku ogonowi. Wieżyczka była obrócona, a wewnątrz leżał nieprzytomny tylny strzelec. Po chwili pojawiła się straż pożarna i karetka pogotowia, która zabrała wszystkich rannych do izby chorych. Tam okazało się, że najciężej ranni byli: tylny strzelec, który odniósł 21 ran, i radiotelegrafista. Pozostali członkowie załogi odnieśli mniejsze obrażenia. Postrzelany Wellington został przekazany do kasacji.

## Załoga bombowca „Z jak Zebra”

Dobrana i zgrana w 18 OTU w Bramcote załoga Nowaka liczyła sześć osób. Za wyjątkiem nawigatora, który miał stopień oficera, sami sierżanci. Dowódcą był Stefan Wilski. „Skipper” pochodził z Nowego Targu, dlatego dla odróżnienia go od innych Stefanów z załogi nazywali go „Bacą”. Był to wysoki, dobrze zbudowany, niebieskooki blondyn z lekko garbatym nosem. Małomówny, poważny, bardzo koleżeński. Drugim pilotem był Stefan Zawada - ten dla odmiany wesoły, na poczekaniu opowiadający wymyślone przez siebie kawały. Wysoki, ale szczupły, o czarnych kręjących się włosach. Warszawiak, jego ojciec był piaskarzem, miał barkę na Wiśle. Przed wojną Zawada mieszkał na Solcu. Był na drugim roku „Wawelberga”.

Nawigator ppor. Stefan Wiącek pochodził z Białegostoku. Ojciec jego pracował jako oficjalista w majątku książąt Lubomirskich. Potrafił dostosować się do kolegów, mimo że jako oficer nie jadał z nimi i nie mieszkał. Był to człowiek raczej spokojny, średniego wzrostu, szatyn. Bardzo lubił słuchać dowcipów Zawady, chociaż często bywał ich bohaterem. Jako bardzo dobry nawigator w szkole w Kanadzie zdobył drugie miejsce i nagrodę - zegarek świetnej marki. Koledzy byli z niego dumni, cieszyli się, że skierowano go właśnie do nich. Strzelcy: przedni Staszek Kamiński i tylny Leszek Pietrzak mieszkali w Lublinie. Obaj do siebie podobni, tak że nazywano ich „braćmi syjamskimi”.

No i Nowak, radiota, warszawiak.

Szóstce tej przydzielono na stałe Wellingtona ze znakami rejestracyjnymi: „BH-Z for Zebra” („BH”- znak dywizjonu 300). Chodziły słuchy, że już wkrótce mają być przebrojeni na Lancastery, duże, czterosilnikowe samoloty z podwójnym statecznikiem pionowym. Już podobno trwa przeszkolenie mechaników pokładowych, gdyż załoga musiałaby się powiększyć. Wilski i Zawada takie przeszkolenie mieli za sobą, przeszli je w Hacknall, skąd przyszli do 18 OTU.

Przez pierwsze trzy dni załoga tylko ćwiczyła. Rosła liczba zapisanych w książkach lotów godzin spędzonych w powietrzu, a ciągle nic konkretnego. Jakoś nie biorą ich na loty operacyjne.

W sierżanckiej mesie Nowak spotkał wielu znajomych ze szkoły małych z Bydgoszczy, którzy służyli potem razem z nim w pułku lotniczym w Warszawie. Sporo czasu spędzają teraz razem, rozmawiając na różne tematy. Jeden z nich, Jurek Ostrowski, siedział w dywizjonie prawie od początku, mimo że odbył swoją turę operacyjną (39 lotów) i teraz ma prawo pójść bądź do szkoły pilotów celem przeklasyfikowania się, bądź też na dłuższy odpoczynek do jakiejś szkółki jako instruktor.

Pewnego dnia opowiedział on Nowakowi o wizycie królewskiej pary w dywizjonie. Wydarzenie to miało miejsce 27 stycznia 1941 r.

W tym dniu wszystko było wypucowane „na glans”. Stacyjny chorąży, Anglik, chodzi i sprawdza, czy u mundurów świecą się im guziki i sprzączki. A błyszczą tak, że łuna bije, jakby były z prawdziwego złota. Król ma przybyć samolotem. Jakże by inaczej? Wybiera się przecież do lotników, w dodatku do jednostki polskiej.

Samolot prowadzi sam. Przeszedł przeszkolenie pilota na samolocie Anson.

Król miał najwyższy stopień wojskowy w każdym rodzaju broni i jeśli wybierał się do jednostki lotniczej, przywdziewał mundur lotniczy z dystynkcjami marszałka lotnictwa. Nad wieloma odznaczeniami widniały skrzydełka pilota RAF.

Cały dywizjon stał w szeregach frontem na lotnisko.

- Nie czekaliśmy długo - snuł swoje opowiadanie Wysocki. - Po chwili dostaliśmy znak z „Ops”, że leci, bo wieża nawiązała już z nim łączność. Usłyszeliśmy szum silników idących na pełnej mocy. To były cztery Spitfire'y, które zgrabnie przeleciały nad nami, wyskoczyły świecą w górę, aby po chwili znów się rozdzielić. Dwa poszły w lewo, dwa w prawo, aby po szeroko rozbudowanej rundzie przelecieć jeszcze raz nad lotniskiem, tym razem już z Ansonem, który zszedł trochę niżej. Zdążyłem zobaczyć na jednym z nich, z prawej strony na masce silnika, małą białą-czerwoną szachownicę i duże litery „RF” na boku kadłuba. Parę królewską eskortowali piloci z dywizjonu 303.

Po chwili znów dojrzałem Ansona, jak wchodził na prostą do lądowania, a niedługo potem toczył się już łagodnie po trawie w naszym kierunku.

Zatrzymał się w odległości około stu metrów. Przyprowadził go specjalny samochód pomalowany w biało-czarną kratę, z napisem z tyłu: „Follow me”<sup>40</sup>. Silniki zagrały mocniej i ucichły wyłączone zupełnie, jeszcze tylko śmigła obróciły się kilka razy. Zapadła cisza. Po chwili otworzyły się drzwiczki z boku i stanął w nich oficer RAF. Podjechały schodki, stanął na nich król Jerzy VI. Wysoki, uśmiechnięty. Salutował... Tak jak się spodziewano, był w mundurze pilota RAF.

Orkiestra odegrała hymn „God Save the King” i zaraz potem „Jeszcze Polska nie zginęła”. Dywizjon stał na baczność. Kompania honorowa prezentowała broń. Wysłuchawszy hymnów król zaczął schodzić po schodkach, tuż za nim królowa, a potem obie córki, już całkiem dorosłe panny.

Król podszedł do wyprężonych na baczność dowódców - Anglika i Polaka. Ucisnął im ręce, a potem usunął się na bok, robiąc miejsce małżonce. Angielski dowódca z wielką czcią ucisnął dłoń królowej, potem szybko zsalutował. Królowa podeszła teraz do Polaka. Ciągłe z tym samym „urzędowym” uśmiechem podała mu rękę, którą on, ku wielkiemu zgorszeniu Anglików, podniósł do ust i ucałował. Było to na pewno wbrew etykietce.

- Nie wiem na pewno - mówił Wysocki - ale wydawało mi się przez moment, że na twarzy królowej pojawił się uśmiech jak u kobiety, która jest z czegoś zadowolona.

Potem król wygłosił przemówienie. Dziękował Polakom za ich wkład w walkę, mówił, że są cennym sojusznikiem, któremu można w pełni zaufać, że tacy żołnierze jak oni zawsze wykonają powierzone zadanie do końca. Potem nastąpiła dekoracja trzech załóg Krzyżem i Medalem DFC i DFO.

Na marginesie opowieści Wysockiego warto dodać, że był to rzadki wypadek - Polaków dekorował zwykle brat królewski, ksiądz Kentu.

Pewnego dnia załoga Nowaka poleciała na patrol nad południowo-zachodni Atlantyk. Ponieważ ich samolot miał urządzenie podobne do wyposażenia samolotów latających w Coastal Command, w

---

<sup>40</sup> Podążaj za mną.

skład którego wchodził dywizjon 304 Ziemi Śląskiej, a w tym czasie krucho było u nich z załogami, po uzgodnieniu z dowództwem RAF wypożyczono sobie załogę na kilka lotów. Loty patrolowe i eskorty konwojów były domeną właśnie tego dywizjonu; 300 latów przede wszystkim nad terytorium wroga.

Polecieli tedy na lotnisko 304 w Chivenor. Tam podwieszono im bomby głębinowe, tak zwane depth charge, pobrali szyfry na dzień dzisiejszy i poszli w nakazany sektor. Wypatrywali okrętów podwodnych - wszystko, co by się znalazło w ich rejonie patrolowania, należało topić!

Ale czy U-booty pochowały się akurat przed nimi, czy też nie umieli ich wytropić - w każdym razie nic nie znaleźli.

Nowak odbiera depezę z bazy.

- „Baca”, tam u nas pogoda się psuje - melduje dowódcy.

- Gdzie „tam”: w Chivenor czy Ingham?

- Wszędzie, w Ingham jest jeszcze najlepiej, ale spodziewają się mgły i nakazują przerwać patrolowanie.

- A co dają teraz?

- Widzialność trzy kilometry, ale zapowiadają pogorszenie. To nadciąga od strony lądu.

- OK, zawracamy, lecimy do Ingham. Stefan, daj kurs powrotny - mówi „pierwszy” do nawigatora.

- Na razie bierz kurs sto dziesięć - mówi Wiącek. - Za chwilę cię skoryguję.

Wzięli kurs powrotny. Nowak nawiązał łączność z bazą i naniósł czas przerwania patrolu. W sektorze kręcili się około dwóch godzin, toteż do bazy wracali bez żalu.

Nad morzem pogoda wspaniała, na niebie ani jednej chmurki. Widoczność również dobra. Nowak bierze następny komunikat meteorologiczny, sytuacja stopniowo pogarsza się. Widzialność zmniejsza się do dwóch kilometrów, temperatura 56 na 56°F (16°C).

Niedobrze! Jeśli temperatura powietrza mierzona na wysokości dwóch metrów od poziomu ziemi i temperatura punktu rosy jest jednakowa, to mgła jest więcej niż pewna, tym bardziej że wiatru nie ma prawie zupełnie.

- Ale dlaczego te „drapichmurki” nie mogli przewidzieć tego wcześniej - denerwuje się Zawada.

Wchodzą nad niewidoczny już ląd. Zaciągnęło się na dobre, leży sobie nisko to białe świństwo, widać, jak się powoli przewala...

Lecą teraz na przyrządy. Nowak ma pełne ręce roboty. Piloci ustawiają radiokompasy. Nowak często bierze namiary na bazę, tak zwane QDM. Co parę minut ponawia prośbę: „Proszę namiar” i przyciska klucz nadajnika, dając długą kreskę, aby mogli go namierzyć goniometrem w bazie.

Otrzymuje QDM, czyli kurs, którego należy się trzymać, by dolecieć do domu. Po chwili na podstawie pomiarów z trzech goniometrów, rozmieszczonych w różnych kierunkach, oblicza „fixa” (pozycję), tak że już z grubszą wiedzą, gdzie są. Wiącek potwierdza. Idą po kursie. Za kilka minut wejdą w strefę

kontrolowaną przez swoją bazę. Utrzymują nakazaną wysokość 3600 stóp. Nowak przechodzi teraz na łączność z lotniskiem.

Otrzymuje polecenie:

- Będziecie podchodzić na system GCA, przyjmijcie kurs sto siedem stopni i zejście do wysokości dwu tysięcy siedmuset stóp.

- Zrozumiałem - kwituje krótko Nowak. - Będziemy prowadzeni na GCA, przyjmij nowy kurs sto siedem i schodź do dwu tysięcy siedmuset stóp - przekazuje polecenie „Bacy”.

Ten kładzie maszynę na nowy kurs i po chwili mówi do Nowaka:

- Melduj do bazy: polecenie wykonane, jestem na nowym kursie, wysokość dwa tysiące siedemset.

- Jesteście piętnaście mil od lotniska na kierunku Nord-West, przyjmijcie kurs sto dwadzieścia sześć stopni i schodźcie do wysokości tysiąca sześciuset stóp. Przejdźcie na łączność z GCA - słyszy Henryk następne polecenie.

- Zrozumiałem - potwierdza i przekazuje pilotowi rozkaz, przechodząc jednocześnie na inny kanał.

W zasadzie łączność samolot - wieża kontrolna prowadzi pilot, ale ponieważ „Baca” nie był biegły w angielskim, obowiązki te przejął Nowak.

Po zameldowaniu się na kanale GCA otrzymuje nowe instrukcje:

- Jesteście sto dwadzieścia mil od lotniska, przyjmijcie nowy kurs sto dwadzieścia dwa.

- Zrozumiałem, sto dwadzieścia dwa.

- Jesteście osiem mil od punktu przyziemienia, nie kwitujcie dalszych instrukcji, rozpoczynajcie schodzenie, kurs sto dwadzieścia dwa, kąt schodzenia dwa i pół stopnia.

A po chwili:

- Na centralnej linii, pięćdziesiąt stóp za wysoko.

Wchodzą teraz w gęstą mgłę. Nic już nie widać. Robi się coraz ciemniej i zimniej.

- Jesteście sześć mil od punktu przyziemienia - słyszą teraz w słuchawkach głos prowadzącego kontrolera. Mówi on bardzo wyraźnie, nie spieszy się, tak że nawet „Baca” rozumie go doskonale i szybko reaguje na każde polecenie. Nowak na szczęście nie musi już tłumaczyć.

- Dziesięć stóp za wysoko, trzy stopnie w prawo, nowy kurs sto osiemnaście.

- Na centralnej linii, dwadzieścia stóp za wysoko, wypuście i zablokujcie podwozie. Dwa stopnie w lewo, nowy kurs sto szesnaście.

Drugi pilot wyrzucił podwozie, samolotem lekko szarpnęło.

.- Na centralnej linii, trzydzieści stóp za wysoko - słychać jednostajny głos kontrolera. - Dwie mile od punktu przyziemienia, dwadzieścia stóp za nisko, nowy kurs sto piętnaście, możecie lądować.

„Baca” pochylony nad wolantem słucha pilnie i w skupieniu wykonuje polecenie kontrolera. Drugi pilot wypuścił już klapy, obaj szykują się do trudnego lądowania. Reszta - Staszek też opuścił swoje miejsce w przedniej wieżycy - stoi przed kabiną pilotów, wpatrzona w gęstą mgłę. Może uda się im dostrzec pas startowy? Nowakowi wydaje się, że widzi jaśniejszy pas daleko przed nimi, coś jakby zamazaną lunę.

- Półtorej mili od punktu przyziemienia, jeszcze dwadzieścia stóp za nisko, nowy kurs sto osiemnaście stopni.

- Jedna mila od punktu przyziemienia, dwadzieścia stóp za wysoko - słyszą ten sam monotony głos.

- Pół mili od punktu przyziemienia, na centralnej linii, podejście zakończone, przejdźcie na łączność z wieżą kontrolną.

Kontrola zbliżania kończyła już ich prowadzenie.

Nagle odezwał się „Baca”:

- Dziękuję bardzo. Dobra robota, GCA! Widzę pas, ląduję!

- Życzę powodzenia - żegna ich kontroler. On też przeżywał to podejście.

Teraz już widać pas. Na razie niezbyt wyraźnie, ale mocne światła przebijają się coraz wyraźniej przez gęstą mgłę. „Baca” jest jednak dobrze wyszkolonym pilotem - sadza lekko maszynę w przepisowym miejscu i po chwili już kołują poprzez warstwę białej waty. Z wieży kontrolnej polecenie wstrzymania kołowania. Po chwili zjawia się specjalny samochód „follow me” z żółtym, doskonale widocznym poprzez mgłę ostrym migaczem. Poprowadził ich na stałe miejsce, bo rzeczywiście trudno by było trafić. Teraz zakitowało już na dobre.

W pobliżu stał obcy Wellington; po znakach „GR” poznali, że była to maszyna z dywizjonu 304 Ziemi Śląskiej. Z pewnością lądowali u nich ze względu na mgłę, do swojego lotniska by już nie dociągnęli. Pogoda popsuła się zbyt raptownie.

Po obiedzie Nowak rzucił się w mundurze na łóżko. Jak na jeden dzień miał dość wrażeń. Kiedy się obudził, było już bardzo późno. Przez otwarte okno baraku wpadała mokra mgła. Poczuł dotkliwie zimno, to chyba ono go zbudziło. Usiadł na łóżku, przecierając oczy. Poza nim nie było nikogo. Ciemno.

Wyszedł przed barak. Ogarnęło go zimne, wilgotne, mgliste powietrze, typowe w Anglii o tej porze roku. Mgła była naprawdę gęsta. Mokre, ciężkie płaty osiadały mu na twarzy. Skierował kroki w stronę sierzanckiej mesy. Był porządnie głodny. Na progu uderzył go zapach jadła i alkoholu. Panował tu nieopisany gwar, ciepłe, zadymione powietrze zachęcało do wejścia. Jakiś Anglik siedział przy pianinie i grał popularną angielską piosenkę, śpiewaną chyba we wszystkich rodzajach broni:

It's a long way to Tiperrery,  
It's a long way to go  
It's a long way to Tiperrery,  
To my sweetest girl I know.



Kilku jego kolegów otoczyło ciasnym kołem pianino, na którego pokrywie stało kilka kufli z piwem. Śpiewali głośno.

Nowak dojrzał swoich. Siedzieli przy jednym stoliku i popijali piwo. Podeszedł do bufetu, wziął sobie gorącego „paja” (pieróg z mięsem) duże piwo i podeszedł do kolegów. Zaraz zrobili mu miejsce.

- Mieliście iść do miasta - powiedział skończywszy posiłek.

- Coś ty, w taką pogodę? Chyba nawet autobusy nie kursują - odezwał się Wiącek, który wolał być z nimi niż w oficerskiej mesie.

- Może i nie - leniwie odparł Nowak.

- Heniek, idź no, pograj trochę, tylko coś naszego, z Warszawy - prosił Zawada.

- Dlaczego zaraz z Warszawy? Z Polski - poprawił lubliniak Staszek.

- Ale przecież gra „dżemojad” - odpowiedział bez przekonania Nowak, bo wiedział, że go zaraz stamtąd spławią.

I rzeczywiście, Zawada podniósł się z krzesła i skierował w stronę rozbawionych Anglików. Pogadał chwilę z grającym, który wstał szybko, spojrzął w stronę Nowaka i zaprosił gestem do pianina.

Nowak zaczął grać. Początkowo cicho, non-stop, grał, co mu „podchodziło” pod palce. Koledzy próbowali śpiewać, ale szybko dali spokój, gdyż nie kończąc jednej melodii przechodził do następnej. Słuchali więc milcząc. Nie patrzył na nikogo. Grał tylko dla siebie. Koledzy otoczyli go półkołem. Jedni stali tuż przy pianinie, inni przysunęli bliżej krzesła. Ktoś przyniósł mu duży kufel piwa. Napił się, nie przerywając. Spod jego palców płynęła teraz bardzo popularna w latach trzydziestych „Rebeka”.

Nagle poczuł, że go ktoś przytrzymał za rękę. Nowak obejrzał się - był to tylny strzelec w stopniu chorążego, szlifierz diamentów z Argentyny, Żyd Jakub Sperberg, legitymujący się zestrzeleniem niemieckiego samolotu. Teraz stał przy pianinie, ze wzruszeniem słuchając granej przez Henryka melodii.

Następnego dnia znów lot patrolowy. Pogoda w dalszym ciągu parszywa, tyle tylko że mgła się jakoś rozeszła. Pułap chmur był wysoki, ale dla odmiany siąpił teraz drobny „kapuśniaczek”. Było przejmująco zimno. Start miał nastąpić o godzinie 11 rano. Pojechali do mesy, aby przed lotem zjeść coś gorącego. Powiadomione uprzednio „wafki” podały im gorący pieróg mięsny, biały pszenny chleb, margarynę, dżem, gorącą białą kawę i - jako smakołyk, który dostać mogły tylko załogi tuż przed lotem - po dwa świeże jajka! Cała Anglia jadła jajka w proszku.

Nie mieli jakoś apetytu. Było trochę za wcześnie na tak obfity posiłek, ale wreszcie się z tym uporali. Pozostało im jeszcze 40 minut. Znowu lecieli sami, jeszcze ich nie brali na poważniejsze loty operacyjne.

Nowak był trochę rozczarowany. Myślał, że polecą nad Francję lub Niemcy, a tu tylko patrole. Był to dalszy ciąg szkolenia. Henryk uchodził w załodze za starego wygę z racji lotu bojowego, odbytego z G/C Gordonem, bowiem żaden z członków załogi nad terenem wroga jeszcze nie był. Tylko on jeden z

całej załogi w osobistej książce lotów ma dokonany czerwonym atramentem wpis: „Sortie Nr 1”. Pierwszy lot operacyjny, który się liczy do „kolejki”.

Po powrocie z mesy zaczęli się pomału szykować, ćmiąc papierosy. Włożyli ciepłą bieliznę i pończochy. Przydadzą się na dzisiejszą pogodę. Biały ciepły golf, battledress, „maywestka”.

- Nie! Weźmiemy dziś kożuchy - mówi dowódca. - Przydadzą się na pewno. No to co, chłopcy, idziemy?

- Gotowi - odpowiedział za wszystkich Staszek.

- No to w drogę.

W tej samej chwili w drzwiach stanął ich nawigator.

- Cholerna pogoda - mruknął. - „Baca”, byłeś u „drapichmurka”?

- Nie, Stefan był - mówiąc to wskazał na „drugiego”.

- No i co ci powiedzieli?

- Niewiele. Specjalnych zmian na dzisiaj nie przewidują, ale jutro ma być ładnie.

- Niech całują psa w nos! - sierdził się dalej Wiącek. - Co my w taką mżawkę zobaczymy?

Przed barakiem czekał już na nich samochód ciężarowy. Przyjechali na dispersal, gdzie mieściło się także biuro meteorologicznej Wilski z nawigatorem udali się na konsultację z „fakirami”, Nowak zaś poszedł do Signal Section (dział łączności) po swoje „mądrości”, -jak szyfry na dzień dzisiejszy i inne akcesoria radiotelegrafisty. Pobrali spadochrony z Parachute Section i o godz. 10.40 weszli do samolotu, zajmując swoje miejsca. Ostatni wszedł Stach, przedni strzelec, który teraz mocuje się z drzwiczkami, starając się je dokładnie zamknąć.

Zapuszczają. Po chwili dwa silniki pracują równo, na małych obrotach. Trzeba je trochę podgrzać. Obaj piloci dokonują normalnego przeglądu: wszystko w porządku. Dowódca zwracając się ku mechanikom podnosi kciuk do góry, co oznacza, że już można kołować i należy wyjąć spod kół podstawki. Jeden z mechaników znika pod kadłubem samolotu, zaś drugi trzyma rozłożone ręce w dole na znak, że pod maszyną jest człowiek. Po chwili mechanik; który stał nieco z lewej strony, tak aby pilot mógł go widzieć, odsunął się w bok, robiąc miejsce, i podniósł kciuk w górę: droga wolna, można kołować!

Maszyna ruszyła z miejsca, aby zająć pozycję do startu zgodnie z kierunkiem wiatru nawigacyjnego, który jest odwrotny w stosunku do meteorologicznego.

Nowak prosi kontrolę lotniska o zezwolenie na zajęcie pasa i start. Zgodę otrzymuje natychmiast.

- „Baca”, w porządku - melduje „pierwszemu”, który siedział pochylony w dół, jakby czegoś szukał pod tablicą przyrządów. - Jest zgoda, po starcie przyjmij kurs sto dziesięć i wchodź na razie na trzy tysiące stóp, potem nas podniosą.

- OK - kwituje „Baca”. -Przecież słyszę!

Są już 300 metrów od pasa, gdy w słuchawkach rozlega się głos kontrolera.

Czego oni mogą od nas chcieć, myśli Nowak.

- Hallo, tu 42, na odbiorze - melduje.

- Hallo 42, polecenie Operations, zawracajcie na stojankę, operacja odwołana z powodu złej pogody.

Nowak pokwitował, lecz już nie przekazywał „Bacy”, skoro ten tak dobrze słyszy... Widząc jednak, że dowódca nie reaguje, pyta:

- „Baca”, nie słyszałeś?

- Słyszałem, ale czego on właściwie chce?

- Zawracaj, „koniu” - mówi grzecznie Nowak. - Na dzisiaj koniec!

- Heniek, jesteś pewien, nie pomyliłeś się? - spytał nieufnie niezbyt mocny w angielskim „pierwszy”.

- Ja się nigdy nie mylę, spokojna głowa, zawracaj!

- No i po co ci to? - mruczy Zawada do pilota.

- A jednak są mądrzy ludzie w tym Operations - dorzucił z uznaniem Wiącek.

Zawrócili i podkołowali na stojankę. „Baca” wyłączył silniki i po chwili byli już w drodze do baraku.

- Stefan, zostaniesz dziś z nami? Może zrobimy roberka - spytał dowódca nawigatora.

- A macie co wypić?

- Znajdzie się, a wieczorem grają fajny film, może pójdziemy?

- Możemy - odpowiedzieli zgodnym chórem.

Nazajutrz mieli wolny dzień po „locie patrolowym”.

Jak przewidywało meteo, pogoda była rzeczywiście wspaniała. Nowak wybrał się do miasta sam. Lubił się powłóczyć samotnie. Koledzy wiedzieli o tym, toteż nikt mu w tych jego wędrówkach nie przeszkadzał.

Zaplanował sobie dziś taki samotny spacer, a gdy mu się sprzykrzy, to może pójdzie na dobry film albo namota jakąś „babkę”. I rzeczywiście, spotkał znajomą dziewczynę, z którą tańczył kiedyś na zabawie.

- Wiesz już, co się stało? - zapytała na wstępie, nie witając się. Wyglądała na bardzo przejętą.

- Nie, nie wiem, może koniec wojny? - zażartował.

- Zaraz ci się żartów odechce, jak ci powiem, że wasz premier, generał Sikorski, zginął w wypadku samolotowym w Gibraltarze.

W Nowaka jakby grom strzelił.

- Nie, to niemożliwe - wyszeptał. - Skąd wiesz?

- Przecież radio podaje cały czas, nic nie słyszałeś?

- Nie, nie słyszałem.

Nie poszedł tego dnia nigdzie. Wrócił do „campu”. Tu już panowała żałoba. Flagę polską powiewającą obok angielskiej RAF opuszczono do połowy masztu, po chwili zjechała również angielska. Wszędzie dyskutujące grupki ludzi. Co się stało? Jaka była przyczyna? Dlaczego miał czeskiego pilota? Dlaczego nie latał z nim Polak?

Na te pytania, niestety, nikt nie był w stanie odpowiedzieć. Tylko nieliczna grupka ludzi znała prawdę, ale oni będą milczeli jak grób. Gen. Sikorski cieszył się wielką popularnością wśród żołnierzy, którzy potrafili w pełni docenić jego rolę jako rzecznika walczącej Polski.

Po ceremonii pogrzebowej, której patronował dywizjon i w której udział wzięły wszystkie służby wolne od niezbędnych zajęć, przyszedł z Dowództwa Polskich Sił Powietrznych rozkaz stwierdzający, iż przeprowadzone śledztwo nie wykazało, aby wypadek nosił cechy sabotażu. Był to, jak podano, niefortunny zbieg okoliczności, ponieważ jako drugi pilot przy sterach zasiadł wyższego stopnia oficer RAF, który nie opanował pilotażu na samolocie Liberator i przez pomyłkę, zamiast wciągnąć podwozie, wypuścił klapy. Była mowa jeszcze o sterach, które jakoby miały być zablokowane.

## „Gentlemen, target for to-night...”<sup>41</sup>

Tego dnia już od samego rana wiedzieli, że cały dywizjon poleci nad Francję. Nie znali jeszcze celu wyprawy; na kilka godzin przed lotem obowiązywała ścisła tajemnica. Nikt nie miał odwagi zapytać dowódcy, więc Zawada maglował znajomego „drapichmurka”, który musiał przecież opracować pogodę na trasę i nad cel, ale on też nie chciał puścić pary z gęby.

Okolo 11 rano dokonali oblotu maszyny, czyli NFT (Night Flying Test) Pokręcili się trochę w strefie; cała szóstka sprawdzała swoje „podwórko”. Nowak skontrolował swoją „szafę”, goniometr, IFF i inne urządzenia, którymi się posługiwał w czasie lotu. Wszystko grało na medal! Po lądowaniu jak zwykle czekali na nich specjaliści, aby usunąć ewentualne usterki. Tym razem uwag nie było żadnych. Bombowiec został zaplombowany i aż do przybycia załogi przed lotem nikt nie mógł się do niego zbliżyć.

Wieczorem odprawa. Członkowie wszystkich załóg biorących udział w dzisiejszym rajdzie zasiedli w głębokich fotelach, ćmiąc papierosy. Wkrótce na sali zrobiło się niemal ciemno od dymu. Panował tu niesamowity gwar.

Nowak rozejrzał się po sali. Pod sufitem na długich sznurkach wisały czarne bakelitowe sylwetki wszystkich typów samolotów używanych przez aliantów i przeciwnika. Nieprzypadkowo były czarne - latali przeważnie w nocy, więc musieli się przyzwyczaić do takich, a nie innych warunków. Nowak podniósł głowę: akurat nad nim wisi „Dziadzia Wellington”, taki sam jak ten, który poniesie ich dzisiaj nad terytorium wroga, aby mogli sptać zaciągnięty we Wrześniu długi! Spojrzał na siedzących wokół kolegów. Niektórych znał dobrze. Był tu kpt. pil. Henryk Myszkowski z załogą (jako nawigator leci z nimi dziś mjr Chrzanowski), chor. Jan Bakanacz i Miecio Pawlikowski, który dziś leci jako przedni. Z ppor. Koryckim jako radiotelegrafista leci chor. Winiarczyk, a z por. Owsianym Jurek Ostrowski.

Gwar ucichł. Na salę weszło kilku oficerów wyższego stopnia, obaj dowódcy i „Inteligent” w stopniu majora. Dowódcy zajęli miejsca przy stole, a oficer wywiadu pociągnął za sznurek, odsłaniając olbrzymią mapę północnej Francji. Odwrócił się do sali i z namaszczaniem oznajmił:

- Gentlemen, target for to-night Lens, North of France!<sup>42</sup>

Po sali przebiegł szmer. Wszystkie oczy skierowane były w jeden punkt na mapie, gdzie obok napisu „Lille” - najbliższej Lens położone duże miasto - widniało koło.

„Inteligent” wyjaśnił im, że znajduje się tam fabryka, produkująca części do nie znanej jeszcze broni, przygotowywanej przez hitlerowskich uczonych. W fabryce zatrudnionych było wielu mieszkających w pobliżu Polaków. Ostrzegano ich za pomocą ulotek, by porzucili pracę w fabryce, tym bardziej że nie była ona przymusowa. Niektórzy, dowiedziawszy się, że produkują części do tajnej broni, która zabijać będzie ludność cywilną, przestali pracować, ale inni skuszeni podwyższonymi zarobkami - bo tak odpowiedzieli Niemcy na ulotki - nie porzucili pracy.

---

41 Panowie, cel na dzisiejszą noc...

42 Panowie, cel na dzisiejszą noc Lens, północna Francja!

- Jest polecenie - kontynuował - aby jeden samolot zrzucił ładunek bomb na osiedle. Będzie to akcja odstrasżająca i ostrzegająca. Oczywiście nikt was do tego nie może zmusić, ale, jak widzicie, jest to jedyny sposób, aby osiągnąć zamierzony cel. Jedna załoga musi podjąć tę decyzję, więc kto na ochotnika?

- Ochotnicy to u nas byli w osiemnastym roku - powiedział ktoś głośno. - Ja nie!

„Inteligent”, aczkolwiek mówił już trochę po polsku, nie zrozumiał.

- Co to znaczy w „osiemnastym roku?” - zapytał po angielsku.

- To znaczy, że nikt z nas robić tego nie będzie! - odpowiedział jeden z sierżantów. - Lecimy nad fabrykę, dworzec, i to wszystko. Tamtą brudną robotę zostawcie komu innemu - zakończył, siadając.

Major dał za wygraną, już nie wrócił do tematu.

- No, to teraz przyjrzyjmy się, jak wygląda cel - powiedział, dając komuś znak. Na mapę szybko naciągnięto białe płótno. Światło przygasło i po chwili na zaimprovizowanym ekranie pojawiło się wielkie zdjęcie lotnicze. Zabrał głos dowódca wyprawy, omawiając dane techniczne dotyczące podejścia nad cel i zrzutu ładunku, potem znów zabrał głos „Inteligent”, wymieniając stanowiska artylerii, punkty niebezpieczne itp. Na koniec meteorolog podał aktualny stan pogody i prognozę na powrót.

Sama odprawa nie trwała zbyt długo, tak że jeszcze mieli czas na krótki posiłek. Każdy z nich pobrał z macierzystej „komórki” swoje akcesoria: Nowak wziął szyfry, książkę kodów i był gotów do drogi. Resztę swoich „maneli” mieli w samolocie.

Podjechały kryte ciężarówki, zabierając załogi, które już po chwili znalazły się na dispersalu przy swoich maszynach.

Dochodziła 11 wieczorem, lecz na lotnisku nikt nie spał. Wszędzie panował ożywiony ruch. Przed samolotami, które w mrokach nocy wydawały się potwornie długie, uwijali się specjaliści. Ich Wellington stał czwarty w kolejności. Właśnie podjeżdżał do niego długi, niski wózek załadowany bombami, na którym siedział kapral z „uzbrojenia” i coś pisał kredą.

Kapral podjechał pod kadłub samolotu, zgrabnie zeskoczył, zanim jeszcze pojazd się zatrzymał, i już po chwili bomby zaczęły znikać pod wielkim brzuchem Wellingtona.

Załoga Nowaka stała opodal samolotu, obserwując pracę personelu naziemnego i w milczeniu paląc papierosy. Tamci za chwilę skończą swoją robotę, a oni dopiero zaczną - polecą w ciemną noc nad terytorium wroga. Jedno jest jednak pewne: ci na ziemi też nie będą spać tej nocy, oczekując z niepokojem na powrót swoich załóg. Bez ofiarnego wysiłku personelu naziemnego w ogóle nie można by było mówić o sukcesach polskiego lotnictwa. Warto o tym pamiętać.

Rozmyślenia przerwał im starszy mechanik plutonowy Kuch, który podszedł do „Bacy”, trzymając dużą książkę samolotową.

- Podpisz pan, panie sierżancie, maszyna jest na medal - powiedział do Wilskiego.

- Panie Karolu, rurka Pitota wymieniona, mam nadzieję? - spytał dla formalności dowódca.

- Tak jest, sam dopilnowałem, wszystko na medal! - powtórzył Kuch.

„Baca” pytał z przyzwyczajenia, wiedział bowiem, że plutonowy nie przegapi niczego.

Wystartowali o godzinie 23.45. Wyszli w powietrze jako piąta z kolei załoga. Nad nimi cztery Wellingtony już chodziły w rundzie, nabierając wysokości. Czekwały, aż dołączy do nich reszta. Po godzinie dywizjon opuszcza lotnisko i bierze kurs na południe. Polacy nie mogą opanować radości. Lecą kluczami, „Zebra” w drugim z lewej strony. Dla kolegów Nowaka z Wellingtona „Z” jest to pierwszy lot bojowy nad terytorium wroga.

Idą teraz kursem 146 stopni. Tym razem Nowak nie ma zbyt wiele pracy, dziś tyra jak szatan „radiota” dowódcy. Są prowadzeni, za nich myślą inni. Lecą po prostej, najbliższą drogą przez kanał La Manche. Henryk wziął namiary, przeprowadził nasłuch na „broadcast”, podał ostatnie wskazania pokładowego goniometru Stefanowi.

- Po co mi to? - zapytał tamten zdziwiony.

- Tak dla draki, sprawdź i ucź się, może ci się przydać w drodze powrotnej - mówi niewinnie Nowak.

Wziął. Po chwili Nowak zobaczył, jak pochyliwszy się kreślił coś i obliczał na mapie Merkatora.

Strzelcy przestrelali swoje sikawki. Nowak też dał dwie krótkie serie ze swoich „gunów” umieszczonych po bokach kadłuba. Wszystko jak na razie gra! Oby tak dalej! Tylko ich samolot miał boczne karabiny typu Vickers, zamontowane w trójkątnym okienku.

Lecą na wysokości 16 000 stóp. Zostawili Londyn z lewej strony, omijając setki uwięzanych na długich linach balonów zaporowych. Wiele z nich ma na sobie dodatkowe liny, na których znów umocowano balony. W gęstej „zastłonie” pozostawiono specjalne „bramy” wlotowe i wylotowe; przez jeden z takich korytarzy właśnie przeszli.

Daleko przed nimi, nieco z lewej, widać już morze, zaś z przodu i z prawej w dalszym ciągu ląd. Krótki rzut oka na mapę Stefana. Są chyba nad Tonbridge. A więc kierujemy się na Dover, pomyślał Nowak.

W okolicach New Romney wychodzą nad morze, już mają Kanał pod sobą. Teraz najważniejsi są strzelcy; ich wieżyczki co chwila wykonują zwroty w lewo i prawo, omiatając horyzont w poszukiwaniu nieprzyjacielskich myśliwców.

Po kilkunastu minutach zamajaczył daleko przed nimi zarys lądu. To już Francja! Nowak marzył, by zobaczyć Francję, ale nigdy nie przypuszczał, że nastąpi to w takich okolicznościach: z wysoka i w ciemnościach. Teraz jest noc. Ludzie tam śpią, a oni idą, aby im przerwać wypoczynek. Może niejeden już nie wstanie... Roztkliwiam się, pomyślał. Trzeba się otrząsnąć.

Nastroił się na foniczną stację francuską w Lille, nadającą w tym czasie muzykę taneczną. Grali właśnie przebój „Tango Milonga” Petersburskiego, kiedy ogłoszono alarm.

Alarm! Pierwszy od wielu miesięcy alarm w radio. W Anglii słyszał tylko syreny, wycie syren. Boją się ich! Rozpierała go duma.

- Chłopaki, słuchajcie! - zawołał, przełączając radio na kanał A.

- Ale mają pietra - ucieszył się Zawada.

Nowak próbował wyobrazić sobie wystraszonych Francuzów, biegnących do schronów. Nie bójcie się, tłumaczył im w myślach. Nasza zemsta nie jest skierowana przeciwko wam, nie będziemy niszczyć waszego miasta. Teraz idziemy na fabrykę, ale być może niedługo pozwolą nam polecieć nad terytorium Rzeszy, a wtedy już nie będzie litości, nikt się nie schroni przed naszymi bombami! Ale swoją drogą co by się też stało, gdyby „Baca” tak wziął kurs bardziej na wschód? Po kilku godzinach znaleźlibyśmy się nad Polską!

Dalsze rozmyślenia przerwał mu silny ogień artylerii przeciwlotniczej, jaki dostali z boku. Wychylił się do kabiny pilotów. Są-nad lądem: nad Francją, która wita ich błyskami wystrzałów i punkcikami mknących ku nim pocisków.

- Ten silny ogień artylerii przeciwlotniczej - słycać w słuchawkach głos nawigatora - to z Saint Omer!

- Aha - kwituje krótko „Baca”.

„Inteligent” ostrzegał, ale skąd wziął się ten z lewej, bo biją z dwóch stron? - martwi się Wiącek.

- Muszą tu mieć gdzieś zenitówki, trzeba uprzedzić o tym naszego „asa” wywiadu - odpowiada „drugi”.

Teraz już dywizjon się rozproszył; artyleria rozpędziła ich jak jastrząb, który wpadnie w stado gołębi.

Wiącek nie „spał”, przez cały czas prowadził swoje własne obliczenia. Trening teraz wydał owoce; nawigator bezbłędnie prowadził „Bacę” nad cel.

Zmasowany ogień z St. Omer mieli już za sobą, maszyny wracały do szyku. Do celu, jak powiedział nawigator, mieli jeszcze około 20 minut.

- „Baca” - pyta Nowak - nie trafili kogo z naszych?

- Nie wiem - odpowiada pilot. - Ale chyba nie, nie widziałem, może kogoś z tyłu.

Włączył się tylny, Staszek:

- Kapitanie, melduję, że w tyle wszyscy idą bez żadnych strat.

- Dobra - skwitował krótko Wilski.

W radio obowiązuje cisza; tą drogą niczego dowiedzieć się nie można. Nowak ma odbiornik włączony na podstuch, ale klucza mu przycisnąć nie wolno.

I znów artyleryjski ostrzał, tym razem z prawej. I nagle to, czego Nowak się najbardziej obawiał: reflektory! Dostali ich w stożek. Cholera jasna! Przeraziłwie oślepiające światło, mimo szybko opuszczonych rolet, bije w oczy, powoduje wprost fizyczny ból!

Samolot szedł właściwie na oślep. Zdawali sobie doskonale sprawę, że za chwilę cała siła ognia skierowana będzie ku nim, w świecący na ciemnym niebie jak szklana bombka na choince punkt. Że też akurat im to się musiało przytrafić! Czekali teraz, kto pierwszy zaatakuje - artyleria czy nocny myśliwiec...



Ale „Baca” stanął na wysokości zadania. Jak im później opowiadał, odczekał chwilę, obliczył szybko w pamięci czas potrzebny „szkopom” do namierzenia na odstrzał, wtedy lekko ubrał gazu... Samolot jednak, raptownie tracąc szybkość, tracił również i stateczność. Nowak widział, jak gimnastykują się obaj piloci. Opłaciło się - przeznaczona dla nich seria pocisków rwała się teraz przed nimi w bezpiecznej odległości. Trochę tylko zagrzechotało po kadłubie. Po chwili „Baca” dodał gazu. Silniki drżały teraz z wysiłku, idąc na otwartej prawie pionowo przepustnicy. Tym razem salwy zostały daleko w tyle. Jednak ze stożka uciec nie mogli. Szczególnie dawał im się we znaki bardzo silny reflektor z prawej strony, w przodzie.

Przedni strzelec darł się w swej wieżycze jak opętany, klnąc straszliwie.

Nagle w słuchawkach intercomu rozległ się jazgot karabinów maszynowych. To Staszek puścił długą serię w stronę nękającego go reflektora.

- Przerwij ogień! - rozkazał kategorycznie „Baca”. - Oszczędzaj amunicję na powrót. Przecież to bezcelowe!

Jazgot karabinów ustał.

- O rany! - znów krzyk Staszka. - Dostał, jak Boga kocham, dostał! Już nie świeci!

Wszyscy wiedzieli, że to był przypadek, ale nie chcieli Staszce psuć radości.

Tylko Zawada nie wytrzymał:

- Ty, po powrocie zgłoś „Inteligentowi”: zestrzelony jeden nieprzyjacielski reflektor.

- Jakbyś wiedział, że zgłoszę - nie dawał za wygraną Stach.

Wyszli w końcu z tego parszywego stożka.

Idą teraz sami, uniki sprowadziły ich trochę z kursu. Z kolei poci się nawigator. Wreszcie podaje Stefanowi nowy kurs, ale nie może go sprawdzić.

- Uwaga, strzelcy! - odezwał się dowódca. - Zalecam szczególną uwagę. Artyleria przycichła, daje pole myśliwcom.

- OK - kwitują obaj.

Nawigator już panuje nad sytuacją; Nowak dał mu kilka namiarów wziętych z rozgłośni radiowej Lille i jeden z Paryża. Wiącek prowadzi teraz pilota nad cel, już podchodzą do miejsca przeznaczenia. Noc pogodna, na niebie ani jednej chmurki. W dole, w blasku księżyca, lśnią szyny kolejowe, prowadzące ku zaciemnionemu masywowi budynków stacyjnych.

Znów silny ostrzał, ale tym razem wróg bije raczej na oślep ogniem zaporowym. Na szczęście dział jest niewiele.

- Myślałem, że będzie gorzej - mówi Wiącek.

- „Szkopy” nie świecą, bo się boją Staszka - zaśmiał się Zawada.

- Spokój! - głos Wilskiego. - Podchodzimy, nasi już są nad celem. Patrz, rzucił flarę!

Na dole robi się teraz widno jak w dzień. Widać wyraźnie zarysy miasta i orientacyjny punkt odniesienia: stację kolejową. Wiącek już leży na materacu drzewiowym. Twarz ukryta, pochylony nad celownikiem. Prowadzi. Co chwila poklepuje „Bacę” po butach; mają swoje umówione znaki. Nawet gdyby radio wysiadło, ci dwaj zawsze się rozumieją. Coraz trudniej utrzymać maszynę w karbach. Rzuca, cholernie rzuca!

- Uwaga, bomby! - zabrzmiał nagle w słuchawkach głos Wiącka. W tym samym momencie bomby poszły. Nowak odczuł to po nagłym skoku pozbawionego nagle ładunku samolotu. Uciekać! Teraz uciekać! Tu już nic nie ma dla nich do roboty, trzeba zrobić miejsce innym.

Wellington pchnięty przez „Bacę” w dół wykonuje równocześnie głęboki skręt w prawo. Wracają inną drogą, niegościnnie brzeg francuski opuszczają w okolicach Abbeville.

Nowak jest teraz bardzo zajęty. Namierza się na stacje francuskie, by określić „fixa”. Wiącek musi ustalić właściwą pozycję i podać „Bacy” kurs, który bezpiecznie skieruje ich do domu. Lecą kursem 300, brzeg angielski mają osiągnąć w okolicach Portsmouth.

Prowadzi teraz Zawada, Wilski odpoczywa. Zapalają. Papieros po tylu emocjach smakuje znakomicie. Idą wysoko, jest im teraz lekko i dosłownie, i w przenośni - nie mają na pokładzie bomb i wykonali zadanie.

- „Baca”, przed nami w dole jakiś samolot, rzuć no okiem - melduje przedni.

Wszyscy wlepiają oczy w przednią szybę samolotu. Rzeczywiście, coś tam jest. Maleńki płomień z rur wydechowych silnika oznacza, że to „coś” idzie przed nimi. Muszą podejść bliżej, na rozmowę radiową nie można sobie jeszcze pozwolić. Idą sami i goniometry wroga łatwo mogłyby wykryć ich pozycję i kierunek. „Baca” decyduje się zwiększyć nieco szybkość i po chwili dochodzą swojego Wellingtona. Jest im trochę raźniej, tamtym pewnie też.

Czas mija powoli. Nowak dostrzega mrugające do nich przyjaźnie przybrzeżne latarnie, po kilkunastu minutach angielski brzeg „włazi” im pod płaty. Lądują tuż za swoim poprzednikiem, który szybko zrobił im miejsce, zwalniając pas. Są w domu.

- Panie Karolu - mówi do Kucha „Baca”, podając mu rękę - dziękuję za samolot, nic dodać, nic ująć.

Mechanik, wpatrzony w pilota czerwonymi z niewyspania oczyma, pokraśniał z zadowolenia.

- Dziękuję, kapitanie! - odpowiada krótko.

Czekające ciężarówki zawiozły ich do „Inteligenta” na spowiedź. Wszystkie załogi wróciły już do Bazy, teraz wspólnie omawiano wyniki rajdu. Do swoich log-booków chłopcy wpisali czerwonym atramentem: „Gardening Lens”. Nowak wykaligrafował: „Sortie Nr 2”, a z prawej strony, na drugiej kartce, również czerwonym atramentem: 4 h 50. Oznaczało to: 4 godz. i 50 min. lotu w nocy.

Tego rana Henryk spał dobrze. Obudzili go koledzy około drugiej, na obiad. Po obiedzie, ponieważ mieli wolny wieczór, poszli całą paczką do miasta. Wylądowali w końcu w kantine NAAFI, gdzie przy kieliszkach whisky spędzili bardzo wesoły wieczór. Wrócili już po jedenastej i zaraz rzucili się na łóżka.

Nowak nie zdążył jeszcze dobrze zasnąć, kiedy poderwał go ryk syren. Nalot!

- Co za cholera?! Niemcy biorą odwet za wczorajsze?! - klął Zawada, pospiesznie się ubierając.

Biegli teraz do prowizorycznego schronu, a właściwie do długich rowów, znajdujących się tuż za bramą lotniska. Rozmieszczone w pobliżu działa przeciwlotnicze biły krótkimi seriami, powodując niesamowity huk. Nowak widział ze swego miejsca tylko cofające się po wystrzale lufy i worki z piaskiem, chroniące działa i załogi w angielskich płaskich hełmach, takich samych, jakie mieli teraz na głowach Nowak i jego koledzy. W pewnej chwili Henryk zauważył, że jednemu z kanonierów hełm się zsunął, a spod niego wypłynęły kaskadą długie włosy.

- Ki diabeł? Co to za wojsko? - zdziwił się Zawada, który również to dostrzegł. - Heniek, chodź, zobaczmy.

Wyszli z rowu, kierując się w stronę strzelających baterii. Początkowo Nowak myślał, że ogłuchnie, ale wkrótce trochę się przyzwyczaił i ku wielkiemu zdumieniu tuż obok usłyszał piskliwy głos:

- Fire!43

Zaraz potem zagrzmiął straszliwy huk. Od dymu, wydobywającego się z dział po każdym oddanym strzale, Nowakowi zrobiło się gorzko w ustach. Teraz obaj z Zawadą zobaczyli oficera-kobietę, dowodzącą kilkoma działami. Przy każdym babki! Jedne podawały długie pociski, drugie ładowały. Wszystkie ubrane w battledressy, z maskami przeciwgazowymi przewieszonymi przez pierś.

Potem okazało się, że Niemcy zrzucili w okolicy lotniska dwie lub trzy bomby, nie czyniąc na szczęście prawie żadnej szkody. Najprawdopodobniej w ogóle nie wiedzieli, że znaleźli się nad tak ważnym obiektem wojskowym.

## „Psia załoga”

Minęły dwa dni. Dziś w nocy znów lecą, podobno na Brest.

Po normalnej procedurze przedlotowej udali się na dispersal. Stały tam przygotowane do lotu, zaplombowane po rannym oblocie, maszyny. Niedaleko ich „Zetki” stał bombowiec „M - jak Maria”. Jego załoga w przepisowej odległości od maszyny ćmiła papierosy. Koło nich kręcił się kundel, zwykły żółty kundel ze zwichrzoną sierścią. Nazywali go „Ciapek”. Pies miał na obroży numer dywizjonu, znak eskadry i... stopień wojskowy starszego sierżanta. Załoga „Marii” i jej pies słynna była w całym lotnictwie polskim. Nakręcono nawet na ten temat film, pokazywany w kinach jako dodatek. Kundel, który wraz ze swoją załogą miał już na koncie 18 lotów operacyjnych, przeszedł do historii. Ciapek swoim psim instynktem odgadywał bezbłędnie, kiedy jego załoga szykuje się do lotu i biada temu, kto chciałby go wtedy zatrzymać! O dziwo, kiedy szli do miasta, nie zwracał na nich uwagi. Wystarczyło, żeby mu powiedzieli: „Ciapek, dziś w domu!”

Pewnego razu przed lotem zamknęli go w pokoju na pierwszym piętrze. Gdy załoga udała się ciężarówką na dispersal do samolotu, Ciapek dostał ataku furii. Rzucił się do okna, kogoś, kto chciał go zatrzymać, ugryzł w rękę, wybił szybę, wyskoczył na trawnik przed budynkiem i pokaleczony przykuśtykał na lotnisko. Zdążył. Od tej pory formalnie uznany został za członka załogi.

Gdy cała załoga „Marii” otrzymała awans na starszych sierżantów, Ciapek dostał na obrożę złotą koronę nad trzema winklami.

Tym razem wystartowali o godzinie 23.15. Jak zwykle nad lotniskiem rundy celem nabrania wysokości, potem wejście na kurs. Idą nad chmurami, których wierzchołki sięgają 12 tys. stóp. Podobno nad Brestem podstawa powinna być w granicach około tysiąca stóp. Niewesoło! Nowak z Wiąckiem pracują teraz w pocie czoła, lecą cały czas na przyrządy. Aczkolwiek idą w szyku, niemniej nawigator jest bez przerwy w akcji. Co pewien czas wchodzi do wieżyczki „astro” ze swym sekstantem, by dokonać namiaru na gwiazdy. Teraz mówią o nim: „Astronom”.

Idą według obliczonego kursu, razem trzy maszyny, szykiem torowym w odległości wzrokowej. Prowadzi kpt. Henryk Myszkowski, dowódca eskadry „B”, za nim „Maria”, na końcu załoga Nowaka. W każdej chwili oczekują ataku nocnych myśliwców, dla których stanowią łakomy kąsek. W razie ataku ryzykować nie będą, dadzą nura w chmury. Lepiej, żeby do tego nie doszło, bo lot w chmurach w takich warunkach nie należy do przyjemności. Nietrudno się nadziać na własny samolot.

Nagle dostają się pod silny ostrzał artylerii przeciwlotniczej.

- To chyba z okrętów? - pyta Wiącka „Baca”. - Pewno mają nas na przyrządach. Stefan, pograj trochę silnikami, popsujesz im namiary - zwraca się do drugiego pilota. Po chwili silniki wychodzą z równego, jednostajnego rytmu, do którego przywykło ucho. To Zawada wykonał polecenie dowódcy.

Oddychają z ulgą. Widocznie wróg nie ma w tym rejonie myśliwców, skoro odezwała się artyleria. Pod nimi w dalszym ciągu kłębią się chmury. Chwilami wydaje się, że samoloty stoją w miejscu. Ale to tylko złudzenie, maszyny wciąż idą i pokonują przestrzeń. Są już teraz bardzo daleko od domu, według obliczeń „Astronoma” znajdują się w okolicach Brestu.

I znów - na szczęście daleko od nich - wy trysku ją z chmur i rozrywają się pociski.

Już czas! Pierwszy schodzi kpt. Myszkowski. Za siedem minut zejdzie „Maria”, ta z psem, na końcu oni. Numer drugi zanurzył się już w białej, kłębiastej masie chmur i znikł im z oczu. Wiącek, leżąc na stanowisku bombardiera, schwycił czas na stoper. Wszyscy są teraz wpatrzeni w niego. Opuścił podniesioną rękę. Przebijają! Schodzą ostro! Nowak trzyma się swego ruchomego fotela. Nie widać kompletnie nic! Są w gęstym „kicie”, który nożem można krajać. Po szybach rozmazuje się woda jak podczas ulewnego deszczu. A może to tylko złudzenie? Ale nie ma czasu pytać. Tylko przyrządy pokładowe połyskują ponurym, niebieskawym blaskiem. Na ich tle ostro rysuje się garb na nosie „Bacy”. Skupiony, wbił wzrok w przednią szybę, na której pracują jak wściekłe wycieraczki. W lewo, w prawo...

Nagle w słuchawkach rozległ się głos Myszkowskiego. Mówił przez TR-9 - małą, pracującą na ultrakrótkich falach radiostację o bliskim zasięgu.

- Jestem pod chmurami, podstawa około siedemset stóp, idę kursem sto siedemdziesiąt.

Odetchnęli. A więc nie jest tak źle! Idą teraz na pewniaka. W miarę schodzenia robiło się coraz ciemniej.

Co będzie, jak dogonimy „Marię”? myśli Nowak z niepokojem, bo wydaje mu się, że idą ze zbyt dużą prędkością. Zaraz jednak uspokaja się - przecież tamten samolot też nie stoi w miejscu.

Nagle pod nimi, gdzieś z przodu, widać krótkie błyski. Trwało to może sekundę. Znow chmury, które raptem uciekły gdzieś w górę. Idą pod nimi. I znów to samo, co Nowak widział w Lens, ale tym razem dużo wyraźniej. Lecą nisko, na dwustu metrach, i starają się utrzymywać tę wysokość - jest dla nich najbezpieczniejsza i najbardziej efektywna. Byle tylko nie iść torem poprzednika, nie za blisko!

Nie widać dwóch pierwszych maszyn. Nagle, lekko z lewej strony przed nimi, wybucha słup ognia. To nasi nad celem, chyba „Maria”, bo samolot Myszkowskiego oświetlił cel.

Bombowiec Nowaka wyszedł jednak za bardzo z prawej. Muszą zawrócić! Robią krąg, a tu artyleria bije w nich jak w kaczy kuper. Na szczęście niecelnie.

Teraz dopiero widać, z jaką szybkością leci pocziwy „Dziadzia Wellington”. Nowak nigdy nie podejrzewałby go o taką energię.

Lecą nad palący się port. Znow eksplozja. To chyba „psia załoga” po raz drugi poszła nad cel. Samych samolotów nie widać.

W dole widzieli teraz oświetlone flarami obiekty portowe: magazyny, olbrzymie żurawie tuż przy pasie połyskującej wody. Z kilku statków, przycumowanych do nadbrzeża, prują do nich ogniem karabinów maszynowych. Tu i ówdzie palą się budynki, rzucając migocące światło na obudzone ze snu miasto. Idą trochę w lewo od palących się obiektów. Drzwi bombowe mają już otwarte, „Astronom” odbezpieczył tylko dwie bomby. Atakują dziś małymi seriami. Pod nimi ciemne masy budynków, wody, znow budynków. Mignęły przez sekundę tory kolejowe, które znikły pod dachem magazynu. Tuż, tuż mignęły przycumowane statki i... dwie bomby poszły. Wyprysnęli wyżej i robią powtórne zajście. Tylny melduje, że bomby w celu i że za nimi idą jeszcze inne maszyny do ataku. O tym nic nie wiedzieli. Wydawało im się, że tylko ich trójka zaleje Niemcom sadła za skórę. No to teraz

trzeba cholernie uważać, bo robi się ciasno. Zawracają. „Baca” z Zawadą i Nowak obserwują pilnie, aby się nie władować na jakiegoś „alianta”. Są ponownie na prostej. Przed nimi inny Wellington rzuca w tej chwili bomby, które koziołkując nikną w mrokach nocy, by po kilku sekundach wytrysnąć gejzerem ognia i dymu. Odchodzą ostro w prawo, nad celem zrobiło się za ciasno. Rzucają resztę swoich „pigulek” na stojące w pobliżu statki i wyskakują do góry, kierując się na pełne morze. Pną się teraz ostro ku zbawczym chmurom.

W dole było tak jasno, że mogli odczytać napisy na szyldach nad bramą wjazdową, a tu znów w gęstym „kicie”. Maszyna idzie powoli w górę. Żeby tylko nie spotkać tu kogo. Nic nie widać! Po kilkunastu minutach w chmurach dostrzegli okna, przez które widać pomarszczone morze. A więc byli już nad Kanałem.

Nareszcie wyszli z pierwszej warstwy chmur, następna jest dużo wyżej. Daleko na przedzie, nieco z prawej, idzie samotny Wellington.

Nowak poczuł nagle, że robi mu się coraz zimniej, i spojrzał na piersi. Miał rozpięty kożuszek. Chwytał za suwak, aby go podciągnąć do góry. Nic z tego! Zamek był uszkodzony. Nie trzymał zupełnie, a tu wieje jak cholera! Nowak nie mógł sobie z nim poradzić, szarpanie nie pomagało.

Skąd tu tak ciągnie, u diabła? zastanawiał się w myślach. Spojrzał w lewo. Na ścianie, nieco niżej od niego, dostrzegł dziurę wielkości piłki nożnej. Widać było przez nią piętrzące się w dole chmury.

Zrobiło mu się jeszcze bardziej zimno. Szukał czegoś, aby móc się opasać, ale jak na złość w tych ciemnościach nic mu pod rękę nie wpadło. Pomagał sobie latarką, zasłaniając dłonią ognisko, aby nie było widać na zewnątrz światła, na próżno!

Krzętanina jego zwróciła w końcu uwagę „Astronoma”.

- Czego szukasz, Heniek, zgubiłeś pensa?

- Nie - odparł i pokazał mu zepsuty suwak.

Nawigator szamotał się chwilę z upartym zamkiem, w końcu zrezygnował. Podał mu pasek od spodni, trochę to pomogło.

Nagle szcęknięto coś w intercommie.

- Dwa Messerschmitty idą na mnie od godziny szóstej - mówił z przejęciem Leszek, ich tylny strzelec, i od razu w słuchawkach rozległo się jazgotanie karabinów maszynowych.

„Baca” szybko położył maszynę w prawy skręt, idąc w kierunku atakującego myśliwca.

Tego tylko brakowało, pomyślał Nowak.

Podskoczył do bocznego stanowiska, szybko odbezpieczył karabiny. Pociski wroga zabębniły po kadłubie, po chwili odezwał się ich przedni. Nowak zobaczył, jak Niemiec, chcąc uniknąć zderzenia, wychodzi świecą w górę. Nawet przez moment nie był w zasięgu jego celownika!

- Zawracają, jest ich dwóch - melduje Stach, przedni. - Idą torowym godzina dwunasta, otwieram ogień!

Słowa zagłuszył terkot karabinów w wieżycze. Teraz i Nowak widzi przez moment przeciwników; otwiera ogień, niestety mało skuteczny w ataku od czoła.

- Uwaga, tu dowódca - słychać spokojny głos „Bacy” w słuchawkach. - Trzymajcie się, chłopaki, będę nurkował!

Nowak rzuciło do góry. Zaparł się nogami, przycisnął do bocznej ściany, trzymając oburącz tylce karabinów. Po chwili pilot wyrównał, przez moment szedł prosto, aby za sekundę dla odmiany wyskoczyć świecą w górę.

Cholera, on chyba był myśliwcem! przemknęło Nowakowi przez myśl. Rozłoży Wellingtona prędzej niż te szwaby!

Przycisnął się do ścianki, aby lepiej widzieć, i w tej samej chwili zobaczył hitlerowca za sobą. Strzelał do niego tylny. Nowak też otworzył do niego ogień. Co trzeci pocisk był świetlny, tak że ich tor był doskonale widoczny.

Wróg odszedł, po chwili przemknął drugi, bębniąc pociskami po kadłubie Wellingtona. Zniknęły oba, na jak długo?

- Z czego one są zrobione? zadawał sobie pytanie. Przecież jeden albo drugi na pewno od któregoś z nas oberwał?

- Odeszły oba, zostawiły nas w spokoju - melduje Leszek.

- Ale dlaczego? - dziwi się Zawada. - Przecież chyba nas się nie zlekli? Te, Stasiek, to chyba ty ich wypłoszyłeś swoim wrzaskiem!

- Zamknij się! - odcina się przedni. - O, patrzcie, na godzinie trzeciej są nasze myśliwce! - krzyczy radośnie Stach.

- Rzeczywiście, to nasze Spitfire'y! - woła Zawada.

- To dlatego zostawili nas w spokoju, przecież paliwa by im chyba starczyło na dwa zajścia - mruczy „Baca”.

Dla wyjaśnienia warto dodać, iż w czasie walki bombowca z myśliwcem stosowano specjalną taktykę - pilot ściśle współpracował z tylnym strzelcem. Strefa dookoła samolotu została podzielona tak jak w zegarze, na godziny: przed samolotem była godz. 12, z tyłu godz. 6, z lewej godz. 9, z prawej godz. 3. Bardzo ułatwiało to pilotowi odbieranie meldunków strzelca, siedzącego tyłem do kierunku lotu, a także, co za tym szło, skracało czas manewru myśliwca i czas trwania ataku.

Rozwidniło się już na dobre. W dali widać było szóstkę Spitfire'ów, które gnały za szybko oddalającymi się Niemcami. Po chwili wszyscy znikli im z oczu.

Nowak zabezpieczył z powrotem „guny” i odwrócił się, kierując kroki w stronę kabiny, gdzie była jego radiostacja. Zamarł! Około dwudziestu centymetrów od miejsca, w którym stał uprzednio przy karabinach, biegł ukośnie w górę ścianki ścieg od pocisków wroga.

Tym razem miał szczęście! Przecież seria mogła go przeciąć w pół. Miałby wtedy spokój, jak zwykły był mówić.

Wszedł do wieżyczki „astro” i rozejrzał się po niebie.

Widok stąd był doskonały. Dostrzegł dwa Wellingtony, a więc wracają w komplecie. Ciekawe, czy ich też te hycle atakowały? Zajrzał do „Astronoma”. Ten siedział na podłodze, ssąc rękę.

- Co ci jest, Stefan? - pyta zaniepokojony. - Jesteś ranny?

- Chyba trochę w rękę, ale to głupstwo, ochroniła mnie rękawica.

Obejrzał ranę. Na szczęście nic groźnego. Szybko przemył ją wodą utlenioną, za jodynował i przyłożył opatrunek osobisty. Dobrze, że apteczka ocalała. Seria poszła po radiostacji i miejscu nawigatora. Wiącek był wówczas schylony, podnosił mapy, które pospadały podczas akrobacji „Bacy”, dlatego skończyło się ulgowo...

Nowak przechodzi do pilotów. U nich w porządku, ale na ścianie pancerza też widać rysy od pocisków. Zameldował „Bacy” o uszkodzeniach i ranie nawigatora.

- Jak tam strzelcy? Leszek?

- Piątka w porządku - melduje po chwilowej przerwie.

- Co z szóstką? Stasiak, jak tam? - niepokoi się Wilski nie na żarty. Ale przedni nie odpowiada.

- Heniek, idź, zobacz! - daje rozkaz Nowakowi.

Ten schyla się i przeciska między pilotami. Po drzwiczkach dochodzi do przedniej wieżyczki. Niestety, wieżyczka jest przekręcona, a więc drzwi dadzą się otworzyć tylko od wewnątrz. Może to zrobić tylko strzelec. Nowak widzi nieruchome bary kolegi i wyobraża sobie najgorsze. Próbuje manipulować przy drzwiach nożykiem, może udałoby się podważyć dźwigienkę, ale gdzie tam! Żeby mógł chociaż troszeczkę odwrócić tę cholerną wieżyczkę, myśli gorączkowo. Mocuje się z nią już od kilku minut, jest cały mokry.

- „Baca”, nie mogę sobie dać rady, zawołaj go jeszcze raz, przecież już po ataku z nami rozmawiał - mówi do kapitana. I w tym momencie wieżyczka odskoczyła szybko w lewo. Nowak zobaczył tuż koło swej twarzy roześmianą gębę Staszka, który na jego widok zrobił zdziwioną minę.

- Otwórz, żłobie! - krzyknął ze złością i tak wiedząc, że bez intercommu nikt go nie usłyszy.

Kamiński wrócił „do pozycji” i otworzył drzwiczki. Zorientował się, o co chodzi, bo trzymał w ręku potrzebującą końcówkę wtyczki.

Nowak spojrział w górę. Pochyleni w dół piloci obserwowali ich pilnie. Teraz śmieli się uszczęśliwieni - wyłgali się tanim kosztem.

Wrócił na miejsce i sprawdził łączność. Niestety, radiostacja nie działała, na szczęście ocalał stojący nisko aparat TR-9, choć z uwagi na mały zasięg był jeszcze nieużyteczny. Na wołanie Henryka odezwała się „Maria”, po chwili odezwała się również maszyna kpt. Myszkowskiego. Wszystko w porządku, idą znów szykiem torowym. Nowak sprawdził na wszelki wypadek IFF-kę. W porządku!



Niby nie było problemu, bo szli we trzech, ale zawsze... Gdyby szli sami, a stacja by nie działała, mógłby ich zestrzelić własny myśliwiec. Takie były przepisy.

Nowak zameldował „Bacy” o stanie aparatury.

- No, to nie jest tak źle! - powiedział dowódca z ulgą. - Słuchaj, idę teraz za naszymi dwoma, właściwie to nie mamy nic do roboty, może byś nam tak podał trochę kawy? - mówiąc to spojrzał na niego i zauważył szeroko otwarty na piersiach kożuszek. - Te, coś ty taki rozmamłany, chcesz kataru dostać? - zapytał.

- Oj, kawa przyda się nam wszystkim. Że też ja wcześniej o tym nie pomyślałem. Patrz - pokazał uszkodzenie kapitanowi.

- Co, przestrzelili ci zamek? - spytał Zawada, patrząc ze współczuciem, ale nie znalazł nic, co by mogło mu pomóc.

Nowak, najpierw spocony, teraz szybko marzył. Na szczęście termosy były na swoim miejscu, nie uszkodzone. Po łyku gorącej kawy Nowak poczuł się różnie, po wypiciu kilku łyków zimno ustąpiło prawie zupełnie.

Chmury się jakoś rozproszyły. Pod nimi w dole w dalszym ciągu widać było morze. Tymczasem z ich silnikiem zaczęło dziać się coś złego: zachłysnął się raz i drugi, coś strzeliło z rur wydechowych. Przez jakiś czas pracował normalnie, aby po pięciu minutach kichnąć jeszcze dwa razy i zamilknąć zupełnie.

Źle! Na szczęście już widać z daleka wysokie brzegi Kornwalii. Dochodzą do macierzystego lądu, ale do domu jeszcze daleko.

- „Radiota”, znajdź najbliższe lotnisko zapasowe, bo do Ingham nie dociągniemy - rozkazuje „pierwszy” Nowakowi.

Zajrzał do książki i spytał „Astronoma”, w którym miejscu wychodzić będą nad brzeg angielski.

- Idziemy prosto po kursie, a więc wyjdziemy z prawej strony Torquay - odpowiedział nawigator.

Nowak był już w domu. Znał każdy kąt tej pięknej letniskowej miejscowości w pobliżu Exeter. Exeter! Przecież to tam stacjonuje 307 dywizjon „lwowskich puchaczy!”

- „Baca”, dociągniesz do Exeteru? - pyta pilota. - To nie jest tak bardzo z drogi.

- A co, masz tam znajomą „wafkę”? - wtrąca się Zawada.

- Nie, tylko zawsze lepiej być między swoimi - odpowiedział Nowak.

- Chyba tak, postaramy się, co, Stefan? - zwraca się do „drugiego”.

- Nie ma innej rady, ale cholernie ciągnie w lewo. Żeby tylko ten drugi utrzymał, bo za lądowanie na tej pustyni to ja dziękuję - mówi Zawada.

- Stefan, poruczniku - zwrócił się Wilski do nawigatora. Jakoś nie mógł przyzwycząić się do przezwiska Wiącka. Nowak podejrzewał, że i jego własne nie bardzo mu przypadło do smaku. - Podaj nowy kurs i oblicz czas do Exeteru, szybkość mamy teraz dwieście czterdzieści kilometrów na godzinę, Nowak da

ci dane. Swoją drogą za dużo jest u nas tych Stefanów, trzeba coś z tym zrobić - mruczy niezadowolony.

- Nazywaj go „Astronom”, jak wszyscy - radzi mu Nowak, a potem wywołuje przez TR-9 „G” Myszkowskiego. Tamten zgłosił się natychmiast, już wiedzieli o ich kłopotach z silnikiem. Nowak spytał go, czy ma łączność z bazą, a kiedy odpowiedzieli twierdząco, poprosił, by powiadomili ją o sytuacji, w jakiej się znaleźli, i o decyzji lądowania w Exeterze. Tamci pokwitowali, a po chwili odpowiedzieli, że baza przyjęła meldunek, życzyła powodzenia i oczekuje telefonu z Exeteru.

Dwóch przednich już nie widać. Pożegnali się z nimi przez radio. W zasadzie nic im teraz nie grozi. Wszyscy o nich wiedzą. Są ubezpieczeni; przed chwilą podeszły do nich od lądu dwa Beaufightery, pomachały skrzydłami i odeszły w stronę morza.

Mijają z lewej skalisty cypel południowej Kornwalii, zostawili z tyłu Penzance. Nowak nie przypuszczał wówczas, że niedaleko, w Predannack, będzie jego nowe lotnisko. Idą lądem. Krajobraz monotony, szary, niewiele osiedli. Teraz zostawiają z prawej duże miasto portowe - Plymouth. Jest to duży port. W basenach i na redzie widać stojące okręty.

Nowak nawiązuje łączność z Exeterem. Zostali zawiadomieni przez Grupę, już na nich czekają. Henryk melduje powtórnie o sytuacji, otrzymuje zezwolenie zejścia i na lądowanie. Ostatnie słowa kontroler mówi po polsku. Będą siadać w pierwszej kolejności, pozostałe maszyny znajdujące się w powietrzu skierowano do innego rejonu. Właśnie oddala się od lotniska jakiś Mosquito. Wygląda wspaniale. Smukły, podobny do ryby, no i ta jego szybkość! Nowak nie może wprost oczu od niego oderwać, ale myśliwiec po chwili znika mu z oczu.

- „Baca”, polatałbyś sobie na takim? - pyta.

- Dobry jak i każdy inny - odpowiada obojętnie pilot, ale Nowak dostrzegł, jak pożerał Mosquita wzrokiem.

Kontrola powiadamia ich, że mają wolną drogę. Krajobraz pod nimi radykalnie się zmienił. Po prawej stronie zostawili miasto z olbrzymią katedrą i widocznymi z daleka wieżami ratusza. Wchodzą teraz szeroką rundą nad lotnisko Exeter, aby mu się trochę przyjrzeć.

- Jesteśmy w pozycji z wiatrem - melduje „Baca”.

- OK. Widzimy was, kolejność jeden, możecie lądować - mówi wieża.

Nowak rozgląda się ciekawie po okolicy. Kiedy mnie tu przeniosą, myśli sobie, przyda się znajomość topografii.

Od spotkania z Michałowskim upłynęło już kilka miesięcy. Przez cały ten czas nie miał od niego żadnego znaku, ale wierzył, że prędzej czy później otrzyma przeniesienie.

- Mówiąc prawdę nie bardzo wiem, dlaczego tak się upieram przy tym przeniesieniu. Czy mi tu źle? - powiedział głośno do siebie.

- Co mówisz, Heniek? - zainteresował się Zawada, który usłyszał jego słowa przez intercomm.

## „Święta wojna” z dowódcą stacji

Na lotnisku Exeter Nowak udał się do dowództwa, ale tam nikt nie umiał udzielić mu informacji w sprawie przeniesienia. Najpierw był trochę zły, ale wreszcie doszedł do wniosku, że w swojej załodze czuje się dobrze, a i to, co robi dywizjon 300, właściwie mu się podoba. Nikomu z załogi, rzecz jasna, ani słowem nie wspomniał o zamiarze ucieczki. Całe szczęście!

Mechanicy usunęli usterkę bardzo szybko. Uzupelnili paliwo i amunicję do karabinów, którą mieli wyjątkowo, bo w Mosquitach używany jest inny kaliber. Podziękowali „Puchaczom” pięknie za gościnę i znów byli w powietrzu, w drodze do bazy w Ingham. Ale, niestety, mieli wyjątkowego pecha. Prawdopodobnie niezbyt dokładnie usunięto usterkę bądź też nawaliło coś innego, w każdym razie silnik po starym zaczął kichać i strzelać jak z armaty. Temperatura oleju dawno już przekroczyła czerwoną kreskę. W końcu Wilski, obawiając się pożaru, wyłączył jeden silnik. Ale i ten drugi, jakby się zaraził, też ma podejrzaną szmery.

Pada komenda:

- Przymusowe lądowanie, dawajcie najbliższe lotnisko, a na wszelki wypadek przygotować się do opuszczenia samolotu.

Nowak powiadomił wszystkie organa, będące w zasięgu jego małej radiostacji. Najbliższa stacja przekazała dalej i teraz nawet Bomber Command wiedział o ich kłopotach.

Wyłączony silnik zaczął jednak dymić. Nowak wiedział, że wszyscy w pobliżu śledzą ich dramatyczny lot. Jego zawołanie na VHF (very high frequency - fale ultrakrótkie): PAN, PAN, PAN, oznajmiło, że mają poważne kłopoty, a za chwilę może polecieć w eter pełen grozy sygnał: May-Day, May-Day, May-Day... Henryk co chwila włącza się na falę i informuje o sytuacji, a tymczasem ci z ziemi ich namierzają. Nie chciałby być teraz w skórze mechaników z 307, aczkolwiek nie przypuszcza, aby to mogła być ich wina.

Są głęboko w lądzie. Dobrze, że idą bez bomb, bo pod nimi gęsto leżą osady. Maleńkie poletka, popręgane kamiennymi płótkami, na których pasie się bydło, nie zachęcają do przymusowego lądowania.

„Ops” sugeruje kurs w morze i opuszczenie samolotu, ale „Baca” odmawia. Są już za daleko od wybrzeża, a poza tym mówi, że nie umie pływać.

Ziemia zmieniła decyzję - skierowano ich na najbliższe lotnisko. Lecą teraz na GCA. Co chwila podają im kurs, pytają o stan maszyny, o zapas paliwa. Przewornie prowadzą tam, gdzie jest najmniej osiedli.

Po dwudziestu minutach gimnastyki lądują na jednym silniku. Skończyło się tylko na strachu. „Baca” nabrał już widać wprawy. Po opuszczeniu pasa pilot wyłączył silnik.

- „Baca”, nie za wiele wrażeń jak na jeden dzień? - spytał Nowak.

- Właśnie - odburknął tamten.

Podjechał samochód, który zawiózł ich do dowództwa. Jakież było ich zdumienie, gdy okazało się, iż lądowali na lotnisku Chivenor, dokąd przeniósł się ostatnio dywizjon 304 Ziemi Śląskiej, wchodzący w skład Coastal Command.

Wiłski porozumiał się telefonicznie z bazą w Ingham i zameldował o wszystkim, pytając o instrukcje. Tam już wiedzieli o nich. Obiecali, że następnego dnia przyślą po nich samolot, a teraz zalecono im odpoczynek.

Przydzielono im pokój gościnny. Przy okazji próbowano zabrać nawigatora do mesy oficerskiej, ale ten odmówił.

- Wszystko jedno, ale ten Wiącek nie zadziera nosa, jak niektórzy oficerowie. Jest prawdziwym kolegą - stwierdził z głębokim przekonaniem Zawada.

Załoga „Bacy” poszła do mesy sierżanckiej, aby się czegoś napić i zaopatrzyć w papierosy, które już się kończyły. Było dawno po śniadaniu, ale polskie „wafki” zatrudnione w kuchni upitraszyły im coś naprędce i podały do stołu. Nowak już dawno nie słyszał kobiety mówiącej po polsku. Z prawdziwą przyjemnością patrzył na dziewczęta w szarych, krótkich kitlach, spod których wyglądały stalowe mundury z napisem „Poland” na ramieniu.

Wtem w drzwiach mesy ukazało się kilku lotników. To starzy znajomi z Bramcote przyszl ich „tropem”. Nowak i jego koledzy byli bardzo zmęczeni, toteż wypili tylko po jednym i wrócili na kwaterę. Musieli się trochę zdrzemnąć. Zbudzono ich na obiad. Teraz rozmowom nie było końca. Wreszcie znaleźli się w kasynie, gdzie niemal każdy z członków załogi trafił na swego dawnego kumpla. Nowak rozpoznał kolegów z 1 pułku lotniczego z Warszawy. Teraz to były już stare wygi, dostali się do Anglii w 1940 r. przez Rumunię i Francję. Każdy miał na piersi „bez atu” (tak nazywano komplet odznaczeń, tj. Virtuti Militari i potrójny Krzyż Walecznych).

Ucieszyli się ze spotkania z Henrykiem, chociaż początkowo traktowali go nieco „z góry”.

- Te, coś ty, „radiota”? Zmieniłeś zawód? - usłyszał za plecami dziwnie znajomy głos. Obejrzał się i zobaczył śmiejące się zaczepnie oczy Romka Wysockiego, przedwojennego strzelca-radiotelegrafisty, absolwenta szkoły małaletnich z Bydgoszczy, którego znał z pułku. Był to przystojny, kruczowłósy, średniego wzrostu chłopak. Wielki zawadiaka.

- Ano tak wyszło, co za różnica - nastroszył się Nowak, gotów do obrony swojego nowego zawodu.

- Dobra, dobra - odpowiedział tamten pojednawczo. Przywitali się serdecznie. Nagle Romek spytał:

- Chłopaki, pójdziecie dziś z nami do teatru?

- Do teatru? Czyś ty się z choinki urwał? Nie. wiem jak oni - Nowak wskazał na resztę załogi - ale-ja się dziś nigdzie z campu nie ruszam!

- Przecież będziemy w campie, w naszym obozowym teatrze - odpowiedział Romek - tylko że będzie cholerna rozróżba, ubaw po pachy, zobaczysz!

Romek był zawsze łobuzowaty, Nowak przywykł już do jego sposobu mówienia.

- A co będą grać? - zapytał bez przekonania, bo jakoś ciągle nie miał chęci na ten teatr.

- Nie wiem - skrzywił się kolega. - Podobno coś dobrego, ale nie o to chodzi. Dziś się ostatecznie porachujemy z naszym dowódcą stacji, Anglikiem.

- Niech zjem beczkę soli, jeśli coś z tego rozumiem - powiedział, drapiąc się w głowę, „Baca”.

Zaciekawienie przybyszów rosnęło. Przyłączyli się do nich i inni.

- No dobrze, Romeczku - odrzekł zaintrygowany już Nowak. - Jeśli tak koniecznie chcesz, to przynieś tę wódkę i opowiadaj.

Romek poszedł do bufetu i po chwili już wracał z tacą pełną małych szklanek napełnionych do połowy złocistym płynem.

- A kto by chciał ujrzeć przepiękny chód kaczy, niech chorążego Wysockiego zobaczy - zadeklamował Nowak.

- Te, poeta, żebym ci tej whisky na głowie nie postawił. Albo lepiej nie, szkoda forsy, jużście mnie i tak zrujnowali - dodał. - No, bierzcie, tylko po jednej! - zastrzegł.

Usadowili się wygodniej w fotelach, gospodarze przycupnęli, gdzie się dało.

- No to wal, Romek, co się tu u was dzieje - niecierpliwie powiedział Nowak.

- Mamy nowego dowódcę stacji - zaczął Wysocki, pociągnąwszy wolno łyk. - Jakiś polakożerca! Nie wiadomo, co jest tego powodem, może któryś z naszych poderwał mu córkę albo żonę, cholera wie! Faktem jest, że od chwili przyścia do nikogo z naszych, z wyjątkiem polskiego dowódcy, się nie odzywa. Wydaje tylko rozkazy dzienne, w których jest dużo śmiesznych rzeczy. Odgrywa się na nas, ale czy się damy, to jeszcze nie wiadomo. Wojna trwa, a właściwie to się dopiero zaczyna - mówił z zaciętością w głosie.

Na przykład wydał on rozkaz, aby wszyscy podoficerowie i żołnierze ubrani byli przepisowo, a przecież King's Regulations wydany został z myślą o Anglikach, nie o Polakach. Przecież król nie mógł przewidzieć tego, że Polacy nie lubią chodzić w angielskich wąskich spodniach, że powstawiają sobie kliny czy w inny sposób przerobią królewską garderobę. Nawet wyższym podoficerom zabronił nosić jasnych oficerskich koszul, a niższym stopniem cywilnych pantofli. Nie pozwalał przerabiać mundurów, a przecież sami wiecie, że szanujący się Polonus nie założy munduru z magazynu RAF, nie dokonawszy choćby jednej poprawki.

Ostatecznie jeśli chodzi o personel naziemny, to z braku uzupełnień nie ma on wiele okazji do awansów. Do nas nie przychodziły młode roczniki jak do RAF. Traktujemy ich wszyscy jako dobrych kolegów bez względu na stopień, ceniąc przede wszystkim ich fachowość i poświęcenie. To ich zasługa, że maszyny sprawnie latają i zadają śmiertelne ciosy wrogowi. Oni żyją naszymi sukcesami, martwią się naszymi niepowodzeniami, nie śpią, kiedy jesteśmy w powietrzu na długim nocnym locie, czekają na nasz powrót. Wiemy, że kiedy załoga nie powróci z lotu bojowego, przeżywają to bardzo boleśnie. Dlatego też wymierzone przeciw (nim rozkazy odczuliśmy jako osobistą zniewagę. Taki „struś” chce nas traktować na równi z Anglikami! Polacy narzuconą sobie wojnę przyjęli. Pułkownik

pomylił się trochę, nie znał nas. My, mały, skłócony ludek, natychmiast jednoczymy się w potrzebie. Tak było i tym razem.

Tego dnia po zajęciach gremialnie szli do miasta. Wszyscy ubrani nieprzepisowo. Nawet ci, którzy nie mieli w mieście żadnego interesu, wysłani byli prawie przemocą przez kolegów. Ci, którzy nie mieli oficerskich koszul, pożyczali je od innych. Ja sam pożyczyłem im cztery.

- Skąd tyś wziął cztery koszule? - dociął mu któryś z kolegów.

Nowak spojrzął w tamtą stronę i zdziwił się, widząc dziecinną buzię Stasia Kolińskiego, z którym razem byli w lotnictwie polskim w ZSRR - Koliński w piątej, Nowak w czwartej eskadrze. Mrugnął do niego, nie chcąc przerywać Wysockiemu, który udał, że nie rozumie aluzji, i kontynuował.

- Żandarmi przy bramie początkowo zapisywali wszystkich, ale wkrótce dali za wygraną, widząc cały rząd czekających i wszystkich nieprzepisowo ubranych. Sporządzili więc ogólny raport i przesłali go dowódcy, okazując w ten sposób swoją bezradność. W kilka dni potem nadszedł nowy rozkaz: posiłki w mesach żołnierskich i sierżanckich mają być wydawane w godzinach dwunasta trzydzieści - trzynasta trzydzieści.

Później jadalnia będzie zamknięta. A zwykle było tak - wyjaśniał - że mechanicy nie przerywali swych zajęć i przychodzili na obiad dopiero po zakończeniu pracy. „Wafki”, powiadamiane przez szefa mechaników, zawsze trzymały dla nich ciepły posiłek.

Romek przerwał na moment, spojrzął po słuchaczach i podjął opowieść:

- Akurat wtedy miałem służbę oficera inspekcyjnego. Otrzymałem rozkaz, aby dopilnować zamknięcia stołówki o czasie. Do godziny trzynastej dwadzieścia pięć zgłosiło się tylko kilku Anglików. Na trzy minuty przed zamknięciem przysłała dosłownie cała stacja od chorążego w dół. Ale nie kwapili się z wejściem do środka. „Pośpieszcie się, panowie - mówię do nich - bo zaraz zamykamy sklepik”. „Spokojna głowa, panie chorąży - odpowiedzieli chórem - rób pan swoje!” Do środka w dalszym ciągu nie wchodził nikt. Spojrzałem za siebie, gdzie stały podekscytowane „wafki”. Czekwały. Punktualnie o godzinie trzynastej trzydzieści kazałem zamknąć drzwi wejściowe i skierowałem się w stronę biura szefa kuchni. Za moimi plecami rozległ się brzęk tłuczonej szyby w drzwiach wejściowych, które po chwili ustąpiły pod naporem silnych ramion. „Wafki” poruszyły się niespokojnie. Stałem z boku i czekałem, co będzie. Droga do jadalni stała teraz otworem. Chłopaki podchodzili kolejno do lady, na której stały ustawione w stosy talerze, każdy brał po dwa, trzy lub więcej i rozbijał o betonową posadzkę.

Stałem z boku i patrzyłem zafascynowany. W końcu i ja, ale już poza kolejką, podszedłem do lady, wziąłem trzy talerze i rymnąłem o ziemię, aż iskry poleciały. Też mi trochę ulżyło. W końcu talerzy na ladzie zabrakło, ale przecież tam także stały Polki. Kopnęły się do suszarek i poczęły wyciągać stamtąd talerze, drugie wyciągały je z podręcznego magazynku i podawały chłopakom. Na podłodze utworzyła się spora góra skorup. Po zakończonej „akcji” podszedłem do szefa kuchni, Anglika, który siedział na koszu od chleba i trzymając się oburącz za głowę pojękiwał przerażony. Krzyknąłem na niego, aby oprzytomniał i pomógł mi sporządzić protokół o zajściu.

Romek pociągnął ze szklaneczki i zamyślił się, jakby przeżywał wszystko jeszcze raz.

- No i jakie były reperkusje tego wydarzenia? - zapytał Nowak.

- Reperkusje? - zdziwił się Wysocki. - Żadne! Jak można ukarać trzystu chłopów, tym bardziej że bez dalszych demonstracji udali się do swych zajęć i pracowali jak szatany. No a dziś jest następna faza. Wiecie, wiadomość o tej rozróbie dotarła do Air Ministry i staremu to na zdrowie nie pójdzie!

- Jeśli tak sprawa wygląda, to idziemy do teatru - zdecydował Nowak.

W każdej bazie o starych tradycjach znajdowała się zawsze sala kinowa, w której raz w tygodniu, w poniedziałki, odbywały się występy artystyczne. W inne dni tygodnia był przeważnie film lub koncert.

Na spektakl dzisiejszy stacja czekała już kilka tygodni, bowiem zapowiedział swój występ Lawrence Olivier ze swoją żoną, również słynną aktorką Vivien Leigh, oraz jego zespół. Na ich występy trudno było dostać bilety nawet w Londynie. Polacy, dzięki znajomości z rozprowadzającą bilety kasjerką, zdołali wykupić prawie wszystkie miejsca. Nawet jeśli ktoś nie dysponował w danej chwili odpowiednią sumą, personel latający, który był lepiej sytuowany, spieszył z pomocą.

Romek i jego koledzy musieli mieć jeszcze parę wolnych biletów, skoro dla ich szóstki znalazły się od razu.

Pogadali jeszcze małą chwilkę i na dany sygnał udali się do teatru. Obok Nowaka szedł Stasio Koliński, również „radiota”, który skończył szkołę w Halton niedługo po nim. Był to chyba najmłodszy radiotelegrafista pokładowy w całym RAF. Sierżanckie winkle absolutnie nie pasowały do jego młodzieńczej twarzy.

Nie bardzo się Nowakowi chciało iść na ten występ, był zmęczony, ale czego się nie robi dla kolegów. A w dodatku był ciekaw, bo jeszcze nie wiedział, na czym miała polegać planowana rozróżba.

Wyszli na zewnątrz. W kierunku baraku kinowego ciągnęły tłumy lotników płci obojga. Udali się do środka, a ponieważ miejsca nie były numerowane, siadali gdzie się dało.

Po obu stronach długiej sali były drewniane ławy, na środku wąskie przejście. Na przedzie w kilkunastu rzędach ustawiono krzesła.

Sala wypełniała się teraz szybko. Na zewnątrz zostali tylko zawiedzeni Anglicy, dla których nie starczyło już biletów.

Na widowni wyczuwało się atmosferę napięcia, nawet w pierwszych oficerskich rzędach dało się zauważyć poruszenie.

Wysocki trącił Nowaka w ramię.

- Zobacz, „stary” idzie - szepnął.

Nowak obejrzał się. Środkiem szedł podpułkownik - Polak w asyście kilku wyższych oficerów. Witając się z już siedzącymi, zajmowali miejsca dla nich zarezerwowane.

Nowak rozejrzał się po sali raz jeszcze. Wypełniona była po brzegi. Tylko w pierwszym rzędzie widać było kilka pustych foteli, czekających na komendanta stacji i jego gości.

Dochodziła już siódma. Nagle dał się słyszeć pisk hamulców podjeżdżających samochodów i po chwili w drzwiach stanął wysoki, szczupły group captain (pułkownik) w towarzystwie żony i zaproszonych przez siebie gości.

Cała sala powstała, nawet polski dowódca podniósł się z krzesła. Jak na ówczesne warunki było to coś niezwykle. Nowak również się poderwał, choć jeszcze nie wiedział, o co chodzi.

Dowódca stacji, nie lubiany przez Polaków oficer, któremu nikt nigdy nie salutował na ulicy mimo stosowanych kar, teraz nagle dostąpił najwyższego zaszczytu - oddano mu honor przez powstanie!

Zdębiał. Tego się nie spodziewał. Szedł teraz przez całą długość sali i kłaniał się w obie strony. Widać było, że jest mocno poruszony. W końcu odzyskał pewność siebie, a może nawet pomyślał, że Polacy wreszcie się poddali.

Dowódca i jego goście powoli zajmowali miejsca, a Polacy w dalszym ciągu stali. Pułkownik z uśmiechem odwrócił się do sali i gestem zaprosił do zajęcia miejsc. I wtedy... stała się rzecz straszna! Polski dowódca skłonił się swemu starszemu stopniem angielskiemu koledze i jego towarzystwu, a potem skierował się ku wyjściu. Za nim oficerowie z pierwszych rzędów, potem z dalszych... Bez - pośpiechu, z przeraźliwą powolnością, w najlepszym porządku opuszczali salę...

W tej samej chwili kurtyna poszła w górę. Osłupiali aktorzy patrzyli na widownię, nic nie rozumiejąc. Polacy w dalszym ciągu opuszczali salę. Spokojni, skupieni, świadomi swego czynu. Nawet tych kilku Anglików, którym udało się dostać bilety, nie wiedząc, o co chodzi, również skierowało się ku wyjściu.

Nowak obejrzał się przez ramię. Trupioblady pułkownik stał, powtarzając półprzytomnie:

- Why, why?44

Jego żona przykryła ręką otwarte usta, jakby powstrzymując się od krzyku.

Gdy wyszli, Nowak zobaczył, że za kulisy kieruje się delegacja polskich oficerów z uprzednio zakupionym koszem kwiatów. Chcieli w ten sposób przeprosić artystów za afront, bowiem przedstawienie było zerwane. Podobno kiedy wytłumaczono aktorom, o co chodziło, gorąco poparli Polaków.

Późno w nocy, wracając na kwaterę z mesy, widzieli LawrenceOliviera prowadzonego pod rękę przez polskiego oficera w kierunku autokaru, podczas gdy inny, prowadząc jedną z aktorek, całował ją w ucho. Całe towarzystwo na pewno długo będzie mieć w pamięci występ w polskim dywizjonie!

O epilogu sprawy dowiedzieli się w kilka dni później. Otóż następnego dnia po awanturze pułkownik zarządził zbiórkę polskiego personelu na placu alarmowym i przyznał się do porażki.

- Co mam robić - pytał, stojąc przed frontem - aby pozyskać waszą przyjaźń i współpracę?

- Nic nie robić, zostawić nas samym sobie - padło z szeregu.



Ale na to było już za późno. Air Ministry, wstrząśnięte wypadkiem bez precedensu w kronikach RAF, odwołało go z zajmowanego stanowiska, co się równało zwolnieniu do cywila. Była to straszliwa kara. Na jego miejsce przyszedł inny dowódca, specjalnie poinstruowany, jak należy współżyć z Polakami.

Nazajutrz koło południa samolot Nowaka i jego kolegów był gotów. Wymieniono cały silnik i inne jeszcze detale. Obłatali swego Wellingtona zaraz po odebraniu. Wilski połączył się z Ingham i otrzymał zgodę na przylot. Po godzinie byli już w domu.

Tu czekała Nowaka radosna niespodzianka: otrzymał awans na flight sergeanta (starszego sierżanta). Awansowany był tylko on, nietrudno więc było się domyślić ręki G/C Gordona, jego pierwszego dowódcy.

Z magazynu pobrał siedem złotych koron. Nie na zęby, oczywiście, tylko na rękawy. Starszy sierżant nosił złotą koronę nad trzema winklami.

- Uwaga, powstać! Szarża idzie! - krzyknął „Baca”, gdy Nowak pojawił się w drzwiach kasyna.

- Zamknijcie się, sierżancie, bo was pogonię! - odpowiedział groźnie Nowak.

- Już ja ci dam słupek w samolocie, poczekaj! - odciął się pilot.

- Co się będziemy kłócić? Awans trzeba oblać, lepiej zróbcie miejsce na drinki, a ja zaraz je przydźwigam - mówiąc to Henryk udał się do bufetu.

Był teraz bogaty. Dostawał prawie 6 funtów szterlingów na dwa tygodnie, a to było już dużo. Tyle samo otrzymywał „Baca”, a przecież on był pilotem i dowódcą załogi. W zasadzie awans należał się wpierw jemu, ale któż zbada wyroki losu?

Pewnego dnia wezwano Nowaka do dowództwa i tam w rachubie oświadczone mu, iż z uwagi na to, że jest żonaty w Polsce i ma dzieci, pożądane byłoby, aby się dobrowolnie opodatkował. I tak jeśli będzie płacił jednego szylinga dziennie, to rząd będzie mu dokładał dwa. Czysty interes! Ale warunek też jest. Otóż nie wolno tych pieniędzy podjąć, nie wolno też przerwać wpłat, gdyż państwo wycofywało swoje wkłady, a on już drugi raz nie mógł otwierać konta. Całą sumę będzie mogła podjąć żona albo po jego powrocie do kraju, albo też po sprowadzeniu jej do Anglii lub kraju administrowanego przez Wspólnotę Brytyjską.

Nowak podjął takie zobowiązanie. Aczkolwiek nieraz brała go ochota, aby wycofać wkłady, jednak ze względu na rodzinę, która straciłaby wszystko, nie zrobił tego. Jakże te pieniądze przydały się po powrocie do kraju!

Wieczorem w mesie zebrały się załogi, które brały udział we wczorajszym locie na Essen. Nowak i jego koledzy słuchali z zainteresowaniem, przecież w tym czasie byli w Chivenor na sławetnym pokazie teatralnym.

- Tym razem wróciły wszystkie maszyny, ale nie wszyscy członkowie załóg - opowiadał chorąży Stanisław Zębaty, dowódca „F”-ki. - Po wyrzuceniu bomb a podchodziłem nad cel jako drugi z kolei,

odszedłem ostro w prawo, robiąc miejsce innym. Poczułem swąd, palił się lewy silnik. Ogień przerzucał się już na boczną ściankę samolotu. Nawigator uruchomił pokładową gaśnicę, lecz pożar rozprzestrzenił się bardzo szybko. Już cała lewa strona wyglądała jak pochodnia. Zdecydowałem się na ostre zejście piką w dół. To mógł być jedyny ratunek. Uprzedziłem załogę. Dałem znak, aby przerwali gaszenie ognia, bo i radiota też się wyłączył, i pokładli się na podłodze. Przy ostrym wyjściu w górę udało mi się osiągnąć dziewięć tysięcy stóp. Teraz oddałem stery i przymknąłem lekko gaz. Maszyna poszła w dół. Początkowo wolno, a potem już coraz gwałtowniej nabierała prędkości. Popatrzyłem na ogień, ciągle nie gasł, a co gorsza cholernie się wydłużył i lada chwila mógł pójść w stery. Maszyna wyła, nabierając pędu. Poczułem strach. Teraz mi się ten pieski bombowiec rozsypie, myślę, muszę pomatu wyprowadzać, ale jak nie posłucha? Wydaje mi się, że już jest za późno! Spojrzałem w lewo po raz ostatni. Ognia już nie było. Zacząłem lekko ściągać stery na siebie. Na razie ani drgnie, napór powietrza był jednak bardzo silny. Pomaga mi „drugi”, ciągniemy obaj. Nareszcie chwyciły! Najpierw lekko, potem coraz mocniej i teraz już trzymamy. Już jest dobrze! Żyjemy! Powoli wychodzę do poziomu. Mam w tej chwili tysiąc stóp i jestem daleko od tego całego piekła. Tamci powoli wstają z podłogi, trzymając się kurczowo części samolotu. Po chwili meldują mi, że jednej ściany nie ma. „Jak to, nie ma? denerwuję się. Co się stało?” Wołam tylnego strzelca, aby zameldował mi o sytuacji, na próżno, nie ma odpowiedzi. Posyłam radiotę na zwiady, po chwili wraca i melduje mi, że strzelca nie ma. We mnie jakby szlag trafił! Cholerny świat! - zakląłem. Już teraz wiem, co się stało. Kiedy wydałem rozkaz położenia się na podłodze, on mnie po prostu nie słyszał, nie wiedział, że będę gasił piką. Powinien był ze swojej wieżyczki wyjść na czas gaszenia, bo przecież tam, w ogonie, jest najwięcej płomienia. Byłem pewien, że wyszedł. On jednak nie wytrzymał nerwowo i dał nura ze spadochronem - zakończył swe opowiadanie Zębaty.

- Tak musiało być - wtrącił ich nawigator - na pewno miał intercomm uszkodzony, nie słyszał twego ostrzeżenia i dał dęba. Trudno chłopaka winić, nie wiedział, o co chodzi. Chętnie by się teraz z nami napił, a tak pewnie jest w niewoli. Przecież w tym miejscu od szwabów aż się roilo, nie miał żadnych szans. Chyba dostał się w łapy artylerzystów, którzy tak do nas grzali, bo wtedy, kiedy musiał wyskoczyć, byliśmy dokładnie nad nimi.

- No tak - odezwał się „Baca” - ale ty też nie byłeś w porządku, przecież powinieneś się upewnić, czy wszyscy wiedzą o twojej decyzji.

- Chyba masz rację, ale w tych warunkach można było stracić głowę. Maszyna płonęła niczym zapałka, bili w nas jak w kaczy kuper, po prostu nie miałem czasu.

„Baca” nie odezwał się już więcej, ale Nowak widział, że go to nie przekonało. Poczuł jakieś ciepło koło serca, gdy patrzył na „Bacę”. Był dumny, że to właśnie on jest jego dowódcą.

- To jeszcze nic - podjął temat ppor. pil. Jan Krzechlik. - Ja miałem lepszy numer. Przychodzi do mnie radiota i melduje, że tylnego strzelca nie ma w wieżyczce. Przekazałem stery „drugiemu” i udałem się za nim. Faktycznie! Wieżyczka na wpół otwarta. Przez wybitą szybę widać wnętrze, a w środku szczątki rozsypanego spadochronu. Czasza częściowo owinięta na kolbach karabinów, naciągnięte linki wystają przez otwarte drzwi. Już się chyba domyślacie, co się stało?

Opowiadanie jego wzbudziło powszechną ciekawość. Prawie cała mesa otoczyła ich teraz, słuchając.

- Panie poruczniku - prosiła jedna z „wafek” w stopniu sierżanta - niech nam pan wyjaśni, co się stało z pańskim strzelcem?

Krzechlik spojrzał na nią, zaciągnął się papierosem, pociągnął tyk whisky i mówił dalej, wyraźnie zwracając się w jej stronę.

- Była pani kiedy w samolocie?

- Nie, jestem tu dopiero od tygodnia.

- No to trzeba przyjść kiedy na dispersal, zobaczyć, jak się u nas żyje - mruknął. - Otóż widzi pani, do tylnej wieżyczki wchodzi się od środka, poprzez dwie połówki stalowych drzwi, które są jednocześnie tarczą ochronną strzelca. Wsuwa się on do wewnątrz i sadowi przy karabinach, które są zainstalowane na wprost fotela. Włącza przewód tlenowy i gniazdko intercommu, a potem zamyka drzwi za swoimi plecami na ukośną sztabę. Rączki karabinów są ruchome; gdy przycisnie je pionowo, obie lufy idą w górę i w dół, gdy je lekko skręci w bok, cała wieżyczka podąża za biegiem ręki. W ten sposób tylny strzelec ma pełne pole widzenia w granicach stu osiemdziesięciu stopni, a więc cały tył i oba boki. Czy to dla pani jasne?

- Ale jej wykład zasunął - szepnął Zawada do „Bacy”.

- Cicho! - syknął tamten, widocznie zainteresowany opowiadaniem Krzechlika.

- Tak, dziękuję - odpowiedziała niepewnie - ale w dalszym ciągu nie rozumiem, w jaki sposób mógł on wypaść.

- Otóż dziś rano - ciągnął Krzechlik - musiał chyba nie dość dokładnie zaryglować drzwiczki, być może obluźował je plecami, bo był to kawał chłopa, no i otworzyły się same, a jego po prostu wyszło z maszyny. Musiał się jednak tego bronić, skoro w czasie szarpaniny otworzył spadochron. To go na razie uratowało, ale jak się do niego teraz dostać? - medytowałem. Wiedziałem, że jest na zewnątrz, świadczyły o tym naciągnięte linki spadochronu. Poleciłem „drugiemu”, aby schodził niżej. Przez cały czas byliśmy na wysokości tlenowej, a kolega za burtą tlenu nie miał. Schodzimy teraz forsownie, wyglądając bocznymi okienkami. Ni cholery, nie widać! Radiota począł toporkiem rozbijać boczną ściankę wieżyczki, którą mieliśmy przed sobą. Szkło puściło, ale duralowe ozebrowanie trzymało solidnie.

W końcu chwyciliśmy sznury. Zaczynamy ostrożnie ciągnąć. Trochę podeszło, widać było nawet kawałek jakby kolana w białej wełnianej pończosze, ale również dobrze mógł to być sweter.

Nawigator tą samą siekierką wyrąbał kawał ściany. Wychylił się na zewnątrz. Nic nie mógł dojrzeć. Podchodzimy obaj i trzymamy go mocno za szelki spadochronu. Wychylił się głębiej. „Jest! - krzyknął cofnąwszy głowę. - Wisi na szelkach wczepionych w sznury spadochronu ze dwa metry od ogona. Jest siny i nie rusza się, nie wiem, czy jeszcze żyje”.

Zrobiliśmy krótką naradę. Ściągnąć go się nie da, bo można mu zrobić krzywdę.

„Żyje czy nie żyje, musimy z nim lądować. Nadawaj do bazy wiadomość, niech wszystko przygotują” - mówię do radioty.

Podchodzimy do lotniska najkrótszą drogą. Jednocześnie ubraliśmy trochę linki i staraliśmy się przyciągnąć kolegę do boku maszyny. Udało się. Jeśli jeszcze żył, istniała szansa uratowania go.

Wszedłem w rundę nad lotniskiem, aby wybrać odpowiednie miejsce do lądowania na trawie, o betonie nie było oczywiście mowy. Po chwili przypomniałem sobie, że z lewej strony pasa jest kawał równego pola, przeznaczonego do przymusowych lądowań. Zdecydowałem się siadać tam. Wieża kontrolna potwierdziła moją decyzję. Nad lotniskiem samolotów nie było, wyglądało na to, że jesteśmy ostatni.

W dole pod nami już ustawiają się wozy strażackie, pędzi sanitarka. Wszedłem na prostą. Nękał mnie niepokój. Jeśli chłopak jeszcze żyje, a ja go teraz przyduszę, nie będę miał spokoju do końca życia. Nie roztkliwiaj się, skarciłem sam siebie. Teraz trzeba skupić całą uwagę i umiejętności. Postanowiłem lądować na dwa punkty i trzymać tak długo, jak się tylko da, aby go nie dobić ogonem, kółkiem ogonowym - poprawił się. - Dotknąłem kołami trawy lotniska. Staralem się posadzić lekko, ale jak zwykle, gdy się starasz, to się przestasz. Wyszedł mi „kangur”. Przy drugim dotknięciu nie pozwoliłem już maszynie na żadne wyskoki, trzymałem płasko, ale ona ma swoje narowy; wrywała się do przodu, chcąc skapotować. Trzymałem dalej w poziomie, tracąc szybkość. Nie śmiałem użyć hamulców. W końcu jednak musiałem puścić ten cholerny ogon w dół, robiłem to możliwie najdelikatniej. Nacisnąłem teraz hamulce, aby chłopaka nie wlokło. Zatrzymaliśmy się. Natychmiast wyłączyłem silniki i do drzwi! Lekarz już tam był, przecinał linki spadochronu, podczas gdy inni ostrożnie podnosili strzelca, kładąc na nosze stojące tuż obok samolotu karetki. „Jak tam, panie majorze, pytam lekarza. Już zimny?” „Zimny to on jest, odpowiedział masując mu skronie, bo zmarzył, ale wydaje się, że dusza się w nim jeszcze kołaczy. To mocny organizm” - dodał, zamykając drzwi karetki. Dostałem telefon dziś po południu, że odzyskał przytomność, ale zobaczyć go możemy dopiero jutro.

Wysłuchawszy opowieści Krzechlika wszyscy postanowili odwiedzić nazajutrz ocalałego niemal cudem kolegę.

Zrobiło się już bardzo późno, a załoga Nowaka miała na dzień jutrzejszy zaplanowany jakiś lot.

Nowak żałował, że nie widział lądowania Krzechlika. Słyszał ruch na lotnisku, ale był zbyt zmęczony i nie poszedł. Odczuwał zmęczenie. Właśnie! Co się z nim właściwie dzieje, u licha, jest jakiś słaby.

Pewnie jednak jestem chory, zaniepokoił się. Chyba będę musiał iść do lekarza. A może nie zdążą zrobić przeglądu maszyny do jutra?

Zdążyli.

Lecą tym razem na osłonę konwoju. Nowak nie bardzo rozumie, dlaczego właśnie oni. Na ogół zadania tego typu wykonywał inny polski dywizjon, 304. Kogo miał zresztą pytać i po co? Od kiedy to analizuje się rozkazy, skarcił sam siebie. Czuł, że nie jest z nim dobrze. Żeby tylko chłopcy niczego nie zauważyli.

Konwój jest w drodze do Archangielska, jak się dowiedzieli na odprawie. Startują sami o godz. 10.15 rano, statki powinny dojść w okolicy Hebrydów około 12.00, podmianę dostaną o godz. 15.00. Kurs powrotny półtorej godziny, w sumie około sześciu godzin lotu.

- Niezły kurs się trafił - krzywi się Zawada.

Zadanie: osłona konwoju przed okrętami podwodnymi i obserwacja. Łączność radiowa zakazana, łączność optyczna aldisem tylko z okrętem flagowym, na którym znajduje się dowódca konwoju. Ciszę radiową naruszyć można tylko w nagłych wypadkach; sęk w tym, że nikt nie wie, co to jest ten „nagły wypadek”.

Dolatujące do konwoju maszyny obowiązuje specjalna procedura. Nad samymi statkami nie wolno latać, przepisowa odległość wynosi pięć mil morskich. Samolot ma dolecieć do okrętów eskorty tylko od czoła konwoju. Po zidentyfikowaniu dostanie zezwolenie od dowódcy eskorty na wykonanie zadania.

Nowak wiedział na ten temat coś niecoś ze szkoły, ale przypomniano mu o wszystkim na odprawie. Podwieszono im również sześć bomb głębinowych, każda po sto funtów. Można je było wyrzucić wszystkie naraz bądź też po dwie. Na ogół jeśli już nie było wątpliwości, że w danym miejscu znajduje się U-boot, odpalano wszystkie sześć. Powiedziano im również, że są wypożyczeni przez dywizjon 304 i lecą na ich konto.

Po starcie dostali silny wiatr w nos, tak że maszyna wlokła się jak żółw. Patrząc na szare, spienione fale, Nowak odnosił wrażenie, że stoją w miejscu.

Konwój doszli o godz. 12.12. Spóźnili się 12 minut. Podeszli przepisowo i zameldowali się „admiralowi” aldisem.

- Zegarek wam się późni - nadał sygnalista flagowego okrętu. - Jest teraz 12.14.

- Sorry, Sir - odpowiedział Nowak. Co będę się z nim kłócił, pomyślał sobie.

- Heniek, co on tak nerwowo mruga do ciebie? - zainteresował się Zawada.

- Czort z nim, opieprza nas za spóźnienie, przecież nie będę mu tłumaczył, że mieliśmy czołowy wiatr, że trzeba było wystartować wcześniej.

- Dobra, dobra - mruczy „Baca”.

Wyszli daleko przed konwój, przepatrując pilnie powierzchnię wody. Nic. Nieraz Nowakowi wydawało się, że coś zauważył, ale gdy już, już miał podnieść alarm i spoglądał w dół, zniknęło. Po godzinie nie wierzył własnym oczom. W końcu dał za wygraną, patrzył tylko od czasu do czasu. Po drugiej godzinie poczuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie.

Źle, pomyślał. Czuł się osłabiony i zmęczony, musiał trochę odpocząć.

Po co ja się tak tym wszystkim przejmuję, jest nas przecież sześciu, pocieszał się.

Gdy znaleźli się nad konwojem, opuścił swoje zwykłe miejsce przy radiostacji, a zajął stanowisko bombardiera. Położył się na miękkim, skórzanym materacu drzwiczek wejściowych. Już przedtem

zainstalował tu lampę Aldisa, aby w razie potrzeby móc nawiązać łączność z konwojem. Był to zwykły, małej mocy reflektor, zasilany 24-woltowym akumulatorem pokładowym, który po włączeniu palił się światłem ciągłym. Umieszczone wewnątrz, stojące prostopadle lustro poruszało się przez naciśnięcie spustu, rzucając snop światła skierowany na odbiorcę. Rzuty układały się w kropki i kreski Morse'a. Światło padało pod pewnym kątem, tak że ktoś obserwujący z boku nie był w stanie odczytać sygnałów.

Nowak zaczął dla odmiany obserwować konwój, co pewien czas zerkając na „admirala”. Po lewej stronie, z boku, szła jakaś mała jednostka. Nie mógł dostrzec jej nazwy, ale wyraźnie widział powiewającą na rufie banderę polską. Jakiś rodak. Daleko w przodzie - teraz szli w rundzie za posuwającym się wolno konwojem - kluczyły zygzakiem cztery niszczyciele, zostawiając za sobą białe smugi piany.

Po dwu i pół godzinach nieprzyjaciel zaatakował. Obserwujący akurat czoło konwoju Nowak ujrzał, że niszczyciele wykonują nagle zwrot w lewo. Spojrzał również w tym kierunku - tonął właśnie trafiony torpedą statek. W wodzie dostrzegł Nowak kilka małych punkcików - to byli rozbitkowie.

Wszystko stało się tak nagle, że początkowo nawet nie zorientował się, o co chodzi, ale poczuł, jak maszyna położyła się w nagłym skręcie. Szli teraz na miejsce katastrofy. Gdzieś w pobliżu muszą krążyć te przekłete U-booty, chyba jeszcze nie zdążyły odskoczyć. Nagle przed drugim tankowcem wytrysnął wysoki słup wody, po kilku sekundach statek stanął w płomieniach. Cholerny świat! Tego było za wiele! I to na ich oczach!

Idą po przypuszczalnej osi torpedy. Wypatrują wszyscy. Nic! Na ślepo odpalają co dwadzieścia sekund po dwie bomby głębinowe. I znów nic! Cholery można dostać!

Niszczyciele osłony prują morze jak szalone, rzucając z ruf bomby głębinowe. I znowu nic.

Sygnał od „admirala”:

- Iść do przodu!

Idą. Odeszli trochę w prawo od osi konwoju, wyprzedzili go nieco. Nowak spojrzął w dół i przetarł oczy. Znów coś mi się przywidziało, cholera! - pomyślał.

Pod nim, w kierunku na konwój, przecinając im wyraźnie kurs, sunął okręt podwodny. Nowak wyraźnie dostrzegł „oście śledzia”. Przecież to nic innego jak wysunięty peryskop! Nie może być mowy o pomyłce, Henryk widział to na ćwiczeniach dziesiątki razy. Szkop widocznie zwariował! Teraz, gdy wszyscy stają na głowie, aby go wykryć, on sobie idzie na peryskopowej jakby nigdy nic.

Piloci nie mogli widzieć U-boota, bo był dokładnie pod samolotem. Na krzyk Nowaka „Baca” wykonał nagły skręt o 180 stopni. „Śledzia” już nie ma, ale „Astronom” zwalnia dwie bomby i świecę dymną, aby zaznaczyć ślad. Tymczasem Nowak powiadamia „admirala”, który natychmiast nawiązał kontakt z niszczycielami. Te, jak podcięte batem konie, kierują się w stronę statków.

Statki konwoju, zygzakując, idą dalej swoim torem. Samolot robi głęboki skręt, wracają w to samo miejsce. Woda się jeszcze kłębi. Przez silne szkła lornety widać białą pianę i chyba trochę śniętych ryb. Są teraz dużo niżej. Gdy tym razem nadchodzą nad dymiący punkt, Wiącek zwalnia dwie ostatnie

bomby, których przełączniki są po jego stronie. We dwóch jest cholernie ciasno w dziobie Wellingtona. I właśnie w tej chwili rozlega się krzyk tylnego strzelca:

- Chyba dostał! To zdaje się oliwa, patrzcie!

„Baca” pochylił maszynę, wydawało się, że zaczepi skrzydłem o fale. Teraz, leżąc na boku w głębokim skręcie, wszyscy aż do bólu wlepiają oczy w miejsce, gdzie powinien być wróg. Przez moment wynurzyła się na powierzchnię jakaś ciemnoczerwona masa, aby po chwili zniknąć pod wodą, tworząc w tym miejscu skłębiony lej. Dopiero po chwili zorientował się Henryk, że było to oblepione rdzą dno kadłuba U-boota.

Nadchodzący w wielkim pędzie niszczyciele, samolot nie miał tu nic więcej do roboty. Podniecony Henryk nadał nieprzepisowo do „admirala”:

- We sunk the submarine Sir, we take you for a witness!<sup>45</sup>

Nowak zreflektował się, ale sygnał już poszedł. Wyobrażał sobie teraz minę „starego” i innych kapitanów jednostek pływających, którzy pilnie śledzili akcję i korespondencję. Z flagowego przyszła tylko krótka odpowiedź:

- Good show, Poles!<sup>46</sup>

Byli z siebie dumni. W dalszym ciągu chodzili w dużych rundach, wypatrując okrętów podwodnych, ale te widać pochowały się przed nimi. Tak na dobrą sprawę to dla U-bootów nie byli nawet groźni, nie mieli na pokładzie ani jednej bomby głębinowej.

Nowak spojrzął raz jeszcze na „plac boju”. Jak charty koło padłego dzika kręciły się tam niszczyciele. Na powierzchni wody lśniła kolorami tęczy rozlana szeroko oliwa.

Na horyzoncie ukazał się zmiennik, nadszedł czas powrotu. Nowak odmeldował się i weszli na kurs powrotny do bazy. Tam już wszyscy wiedzieli o ich sukcesie, aczkolwiek musieli podzielić się zdobyczą z 304, na którego koncie był patrol, no i z Navy. Zaliczono im pół okrętu. Niech tam! Inni też się namęczyli.

Wieczorem Nowak poszedł do Wiącka, który obiecał mu pożyczyć ciekawą książkę. Poza tym miał mu pomóc w matematyce, bo Nowak uczył się radiotechniki. Otóż starsi już profesorowie z Londynu, pragnąc być użyteczni, zorganizowali coś w rodzaju zaocznej średniej szkoły, w której każdy mógł uzupełnić swoje wykształcenie i zdobyć maturę - bądź ogólnokształcącą, bądź techniczną. Nowak wybrał bliską sobie dziedzinę. Raz w tygodniu otrzymywał duży pakiet powielanych zadań i rysunków technicznych. Po odrobieniu „lekcji” wysyłał to pocztą, za tydzień poprawiony temat wracał itd. Nauka nie kosztowała zbyt wiele - wystarczyły znaczki pocztowe i dobre chęci.

Wiącka w kwaterze nie zastał, powiedziano mu, że jest w kasynie oficerskim. Udał się tam, aczkolwiek niechętnie. Stefan akurat grał w bilard z kpt. Myszkowskim. Widząc stojącego w drzwiach kolegę przerwał grę, podszedł do niego, a gdy dowiedział się, o co chodzi, zaproponował:

- Słuchaj, posiedzimy chwilę, wypijemy i pójdziemy na kwaterę, OK?

---

<sup>45</sup> Zatopiliśmy okręt podwodny, bierzemy cię za świadka!

<sup>46</sup> Dobra robota, Polacy!

- Dobrze, tylko co będzie, jak mnie stąd wyrzucą?

- Niech spróbują! Nie wygłupiaj się, siadaj tu i czekaj - powiedział Wiącek, odchodząc.

Tymczasem w drzwiach stanął wysoki, postawny blondyn w mundurze kapitana. Rozejrzał się wokół i po chwili twarz jego rozjaśnił uśmiech. Skierował swe kroki w stronę stolika, przy którym siedzieli dowódcy: mjr Kucharski, mjr naw. Chrzanowski, mjr naw. Prusiecki, były adiutant płk. dypl. obs. Władysław Hellera, do 1938 r. dowódcy 1 pułku lotniczego.

- Kto to jest? - spytał Nowak Wiącka, który już zdążył wrócić z dwoma szklaneczkami

- To jest, bracie, legendarna postać, inicjator naszego sztandaru, kapitan pilot Jan Hryniewicz. Nigdy o nim nie słyszałeś? Przyjechał pewnie do „Starego”, z którym się przyjaźnił, bo lata teraz w trzysta dziewiątym.

Nowak znał historię sztandaru, tak jak zresztą wszyscy lotnicy, ale Hryniewicza nigdy przedtem nie spotkał.

Tamci przywitali się serdecznie i teraz zajęci byli żywą rozmową.

Upłynęło trochę czasu, Stefan przyniósł jeszcze dwie whisky, bo Nowakowi by jej nie sprzedano. Nagle do uszu Henryka dobiegły głośniejsze słowa. Hryniewicz mówił wiersz.

- Posłuchajmy - powiedział Wiącek. - To jego utwór. Gwar przycichł, teraz już słyszeli wyraźnie:

Oczy błędzą po niebie, szukają czegoś w błękicie,  
Szukają nieba polskiego, to tutaj jest inne, jak inne jest ich życie  
Tęsknota za Ojczyzną poryw serca kryje.  
W uśmiechu też sierocych Polska jeszcze żyje.

Henryk zamyślił się. Przed oczyma stanęli mu najbliżsi, ci, którzy byli tam, w okupowanym kraju... Co też się z nimi dzieje, czy jeszcze kiedyś ich zobaczy?



## „Nie powrócili z zadania...”

Nowak rozchorował się jednak na dobre. Rano zameldował się u lekarza, który stwierdził silne przeziębienie i zatrzymał go w izbie chorych. Postawiono mu bańki, naszpikowano różnymi lekami i polecono pozostać w łóżku przez kilka dni. Wieczorem chłopcy przyszli go odwiedzić. Zawada rozejrzał się wkoło i wyciągnął z kieszeni piersiówkę.

- Pociągnij, Heniek, dobrze ci to zrobi na ten twój katar.

Nowak pociągnął łyk. Świństwo! Nie smakowało mu wcale. Oddał mu szybko flaszkę.

- Rzeczywiście chory - z powagą stwierdził kolega.

Po pięciu dniach opuścił izbę chorych, ale z lotami musiał jeszcze trochę poczekać. Dostał cztery dni zwolnienia.

W sumie jego załoga świętuje już pięć dni. Czekają, aż wyzdrowieje.

Tymczasem w dniu jutrzejszym cały dywizjon miał brać udział w operacji. Wieczorem przyszedł „Baca” i powiedział:

- Szykujcie się na jutro, chłopaki. Heńka zastąpi Władek Lewandowski z rezerwy.

Nowakowi zrobiło się markotno, że lecą bez niego. Wyszedł na zewnątrz i bezwiednie udał się do baraku, w którym mieszkał Lewandowski. Znał go dobrze, bo kończyli razem szkołę. Był zadowolony, że leci, bo też chorował prawie dwa tygodnie, a tymczasem jego załoga poszła na urlop.

Umówili się na jutro, Heniek miał mu przekazać uwagi na temat sprzętu radiowego w samolocie.

Następnego dnia z samego rana Nowak udał się do lekarza, aby go przekonać, że jest kompletnie zdrowy. Lekarz był nieprzejednany. Bez jego zezwolenia nikt nie był w stanie Nowaka „odwiesić”. Zresztą Henryk sam czuł, że nie jest jeszcze w formie, bardzo szybko się męczył.

Zrezygnowany poszedł z Lewandowskim do maszyny, by odślonić mu wszystkie swoje „tajemnice”.

W nocy, tuż przed lotem, pojechał z nimi na dispersal. Lecieli tam, gdzie on był za pierwszym razem, na Bremę.

- Teraz się wyrówna - powiedział w pewnym momencie - będziemy mieli jednakowy nalot.

- Szkoda, że nie lecisz z nami, Heniek - westchnął „Baca”. - Znasz tam każdy kąt. Szanuj się, bracie, i wracaj do nas. Następnym razem polecimy wspólnie.

Nigdy przedtem Nowak nie przeżywał czegoś podobnego. Nie zdawał sobie sprawy, że można się tak do ludzi przyzwyczaić. Teraz, kiedy mieli lecieć bez niego, nie mógł sobie miejsca znaleźć.

Gdy wchodził do maszyny, stał opodal, nie spuszczać z nich oczu. Pokołowali wolno na start, porykując silnikami i popiskując hamulcami kół. Pobiegł szybko na wieżę kontrolną; akurat wychodziła w powietrze pierwsza maszyna. Słuchał głosu kontrolera, gdy wydawał zezwolenia na zajęcie pasa i start.

Nagle drgnął. Usłyszał spokojny głos „Bacy”, proszącego o pozwolenie zajęcia pasa i zgłaszającego gotowość. Jeszcze nigdy nie słyszał głosu Wilskiego przez radio, ale poznał go natychmiast. Głos przyszedł bardzo wyraźnie i głośno, widać Lewandowski dobrze podstroił mu TR-9.

Zajmują teraz pas. Nowak ich nie widzi; są na drugim końcu lotniska, bo start odbywa się z kierunku na wieżę. Z daleka usłyszał szum silników, są coraz bliżej, bliżej. Wreszcie ich dojrzał. Są! Blisko, ale jeszcze na ziemi. Wellington toczył się ciężko, trzymając się kurczowo pasa. Drgnął nagle, zakołysał lekko i już stabilnie, z zadartym nosem wychodził w górę. Teraz Zawada wciągał podwozie.

Samolot minął wieżę z hukiem i gwizdem. Nowak dojrzał jeszcze Leszka w tylnej wieżyczce, poruszającego karabinami.

I znów „Baca”, meldujący:

- Airborne!47

Zniknęli mu z oczu. Startował następny, szedł cały dywizjon, 12 maszyn. Noc była bezchmurna, widoczność doskonała. Gdy Nowak schodził w dół, wszyscy byli już w powietrzu i teraz nabierali nad lotniskiem wysokości.

Papieros mu jakoś nie smakował. Czuł się podle. Był wściekły na siebie, na lekarza, na cały świat. Wracał wolno do baraku. Położył się w mundurze na łóżku i próbował czytać pożyczoną od Wiącka książkę.

Machinalnie przewracał kartki, nic nie rozumiejąc, aż w końcu dał za wygraną. Myślał cały czas o nich. Żywo stanął mu w pamięci jego pierwszy lot. Lecą przecież w to samo miejsce. Może teraz przeżywają to samo, co on za pierwszym razem? Strach. A może jeszcze gorzej? Wtedy był Gordon, doświadczony pilot i dowódca. Ciekawe, jak zachowa się „Baca”? W ostatniej akcji był wspaniały!

Cholera jasna! Znow się zdenerwował. Dlaczego użył formy „był”?

Musiał się trochę zdrzemnąć, bo kiedy otworzył oczy, na dworze już świtało. Spojrzał na zegarek: kwadrans po czwartej. Niedługo powinni wracać.

Powlókł się na dispersal. Personel naziemny drzemał na stołach i fotelach, ktoś nawet leżał na bilardzie, podłożywszy rękę pod głowę. Przy telefonie siedział angielski łącznik Billy. W głębi sali, w klubowym skórzanym fotelu, z czapką nasuniętą na oczy, spał dowódca. Na dzisiejszy lot poleciał jego zastępca mjr Chrzanowski z kpt. Myszkowskim. Tylko szef eskadry nie spał. Podeszedł do Nowaka i poczęstował go papierosem.

Rozmowa jakoś się nie kleiła. I on, i Nowak myśleli o tym samym, ale żaden nie miał odwagi wyrazić swych obaw głośno.

Nagle zadzwieczał ostry dzwonek telefonu. Śpiący poruszyli się niespokojnie. Billy rozmawiał chwilę, potem położył słuchawkę na widełki.

- Wracają - powiedział po polsku. - Nie ze wszystkimi mają łączność - teraz mówi już po angielsku. - Na razie tylko z dowódcami dwóch kluczy. Są straty. Nic bliższego jeszcze nie wiedzą, proszą, aby pan skontaktował się z Operations, połączyć, sir? - zwrócił się w stronę śpiącego dowódcy.

Czapka przesunęła się do tyłu, dowódca mruknąwszy coś do siebie wstał i przeciągnął się. Billy uzyskał tymczasem połączenie i teraz podawał słuchawkę nadchodzącemu majorowi. Po chwili dowódca rozmawiał już przyciszonym głosem. Wszystkie oczy były w niego wlepione. Skończył, wolno odłożył słuchawkę.

- Wracają. Są bardzo daleko, więc łączność jest utrudniona. Za dziesięć minut będziemy mieli dokładne dane. Straty są!

Udał się w stronę wyjścia. Powtórnie się przeciągnął i zerknął w stronę Nowaka.

- Nie może pan spać? - zagadnął go. - To ta noc taka gorąca, cholera! - zaklął i wyszedł na zewnątrz.

Zrobił się ruch. Personel naziemny szykował się do przyjęcia swoich maszyn.. Dowódca po chwili powrócił na salę.

- Billy, połącz mnie z Operations - rzucił.

Słuchał uważnie, ze zmarszczonym czołem, potem wolno oddał słuchawkę Billemu.

- Są kłopoty. Część naszych kierują na inne lotnisko, bo mają awarie. Nie wiadomo na pewno, ale o trzech jak dotąd nie ma wiadomości.

A więc wraca dziewięć załóg. Których nie ma?

Minęło kilka dłużeń się w nieskończoność minut oczekiwania. Do dużej czarnej tablicy, wiszącej w „Briefing Roomie”, podeszła „wafka”, która w tej chwili przyjechała z „Ops”, i tam, gdzie znajdowały się litery samolotów oraz nazwiska załóg, przy literze „K” napisała: „Missing”<sup>48</sup>.

W milczeniu obserwowali jej ruchy. Przecież się tego spodziewali, a jednak...

Dowódca już wiedział kto, nie patrzył nawet na tablicę. Teraz „wafka” pisała coś przy literze „Z”.

Nowak nie miał odwagi spojrzeć, ale w końcu musiał. Podniósł oczy na tablicę, od której już odeszła „wafka”. Obok litery „Z” napisane było kredą: „Lost”<sup>49</sup>

Pociemniało mu w oczach. Oparł się o mały stolik z bilardem. Ścisnął krawędź stołu aż do bólu w palcach.

- Zginęli, wszyscy zginęli - mówił głośno sam do siebie. - Trzej Stefkowie, lubliniaki Stach i Leszek i... Lewandowski. Żyłyby, gdyby nie moja choroba.

Podszedł do niego dowódca, wziął lekko za ramię.

- Chodź pan, za chwilę wrócą, dowiemy się, jak to było. Swoją drogą - dodał - za pana ktoś się w kraju modli, miał pan szczęście.

---

<sup>48</sup> Zaginiony.

<sup>49</sup> Zginęli.

Lądowali. Pierwszy podchodził prosto z trasy. Siadał ciężko, krótko i zaraz zwalniał pas, robiąc drugiemu miejsce. Uwijały się sanitarki, do których wnoszono rannych. Przekołowała „psia załoga”. Czyżby rzeczywiście Ciapiek przynosił im szczęście? Siada „G” Myszkowskiego, za nim kołuje chor. Bakanacz, chwilę po nim załoga chor. Hułasa.

Nowak przytapał się na tym, że w dalszym ciągu szuka swoich, choć wie, że już nie wróca. A może?

Samolot „M” zatrzymał się na stojance. Mechanicy podłożyli podstawki pod koła i po chwili załoga była już na ziemi. Pierwszy wyskoczył pies, poszczekując radośnie, potem wychodzili chłopcy. Na kadłubie i płacie samolotu pełno było dziur od pocisków i odłamków.

Podeszli do nich, bo byli najbliżej. Wyglądali na bardzo zmęczonych.

- Jak było z Wilskim? - spytał dowódca.

- No cóż - mówi kapitan z „Marii”, zdejmując haubę i prostując pozlepiane potem jasne włosy - dostał w sam środek, zaraz po zrzućeniu bomb. Szedł przed nami, rozleciał się na drobne kawałki, tak że musiałem robić unik, aby podmuch nie skosił również i mnie. Na pewno nie ratowali się spadochronem. To stało się tak nagle.

- A co z Książkiem, nie wiecie? - pytał dalej major.

- Nic o nim nie wiem. Szedł również przed nami. Do celu wszystkich przed sobą widziałem, ale później w tym cholernym piekle każdy działał na własną rękę. Obrona jest tam teraz diabelnie silna!

- No tak - powiedział cicho dowódca. On wiedział, był tam w zeszłym tygodniu.

Załoga „Marii” wsiadła do ciężarówki, aby udać się do spowiedzi u „Inteligenta”, dowódca podszedł do innych załóg, a Nowak powłókł się wolno przez dispersal, skąd wrócił do baraku. Czekał teraz na oficera dyscyplinarnego, który tu zaraz przyjdzie.

Wciąż mu jeszcze dźwięczały w uszach słowa majora: „Panie kolego, polecam panu asystować przy zabezpieczeniu pozostałości po kolegach. Proszę wrócić na kwaterę i tam oczekiwać komisji”.

Siedział teraz Nowak na swym łóżku i czekał, patrząc tępo przed siebie. Spojrzał na łóżko „Bacy”, które stało przy oknie. Wilski leżał na nim tuż przed odlotem, widać jeszcze było wgniecenia.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich stacyjny chorąży Anglik, za nim wysoki sierżant miejscowej żandarmerii. Podeszli do Nowaka i uścisnęli rękę, wyrażając w ten sposób kondolencje. Po chwili chorąży powiedział, iż jest mu bardzo przykro, ale muszą spełnić swój obowiązek.

- Ma pan klucz od ich szafek? - zapytał Nowaka.

- Niestety, kluczyki zostały w depozycie w „Intelligence” w specjalnych kopertach. Mam tylko klucz od swojej szafki, którą dzieliłem z innym sierżantem - odparł Nowak.

Żandarm podszedł do wiszącego w korytarzu telefonu, zadzwonił do sztabu i już po chwili wszedł kapral z MP, niosąc kluczyki. Najpierw otworzyli szafkę Wilskiego i Zawady. Dużo rzeczy w niej nie było.

Chorąży miał już gotowe formularze i pod dyktando sierżanta wpisywał do rubryk poszczególne przedmioty. Czasami tylko zwracał się do Nowaka, pytając, do którego z kolegów dana rzecz należała.

Zeszło im na tych formalnościach do południa. Przeszli następnie do budynku oficerskiego, gdzie zrobili to samo u Wiącka. Podpisali wspólny protokół. Rzeczy zabrano do depozytu, skąd zostaną przestane do Blackpool, wycenione i sprzedane, a uzyskane w ten sposób pieniądze miały czekać na ewentualnych spadkobierców.

Tego samego dnia po południu wysłano wnioski o odznaczenie załogi Wellingtona „Z” orderami Virtuti Militari. Wszyscy zostali awansowani pośmiertnie o jeden stopień. Jak się okazało, w tym samym dniu przyszła dla Wilskiego nominacja na starszego sierżanta. Został awansowany po drugim locie bojowym, ale rozkaz przyszedł dopiero teraz.

Po załatwieniu wszystkich formalności Nowak udał się do mesy na obiad. „Wafka” Basia coś mu tam przyniosła, nie bardzo wiedział, co to było. Jadł machinalnie ze wzrokiem utkwionym w talerzu.

- Proszę się opamiętać, sierżancie - powiedziała. - Im pan już nic nie pomoże. Niech pan gorąco Bogu dziękuje, że pan tu jeszcze jest.

- Co? Jak? Tak, tak, oczywiście, dziękuję pani - powiedział nieco bez sensu.

- Te, stary - zagadnął go jeden z kolegów, radiotelegrafista Winiarczyk. - Chodź, szurniemy do miasta, grają fajny film z Ireną Dunne i Spencerem Tracy. Nazywa się: „The Guy named «Joe»„. Mówię ci, pycha!

Nowak dał się namówić. Po kilku minutach obaj siedzieli w autobusie odjeżdżającym do miasta. Film nawet go zainteresował, tak że był wdzięczny koledze.

Po kinie udali się do kantyny NAAFI, gdzie w towarzystwie starych znajomych spędzili przy kawie i koniaku resztę wieczoru.

Teraz Nowak został rezerwowym, ale nie brano go już na żaden lot, gdyż niebawem dostał rozkaz przeniesienia do dywizjonu 307.

## „Podejrzany”

Za dziesięć dni Nowak miał się zameldować w Fairwood Common, Swansea, w Walii, gdzie po przeniesieniu z Exeteru stacjonował dywizjon 307.

Nowak udał się do dotychczasowego dowódcy z prośbą o zezwolenie na natychmiastowy wyjazd.

Otrzymał je, pożegnał się ze wszystkimi i już następnego dnia znalazł się w Blackpool.

Jak zwykle o tej porze roku panowała tam piękna pogoda. Miasto było przepelnione - zatłoczone pensjonaty, ulice, plaże i miejsca rozrywek. Jak zwykle dominowała płeć piękna. Nowakowi, dzięki interwencji władz wojskowych, udało się dostać maleńki pokój na poddaszu.

Rozpakowawszy rzeczy Henryk skierował się na plażę, a potem poszedł na molo. Było ono szersze od sopockiego.

Chodził wśród ludzkiego mrowia zupełnie sam. Często zauważył powłóczyście spojrzenia nudzących się pań, które zapewne chętnie by zawarły znajomość z polskim lotnikiem. Nie zwracał jednak na nie uwagi, myślami był gdzie indziej.

Poczuł zmęczenie. Zszedł na dół na plażę, rozebrał się i położył na gorącym piasku, rozkoszując się ciepłymi promieniami prażącego słońca. Gwar rozmów mieszał się z szumem morza. Nowak przymknął oczy. Widział teraz przed sobą najbliższych. Co się z nimi dzieje?

Żyją przecież wśród wrogów, niepewni dnia ani godziny. W każdej chwili mogą ich wyciągnąć z łózka i postawić pod mur...

W pewnym momencie Henryk spojrział na zegarek. Najwyższy czas, by iść na obiad. Gospodyni bardzo nie lubiła, gdy się kto spóźniał.

Przy stole siedzieli ze dwadzieścia osób. W rozmowach przy posiłku nie brał udziału, zdawkowo odpowiadał na pytania pań, starając się wciągnąć go do dyskusji. Wieczorem udał się do Toweru. Czekał na półgodzinny koncert Iny Bagi. Podczas jej recitalu usiadł na swoim zwykłym miejscu w łoży pierwszego piętra. Po kilku minutach spojrzała w jego stronę.

Czyżby mnie poznała? zastanawiał się Nowak. Nie, to niemożliwe! Po chwili znów spojrzała w jego kierunku, tym razem prosto w oczy. Skłonił się ledwo widocznym ruchem głowy. Odpowiedziała na jego ukłon.

Zwrócono na niego uwagę. Pochwytał spojrzenia i szepty. Zrobiło mu się głupio. Że też ludzie muszą ze wszystkiego robić problemy... Zawsze czuł się źle pod obstrzałem ludzkich spojrzeń, wycofał się tedy dyskretnie, mimo że lubił tu przesiadywać.

Następnego dnia Nowak wybrał się do dowództwa Polskiej Bazy. Jej dowódcą był pułkownik Wiktor Pniewski. Któż z polskich lotników nie znał tej, tak popularnej w Wielkiej Brytanii postaci? Lubili go wszyscy, którzy mieli do czynienia z lotnictwem.

I on też kochał ich we właściwy sobie sposób. Miał zadziwiającą pamięć do nazwisk i twarzy. Po latach Nowak spotkał go w Warszawie. Siedział w Ogrodzie Krasińskich, gdy do jego ławki zbliżył się

Pniewski, pchając przed sobą wózek. Postarzał się nieco, ale trzymał się dziarsko. Nowak poznał go od razu. Upał był niesamowity. Pułkownik ocierał chusteczką pot z czoła, spoglądając z czułością w głąb wózcza, gdzie leżała jego maleńka wnuczka. Przytył trochę od czasu, kiedy Nowak widział go po raz ostatni.

Przypuszczalnie tkwiąca w klapie marynarki Nowaka gapka zwróciła jego uwagę, bo spojrzał bystro. Po chwili rozpromienił się.

- Poznaję pana! Chorąży Nowak? - wykrzyknął, podając mu rękę.

Teraz spotkał go na korytarzu. Spieszył się bardzo. Ten człowiek zawsze się spieszył! Ale mimo to, gdy dowiedział się, że ma sprawę do dowództwa bazy, nie chciał go puścić, zanim nie zamienił kilku słów. A przecież widział go dotychczas tylko dwukrotnie! Interesował się szczególnie personelem latającym.

- Chodź do mnie - powiedział. Mówił zawsze do młodych przez „ty”. - Dowiesz się czegoś.

Nie miał wyboru, a poza tym lubił, jak wszyscy, tego pełnego temperamentu, udającego bardzo srogiego, a w gruncie rzeczy bardzo miłego człowieka. Podobno był w ciągłej wojnie z angielskim dowódcą bazy, generałem.

Pociągnął go do znajomej sali, gdzie normalnie odbywały się egzaminy i testy psychologiczne dla kandydatów do personelu latającego. Teraz też czekało pięciu delikwentów. Jeden z nich skarżył się na Wojskową Komisję Lotniczo-Lekarską, której orzeczenie było dlań negatywne.

- A wy co? - zwrócił się do reszty pułkownik.

- My OK, panie pułkowniku - odpowiedzieli chórem.

- No cóż, szkoda! - westchnął. - Ty - dodał, zwracając się do pochlipującego niedoszłego pilota - nie rób takiej głupiej miny. Będziesz nam potrzebny w wolnej Polsce. Ty się smucisz, bo jesteś głupi i młody, a ja się cieszę. Bo myśmy, bracie, już zapłacili swój „podatek wojenny”. Utraciliśmy już dużo ludzi, za dużo... Powrócisz do Polski i będziesz tam dobrym „reproduktorem”. Myśmy już tylu najlepszych ludzi stracili w tej przeklętej wojnie - powtórzył.

Pniewski bolał nad każdym Polakiem, który poniósł śmierć w walce, i robił wszystko, co było w jego mocy, aby uchronić resztę, aby jak najwięcej zachować dla kraju, jak im zawsze o tym mówił.

Nowak nie bardzo był pewien, czy argumenty dowódcy przekonały niedoszłego pilota, ale wszyscy słuchali uważnie.

- Teraz wy, kandydaci na członków personelu latającego, bądźcie ostrożni - mówił. - Zachowujcie rozwagę, ale to wszystko nie znaczy, że macie być tchórzami! Bo dla takich nie ma miejsca w naszym lotnictwie. Polski lotnik ma dobre imię, zapracował sobie na nie. Wam nie wolno go skalać, bo wówczas będziecie mieć ze mną do czynienia! - mówiąc to był bardzo wzburzony.

Tym razem nie udawał, coś go naprawdę gryzło. Korzystając z tego, że wracali razem do jego gabinetu, Nowak spytał:

- Co się stało, panie pułkowniku, jakaś przykrość?

Popatrzył na niego przez chwilę i nie odpowiedział. Wszedł do gabinetu. Nowak wsunął się za nim. Pniewski rzucił się w głęboki klubowy fotel, stojący po przeciwnej stronie jego biurka, a jemu wskazał ręką krzesło.

Usiedli. Nowak wyciągnąwszy papierosa spytał Pniewskiego o pozwolenie, bo komendant nie palił, i już za chwilę zaciągnął się dymem, patrząc wyczekująco na pułkownika.

- Podarłem się z generałem - powiedział ponuro.

- Z Łyżkim? - wykrzyknął zdumiony Nowak.

- Nie, z Powellem, komendantem miasta.

Nowak czekał, aż pułkownik zacznie. Nie mylił się, bowiem po chwili zaczął mówić:

- Dziś rano wezwał mnie do siebie i zakomunikował w bardzo nieprzyjemnej formie, że polski sierżant z personelu latającego, strzelec ogonowy, upił się i po pijanemu uderzył kobietę. Przebywa teraz w areszcie w Komendzie Miasta, zatrzymany do mojej dyspozycji.

Nowak nie przeszkadzał mu, słuchając uważnie. Pniewski zrobił krótką przerwę, otarł chusteczką zroszone potem czoło i kontynuował:

- „Chciałbym wiedzieć, co zamierzasz z nim zrobić”, zapytał mnie generał. A ja na to spokojnie: „Na razie nic”. Powell aż podskoczył. „Jak to nic, wrzasnął, przecież całe Blackpool o tym mówi!” Wtedy się rozeźliłem nie na żarty. O tym, że polski sierżant narozrabiał po wódce, mówi całe Blackpool, ale o tym, że w dniu wczorajszym osiem załóg polskich nie powróciło do swych baz, to o tym całe Blackpool nie mówi? „Proszę, każ go rozstrzelać, mówię, jeśli masz sumienie, bo ja tego nie zrobię”.

Pniewski był wzburzony nie bez powodu. To rzeczywiście był czarny dzień dla dywizjonów polskich, a szczególnie dywizjonu 304, który stracił w stosunkowo krótkim czasie prawie 70% załóg latających, tak że groziło mu już uzupełnienie angielskim personelem. Być może było to również powodem wypożyczenia samolotu „Z” na 3 loty operacyjne w Coastal Command.

Nowak nie dowiedział się nigdy, jak zakończył się spór między dwoma komendantami. Sierżanta należało ukarać, co do tego nikt nie miał żadnych wątpliwości, ale że Pniewski wybronił go od Court Marshal (sąd polowy), to było pewne. Korzystając z tego, że Pniewski nieco ochłonął, Nowak zapytał, jak przedstawia się sprawa z jego podaniem o skierowanie na kurs oficerski. Podanie złożył już dość dawno i dotychczas nie miał żadnej odpowiedzi, chociaż jednocześnie uzupełnił maturę i złożył w dowództwie odpis świadectwa. Pułkownik obiecał sprawdzić w biurze personalnym i prosił, żeby wpadł jutro.

Gdy zgłosił się nazajutrz, Pniewski popatrzył na niego ciekawie i, jak się Nowakowi zdawało, z odrobiną sympatii.

- Nie chcą cię w kadrach - powiedział cicho - przylepili ci etykietkę.

- Co się stało? - wyszeptał Nowak zdumiony. Nie poczuwał się do żadnej winy.

- No cóż, na wszystkich, którzy przybyli z ZSRR, dwójkarze i góra patrzą szczególnie czujnie. Chyba rozumiesz? Mam nadzieję, że to, co ci mówię, zostanie między nami.



Wyszedł od Pniewskiego rozgoryczony. Zaczął teraz rozumieć, dlaczego na przykład nie proponowano mu, jak wielu innym, podpisania zobowiązania do pozostania w służbie kadry zawodowej po zakończeniu wojny.

Wszyscy, którzy podpisali takie zobowiązanie, szybciej awansowali. A on? Ciągle miał polski stopień starszego szeregowca, podczas gdy inni byli już plutonowymi.

Wychodząc z bazy spotkał Kordela. Ucieszył się bardzo na jego widok, Wacek również się rozpromienił.

- Poczekaj pięć minut, Heniek, chcę z tobą pomówić - prosił.

- Zgoda.

Nowak był szczęśliwy, że akurat napatoczył się przyjaciel. Czuł, że nie potrafi być sam. Usiadł na pobliskiej ławce i zagłębił się w lekturze.

Piszą przypochlebnie o nowym wodzu naczelnym, gen. Sosnkowskim. Nie interesowało go to, natomiast stanęła mu przed oczyma tak dobrze znana sylwetka tragicznie zmarłego generała Sikorskiego. Przypomniał sobie jego ostatnią wizytę w ZSRR zimą 1941 roku. Bądź co bądź był to człowiek, dzięki któremu on i jemu podobni dostali broń do ręki, aby walczyć o wolność Ojczyzny. Podpisanie przez Sikorskiego polsko-radzieckiej umowy o pomocy wzajemnej i współpracy stało się solą w oku niektórych wyższych oficerów o wybujałych aspiracjach politycznych, którzy jakby zapomnieli, że swój posterunek (notabene dobrze płatny) opuścili pierwsi. Oni tu byli już w końcu 1939, tak im się śpieszyło.

Ludzie ci, pogardliwie nazywani przez wojsko „leśnymi dziadkami”, umieli intrygować i posługując się straszakiem komunizmu potrafili znaleźć sojuszników. Nie mogli wybaczyć Sikorskiemu - jak to określali w swym zaślepieniu - „zdrady”, nie wyciągnęli żadnych wniosków z popełnionych przez siebie błędów politycznych. Teraz, kiedy generał nie żył, odetchnęli. Lotnicy byli przekonani, że przynajmniej niektórzy z nich przyczynili się do jego tragicznej śmierci.

Z zamyślenia wyrwał Nowaka Wacek, który nagle pojawił się obok.

- No już dobra, idziemy - powiedział, biorąc go pod rękę.

Pogoda wyraźnie się popsowała. Nadciągnęły niskie chmury. Ochłodziło się momentalnie, zaczął siąpić lekki deszcz.

- Cholera, akurat teraz musiała się popsuć. Jestem tu z Joan i dziś po południu wybieraliśmy się razem na plażę.

Weszli do restauracji hotelu na Princess Road na wprost molo, gdzie zatrzymał się Kordel z żoną, i zamówili whisky. Kolega na chwilę przeprosił Nowaka i poszedł telefonicznie powiadomić Joan o ich spotkaniu.

Po chwili był już z powrotem.

- Joan całuje cię i mówi, że koniecznie musisz zjeść z nami obiad, a teraz daje nam czas, bo wie, że mamy ze sobą do pomówienia.

- Kochaną masz żonę, Wacku, jest bardzo wyrozumiała.

- Tak, życie mi się jakoś ułożyło. No dobrze, co z tobą? Wyglądasz mizernie. Słyszałem o twoich przejściach, bo byłem w Ingham samolotem, przyleciałem cię tam odwiedzić, i chłopcy mi wszystko opowiedzieli. Serdecznie ci współczuję i myślę, że twoje skierowanie zjawilo się we właściwym czasie. Dlaczego jednak byłeś taki wzburzony, gdy na ciebie wpadłem?

Nowak opowiedział mu o swej rozmowie z Pniewskim i o opinii, jaką mają o nim władze wojskowe.

- A, to takie buty - gwizdnął. - Ale ty się nie przejmuj. Jasne, że to boli, ale co możesz w tej chwili zrobić? I tak jako chorąży będziesz zarabiał praktycznie dwa razy tyle co podporucznik, bo przecież wiesz, że my wszystko musimy kupić za własne pieniądze, a za mesę czy pralnię też płacić trzeba.

I rzeczywiście. Chyba najbardziej intratnym stopniem w RAF był jednak stopień chorążego-specjalisty. Istniała oczywiście różnica między uposażeniem pilota i strzelca, ale radiotelegrafista miał duże zarobki. Dorównywał mu chyba stopień kapitana bez specjalności.

- Słyszałeś o Górskim? - zmienił nagle temat Kordel.

- O tym sierżancie łączności z pierwszego pułku lotniczego?

- Chyba tak, obecnie jest w stopniu chorążego.

- Nie, mów, nie słyszałem.

- Otóż, on, bracie, dostał Krzyż Walecznych.

- A to ci sensacja - powiedział obojętnie Nowak. - Żeby chociaż Victoria Cross, to bym się zdziwił, ale ci ze starej generacji mają tego sporo. Przecież Górski przybył tu z Francji, no nie?

- Czekaj, nie przeszkadzaj, daj dokończyć. To była heca nie z tej ziemi! - teraz, podniecony, mówił z lwowskim akcentem. - Widzisz, wracali wtedy z Francji. Mieli kłopoty z silnikiem, maszyna również nie była bardzo sterowna. Radio też w proszku, nędza! Dowódca podjął decyzję opuszczenia samolotu. Lecieli wtedy nad Kanałem. Nikt nie wiedział, gdzie są, nie znali swojej pozycji, bo, jak ci już mówiłem, nie mieli radia. Jednym słowem „śmierdząca nędza” - jeszcze raz podkreślił powagę sytuacji Wacek. - Pilot polecił Górskiemu, aby skakał pierwszy, ponieważ akurat nie miał nic do roboty, ale ten powołał się na King's Regulations, które bardzo wyraźnie i z całą stanowczością poda kolejność opuszczenia samolotu, czyli: drugi pilot, przedni strzelec, radiotelegrafista, tylny strzelec, nawigator i jako ostatni pierwszy pilot-dowódca całej załogi. Ale dowódca jeszcze raz potwierdził ustaloną przez siebie kolejność i wydał Górskiemu rozkaz, by skakał. Ten podszedł do drzwi, odciągnął klapę do góry, usiadł na podłodze, a kiedy zobaczył przewalające się pod nim w dole grzywiaste fale Kanału, serce zamarło mu ze strachu i wiesz... stchórzył, po prostu stchórzył! „Baciara” bał się wyskoczyć! Spadochronu nie przypiął do szelek, bo gdyby to zrobił, koledzy pewnie by go zepchnęli. W końcu się podniósł i powiedział: „Nie skaczę! Proszę bardzo, kto ma ochotę?” i grzecznie zrobił im miejsce.

- Nic się nie zmienił, zawsze był znany z uprzejmości - zauważył z uśmiechem Nowak.

- Pilota o mało szlag nie trafił! Gimnastykował się z maszyną, aby zapewnić im jaką taką stabilność, tamci czekają na swoją kolejkę, a Górski skakać nie chce. Co tu dużo mówić. Oni też nie mieli ochoty

na skok, ale gdyby skoczył Górski, skoczyliby i oni. Teraz już nikt nie chciał być pierwszy. W końcu zaczęli się kłócić. Wkurzyło to Górskiego i jednym ruchem ręki... rzucił swój spadochron w dół, do morza. Wszyscy zdębieli! Kapitan, który go obserwował z góry, zaklął szpetnie. To był Żagała, pamiętasz Żagałę? Był na moim weselu, taki wysoki, czarny. A więc wszyscy myśleli, że go pobije. Może by to i zrobił, ale musiał trzymać maszynę, a Górski przezornie wycofał się w górę w głąb samolotu. „Na stanowiska, wrzasnął wściekły Żagała. Ciągniemy do Anglii albo rybom na śniadanie, a kto chce, niech skacze!” Nie skoczył nikt. Na jednym silniku, na niesterownym gracie dociągnęli jakoś do brzegów i lądowali na plaży w okolicy Swanage. Siedli na piasku tak, że już po godzinie, podczas przyływu, maszyna było częściowo w wodzie. Ostatnie kilometry szli na pięćdziesięciu metrach. No i dostał Krzyż Walecznych za uratowanie załogi i samolotu. Świat się kończy!

- Tak, to dziwne - mruknął Nowak. - No a ty, jak byś ty postąpił na miejscu Górskiego? - spytał.

- Ja? Też pytanie! Czy ja wiem? - zastanowił się. - Chyba bym wyskoczył, bo któż mógł przypuszczać, że ta łajba przykolebie się do domu. Widzisz, w szkole uczono nas, aby zbyt pochopnie nie podejmować decyzji, tym bardziej jeśli odpowiadamy za życie czy bezpieczeństwo ludzi na pokładzie. W tej sytuacji trudno winić kogokolwiek - zakończył Kordel.

W drzwiach baru ukazała się Joan. Wyglądała wspaniale. Pocałowała Nowaka w policzek, zadowolona z wywołanego wrażenia, potem przeszli do restauracji.

Podczas obiadu Joan wypytywała go o rodzinę, o wiadomości z kraju. Ze sposobu, w jaki się nim zajmowała, wyczuł, że ma w stosunku do jego osoby pewne plany. Nawet domyślał się, o co tu chodzi, bowiem kiedyś poznał jej kuzynkę Milred, której, jak mu się wydawało, nie był obojętny. Nie ułatwiał jednak Joan jej misji, toteż wkrótce porzuciła ten temat.

Następnego dnia pogoda poprawiła się i te trzy dni pobytu Kordelów w Blackpool spędzili bardzo przyjemnie. Po ich wyjeździe znów opanowały go czarne myśli. Odprowadziwszy Wacka i Joan na dworzec Henryk rzucił się w ubraniu na łóżko. Sen jednak nie przychodził, znów stanęła mu w pamięci rozmowa z Pniewskim. Myślał o ludziach, którzy przypięli mu etykietę „czerwonego”. Ogarniała go pasja tym większa, że przecież to byli ci sami, którzy tam, w kraju, uczyli go wojaczki. I czego potrafili go nauczyć?

Zacisnął zęby na wspomnienie musztry w szkole podoficerskiej. Godzinami kazano im ćwiczyć szermierkę karabinem, po jaką cholere?! Już wówczas się buntował. Czyżby liczyli, że przeciwnik podejdzie do nich tak blisko? Bzdura! Przeszedł kampanię wrześniową i pamiętał, że gdy musiał walczyć z wrogiem jako piechur, nie bardzo wiedział, jak sobie poradzić. Umiał za to pięknie salutować, maszerować, przybijać! I teraz ci sami, którzy znaleźli się tu już w 1939 roku, decydują o jego losie! Na szczęście ludzi tego pokroju nie było wielu w lotnictwie. A zresztą co się będę przejmował. Najważniejsze, że wypełniam swój obowiązek wobec: kraju, uspokoił się Nowak. Obudził się już pod wieczór. Zjadł kolację i poszedł do Toweru.

## „Puchacz”

Do Swansea przyjechał po południu. Rozglądał się przed budynkiem stacyjnym za jakąś okazją, gdy zobaczył stojącego na uboczu małego Hillmana z kótkami RAF na błotnikach.

Jakiś ziomek, może z mojego Campu? pomyślał. Dobrze by to było, bo mam tych bambetli od groma.

Skierował kroki w stronę samochodu, zostawiając cały bagaż na chodniku.

- Posted to 307 Squadron, Sergeant?<sup>50</sup> - usłyszał nagle tuż za sobą kobiecy głos. Odwrócił się i zobaczył przystojną, wysoką „wafkę” w stopniu kaprala.

- Yes, Corporal - powiedział mile zaskoczony - could you give me a lift? <sup>51</sup>

- Yes, of course, I came a specially for you<sup>52</sup> - odpowiedziała uśmiechając się i lustrując Nowaka wzrokiem.

To bardzo ładnie ze strony dywizjonu, pomyślał sobie Nowak, co on by tu począł bez transportu. „Wafka” pomogła mu załadować cały „majdan” na samochód, a było tego niemało. Dwa kitbagi, w jednym rzeczy lotne, jak: ciepła odzież, lotniczy ekwipunek, w drugim osobiste, no i walizka. Umieściła to wszystko w bagażniku i na tylnym siedzeniu. Zajął miejsce obok niej i ruszyli z kopyta.

Z ciekawością rozglądał się po dużym mieście, częściowo zniszczonym przez bomby. Minęli widoczny z daleka port i wyskoczyli na drogę pełną serpentyn i wzniesień. Po chwili byli już za Swansea.

„Wafka” prowadziła samochód pewnie i z wdziękiem. Patrzył na nią z boku. Zdawała się nie zwracać na niego uwagi, choć starał się nawiązać rozmowę. Odpowiadała grzecznie i śmiało, ale nie podejmowała tematu. Po kilku minutach dojeżdżali już do lotniska. Przed szlabanem, gdzie był wjazd, stał posterunek miejscowej MP, samochód tylko zwolnił, bo żandarmi podnieśli szlaban i pokazali wolną drogę.

Podwiozła go pod budynek dowództwa. Nowak wysiadł zostawiając rzeczy i udał się do środka, podczas gdy ona czekała w samochodzie na jego powrót. Zameldował się w kancelarii. Siedzący przy stole porucznik przedstawił się jako tymczasowy adiutant dywizjonu, por. Baykowski, wziął jego skierowanie, dał kartkę z przydziałem do eskadry „B” i kartę obiegową.

- Teraz dowódca chce z panem mówić - powiedział.

- To się dobrze składa, bo ja również chcę się z nim zobaczyć - odparł zadowolony. - Nie widziałem go od wieków.

- To panowie się znają? - zapytał.

- O tak, jeszcze z pierwszego pułku.

- O ile wiem, major Orzechowski nigdy tam nie służył - wyraził zdziwienie porucznik.

---

<sup>50</sup> Skierowany do Dywizjonu 307, sierżancie?

<sup>51</sup> Tak, kapralu, mogłabyś mnie podwieźć?

<sup>52</sup> Ależ oczywiście, przyjechałam specjalnie po ciebie.

- Powiedział pan... major Orzechowski? Więc Michałowski już nie jest dowódcą? - zapytał rozczarowany.

- Na litość boską, skąd pan się zjawił? Nie wie pan, że Michałowski od dawna nie żyje? Zabił się podczas demonstrowania nam lądowania na jednym silniku na Mosquicie, jeszcze w marcu - dodał. - O, przepraszam pana - powiedział, widząc bladość Nowaka. - Panowie byli przyjaciółmi, prawda? Może będzie lepiej, by wizytę u dowódcy odłożył pan do jutra? - spytał.

- Idziemy! - powiedział krótko Nowak.

Adiutant poprowadził go korytarzem i zatrzymał się przy drzwiach, na których wisiała tabliczka: „C.O. 307 Squadron W/C Jerzy Orzechowski” 53.

- Jest już ten nowy radionawigator, panie majorze - zameldował uchylivszy drzwi.

Po chwili stanął w nich nowy dowódca Nowaka. Wyglądał bardzo sympatycznie. Średniego wzrostu i tuszy, lekko szpakowaty. Na piersi munduru baretki najwyższych odznaczeń polskich i angielskich.

Nowak zasalutował i zameldował swoje przybycie do jednostki celem pełnienia służby.

- Proszę - powiedział gospodarz i zaprosił Nowaka do środka. Adiutant zostawił ich samych. Przyglądali się sobie wzajemnie.

Więc to jest jeden z tych słynnych pilotów, walczących w Bitwie o Anglię w dywizjonie angielskim 607, myślał Henryk.

Dowódca przyglądał się z uwagą Nowakowi. Nie był zadowolony. Ma w dalszym ciągu „pajaka” na rękawie, a więc był szkolony na radiotelegrafistę. Guzik umie, znów będą kłopoty. Po co takich przysyłają?

Potoczyła się rozmowa na tematy fachowe, sprawy dotyczące dalszego szkolenia. Major pytał o wspólnych znajomych w dywizjonie, z którego przyszedł, o loty operacyjne. Chciał się po prostu zorientować, jak wyczuł Nowak, co on właściwie umie i co wie o pracy nocnych myśliwców, czy warto w niego „inwestować”.

Nie wiedział prawie nic. W szkole nawet nie wspomniano, że takie dywizjony istnieją. Orzechowski wyraźnie nie był zachwycony swym nowym „nabytkiem” i pewno w duchu klął Michałowskiego, że go tu ściągnął. Nowak żałował teraz więcej niż kiedykolwiek swego przeniesienia z dywizjonu 300.

- Wie pan co, panie majorze, mam pewną myśl. Na pewno lepiej będzie dla nas obu i dla dywizjonu, jeśli mnie pan z powrotem odeśle, skąd przyszedłem - wypalił trochę już zdenerwowany.

Orzechowski popatrzył na niego, podumał chwilę i powiedział uśmiechając się po raz pierwszy w czasie ich rozmowy:

- Skoro pan tu już jest, to pan zostanie, przeszkolimy pana i jeszcze nas pan polubi - zdecydował. - Widzi pan, mamy w dalszym ciągu kilku Anglików - radionawigatorów, których chcemy się pozbyć. Dlatego też życzę powodzenia - to mówiąc, podał mu rękę na pożegnanie.

Nowak wyszedł przed budynek i rozejrzał się wokół. Był piękny, słoneczny dzień. Pełno zieleni. Budynki-baraki rozrzucone po całej okolicy. Daleko w przodzie widać było pole wzlotów i stojące samoloty. W dole, po lewej, kępa drzew, pośród których widniały wierzchołki budynków administracyjnych.

„Wafka” spojrzała na niego pytająco.

- Do „B” flightu - powiedział Nowak, sadwiąc się koło niej.

Skinęła głową. Samochód ruszył z miejsca i po chwili zatrzymali się przed barakiem z pofalowanej blachy, potocznie zwanym beczką śmiechu. Był to barak, w którym mieszkali starsi podoficerowie eskadry „B”. Nowak ciekawie zajrzał do środka. Stało tam osiem łóżek po cztery z każdej strony. Skromnego umeblowania dopełniały stół, kilka krzeseł, nie licząc czterech podwójnych szafek, na których umieszczone były tabliczki z nazwiskami ich właścicieli. Podłoga pokryta linoleum, metalowe łóżka z siatką, na których ułożone były w „kostkę” po trzy części materaca, dwa prześcieradła i podgłówek z gąbki, powleczone czystą powłóczką, spod którego wystawały piżamy. Nad nimi, na krawędziach łóżka, suszyły się ręczniki.

Barak był pusty, jego mieszkańcy mieli pewnie zajęcia. Nowak złożył swoje rzeczy pod ścianą i zapytał „wafki”, podziękowawszy jej uprzednio za pomoc, gdzie by tu można było coś zjeść.

- Niech pan wali do mesy sierżanckiej, zaraz pana tam podwiozę - odpowiedziała wesoło.

Odległości były tu olbrzymie. Kwatery, dispersal, Operation, samoloty, dowódca, eskadry - wszystko rozproszone. Personel naziemny miał nawet służbowe rowery, co ułatwiało poruszanie się po lotnisku i pozwalało oszczędzać czas. Takie rozproszenie podyktowane było troską o bezpieczeństwo. Wyciągnięto wnioski ze smutnych doświadczeń z czasów bitwy o Anglię, kiedy to Niemcom udało się podczas zmasowanych nalotów dokonywać wielkich zniszczeń na lotniskach.

W mesie Nowak zastał przy spóźnionym obiedzie kilku sierżantów i chorążych. Przedstawił się, ale, niestety, nikogo znajomego tu nie spotkał. Poczuł się więc jeszcze bardziej samotnie. Posiliwszy się nieco, powrócił do baraku, gdzie zastał już kilku jego mieszkańców. Byli tu: chor. Szempliński, średniego wzrostu, ciemny blondyn o pociągłej, sympatycznej twarzy, jego radionawigator sierż. Tillman, wysoki, tęgi, lekko łysiejący Anglik, który okazał się sąsiadem Nowaka - mieli dzielić szafkę, dalej Tadzio Eckert, średniego wzrostu, dobrze zbudowany, o jasnoblonde włosach i śmiejącej się twarzy. Eckert był tylko czasowym lokatorem, jak się dowiedział Nowak później, ponieważ ożenił się z Angielką i wolny czas spędzał w mieście, bawiąc się z małym synkiem.

Drugim sąsiadem Nowaka był chor. Edward Wojczyński, przez kolegów potocznie od nazwiska zwany „Wojtkiem”. Wojczyńskiego znał jeszcze z pułku. Był on pilotem myśliwskim. W 1937 roku uległ wypadkowi lotniczemu, a po wyjściu ze szpitala mocno utykał, co jednak wcale mu nie przeszkadzało w lataniu. Nie mógł jednak awansować, nie ukończył bowiem szkoły podoficerskiej. Latał więc jako pilot myśliwski, nadterminowy, w stopniu starszego szeregowca. W 1939 r. wcielono go do szkoły podoficerskiej, gdzie brał udział tylko w zajęciach teoretycznych. W praktycznych nie był w stanie uczestniczyć ze względu na częściowe kalectwo. Szkołę ukończył jako kapral i od tej pory nic już nie przeszkadzało mu w karierze wojskowej.

Kolejnym lokatorem baraku był st. sierż. nawig. Henryk Ostrowski, średniego wzrostu, o pociągłej twarzy i gęstej, falującej czuprynie.

Następnego dnia Nowak meldował się kolejno z kartą obiegową. A więc wizyta u lekarza. Dyżur miał lekarz dywizjonu kpt. Jan Szlązak. Przejrzawszy dokumenty, które tu przysły przed przybyciem Nowaka, i zbadawszy go podpisał odpowiednią rubrykę z uwagą: „zdrów”. Następnie Henryk przeszedł do pobliskiego pomieszczenia straży pożarnej, gdzie komendant pouczył go o przepisach przeciwpożarowych i przeegzaminował. Na drugim końcu mieściło się pomieszczenie, w którym urzędował zbrojmistrz. Wydał mu pistolet „Colt” i 50 sztuk amunicji, wpisując to do jego „Paybooku”. W mundurówce otrzymał koce i prześcieradła, w rachubie wciągnięto go na listę płacy, u Station Officera sprawdzono mu maskę przeciwgazową, w mesie zaprowiantowano, w mundurówce wzięto na stan, w dispersalu szef mechaników st. sierż. Jakimowicz przydzielił mu szafkę na rzeczy lotne. Potem Henryk zameldował się u szefa łączności por. Bidermana, który pomówił z nim chwilę na temat sprzętu zainstalowanego na Mosquitach.

W ten sposób cały dzień miał z głowy. Nazajutrz kontynuował „zbieranie autografów” i dopiero na trzeci dzień mógł zameldować się u por. Sylwestrowicza z flightu „C”, gdzie miał być przeszkolony na radionawigatora.

W każdym dniu wolnym od lotów por. Sylwestrowicz prowadził zajęcia dla radionawigatorów. W dniach, w których były loty, a tych dni na lotnisku w Fairwood Common było dość dużo, wprowadzał Nowaka w arkana nocnych myśliwców, dziedziny zupełnie dla niego obcej. Dowódca specjalnie prosił porucznika, by zaopiekował się Nowakiem, który musiał opanować olbrzymi materiał. Na przykład o organizacji obrony powietrznej kraju Henryk nie wiedział prawie nic.

W 1940 r. ciężar obrony przed masowymi nalotami Luftwaffe spoczywał na Fighter Command, które podzieliło się na Grupy, dysponujące radarem dalekiego zasięgu, co umożliwiało śledzenie akcji w powietrzu. System obrony podzielono na rejony. I tak: Grupa 10 operowała na południe i zachód od Oxfordu, Grupa 11 od południowego brzegu do linii zachód-wschód przebiegającej przez Bedford, Grupa 12 od tej linii do podobnej przebiegającej przez York, wreszcie 13 Grupa na północ od tej linii. Każda z Grup podzieliła swój rejon na sektory, w których stacjonowały poszczególne dywizjony myśliwskie. Każdy sektor miał również swój własny Operation Room. I tak w miarę przekazania mu przez rejon informacji ze zbiornic meldunkowych, które z kolei otrzymywały je od poszczególnych punktów obserwacyjnych bądź też z obserwacji radarowych, sektor podrywał dywizjony myśliwskie i kierował je na spotkanie z nieprzyjacielem.

Opracowany system był bardzo skuteczny podczas nalotów dziennych; walki z nieprzyjacielskimi maszynami rozgrywały się przeważnie nad Kanałem.

Po przegranej Bitwie o Anglię dowództwo Luftwaffe zmieniło taktykę - rozpoczęły się naloty nocne. Teraz Anglicy nie wiedzieli, jak się bronić. Myśliwcy dzienni nie bardzo umieli sobie radzić w nocy. Pozostały reflektory. Łapały one w stożek nieprzyjacielski samolot, a czekający w pobliżu myśliwiec podchodził i wykańczał go. Współpraca z reflektorami trwała chyba najdłużej, bo, jak się dowiedział Nowak, jeszcze teraz czasami podrywają ich na takie ćwiczenia.

Ponieważ stosowane metody nie dawały większych rezultatów, zaczęto z wielkim pośpiechem formować nocne dywizjony myśliwskie.

I tak między innymi powstał dywizjon 307, sformowany 24 sierpnia 1940 r. w Blackpool, a od 10 września przebazowany na lotnisko Kirton-in-Lindsey. Brytyjskim jego dowódcą został Południowoafrykańczyk squadron leader George Tomlinson, polskim zaś kpt. pil. St. Pietraszkiewicz. Piloci kierowani do tego dywizjonu mieli latać na samolotach Boulton Paul „Defiant”. Był to samolot jednosilnikowy z wieżyczką, w której siedział tylny strzelec, obsługujący cztery karabiny maszynowe. Wieżyczka, umieszczona za siedzeniem pilota, mogła wykonać obrót o 180 stopni.

Na oko Defiant nie różnił się od innych myśliwców, jego przeznaczenie trzymano w tajemnicy. Już pierwsze pojawienie się w walce Defiantów przyniosło oszałamiające zwycięstwo. W czasie walk nad Dunkierką formacja tych samolotów pozwoliła się podejść niemieckim lotnikom od tyłu. Każdy inny myśliwiec w owym czasie był w takiej sytuacji bezbronny, toteż hitlerowcy własnym oczom nie wierzyli, widząc tak łatwy łup. Kiedy podeszli już-bliżko, strzelcy z Defiantów otworzyli ogień. Niemcy byli kompletnie zaskoczeni. Podstęp udał się kilkakrotnie. Jeszcze przez czas dłuższy, mimo że zostały już rozpoznane przez wroga, Defianty pozostawały w dywizjonach nocnych.

Perspektywa nocnych lotów i dwuosobowa załoga niezbyt przypadły do gustu pilotom myśliwskim oddelegowanym do tego dywizjonu. Myśliwiec, wiadomo, to wielki indywidualista, a tu musiał współpracować ze strzelcem, dzielić się ewentualnym sukcesem... Wszyscy piloci, nie wyłączając dowódcy polskiego, kapitana Pietraszkiewicza, marzyli o tym, by wrócić do dziennej służby na Hurricane'ach. Podczas inspekcji dywizjonu przez dowódcę 9 grupy prawie wszyscy poprosili o przeniesienie do służby dziennej. Prośbie ich uczyniono zadość, miejsce myśliwców zajęli w większości piloci, którzy raczej nie mieli większych szans w dywizjonach myśliwskich dziennych: instruktorzy, piloci komunikacyjni, oblatywacze, ludzie, którzy mieli doświadczenie w lotach nocnych, i ochotnicy. Wszyscy oni po odpowiednim przeszkoleniu stali się bardzo wartościowymi nocnymi myśliwcami. W dalszym okresie kierowano tu personel już ze szkół, specjalnie przeszkolony, bądź też takie przeszkolenie prowadzono na miejscu, w dywizjonie. Lotnika, który nie stał się jeszcze operacyjnym, w czasie szkolenia koledzy nazywali żartobliwie puchaczykiem.

Takim właśnie „puchaczykiem” był teraz Nowak. Przez kilka dni spędzonych we fliście „C”, gdzie odbywało się szkolenie, poznał historię dywizjonu i dowiedział się wielu ciekawych rzeczy o radarze, na którym miał teraz pracować. Por. Sylwestrowicz okazał się bardzo miłym wykładowcą, prowadził szkolenie nawigacyjne bardzo ciekawie, tak że samopoczucie Nowaka znacznie się poprawiło. Interesowało go teraz wszystko, chciał jak najszybciej stać się „operacyjnym”, „puchaczem”.

Dziś niedziela, nie ma zajęć. W mesie do jego stolika przysiadł się st. sierż. Jakimowicz, szef mechaników eskadry „B”. Potoczyła się rozmowa na temat miejscowych stosunków i ludzi.

- Niech mi pan powie - poprosił Nowak - kto to jest ten porucznik, który pracuje w dowództwie? Przedstawił mi się jako Baykowski, czy to nie on przypadkiem napisał słowa do hymnu dywizjonu?

- Właśnie ten, porucznik Jan Maliński skomponował melodię, a Baykowski napisał słowa i chyba trafił w sedno, prawda?

- Jak najbardziej, a jeszcze jedno, panie Jakimowicz, na jego piersiach widzę złotą „gapę” z dwiema strzałkami, co to oznacza?

- Jak to, nie wie pan? Przecież i pan taką będzie nosił, gdy stanie się pan „puchaczem”. To, co pan nosi obecnie, to nie nasze, to od bombowców.



- Wydawało mi się, że on mocno utyka, czy miał wypadek?

Jakimowicz popatrzył na niego smarując chleb dżemem. Odwrócił się i poprosił „wafkę” o przyniesienie dzbanka z kawą.

- Widzi pan - podjął po chwili - on nie ma nogi, a mimo to lata bojowo jako radianawigator<sup>54</sup>. Był tu u nas drugi taki, kapitan Roman Grzanka, również o jednej nodze. Tamten był pilotem, to mu było trochę trudniej. Michałowski zawsze mówił: „Jak ci dwaj są razem w powietrzu, to dopiero jest komplet, mają obie nogi”.

- A co się dzieje z kapitanem Grzanką, już nie lata?

- Zabił się niedawno, tuż przed pańskim przybyciem. Ostatnio latał z nim major Kalinowski. Grzanka miał oblatywać maszynę przed nocnym readinessem. Jego nawigator był w tym czasie w mieście, ale pilot nie chciał czekać na jego powrót, zabrał szefa mechaników eskadry „A” Oyrzanowskiego. Coś tam się stało nagle z silnikiem, tak że zwalili się i obaj ponieśli śmierć - dokończył już cicho Jakimowicz. - To było dwudziestego siódmego czerwca, pamiętam jak dziś.

Nowak nie odezwał się więcej, dokończył śniadania, podziękował i opuścił mesę. Zobaczył, że w stronę długiego, czarnego, drewnianego baraku, na którego wierzchołku sterczał mały krzyż, kierowało się masę ludzi. Nowak również podążył w tę stronę. Była to jego pierwsza niedziela w tym dywizjonie, nie znał jeszcze tutejszych zwyczajów. W kościele było już prawie pełno, właśnie rozpoczynała się msza. Nowak rozejrzał się ciekawie. Był tu cały dywizjon - jedyna okazja, aby zobaczyć wszystkich razem, normalnie bowiem eskadra „A”, stojąca po drugiej stronie lotniska, prawie nie miała kontaktu z ludźmi z eskadry „B”.

Zaraz po nabożeństwie udał się do Swansea. Pospacerował po mieście, potem poszedł do kina na jakiś amerykański western. Na obiad do „campu” nie wrócił. Zjadł coś w kantynie NAAFI na dworcu, a potem skierował kroki w kierunku parku, pośrodku którego stał duży budynek zwany „Patti Pavilion”. Przychodziła tu młodzież z całego miasta, przy czym płęć brzydsza była przeważnie umundurowana i miała na rękawach „Polandy”.

I znów poniedziałek, wykłady. Nowak w dalszym ciągu poznaje historię dywizjonu, który pod koniec stycznia 1941 roku przenosi się na lotnisko Squiers Gate koło Blackpool, skąd Polacy startowali na nocne patrole nad północno-zachodnią Anglią. Jakoś nie udało im się spotkać niemieckiego bombowca, aczkolwiek rejon ten był często bombardowany. Jeśli się weźmie pod uwagę, że w tym czasie osłona radarowa, kontrolerzy i piloci nie mieli zbyt wielkiego doświadczenia, trudno się dziwić.

Wytrwałość pilotów przyniosła w końcu wyniki. I tak 12 marca 1941 r. w nocy uszkodzili Heinkla 111. Szczęście ich nie opuściło, bo już następnej nocy (13- -14 marca) prawdopodobnie zniszczyli drugiego. Wreszcie 12 kwietnia 1941 r. sierżant Jankowiak z sierżantem Lipińskim po raz pierwszy w dotychczasowej historii PSP zestrzelili niemiecki samolot w nocy.

26 kwietnia 1941 roku dywizjon zostaje przeniesiony do Exeter w Devonshire. W nocy z 12 na 13 maja podczas silnego nalotu niemieckiego na lotnisko spadło około 200 bomb. Praktycznie nie ocalał żaden z budynków mieszkalnych personelu. Zniszczeniu uległo również dużo sprzętu, lecz, na

---

<sup>54</sup> Według oficjalnej nomenklatury przyjętej w PSZ - radioobserwator. Autor stosuje określenie używane wówczas potocznie (z angielskiego).

szczęście, chociaż nie było schronów czy rowów przeciwlotniczych, nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń. Jedna z załóg, korzystając z pożaru, który oświetlał pas startowy, wyszła w powietrze i zestrzeliła Heinkla 111. Obaj młodzi sierżanci tłumaczyli się później, że wystartowali, ponieważ nie mogli znieść tego, co działo się na lotnisku.

Nie mijają się to z prawdą, w takiej sytuacji niejedynemu lotnikowi czuł się bezpieczniej w powietrzu niż na ziemi. Ale mechanik, który ich wypuścił, pomógł zapuścić silnik i wypchnął maszynę z płonącego miejsca postoju w kierunku pasa startowego, skąd już mogli podkołować dalej do startu, nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Wielkie było jego zdziwienie, kiedy otrzymał trudno osiągalny dla personelu naziemnego Krzyż Walecznych.

W tym samym czasie zostaje już na stałe odwołany brytyjski dowódca; porzucono system dowództwa podwójnego.

Czwartym z kolei dowódcą dywizjonu zostaje kapitan J. Antonowicz, dobrze znany personelowi dotychczasowy dowódca eskadry „B”.

Był to doświadczony pilot, który przyszedł z dywizjonu bombowego, wielki entuzjasta myślistwa nocnego. Uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby dywizjon przebroić na samoloty typu Beaufighter.

Bristol „Beaufighter” był to dwusilnikowy samolot o dużym zasięgu, silnie uzbrojony. Miał na swym pokładzie cztery działka 20 mm i sześć karabinów maszynowych kaliber 7,62 mm. I, co najważniejsze, radar - tak zwany AI Mark-4.

Mark-4 był urządzeniem tajnym. Nowak, podobnie jak i jego koledzy, musiał podpisać zobowiązanie o zachowaniu tajemnicy. W trakcie wykładów nie wolno było robić żadnych notatek. Po przeszkoleniu Henryk miał zostać radionawigatorem.

AI pracował na zasadzie odbitego echa. Nadajnik poprzez specjalnie ustawione kierunkowo anteny wysyłał serię impulsów, które po odbiciu się od napotkanego na swej drodze przedmiotu w powietrzu, wracały do odbiornika w samolocie w postaci echa, widocznego na lampach kineskopowych.

Ale aby przechwycić lub wytropić nieprzyjacielski samolot w powietrzu, nocny myśliwiec musiał określić trzy podstawowe elementy: odległość przechwyconego echa, jego poziom w stosunku do własnej maszyny oraz pozycję przechwytywanego obiektu w stosunku do własnego kursu. Wszystkie te informacje dawał radar AI.

Jego nadajnik umieszczony był w dziobie samolotu, anteny wyglądały jak grot strzały z dwoma końcówkami. Właściwą anteną była frontowa końcówka, druga służyła tylko jako reflektor, nadający kierunek wysyłanej wiązce impulsów. W ten sposób nocny myśliwiec mógł ograniczyć szerokość wysyłanej wiązki, koncentrując go na rozpoznanym obiekcie. System odbiorczy, przyjmujący echo, składał się z czterech umieszczonych parami anten. Pierwsza para zainstalowana na poziomych końcówkach skrzydeł służyła do określenia położenia horyzontalnego i azymutu samolotu. Druga ustawiona była pionowo na końcowej powierzchni płatów: jedna na wierzchu, druga pod spodem. Ustawione w ten sposób anteny pozwalały określić cel. Jeśli był z prawego i powyżej, mocniejszy sygnał przychodził z anteny umieszczonej na prawej górnej powierzchni płata.

Informacje odczytywał na dwóch lampach kineskopowych radionawigator, a więc na lampie azymutu sygnały przychodzące z anteny umieszczonej na poziomych końcówkach skrzydeł samolotu, na drugiej, poziomym horyzontalnego, sygnał z górnych i dolnych anten, umieszczonych na powierzchni i pod spodem skrzydeł. Lampa azymutowa określała kierunek oraz odległość celu od własnego samolotu.

Jeśli śledzony cel znajdował się na małej wysokości, zlewał się z odbiciem ziemi, której echo było silniejsze, i był niemożliwy do przechwycenia. W okresie późniejszym zdołano się uporać i z tą trudnością, ale Mark-4, o którym tu mowa, miał jeszcze te wady.

Cel pojawiał się na ekranie w kształcie jakby mocno spłaszczonego kwadratu i jego odległość od ścianki odbicia z ziemi wskazywała odległość od własnego samolotu. Odbite echo, zwane „blip”, poruszało się w lewo lub w prawo, zależnie od kierunku, w jakim przemieszczał się obiekt.

Lampa horyzontalna poziomu pracowała właściwie na tej samej zasadzie, ale była odwrócona o 90 stopni, co ułatwiało odczyt radionawigatorowi. Jeśli cel był powyżej poziomu samolotu, wówczas „blip” znajdował się powyżej zielonej, jasno świecącej linii przechodzącej przez środek ekranu, będącej punktem odniesienia.

Poprzez jednoczesną obserwację „blipu” na obydwu kineskopach określano nie tylko pozycję, ale również kierunek, w którym podąża nieprzyjacielski samolot, jego wysokość i odległość.

Praktyczny zasięg tego radaru wynosił tylko 4 mile, w okresie późniejszym zwiększono go do 10 mil. Istniał jeszcze jeden mankament - w Beaufighterach urządzenie Mark-4 umieszczone było za plecami radionawigatora, tak że podczas naprowadzania pilota na cel musiał on siedzieć tyłem do kierunku lotu. Dopiero po nawiązaniu kontaktu wzrokowego mógł się odwrócić w swym ruchomym fotelu. Z uwagi na ograniczony zasięg radaru pokładowego samolot musiał być naprowadzony na właściwą wysokość i kierunek. Robił to kontroler z GCI, posługujący się radarem naziemnym. Tu wyłaniała się kolejna trudność - przy jednoczesnym poderwaniu kilku maszyn podczas nalotu nieprzyjacielskiego kontroler naziemny mógł naprowadzać tylko jedną maszynę. A wróg przecież nie czekał, aż kontroler wszystkich „załatwi”, i kiedy tylko wyczuł, że w jego rejonie są nocni myśliwcy, uciekał, gdzie pieprz rośnie.

Szkolenie trwało już drugi tydzień. Cały czas tylko zajęcia teoretyczne - z nawigacji, radaru i radionawigacji. Nie było łatwo, ale Nowak starał się opanować materiał jak najszybciej i jak najlepiej, by nie zawieść zaufania, jakim obdarzał go dowódca dywizjonu. Najważniejszy był radar, który nie tylko pozwalał wykryć samoloty nieprzyjaciela, ale też pozwalał ustalić pozycję samolotu. Na angielskich brzegach ulokowane były radiolatarnie, które wysyłały sygnał ciągły, a ponadto w określonych odstępach czasu celem identyfikacji dawały dwie litery Morse'em. Gdy nastroiło się odpowiednio pokładowy radar, wysyłany przez nadajnik beaconu sygnał przychodził na lampę radaru. Dzięki temu nocny myśliwiec, operujący daleko od bazy, nie błądził.

24 października zginął kapitan Antonowicz. Kolejnym dowódcą dywizjonu 307 został major Brejnak, po nim obowiązki dowódcy przejął przybyły z dywizjonu 300 po odbyciu tury operacyjnej kpt. Jan Michałowski. Jego staraniom należało zawdzięczać, że pomiędzy ludnością cywilną a Polakami nawiązały się bardzo serdeczne stosunki. W Devonshire nie było chyba angielskiego domu, w którym Polak nie byłby gościnnie przyjmowany. Wielu z nich założyło tu rodziny, żeniąc się z miejscowymi

dziewczętami. Na znak przyjaźni dywizjon podarował miastu Exeter flagę polską, a także udekorował miasto odznaką dywizjonu. Kronikarz dywizjonu pod tą datą smętnie pisze: „Od samego rana wszyscy puchacze musieli iść, o zgrozo, pieszo w szeregu do miasta, i to jeszcze w dzień!”

W nocy z 3 na 4 maja 1942 r. Niemcy przeprowadzili silny nalot na Exeter. Załogi startowały pod bombami i odniosły wielki sukces. Załogi: sierż. pil. Neyder z sierż. Woźnym i por. pil. Andrzejewski z sierż. Kaliszewskim, odnotowały na swym koncju po jednym pewnym, zaś plut. Illaszewicz i ppor. Lissowski - dwa samoloty. Cztery maszyny zestrzelone w ciągu jednej nocy były wówczas rzadkością, toteż do dywizjonu napływały przez następnych kilka dni depesze gratulacyjne, między innymi od ministra lotnictwa brytyjskiego sir Archibalda Sinclair'a i od dowódcy 10 Grupy Myśliwskiej.

Obywatele Exeter w dowód wdzięczności nadali dywizjonowi honorowe obywatelstwo miasta.

Rozpowszechnił się też hymn dywizjonu. Słowa jednej ze zwrotek brzmiały:

Ktoś musi spać, więc my czuwamy  
Tam zaczajeni pośród chmur  
Na obcym niebie załatwiamy,  
Prastary nasz rasowy spór,  
A kiedy Niemiec się zapali  
Aby rozjaśnić sobą mgły,  
Ryby radują się w Kanale,  
Bo martwy Niemiec nie jest zły.

Majorowi Michałowskiemu udało się przebroić dywizjon na najbardziej w owym czasie nowoczesny sprzęt - 24 grudnia 1942 r. Polacy dostali samoloty typu Mosquito Mark-II F.

Samolot De Havilland „Mosquito” wyposażony był w dwa silniki Rolls-Royce „Merlin” o mocy 1690 KM każdy i uzbrojony w cztery działka 20 mm oraz cztery karabiny maszynowe. Ponadto mógł zabierać 1800 kg bomb. Załoga dwuosobowa, prędkość maksymalna 640 km/h, pułap 12 tys. m, zasięg maksymalny ponad 3200 km.

Rewelacyjna prędkość i pułap sprawiały, że rychło ochrzczono samolot Mosquito mianem „the wooden wonder” (drewniane чудо), bowiem konstrukcja maszyny była prawie całkowicie drewniana. Trzecim atutem nowego myśliwca był ulepszony radar pokładowy Mark-5 z jednym już tylko ekranem i zwiększoną mocą nadajnika, który zapewniał większy zasięg i, co najważniejsze, eliminował odbicia z ziemi. Stożek wysyłanych impulsów rozchodził się od nosa samolotu po 45 stopni w obie strony, tak więc przestrzeń można było obserwować w granicach 90 stopni.

Obie anteny - nadajnika i odbiornika - umieszczone były w dziobie samolotu. Posługiwanie się radarem Mark-5 było mocno uproszczone. Przyjęto, że środek ekranu to własne położenie samolotu, zaś odbite echo występowało w postaci świetlnego koła lub jego części. Samolot obcy lecący na wprost, na tej samej wysokości, widziany był właśnie jako idealne koło, zaś jego odległość można było określić z odległości koła od środka ekranu. Jeśli cel odchyłał się od kursu samolotu, wówczas koło lekko się załamywało. Jeśli np. odszedł o 10 stopni, na ekranie pokazywało się pół koła po stronie, w którą się oddalił. Podobnie jak odległość odczytywano wysokość obcej maszyny. Dla ułatwienia powierzchnię ekranu przyrównano do tarczy zegara ściennego. Dzięki temu pilot, któremu radionawigator podawał pozycję obcego samolotu, szybko się orientował w sytuacji.

Radionawigator, po uprzednim naprowadzeniu przez GCI, chwycił „kontakt”, a potem już sam prowadził pilota na pozycję dogodną do ataku, podając mu kurs i wysokość. Jeśli cel był z przodu, Mosquito trzymał się lekko z prawej i dopiero zbliżywszy się na odległość 2 km odskakiwał w lewo, robiąc pełny skręt i nieco schodząc. Po wykonaniu tego manewru znajdował się na ogonie przeciwnika. Rozpoznawszy go zadzierał maszynę lekko w górę i atakował, dając krótką, przeważnie czterosekundową serię z działek. Zaskakiwany ogniem od tyłu i z dołu samolot nie miał praktycznie żadnych szans. Ale nie wszystko było takie proste, gdyż nocny myśliwiec, polując samotnie, mógł sam stać się ofiarą innego nocnego myśliwca, ponieważ radionawigator, odpowiedzialny za obserwację tyłu, będąc zajęty przy AI nie mógł widzieć, co się dzieje na ogonie jego maszyny.

Po dodatkowym przeszkoleniu i opanowaniu nowego sprzętu dywizjon wszedł do lotnictwa operacyjnego. W załogi wstąpił nowy duch, wystartowali na swój pierwszy zaczepny lot radości, pełni nadziei, wylądowali zaś wściekli, ponieważ podczas odprawy w dowództwie Grupy każda załoga otrzymała swoją trasę i wysokość, ale wszystkim kategorycznie zabroniono atakowania celów. Po locie dowództwo Grupy podziękowało im grzecznie za wysiłek tłumacząc jednocześnie, -że wysłano ich na Mosquitach na lot dywersyjny. Chodziło o to, aby odciągnąć myśliwce niemieckie od silnej formacji bombowców skierowanych w tym czasie nad zaporę na rzece Möhne.

Wkrótce dywizjon rozpoczął loty nad kontynentem.

Załogi patrolowały również Zatokę Biskajską, ale to już były rajdy dzienne, sporadyczne. Główne zadanie dywizjonu określił na jednym z wykładów Intelligence Officer. Obiegło ono całą Anglię: „Statki z żywnością i amunicją przemierzają Atlantyk. To są nasze statki. Dla ich osłony wysyłamy Wellingtony i Sunderlandy. Przeciwko tym Wellingtonom i Sunderlandom Niemcy wysyłają Junkersy 88 i Messerschmitty 110, przeciwko tym Messerschmittom i Junkersom my wysyłamy nasze Beaufightery i Mosquita, przeciwko nim oni wysyłają Focke-Wulfy, a my im naprzeciw wysyłamy Tempesty i Mustangi. To wszystko! Teraz wiecie, na co polować, a czego unikać!”

Nowak kończył już szkolenie w dywizjonie. Teraz musiał jeszcze przejść praktykę w powietrzu i uzyskać dodatkową specjalność lotniczą, dlatego skierowano go do Fighter Interception Unit w Ford, Sussex.

W Ford rozpoczął Henryk swą właściwą edukację. W całkowicie zaciemnionej sali na ławkach stały radary AI Mark-7 bez osłonek gumowych, tak że ekrany były dla wszystkich widoczne. Tu na polecenie instruktora następowało strojenie. Następnego dnia załadowano ich po czterech do samolotu Anson, gdzie była specjalna izolowana komora z trzema stanowiskami radaru. W powietrzu instruktor polecił im nastawić radar na inny samolot, w którym również siedzieli uczniowie. Izolacja była tak szczelna, że Nowak i jego koledzy nawet nie zawsze wiedzieli, kiedy był start czy lądowanie.

Gdy jeden z uczniów dostroił się na samolot, wyszukał go i przejął, instruktor sprawdzał, a potem pokręciwszy gałkami rozstroił go i wołał następnego. Po tygodniu, już po otrzymaniu specjalności radionawigatora, Nowak zameldował się powtórnie w jednostce, gotów do lotów treningowych.

Nowak odbył kilka lotów z por. Bedą, Pełką, Wojczyńskim i Szemplińskim. Wszyscy wydali o nim pochlebne opinie.

Tego dnia poleciał jak zwykle na trening z dowódcą eskadry kpt. Maksymilianem Lewandowskim. Po lądowaniu kapitan oświadczył, że był to egzamin i że od tej pory Nowak jest pełnoprawnym

członkiem personelu latającego dywizjonu 307. Jeśli ma ochotę, może nosić przepisowy turkusowy szalik i spinkę z odznaką dywizjonu.

- Już przestał pan być „puchaczykiem”, jest pan „puchaczem” - dodał żartobliwie.

- Dziękuję, panie kapitanie, a gdzie to można dostać? - spytał Henryk.

- Musi pan sobie kupić, koledzy powiedzą - odpowiedział z uśmiechem.

System łączności w Mosquicie stanowiły dwie ultrakrótkie radiostacje typu 1144, za pomocą których można było nawiązać łączność na ośmiu częstotliwościach, oznaczonych kanałami od A do H. Aparatura znajdowała się w ogonie samolotu, zaś pilot, który prowadził rozmowy z-ziemią, miał przed sobą dwie skrzyneczki z podklejonymi niebieską bibułą guzikami. Przyciskając odpowiedni guziczek włączał właściwy kanał. Do obowiązków radionawigatora należała obsługa radaru pokładowego oraz prowadzenie nawigacji. Takie miały być zadania Nowaka.

Henryk zastanawiał się teraz, do kogo go przydzielą. Kiedyś grał w szachy z chorążym Szemplińskim. Pilot obiecał mu, że jak tylko uda mu się pozbyć Anglika, weźmie go do siebie. Nowak był zadowolony. Zawsze to lepiej latać ze swojakiem. Stało się jednak inaczej. Po kilku dniach przyszło do dywizjonu uzupełnienie - dwóch pilotów. Odbili niedawno krótkie przeszkolenie, stali się „puchaczami” i teraz trzeba było stworzyć dwie nowe załogi. Ponieważ o radionawigatorów było trudniej niż o pilotów, z Anglików w dalszym ciągu zrezygnować nie było można.

- Kolego Nowak, polecisz dziś pan z porucznikiem Zydlem - zdecydował któregoś dnia dowódca.

Poleciał. Zydlel niezbyt pewnie jeszcze czuł się na nowym sprzęcie, ale szybko nabierał wprawy. Pokręcili się nad lotniskiem około godziny, potem poszli nad poligon około 100 mil od lotniska, tam sobie postrzelali trochę do wraków czołgów i wrócili do domu.

- Jak się panu pracowało z Zydlem? - zapytał następnego dnia kapitan Lewandowski.

- Dobrze - odpowiedział krótko Nowak.

- No to chyba was poženimy? Zydlel prosił mnie o pana. Myślę, że po dwu tygodniach dobrego treningu stanie się operacyjnym i już będziecie razem?

- Z przyjemnością - odpowiedział. W ten sposób przybyła dywizjonowi nowa załoga: ppor. pil. Włodzimierz Zydlel i st. sierż. Henryk Nowak.

Służba w dywizjonie nie była zbyt ciekawa. Nowak odczuwał zawód. Loty ćwiczebne z GCI, strzelanie do celów na ziemi. Po tygodniu, jak przewidywał kpt. Lewandowski, Zydlel stał się „puchaczem” i od tej chwili weszli do stałej służby. Pełnili nocne readinessy (dyżury), chodzili na patrole nad Zatokę Biskajską. Tam latało się w dzień, i to na małych wysokościach, na współpracę z krążownikiem „Sheffield”. Na jego pokładzie znajdował się m.in. kontroler Polak, por. Jan Maliński. Zainstalowane na okręcie radary kontrolowały przestrzeń powietrzną i naprowadzały Mosquity, określając im cel i sektory patrolowania.

Coraz częściej też latali na nękanie nad teren nieprzyjacielski. Zaczynało się coś dziać. Pomału Nowak wciągnął się w życie dywizjonu i nawet go polubił. Po wczorajszym dyżurze nocnym, który zakończył się o godzinie 2 w nocy, dziś dla odmiany pełni dyżur dzienny od godz. 14.00. Około godz. 15.00

telefon z „Ops”. Cztery poderwane załogi oczekują teraz przybycia „Inteligenta”, który zapowiedział swój przyjazd. Tym razem odprawa jest na miejscu i trwa bardzo krótko. Lecą nad teren północnych Niemiec na ranger (lot dywersyjny). Przez Anglię na „cross country” (lot nad lądem po prostej od punktu do punktu), dalej „kosiakiem” nad Morze Północne. Nad morzem, po kwadransie, zmiana kursu na Niemcy. Tam mają się rozdzielić; każdy pójdzie na swój cel, który sam sobie wybierze. Typowy lot dywersyjny.

Wystartowali o godz. 15.16, zaraz potem przyjęli kurs 080 stopni. Nad terytorium Anglii lecą nisko; dopiero teraz, podczas lotu koszącego, odczuwa się olbrzymią prędkość Moskita. Ponieważ w tych warunkach obserwacja boczna jest prawie niemożliwa, pilnie obserwują przód. Nowak jest odpowiedzialny również za obserwację tyłu, czyli, jak to się zwykło mówić w lotnictwie, za wszystko, co się dzieje od godziny trzeciej do dziewiątej.

Nad Wielką Brytanią nie wysilają się zbytnio. Wiedzą, że gdyby nawet zabłąkał się tu jakiś „Hun”, uprzedziliby ich o tym albo poderwali kogoś innego. Oni idą teraz na specjalne zadanie. Na razie łączność z Operations Room jest dobra mimo niskiego lotu, urwie się dopiero wtedy, gdy zejdą nad samo morze, poniżej lądu.

Mijają Hereford, gdzie Nowak kończył szkołę, i po chwili już przechodzą między Worcester i Gloucester. Pełno tu zabudowań; miasteczka i wsie. Omijają je teraz i zbliżają się do zachodnich wybrzeży Anglii. Wychodzą nad morze w rejonie zatoki The Wash. Po chwili są już na pełnym morzu. Teraz Nowak pilnie obserwuje tył i rozgląda się po horyzoncie. Radar nie jest przydatny, pozostaje tylko obserwacja, no i pomoc dla pilota w zakresie nawigacji. Brzeg błyskawicznie maleje im w oczach, wreszcie znika z pola widzenia. Dokoła morze, bliskość lądu zwiastują tylko unoszące się w powietrzu mewy, ale po chwili i one znikają z pola widzenia.

Lecą szeroko - czwórka. Nowak rozgląda się wokół, zerka na wysokościomierz. Przynrząd pokazuje 15 stóp poniżej morza. A więc co, lecimy pod wodą? - myśli.

W tej chwili wskazania wysokościomierza nie są istotne, lecą przy dobrej widoczności. Podczas lotu koszącego cała uwaga pilota skupiona jest na horyzoncie. Prawą ręką trzyma pewnie drążek wolantu, podczas gdy lewa spoczywa na dźwigniach gazu. Przy powrocie do domu wysokościomierz znów będzie wskazywał normalnie, ponieważ nastawiony jest na ciśnienie lotniska.

Nowak patrząc na podnoszące się i opadające masy wody nie może opanować niepokoju. Jeszcze nie przywykł. Latając na bombowcach często odczuwał przepadanie samolotu, nieraz nawet do 30 metrów w dół. Widział również to samo u lecących tuż koło niego sąsiadów.

Co by się tak stało, myślał, skoro lecimy teraz na wysokości dziesięciu metrów, gdyby maszyna przepadła właśnie o te dziesięć metrów? Mielibyśmy spokój. Przecież na tej prędkości i na małej wysokości, gdzie powietrze jest gęste, nic stać się nie może, pociesza się. Maszyna przepaść nie ma prawa. Ale jednak...

Od startu minęło już 40 minut. W polu widzenia nic ciekawego. Kładą się na nowy kurs 120 stopni. Lecą teraz prosto na brzeg niemiecki. Czas mija. W dalszym ciągu nic nie ma na ich drodze. Zaczynają odczuwać lekki niepokój. Czy aby przypadkiem nie popełnili błędu w nawigacji? Według prowizorycznych obliczeń Nowaka wszystko powinno być w porządku, poza tym nie prowadzi ich załoga, pierwszy jest por. Suskiewicz, drugi por. Beda, jako trzeci lecą oni i ostatni por. Andrzejewski.

Nowak zapala papierosa, potem drugiego i podaje Zydłowi. Ten dziękuje kiwnięciem głowy, nie odwracając wzroku od horyzontu. Nowak odsunął nieco boczne okienko i wytknął lekko papierosa. Zawsze lubił patrzeć, jak pęd powietrza ucina popiół równo jak brzytwą.

Nagle przed nimi majaczy coś na horyzoncie i bardzo szybko rośnie w oczach, aby po chwili wpaść im pod skrzydła. To wysepki przed stałym lądem. Teraz się rozłączą. Każdy pójdzie na swoją rękę. Oni z Zydlem idą w dalszym ciągu w głąb kraju. Omijają Norden. Jest tam lotnisko Luftwaffe, toteż nie chcą ich niepokoić. Dziś mają polować na transport kolejowy. Przechodzą pomiędzy Wilhelmshaven a Emden. Przecinają autostradę koło Leer i lecą wzdłuż szosy wiodącej na południe, ciągle posuwając się w głąb kraju. Nikt się tu ich nie spodziewa, nie wyją syreny alarmowe, toteż ludzie przystają, patrząc w zdumieniu na obcy samolot mijający ich na małej wysokości. Zanim się zorientują, że to wróg, oni będą już daleko. Zmieniają kierunek. Mijają teraz wielki obóz koncentracyjny i po chwili duże miasto. Tak, to jest Meppen, upewnia się Nowak po porównaniu z mapą.

I znów zmiana kursu, aby zmylić Niemców. Idą teraz wzdłuż linii kolejowej w kierunku na Holandię.

Zaraz za Adenzaal przemknęła jakaś większa stacja; krzyżujące się tory. Na stacji i na bocznicach stało kilka pociągów.

Wchodzą teraz wyżej i zawracają. Idą trochę z boku torów w kierunku stacji. Stojący przed budynkiem dworcowym pociąg rośnie w oczach. Dymiąca lokomotywa, bo podchodzą od czoła, z przeraźliwą szybkością sunie w górę, prosto na nich, ale jakoś się odchyła, raz w lewo, to znów w prawo. To Zydell ma kłopoty z utrzymaniem Mosquita na prostej. Dochodzą do pociągu. Wskakuje z niego kilku ludzi. Jedni biegną do pobliskiej stacji, drudzy padają na ziemię, inni jeszcze wbiegają pod stojący na drugim torze pociąg towarowy. Jest tych ludzi coraz więcej. Z tej wysokości Nowak i Zydell widzą ich dobrze.

Lokomotywa „ich” pociągu dymi, ale stoi w miejscu. Zydell otworzył ogień z działek, które Nowak, podobnie jak karabiny maszynowe, odbezpieczył jeszcze przed wyjściem na prostą. Tuż przy jego stanowisku, na ścianie po prawej stronie, jest czerwony przełącznik z napisem „fire” (ogień). Opuścił go w dół, podobnie jak drugi, czarny, z napisem „photo” (foto), aby mieć „świadka” dzisiejszej akcji, która zapowiada się interesująco.

Od strzelających działek ciężko dudni podłoga pod ich stopami. Długie strugi pocisków idą wzdłuż pociągu, wznecając jakby kurz. Włodek przerwał ogień dopiero wtedy, gdy pociąg wpadł im raptownie pod skrzydła. Musieli wyrwać w górę, bo już przeraźliwie blisko była budka szlabanu, a za nią wysokie semafony.

Nowak leżąc na plecach obejrzał się. Z obu boków parowozu buchały kłęby pary.

- No, ten to już dziś dalej nie pojedzie - mówi przez intercomm do Zydła, który uśmiecha się zadowolony.

Nie wracają, lecą dalej. W tej chwili nie chodzi o zniszczenie konkretnego transportu, bo przecież na tej wysokości i przy tej prędkości nikt nie jest w stanie określić, jaki pociąg atakuje. Ich lot miał charakter dywersyjny, zależało im na stworzeniu zamieszania, na przekonaniu ludności niemieckiej, iż mimo przechwałek Goeringa lotnictwo alianckie dotrze wszędzie i że nie ma miejsca, gdzie można by się czuć bezpiecznie.



Nowak nanosi na mapę miejsce ataku i podaje Zydłowi kurs. Tam, za nimi, panika chyba rozszalała się na dobre; Niemcy nie wiedzą, czy w ślad za tym samolotem nie przylecą inne. A przecież tamte trzy Mosquita również nie próżnują. Zaskoczenie było zapewne ogromne - nie ma syren alarmowych, a tu jak grom z jasnego nieba sypie się grad pocisków.

Wynik? Palący się transport, prawdopodobnie zabici i ranni. Patrząc do tyłu Nowak widział padających ludzi.

Zmieniają kurs. Liczą się z tym, że meldunki telefoniczne pozwolą Niemcom ustalić ich przypuszczalny kierunek lotu, a co za tym idzie, mogą ich oczekiwać myśliwce. Skręcają zatem w prawo. Lecą już nad Holandią. Po chwili mijają Bredeę, kanały, małe wysepki i wyskakują nad kanał La Manche. Są w drodze do domu.

Nowak przypomina sobie powroty na Wellingtonie. Jakaż olbrzymia różnica szybkości! Teraz są już prawie bezpieczni.

Zawołali kolegów przez radio, powinni być teraz na kanale C, ale jakoś żadnego nie słychać, widać są za daleko.

Po trzech godzinach i 15 minutach lotu Nowak i Zydł znajdują się nad lotniskiem. Podchodząc pod angielski brzeg w myśl instrukcji nabrali 3000 stóp, aby radar ziemny mógł ich namierzyć i zidentyfikować. Na tej wysokości minęli Colchester. Nad lotnisko w Swansea przyszli od strony morza i wykonali przepisową świecę, potem płaskim lotem przemknęli nad dispersalem „B”, aby służba naziemna mogła zobaczyć dziury pod kadłubem.

Łądują. Po piętnastu minutach już wszystkie Mosquita były w domu. Podczas spowiedzi u „Inteligenta” dowiedzieli się, że każda załoga ostrzelała jakiś cel i o właśnie chodziło dowództwu RAF.

Lotników, którzy wrócili z dłuższych lotów, łatwo było poznać - maska, w której był przewód tlenowy i mikrofon, zostawiała na twarzy ślad widoczny przez kilka godzin. Z daleka odróżniało się takiego „bohatera”, idącego do miasta czy na „dance”.

Podobnie było z Mosquitami - z ich wyglądu także dało się wiele odczytać.

Cztery otwory wylotowe działek w dolnej części kadłuba zaklejano każdorazowo płótnem i malowano lakierem, by samolot nie tracił na szybkości. Po każdym locie załoga naziemna pilnie śledziła nadlatujące maszyny, patrząc, czy są dziury. Pierwszy wystrzelony pocisk przerywał płótno i po otworach lub też ich braku obsługa poznawała, czy „ich” samolot brał udział w akcji, czy strzelał. Jeśli dziur nie było, załogi naziemne rozchodziły się do swoich zajęć; zostawiała tylko obsługa danego samolotu, która musiała go przyjąć.

Dziś znów dzienny readiness od rana. Po godzinie cała czwórka poleciała na patrol w rejon Zatoki Biskajskiej, po trzech godzinach wróciła. Wszystkie cztery Mosquita miały dobrze widoczne otwory.

Przylecieli nad lotnisko w szyku na wysokości 700 metrów. Już nad lotniskiem Zydł poszedł piką w dół, aby po chwili przejść na małej wysokości tuż nad dispersalem, a potem wyciągnąć świecę w górę.

Prowadzący położył maszynę w lewy skręt, wchodząc w rundę w pozycję z wiatrem, za nim następny, budując nieco szerszą rundę, aby tamtemu nie wchodzić na ogon.

Nad lotniskiem zawrzało! Wrócili, byli w akcji!

Przygnieciony do siedzenia - maszyna szybko nabierała wysokości, wykonując raptowny skręt - Nowak uśmiechał się uszczęśliwiony na widok poruszenia w dole. W tej chwili lotnisko miał jak na dłoni z lewej strony. Patrzył na zadarte w górę głowy i nie mógł opanować uczucia dumy. Eskadra czekała na nich. Cały dywizjon czekał, bo sukces jednej eskadry był sukcesem całego dywizjonu.

Operation wiedziało już o tym, ale ci w dole na pewno jeszcze nie.

Bo to był jednak sukces. Uszkodzili nieprzyjacielski statek. Jak do tego doszło?

Tego dnia polecili na patrol na Biskaje na współpracę z krążownikiem „Sheffield”. Po drodze napotkali statek płynący pod francuską banderą. Byli pewni, że to aliant, dlatego też pomachali mu skrzydłami z daleka i minęli. Już po sekundzie znikł im z oczu.

Po trzygodzinnym patrolu wracali. Ponieważ nigdzie nic nie było widać, wyszli trochę wyżej, ażeby nieco odpocząć po niskim locie, „rozprostować” oczy i znowu w dół. Wówczas zobaczyli ten sam statek, ale idący już innym kursem. To ich zaciekawiło; podeszli więc bliżej, aby mu się przyjrzeć. Nie mieli w stosunku do niego nawet złych zamiarów, zrobili to trochę z nudów, a widać tam na pokładzie nie mieli dość poczucia humoru i gdy podeszli na przepisową najbliższą odległość, nie wytrzymali i otworzyli do nich ogień.

- Cholera jasna! - zaklął Zydel. Dziś on był dowódcą patrolu. - Toż to chyba Vichy, atakujemy!

Odskoczyli, aby po chwili wrócić. Szli całą czwórką, szykiem torowym. Położyli się na falach na 10 m, tak że statek im, a oni statkowi zniknęli z oczu. Pierwszy szedł Zydel. Nowak spojrzął na niego kątem oka. Siedział lekko przygarbiony, czujny jak myśliwy idący na wystawioną zwierzynę. Jedną ręką trzymał drążek z kciukiem spoczywającym na spustach działek, podczas gdy druga spoczywała na dźwigniach gazu.

Nowak podniósł czerwoną klapkę z prawej strony, zabezpieczającą karabiny, i działka, i przełączył do pozycji „fire”. Teraz wystarczy najlżejszy nawet ruch kciuka Zydla, by zwolnić pociski. To samo Nowak zrobił z przełącznikiem „photo”.

Pilot, widząc jego czynności, skinął głową z aprobatą. Daleko, na horyzoncie, zamajaczyła sylwetka statku. Zydel szybko spojrzął w celownik umieszczony na wysokości wzroku i lekko skorygował kurs. Za nimi w odległości 300 metrów idą Szempliński, Wojczyński i Eckert. Statek raptownie rośnie w oczach i podskakuje na falach. Włodek co chwila przykładą twarz do celownika, kciuk jego prawej ręki spoczywa nieruchomo na pierścieniu spustu.

Nagle Nowak poczuł charakterystyczne dudnienie pod stopami i zobaczył biegnące przed nim paciorki pocisków z działek. Pilot starał się utrzymywać maszynę w takiej pozycji, aby wszystkie pociski szły w jedno miejsce, w jeden punkt.

Statek potężniał w oczach, rósł, aż w ostatniej chwili raptownie uciekł w dół i oddalał się, malejąc. To oni wyprysnęli w górę.

Zaskoczenie było całkowite. Tamci przypuszczalnie myśleli, że wypłoszyli ich ogniem swojej broni pokładowej i że będą już mieli spokój.

Wszystkie cztery Mosquita wystrzeliły w burtę statku około 80 pocisków, to na pewno musiało wywrzeć jakiś skutek.

Zawracają! Teraz rozdzieleni po dwóch rozchodzą się, aby po chwili wrócić i z wysokości kierować ogień na maszynownię statku.

- „Wojtek” - mówi Zydel do Wojczyńskiego - idź teraz z prawego skrzydła i wal pierwszy, ja pójdę twoim śladem, pamiętaj, bij w jeden punkt, na środku koła wentylatorów.

- OK - kwituje krótko „Wojtek”. Zresztą stał się starym wygą, zna swoją robotę.

- Wy z Tadkiem trzymajcie się blisko mnie, podchodźcie tuż za mną - mówi do Szemplińskiego i Eckerta.

- Dobra, przyjąłem - słysząc spokojny głos Szemplińskiego.

- Ja też, idę jako ostatni, patrzcie, ale się szkop odgryza! - krzyknął Eckert.

Idą za „Wojtkiem”. Tym razem rzeczywiście z pokładu statku grzeją im prosto w twarz ze wszystkiego, co tylko mają.

- Włodek - mówi Nowak do pilota - włącz „sikawki”, to ich trochę uspokoi.

I rzeczywiście pomogło, kiedy strumienie pocisków z karabinów samolotowych przyłączyły się do swych grubszych braci - pocisków z działek.

Pilot wyrwał w górę, jak się wydawało Nowakowi, w ostatniej sekundzie. Odważny ten Zydel, myśli w duchu Henryk. Może nawet trochę za odważny.

Statek rozpoczyna powoli wykonywać jakieś dziwne ruchy dokoła swej osi, dzieje się z nim coś niedobrego. Zydel daje następną komendę:

- Powtarzamy! W ten sam sposób, po nalocie kurs powrotny. I nie wystrzelać wszystkiej amunicji - przypomina.

- Heniek, jak stoimy z paliwem? - pyta Nowaka, bo jest w tej chwili zajęty manewrem.

- Czekaj - Nowak spogląda na wskaźnik, szybko przelicza na suwaku. Przypuszczalna pozycja, czas od lotniska i do, czas walki, w sumie nie za bardzo. - Mamy jeszcze na godzinę i czterdzieści minut. Do lotniska około godziny lotu, a więc zapas tylko czterdzieści minut - melduje.

- Wystarczy!

Teraz Zydel idzie jako trzeci, za Szemplińskim i Eckertem. Szempliński już wyrwał po ataku w górę, a Tadek dopiero dochodzi. „S-ka”, na której leci Zydel z Nowakiem, przyszła niedawno z remontu. Zainstalowano jej nowy silnik Merlin 21, znacznie nowocześniejszy od poprzedniego Merlin 19. Tak więc samolot Zydla i Nowaka miał teraz dwa różne źródła napędu - stare, też odpowiednio podregulowane, i nowe prosto z wytwórni. Oba silniki ciągną jak szatany. „S-ka” zaczyna

niebezpiecznie zbliżyć się do maszyny idącej przed nią, jest szybsza. Zydell zredukował nieco obroty, ale nie na wiele to się zdało. Byli już za blisko.

- Hallo 48 - woła Zydell do Eckerta. - Cholera, przerwij ogień i wrywaj w górę, bo właduję się na ciebie!

Tamtę wyczuł chyba powagę sytuacji, bo natychmiast wyprysnął w górę, przerywając strzelanie.

Statek aż się trzęsł od strumieni pocisków, kierowanych w stronę atakujących go samolotów. Aż dziw bierze, że dotychczas żadnego z nich nie trafili!

Odeszli świecą w górę przy jednoczesnym skręceniu w lewo. Nowak wgniotł w fotel, nie może ruszyć ręką ani nogą. Patrzy na Zydell. Ten wydaje się niby spokojny, ale jednocześnie bardzo mały, skulony, a przecież Włodek to chłop dobrze zbudowany, ma więcej niż metr siedemdziesiąt pięć wzrostu.

- Włodek, jak ty go wyprowadzisz? Przecież ręką ruszyć nie można!

- Zaraz wyjdziemy, patrz!

Z dużym, jak się Henrykowi wydawało, wysiłkiem ciągnie wolant w prawo i trochę do siebie. Po chwili ciężar przygniatający Nowaka ustępuje, potem zanika zupełnie. Czuje wielką ulgę, ale nie na długo, bo oto ciężar wali się znów na niego, z drugiej strony. Leżą teraz w przeciwnym skręceniu, jednocześnie schodząc w dół. Kładą się na kurs powrotny. Schodzą szybko i po chwili lecą już jak zwykle, tuż nad samą powierzchnią wody.

Nowak przeżywa wszystko jeszcze raz. To jednak jest emocja! To nie tak jak na „Dziadziu Wellingtonie”, gdzie czełek jest zdany na łaskę tylko własnych karabinów. Nowakowi zaczyna się coraz bardziej podobać. Już podczas nalotu zwrócił uwagę pilota na to, że po ich pierwszym ataku statek zaroił się od wojska. Dostrzegł nawet niemieckich oficerów w charakterystycznych czapkach, zwanych przez Polaków „siodłami”, i żołnierzy w hełmach i furazerkach.

Gdy znaleźli się wyżej, Zydellowi udało się powiadomić o akcji jedną ze stacji, która z kolei powiadomiła Coastal Command z prośbą, by przekazano meldunek do bazy, że załoga robi ostatnie zajście i wraca do domu.

Dziś dowodził Zydell i robił to dobrze. Nowak był z niego dumny, przecież to „jego” pilot. Nie było niepotrzebnej gadaniny, padały tylko krótkie słowa, określające sposób walki. Aż się wierzyć nie chce, że przecież tak niedawno był jeszcze „puchaczykiem”. Teraz to już „puchacz” całą gębą!

- Ty, Włodek, widziałeś, jak on się w kółko kręcił? - mówi przez radio „Wojtek”.

- Panie poruczniku, jakieś maszyny na dziewiątej - melduje przez radio Eckert.

- Dziękuję, widzę, nie zmieniamy kursu, to są chyba nasi.

- To Beaufightery idą go dokończyć - mówi Szempliński.

Na wysokości około 6 tys. stóp szły trzy duże formacje dwusilnikowych maszyn.

Nowak rozpiekała duma. Nareszcie coś konkretnego. Czuje, że nie zamieniłby się już na żaden inny dywizjon. A do tego atmosfera panująca wśród „puchaczy”. Są dla siebie serdeczni. Nowak, który jest

raczej odludkiem, zawsze znajduje u kolegów życzliwe zainteresowanie. Nawet kadra jest tu inna, nikt nie akcentuje dystansu między oficerami, podoficerami i szeregowcami jak w innych jednostkach. Wdzięczny jest teraz Michałowskiemu za to przeniesienie. Może w tym wszystkim zaznaczył się właśnie jego wpływ? Michałowski był przecież bezpośredni, skromny, koleżeński bez względu na stopień, jaki ktoś posiadał.

Nowak rozejrzał się wokół, jego wzrok spoczął na maszynie Wojczyńskiego, który leciał jako lewy boczny.

- Patrz, Włodek, patrz na „Wojtka”, na jego maszynę! - mówi przejęty Nowak. Zydel spojrział w lewo.

- O, cholerny świat! - zaklął. W maszynie kilka dziur od pocisków, na lewym płacie dziura wielkości czapki. - „Wojtek”, widzisz swój lewy płat? - pyta Wojczyńskiego.

- Widzę, ale maszyna trzyma, jakoś się „doturlam” do chałupy. Trochę trzęsie, ale to nic!

Dobrze, że ta maszyna jest z drzewa, płótno by się darło dalej przy tej szybkości, z blachą też byłby kłopot, myśli Nowak.

Jednak ze względu na „Wojtka” wchodzą trochę wyżej i „prują” prosto do domu. Samolot Nowaka lądował jako ostatni z kolei, szybko zwolnili runway i podkołowali do dispersalu. Mechanik pokierował ustawieniem Mosquita na stojance i po chwili maszyna znalazła się na swym zwykłym miejscu. Nowak otworzył drzwiczki i wysunął drabinkę pokładową. Na dole stał ich mechanik z zadartą w górę głową, koło niego inni specjaliści. Nowak podał mu spadochron i po chwili był już na dole. Czekając na Zydla musiał im zaraz na gorąco opowiedzieć, jak tam było.

- No, na razie dosyć. Prujemy, bo „Inteligent” czeka - niecierpliwił się pilot, pociągając Nowaka za sobą do stojącego w pobliżu dispersalu budynku.

Nowak wyciągnął rękę po spadochron, który ciągle jeszcze trzymał mechanik.

- Nie trzeba, poniosę. Pan zmęczony - usłyszał i w tych słowach było wszystko.

Nowak ze wstydem przyjął ofiarowaną pomoc, bo rzeczywiście dopiero teraz, gdy minęło podniecenie, odczuł dziwną słabość. Widocznie plutonowy wiedział o tym. Piloci zostawiali swoje spadochrony i dinghy<sup>55</sup> w kabinie. Radionawigatorzy zaś wyposażeni byli w spadochrony piersiowe, które, cały czas będąc w szelkach, musieli nosić ze sobą. Poza tym pilot nie odczuwał takiego zmęczenia jak radionawigator, miał większą swobodę ruchu, podczas gdy „radio” tkwił unieruchomiony przy swojej „szafie”.

---

55 Składana gumowa łódź ratunkowa.

## Awantura w barze

Na urlop Nowak pojechał do Londynu. Zydel poprosił kapitana Lewandowskiego, który pozwolił wziąć samolot, i Henryk po kilkunastu minutach lotu znalazł się w Northolt, gdzie stacjonował ze swym dywizjonem Wacek Kordel. Po wylądowaniu okazało się, że dywizjon jest w powietrzu, więc pochodzili trochę po campie, gdzie Zydel znalazł zaraz kolegów. Oni właściwie już ich szukali, gdy dowiedzieli się, że wylądował Mosquito. Powrócili wszyscy na dispersal, w pobliżu którego zaparkowali swoją „S-kę”, i tam Zydel zaczął przedstawiać zalety swojego nowego rumaka. Okazało się, o czym nie wiedział Nowak, że Włodek przyszedł na własną prośbę z dywizjonu Spitfire'ów.

Piloci oglądali z zainteresowaniem „drewniane cudo”. Widzieli je co prawda już wcześniej, ale w tym okresie rozwój przemysłu lotniczego postępował tak szybko, że prawie każda maszyna przychodząca z fabryki miała nie znane dotychczas ulepszenia.

Nawet się nie spostrzegli, kiedy zaczęły lądować Spitfire'y. Siadały zgrabnie i kolejno kołowały, kołując się i porykując silnikami na zakrętach. Po chwili Nowak już obejmował Wacka. Teraz, nie bacząc na swoje stopnie, udali się w kierunku kasyna oficerskiego. Zrobiło się późno, w głowach kręciło się już trochę od alkoholu. Tylko Zydel był trzeźwy, wypił zaledwie jeden mały kieliszek ginu, bo musiał przecież wracać.

- No co, „puchacze” - żartowali koledzy ze Spitfire'ów - zrobiło się ciemno, możecie zapuszczać silniki. Umiecie przecież latać tylko w nocy.

Mieli rację o tyle, że jeśli kiedykolwiek przyleciał tu ktoś z dywizjonu 307, zawsze musiał wracać pod wieczór.

Wacek jak i inni oficerowie mieszkał na prywatnej kwaterze w pobliskim osiedlu, u państwa Wellsów. Było to starsze już, bezdietne małżeństwo, które zajmując pół jednorodzinnego domku chętnie oddało jeden pokój na dyspozycji RAF.

Kordel dzielił pokój z innym oficerem, który przebywał w tym czasie na urlopie. Opowiadał teraz Nowakowi, że w dowództwie kwatermistrzostwa, skąd otrzymał skierowanie na tę kwaterę, policjant, chyba dzielnicowy, prosił ich, aby nie nadużywać gościnności gospodarzy i nie przyjmować żadnych poczęstunków, gdyż ludność cywilna otrzymuje przecież raczej żywnościowe dużo mniejsze niż lotnicy. No dobrze, ale jak to zrobić, skoro w dzień wolny od lotów, kiedy można sobie pospać trochę dłużej, za oknami jest ta ich cholerna, gęsta i mokra mgła, a do kasyna prawie kilometr piechotą lub rowerem wypożyczonym z campu i spod kołdry nosa się nie chce wysadzić, otwierają się drzwi i uśmiechnięta pani domu niesie na tacy dymiące filiżanki mocnej herbaty z mlekiem i chrupiące, posmarowane cieniutko masłem grzanki. Pokażcie odważnego, który by odmówił!

Dlatego też Kordel i jego kolega postarali się o częściowy przydział prowiantu z dywizjonu i teraz już z czystym sumieniem rozkoszowali się śniadaniem zgodnie z angielskim zwyczajem przyniesionym do łóżka, a pani Wells była w siódmym niebie, że mogła przysłużyć się swoim „Polish boys”.

Gdy przybyli obaj na kwaterę, gospodyni, uprzedzona przez Kordela o nowym gościu, powitała ich bardzo serdecznie. Nawet słyszeć nie chciała o tym, aby Nowak zamieszkał w hotelu czy campie.

Oddała mu do dyspozycji salon na dole. Była szczęśliwa, że jej ulubieniec, Wacek, może być razem z przyjacielem.

Nowak ofiarował jej swoje kartki żywnościowe. Ostatecznie, będąc podoficerem, zawsze mógł się pożywić bez kartek na terenie campu bądź też w kantynach NAAFI.

Minęło kilka dni od przyjazdu Nowaka do Londynu. Pewnego razu przeżył małą przygodę. Oto gdy wychodził ze stacji metra Picadilly Circus, aczkolwiek było to w środku lata i około trzeciej po południu, gwałtownie zaczęły zapadać ciemności. Nadeszła mgła, która tak szybko gęstniała, że po upływie pół godziny dojrzeć można było tylko drugą stronę ulicy, i to też niewyraźnie. Autobusy posuwały się bardzo powoli. Biała wata otuliła wszystko, wreszcie zrobiło się ciemno jak w nocy, tylko gdzieś w górze przebijało nieco światła.

O tym, aby znaleźć właściwą ulicę, nie znając dobrze Londynu, nie było nawet mowy, toteż Nowak po omacku natrafił na stację metro na Trafalgar Square i powrócił przez Picadilly Line do końcowej stacji Ruislip, gdzie mgła była troszeczkę rzadsza. Jakoś trafił do domu, gdzie czekał na niego zaniepokojony Kordel.

Nadszedł piątek. Na weekend miała przyjechać żona Wacka Joan. Szkoda, że samochód ma usterkę w silniku. Wacek błagał mechanika, aby naprawił Morrisa na czas, ale ten, niestety, nie zdążył. Należało coś wymienić, a potrzebnej części akurat w campie nie było.

Kordel z Nowakiem mieli pojechać po Joan na stację - na Liverpool Street Station. Pociągu spodziewali się o 16.35.

Nowak czeka na Wacka w domu, ale przyjaciela jakoś nie widać, choć powinien być od godziny. A wszyscy troje cieszyli się z tego weekendu, który mieli spędzić wspólnie!

Nagle wchodzi znajomy policjant, mieszkający po sąsiedzku, i prosi Nowaka do telefonu. Zaniepokojony Henryk szybko udał się za nim. Okazało się, że na prośbę Wacka dzwonił adiutant dywizjonu: oto cały dywizjon poleciał na dodatkowy lot. Kordel prosił więc, aby pojechał po jego żonę sam, przeprosił ją i zaczekał na niego w pewnej restauracji. Najdalej za godzinę wróci.

Pociąg z Nottingham wtoczył się na stację zgodnie z rozkładem. Otworzyły się drzwi wagonów i masa ludzka zaczęła wysypywać się na peron. Nowak zaniepokoił się, że przegapi Joan w tłumie, tym bardziej że widział ją tylko dwukrotnie.

Nagle dojrzał ją. Stała na stopniach wagonu i szukała ich wzrokiem. Udał się szybko w jej kierunku, przepychając się przez tłum, podążający w przeciwną stronę. Gdy podszedł do niej, uśmiech, który miała na twarzy, zaczął powoli zamierać, patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczyma. Czaił się w nich strach.

Nowak zrozumiał natychmiast i uśmiechnął się.

- W porządku, Joan, bez paniki, Wacek zaraz tu będzie - zapewnił ją. - Poleciał na dodatkowy lot i dołączy do nas za godzinę.

Odetchnęła wyraźnie. Na powitanie pocałowała go w policzek i wskazała ręką walizkę, stojącą na platformie wagonu.

- To znaczy, że masz się mną opiekować? - zaśmiała się. - To się opiekuj. Więc gdzie mnie porywasz? - zapytała zalotnie.

- Wacek prosił, abyśmy na niego poczekali w restauracji „Pod Lwami” na Regent Street.

- OK. Let's go!<sup>56</sup> - powiedziała śmiejąc się; dobry humor powrócił jej zupełnie.

Oddali walizkę do przechowalni, a sami udali się pieszo w kierunku restauracji. Idąc obok Joan Henryk przyjrzał się jej lepiej. Była to bardzo przystojna dziewczyna. Wysoka, włosy koloru Inu i duże, zielone oczy, w których czaiły się iskierki śmiechu, choć jeszcze tak niedawno wyglądała z nich strach. Rzeczywiście ten Wacek ma cholerne szczęście, pomyślał bez cienia zazdrości.

Nie zauważył, że ona również obserwuje go spod oka.

- Obudź się! Śnisz o czymś przyjemnym? - spytała go z uśmiechem.

- Zgadłaś, o tobie... - odpowiedział.

- Powiedz to Vikowi, to się ucieszy. - Tak nazywała Wacka.

Weszli do restauracji. Niewiele było ludzi o tej porze. Za ledwie kilku wojskowych okupowało stoliki w rogu sali. Siedli na wprost drzwi, aby pomachać Wackowi, gdy tylko się w nich pojawi. Zamówił dla niej gin and lime, dla siebie zaś podwójną whisky i zajęli się rozmową. Po chwili otworzyły się drzwi i do środka wtargnęło kilku żołnierzy amerykańskich różnych stopni. Był z nimi również oficer w stopniu porucznika. Podeszli do baru, zamówili coś do picia i pozostali tam stojąc. Lokal powoli się zapełniał. W pewnej chwili od grupki Amerykanów odłączył wysoki, barczysty dryblas, wyglądający na gangstera z filmu kryminalnego, i podeszedł do stolika, przy którym siedzieli Joan z Nowakiem. Przysunął sobie stojące w pobliżu krzesło i nie zwracając na Nowaka uwagi usiadł tyłem do niego, oparł łokieć na stole i pochylił się w stronę Joan, usiłując nawiązać z nią rozmowę.

Była to wyraźna prowokacja, Amerykanin po prostu szukał awantury z Polakiem. Joan, zapłoniona z gniewu, powiedziała ostro, aby natychmiast opuścić ich stolik.

Boże, co by tu się teraz działo, gdyby tak Wacek stanął w drzwiach, pomyślał Nowak.

Amerykanin zaśmiał się grubiańsko, sam wziął kieliszek Nowaka, a jej podał drugi, żądając, aby się z nim napiła. Chciała wstać z krzesła, ale on silnym ruchem przygwoździł jej ręką do stołu. Syknęła z bólu i usiadła posłusznie.

- Take it easy doll<sup>57</sup> - wycharczał, pochylając ku niej twarz.

Źle, pomyślał sobie Nowak. Znosi się na karczemną awanturę. Nigdy nie lubił takich sytuacji i w miarę możliwości ich unikał. Starał się nie wdawać w awantury z pijanymi, aczkolwiek jako dziecko Mokotowa przywykł do nocnego życia i te sprawy nie były mu obce.

---

<sup>56</sup> OK. Idziemy!

<sup>57</sup> Wolnego, laleczko.



Rozejrzał się po sali. Panowała pełna napięcia cisza. Oczy wszystkich skierowane były w jego stronę. Spojrzał na Amerykanów. Nie było w ich twarzach wrogości, wyraźnie się bawili, tylko na twarzy oficera dostrzegł wyraz dezaprobaty.

Myślał teraz gorączkowo. Co robić? Popatrzył na drzwi, prosząc Boga, aby w nich pojawił się Kordel, potem zerknął na siedzącego przed nim draba w mundurze. Zobaczył przed sobą jego szerokie bary i nisko pochylony, czerwony kark.

Źle! - pomyślał z niepokojem. Przecież nie mam żadnych szans. A może jednak jakoś sobie poradzę? W końcu chyba nie bez powodu Anglicy mówili, że Polacy to zabijaki i nie warto im wchodzić w drogę. Henryk podjął decyzję. Stuknął palcem w sterzące przed nim plecy i spytał, na razie pokojowo:

- A może ja koledze przeszkadzam?

- Nie, wcale nie - padła odpowiedź. Nawet łobuz na niego nie spojrział, zignorował go całkowicie. Mówił w dalszym ciągu do Joan. Ta nie słuchała, wychyliła głowę w bok i złapała spojrzenie Nowaka. W jej oczach czaił się lęk. To go zmobilizowało.

Stuknął go po raz drugi, tym razem mocniej, i powiedział już niezbyt grzecznie:

- A może byś tak, koleś, wyszedł, przejść się ze mną na świeże powietrze?

Powiedział to z nadzieją, iż może to go otrzeźwi i przywoła do porządku, ale gdzie tam.

- Z przyjemnością - odpowiedział tamten, jakby tylko na to czekał. Wyraźnie szukał awantury z Polakiem, dziewczyna była tu tylko pretekstem.

- Henry, zostań, ja nie chcę! - płacząco zawołała Joan, chwytając go za rękaw munduru. - Boję się o ciebie, zawołam policję. Ludzie, zróbcie coś! - zwróciła się w stronę sali.

- Uspokój się, Joan - prosił Nowak. - Nie pogarszaj sytuacji, nie widzisz, że on jest pijany? Nie będziemy walczyć, udobrucham go jakoś na świeżym powietrzu - starał się jej przetłumaczyć.

- Uhm... - zamruczał olbrzym.

Udali się w stronę drzwi, wiodących na podwórze. Nowak puścił go przodem. Ten, dufny w swoją przewagę, szedł bez sprzeciwu. Korytarz był długi i wąski, oświetlony małą, mdłą żarówką.

Myślał gorączkowo. Co robić?! Przecież w uczciwej walce nie ma z tym typem absolutnie żadnych szans. Jeżeli czegoś nie wymyśli, teraz, natychmiast, to ten bandyta go zabije.

Wychodzili już z korytarza na małe podwórko, zavalone po bokach drewnianymi skrzynkami, w drugim końcu na kupie leżały puszki po konserwach. Nowak wyskoczył lekko do przodu, zrobił półobrót, schwycił nie spodziewającego się niczego Jankesa za kłapy munduru i z całej siły ściągając go na siebie uderzył głową w twarz. Był to klasyczny „byk”, podpatrzony na Mokotowie.

Tamten stęknął tylko, odbił się od ściany budynku i z wolna osunął na ziemię. Nowak stał przez chwilę sprężony, gotów do dalszej akcji, gdyby zaszła potrzeba, ale tamten się nie ruszał. Nowak zdawał sobie sprawę, że gdyby cios był za słaby, na salę pewnie by już nie wrócił.

Wolno, nie spiesząc się, otworzył drzwi baru. Wszystkie spojrzenia skierowane były w jego stronę. Amerykanie na jego widok zrobili krok do przodu. Nowak schwycił krzesło, dając jednocześnie Joan znak, aby natychmiast opuściła lokal. Siedzący przy stołach Anglicy powoli podnieśli się ze swoich miejsc. Spojrzał w ich kierunku. Nie miał najmniejszych wątpliwości, szli mu z pomocą. Przeżona Joan stała przy stoliku, nie ruszając się z miejsca.

Amerykanie jednak pokojowo podnieśli ręce w górę, machając nimi w obie strony.

- No fight!<sup>58</sup> - powiedział jeden z nich. - Cieszymy się, żeś mu dał nauczkę, on się od dawna o to prosił. A nie mówiłem, że go Polak rozłoży? - zwrócił się do kolegów. - Musimy to oblać, ja stawiam! - powiedział do Nowaka.

Henryk nie odpowiedział nic, pokręcił tylko przecząco głową. Miał sucho w gardle. Wychylił duszkiem to, co zostało w kieliszku. Joan odzyskała swobodę ruchów. Zarzuciła mu impulsywnie ręce na szyję, przytuliła się do jego policzka i pociągnęła go do wyjścia.

Jemu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, Amerykanin mógł się pokazać lada moment i wtedy wszystko zaczęłoby się od nowa, tyle że teraz w szerszym gronie. Skierowali się zatem ku drzwiom. Towarzyszył im przyjazny pomruk. Zdążył jeszcze zauważyć kątem oka, że Amerykanie udali się w stronę korytarza, gdzie został ich kompan.

Nowak miał już ochotę wybiec stamtąd, ale opanował się w samą porę, bo już z daleka dojrzał wysoką sylwetkę nadchodzącego Kordela.

- Co się stało, Joan? - spytał, całując ją w mokry od płaczu policzek. - Co jest, Heniek?! - zwrócił się, już zaniepokojony, do przyjaciela.

Oboje z Joan znali Wacka tak dobrze, że jakby w milczącej zmowie postanowili mu na razie o niczym nie mówić. Dosyć było wrażeń jak na jeden dzień.

- Chodź, kochany - powiedziała pieszczotliwie Joan, przytulając się do jego boku. - Chodźmy już stąd, wszystko ci opowiem po drodze, ale idźmy!

W pociągu metra wściekał się, że mu nie powiedzieli o wszystkim od razu. Próbował nawet wracać, ale później sam przyznał, że mieli rację, powstrzymując go od tego.

- Aleś ty, braci - mówił znów ze swoim lwowskim akcentem, patrząc na kolegę z podziwem. - Popatrz no, jaki to smok.

O dziwo, Joan go rozumiała.

- On musiał - powiedziała cicho i pogłaskała go po twarzy. Nowak nawet nie krył, że było mu w tym momencie bardzo przyjemnie.

Tego wieczoru Joan zaprowadziła ich na tańce do Covent Garden. Nowak wiele słyszał o tej słynnej starej londyńskiej operze, zamienionej podczas wojny na salę tańca. Było już późno, kiedy wysiedli z metra na stacji Covent Garden. Rozejrzał się ciekawie po dzielnicy, w której nigdy dotychczas nie był. Mijali stragany, na niektórych przykryty plandeką leżał towar przeznaczony do jutrzejszej sprzedaży.

---

<sup>58</sup> Nie zamierzamy walczyć.

Był tu olbrzymi bazar. Tuż za straganami wyłonił się wspaniały gmach opery. Otoczenie, mimo zaciemnienia, przypominało Nowakowi głośny film według sztuki Bernarda Shawa „Pygmalion”, na którym przed tą właśnie operą dziewczyna z londyńskiej ulicy sprzedawała kwiaty.

Sceneria była ta sama, tylko że nikt dzisiaj nie sprzedawał kwiatów.

Wewnątrz było podobnie jak w Towerze w Blackpool, ale sam gmach wydał się Henrykowi większy.

## „Amerykański Polak”

Po powrocie z urlopu - przyleciał w tym czasie do Northolt por. Beda, więc zabrał się z nim - Nowak dowiedział się, że za dwa dni zmieniają miejsce postoju. Udają się do południowej Kornwalii, aby zluzować jeden z angielskich dywizjonów, który poniósł tam dotkliwe straty i musi odejść przed czasem na odpoczynek.

Następnego dnia rano polecieci na ostatni lot z dotychczasowego lotniska Fairwood Common. Wystartowały jak zwykle cztery Mosquita, prowadził por. Pełka. Lecą na dzienny patrol na Biskaje. Po starcie, minąwszy z lewej strony najdalej wysunięty cypel Kornwalii, od razu wyszli na pełne morze.

Odchodzą więcej w prawo, aby ominąć Brest, gdzie jest silna artyleria przeciwlotnicza i przybrzeżna. „Coachman 47”, to jest Zydel z Nowakiem, idą jako drudzy, za nimi podąża por. Sochacki, jako ostatni „Coachman 41”, kpt. Gerard Ranoszek, były dowódca flightu „B”, który leci zamiast por. Pacholczyka. Porucznik „odstąpił” mu ten lot. Ranoszek jest dziś gościem w dywizjonie; obecnie bowiem pełni obowiązki oficera łącznikowego w Grupie. Został tam przeniesiony w drodze awansu, ale awans wychodził mu bokiem. Ranoszek, pilot z zamiłowania, jak każdy z nich nie cierpi pracy przy biurku.

Pewnego razu Ranoszek przyleciał do dywizjonu tuż przed startem eskadry na lot patrolowy. Wykreślił wtedy z książki lotów pilota (na pewno za jego zgodą), wpisał siebie i poleciał na lot bojowy. Pech chciał, że przy powrocie nadciągnęła nad lotnisko przyziemna mgła; z powietrza widoczne były tylko końce masztów i rękaw na wieży kontrolnej.

Ranoszek zdecydował, że będą lądowali. Sam jako dowódca - był w tym patrolu najstarszy stopniem i prowadzący czwórkę - pozostał nad lotniskiem, miał siadać ostatni.

Na lotnisku, na początku i końcu runwayu, zapalono naoliwione szmaty. Zwykle, jeśli mgła nie była zbyt gęsta, dym z płonących szmat przebijał ją i był widoczny nad gęstą warstwą chmur. Jeśli pilot znał dobrze topografię danego lotniska, mógł dzięki temu zorientować się, gdzie jest początek pasa, a gdzie jego koniec.

Nowak obserwował to lądowanie z ziemi. Wszyscy podchodzili dobrze i kolejno siadali. Jako ostatni siadał Ranoszek. Mgła w tym czasie jeszcze bardziej zgęstniała. Nie wiadomo, co było przyczyną - może szmaty już się wypalały i dym był mniej widoczny, a może spowodował to brak treningu - w każdym razie Ranoszek przyziemił się tuż przed końcem pasa. W ostatniej chwili, będąc już na ziemi, zobaczył koniec runwayu i idącą w poprzek drogę do kołowania. Nie chcąc ryzykować wskoczenia na niezbyt równy grunt, za którym w promieniu 200 metrów były zasieki z drutu kolczastego, kopnął raptownie ster kierunkowy i skręcił nagle w prawo. Maszyna wykręciła niemal na miejscu z dużą jeszcze szybkością i... podwozie w tym momencie usiadło. Gdy podbiegli do niego, wyszedł właśnie z maszyny, zdjął haubę i podrapał się w głowę. Nie wiadomo, jaki był epilog tej sprawy, ale chyba nie obyło się bez kłopotów.

No to dziś znów oficerska obsada, pomyślał Nowak.

Lecą na razie na wysokości około 600 m, niedługo zejdą nad same fale. W pewnym momencie Henryk dostrzeże daleko przed sobą maleńki punkt, który szybko rośnie w oczach. To tył idącego przed nimi samolotu. Ponieważ są co najmniej trzykrotnie szybsi, dystans między nimi maleje gwałtownie. Już po

chwili go wyprzedzają; to samolot typu Sunderland, należący do Coastal Command. Maszyna ta potrafi przebywać nad wodą nieraz do 20 godzin bez przerwy, poszukując rozbitków lub polując na okręty podwodne. Paliwo uzupełnia lądując na wodzie, jest to bowiem łódź latająca albo, jak kto woli, hydroplan. Ma bardzo liczną załogę, dziesięcioosobową, w tym kucharza pokładowego, nazywanego kucharzem obserwatorem. Z reguły samolot ten nie wychodził daleko w morze; krążył w pobliżu angielskich brzegów.

Zydel i Nowak lecą teraz bardzo nisko. Pod nimi burzliwa Zatoka Biskajska z wysoką dziś falą, która od czasu do czasu pryska na nich, jakby gniewna, że ją ignorują. Po przedniej szybie płyną wówczas kropelki wody, znikające bardzo szybko pod wpływem prędkości samolotu.

Minęły już dwie godziny patrolu, pora wracać. Zadanie, polegające na współpracy z operującym w tym rejonie krążownikiem „Sheffield”, wykonali. Robią szeroką rundę i biorą kurs powrotny. Nowak dla praktyki namierza się na beacons, ale nie może ich słyszeć. Szuka na mapie, na którą je naniesiono. Są za daleko. Robi sobie obliczenia, by wprawić się w nawigacji. Nie jest mu to teraz potrzebne; przecież nie oni prowadzą, ale zasada jest jedna: powinieneś zawsze znać swą pozycję, bo w każdej chwili możesz być oddzielony od przyjaciół i pozostawiony sam sobie.

Lot, jakich wiele w tym dywizjonie nocnych myśliwców, którzy i w dzień muszą latać... Tu nie widać doraźnych sukcesów, jakimi legitymują się myśliwcy dzienni, nie ma również emocji bombardowania nocnego. „Puchacze” zazdrościli chwilami dziennym dywizjonom ich walk, spotkań z wrogiem w cztery oczy, zestrzeleń i rzecz jasna... odznaczeń. W 307 było tak trudno zarobić na Krzyż Walecznych, jak gdzie indziej na Virtuti Militari. Tu nie było nikogo „bez atu”, jak wśród kolegów z innych dywizjonów bombowych po odbytych turach operacyjnych; tu nie było „tur”, ale męczące loty bez większych efektów. Na nich tylko pohukiwano żartobliwie podczas spotkań przy kieliszkach...

W miarę upływu czasu Nowak przyzwyczał się do pracy w tym trudnym dywizjonie, aczkolwiek ciekawsze akcje trafiały się bardzo rzadko. Wciąż tylko nocne treningi ze współpracą z reflektorami, których, prawdę powiedziawszy, miał powyżej uszu. Wiedział, że to jest potrzebne, że podczas treningów są zawsze w pogotowiu bojowym i w każdej chwili mogą zostać skierowani na „Huna”, mimo to...

Nowak dziś nie latał. Tylko załoga dyżurna pełniła dyżur. Korzystając z wolnego dnia, wziął z szafki haubę i udał się do warsztatu radio, w którym „królował” plutonowy Jończyk.

Wszedł do małego pomieszczenia. Na stołach stały małe skrzynki z czarnego metalu - to radiostacje pokładowe typu 1144 VHF. Nowak-spojrzał na nie ciekawie. Widział je tylko w szkole, w kabinie samolotu zobaczyć można tylko połączone z nimi kontrolery, czyli wybieracze kanałów, same zaś radiostacje zamontowane są w kadłubach, tak że załoga nie ma do nich dostępu.

- Panie Jończyk - zwrócił się do plutonowego - przejrzyj pan moją haubę, coś tam w niej jest nie w porządku. Trzeszczy!

- Się robi, panie flight59 - odpowiada Jończyk wyciągając słuchawki z hauby i mikrofon z maski. - U... a i w mikrofonie soli do diabła. Panowie, ale wy przynosicie te hauby do kontroli, a nie czekajcie, aż wam coś nawali - skarcił Nowaka.

- Nie chcemy wam robić kłopotu - próbuje się usprawiedliwić Henryk.

- Jaki tam kłopot, od tego tu jesteśmy. Patrz pan - mówi pokazując wyjęty z maski mikrofon, pokryty białą warstwą soli - zupełna osolić. Nic dziwnego, że źle was słychać. Zaraz wymienimy sznur i będzie git, a tymczasem siadaj pan i zapal - podsunął mu leżącą na warsztacie paczkę playersów. Po kilku minutach hauba była gotowa.

Patrząc na Jończyka, czyszczącego mikrofon, Nowak zrozumiał, dlaczego po każdym locie na Biskaje nie smakowały mu posiłki, były zawsze za mało słone.

Podziękował Jończykowi i udał się na dispersal, by powiesić haubę w swojej szafce. Po drodze zobaczył dowódcę eskadry „B” kpt. Lewandowskiego, idącego w stroju lotnym do maszyny. Zdziwił się nieco, bowiem nie miał on dziś dyżuru, a jego radionawigator por. Jan Mika był w mieście.

- O, panie kolego - powiedział, dojrawszy Nowaka - ma pan haubę, niech pan szybko wrzuci szelki i polecie ze mną. Mojego dziś nie ma, a kapitan Ranoszek przed odjazdem chciałby trochę poćwiczyć ze mną w strefie, dobrze?

Trudno było odmówić Lewandowskiemu; gdy o coś prosił, robił to w takiej formie, że osoba, do której się zwracał, odnosiła wrażenie, iż rzeczywiście wyświadcza mu przysługę.

- OK, za dwie minuty będę gotów!

Wyszli w powietrze w 15 minut po Ranoszku i spotkali się w strefie. Kpt. Ranoszek zaatakował ich ostro, ale nie tak łatwo szło mu z Lewandowskim, który ze ściganego szybko stał się myśliwym. Obaj byli pilotami wysokiej - klasy, choć Ranoszkowi było trudniej z uwagi na brak treningu.

Gdy zameldował Lewandowskiemu o poczynaniach „nieprzyjaciela” z tyłu, ten wziął tak ostry skręt, że Nowak miał przez chwilę wątpliwości, czy nie przekroczył dopuszczalnego kąta pochyłu. Mosquito to była jednak piękna maszyna, Lewandowski całkowicie panował nad nią. Ranoszek nie zaryzykował takiego manewru i szybko został z boku. Już po chwili wchodzili mu na ogon. Nowak przytknął powieki, śledząc w wyobraźni lot przeciwnika, który w tym czasie znikł pod horyzontem samolotu. Zapytany o pozycję ściganej maszyny, pokazał pilotowi gestem dłoni, gdzie się ona znajduje. Lewandowski natychmiast przechylił maszynę w dół i dojrzał „przeciwnika” tam, gdzie się go spodziewał. Leciał poziomo na bardzo małej wysokości. Był teraz trudny do wykrycia, zlewał się z krajobrazem.

- Jak on to zrobił? - zdziwił się Lewandowski.

Sytuacja szybko się wyjaśniła, kiedy Ranoszek poprosił wieżę o zezwolenie na podejście do lądowania, a Lewandowskiego o zaprzestanie walki.

Na ziemi powiedział im, że przy ostrej pice w dół skrzyżowały mu się stery i wywinął „kozła” w powietrzu. Szczęściem miał jeszcze duży zapas wysokości.

---

59 Skrót od „flight sergeant” (starszy sierżant).

Nazajutrz był dzień wolny od lotów, bowiem dywizjon przygotowywał się do przebazowania na nowe miejsce postoju. Część dywizjonu, „Advance Party” udała się tam rzutem kołowym, aby przyjąć samoloty, które miały przylecieć następnego dnia.

Nowak udał się do Swansea, aby pożegnać miasto. Chodził ulicami właściwie bez celu. Przechodził akurat koło grupki amerykańskich marynarzy, gdy nagle usłyszał:

- Jak si mos?

- Dzień dobry - odpowiedział i zatrzymał się.

Od grupki odłączył się wysoki, dobrze zbudowany blondyn w stopniu porucznika, podał mu rękę i przedstawił się jako Frank Wadas z Chicago. Spytał Nowaka, czy ma trochę czasu. Odpowiedział zgodnie z prawdą, że jest wolny i nie ma nic specjalnego do roboty.

- No to może byśmy się czegoś napili - zaproponował. Przedstawił go swoim czterem kolegom i udali się wszyscy do pobliskiego baru. Frank zamówił dla każdego kolejkę i zaczął z nim rozmawiać po polsku.

- Wis, mój tato jest polski, mój mama jest polski, jo - tu wskazał na siebie palcem - jo jest amerykański. Uni ciągiem ino mówiom o Polsce i o Polokach, a jo jesce nie widzioł prowdziwego Poloka, to tyroz się bardzo ciese, ze mogie z takim godoć.

Nowak był zaskoczony; zniekształcona polszczyzna tak bardzo nie pasowała do przystojnego, nienagannie mówiącego po angielsku oficera marynarki. Rychło jednak zrozumiał, że ów Polak z Ameryki nauczył się języka od swoich rodziców, którzy musieli opuścić kraj w poszukiwaniu chleba. Przypuszczalnie byli to chłopi z południowej części Polski.

Aby wciągnąć pozostałych Amerykanów do rozmowy, bo stali patrząc na nich i uśmiechając się, Nowak przeszedł na angielski.

- Wiesz - kontynuował Wadas, ale już po angielsku - mama pisze do mnie po polsku i ja wszystko rozumiem, może nie wszystko - poprawił się - ale domyślam się treści. Gdy odpisuję, to tylko nagłówek piszę po polsku. Wygląda to mniej więcej tak: „Droga Mamusiu moja i Tatusiu. Jestem zdrów, kocham was bardzo i całuję”. Resztę już piszę po angielsku, bo dalej nie umiem.

- Dajesz sobie doskonale radę - powiedział Nowak, chcąc mu zrobić przyjemność.

- Doprawdy? - ucieszył się. - Zrozumiałeś mnie?

- Oczywiście, każde słowo! - odpowiedział z przekonaniem.

- No to czemu przeszedłeś na angielski? - zapytał z niedowierzaniem.

- Po prostu chciałem, aby w naszej rozmowie mogli wziąć udział twoi koledzy - odparł.

To go przekonało, wyraźnie się ucieszył. Koledzy zauważyli reakcję Franka.

- Nie szkodzi, mówcie po polsku - powiedział jeden z nich. - On nie ma okazji porozmawiać z Polakami, niech się nacieszy. Ale to trudny język, Ben, rozumiesz coś z tego? - zwrócił się z uśmiechem do drugiego kolegi.

Tamten tylko wzruszył ramionami.

- Chińszczyzna dla mnie - powiedział.

- Wis - mówił dalej swą łamaną polszczyzną Frank - dostałem na shore (brzeg) list od moja mama, zoboc, co ona tu pise - mówiąc to podał mu zapisaną kartkę papieru.

Nowak popatrzył na niewprawną ręką napisane krzywe litery, zaczął czytać głośno:

„Syneczku mój, płyniesz teraz do Anglii, spotkasz tam dużo Polaków, bądź dla nich dobry, syneczku mój, to są dobrzy ludzie, to są twoi i moi bracia. Oni utracili Ojczyznę, ale się nie poddali, oni walczą dalej z wrogiem, kraju swojego ukochanego się nie wyrzekli. Kochaj ich, synu, i pamiętaj, nie wolno ci ich krzywdzić, bo byś skrzywdził własną Matkę i Ojca!”

Wzruszony Henryk oddał mu bez słowa list. Przez cały czas, kiedy czytał, Frank słuchał uważnie, pochyliwszy głowę, jakby nie chciał uronić ani jednego słowa. Teraz schował zapisaną kartkę do portfela i włożył do kieszeni spodni. Koledzy odwrócili się dyskretnie pod pretekstem, że zamawiają następną kolejkę. Frank tymczasem ciągnął:

- Widis, jo napise teroz do mamy, że spotkołem prowdziwego Polaka i ze on mnie rozumioł.

Zadziwiające było, że ten dorosły przecież chłopak nie użył ani razu słowa „ojciec” czy „matka”, tylko: „tatuś”, „mamusia”.

Zaprzyjaźnili się bardzo z Wadasem. W okresie późniejszym Frank czynił wszystko, aby go ściągnąć po wojnie do Stanów Zjednoczonych. Załatwił mu nawet pracę w Marynarce Handlowej, do której sam się przeniósł, i przysłał Affidavit of Support<sup>60</sup>, który gwarantował otrzymanie wizen na pobyt stały w pierwszej kolejności.

---

<sup>60</sup> Dokument poświadczony rejentalnie, w którym wystawca zobowiązuje się zapewnić wymienionej w nim osobie opiekę i pomoc materialną do czasu znalezienia pracy.



## Przymusowe lądowanie

Zaraz po śniadaniu spakowany już dywizjon udał się rzutem kołowym na nowe lotnisko w południowej Kornwalii - RAF Station Predannack. Marszruta wiodła (chyba nieprzypadkowo) przez Exeter, gdzie planowano postój nocny. Dywizjon przybył tam w godzinach popołudniowych, a w godzinę po nim przyleciały samoloty, przyjęte już przez swoich mechaników.

O przyjeździe Polaków miasto już wiedziało, toteż przed szlabanem, który zamykał wjazd na lotnisko, oczekiwali ich miejscowi przyjaciele. Aczkolwiek w campie przygotowano kolację i kwatery dla Polaków, ale tak przy kolacji, jak i na kwaterach było prawie pusto. Czekająca ludność cywilna zabierała lotników do swych domów, nie bacząc na to, czy tego lub innego chłopca znała poprzednio. Wizyty przeciągały się do rana, tak że odlot maszyn i wyjście rzutu kołowego opóźnił się o godzinę.

Lotnisko w Predannack okazało się okropną dziurą, gdzie, jak mówili Polacy: „Nie było Boga i nie śpiewał ptak”. Usytuowane było nad samym morzem, na cyplu najbardziej wysuniętym na południe brzegu Anglii. Zaraz po starcie maszyny wychodziły nad morze. Skalisty brzeg był tu bardzo wysoki. W Predannack stały w tym czasie trzy dywizjony. Kanadyjski - jego lotnicy mieli na ramionach napis „Canada”, w dokumentach zaś, zamiast: „Foreign Polish” wpisano im: „Royal Canadian Air Force”; australijski - ci nosili mundury granatowe, no i Polacy. Aha, stał tam jeszcze jeden dywizjon, amerykański... Thunderboltów. Były to samoloty myśliwskie, jednosilnikowe, bardzo zwinne i szybkie, dobrze uzbrojone. Budziły duży respekt pośród myśliwców Luftwaffe.

Dowódcą tego dziwnego dywizjonu był... sierżant, z pochodzenia Japończyk. Miał on do swej dyspozycji sześciu szeregowców i jednego kaprała. Każdego rana podjeżdżali ciężarówką pod stojące gdzieś na końcu lotniska samoloty, ładowali je na samochód i przewozili w inne miejsce.

Były to prymitywne makiety, wykonane z odpowiednio pomalowanego płótna namiotowego. Kawalek okrągłej siatki i pionowy drążek markował silnik i stojące w pionie śmigło, a jednocześnie podtrzymywał rozpięte płótno imitujące płaty. I rzeczywiście z powietrza wyglądały one groźnie.

Nowak także, po raz pierwszy lądując w Predannack, dał się nabrać na ten dywizjon Thunderboltów. Najlepszy obserwator z dużej odległości nie dostrzegłby różnicy. Prawie codziennie przychodził na dużej wysokości nieprzyjacielski „fotograf” i robił zdjęcia. Nikt mu w tym nie przeszkadzał. Niemcy wyraźnie odczuwali respekt przed lotniskiem i zostawili je w spokoju.

Aczkolwiek przenosiny nastąpiły w samym środku lata, dokładniej - 7 sierpnia 1943 roku, panująca tu pogoda była typowo jesienna. Niskie chmury, zamglenia i chłód dawały się mocno we znaki.

Loty z tej stacji odbywały się przeważnie w dzień, w nocy zaś dyżurowały tylko cztery załogi z całego dywizjonu. Latało się przeważnie na Biskaje, na dalekie patrole. Dwa lub trzy razy w tygodniu odbywały się nocne readinessy, podczas których cały dywizjon oczekiwał w stanie gotowości bojowej - wszyscy ubrani w stroje lotne: kożuski, „maywestki”, ciepłe buty, a radionawigatorzy ponadto w szelki spadochronu. Piloci swój sprzęt ratunkowy mieli w samolocie, spadochron znajdował się w niszy fotela. Można było na nim siedzieć po uprzednim zapięciu szelek, które wisiały na górnym ożebrowaniu kabiny. Oszczędzało mu to czasu i niewygodę. Ciepłe buty lotne przypinano do pantofli za pomocą wewnętrznych klamer. W wypadku zestrzelenia nad terytorium wroga można było je wyrzucić i wtedy zostawało się w normalnych cywilnych pantoflach. Owe przypinane buty nie były

bardzo ciepłe, toteż w okresach chłodu lotnicy nosili buty starego typu, jednolite, futrzane. Wkładali również długie, sięgające za kolana białe grube pończochy wełniane i takiegoż koloru golf.

W „maywestce” była mała butla z tlenem, służąca do nadmuchiwania kamizelki, i hermetycznie zamknięte metalowe pudełko, zwane „emergency ration”<sup>61</sup>, które można było otworzyć tylko w razie wodowania lub lądowania poza terenem Wielkiej Brytanii. Były tam cztery grube kawałki czegoś w rodzaju czekolady, ale ugryźć tego w żaden sposób nie było można. Skrobało się to „coś” zębami, wtedy sypała się pokruszona mączka czekoladowa. Tak więc człowiek miał i zajęcie, i jedzenie.

Nowak próbował raz „zmordować” taką czekoladę; skrobanie zajęło mu dwie godziny. Zjadł tylko czwartą część, reszcie dał spokój, nie miał na to cierpliwości. Musiał jednak przyznać, że była bardzo smaczna i pożywna, nasyciła go na parę godzin. „Żelazna porcja” obliczona była na cztery dni.

W kamizelce znajdowała się również lampka elektryczna, która pomagała organom ratowniczym w odnalezieniu rozbitka, poza tym każdy miał przypięty na kołnierzu battledressu gwizdek, którym mógł wzywać pomocy. Na głowicy gwizdka umieszczony był kompas magnetyczny.

Na dispersalu, w pomieszczeniu, gdzie załogi pełniły readiness, znajdował się bilard, stoliki do gry w karty, gdzie odchodził przeważnie brydż, grające radio. Na ścianie wisiała wielka tablica, na której umieszczane były numery pilotów, pełniących dyżur. Z sufitu na długich sznurkach zwisały wykonane z czarnego bakelitu sylwetki samolotów swoich i obcych. Przy ścianie, tuż koło drzwi wejściowych, umieszczony był stolik, na nim kilka telefonów, przy których urzędował angielski telefonista-łącznik Bob.

W łączności powietrznej obowiązywał kod, który ułatwiał porozumiewanie się. Każdy pilot miał swój indeks składający się z jednej umownej nazwy dla całego dywizjonu i liczby. W Exeter występowali jako „Friday”<sup>62</sup>. Dowódca dywizjonu, na przykład, nazywał się „Friday 37”. Tu obowiązywał nowy kryptonim „Coachman”<sup>63</sup> też z dodatkiem numeru identyfikacyjnego.

Na tablicy w sali readinessu wisiały w kolejności: numer kolejny, indeks pilota, jego nazwisko i nazwisko radionawigatora. I tak numer 1 musiał być przygotowany do natychmiastowego wyjścia maszyny w razie alarmu. Samoloty również stały przeważnie bliżej dispersalu. Silniki były ciepłe, mechanicy czuwali obok nich, aby skrócić do minimum czas startu. Numer 2 również pozostawał w gotowości, ale wolno mu było zdjąć kożuszek, jeśli był bez szelek.

Numer 3 i 4 mogli grać w bilard czy w karty, słuchać radia lub też zająć się lekturą. Jeśli telefonista odbierał meldunek, wtedy każdy z nich nastawiał uszu, czekając na rozkaz Operation. Jeśli łącznik-telefonista przekazał głośno: „Scramble one!”<sup>64</sup>, wtedy wybiegała załoga numer 1, kierując się najbliższą drogą do samolotu. Załoga numer 2 stawała się automatycznie pierwszą. Czasami podrywano dwie załogi, nieraz całą eskadrę.

Tego dnia, w piątek, było wyjątkowo ciepło. Lato jeszcze nie chciało ustąpić, nadrabiało zaległości, powstałe przez wiele słotnych i zimnych dni. O godzinie 9 polecili całą czwórką na Biskaje. W drodze

---

<sup>61</sup> Żelazna porcja.

<sup>62</sup> Piątek.

<sup>63</sup> Woźnica.

<sup>64</sup> Tym wezwaniem podrywano samoloty do natychmiastowego startu, podając przy tym, ile załóg ma wyjść w powietrze.

powrotnej w odległości około 100 mil od bazy zaczęły się kłopoty z lewym silnikiem. Przerwał co chwila, kasłał, jakby się przeziębził w czasie zeszlotygodniowej szarugi. Trzeba było wejść wyżej, bo dotychczas, jak zwykle, lecieli nad samą powierzchnią morza. Kłopoty z silnikiem coraz wyraźniej odbijały się na prędkości samolotu.

Nowak zaproponował pilotowi, aby go wyłączył na czas trwania lotu i włączył ponownie dopiero przy lądowaniu. Tak też uczynił. Na trasie powrotnej osłaniał ich Wojczyński, reszta pomknęła do bazy. Lecieli tak wolno, że „Wojtek” musiał chodzić „esami” i robić „wojewódzkie rundy”, aby być w pobliżu. Sporo czasu zajęło wejście na przepisową wysokość 2000 stóp przed osiągnięciem lądu. W bazie już wiedziano o ich kłopotach i ogłoszono stan gotowości na wypadek awaryjnego lądowania.

Zbliżali się do lądu. Z daleka już widzieli skalisty cypel, na którego wierzchołku znajdowało się lotnisko. Mieli dopiero 1800 stóp, a więc trochę za mało. Łączność była dobra, tak że nie musieli się obawiać własnej artylerii przeciwlotniczej.

W dole, pod nimi, widać lądujący samolot. To chyba „Wojtek” siada. Teraz oprócz nich nie ma już nikogo w powietrzu. Podchodzą z dalekiej prostej bezpośrednio do lądowania.

- No to co, Włodek, włączamy go teraz? - pyta Nowak pilota.

- Dawaj!

Nowak przycisnął umieszczony na wysokości swojej twarzy okrągły czarny guzik, a tu nic! Przyciska starter ponownie, łopaty śmigła ani drgną. Ciśnie raz, drugi, potem nerwowo raz za razem - na próżno!

- Zostaw - mówi Zydel - jemu już nic nie pomoże. Lądujemy na jednym!

Zameldował ziemi o sytuacji. Spytano go o decyzję.

- Jakaż może być decyzja? Lądujemy! - krzywi się pilot.

Sugerują jednak wyjście nad morze, skok ze spadochronem i pozostawienie samolotu własnemu losowi. Mieli widać w pamięci niedawny wypadek mjr. Michałowskiego. Nowak również o tym myślał, kątem oka obserwując skupioną twarz Zydla. Pilot jakby wyczuł jego spojrzenie, bo się obejrzał.

- Będę lądował - mówi - a co z tobą?

- Jak to: co ze mną? - Nowak udał zdziwienie.

- Mam trudności z manewrowaniem, może wyskoczysz?

- Jesteśmy załogą, to idziemy razem. W porządku, ląduj, zobaczymy, jak to będzie - mówi Nowak starając się, by pilot nie odgadł, że ma porządnego „pietra”. - Zawsze trochę ci pomogę podczas lądowania. - Znów spojrzał na pilota. Siedział na swym fotelu przybladły, skupiony i jakby trochę mniejszy. Jednak ocknął się szybko, przycisnął nogą wystający z podłogi, przykryty gumową uszczelką włącznik nadajnika UKF.

- Hallo „Sunday”, tu „Coachman 47”, lądujemy, przygotujcie się.

Odszedł teraz w prawo. Rozbudował dużą rundę i powoli rozpoczął schodzenie.

- Heniek, jeszcze jest czas, skacz, dam sobie radę sam - powiedział bez przekonania.

- Coś ty, skakać z Mosquita z tej wysokości, żeby mnie statecznik przeciął? Nie ma głupich! A przy okazji: czyś ty kiedy słyszał, aby ktoś się z Mosquita wyratował ze spadochronem? Nie ruszam się - powiedział twardo Nowak, któremu już jakoś strach przeszedł. Spojrzał w dół na widniejące w dali lotnisko. Jak maleńkie, dziecinne zabawki na miejsce ich prawdopodobnego przyziemienia biegly samochody straży pożarnej, ambulans i inne wehikuly, rozstawiając się po obu stronach runwayu.

Wchodzą ponownie na długą prostą, do lądowania. Podwozie już wypuszczone, część klap również. Widoczny z daleka pas startowy powoli zbliża się i rośnie. Nowak podaje pilotowi dane, potrzebne przy lądowaniu - wskazania przyrządów, szybkość schodzenia, prędkość samolotu i wysokość nastawioną na ciśnienie lotniska. Najważniejsza jest teraz szybkość podchodzenia. Pilot musi uważać tylko na maszynę i na widoczny przed sobą pas. Nowak podaje nieprzerwanie prędkość. Runway rośnie, przybliża się. Jest jakiś niestabilny, kręci się przed nimi. Nowak widzi, że Włodek ma trudności z utrzymaniem się na prostej. Walczy z uciekającą w prawo maszyną, która koniecznie chce zejść z narzuconego jej kierunku, ale trzyma ją w ryzach, przywołuje do porządku, zniewala do posłuszeństwa. Idą teraz prosto na wchodzący im już pod skrzydła pas startowy. Teraz tylko lekko zredukować gaz, załamać i... Ale co on robi, ten Włodek?! Trzyma maszynę pięć metrów nad pasem, na pełnym gazie prawego silnika, i nie sadza, a pas szybko umyka. Minęli już rzędy samochodów. Nowak nie mówi nic, ogląda się tylko do tyłu - po betonie mkną za nimi pojazdy.

No to już chyba koniec, myśli. Na drugą rundę nikt nie wyrwie Mosquita na jednym silniku, zresztą po co? Miał dobre podejście, zabrakło mu odwagi? - myśli zrozpaczony. Nie mówił nic, ale całe jego „ja” krzychało: „Przyduś ją, jeszcze czas, ale już! Teraz! Bo za sekundę będzie za późno!”

Tamten, jakby usłyszał, posadził, ale twardo! Będący na dużej szybkości samolot zrobił „kangura”, aż dziw, że pilot ciągle jeszcze panował nad nim.

Posadził jeszcze raz, tylko tym razem przycisnął maszynę do betonu... ale było już za późno. Beton się skończył. Za pasem na przestrzeni około 200 metrów była splantowana nierówna ziemia, dalej szerokie na 20 metrów zasieki z drutu kolczastego, umocowanego na drewnianych wysokich słupach. Jeszcze dalej za drutami znów darnina i wyboje, doły i zasieki, ale tym razem już szersze, bo pięćdziesięciometrowe. Za nimi - tylko skały i szumiące w dole morze.

O tym doskonale wiedzieli. Teraz koniec pasa uciekał im spod kół z przerażającą szybkością. Maszyna wpadła w wyboje, trzęsąc i podskakując niesamowicie. Tuż przed końcem pasa Nowak pociągnął w dół za główny przełącznik iskrowników umieszczony na tablicy przyrządów pokładowych tuż przed jego stanowiskiem. Żeby się tylko nie spalić! - przemknęło mu przez głowę.

Na pełnej prędkości wpadli w pierwsze zasieki. Silnik już nie pracował, toteż obroty śmigieł gwałtownie malały aż do zupełnego zatrzymania. Samolot szedł jednak jak szatan, hamowany gwałtownie przez rwące się druty kolczaste. Nowak bał się, że przytrzymujące go mocno pasy bezpieczeństwa powyrywają mu ramiona. Chwilami, bo pasy były elastyczne, miał tablicę przyrządów tuż przed swoją twarzą. Zasłaniał się wtedy machinalnie, jakby broniąc się przed walącym się na nich stosem drutu kolczastego, spiętrzoną na szkłe kabiny samolotu.

Nagle pchnęło go raptownie do tyłu. Maszyna wyskoczyła jak z procy. Wyrwali się z pierwszych zasieków i teraz znów pędzą po nierównym gruncie. Wpadli na jakiś kamień. Skoki w górę, w dół, w

bok, okropne wstrząsy i szarpanie. I znów tylko pasy uchroniły ich twarze od zmiżdżenia o tablicę przyrządów, bo już wpadli w drugie druty. Samolot hamował raptownie, aż w końcu stanął, nagle pokonany przez masę spiętrzonego nad ich głowami olbrzymiego zwoju drutu kolczastego.

I wtedy zapanowała cisza, przeraźliwa cisza! Potworna, dzwoniąca w uszach. Nowak spojrzął do tyłu, gdzie piętrzył się drut wyrwany razem ze słupkami. Jeszcze nigdy nie widział takiej ilości drutu w jednym miejscu. Nic nie słyszał, ale powoli jego uszy poczęły rejestrować dźwięki. To z daleka dochodziło wycie syreny. Chyba strażacka, pomyślał. Po kiego czorta oni tak wyją? Przecież chyba nie wzywają pomocy? Nadstuchiwał teraz uważnie, czy nic nie dzieje się w samolocie. Cisza.

- Dobrze jest! - powiedział głośno sam do siebie.

- A dlaczego ma być źle? - doszedł go głos Zydla.

Patrzą na siebie. Nagle pilot zaśmiał się. Nowak wyciągnął zawleczkę zwalniającą wierzch osłony kabiny i przy pomocy Zydla ściągnął osłonę trochę na bok. Do środka wpadło rześkie, czyste powietrze.

Teraz już słychać było wyraźnie odgłosy spieszącej ku nim „odsiecz”. Widać ich jeszcze nie było, bo samolot znajdował się po drugiej stronie górkę. Do krańca urwiska skalnego, pod którym rozbijały się o skalisty brzeg huczące fale, zostało im może sto pięćdziesiąt merów.

Cholera! myśli Nowak. Niewiele brakowało, a mielibyśmy spokój!

- Heniek - doszedł go głos Zydla - nie masz papierosów?

- Mam, powinienem mieć. - Mocując się z „maywestką” sięgnął do kieszeni battledressu. Miał, ale połamane - takie same jak pilot. Wreszcie wygrzebał z całej paczki dwa możliwe i zapalili. Dopiero po minucie błysnęła mu myśl, że przecież, gdyby tu były opary z benzyny, mógłby nastąpić wybuch.

Usiedli na ramie osłony kabiny i przyglądali się wozom, które dojechały do pierwszych zasieków. Dalej ani rusz. Zatrzymały się bezradne. Drogę do samolotu przegradzały zwoje drutu. Krzyczą do nich, pytają, co z nimi? Odpowiadają, że w porządku. I to jest wszystko, co tamci mogą w tej chwili dla nich zrobić.

- Popatrz, Włodek - mówi Nowak do pilota. - Taka byłaby pomoc, gdyby maszyna się zapaliła. Strach pomyśleć!

Zydel aż się wzdrygnął. Tym razem śmierć zajrzała im w oczy.

Rzucili papierosy. Pod wpływem doznanego szoku zapomnieli o podstawowym przykazaniu, które zabrania palić papierosa w oddaleniu 20 metrów bądź też w zamkniętym samolocie.

- Włodek, czemuś go, do cholery, nie przydusił wcześniej, kiedy jeszcze mieliśmy pas pod sobą? - pyta pilota Nowak.

- Miałem za dużą prędkość, a bałem się, że gdy zmniejszę obroty, to mi przepadnie. Człowieku, czy ty wiesz, jakie to jest uczucie? W takiej sytuacji na tym cholernym Mosquicie? Po prostu nie wiedziałem już, co robić - przyznał się szczerze - i dopiero, gdy spojrzałem na ciebie, wiedziałem, że muszę ryzykować. No i posadziłem - zakończył.

- No i dobrze zrobicieś, bo chyba wiesz, że na drugą rundę byś go nie poderwał.

- Wiem, ale widzisz, na Spitfire'ach to proste, a tu miałem za duży ciąg na jedną stronę.

Nareszcie podjechały ciągniki. Wokół nich uwijali się żołnierze z RAF Regiment (żołnierze ochrony lotniska), tnąc nożycami drut, podczas gdy traktory odciągały go na bok. Z drugiej strony również dwa ciągniki odciągały całe płachty kolczastego świrństwa.

- Ale to wszystko jedno - mówi Nowak do Zydla - chyba jednak przełamaliśmy złą passę. Przecież lądowaliśmy na jednym silniku, na Mosquicie, i żyjemy, chłopie, słyszysz? Żyjemy!

Zydel uśmiecha się zadowolony.

Nareszcie wozy powoli, bujając się na wszystkie strony, podjeżdżają do nich. Pierwszy idzie duży strażacki Thornycraft. Na szczęście nie jest im potrzebny. Za nim po przetartej już drodze idzie sanitarka. Po chwili jest przy samolocie lekarz. Pyta, czy mogą zejść sami na dół. Schodzą bardzo ostrożnie, bo drutu jest jeszcze dużo, a nie bardzo mają ochotę podrzeć sobie spodnie. Gdy stanęli wreszcie na ziemi, czekały na nich nosze.

- Kładźcie się - stanowczo poleca lekarz.

- Coś ty - broni się Zydel - nic nam nie jest.

- Kładźcie się, ja nie żartuję - nalegał.

Trudno jest dyskutować z lekarzem, z nim zawsze lepiej żyć w zgodzie, toteż kładą się posłusznie na nosze i patrzą, co będzie dalej. On tymczasem, przy pomocy „łapiducha”, bo stawiali opór, po kolei ściągnął im spodnie i zaaplikował potężny zastrzyk.

Tymczasem do grupy dołączyli inni oficerowie i prawie wszyscy członkowie personelu latającego, jak też i część personelu naziemnego.

Posypały się teraz pytania, ale lekarz je przerwał, ładując ich do karetki. Wsiedli z nim tylko dowódcy dywizjonu i obu eskadr.

Pod wieczór, po głębokim śnie, spowodowanym prawdopodobnie zastrzykiem, lekarz ich zwolnił. Wtedy to posypały się pytania, wyjaśnienia i rady dotyczące lądowania, podejścia...

W każdym razie podkreślano, że był to sukces. Okazało się że i na Mosquicie można na jednym silniku lądować bezpiecznie. Jednak ta legenda z miękkim podwoziem Mosquita to chyba lekka przesada. W ich przypadku nawet opona nie poszła.

Samolot po wymianie silnika, śmigła i usunięciu innych uszkodzeń kadłuba po dwóch tygodniach znów będzie się nadawał do eksploatacji.

## Nieudane polowanie

Życie na stacji lotniczej zionęło potworną nudą. Brak jakichkolwiek rozrywek w czasie wolnym od zajęć wszystkim dawał się mocno we znaki. Odczuwało się to najbardziej podczas złej pogody, kiedy niskie chmury nie pozwalały na loty. Ludzie zaczęli powoli dziczeć. Tym bardziej że termin wyjazdu dywizjonu w Predannack dawno minął, a o zluźnieniu ich nie było jakoś słyhać.

Raz w tygodniu organizowane były zabawy, lecz z powodu małej liczebności żeńskiego personelu na tej stacji nie miały one większego uroku. Chłopcy rychło doszli do wniosku, że „wafki”, które służyły w tym campie, przysłano tu chyba za karę. Były bardzo szpetne, lecz mimo to miały szalone wzięcie. Chodziły więc dumne jak królowny. Jeśli wzięło się to pod uwagę, można było wierzyć, że przyszły tu jednak na ochotnika. W innych jednostkach nie miałyby żadnych szans.

Do odległej o kilometr rybackiej wioski o nazwie The Lizard było około kilometra. Znajdowała się tam poczta, mały bar, no i to chyba wszystko. Owszem, było jeszcze coś - cudny widok na leżące w dole morze. Do większych miast jak Penzance czy Helston przy braku dobrej komunikacji było stanowczo za daleko. Grano zatem w karty, pito w kasynie lub też włóczono się z kąta w kąt.

Od trzech dni nad Wielką Brytanią zalegał rozległy niż, który przyniósł ze sobą mgłę i drobną mżawkę. Ciężki stratus wisiał nisko, siąpiąc drobnym „kapuśniaczkiem”. Widzialność wahała się w granicach od 300 do 1000 metrów przy podstawie 30 metrów. W „beczkach śmiechu” jest zimno i nieprzytulnie, wszędzie wkrada się wilgoć. Wilgotne były koce, ubrania, nawet papierosy. W powietrzu panowała cisza, zawieszono loty. Luftwaffe również nie przejawiała aktywności, nie latały nawet ptaki.

Na lotnisku w Predannack zamarło życie. Na dispersalu czuwają dyżurne załogi, ale wiedzą, że nikt ich nie poderwie do lotu przy takiej psiej pogodzie. Wszyscy już mieli dosyć przymusowego leniuchowania. Dowódca zarządził wykłady. Radionawigatorów „męczy” por. Sylwestrowicz i por. Podgórski z obsługi radaru i systemu nawigacyjnego GEE, piloci przerabiają niektóre urządzenia pokładowe bądź też ćwiczą na link-trainerze, czyli w ustawionym na ziemi samolocie-makiecie z pełnym wyposażeniem kabiny.

Dopiero czwartego dnia chmury nieco się podniosły. Tu i ówdzie pojawiły się okna, przez które wyjrzało słońce. Na lotnisku rozpoczął się ruch. Po porannej odprawie czwórka Mosquitów poleciała na dzienny patrol w rejon Zatoki Biskajskiej, załoga Nowaka miała pełnić nocny dyżur od godziny 22.00 do 4.00 rano.

- Heniek, nie szykuj się nigdzie - powiedział do niego Zydel. Było to zaraz po obiedzie.

O godzinie 15.40 wyszli w powietrze, aby sprawdzić samolot przed nocnym readinessem. Były to zwykłe czynności mające na celu skontrolowanie, stanu maszyny. Wszystko przebiegało normalnie, tak że po godzinnym kręceniu się w powietrzu powrócili na lotnisko. Dla czekających specjalistów naziemnych nie mieli żadnych uwag. W dzienniku pokładowym i w osobistych log-bookach wpisali: NFT 1 godz. 5 min.

Wieczorem na tablicy w sali odpraw ich nazwiska były na drugiej pozycji. Siedzieli w pełnym pogotowiu bojowym. W pewnym momencie Nowak zajęty grą w stołowy bilard posłyszał dzwonek

telefonu. Gwar ucichł nagle, jakby nożem uciął. Spojrzenia wszystkie skierowane były na angielskiego telefonistę Boba, który wyciągnął słuchawkę w stronę dowódcy kpt. Lewandowskiego.

- The Operations wishes to speak with you, Sir65 - powiedział.

Dowódca szybkim krokiem podszedł do telefonu i wziął słuchawkę z rąk Boba.

- Rozumiem, tak, no to co, podrywacie nas? - zakończył pytaniem. - Dobrze, jeszcze czekamy - mówiąc to oddał słuchawkę Bobowi i zwrócił się w ich kierunku: - Panowie, nalot Luftwaffe na Swansea. W tej chwili w powietrzu są dwa dywizjony nocnych myśliwców, ale mogą nas w każdej chwili poderwać, jeśli coś będzie szło w nasz sektor. Operations jest zdania, że kiedy tamci ich prześlą, to powinni wejść nad nasze podwórko.

Gwar powstał na nowo. Bombardują miasto, w pobliżu którego stacjonował nie tak dawno dywizjon. Tamci z Fairwood Common są teraz w akcji. Mają szczęście, chłopaki.

Telefon.

- Scramble one! - wrzeszczy Bob.

Poderwał się por. Andrzejewski, który był pierwszy na tablicy, za nim podążył jego radionawigator st. sierż. Kaliszewski. Teraz Nowak i Zydel są załogą numer 1. Henryk bezwiednie przysunął się z fotelem ku swemu pilotowi. Po drodze wziął z małej półeczki mapę z naniesionymi radiobeaconami nocnymi, suwak i dziennik pokładowy. Trzymał to wszystko na kolanach. Czuł, że ich również wkrótce poderwą. Nie czekali długo.

Po chwili znów telefon. Nowakowi wydawało się, że dzwonił wyjątkowo głośno i długo.

- Scramble one! - krzyczy ponownie Bob.

Bobowi również udzieliło się podniecenie, bowiem głos miał dziwnie wysoki.

Biegną do samolotu, który na szczęście nie był zbyt daleko.

- O, szlag by trafił! - klnie Nowak. - Włodek, cholera, zgubiłem suwak!

- Szukaj, ja lecę do maszyny!

W ciemnościach nie było nic widać. Spocony Nowak szuka po omacku, w końcu posuwając się na kolanach obmacuje ręką drogę, którą dopiero co przebyli.

Jest! Biegnie co sił w kierunku widocznej w mroku nocy maszyny, trzymając mocno w garści swoje „skarby”. Na szczęście spadochron zostawił w samolocie, jak zwykł być czynić po NFT. Koło maszyny stał już mechanik z podłączonym wózkiem akumulatorowym. Drzwiczki były otwarte, przy składanej, wypuszczonej już drabince stał teraz Zydel.

- Silniki ciepłe, panie poruczniku - melduje mechanik.

- Dziękuję panu, whisky leci! - śmieje się Zydel, zsuwając mu furazerkę na oczy.

---

65 Operations chce z panem mówić.



Wchodzi szybko po drabince do samolotu, Nowak gramoli się tuż za nim. Gdy wszedł do środka, pilot siedząc wygodnie zdejmował z górnych ożebrowań kabiny szelki spadochronu i nawlekał je na kółko sprzączki. Jeszcze tylko pasy bezpieczeństwa. Nowak tymczasem wyciągnął i złożył drabinkę, zamknął i zablokował drzwiczki wejściowe, które miał po swojej prawej stronie. Po zamocowaniu płytki pancernej, która osłaniała mu tył głowy, zapiął pasy i podłączył się do tlenu zapinając uprzednio maskę.

Oba silniki już pracowały na małych obrotach. Jeszcze tylko rzut oka, czy czegoś nie zapomniał. Spojrzał na Zydla i podniósł kciuk do góry. Pilot przegazował krótko oba silniki, spojrzawszy na mechanikę i również podniósł kciuk w górę. Na ten znak mechanik wyszarpnął trzymane na długim sznurku podstawki spod kół i po chwili maszyna potoczyła się lekko w stronę runwayu. Po uzyskaniu zgody z wieży kontrolnej weszli na pas i zajęli pozycję do startu. Zydlel spojrzawszy na niego.

- No co, gotów?

- Gotów od urodzenia!

- No to w drogę! - zaśmiał się i wrzepił gaz.

Maszyna drgnęła, ruszyła leniwie, potem szybko już nabierała rozpędu. Po chwili byli w powietrzu i nabierali wysokości. Zanotował w dzienniku godzinę startu: „Airborne 1.06”66.

Wieża kontrolna przesyłała ich zaraz po starcie na Sector Control. Zydlel przyciska guzik kontrolera i po chwili już się melduje na innej fali:

- Halo „Sunday”, halo „Sunday”, woła „Coachman 47”, jak słyszycie? Odbiór.67

- Halo „Coachman 47” - przyszła natychmiastowa odpowiedź - przyjmij kurs 050, jaka jest twoja obecna wysokość?

- Halo „Sunday”, tu 47, przyjmuję kurs 050 obecna wysokość osiem tysięcy stóp na wchodzeniu.

- „Coachman 47”, kontynuujcie wchodzenie na jedenaście tysięcy utrzymując obecny kurs.

- Zrozumiałem, wykonuję.

Wyszli już z postrzępionych chmur, które zostały daleko w dole. Noc była ciemna, nad nimi migotały gwiazdy. Wpadli nad morze z lewej strony; poznał to po zarysach wciśniętego w zatokę Helstonu..

- Halo „Coachman 47” - rozległo się w słuchawkach - przyjmijcie kurs 300, osiągnijcie wysokość jedenastu tysięcy stóp możliwie jak najszybciej! - brzmiał rozkaz.

Zawracają, nabierając jednocześnie wysokości. Podniecenie rośnie! Czują się jak myśliwi, prowadzeni przez psa na trop grubej zwierzyny. Pod nimi wąski cypel południowej Kornwalii, z lewej majaczy zaciemnione Penzance. Wychodzą nad pełne morze. Z prawej widać znikające wybrzeże. Pod nimi coraz więcej chmur, przez rzadsze już okna widać pomarszczone morze. Przechodzą na łączność z GCI.

---

66 W powietrzu.

67 „Sunday” - kryptonim wieży kontrolnej, „Coachman” - kryptonim pilota eskadry „B” i numer osobisty.

Zydel podaje im swój znak wywoławczy. Nowak w tym czasie przechyla ku sobie stojącą dotychczas pionowo czarną skrzyneczkę radaru Al Mark-V, wpatrując się w zielono połyskującą szybę ekranu. Jasnozielona linia centralna świeciła tak mocno, że musiał przyciszyć ekran.

Wiedzieli, że kontroler GCI mógł prowadzić jednocześnie tylko jedną maszynę, toteż czekali cierpliwie, aż zakończy prowadzenie Moskita, którego miał na innym kanale.

- Jak myślisz, Włodek, chyba prowadzi Andrzejewskiego?

- Na pewno, muszą coś mieć - odpowiada Zydel.

Z oddali widać rozrywające się pociski artylerii przeciwlotniczej i reflektory gdzieś w okolicach Swansea.

Tam musi być piekło, pomyślał Nowak.

- Halo „Coachman 47” - odezwał się wreszcie kontroler GCI - utrzymaj obecny kurs, mamy coś dla ciebie, jaką macie wysokość?

- OK. Jesteśmy gotowi, wysokość jedenaście tysięcy, jestem na podłuchu!

No, przynajmniej przy Włodku nie mam kłopotu z tłumaczeniem, angielskim posługuje się na medal, myśli Nowak. Jego oczy przylgnęły do ekranu chronionego gumowym kołnierzem, cały zamienił się we wzrok. Nagle zauważył cienki półksiężyc, który jak mgiełka pojawił się z lewej strony ekranu, aby po chwili zniknąć. Był już poza zasięgiem radaru.

- Widzę go - wrzasnął Nowak do intercommu. - O cholera! Znikł mi. Miałem go przez sekundę, ale to był samolot!

- W którą stronę poszedł? - pyta przejęty Zydel.

- Czort go wie, nie miałem czasu na dostrojenie po przechwyceniu - odpowiedział zawiedziony.

- Hallo „Sunday”, tu 47, jest ktoś w pobliżu mnie? - pyta ziemię Zydel.

- „Coachman 47”, wykonajcie ostry skręt w lewo kursem 190, wygląda na to, że hitlerowiec ucieka do domu..

Włodek wykonał głęboki skręt w lewo przy jednoczesnym schodzeniu, dodając trochę gazu. Nowaka wcisnęło w fotel siedzenia, ale trzymał się mocno oburącz czarnej skrzynki radaru, mając nadzieję, iż lada moment kontakt pojawi się znowu.

- Masz coś? - pyta Zydel.

- Guzik! - mruczy ze złością w mikrofon maski tlenowej.

Minęły pełne cztery minuty, zanim wpatrzony w szklany ekran radaru podniecony Nowak wyłowił leciutki ślad półksiężyca, który z wolna się wypełniał.

- Mam „blip”! Utrzymaj schodzenie, trochę więcej w prawo - mówi do pilota. Maszyna szła teraz na pełnej szybkości.

- Dobra! - krzyknął równie podniecony Zydel, wykonując polecenie. - Tylko teraz trzymaj, nie zgub znowu!

- Spokojnie, jest od nas około siedmiu mil. Nie możesz trochę szybciej? Jaką mamy wysokość?

- W tej chwili sześć i pół tysiąca stóp, szybciej nie mogę, bo się rozleci, łapiesz go?

Ale go nie złapali. Przez jedną chwilę podczas schodzenia Nowakowi udało się złapać „blip”, gdy jednak wyrównali, tamten był już poza ich zasięgiem.

Zameldowali GCI o niepowodzeniu. Współczuli im, ale co można było na to poradzić? Po chwili skierowali ich w inny sektor.

Są w powietrzu ponad godzinę i nic się jakoś nie dzieje.

- Co z nimi jest? - denerwuje się Zydel. - Czyżby zasnęli ?

- A może poszli na „cup of tea”? - żartuje Nowak.

Tamci jakby usłyszeli, bo w tej samej chwili rozlega się w słuchawkach głos kontrolera:

- Hallo 47, jesteście tam jeszcze?

- A gdzie mam być - odpowiada Zydel. - Na Picadilly Circus?68

Pytanie retoryczne, bowiem mają ich na radarze.

- Spokojnie, spokojnie, nie denerwuj się, powinno coś być dla ciebie za kilka minut.

- Roger - kwituje krótko pilot. - Jestem na podłuchu.

Teraz Włodek poprawił się w siedzeniu, sięgnął po papierosa, ale po chwili, jakby się rozmyśliwszy, z powrotem włożył paczkę do kieszeni battledressu pod „maywestkę”.

- „Coachman 47” - rozległ się w słuchawkach głos kontrolera. - Nieprzyjaciel w waszej strefie, życzę powodzenia!

Nowak wytrzeszczył teraz oczy, by dojrzeć Niemca. Nareszcie! Coś tam majączy.

- Na granicy zasięgu, troszkę w prawo, wysokość ta sama-mówi do intercommu. - Mam kontakt! Zasięg siedem mil, na naszej wysokości, tak trzymaj, dopóki go nie ustalę.

- Dobra - kwituje zadowolony Zydel.

- Cel się zbliża bardzo szybko, idzie od czoła, przygotuj się na odskok w lewo na sto osiemdziesiąt.

- Dobra - krótko odpowiada pilot.

Cel powiększa się raptownie, jest troszeczkę z prawej, tak jak być powinien, ale wysokość ta sama.

- Jesteśmy na zbieżnym kursie, wejdź troszeczkę wyżej.

Reakcja Zydla jest natychmiastowa. Jeden ruch i już są wyżej celu.

- Dobra, tak trzymaj!

Nowak jest podekscytowany, ale stara się mówić spokojnie. Powtarza sobie w duchu wszystko to, czego nauczył się podczas długich ćwiczeń w powietrzu. „Trzymaj się lekko prawej strony, czekaj, aż odległość zmaleje do dwóch mil, wtedy szybko odskakuj w lewo i wykonuj skręt o 180 stopni, schodząc lekko. Jeśli zwrot wykonasz za wcześnie, możesz przy zakończeniu go nadziać się na samolot ścigany, jeśli za późno, będziesz narażony na długi pościg, który może zakończyć się niepowodzeniem. Wszystko zależy od szybkości wrogiego samolotu. Wykonany skręt w jego kierunku może zakończyć się przecięciem jego poziomu lotu i zauważeniem przez przeciwnika, czego przede wszystkim musimy uniknąć, aby go zaskoczyć i osiągnąć sukces. Manewr zawrócenia musi być wykonany dokładnie, tak aby po odejściu od celu do zwrotu nastąpił we właściwym czasie - powinien być zakończony około kilometra za ściganym samolotem i poniżej jego poziomu”. Nowak czekał; wiedział, że tuż przed zakończeniem skrętu będzie miał go znów na radarze.

- Uwaga, jesteśmy dwie mile od niego, odskakuj! Zejdź sto metrów, daj mi znać, kiedy będziesz kończył skręt - mówi do pilota.

Dobra, pełny skręt o sto osiemdziesiąt w lewo i sto metrów poniżej, zameldować koniec skrętu - powtarza Zydell.

Wykonuje to wszystko jak na ćwiczeniach. Nowak znów ma Niemca na swoim radarze, a już po chwili patrzy na niego gołym okiem. Był to Ju-88.

Zydell podszedł nieco bliżej i z odległości około stu dwudziestu metrów posłał mu krótką, dwusekundową serię z działek. Pociski poszły po kadłubie. Niemal w tej samej chwili tamten zobaczył ich: przewalił się na lewe skrzydło i poszedł raptownie piką w dół. Oni za nim. Ale był już za daleko, aby Włodek mógł otworzyć ogień.

- Zaskoczył mnie, sukinsyn! - zaklął Zydell.

Nieprzyjaciel szedł niemal pionowo w chmury pod nimi i wkrótce znikł w niebieskiej mgiele. Ścigający go zeszli również pod chmury w nadziei, że może wpadł do morza, bo przecież seria poszła w niego, ale gdzież tam! Przepadł bez śladu. Pochodzili jeszcze w tym rejonie 40 minut, aż GCI skierowało ich z powrotem do bazy. Na dzisiaj koniec polowania.

Andrzejewskiemu również nie powiodły się łowy tej nocy, poszli więc w czwórkę do mesy oblać wspólne niepowodzenie.

## Zestrzelić go!

Dostali z Zydlem 3 dni urlopu i wybrali się razem do Swansea. Polecili samolotem na stare lotnisko Fairwood Common, dalej autobusem. Chodzili po mieście, szukając zniszczeń po ostatnim nalocie. Ku swojemu zdziwieniu nigdzie nie dostrzegli świeżego gruzu. Wydawało im się jednak, że w Swansea jest jakby przestronniej. Napotkani znajomi, których spytali o ostatni nalot, powiedzieli im, że był dosyć ciężki, a kiedy wyrazili zdziwienie, że nie ma gruzów, odpowiedzieli, że do tej pory został uprzątnięty. Stąd tyle wolnego miejsca, które od razu rzuciło im się w oczy.

Po powrocie trafili na nocny dyżur i od razu byli numerem 1, a więc: w gotowości bojowej.

Około północy dowódca eskadry podszedł do Boba, dyżurującego przy telefonie.

- Bob, zadzwoń do „Ops”, może pozwolą nam pojechać na kolację - powiedział. Mesa była oddalona o dwie mile.

- Ej, pan kapitan - odpowiedział Bob po polsku. - Po co dzwonić, można jechać.

- No, no, nie filozofuj, tylko dzwoń - tym razem ostrzej powiedział Lewandowski.

Dziwne, bo ten sam Bob prężył się na baczność przed angielskim podporucznikiem, a Lewandowski był bądź co bądź angielskim squadron leaderem, czyli majorem.

Po chwili przyszła odpowiedź z „Ops”. Niestety, nie wolno - kolację dostarczą na dispersal.

I rzeczywiście, nie minęło nawet pół godziny, gdy zajechał samochód z „catering”, przywożąc w termosach smaczną kolację i gorącą kawę.

Była druga piętnaście, kiedy ich poderwali. Tylko jeden samolot. Podążyli z pośpiechem do maszyny, przy której jak zwykle stał mechanik. Drzwiczki były otwarte, wszystko przygotowane.

Swoją drogą powinni wymyślić jakieś specjalne odznaczenie dla tych ludzi, przecież oni pracują więcej niż my, pomyślał Nowak, wsiadając do środka.

Już w samolocie wsunął spadochron pod „szafę”, bo tym razem miał go ze sobą, i zajął się normalnymi czynnościami przed lotem.

Zydel, kołując, rozmawiał z wieżą. Otrzymał zgodę na zajęcie pasa i start. Po chwili byli w powietrzu.

- Halo „Sunday”, „Coachman 47” w powietrzu 02,21, proszę o zezwolenie przejścia na kanał „D”.

- Zezwalamy, koniec łączności.

W ten sposób zakończyła się pierwsza część ich dzisiejszego lotu. Nie tracono czasu, widać musiało być coś pilnego. Zydel wcisnął guzik, na którym przez niebieskie światelko na kontrolerze widać było literkę „D”. Byli w tej chwili na kanale „D” Operations, które kierowało lotami operacyjnymi w sektorze Grupy.

- Halo „Sunday”, „Coachman 47” w twojej strefie zgłasza gotowość do wykonania zadania.

- „Coachman 47”, przyjmij kurs 174, wchodź na dwanaście tysięcy stóp jak tylko możesz najszybciej.

A więc mają coś dla nich, prowadzą ich na pewniaka. Nowak znów poczuł dreszcz emocji. Spojrzał na Włodka, tamten uśmiechnął się i podniósł kciuk do góry.

- Słuchaj, ale ten, to nam chyba nie umknie?

- Niedoczekanie, tylko ty go nie spuść z oka, podaj mi go dobrze.

- Spokojna głowa - mówi Nowak, ale czuje się niepewnie, bo czyż można przewidzieć, jak to będzie?

Włączył swoją „szafę”, aby być w pogotowiu bojowym. Po nagraniu się aparatury, kiedy już świecił ekran, obszukał pilnie swój wąski sektor. Na razie nie było nic widać. Co prawda nie spodziewał się jeszcze niczego, ale... Czekał na dalsze instrukcje.

Tuż po starcie wyłączono światła lotniska, tak że znaleźli się w kompletnej ciemności. Minęło trochę czasu, zanim wzrok oswoił się z panującą dookoła czernią. Nad nimi, na wysokości około 3000 stóp, wisiał ciężki nimbostratus. Po chwili wchodzili już w chmury. Zrobiło się jeszcze ciemniej, tylko tablica, a na niej przyrządy pokładowe, jaśniała jasnozielonym światłem fosforu.

Spojrzał na Zydla. Na jego twarz padały cieniutkie strużki światła z nieszczelnych kontrolerów radia, umieszczonych z lewej strony, tuż koło siedzenia pilota.

Włodek zameldował, że weszli w chmury na wysokości 3100 stóp. Wiadomość dla meteorologów. Pokwitowali i poprosili, aby podać wyjście z chmur, chcą przy okazji zmierzyć grubość warstwy.

Po chwili „Ops” podał nowy kurs - 192, i polecił zgłosić 12 tysięcy stóp.

Nowak pilnie obserwował ekran, aby na kogoś nie wpaść w gęstym „kicie”, ale ekran radaru był wciąż pusty. Nagle zamigotały gwiazdy, aby po chwili zajaśnieć pełnym blaskiem.

Zydel zameldował wyjście z chmur na wysokości 5400 stóp. Zgodnie z poleceniem wchodzili wyżej.

Podali znów nowy kurs - 200 stopni. A więc grubość tej warstwy wynosiła tylko 1200 stóp. Suną teraz nad chmurami, które przy wchodzeniu maszyny na wysokość idą szybko w dół. Nareszcie osiągnęli nakazaną wysokość.

Meldują. Teraz, po oswojeniu wzroku z ciemnością i wyjściu z chmur, widoczność jest zupełnie dobra, aczkolwiek księżyc nie ma. Czerni nieba wyraźnie odbija się od kłębiących się pod nimi chmur. Po chwili znów zmiana kursu i niebawem ponownie - 280, 300 i 360, a więc idą z powrotem. Po zmianie ostatniego kursu ostrzeżenie dla Nowaka: niedaleko nich może być „boogie”<sup>69</sup>.

Henryk obserwuje bacznie i po chwili wydaje mu się, że w prawym rogu ekranu majaczy coś obcego.

- Włodek, trzy stopnie w prawo, zobaczymy, co tam jest, zdaje się, że to „blip” - mówi do pilota: Jeszcze nie zdążył dokończyć, a już z prawej strony pojawił się niewyraźny półksiężyc. A więc Zydel zareagował natychmiast.

---

<sup>69</sup> Nie rozpoznany samolot. Dosłownie: intruz.

- Jest! - mówi Nowak. - Trzysta metrów poniżej poziomu, odległość sześć mil, idzie przed nami z prawego, zejść niżej do jedenastu tysięcy i postaraj się iść trochę wolniej.

- Dobra, prowadź, ja jeszcze nic nie widzę.

„Blip” rośnie wyraźnie, koło się wypełnia. Są już tylko trzy mile i sto metrów poniżej jego poziomu. Tak być powinno.

- Patrz, Włodek, powinien być przed nami, odległość dwie mile.

- Widzę, czekaj, ale co to jest?! - mówi zaniepokojony. -. Co to za cholera? Heniek, rzuć ten radar i patrz!

Nowak odsunął się od gumowego kołnierza radaru i po chwili, gdy jego oczy już trochę oswoiły się z nowym widokiem, zobaczył...

- Odległość pół mili -mówi jeszcze automatycznie. Samolot widać wyraźnie. - Włodek, czy to nie jest przypadkiem Wellington? - pyta niepewnie.

- A więc to prawda - mówi z ulgą Zydel. - A już myślałem, że mi się tylko tak zdawało.

- Hallo GCI, mamy kontakt, rozpoznany samolot to Wellington RAF.

- Roger - pada odpowiedź po krótkiej przerwie.

Czekają na instrukcje.

Przed nimi, trochę wyżej, idzie w kierunku Kornwalii samotny Wellington.

Odchodzą w lewo, wchodzą na jego poziom i widzą najpierw wieżyczkę tylnego strzelca, a potem, przy wyprzedzaniu, dostrzegają w przednich szybach twarze pilotów. Przechodząc obok machają skrzydłami.

Nowak i Zydel czekają w dalszym ciągu na instrukcje, myśląc nad tym, jak się porozumieć z załogą Wellingtona. Gdyby ich TR-9 była w porządku, już by ze sobą mówili, bo pilot zawołał bombowiec na kanale „A”. Muszą więc używać znaków optycznych, przewidzianych w takich wypadkach. Zaczynają sobie teraz je przypominać. Jakież było ich zdumienie i przerażenie, kiedy otrzymali z dołu rozkaz:

- Shot her down!70

Poszaleli tam czy co? Ale rozkaz jest rozkazem, święta rzecz! Trzeba go wykonać bez dyskusji. Podchodzą więc do bombowca po wykonaniu czołowego skrętu o 180 stopni. Z przewagą wysokości idą teraz na niego do ataku frontalnego, nietypowego dla nocnego myśliwca. Nie ma się co tu kryć, grają w otwarte karty. Dają „przeciwnikowi” szansę uczciwej walki.

Patrzą obaj na dobrze widoczny samolot, który szybko się zbliża. Za chwilę krótka seria z działek pośle go w płomieniach na ziemię. Nowak czuje dość, że tamten przedni strzelec nie otwiera do nich ognia. Widzą go wyraźnie. A może chce ich podpuścić bliżej?

Nie, są już za blisko. Samolot rośnie w oczach. Wygląda dziwnie bezradnie. Idzie trochę bokiem, wydaje się, że ma kłopoty z silnikiem, coś za bardzo ciągnie go w prawo. Już, już powinni otworzyć ogień, ale Zydel nie miał serca posłać mu serii. Tuż przed atakiem spojrzął na Nowaka. Ten nie mówił nic, tylko podniósł obie ręce w górę. Zrozumieli się bez słów.

Robią dużą rundę i podchodzą ponownie do ataku od frontu; może tamten przedtem ich nie widział albo dojrzał za późno? Coś w końcu muszą zrobić; rozkaz trzeba wykonać, przecież tam na ziemi już wiedzą, że to ich samolot.

Podchodzą z frontu z lekką przewagą wysokości. Idą w dół, wprost na Wellingtona, który w tym momencie zapalił światła pozycyjne. Biała, wystrzelona w górę rakietą oznajmiła: „Nie strzelajcie, swój”!

Mijając tamtych zapalili swoje reflektory i obejrzeni bombowiec dokładnie. Wyglądał nieszczerólnie: po bokach duże otwory, powstałe chyba od szrapneli. Na widocznym od ich strony płacie również dwie dziury. W przedniej kabine trzy głowy i machające do nich ręce. Nowak zdążył jeszcze uchwycić znaki rejestracyjne samolotu „WB-H”.

Już wiedział, co się stało z Wellingtonem. Nie miał łączności, był postrzelony, wracał inną bramą wlotową niż był powinien, ustaloną na tę noc, a co najważniejsze... jego IFF była zniszczona! Na radarze w „Ops” został zidentyfikowany jako obcy, stąd ten dziwny rozkaz. Ale przecież załoga Mosquita go rozpoznała, więc dlaczego?

Po raz drugi przekazują do „Ops”, że to samolot własny. Podają jednocześnie jego znaki rozpoznawcze i opisują stan, w jakim się znajduje.

Znów cisza, która wydaje się wiekiem. I wreszcie znowu ten dziwny rozkaz, tym razem brzmiący już bardziej stanowczo:

- Zestrzelić go, to rozkaz!

To już była sprawa poważna. Niewykonanie rozkazu groziło sądem wojskowym. Anglicy nie zwykli żartować w takich wypadkach. No trudno, trzeba to zrobić.

Wellington jest przez cały czas w ich polu widzenia i idzie po pierwotnym kursie. W myśl pobieżnych obliczeń Nowaka powinni w tej chwili wchodzić nad brzeg w okolicy własnego lotniska. Cała akcja rozgrywała się jak dotąd nad Kanałem.

Ranny bombowiec na pewno się domyślił, że na jego temat toczy się rozmowa z „Ops”, bo aczkolwiek nie przeszkadzali mu iść obranym kursem, krążyli wciąż w zasięgu wzroku, nie podchodząc jednak zbyt blisko.

Idą ponownie na niego i przyjmują pozycję do ataku. Tamci zorientowali się, jaki otrzymali rozkaz, bo znowu wystrzelili raketę. Nietrudno było się przecież domyślić zamiaru nocnego myśliwca, idącego z góry na ich samolot. Karabiny przedniego strzelca, który powinien otworzyć do Mosquita ogień, poszły raptownie w dół. Nie przyjmuje walki, poddaje się.



Nowak jest na nich wściekły. Czemu, do cholery, nie otwierają do nich ognia? Czemu nie dają nura w chmury? Przecież tam trudniej byłoby atakować i mieliby wytłumaczenie, a on tylko wydawał się prosić: „Wiem, że musicie, ale nie róbcie tego, bądźcie ludźmi!”

- I co my mamy zrobić? - spytał głośno Nowak.

- Toż to istny mord!

Spojrzał powtórnie na Zydla, on na niego, pokręcił przecząco głową, tamten powtórzył jego znak i właśnie w tym momencie minęli Wellingtona, nie czyniąc mu szkody.

- Co robisz? - pyta Zydel. - Heniek, jeśli my go nie zrąbiemy, poderwą kogoś innego, a tamten nie będzie się pieprzył, tylko go spruje, a wtedy koniec z nami, no jak?!

- Wiesz co? - Nowakowi zaświtała zbawcza myśl.

- Pamiętasz ten poligon, gdzie chodzimy na strzelanie do czołgów? Byliśmy tam w zeszłym miesiącu, to będzie około dwadzieścia mil od naszego lotniska. Teren możliwie równy, tak mi się przynajmniej zdawało z powietrza. Może posadzimy go tam? Jeśli to naprawdę Niemiec, to niech sobie rzuca te swoje bomby tam. Co ty na to?

Dobra -: odpowiedział krótko.- Idziemy, ale musimy go spuścić pod chmury. A jak nam zwieje?

- Wtedy go poszukamy radarem - mówi Nowak.

- Długo się tam nie utrzyma, wyjdzie, wyjść musi, a wtedy... koniec z nim, zrąbiemy!

- Dobrze. Tak zrobimy. Na zdrowie to nam nie wyjdzie - mówi smętnie Zydel - ale pies im mordę lizał, jutro my możemy znaleźć się w podobnej sytuacji i może nam również ktoś rękę poda - pociesza głośno sam siebie.

- Słuchaj, Włodek - mówi Nowak. - Decyzję podjęliśmy wspólnie i wspólnie poniesiemy odpowiedzialność.

Pilot popatrzył na niego i skinął głową.

Tymczasem z „Ops” cisza. Na pewno pilnie ich obserwowali na swoim radarze, zaintrygowani kursem, jaki teraz przyjęli.

Podchodzą do Wellingtona. Podczas wyprzedzania go z lewej strony włączyli na chwilę swoje reflektory, potem dali mu sygnał: „Follow me”<sup>71</sup>.

Odpowiedzieli natychmiast sygnałem: „Wykonamy wszystkie wasze polecenia”.

Nabrali nieco wysokości i piką idą w dół, tracąc go z oczu. Po chwili byli już pod chmurami, schodząc jednocześnie niżej, aby Wellington nie nadział się na nich. Jeszcze nie wiedzą, w którym miejscu przebije chmury, toteż wytyżają oczy. Parę minut niepewności i oto jest nareszcie około mili od nich. Wychodzi z chmur na zapalonych reflektorach. Cwaniak!

---

<sup>71</sup> Idź za mną.

Dali mu sygnał swoimi, aby ich mógł zauważyć, idą teraz za nim, wyprzedzają go i instruują światłami pozycyjnymi: podają kurs, jakim ma podążać.

Kwituje wszystko swoimi światłami, które ma na szczęście w porządku. Nowak tymczasem pracuje nad ustaleniem pozycji. Na pomoc z „Ops” nie ma co liczyć. Podaje pilotowi kurs na poligon. Operations w dalszym ciągu się nie odzywa. Nowak wyobraża sobie, jak tam, na ziemi, pilnie obserwują wskaźniki radarów i czekają, co ci szaleni Polacy znów wymyślą.

Idą teraz przed Wellingtonem nowym kursem na minimalnym gazie. Są od niego dużo szybsi, dlatego też robią ostry wiraż w lewo, dając mu znak, aby szedł po narzuconym kursie, prosto. Tamci kwitują, idą.

Zrobili jeszcze dwa okrążenia, zanim rozpoznali miejsce, w którym za chwilę powinien pojawić się poligon. Na małej wysokości, daleko przed bombowcem, na zapalonych reflektorach zakreślają koło nad poligonem, pokazując mu, że tu musi lądować, po czym odchodzą w bok, obserwując jego poczynania.

Zrozumiał. Zakreślił małe koło, aby obejrzeć teren, na prostej zapalił reflektory, przyjrzał się lądowisku raz jeszcze, rzucił flarę, aby sobie rozjaśnić miejsce, i podchodzi teraz do lądowania. Na prostej po raz drugi włączył pełne reflektory, oświetlając podejście i lądowisko.

Dopiero teraz zawiadomili „Ops”, że zmusili go do lądowania na poligonie. Z „Ops” przyszła krótka odpowiedź:

- Roger.

Wellington już wylądował. Miał szczęście, bo gdyby coś nie wyszło, nikt nie udzieliłby załodze pomocy. Byli przecież oddaleni o 20 mil od najbliższej osady, co gorsza - bez łączności. Nowak nie zazdrościł załodze Wellingtona tego lądowania, nawet Mosquito nie mógłby im wiele pomóc. A jednak samochody już szły w ich kierunku na pełnym gazie bez zaciemnienia. Widzieli je wyraźnie.

Wzięli kurs powrotny na bazę. Po kilku minutach kołowali już w stronę swojej stojanki. Czekają tam na nich auto z „Ops”. Koło samolotu zgromadzili się koledzy. Tym razem Nowak i Zydel powoli wykonują swoje czynności końcowe po locie przed wyjściem z samolotu. Starają się odwlec nieprzyjemną rozmowę.

Wychodzą w końcu z maszyny, rozmawiają chwilę z kolegami, odpowiadają na pytania. Oczekujący ich kierowca przypomniał im, że tam już na nich czekają. Po kilku minutach wysiadali przed wkopanym w ziemię bunkrem, w którym mieściło się dowództwo operacyjne dywizjonowego sektora.

Oczekiwali ich tam dowódcy i dyżurny - starszy kontroler w stopniu majora. Po ich minach poznali, że ich sprawa bynajmniej dobrze nie stoi. Kontroler zaatakował ich z miejsca:

- Panowie, nie wykonaliście rozkazu, mam nadzieję, iż nie weźmiecie mi tego za złe i nie będziecie mieć do mnie żalu, jeśli użyję moich uprawnień i oddam was pod sąd polowy!

Starali się panować nad sobą, lecz na takie dictum krew ich zalała. Posypały się niecenzuralne słowa w języku angielskim i polskim, wzajemnie skoczyli sobie do oczu. Major w podnieceniu, niezwykle jak u Anglika, zapiszczał:

- Na was i tak się patrzy przez palce, na wasze wybryki, samowolę. Gdybyście byli Anglikami, to byście od razu poszli pod mur!

- I całe szczęście, że nie są Anglikami - rozległ się za plecami Nowaka dziwnie mu znajomy głos.

Obejrzał się szybko, ciekaw, kto im przychodzi w sukurs, i nie mógł uwierzyć własnym oczom. W otwartych drzwiach bunkra stał we własnej osobie G/C Gordon, za nim trzech z załogi w szelkach od spadochronu i dwóch podoficerów z miejscowej służby ochrony lotniska oraz sierżant z MP, którzy pojechali po nich na poligon. Gordon wydał się Henrykowi dużo starszy i jakby mniejszy. Na twarzy miał zakrzepłą krew, z całej postaci biło zmęczenie. Poznał go z trudnością.

- O - powiedział Gordon - widzę, że jest tu bardzo gorąco! To wy jesteście załogą Mosquita, który posadził mnie na poligonie?

- Tak jest - odpowiedział ze złością Zydell. - Zgadza się, nawet odbieramy zapłatę: idziemy pod Court Marshall

Gordon popatrzył na niego chwilę i wolno obrócił się w stronę kontrolera, cedząc przez zęby:

- Ty lądowy szczurze! Żebyś ty chociaż raz był tam, po tamtej stronie, nauczyłbyś się myśleć inaczej i w inny sposób interpretowałbyś przepisy i instrukcje. Nie wiem, czy zdecydujesz się skorzystać z przysługujących ci uprawnień i oddasz ich pod sąd, ale wiem o tym, że ja użyję wszystkich dostępnych mi środków, aby ci w tym przeszkodzić! Inicjatywa posadzenia mnie na pustym poligonie winna była wyjść od ciebie!

- Panowie - zwrócił się ponownie do Zydla. - Raz jeszcze dziękuję gorąco za uratowanie życia nam wszystkim. Dwóch z załogi jest ciężko rannych, ale dzięki natychmiastowej pomocy mamy nadzieję utrzymać ich przy życiu, są teraz w dobrych rękach. Przyznam się panom, że nie wiedziałem, gdzie jestem, szliśmy kursem zero, ale nie byłem pewny prawidłowego odczytu busoli, mógłbym również dobrze być teraz nad Francją. Dziękuję wam!

Uścisnął rękę Zydlowi i z wyciągniętą dłonią zwrócił się ku Nowakowi. Popatrzył na niego przez chwilę, przytrzymując jego rękę w swojej. Na zmęczoną twarz Gordona wypełził uśmiech. I nagle stała się rzecz nie praktykowana chyba nigdy w całym RAF. Gordon wziął Henryka w ramiona i uścisnął.

Nowak wiedział, że stało się to pod wpływem szoku, jaki przeżył, ale było mu przyjemnie.

- Tak, to ja, sir - powiedział uszczęśliwiony. - Jak się lądowało, sir?

- Well, well - odrzekł Gordon po chwili, wzruszony. - Wszystkiego bym się spodziewał, ale że spotkam tu sierżanta, który się przy mnie wylaszował, i to w takich okolicznościach! To jest jeden z tej dzielnej dwójki, dzięki której tu jesteśmy - mówił teraz do swej załogi. - Good show!<sup>72</sup> - rzucił swoje ulubione powiedzonko w stronę ogłupiałego już doszczętnie kontrolera.

---

<sup>72</sup> Dobra robota.

- Nowak, ale co ty tutaj robisz, przecież szkolony byłeś na bombowca i twoje skierowanie do trzechsetnego sam podpisywałem?

- Tak wyszło, sir - odpowiedział Nowak. - Cieszę się strasznie, że pana widzę.

- Nie przypuszczałeś chyba, że to ja będę w tym samolocie?

- Oczywiście, sir, wiedziałem. Przecież dojrzałem pana przez okno i od razu poznałem - kłamał Nowak z humorem.

Roześmieli się wszyscy z wyjątkiem kontrolera.

- Az panem chciałbym zamienić kilka słów na osobności - zwrócił się Gordon do przybitego zajściem majora.

Ten skłonił się i polecił im opuścić pomieszczenie.

Major Orzechowski wyszedł wraz z nimi.

- No, wydaje się, że burza minęła - powiedział. - A wy zrobiliście dobrze. Oczywiście Anglik pochwalić tego nie może, bo by stworzył precedens. Wydaje mi się jednak, że on też dostanie po uszach za zbyt pochopną decyzję. Byłem przez cały czas obecny podczas waszej akcji i nawet zwracałem mu uwagę, bowiem daliście całkowicie jasny obraz sytuacji, rozpoznanie było właściwie, a jednak... nie było innego wyjścia, a o poligonie, przyznam się, nikt z nas nie pomyślał. Panie Nowak, skąd pan zna tego pułkownika? Witał pana, jakby mu pan był bardzo bliski.

- Okoliczności, panie majorze, stąd ten jego gest. Normalnie skończyłoby się na „how are you”<sup>73</sup>. - Nowak opowiedział teraz o Bramcote.

- To takie buty, teraz go rozumiem. Rzeczywiście traf... - powiedział w zadumie major. - No to czołem, panowie - ocknął się. - Czas się trochę przespać. Jutro jesteście wolni od lotów, powiedzcie to Lewandowskiemu i ... nie przejmujcie się. Wszystko będzie OK. O, byłbym zapomniał. O całym wydarzeniu ani słowa, do nikogo! To jest warunek postawiony przez majora i nie dziwcie mu się zbyt, on też miał swoją rację. Otóż ostatniej nocy jeden z naszych Wellingtonów został zmuszony do lądowania na terenie Niemiec. Radiotelegrafista w myśl instrukcji wysadził IFF w powietrze. Wellington był w dobrym stanie i dziś w nocy przed trzema godzinami przelecieli na nim Niemcy, obrzucając bombami jedno z lotnisk. Są duże straty w ludziach i sprzęcie.

Nowak długo nie mógł zasnąć tej nocy, a właściwie podczas tego krótkiego okresu, który dzielił ich od świtu. Wszystko, co niedawno przeżył, stało mu przed oczami. Było już po pierwszej, kiedy obudził go Zydel.

- Wstawaj, leniu, jesteśmy zaproszeni do kasyna oficerskiego na bankiet wydawany przez pułkownika Gordona i jego załogę - powiedział wesoło.

- Nie idę, nie wpuszczą mnie, jestem sierżantem - przekomarzał się Nowak.

- Nie wygłupiaj się, chodź, nie wypada, aby czekali.

---

<sup>73</sup> Jak się masz.

Na obiedzie obecni byli dowódcy eskadr. Był również kontroler, ale starał się unikać wzroku obydwu Polaków.

Podczas obiadu wyjaśniono sobie wszystko. A więc z Wellingtonem było tak, jak Nowak i Zydel przypuszczali. Uszkodzony mieli sprzęt radiowy, zniszczone IFF, radiokompasy, prawie wszystko. Nie mogli się na nic namierzyć, szli tylko na busolę i astronawigację, nie znając warunków meteorologicznych - prawie w ciemno. Z astronawigacji mogli skorzystać na krótko przed spotkaniem z Mosquitem, bowiem przedtem lecieli między dwoma warstwami chmur.

Po tygodniu ukazał się rozkaz udzielający im nagany bez wpisywania do akt. W tym samym rozkazie w innej rubryce na samym dole pochwalono ich za podjęcie słusznej decyzji, dzięki której uratowana została załoga Jego Królewskiej Mości i jego samolot. Był to rozkaz tajny, nie czytany przed frontem, podany tylko zainteresowanym do wglądu z obowiązkiem zachowania tajemnicy.

Po dwóch tygodniach przyszedł już jawny rozkaz, awansujący Zydla do stopnia porucznika (F/O - flying officer), Nowaka zaś do stopnia chorążego (W/O - warrant officer). Oczywiście w angielskich stopniach. Do polskich awansów bowiem w dalszym ciągu Nowak szczęścia nie miał.

Taki był epilog tej sprawy. Jak się dowiedzieli później, płk Gordon wkrótce potem objął stanowisko w dowództwie Grupy Bombowej i awansował do stopnia air commodora.

## Dramat Shakespeare'a na wesoło

Nowak otrzymał 12 dni urlopu, który postanowił częściowo spędzić u Kordelów, bo w każdym liście przypominali mu o tym. Mieszkają obecnie w pobliżu Northolt, gdzie stacjonuje Wacek ze swoim dywizjonem. Joan nie pracuje nigdzie. Jako mężatka nie podlega przymusowi pracy ani służbie wojskowej. Dorywczo pracuje społecznie, podobnie jak żony innych lotników, mieszkające w pobliżu.

Wieczorem wybrali się we trójkę do jednego z londyńskich teatrów. Nowak nie miał bardzo ochoty, ale poszedł, aby nie sprawić Wackowi przykrości. Bilety kupili już wcześniej, dowiedziawszy się z listu o jego przyjeździe.

Do Northolt podrzucił go Mosquitem Zydell, który dostał zezwolenie na powrót dnia następnego, toteż pierwszy dzień spędzili we czwórkę w jednym z lokali rozrywkowych w dzielnicy londyńskiej Hammersmith w pobliżu Northolt.

Nazwy teatru Nowak nawet nie zauważył. Jak zdążył przeczytać na afiszach, grali „Hamleta”.

Przedstawienie się rozpoczęło. Na widowni pełna napięcia cisza. Publiczność śledzi grę aktorów, gdy wtem... od strony drzwi wejściowych idzie dwóch głośno ze sobą rozmawiających mężczyzn. Wszystkie głowy z głośnym sykaniem odwróciły się w ich kierunku. Nie zrobiło to na nich najmniejszego wrażenia. W końcu, gdy sykania stały się już zbyt głośne i przeszkadzały ich rozmowie, jeden z nich wyraźnie się zdenerwował.

- Don't sh...sh... me!<sup>74</sup> - wykrzyknął w stronę publiczności.

Wszystkich aż zatkało z oburzenia na takie chamstwo!

Oni na chwilę się zatrzymali, nie zwracając już więcej uwagi na ludzi znajdujących się na widowni ani też na toczącą się na scenie akcję. Zajęci byli bowiem szukaniem dla siebie miejsc siedzących. Jeden znalazł w końcu wolne krzesło w ostatnim rzędzie, wysłał tam kolegę. Sam w dalszym ciągu rozglądał się za miejscem dla siebie, mrużąc coś pod nosem.

Podszedł aż pod pierwsze rzędy i z tej odległości spytał o coś kolegę, a gdy ten mu odpowiadał, prosił o powtórzenie, dodając, że aktorzy mu przeszkadzają. Raz nawet zwrócił się do nich, aby na chwilę przestali.

Z sali padają głosy oburzenia. Ktoś szuka biletera, ale ten znikł gdzieś jak kamfora. Wreszcie jeden z widzów wskazał mężczyźnie wolne krzesło w trzecim rzędzie, ale jak na dość było ono daleko od miejsca, w którym stał. Zaczął się tedy przepychać, robiąc przy tym dużo zamieszania. Siadał niewiastom na kolanach, potykał się, przepraszał, a robił to tak, że w końcu wprawił wszystkich w dobry humor.

Atmosfera dramatu rozwiązała się całkowicie. Usiadł wreszcie. Wszyscy odetchnęli. Nie na długo! Usadował się wygodnie, poprawił kanty u spodni i zainteresował się akcją na scenie.

---

<sup>74</sup> Nie uciszaj mnie!

Nagle po chwili siedzący już spokojnie nowy „widz” nie wytrzymał i zwrócił się głośno do aktora grającego rolę Hamleta, żądając powtórzenia wypowiedzianego przed chwilą przez niego tekstu. Tłumaczył się, że akurat był zajęty czymś innym i nie zwrócił nań uwagi.

Na sali zapanowała cisza. Wszystkie oczy zwrócone były na bezczelnego typa, który uniemożliwiał aktorom grę. Ale, o dziwo, aktor powtarza tekst.

- No tak - mówi widz, trąc w zamyśleniu podbródek. - Wiesz co? Mnie się to wcale nie podoba, to jest smutne i nieprawdopodobne. To trzeba zrobić tak, posłuchaj...

Widownia po chwili wybucha śmiechem. Już nikt nie ma wątpliwości, że ci dwaj pseudowidzowie to zawodowi aktorzy. Parodiują, zmieniają tekst, wyklócają się z aktorami na scenie. Teraz już cała sala pokłada się ze śmiechu. Zrywają się huraganowe oklaski. Aktor jednak nie wypada z roli widza, ale przecież nie byłby aktorem, gdyby nie reagował na oklaski publiczności skierowane pod jego adresem. Musi za nie podziękować, dlatego też wstaje ze swego miejsca i woła do kolegi siedzącego na drugim końcu sali, który również co chwila włączał się do akcji:

- Hallo, Charlie!

Nowakowi stanęły przed oczyma polskie teatry. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jakby nasza poważna publiczność przyjęła podaną w taki sposób tragedię, nie wiedząc o aranżacji.

Późnym wieczorem Henryk udał się do swojego pokoiku na górze. Cholernie zimno! Była już jesień, która nie jest nigdzie przyjemna, a najmniej chyba w Anglii. Rozebrał się szybko licząc na to, że może się w łóżku trochę rozgrzeje i „tu... przyjemna niespodzianka. W łóżku leżała tak bardzo rozpowszechniona w Anglii „Hot bottle” (butelka z gorącą wodą). Nowak nigdy by się na nią nie zgodził, ale Joan, która przewidziała jego reakcję, nawet go nie spytała o zgodę. Był jej wdzięczny.

## Tragedia na Biskajach

Urlop się skończył, Nowak znowu znalazł się w Predannack. Oczekiwano tu akurat wizyty naczelnego wodza gen. Sosnkowskiego. Henryk pełnił właśnie służbę oficera służbowego w mesach, nie musiał być obecny przy tej uroczystości. Widział tryumfalny wjazd w bramę główną. Poprzedzany przez siedmiu paradnie ubranych angielskich motocyklistów żandarmerii wjechał generał do dywizjonu, który stając w szeregach czekał, aby go powitać.

„Nawet król tak nie jeździ” - mówili z przekąsem przyglądający się Anglicy.

Posypały się odznaczenia, trzy... Krzyże Walecznych. Otrzymali je wtedy: por. Pełka, por. Damsz i st. sierż. Szempliński.

No tak, to było rzeczywiście nic w porównaniu z tym, co dawano w innych dywizjonach. W 307 ciężko było coś „zarobić”. Koledzy z dywizjonu 300, których Nowak spotykał podczas urlopu, mieli już dwukrotnie Krzyż Walecznych, on nie miał nic, nie był tego „godzien”, bo i za co? Pytany o te sprawy nawet nie bardzo wiedział, co odpowiadać.

I znów potoczyły się monotonne, szare dni bez żadnych emocji. Patrole, psia pogoda, czekanie na „lepsze czasy” - wszystko to nie poprawiało humorów. Kanadyjski dywizjon już dawno zluźowano. Na jego miejsce przyszedł angielski wyposażony w bardzo groźne i deprymujące nieprzyjaciela samoloty typu „Typhoon”. Maszyny te, o charakterystycznym profilu, wyposażone były w rakiety umocowane pod skrzydłami. Podczas nurkowania lecące w dół rakiety, podobne do radzieckich „Katiusz”, robiły dużo hałasu, siejąc panikę wśród Niemców.

Wszyscy mieli już dosyć tej podłej dziury i chętnie by się stąd wydostali, byle tylko jak najprędzej.

Nowak znów wyjechał na trzy dni. Po powrocie dowiedział się o nieprzyjemnej przygodzie, jaka spotkała Wojczyńskiego - musieli wodować na Atlantyku. Mieli jednak szczęście, bowiem ustalono jego pozycję za pomocą goniometrów. Skończyło się na kilkugodzinnym bujaniu na dinghy i strachu, że ich nikt nie odnajdzie. Nie jest wszak sprawą łatwą odnalezienie dwóch rozbitków na morzu, w dodatku wieczorem. Przezornie przywiązali do siebie obie dinghy, toteż rybacki kuter, jeden z wielu wysłanych na poszukiwanie, wyłowił ich z morza tego samego dnia. Obaj dostali solidnego kataru i spędzili dwa dni w izbie chorych. W ten sposób Wojczyński wraz ze swym nawigatorem st. sierż. Słuszkiewiczem stał się członkiem „Klubu Złotej Rybki”.

Prawie pod sam koniec wojny jedno z poważnych pism angielskich przeprowadziło wśród załóg dywizjonów lotniczych stacjonujących na terenach Wielkiej Brytanii ankietę. Wśród wielu pytań znalazło się i takie: „Czego najbardziej obawiałeś się w czasie lotu bojowego: a) artylerii przeciwlotniczej, b) skoku ze spadochronem z płonącego samolotu, c) dostania się do niewoli, d) przymusowego wodowania na morzu”.

Po podsumowaniu wyników ankiety okazało się, że prawie sto procent zapytanych wskazało zdecydowanie na ostatni punkt: lotnicy częściej woleli dostać się do niewoli niż być skazanymi na prawie pewną śmierć w zimnej wodzie morskiej.



Lotnicza służba ratunkowa (ASR - Air Sea Rescue) dopiero podczas wojny rozwinęła się na szerszą skalę, niosąc pomoc załogom zestrzelonym nad wodami kanału La Manche. Uratowano m.in. poważny procent lotników i amerykańskich „Latających Fortec”, wracających z terytorium Rzeszy.

Zawsze pełni nowych pomysłów Anglicy i tym razem wymyślili coś mającego podnieść na duchu walczące załogi. Otóż w Londynie utworzono dwa oryginalne kluby. Jeden z nich, „Caterpillar Club” (Klub Gąsienicy), finansowany był przez firmę „Irvin”, w której spadochrony wyposażony był RAF.

Członkiem klubu mógł zostać lotnik, który w krytycznej sytuacji użył spadochronu. Na pamiątkę otrzymywał on od firmy dyplom wraz z maleńką gąsieniczką jedwabnika z osiemnastokaratowego złota z rubinowymi oczkami. Druga firma, produkująca „kajaczki dymane”, czyli dinghy, założyła „Gold Fish Club” (Klub Złotej Rybki). Jak się nietrudno domyślić, jego członkami byli lotnicy, którzy uratowali życie dzięki gumowej, nadmuchiwanej balii. Do pamiątkowego dyplomu dołączano haftowaną odznakę, przedstawiającą złotą rybkę, mrużącą filuternie jedno oko. Odznakę nosiło się pod klapą bluzy.

Członkowie obu klubów mieli otwarty kredyt na wszelki napitek na miejscu.

Problem przymusowego wodowania na olbrzymich akwenach nabierał szczególnego znaczenia w lotnictwie bombowym. Myśliwcy ze względu na krótki zasięg operowali przeważnie 2-3 godziny i zazwyczaj w pobliżu własnej bazy. Mimo to wielu z nich poniosło śmierć w burzliwych wodach Kanału, jak na przykład dowódca dywizjonu 303 kpt. Zdzisław Henneberg czy kpt. Wacław Łapkowski.

Głośny był swego czasu fakt wodowania por. Lwa Kuryłowicza z dywizjonu 316, który przez 4 dni pływał w dinghy na Kanale, a swoje wrażenia zanotował na obu stronach kołnierzyka koszuli. Pisał on:

„Por. pil. F/O nr P-1761. Nie chciał iść do niewoli, skoczył do Kanału w niedzielę 22. 08. 43. Piszę we wtorek, pływam już dwie doby. Rescue mnie nie widziało, a ja ich tak! Były inne samoloty, ale mnie nie widziały. Latarka już nie działa, nie ma czym zwrócić uwagi na siebie. Czemu dywizjon 316 nie szukał mnie lepiej? Kontroler miał mnie aż do skoku. Trzeba dotrwać, widzę z daleka ląd. Boję się, że w nocy mnie odpędzi. Czwarta doba. Widzę ląd, lecz zbliżyć się trudno. Samoloty latają, ale nie widzą. Widzę z daleka cztery okręty, idą na mnie. Moje zbawienie, tak trudno umierać powoli. Zauważono mnie. Jestem na pokładzie HMS-62. Dowódca lieutenant Hastic. Skiper uratował mnie. Boże dzięki Ci! To łzy żony i matki uratowały mnie.”

Kuryłowicz przybył wraz z innymi lotnikami ze Związku Radzieckiego i po przeszkoleniu przydzielono go do dywizjonu 316. Był to dopiero jego drugi lot bojowy.

Na szczególne trudności narażone były załogi samolotów bombowych, które, częstokroć mocno podziurawione, po kilkunastu nieraz godzinach lotu wodowały na Morzu Północnym czy na Atlantyku. Firmy produkujące samoloty bombowe starały się zrobić wszystko, co było w ich mocy, aby zapewnić załogom możliwie optymalne warunki bezpieczeństwa. W tym celu wszystkie maszyny bombowe miały w kadłubie specjalne komory ze sprężonym powietrzem, które w wypadku wodowania utrzymywały samolot na powierzchni wody przez okres około 30 minut.

W prawym skrzydle samolotu zamontowana była ratownicza łódź gumowa dla całej załogi, która mogła być wyrzucana automatycznie przez pociągnięcie dźwigni lub, również automatycznie, przy zderzeniu samolotu z powierzchnią wody. Dwie butle ze sprężonym powietrzem powodowały

samoczynne napełnianie łódki. Pływająca już na wodzie dinghy przymocowana była do samolotu długim sznurkiem; ostatni członek załogi odcinał go nożem wchodzącym w skład wyposażenia łodzi. Dinghy oddalała się wtedy szybko od tonącej maszyny. W łódce znajdowała się mała radiostacja, wiośła, składany żagiel, woda do picia, latarki i raketnica, karty do gry, wędka oraz podręczny nadajnik radiowy, który przez pokręcanie korbką samoczynnie wysyłał sygnały „SOS”, i ręczne pompki służące do uzupełniania powietrza w łodzi.

Niezależnie od tego każdy lotnik miał na sobie „maywestkę”, której kolor również przyczyniał się do łatwiejszego dostrzeżenia „rozbitka” na morzu. W razie konieczności opuszczenia samolotu dźwignia umieszczona w kamizelce powodowała włączenie dwóch małych butli ze sprężonym powietrzem.

W momencie kiedy uszkodzony samolot znajdował się jeszcze w powietrzu, a dowódca podjął decyzję o wodowaniu, radiotelegrafista nadawał bez przerwy sygnał, aby naziemne stacje goniometryczne mogły możliwie dokładnie namierzyć pozycję samolotu.

Ten rozpaczliwy sygnał nadawany był aż do momentu wodowania, później radiota spinał klucz nadajnika na krótko, co powodowało dalsze wysyłanie sygnału ciągłego.

Tuż przed wodowaniem strzelcy pokładowi opuszczali swoje stanowiska i przechodzili do kabiny nawigatora. Po opuszczeniu maszyny zadania podzielone były następująco: radiotelegrafista zabierał ze sobą raketnicę, tylny strzelec klatkę z gołębiem pocztowym (jeśli były na pokładzie), nawigator mapy, natomiast pilot w razie potrzeby wypuszczał łódź ratunkową, która była przyczepiona do prawego skrzydła.

Samolot opuszczało się ze stanowiska pilota, dalej przez zapasowe wyjście wychodziło się na prawe skrzydło maszyny, a następnie, po upewnieniu się, czy dinghy napełniona jest powietrzem, trzymając się linki schodziło się do niej kolejno.

Dowództwo RAF, przewidując możliwość powstawania paniki w krytycznym momencie, wydało zarządzenie, aby w każdym dywizjonie chociaż raz w tygodniu każda załoga przećwiczyła sobie taką pozorowaną akcję ratowniczą. Zajęcia nosiły nazwę „dinghy drill”.

Kiedy już załoga samolotu znalazła się w łodzi ratunkowej, odcinano linkę cumującą i jak najszybciej odpytywało się od tonącego samolotu, by uniknąć wciągnięcia przez wiry.

Teraz należało natychmiast wypuścić gołębia pocztowego z meldunkiem do bazy, zawierającym dokładny czas wodowania, ostatnie znane położenie rozbitków oraz stan zdrowotny załogi. Drugiego gołębia wysyłało się zazwyczaj następnego dnia lub też o świcie, w przypadku gdy wodowanie odbyło się w nocy. Jednocześnie poszczególni członkowie załogi bez przerwy wysyłali na zmianę sygnał „SOS” z podręcznej radiostacji. Więcej szczęścia miały te załogi, które wodowały w pobliżu brzegu, bowiem tam najczęściej można było napotkać boję ratunkową z podręczną radiostacją, świetlnymi urządzeniami sygnalizacyjnymi, żywnością, wodą do picia i kocami. Niestety, wołania o pomoc odbierane były również przez Niemców. Jeżeli sygnał przychodził z boi znajdującej się na środku Kanału, niejednokrotnie Royal Navy ścigała się z Kriegsmarine, by dostać się do boi i wyłowić z niej rozbitków.

Wśród załóg RAF różnych narodowości utarł się piękny zwyczaj, iż w przypadku zauważenia na wodzie dinghy załoga przerywała swoje zadanie, meldując o tym bazie przez radio, i krążyła nad rozbitkami -

jednocześnie stale wzywając pomocy - aż do wyczerpania się paliwa. Wtedy na rezerwie wracała do Bazy.

Air Sea Rescue wyposażona była w liczne łodzie latające i motorowe. Jeżeli rozbitkowie znaleźli się w pobliżu brzegów nieprzyjacielskich, z pomocą przychodziła im Royal Navy.

Głośny był w swoim czasie przypadek, kiedy to załoga pewnego Wellingtona wodowała w pobliżu brzegów francuskich zajętych przez Niemców. Ponieważ łodzie motorowe wysyłane w takich wypadkach były zbyt słabo uzbrojone, więc tym razem wysłano na pomoc będący w pobliżu lekki krążownik brytyjski.

I wówczas, obie strony, nie chcąc dać za wygraną, stoczyły ze sobą formalną bitwę o pięciu lotników znajdujących się w łódce. W końcu artyleria przybrzeżna musiała uznać wyższość dział okrętu Royal Navy.

Jedno z najbardziej tragicznych wodowań w historii polskiego lotnictwa bombowego miało miejsce nocą z 25 na 26 czerwca 1942 roku. Wtedy tysiąc bombowców RAF bombardowało hitlerowską wytwórnię samolotów Focke-Wulf w Bremie. W czasie powrotu kilka samolotów wodowało na Morzu Północnym, między innymi jeden należący do dywizjonu 305 „Ziemi Wielkopolskiej”. Załoga w porę opuściła maszynę, brakowało tylko drugiego pilota. Komuś wydawało się, że widział jego sylwetkę na drugim skrzydle samolotu, ale gdy reszcie z trudem udało się wreszcie przeprowadzić łódkę na drugą stronę kadłuba, tylko spienione fale raz po raz obmywały śliską powierzchnię płatu, wciągając samolot coraz bardziej w czeluść wodną. Ciemność i wzburzone fale morza utrudniały załodze akcję ratunkową. Lotnik, którego brakowało, był na dodatek ranny. Bombowiec zatonął, a lotników po ośmiu godzinach wyłowił patrolujący te strony brytyjski okręt wojenny. Zaginionym lotnikiem był płk pil. Stanisław Skarżyński, słynny zdobywca Atlantyku przed wojną. Ostatnio pełnił funkcję komendanta stacji lotniczej Lindholme w Anglii i na ten lot bojowy zgłosił się ochotniczo. W okresie międzywojennym Skarżyński miał wypadek lotniczy, po którym utykał, co mu wcale nie przeszkadzało w lotach.

Tak to wyglądała w praktyce działalność Air Sea Rescue. Wiele ludzi dzięki jej działalności zdołało ocalić życie, ale nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Nie można było uratować lotników na przykład we mgle, w ciemnościach nocy czy podczas sztormu.

Ci, którzy mieli więcej szczęścia, do dziś dnia wspominają Klub Złotej Rybki, ci, którym szczęścia zabrakło, są wspominani przez żyjących.

22 sierpnia 1943 roku eskadra „B” poleciała na swój normalny patrolowy lot w rejon Zatoki Biskajskiej. Niebo pokrywał wysoki altostratus, widzialność nad wodą wspaniała. Morze pofalowane, najeżone grzywami fal.

Po godzinie i czterdziestu minutach lecący z prawej por. Pełka zameldował, że widzi duży klucz na godzinie dziewiątej. Oczy wszystkich skierowały się w lewo. Rzeczywiście, od strony hiszpańskiego brzegu, po przekątnej, daleko od nich, szły maszyny.

- Samoloty na godzinie trzeciej, duża formacja - melduje por. Małuszek.

- Widzę - pokwitował dowódca eskadry i klucza kpt. Lewandowski - ale to chyba nasi. Mieli być w tym rejonie. Na wszelki wypadek zarządzam pogotowie bojowe.

- Focke-Wulfy na szóstej! Są blisko! - woła Nowak.

- Zawracamy - pada nagle rozkaz dowódcy. -| I na małej wysokości powrót do bazy! Jesteśmy otoczeni, nie wdawać się w walkę. Po wykonaniu skrętu wrzucić „boosta”<sup>75</sup>.

Teraz dopiero rozpoczął się taniec.

Nowak z Zydlem leżą w głębokim skręcie. Chwilami wydaje się, że muskają skrzydłem o fale. Przed nimi wychodzi ze skrętu Tadzio Eckert. W pewnym momencie Nowak poczuł się dziwnie nieswojo. Obejrzał się głębiej do tyłu i aż go podrzuciło. Na ogon wchodził im nieprzyjacielski samolot, prując ze swoich dziełek.

- Szkop na ogonie! - krzyknął Henryk.

Zydel zareagował natychmiast. Jak leżeli w skręcie lewym, tak przeszli natychmiast w prawy, przerzucając raptownie maszynę - cała seria przeznaczona dla nich poszła w wychodzącego ze skrętu Eckerta. Wydaje się, że ta seria niezależnie od uniku wykonanego przez Zydla tak czy owak nie ominęłaby Eckerta, bowiem w pozycji, w jakiej się znalazł w tym momencie, nie można było już nic zrobić, jak tylko wyrównać, a na to czasu zabrakło.

Samolot został dosłownie przecięty na pół. Ogon z kawałkiem kadłuba odbił się kilkakrotnie od fali. Przez sekundę widział Nowak, jak silniki poderwały w górę kikut samolotu, w którym siedzieli obaj koledzy; potem trzasnęli o wodę. Po wykonaniu skrętu Nowak obejrzał się. Tylko słup pary i piana na wodzie znaczyły miejsce, w którym znalazł swój grób sierżant pilot Tadeusz Eckert i jego radionawigator porucznik Konrad Małuszek.

Atakujących maszyn niemieckich było dużo. Przeważnie FW-190, a więc samoloty nowoczesne, wielu załogom angielskim znane tylko z sylwetek wiszących na suficie w Briefing Roomie. Pozostałe trzy załogi wpadły w panikę. Byli już wszyscy na kursie powrotnym. Zeszli bardzo nisko, tuż nad same fale. Rozzuchwaleni Niemcy nie chcieli wypuścić z rąk tak łatwej zdobyczy, mieli przecież szaloną przewagę. Co najmniej osiemnastu przeciwko czterem, a właściwie już tylko trzem. W takich wypadkach piloci Luftwaffe zawsze wykazywali „odwagę”. Jeden z nich zdecydował się na atak pionowy. Szedł na Lewandowskiego i gdyby ten, ostrzeżony w porę przez swojego radionawigatora por. Jana Mikę, nie wykonał lekkiego uniku, skończyłoby się tragicznie. Ogłupiały Niemiec nie zdążył wyprowadzić i rąbnął w wodę.

Ale utrzymywali atak tylny. I teraz Mosquity wyrzuciły „boosty”; skoczyły nagle do przodu. Dopiero w tej chwili Nowak docenił zalety Moskity, przede wszystkim jego szybkość. Obserwował uważnie tył. Żałował, że nie ma karabinów, z których mógłby postać celną serię. Focke-Wulfy, aby im sprostać, wyrzuciły do morza zapasowe zbiorniki paliwa, umocowane pod płotami, które teraz podskakiwały na wodzie. Jednak nie na wiele się to zdało. Zostawali wyraźnie w tyle i po kilku minutach znikli im z oczu.

---

<sup>75</sup> Dodatkowe ciśnienie ładowania - w tej pozycji przepustnica paliwa w gaźniku jest pionowo otwarta (pełny gaz).

Lot z taką szybkością nie mógł trwać długo, w żadnym wypadku nie dłużej niż pięć minut, gdyż w przeciwnym razie groziło wybudowanie silników.

Nie wiadomo jak inni, ale Zydel wyłączył je po siedmiu minutach, kiedy Nowak pokazał mu ręką zerwaną plombę na dźwigniach gazu. Uśmiechnął się i przesunął dźwignie na trzy czwarte.

Smutny był powrót na macierzyste lotnisko. Henryk i Zydel szli jako ostatni. Nowak właściwie nie wiedział dokładnie, kto zginął. Wszystko to stało się tak nagle i niespodziewanie. W drodze powrotnej nie rozmawiali wiele.

Gdy otworzył drzwiczki i wysunął drabinkę, ktoś powiedział, nie widząc go jeszcze:

- To Zydel z Nowakiem zginęli.

Na te słowa Nowak zdjął maskę i wysadził głowę.

- Nie, Nowak jest! Panie chorąży, to w takim razie kto zginął?

- Nie wiem na pewno, ale wydaje mi się, że Pełka - odpowiedział wolno.

- Nie, porucznik Pełka lądował przed wami.

- No to w takim razie, tak jak przypuszczałem poprzednio, Eckert, bo z Lewandowskim rozmawialiśmy w powietrzu.

Tak, to był jednak Eckert. Na ziemi podeszli do grupki dyskutujących. Personel naziemny był bardzo przejęty stratą Eckerta, chciał wiedzieć, jak to się stało. Każdy lubił tego wesołego, prostego chłopca, o jasnych, kręcących się włosach i pucołowatej twarzy. Był dobrym kompanem, chętnym do każdej usługi. Razem ze swoim radionawigatorem por. Małuszkim tworzyli doskonałą parę.

Przed kilku dniami szef mechaników eskadry „B” st. sierż. Jakimowicz puścił na loterię swój samochód osobowy i Eckert go wygrał, notabene mając już przedtem własny. Koledzy mówili wtedy: „szczęściarz”. Jakże okazało się to przedwczesne...

Warto w tym miejscu wspomnieć o pewnym wydarzeniu, związanym z osobą szefa mechaników eskadry „B”. W roku 1943 lotnictwo bombowe przeobrażało się na nowy sprzęt - otrzymywało samoloty czterosilnikowe typu Lancaster, Halifax i Stirling. Zwiększyła się wówczas liczebność załogi, wszedł do niej mechanik pokładowy.

Ponieważ na szkolenie tego typu specjalistów w szkołach lotniczych nie było czasu, należało ich „zwerbować” spośród personelu naziemnego. Przyszedł więc rozkaz do wszystkich polskich dywizjonów, aby przeprowadzić rekrutację. Obowiązek ten dowódcy przekazali szefom mechaników, którzy najlepiej znali podległy im personel techniczny.

W eskadrze „B” st. sierż. Jakimowicz przeprowadził odprawę, ale czy nie umiał przekonać swych podwładnych, czy też nie chcieli oni rozstawać się z dywizjonem, w każdym razie chętnych jakoś nie było. Chodził więc Jakimowicz zły jak osa i zatruwał życie co młodszym mechanikom. Upodobał sobie szczególnie jednego z nich, rosnącego chłopaka, i nie dawał mu spokoju. Wreszcie na kolejną zaczepkę mechanik ostro zareagował.

- Panie szefie, odpieprz się pan ode mnie - krzyknął. - Jakaś pan taki kozak, to idź pan sam...

I Jakimowicz, chociaż był grubo po czterdziestce, poszedł do jednostki bojowej. Komisja lekarska i dowództwo przymknęły na to oko. Nie miał szczęścia - po drugim locie został zestrzelony i trafił do niewoli.

Trzy dni następne - nie było lotów - stały się dla wszystkich koszmarem. Nikt do nikogo się nie odzywał, nikt nikogo o nic nie pytał. Czwartego dnia wezwano do Grupy cztery załogi, podkreślając, że w skład pierwszej ma wejść kapitan M. Lewandowski. Trochę ich zabolął ten fakt, bo kapitan był bardzo lubiany i nikt nie obciążał go odpowiedzialnością za to, co się stało podczas akcji. Zachował się bardzo przytomnie i chyba tylko dzięki jego szybkiej i słusznej decyzji pozostałe trzy maszyny powróciły do bazy.

Jak się okazało, mieli w Grupie „żywego” Focke- Wulfa 190. Chodziło o to, aby mu się przyjrzeć, oswoić i poznać jego możliwości. Samolot dostał się w ręce Anglików w dość niezwykły sposób. Otóż kilka dni temu na jednym z lotnisk, na którym stacjonował polski dywizjon, bodajże 309 „Ziemi Czerwińskiej”, panowała przyziemna mgła. Wszystkie samoloty macierzyste były w bazie. W pewnym momencie nad lotniskiem dał się słyszeć szum jednosilnikowej maszyny. Przybliżał się, to znów oddalał. Pilot dostrzegł widocznie niektóre wierzchołki wyposażenia lotniska - może rękaw umieszczony na wysokim maszcie, może szczyt wieży kontrolnej z umieszczonym wysoko wiatromierzem. Faktem jest, że chodził w granicach lotniska, jakby szukając początku runwayu. Chciał lub musiał tu lądować.

Rozdzwoniły się telefony. Nikt nic nie wiedział, nikt się do niego nie przyznawał. Na wołanie przez radio nie było odpowiedzi. Na wieży kontrolnej słyszeli, jak przechodził nad głowami, ale nikt nic nie mógł dojrzeć. Tu też była gęsta mgła.

Wszystko wskazywało na to, że nieznajomy lotnik zdecyduje się na lądowanie. Widocznie było u niego krucho z paliwem. Trzeba było działać, i to natychmiast! Po obu stronach pasa startowego zapalono naoliwione szmaty. Gęsty, czarnożółty dym wzbił się leniwie w górę, starając się przebić szarą mgłę. Widocznie pilot dostrzegł znaki, bo oddalił się na chwilę, aby powrócić, tym razem do lądowania.

Po kilku minutach słychać już było charakterystyczny odgłos kołującej po trawie maszyny. Wszyscy pobiegli w tym kierunku i ku swemu zdumieniu zobaczyli stojącego Focke-Wulfa z czarnymi krzyżami i znakiem jakiejś eskadry na masce silnika.

Młody major Luftwaffe myślał, że ląduje na jednym z lotnisk we Francji. Zrobił jeden z typowych błędów nawigacyjnych - pomyłka o 180 stopni, spowodowana błędnym odczytem busoli.

Teraz każda załoga miała przez 30 minut sam na sam zmierzyć się z Focke-Wulfem. Wreszcie przyszła kolej na Zydla. Odeszli trochę od lotniska, gdzie było mniej zabudowań, i tam rozpoczęli zabawę. Pozorowali bitwę powietrzną. „Przeciwnik” był szalenie zwrotny i co chwila wchodził im na ogon. Oni z kolei byli szybsi i w skręcie doganiali go. Po piętnastu minutach karuzeli, gdy co najmniej dwa razy Focke-Wulf powinien ich zestrzelić - na pewno miał ich na taśmie filmowej, którą obejrzał sobie później - Zydle się zdenerwował. Na kolejny okrzyk Nowaka: „Unik, jest na ogonie!” oderwał się od „wroga” i zadarł maszynę do góry, kładąc ją jednocześnie w mocny skręt.

Henryka wdusiło w fotel. Z trudnością odwrócił głowę, patrząc za ich „przeciwnikiem”. Był w tyle, odległość między nimi zwiększała się coraz bardziej. Nowak widział wysiłek tamtego pilota, który również położył maszynę w głęboki skręt. I tu dopiero uwidoczniła się przewaga Moskity. Po dwóch minutach Focke-Wulf zaczynał wchodzić na prostą, na pozycję do strzału. Jeszcze chwila, a będą go mieć w celowniku. Zydel prostuje maszynę. Raptowna ulga, ciężar schodzi z piersi i nóg. Jeszcze sekunda i Zydel przyciska spusty działek foto. Tamten widzi wszystko w swoim lusterku i robi gwałtowny unik w prawo ale Zydel przewidział i to. Trzymając spust idzie cały czas za „przeciwnikiem”, jest z nim w kontakcie. Nagle tamten przerzucił maszynę raptownie w przeciwny skręt i odszedł w lewy dół, myśląc w ten sposób Zydla, Leżą teraz w skręcie przy raptownym zejściu. Doszli go, raz jeszcze otwierając ogień z dużej odległości. Bliżej ich nie dopuszczał, natychmiast wykonywał bardzo ostre uniki. Jednak bardzo dobrym myśliwcem był ten na Focke-Wulfie!

Sygnal z ziemi: „Zabawa skończona, podchodzić do lądowania”.

- To nie jest wcale takie straszne - śmieli się Nowak i Zydel w swoim Mosquicie.

## Wielki odwet

11 września 1943 roku zapowiadał się dobrze. Pogoda była wspaniała od samego rana. Tego dnia Nowak i Zydel po nocnym readinessie mieli wolne. Dyżur dzienny pełniła do południa eskadra „A”, po południu „B”.

Nowak nie miał nic specjalnego do roboty, więc mimo wolnego dnia obijał się po dispersalu. Akurat w tę stronę podkołował Mosquito z eskadry „A”, widać ktoś miał interes do Lewandowskiego. Henryk przystanął zaciekawiony, kolegów stamtąd prawie nie znał. Tamci mieli inny dispersal, mieszkali daleko. Ciekawie spoglądał więc na drzwiczki i wysuwającą się z nich drabinkę. Jakież było jego zdziwienie, gdy na drabince zobaczył schodzącego radionawigatora kpt. Ignacego Szponarowicza, swego dowódcę plutonu w 211 eskadrze bombowej pułku lotniczego w Warszawie. Szponarowicz latał obecnie z dowódcą dywizjonu mjr. Orzechowskim, który tuż za nim wyszedł z maszyny.

Po godzinie eskadra „A” wystartowała na swój lot patrolowy. Nowak udał się do „Ops”, gdzie miał znajomą „wafkę” w stopniu flight officera<sup>76</sup>, która zapraszała go nieraz, aby popatrzeć na ich pracę. Postanowił skorzystać z tego zaproszenia.

Budynek „Ops”, a właściwie solidny bunkier, mieścił się pod ziemią. Nad powierzchnię wystawał tylko pokryty murawą dach. Wewnątrz, pośrodku olbrzymiej sali, stał wielki stół pokryty mapą Europy zachodniej, a na nim prostokątne tabliczki z symbolami samolotów, umieszczone na wysokich szpilkach o różnych wysokościach. Obok stały dwie „wafki”, trzymające w rękach długie grabki, którymi co pewien czas, zależnie od sytuacji, przesuwały te tabliczki.

Po obu stronach balkonów umieszczono radiostacje i wskaźniki radarowe, przy których czuwało kilku kontrolerów, wśród nich także „przyjaciół” Nowaka - major. Spojrzał na niego krzywo, gdy wszedł do środka i zaszalutował wszystkim.

Henryk zbliżył się do stojącej koło radiostacji „wafki” ze słuchawkami na uszach, rejestrującej właśnie rozmowy między poszczególnymi samolotami. W powietrzu obowiązywał język angielski.

- Mają kontakt z nieprzyjacielem, sir - zameldowała majorowi, zwracając się w jego kierunku. Nowak cały zamienił się w słuch.

- Betty, gdzie oni są? - powiedział Nowak cicho, gdy podniosła w górę słuchawkę na jego znak, że chce o coś zapytać.

- Patrz na ten prostokąt biało-czerwony, to flight „A”. Byli na Biskajach.

Znów słuchała przez chwilę uważnie, nic nie notując, aż wreszcie popchnęła lekko słuchawkę do góry i napisała w dzienniku: „Polish swears”<sup>77</sup>.

- Skąd wiesz, że oni klną? - pyta zaintrygowany Nowak, bo rzeczywiście w słuchawkach aż szumiało „łaciną”.

---

<sup>76</sup> Flight Officer - porucznik. Stopnie w WAAF różniły się od stopni w RAF.  
<sup>77</sup> Polskie przekleństwa.



- Skąd ja wiem? - powtórzyła pytanie. - Jak wy, Polacy, wymawiacie twardo „r”, to musicie kłąć! - rzuciła.

Po chwili kwitowała rozmowę, mówiąc coś do mikrofonu.

- Mają, sir, mają! - wykrzyknęła w pewnej chwili podniecona. - Wing commander przekazał mi, że zestrzelili sześć Ju-88 bez strat własnych, kontynuują patrol.

Ostatnie słowa słyszał już w drzwiach. Pojechał obok któregoś stał Zydel z mechanikiem, ten słysząc szybko na dispersal. Gdy znalazł się przy samolocie, słowa Nowaka wrzasnął na całe gardło:

- Z eskadry „A” zrąbali sześciu, huraaa!

Na dispersalu zaszumiało. Wszyscy byli podnieceni i uradowani. Załogi, które lecą za trzydzieści minut, wzdychają tylko: „żeby i nam się coś trafiło”.

Ustawili się do startu całą czwórką. Prowadzi kpt. Lewandowski, tuż za nim idzie Szempliński, dalej dwaj pozostali. Nowak i Zydel patrząc na ich start żałują, że nie są w tej czwórce. Może właśnie dziś?

Wychodzą w powietrze w odstępie minuty. Szempliński podrywa maszynę w przepisowym czasie, ale „Wojtek” nie wytrzymał i prawie jednocześnie dał gaz do startu. Ponieważ jego maszyna była nieco szybsza niż Szemplińskiego, wkrótce ją dogonił. Tylko wysoki kunszt i doskonałe opanowanie pilotażu pozwoliło mu uniknąć katastrofy.

Spotkali się w powietrzu - tamci z eskadry „A”, zwycięscy, szczęśliwi, i ci, którzy dopiero lecą na łowy. Lewandowski gratuluje Orzechowskiemu przez radio, tamten śmieje się i dziękuje, dodając, że dla nich też zostawił trochę.

Słowa Orzechowskiego się sprawdziły. W drugiej godzinie lotu por. Mika, radionawigator Lewandowskiego, zameldował, że widzi samoloty na dziewiątej. Pilot, nie czekając, dodał gazu i skierował się w ich stronę. Za nim podążył Szempliński, trzymając się tuż-tuż, na kółku. Pozostałe dwa Mosquita w myśl zasad szły w tyle, aby ubezpieczać dwa przednie, toteż w walce udziału nie wzięły. Lewandowski rzucił się w formację ośmiu Me-109 i zanim Niemcy się spostrzegli, krótką serią posłał jednego z nich do morza. Niemal jednocześnie zrobił to samo Szempliński. Przeciwnicy się rozpiezchli, wywiązała się chaotyczna walka. I znów Szempliński, wychodząc ze skrętu, posłał celną krótką serię - Niemiec, dymiąc, poszedł w dół. Messerschmitty rzuciły się do ucieczki, Lewandowski, który był szybszy dostał jeszcze jednego. Zawrócili. Dalsza pogoń nie miała sensu, byli za daleko od swojej bazy, toteż przyjęli powrotny kurs. Połączyli się z kolegami, którzy żalowali, że szli z tyłu i nie mogli dojść Niemców.

Lewandowski zaliczył dwóch, Szempliński również. A więc cztery do zera!

Tak, dziś cały dywizjon ogląda dziury pod kadłubem. Są! Maszyny strzelały, i to skutecznie!

Z okazji przypadającego 10 września, czyli poprzedniego dnia, święta dywizjonu Orzechowski otrzymał od dowódcy Polskich Sił Zbrojnych depeszę z życzeniami sukcesów. Zaraz po wspaniałym zwycięstwie major także wysłał depeszę:

„W odpowiedzi na Pańskie życzenia melduję, że zostały one spełnione. Już pierwszego dnia nowego roku dywizjonu mamy na koncie 11 nieprzyjacielskich samolotów. Spośród nich pięć na pewno zniszczonych, dwa prawdopodobnie i cztery uszkodzone bez własnych strat”.

W kilka dni potem, 25 września 1943 roku, startuje klucz na Biskaje. Prowadzi dowódca eskadry „A” por. Damsz z kpt. Szponarowiczem. Jako „wypożyczona załoga” leci Zydel z Nowakiem.

Po dwóch prawie godzinach Nowak melduje:

- Osiem maszyn, prawdopodobnie Me-109, na trzeciej!

Mosquita wzięły raptowny skręt w prawo i dopadły Niemców, ale tamci również ich dojrzeli. Wywiązała się walka. Początkowo Niemcy uzyskali przewagę; „drewniane cuda” są mniej zwrotne w walce na wysokości, toteż idą w dół, ściągając za sobą Messerschmitty. Udało się! Damsz poderwał maszynę w górę, Niemiec nie zdążył uskoczyć i dostał całą serię tak, że prawie rozpadł się na kawałki. Zydel przeciął drogę innemu i przeszedł mu tuż przed nosem. O mało nie doszło do zderzenia. Wykonując nagły skręt Zydel i Nowak zobaczyli, jak inny Me-109 ładuje serię w wychodzącego ze skrętu Mosquita. Tamten załamał kąt i poszedł piką do morza.

Kto to? Nie ma czasu na rozmyślania. Robi się gorąco. Nareszcie Zydel dopadł tego, który zestrzelił Mosquita, i posłał mu krótką serię. Pomogło. Już nie wyrównał. Pozostałe Me-109 rozpierzchły się w popłochu, oddalając się w kierunku brzegów hiszpańskich. Nie było z kim walczyć.

Wracają. Tym razem Zydel i Nowak są dumni. Nareszcie mają Niemca! Radość mąci jednak myśl o zestrzelonej załodze. W ferworze walki nawet nie zorientowali się, kto to był.

- Panie poruczniku - pyta po wylądowaniu Zydel - kto tam został?

- Flight sergeant Lowndes i flight sergeant Cotten, angielska załoga - odpowiada Damsz.

Obaj z Zydlem nie mogą przypomnieć sobie ich twarzy, widzieli ich na pewno, ale w tej chwili...

Z tego spotkania zwycięsko wyszli również st. sierż. Steinke z radionawigatorem por. Sadowskim: też mają jednego „na rozkładzie”.

## Sorry, to była pomyłka

Nareszcie! 9 listopada 1943 r. dywizjon przeniesiono na zasłużony odpoczynek do RAF Station Drem w Szkocji.

Po przebazowaniu przez kilka dni nie robili dosłownie nic. Potem przyszły drobne ćwiczenia, szkolenie itp. Następnie patrolowali rejon pomiędzy Glasgow i Edynburgiem, wożąc się w powietrzu i marnując benzynę bez nadziei na spotkanie kogokolwiek. Były to właściwie loty treningowe, samoloty nieprzyjacielskie tutaj nie docierały. Tak więc załogi przeczesywały niebo, wiedząc z góry, że w tym rejonie nic nie spotkają. Taki rodzaj służby był bardzo bezpieczny, ale straszliwie nudny. Czyli... z deszczu pod rynnę, i dogódź tu Polakom!

Niedaleko campu była stacja kolejowa Drem, przez którą przebiegał najszybszy w owym czasie pociąg pasażerski świata, „The Flying Scotchman”<sup>78</sup>. Stojąc w pobliżu można było podziwiać jego szybkość, choć było to niebezpieczne - wokoło pryskały kamyczki i żwir. Umieszczono nawet tablice ostrzegające, by trzymać się z daleka od pędzącego „Szkota”.

Jazda tym pociągiem była prawdziwą przyjemnością. Na długiej trasie Edynburg - Londyn zatrzymywał się tylko dwukrotnie na węzłowych stacjach. Po kilkunastu już latach Nowak zatęsknił za „Latającym Szkotem” i jego szybkością. Tam nawet jazda osobowym nie była koszmarem, ponieważ pociąg na długiej trasie do połowy nie stawał prawie nigdzie, od połowy zaś na każdej stacji. Następny, który szedł po tej samej linii, początkowo stawał wszędzie, od połowy zaś pędził jak pospieszny.

Na prośbę załóg, które domagały się lotów operacyjnych, dowództwo poczęło je wysyłać na dalekie lotniska Szetlandów w poszukiwaniu niemieckich samolotów kierowanych z Norwegii przeciwko alianckim statkom.

Wtedy to 22 listopada st. sierż. Jaworski i jego radionawigator kpt. Ziółkowski zestrzelili nad morzem Heinkla 177. Był to nowy i, jak mówiono w dywizjonie, „chytry” samolot. Wyglądał jak dwusilnikowy, ale w rzeczywistości jego napęd składał się z czterech silników rzędowych o mocy 1200 KM każdy, połączonych obok siebie po dwa w jednej obszernej gondoli na skrzydłach. Dzięki takiemu rozwiązaniu He-177 wyróżniał się prędkością, a zwłaszcza skalą przyśpieszeń.

Cztery dni później nad Morzem Północnym został zestrzelony Junkers 88. Zestrzelił go kpt. Suskiewicz z radionawigatorem mjr. Kalinowskim.

Załoga Zydla pełni dziś readiness. Nowak udał się na dispersal i rzucił okiem na tablicę dyżurów :

nr 1 - 49 F/O Pacholczyk - F/O Gąsecki

nr 2 - 47 F/O Zydel - W/O Nowak

nr 3 - 39 W/O Wojczyński - F/Sgt. Słuszkiewicz

nr 4 - 38 W/O Szempliński - F/Sgt. Tillman.

---

<sup>78</sup> Latający Szkot.

Zydel z Nowakiem są dziś numerem dwa, a więc jak zwykle muszą cały czas mieć oko na „jedynekę”. Około pierwszej w nocy Bob krzyczy:

- Scramble one!

Pacholczyk z Gąseckim poderwali się i pobiegli w kierunku drzwi. Po chwili szum stopniowo cichnących w oddali silników dał im znać, że wyszli w powietrze. Nowak z Zydlem siedzą teraz w pobliżu drzwi. Jeśli coś tam w górze jest, nie skończy się na jednej maszynie, mogą i ich za chwilę poderwać. I nie mylił się. Po dziesięciu minutach Bob wrzasnął ponownie:

- Scramble one!

Tym razem był to sygnał dla nich. Wskoczyli do maszyny i w dwie minuty później znaleźli się już w powietrzu.

Noc była ciemna, bezksiężycowa. Właśnie takie noce Niemcy wybierali sobie na odwiedzin. Rychło jednak Zydel i Nowak dostają przez radio rozkaz, aby wyłączyć AI i wykonywać polecenie GCI. Przejść na obserwację wzrokową - brzmi kolejny rozkaz. Kwitują, ale cały zapał minął. Jedno ćwiczenie więcej... Nowak słyszał polecenie, odjął co prawda oczy od gumowego kołnierza radaru, ale go nie wyłączył.

Dostają kurs i wysokość, GCI prowadzi ich na cel. Są cały czas nad lądem. Po kilku minutach Henryk, ot tak, z przyzwyczajenia, pochylił się nad ekranem monitora. Omal go nie zatkało, gdy dojrzał wchodzące i wypełniające się wyraźnie koło na centralnej linii. Poczł się nieswojo.

- Włodek, cholera jasna - krzyczy w pewnej chwili - oni nas prowadzą łeb w łeb, na jednej wysokości ! W dół ! Widzisz coś? !

- Ni czorta! Ciemno jak u Murzyna w...

I w tej samej sekundzie wyskoczyła przed nimi w górę ciemna masa ziejąca ogniem z rur wydechowych - to Zydel przydusił swój samolot.

- Co to było?! - Nowak ogląda się za znikającą w mroku nocy maszyną.

Mosquito! Śmierć zajrzała im w oczy. Dobrze wieża prowadziła! Zydel wzywa GCI i pyta, co to za Mosquito ich wyminął.

- To był czterdziesty dziewiąty, prowadzimy ćwiczenia personelu naziemnego - pada odpowiedź.

- Hallo GCI, powiadomcie Operations, że przerywam zadanie i idę do lądowania - mówi zdenerwowany Zydel. - Będę rozmawiał z wieżą na kanale „A”.

Błyskawicznie wytracają wysokość na najkrótszej drodze podejścia do lotniska. Słyszą w radio, że to samo robi Pacholczyk.

- Ja tym „dżemojadom” pokażę! - odgraża się Zydel. Obaj klną w żywy kamień wszystkich Anglików.

W powietrzu tego rodzaju rozmów prowadzić nie wolno, aczkolwiek aż kusi, aby spytać Pacholczyka o jego wrażenia. W każdym razie obaj piloci wykazali niebywały refleks.

- Co by to było - pyta Nowak Włodka - gdybyście tak razem poszli w dół?

- Mielibyśmy spokój, nie wiesz? - odpowiada ulubionym powiedzonkiem Nowaka, ale twarz ma ponurą. - On mnie chyba pierwszy dojrzał, a zresztą czy ja wiem? To był instynkt. Jedno jest pewne, twój alarm zaostrzył moją czujność, aczkolwiek nie mogłem w to uwierzyć.

Na ziemi zawrzało. Dostali telefon z punktu obserwacyjnego, że Mosquito po minięciu się z drugim szedł w dół, przeleciał nad samymi drzewami i tam spadł. Wiadomość tę sprostowano później.

Gdy kołowali na stojankę - lądowali przed Pacholczykiem, który odszedł dalej po ich minięciu - mechanik zaraz po otwarciu drzwiczek i wypuszczeniu drabinki oznajmił im trzęsącym się ze zdenerwowania głosem, że por. Zydel z chor. Nowakiem nie żyją. Dopiero teraz zrozumieli, dlaczego stali na miejscu Pacholczyka, po ciemku mechanik pomylił samoloty.

Po wylądowaniu Zydel podszedł do telefonu. Bob połączył go z GCI. Pilot poprosił do aparatu dyżurnego kontrolera i zażądał wyjaśnień.

- Przepraszamy, to była pomyłka - mówił flegmatycznie kontroler. - Prowadzimy ćwiczenia z nowym personelem i popełnili błąd, raz jeszcze przepraszam, sorry!

Na angielskie „sorry” nie było sposobu.

## Ostatni lot „puchacza”

I znów potoczyły się monotonne dni i noce, spędzane na readinessach i patrolach w północnej Szkocji. Zapanowała zima. W źle ogrzewanych barakach szczykało się zębami. Jedyną rozrywkę stanowił wyjazd do Glasgow lub Edynburga, odległość była prawie ta sama. Apatia zaczęła ogarniać nie tylko personel latający, ale również i naziemny. Oni też czuli się dobrze wówczas, kiedy wiedzieli, że ich praca przynosi sukcesy, że ich wkład w tę wojnę jest dostrzegany przez innych, potrzebny. Tymczasem od miesiąca nie działo się prawie nic. Skorzystano więc z okazji i podczas wizytacji air commodora z Fighting Command poproszono go, aby się wstawił za nimi i zakończył ten przymusowy wypoczynek. Powiedział, że zobaczy, co się da zrobić. Obiecał, że może załatwi jakiś lot nad kontynent.

I znów minęło kilka dni.

Tego ranka Nowak wstał chyba lewą nogą, nic mu nie wychodziło. Rano zaciął się fatalnie żyletką. Zdenerwowało go to jeszcze bardziej. Nie smakowało mu śniadanie. Był niegrzeczny dla „wafki” podającej w mesie. Dziewczyna aż się rozplakała. Przeprosił ją i wyszedł, nie dokończywszy śniadania.

W pokoju odpraw spotkał Zydla i o mało nie doszło między nimi do awantury. Na szczęście tamten w porę się zorientował w jego parszywym nastroju i ustąpił, mówiąc: „No dobrze, już dobrze, poczekam, aż ci przejdzie”.

Dopiero Bob-telefonista wprowadził go w nieco lepszy humor, kiedy zaczął mówić swoim łamanym polskim językiem.

Był ciepły dzień. Ponieważ przejście dywizjonu do X Grupy było kwestią dni, pozwolono im na jedną operację wchodzącą w zasięg tej właśnie Grupy. Wiedzano, że dywizjon przeniesie się wkrótce do Coleby Grange. Poczyniono już nawet pewne przygotowania w związku z nowymi zadaniami, przezbrojono ich na Mosquita Mk-XI i Mk-XIII.

Gdy Nowak przyszedł na dispersal, dowiedział się, że za dwie godziny wystartują do specjalnego lotu nad kontynent. Odprawa odbędzie się za 20 minut. Humor poprawił mu się natychmiast.

- Włodek, wiedziałeś o tym? - spytał kolegę.

- No pewno, że wiedziałem, ale byłeś w tak parszywym nastroju, że dogadać się z tobą było nie sposób. Co się stało?

- Nie wiem, przepraszam. Zapalmy - dodał, patrząc na Zydla. Ten uśmiechnął się tylko i przyjął papierosa.

Wyszli przed budynek, aby tych parę minut, które im jeszcze pozostały do odlotu, spędzić na świeżym powietrzu. Nie chodziło o słońce, którego mieli aż nadto w oszklonej kabinie, ale o powietrze. Ubrani byli w „maywestki”, Nowak miał na sobie szelki. Już drugi dzień w lutym 1944 roku był taki ciepły. Ten dzień Nowak miał zapamiętać na całe życie.

Z głębi budynku dał się słyszeć głos Lewandowskiego:

- Bob, skocz no i poszukaj kancelisty, potrzebny mi natychmiast!

Bob i pisarz dywizjonu byli nierozłącznymi kolegami. Nowak widział go raz paradującego w mundurze tamtego z „Polandami” na ramionach. Udawał Polaka, liczył widocznie na większe szanse u płci pięknej. Teraz Bob wyskoczył przed budynek i wydarł się na cały głos:

- Ej, where jest ten ciapciak from kancelaria?!<sup>79</sup>

I, o dziwo, po chwili był odzew. Tamten wiedział, o kogo chodzi.

Odprawa. Lecą cztery Mosquita na „ranger” nad północną Francję. Cel? Co się nawinie pod skrzydła, nawet na drogach. Polecono im śledzić każdy podejrzany ruch i możliwie dokładnie obserwować drogi i szlaki kolejowe - może zauważą jakieś przemieszczenia wojsk. Z uwagi na długi lot nad terytorium własnym lądowanie techniczne w Predannack celem zatankowania. To samo w drodze powrotnej. Lot jak zwykle na małej wysokości. Łatwiej wtedy zaskoczyć przeciwnika. Radar ich nie namierzy; zanim się kto spostrzeże, narobi się zamieszania i w nogi! A o to przede wszystkim chodziło alianckiemu dowództwu: zdemoralizować, nękać przeciwnika!

Nowak spojrzął na wysokościomierz nastawiony jeszcze na ciśnienie lotniska w Drem; przyrząd wskazywał 180 stóp poniżej tafli wody. Zaraz po starcie weszli na kurs i wysokość przelotową. Szli szerokim szykiem. Na razie widzieli tylko fale morskie, które przelewały się pod nimi, potrząsając gniewnie białymi grzywami. Niektóre z nich podskakiwały, jakby chcąc pochwycić przelatujący nad nimi samolot. Chwilami fala muskała maszynę. Wystarczyło wówczas delikatne, ledwo dostrzegalne ściągnięcie steru na siebie i myśliwiec, jakby lekceważąc groźny żywioł, wychodził nieco wyżej, a zawiedziona fala opadała gniewnie z powrotem.

Brzeg pokazał się szybko i wyszedł im pod skrzydła. Byli już nad Francją.

Przelecieli trasę nad Morzem Irlandzkim na „cross country”<sup>80</sup> i wylądowali w Predannack dla uzupełnienia paliwa. Stąd już było blisko do celu. Jeszcze jeden skok przez wodę i już są nad Francją, przecinając szosę z Brest do Rennes. Omijają Brest, otoczony pierścieniem lotnisk niemieckich myśliwców. Nie chcąc ich alarmować, bo od tych spraw są inni, chodzący na „sweeping”<sup>81</sup> albo „intruder”<sup>82</sup>. Oni otrzymali dziś inne zadanie.

Idą teraz na południe w głąb kraju. Lecą ciągle bardzo nisko wzdłuż szosy biegnącej do Pontivy. Szosa szeroka, ale pustawa - niekiedy tylko dostrzec można samotny pojazd lub wóz konny, ale te ich nie interesują. Czasami wyrastają przed nimi drzewa wyższe od ich poziomu lotu, wtedy pilot wykonuje maleńki ruch ręką: ster nieco na siebie i dźwignie gazu lekko na plus, do przodu. Znów te same ruchy, ale w przeciwnym kierunku, i wracają na ten sam poziom koszącego lotu.

Tak samo reaguje pilot przy przecinaniu drogi poprzecznej z linią telefoniczną czy wysokiego napięcia; lecą cały czas poniżej słupów trakcyjnych.

---

<sup>79</sup> Gdzie jest ten ciapciak z kancelarii?!

<sup>80</sup> Lot na prostej, od punktu do punktu.

<sup>81</sup> Wymiatanie.

<sup>82</sup> Nękanie.

Minęli większe skrzyżowanie, kiedy nagle z lewej strony zauważyli duże zgrupowanie czołgów. Przynajmniej tak im się wydawało, bowiem minęli to wszystko na dużej szybkości i nikt nie potrafił rozpoznać spostrzeżonego obiektu.

Zawrócili dużym łukiem, podchodząc do transportu z lewej strony. Nowak zafiksował to na mapie, będzie cenny meldunek dla Intelligence. Minęli St. Meen.

Przed nimi unosił się słup kurzu. Tam jednak musi być coś zmotoryzowanego.

Wyskoczyli w górę, aby mieć lepszy widok. Są! Około 40 pojazdów. W przodzie motocykle, dalej samochody osobowe, z tyłu zaś około 10 samochodów ciężarowych. Czołgi, w liczbie około 30, idą po obu stronach szosy po poboczach, zostawiając środek wolny.

Kolumna - jakaś jednostka pancerna - zmieniała miejsce postoju i akurat nadziała się na nich.

Teraz i tamci ich spostrzegli. Zatrzymali się i po chwili w kierunku maszyn posybywały sznurki pocisków świetlnych.

Mosquita rozdzieliły się po dwa, odskoczyły od kolumny udając, że wystraszył je zmasowany ogień. Wracają, potem rozchodzą się, idąc w lewo i w prawo. Po dwóch minutach robią skręt w kierunku transportu i atakują nożycami. W ten sposób kolumna jest atakowana na całej szerokości, a obrona rozprasza się.

Zydel z Wojczyńskim wychodzą z rundy, powoli idą na prostą do ataku. Dwu pozostałych: por. Sochackiego i por. Bedy, jeszcze nie widać, ale powinni być lada moment. Już są! Widzą się wzajemnie, mogą atakować! Aż przyjemnie współpracować z kolegami, z którymi doskonale się rozumieją.

Zgrupowanie w dole rośnie przeraźliwie szybko, prując do nich ogniem. Zydel przycisnął od razu wszystkie spusty. Dudniły pod stopami cztery działa 20 mm, leciały cieniutkie niteczki pocisków czterech sprzężonych ze sobą karabinów maszynowych. Pruli w kolumnę straszliwą siłą ognia. Zamieszanie pod nimi było ogromne. Motocykliści i ci z samochodów ciężarowych wyskakiwali, biegnąc jak najdalej od drogi i porzucając powierzony im transport. Wyglądało to trochę pocieszenie. Nowak przypomniał sobie, jak kiedyś szedł groblą między dwoma stawami, a przed nim, skacząc do wody, uciekały spłoszone żaby. Sam atak nie trwał dłużej niż trzy do czterech sekund, ale wywołał panikę, bowiem szedł z dwóch stron, a obrona nie wiedziała, gdzie strzelać.

Pierwsze dwa Mosquita oberwały troszeczkę, ale niegroźnie.

- Uwaga, tu 46, dla wszystkich kurs dwieście dziewięćdziesiąt, odlot trzy minuty, wysokość trzysta stóp, po dołączeniu atakujemy od tyłu i ciągniemy ogień wzdłuż kolumny. - To mówi Beda, dowódca dzisiejszej wyprawy.

Kwitują kolejno i przyjmują nakazany kurs. Nowak ogląda się, kolumny już nie widać, bo odchodzą na małej wysokości, ale w miejscu, gdzie się znajduje, widać ślad w postaci gęstego, kłębiącego się dymu.

Z prawej strony dochodzą dwa Mosquita, które atakowały z przeciwnej. To Sochacki i Beda. Robią teraz zwrot o 180 i idą wzdłuż szosy. I znów dym, ale nieco z lewej. Widocznie jest tam zakręt. Biorą



kurs prosto na dym. Po chwili szosa jest znów pod nimi. Lotnicy, sami jeszcze nie zauważeni, już widzą transport. Lufy dział czołgów skierowane są w stronę, skąd ich atakowali uprzednio. Podrywają maszyny w górę i z wysokości trzystu metrów spadają na nich jak sępy! Teraz ich Mosquito kęsał, mścił się na wrogu, a zęby miał ostre i mocne!

Boże, myśli Nowak, gdybyśmy mieli taki sprzęt we Wrześniu!

Poczuł głęboką satysfakcję, że oto bierze rewanż na wrogu za tamte dni, kiedy on był ściganą zwierzyną. Dziś role się odwróciły. Przed Mosquitami nie ma teraz ucieczki! Samolot szarpał, wgrzyzał się w stalowe, zdawałoby się nie do pokonania, potwory, dawał im radę! Buchają płomienie, tu i ówdzie rozlegają się eksplozje.

W tamtych wrześniowych dniach byliśmy bezradni wobec zakutego w stal przeciwnika, dziś jest na niego sposób, cieszy się Henryk.

Zydel wrywa świecę w górę. Za nimi, w dole, kurz. Po chwili wyskoczyły w niebo nowe słupy ognia i czarnego gęstego dymu. To pozostałe Mosquita siały spustoszenie.

I znów głęboki wiraż o 180 stopni, powrót nad cel. Tym razem było już trochę trudniej. Niemcy bili teraz do nich z całych sił i wstrzelali się. Dym i ogień przesłaniał lotnikom pole widzenia, trzeba było zachować szczególną ostrożność przy podejściu. W niektórych pojazdach wybuchała amunicja, co znacznie pogarszało sprawę.

Są na prostej, atakują schodząc w dół, strzelają. Nie zważają zbytnio na lecący ku nim grad pocisków. Po prostu zdawało im się w zaciętrzewieniu, że to ich nie dotyczy, że pociski są za słabe! Nagle coś wstrząsnęło maszyną, jakby wyrżnęła w jakąś zaporę. W tym samym momencie przednia, kuloodporna szyba pokryła się matem. Dostali pociskiem w sam środek! Szyba dzięki swej konstrukcji wytrzymała uderzenie pocisku, ale byli na pół oślepieni. Obserwacja czołowa zmalała obecnie niemal do zera.

Zydel przechylił się mocno w lewo, by poprzez rysy cokolwiek zobaczyć, i ponownie przycisnął spust działek, ciągnąc długą serią wzdłuż kolumny. Nowak wytrzymał wzrok bacząc, aby o coś nie zaczepić z prawej strony. Samolot szedł jak po warszawskich „kocich łbach”, trząśł niemiłosiernie!

Nagle Nowak zadrżał. Przelecieli tuż koło wieży kościelnej, jakieś trzy metry poniżej. Gdy już wychodzili świecą w górę po zakończeniu nalotu, lewy silnik dostał podejrzanych wibracji. To chyba on był powodem tych wstrząsów. Teraz, gdy wyskoczyli w czyste powietrze, widać było lekki dym, który snuł się za nimi. Wibracja lekko narastała.

Nowak obejrzał się, za nimi ciągnął się już teraz gęsty dym z płonącego silnika. To chyba uchodził glikol, używany do chłodzenia. Pokazał ręką pilotowi, ale on już widział w lusterku i wyczuł po pracy silników. Po chwili wyłączył jeden z nich. Zameldował dowódcy, który im znikł z pola widzenia, o stanie samolotu i decyzji powrotu.

- 47 wracaj - kwituje dowódca. - Idź od razu na kurs powrotny, będziemy cię ubezpieczać!

- Uwaga klucz, tu dowódca, przerywamy nalot, wszyscy na kurs powrotny! Wszyscy uwaga na 47, idzie na jednym, ubezpieczać go! - słyszą jego głos i to dodaje im otuchy.

Po chwili cała trójka dołącza do nich i idzie trochę z boku ze zmniejszoną szybkością.

Wychodzą znad Francji w okolicach Lannion. Idą kursem zero. Wyłączony silnik przestał dymić. Znow lecą nisko, ale Zydel ma kłopoty z prowadzeniem maszyny. Nie może utrzymać jej na kursie i na wysokości. Wchodzą trochę wyżej. Pilot próbuje wykonać parę ruchów sterami. Są dziwnie leniwe. Nowak wykręcił się mocno do tyłu. Tak, oczywiście, są dziury! Widzi je wyraźnie podczas prób skrętu.

Koledzy z niepokojem śledzą ich zmagania. Będą kłopoty, żeby tylko nie napotkać nieprzyjacielskich myśliwców! Ze Niemcy narobią szumu, to więcej niż pewne, przypuszczalnie zaalarmowali już operujące w tym rejonie samoloty. Żeby tylko nie mieli gdzieś w pobliżu jednostek myśliwskich, ale chyba mają! Na razie jednak nikt ich nie niepokoi.

- Co robić? - pyta Zydel Nowaka. - Do Anglii na pewno nie dociągniemy, wyjść na wysokość i skakać? Zbyt ryzykowne!

Podobno z Mosquita nikt się jeszcze nie uratował, skacząc ze spadochronem, zbyt duża szybkość przy jednoczesnym bocznym wyjściu, myśli Nowak. A zresztą nawet gdyby skok się udał, to co? W najlepszym wypadku niewola. Dopiero w takiej sytuacji widzi się wyraźnie to wszystko, co się zwykle lekceważy przed lotem. Tam, w domu, jest się zawsze pewnym, że się wróci. Teraz nawet nie mają na sobie ciepłej bielizny, bo dzień był bardzo ciepły.

Por. Beda dopytuje się o stan maszyny.

- Będę ciągnął jak długo się da, aby bliżej domu. Może będziemy wodować, na razie idę - odpowiada Zydel.

Pracujący silnik też był w nie najlepszym stanie. Temperatura oleju wzrastała, ciśnienie spadało.

Czy Zydel rzeczywiście chce wodować na jednym silniku? myśli z niepokojem Nowak. Wciąż ma w pamięci tamto lądowanie w drutach. Też nie było wesoło, a jednak wyszli cało. Co ja się będę martwił na zapas, skarcił sam siebie. Zobaczmy, jakoś będzie.

Prawy silnik na szczęście po przełączeniu na drugi zbiornik podjął normalną pracę. Zydel zredukował nieco prędkość, bo maszynę ciągnie w lewo, podczas gdy ster kierunkowy, mocno podziurawiony, przepuszcza.

Mija już godzina lotu, a oni się jakoś trzymają. Myśliwce wroga również ich nie wytropiły. Pozostała trójka zatacza od czasu do czasu kręgi, aby być w pobliżu. Osłaniają.

Zbliżają się wreszcie do brzegów angielskich. Czas wejść na wysokość, koledzy są nad nimi. Coraz bliżej mający brzeg Kornwalii. Zydel próbuje wyjść w górę, samolot zakołysał się tylko, ale wysokości nie zmienił.

- Nic z tego, cholera! - zaklął. - To było zresztą do przewidzenia. Nie trzyma ster głębokości. Nie wydrapię się nad brzeg!

Łagodnie wykonał skręt w lewo. Trzyma! Zameldował tym w górze o zaistniałym fakcie. Koledzy natychmiast zaalarmowali służbę ratowniczą i Bazę w Predannack. To było wszystko, co w tej chwili mogli dla nich uczynić.

Na wodowanie się nie decydują, aczkolwiek są już na swoich wodach przybrzeżnych. Jedyna możliwość to lądowanie na plaży. Nadali sygnał niebezpieczeństwa: May-Day. Nowak przycisnął klucz w dolnej części swego fotela i spał go na krótko, aby stacje goniometryczne mogły ich namierzać. Nie ma pewności, czy ktoś ich w ogóle usłyszy - są za nisko. Jednak... Słyszą! Z głębi ładu ukazuje się Beaufighter i zatacza kręgi nad nimi na wysokości około tysiąca metrów. Za nim podąża Consolidated „Catalina”, wodnopłat, który spieszy im na ratunek.

- Zydell, staraj się zachować spokój - słyszysz w słuchawkach czyjś głos - wszyscy o was już wiedzą i starają się wam pomóc. W waszą stronę idzie Catalina, w wypadku wodowania zaraz was wyłowi. Jeżeli możesz, podejmij ryzyko wodowania - kończy głos po polsku.

Nie mają czasu zastanawiać się, kto do nich mówi, myślą teraz gorączkowo, gdzie podjąć próbę lądowania, bo o wodowaniu już nie ma mowy.

- Niech Nowak sprawdzi, na ile macie jeszcze paliwa - mówi ten sam głos. - Czy wam nie wyciekło?

Nowak sprawdza. Paliwa mają jeszcze, biorąc pod uwagę tylko jeden silnik, na godzinę. Widocznie pierwszy zbiornik oberwał i paliwo stamtąd „wydmuchało”, stąd ten „niepokój” silnika zdrowego.

- Halo ziemia! - woła Zydell na kanale „C”, na którym mówią do nich. - Paliwa starczy na godzinę, wodować na jednym silniku nie mam odwagi, postaramy się lądować na jednej z pobliskich plaż.

- OK, zrozumiałem was - znów ten sam głos. I po polsku: - Życzymy powodzenia.

Niestety, aczkolwiek nie można było wątpić w ich dobre chęci i współczucie, kontrolerzy z „Ops” nie popisali się znajomością okolicy.

Zydell podchodzi pod widoczną z daleka plażę. Idą jeszcze nad morzem, ale wolno skręcają w prawo i za chwilę biały piaszczysty brzeg wchodzi im na horyzont. Nowak wypuścił już podwozie i jedną czwartą klap. Weszli na prostą i z wrażenia aż im się zakręciło w głowach.

- Cholerny świat!!! - klną obaj.

Plaże pokryte są ostrymi palami, osadzonymi na sztorc przeciw lądowaniu nieprzyjacielskich samolotów. Nadziali się na własne przeszkody!

O lądowaniu na plaży wzdłuż wybrzeża Kornwalii również nie ma mowy, a więc co teraz?

- Musimy wyjść nad łąd i tam siadać - mówi Nowak. - Polecimy wzdłuż brzegów, wydaje się, że tam jest dolina, przez którą może się uda wejść w głąb.

- Dobra, lecimy - kwituje Zydell.

Minęli już Torquay. Tu również są wysokie brzegi. Idą dalej po prostej, w okolicy Exmouth widzą z lewej strony zatokę. Podchodzą bliżej - dostrzegają łagodne wejście w głąb ładu, coś na kształt szerokiej doliny. Nie mogą podejść z prostej. Decydują się na wejście od strony zatoki i wykonanie tam pełnego skrętu o 360 stopni z wejściem nad łąd. Tak też czynią.

Maszyna, ciągnięta przez prawy silnik, idzie chętnie w lewo, zataczając szeroki łuk. W końcu przyszła do pozycji, która konieczna była do skierowania jej w głąb ładu. Zydell bardzo delikatnie, choć nie bez

oporów, wyrównał, widoczna przed nimi dolina przesunęła się w lewo. Idą teraz nad brzeg, mijają plażę najeżoną palami i koziołkami z drutu kolczastego. Weszli albo raczej wpadli w wąski parów, który gdzieś w perspektywie rozszerzał się w równinę. Lecieli teraz nad pastwiskiem pełnym bydła.

- Cholerny świat! - znów klnie Zydel. - Tylko tego brakowało!

Bydło na szczęście rozbiega się w popłochu, robiąc im miejsce. Podają do stacji pośredniczącej, którą jest lecący nad nimi Beaufighter, decyzję lądowania w tym miejscu. Beaufighter mówi, że teren przed nimi jest wolny, ale muszą jeszcze podciągnąć około pięciu mil, tam już bydła nie ma, i skrócić lekko w lewo, o 10 stopni.

- Czy tam jest łąka? - pyta Zydel.

- Wygląda na to, że jest - odpowiadają z samolotu. - Good luck!83

- No co, Heniek - zwraca się do Nowaka Zydel, nie odwracając głowy od zmatowanej szyby, gdzie z lewej strony była wąska szparka, umożliwiająca mu jaką taką obserwację - drugi raz na jednym silniku podchodzimy do lądowania, masz „pietra”?

- Do trzech razy sztuka - siląc się na dowcip odpowiada Nowak.

Bydło w popłochu odbiegało od ryczącego powietrznego potwora. Wreszcie odsłoniła się stosunkowo równa powierzchnia, wolno wchodząca pod górę. Tak jak podawał samolot.

Bez znajomości terenu, z mocno ograniczoną widzialnością, bez możliwości przyjrzenia się miejscu z góry decydują się na lądowanie właśnie tu. Lekkie wzniesienie pozwoli im na automatyczne wytracenie szybkości. Dalej może być znacznie gorzej.

- Tutaj będę sadzał, uważaj - mówi do Nowaka Zydel. - Podwozie!

Bez sekundy wahania Nowak uderzył dźwignię podwozia, które po nieudanym lądowaniu na plaży było wciągnięte, nie pytając, czemu pilot powziął taką decyzję, bowiem mieli przecież lądować, jego zdaniem słusznie, bez niego.

Maszyna drgnęła, wrywała się w bok. Wyraźnie nie lubiła terenu, nad którym lecieli.

Zydel ubrał trochę gazu, ale bał się ryzykować zbyt wiele.

- Daj jeszcze trochę klap - mówi do Nowaka.

Wyrzucił już trzy czwarte. Lądują. Henryk podaje mu szybkość podejścia. Lecą jeszcze, jego zdaniem, za szybko.

- Heniek, to chyba wiatr mnie tak spy...

Nagle coś straszliwie szarpnęło, zagwizdało. Usłyszał przez moment odgłos jakby wystrzału pistoletowego. Zdawało mu się przez sekundę, iż wrzucono go nagiego w wielkie skupisko pokrzyw. Nie czuł żadnego bólu. To było ostatnie wrażenie, jakie zanotowała jego pamięć.

A potem już nic. Cisza...

## Zmartwychwstanie

Leżał na skale zupełnie nagi. Nad nim mocnym blaskiem jarzyło się słońce. Piekło niesamowicie! Odczuwał straszliwe pragnienie. Chciał się czymś zaślonić i uczynił ruch ręką, ale poczuł, że jest przywiązany łańcuchami do skały. Wszystko to widział jakby przez mgłę. Wokół niego krążyło kilka białych sępów. Dwa spośród nich pochyliły się nad nim i w tej samej sekundzie poczuł przeraźliwy ból! Ból, który się szybko potęgował.

Sępy rozrywają mnie żywcem, myślał z przerażeniem. Prometeusz skradł z Olimpu ogień i dał go ludziom, ale za co ja tak cierpię? Dlaczego?!

Chciał odpędzić ptaki, szarpnął się mocno i krzyknął przeraźliwie.

Pomogło! Sępy odskoczyły.

Nagle Nowakowi wydało się, że słyszy:

- Budzi się, narkoza! Dlaczego się budzi?!

I znów zapadł w ciemność. Zdawało mu się teraz dla odmiany, że leci w dół ze spadochronem. W dole widzi oczekujących go Niemców z wyrwijącymi się psami na smyczach. Hitlerowcy trzymają automaty wymierzone w jego kierunku. Robi wysiłki, aby spadochron poszedł z powrotem w górę, ale on nieubłaganie idzie w dół, prosto w łapy czekających SS-manów.

Otworzył oczy. Leżał teraz w łóżku, na wznak, bez poduszki. Najpierw widział tylko biały sufit, potem zobaczył parawan, otaczający jego łóżko. Z lewej strony, tuż obok, siedziała siostra. Ubrana była w biały fartuch i krótką, szarą pelerynkę z dystynkcjami podporucznika. Widząc, że się jej przygląda, szybko wstała i pochyliła się nad nim. Zamknął oczy.

I znów wisi na tym swoim nieszczęsnym spadochronie. Jest coraz bliżej ziemi, a Niemców jakby przybyło! Wreszcie ląduje. SS-mani przyskoczyli do niego, chwytają go wpół. W przypiętych naglej energii i desperacji chwycił jedną ręką najbliższego stojącego za pierś i z całej siły odrzucił go od siebie. To samo zrobił z drugim. I w tym momencie powróciła mu świadomość.

Zobaczył, że parawanu już nie ma; z lewej strony leci do tyłu siostra, po prawej zaś druga, niższa. Z rozmachem wpadła między łóżka po przeciwnej stronie sali. Była to, jak zdążył zauważyć po dystynkcjach kapitana, siostra przełożona.

Był już przytomny, ale bardzo osłabiony i po trosze zawstydzony swoim postępkami. Przewrócony parawan leżał na podłodze. Uniósł powoli głowę i rozejrzał się wokół. Był w olbrzymiej sali szpitalnej. Po obu stronach, pod ścianami, stały dwa rzędy białych łóżek. Pośrodku też ustawiono łóżka, a między nimi dwa stoły i dwie dorodne palmy. Na końcu sali znajdowała się przystrojona kwiatami figurka Matki Boskiej i mały ołtarzyk. Chorzy leżący w łóżkach patrzyli na niego z zaciekawieniem.

Siostry już się podniosły. Pierwsza podeszła ta, która przedtem stała po lewej stronie. Była to bardzo przystojna dziewczyna, wysoka, dobrze zbudowana. Nie poleciała daleko. Z prawej podchodziła szybko siostra przełożona. Niskiego wzrostu, szczupła, o zaciśniętych ustach, w okularach. Dziwnie nie pasowały trzy kapitańskie kwadraty na naramiennikach do jej pomarszczonej twarzy.

Nowakowi zrobiło się strasznie wstyd. Przechylił głowę w bok i łzy popłynęły mu po policzkach. Pozbawiony był samokontroli.

Podeszły do niego i delikatnie uniosły, trzymając pod ramiona i jednocześnie pilnie obserwując jego twarz. Starsza dała mu coś do picia. Przełknął kilka łyków, bowiem był bardzo spragniony, ale zaraz potem chwyciły go torsje.

Gdy się już trochę uspokoił, znów ułożyły go wygodnie. Przy łóżku pozostała młodsza. Odpoczywał. W dalszym ciągu odczuwał mdłości - powodował je straszliwy zapach chloroformu, który wydobywał się z jego płuc. Świadomość wróciła mu całkowicie.

- A więc szpital?! Ale skąd on się tu wziął?! Nie mógł ukryć swego zdziwienia. Nagle zadrzał. Pamięć wróciła mu natychmiast! Przecież lądowali na jednym silniku! Czyżby to nie było lądowanie?

- Siostro - powiedział szeptem. - Siostro!

Pochyliła się nad nim.

- Siostro, czy jest tu Zydel? - spytał. Mówienie przychodziło mu z wielką trudnością, bo język miał jak z kamienia.

Patrzyła na niego ze współczuciem, ale wzruszyła lekko ramionami.

- I do not understand<sup>84</sup> - powiedziała z lekkim uśmiechem.

Nowak zorientował się, że mówił do niej po polsku.

- Gdzie jest Zydel? - powtórzył pytanie, tym razem już po angielsku.

- Ja nie znam Zydel. Sorry - powiedziała, jakby się usprawiedliwiając. Po chwili zorientowała się jednak, o co mu chodzi, bo powiedziała:

- Tydzień temu przywieźli cię tu samego. Jesteś w Braintree Hospital, w Essex - dodała.

No to ma chłopak szczęście, odetchnął. Jest zdrow i cały, skoro go tu nie ma.

- Co ze mną, siostro? - pyta ostrożnie.

- Nie wolno, cicho, nie mów nic! - Trzymaną w ręku gąbką zwilża mu spieczoną gorączką usta.

Chwilami Nowak słyszy w uszach dziwny dźwięk, coś jakby dalekie dzwony. Chce poruszyć lewą ręką, na próżno, potem próbuje nogą - również nic z tego. Prawa ręka reaguje normalnie. Przesuwa ją powoli pod kocem w dół i dotyka nóg. Są! Ale straszliwie wielkie. Po chwili zrozumiał - to gips. A więc złamanie!

Na całym ciele (leżał jeszcze nagi, tak jak go przywieźli z sali operacyjnej) były szerokie, grube bandaże. Dotyka głowy. Z prawej strony powyżej oka plaster. Lewa ręka, przedramię, również w gipsie. Próbował się unieść: na końcu bardzo długiej szyny, a może taka mu się tylko wydawała,

---

<sup>84</sup> Nie rozumiem

wystaje noga, jego noga z sinymi końcami palców. Próbuje nimi poruszać - bez skutku. Spojrzał na siostrę, która z uśmiechem obserwowała jego „inspekcję”.

- Ale się cholernie urządziłem - mówi do niej po polsku.

- You will be all right<sup>85</sup> - odpowiedziała z uśmiechem. - Już nic nie mów, lekarz zabronił.

Po godzinie otwały się drzwi wejściowe i wkroczyło trzech lekarzy w asyście siostry przełożonej, z którą Nowak już miał zaszczyt zawrzeć znajomość, niestety z niezbyt przyjemnej strony. Wszyscy podeszli do jego łóżka. Siedząca koło niego siostra poderwała się z krzesła i stanęła obok.

Jeden z lekarzy, starszy już mężczyzna, zbadał mu puls, popatrzył uważnie w oczy i spytał o coś siostrę przełożoną.

- Miałeś szczęście - powiedział, pochylając się nad nim. - Pomoc przyszła w samą porę, chociaż i tak się porządnie wykrwawiłeś. Teraz już jest dobrze, aczkolwiek mieliśmy duże kłopoty z twoją grupą krwi, bowiem „A” (Rh -) jest u nas rzadko spotykana. Teraz już w porządku.

Nowak wciąż słyszy: „You will be all right”. Zaczyna mu się to nie podobać. Dlaczego wszyscy poczuwają się do obowiązku pocieszania go?

- Co jest z pilotem? - pyta słabym głosem po angielsku. Mówi cicho, tak że lekarz musi pochylić się nad nim, aby usłyszeć. Zrozumiał jednak.

- Jak to, toś ty nie pilot? - dziwi się lekarz. - A nam powiedzieli przez telefon ci z RAF, że wiozą samolotem ciężko rannego myśliwca i żeby wszystko przygotować do natychmiastowej operacji. Podali nawet twoją grupę krwi. Przecież to byłeś ty.

- Nocnego myśliwca - szeptem odpowiada Nowak.

- W nocnym jest zawsze dwóch. Co z pilotem? - ponawia pytanie.

- Nie wiem - odpowiada skonfundowany lekarz.

- Przywieźli tylko ciebie i przez cały czas tylko o tobie była mowa. Teraz już cicho, nabieraj sił, bo są ci one bardzo potrzebne. - Zorientował się, że go zmęczył i zaniepokoił swoim gadulstwem. Wziął go ponownie za puls, znów coś pomówili między sobą i po chwili wyszli. Nowak zaś popadł w całkowitą apatię. Nic go nie obchodziło z tego, co się działo wokół, aczkolwiek wszystko słyszał doskonale. Oczy miał lekko przymknięte, bowiem raziło go światło dzienne. Ktoś coś do niego mówił, nie reagował. Po prostu nie chciał mu się nawet rozumieć, co do niego mówią.

Zapadł w sen.

Musiał długo spać. Gdy otworzył oczy, na sali paliło się już światło elektryczne. Siostra w dalszym ciągu siedziała koło jego łóżka i czytała książkę. Była zwrócona do niego bokiem.

Pod głową ma już poduszkę. Nawet nie czuł, kiedy mu ją dano. Leży nieruchomo, wzrok utkwiony w jeden punkt na suficie. Czuje w dalszym ciągu kompletną pustkę. Nie myśli o niczym. Ale przez cały

---

85 Będziesz zdrów.



czas słyszy ten cholerny szum! Żeby tak można było zlikwidować ten męczący szum. Skąd on pochodzi? zaczyna się zastanawiać. Skąd ten szum?

- Mogliby to centralne ogrzewanie naprawić albo wyłączyć - mówi do siostry cicho. - .Cały czas szumi para, siostrzo, zróbcie coś z tą parą - prosi.

Tobie się tylko tak wydaje, nie ma tu żadnej pary. Centralnego tu również nie ma, są tylko piece, a na dworze jest wiosna, bardzo ciepło - cierpliwie tłumaczy siostra. - Jutro ci przejdzie - dodała uspokajająco, zwilżając mu ponownie usta. Powoli wracał ból. Czuł go teraz wszędzie. W żołądku czaił się odór, który powodował mdłości. Nie mógł powstrzymać jęku. Siostra odeszła, ale zaraz wróciła, aby mu zrobić zastrzyk. Po chwili zasnął. W nocy stan jego pogorszył się znacznie. Przyszła wysoka temperatura.

Przez trzy dni toczyła się batalia o jego życie. Łóżko znów było otoczone parawanem, który stawia się tylko przy ciężko chorych lub umierających, aby nie płoszyć innych. Separatek tu nie było, bowiem był to szpital polowy. Czwartego dnia kryzys minął. Młody organizm, silny, przezwyciężył w końcu chorobę. Nowak powracał między żyjących. Parawan zabrano i jak mu powiedziała siostra, jego opiekunka, tym razem już na dobre.

Dopuszczono wreszcie do niego kolegów z dywizjonu, dowiedział się prawdy. Zydel... nie żył.

Naoczni świadkowie - było tam w pobliżu dwóch ludzi - relacjonowali, że lądujący samolot zaczepił podwoziem o wystający duży kamień z prawej strony, którego pilot, przy tak utrudnionej widoczności, nie mógł zauważyć. Mosquito wyskoczył w górę, przekręcił się na lewe skrzydło i runął na ziemię, stając od razu w płomieniach. Nowak został prawdopodobnie wyrzucony przy drugim uderzeniu. Być może oszołomiony pociągnął zawleczkę wyrzucającą osłonę kabiny i podświadomie odpiął pasy bezpieczeństwa. Przypuszczenie szybko uznano za nieprawdopodobne - na te czynności po prostu nie było czasu. Być może niezbyt dokładnie zapiął pasy bezpieczeństwa i puściły podczas upadku. Uderzył ciałem o nadwątłą pociskiem szybę przednią i wyrzuciło go na zewnątrz. Faktem jest, że znaleziono go w odległości 10 metrów od płonącego samolotu.

Nowak pamiętał, że iskrowników nie można było wyłączyć, bowiem samolot szedł do lądowania. Dlatego stanął natychmiast w płomieniach.

Koledzy komentują teraz to wszystko, pytają go, ale on im w niczym nie może pomóc. Nic nie pamięta.

Zydel przypuszczalnie zginął na miejscu podczas lądowania, kiedy samolot uderzył o kamień. Do płonącej maszyny nie można było podejść, eksplodowały pociski. Niewiele ich pozostało, ale narobiły dużo zamieszania, tym bardziej że w pobliżu znalazły się tylko dwie osoby. Gdy nadjechała właściwa pomoc, było już za późno na jakąkolwiek akcję.

Podwozie Mosquita okazało się mocne, podobnie jak w czasie poprzedniego lądowania na jednym silniku.

Nowak miał szczęście. Tak twierdzili koledzy. Pomoc dla niego przyszła na czas. Żył! I znów stanęła mu przed oczami postać majora Kucharskiego z dywizjonu 300, kiedy nie wrócili koledzy Nowaka z samolotu „Z jak Zebra”. Powiedział on wtedy Henrykowi: „Panie, tam w kraju ktoś się za pana modli”.

Koledzy przywieźli mu nowy mundur i bieliznę, bowiem w tym, co miał na sobie podczas wypadku, wyjść ze szpitala nie mógł.

Z każdym dniem czuł się lepiej, tyle że był jeszcze bardzo osłabiony. Najwygodniej mu było leżeć na wznak, chociaż często musiano mu robić masaże pleców. Zwykle po rannym obchodzie miał dużo czasu. Chorzy przychodzili do niego, starając się go jakoś zabawić. On jednak wolał być sam.

## I znowu wiosna

Zbliżały się święta Wielkiej Nocy. Chorzy, którzy mogli chodzić, robili na sali porządki, aczkolwiek czysto tu było wszędzie aż do przesady. Nowak leżał sobie wygodnie w łóżku, słuchał wesołych przekomarzań pacjentów z poganiającymi ich siostrami. Myślał o ostatniej Wielkanocy. Jaka ona była? Gdzie się wtedy znajdował? A prawda, to było jeszcze w szkole, przyjechał do nich wówczas kapelan z Londynu i mieli spowiedź w campie.

A dwa lata temu? Tak, to było w Persji w Ahvazie. Stali wtedy obozem około kilometra od miasta, na pustyni. Ziemia żółta, podobna do gliny, popękana z gorąca. Z obozu gołym okiem można było dostrzec zarysy oddalonego miasta po drugiej stronie pustyni. Patrząc w tamtą stronę odnosiło się wrażenie, że widać duże jezioro. Błyszcząca tafla do złudzenia przypominała wodę, ale gdy podeszło się bliżej, jezioro przesunęło się i lekkomyślny wędrowiec mógł tak brnąć w pustynię bez końca.

Podobnie jak w miejscu lądowania w Pahlevi usługiwało im wojsko hinduskie. Podobno religia nie pozwala im walczyć zbrojnie, używani byli tedy do służb pomocniczych. Polakom nie wolno było nic robić, mieli tylko odpoczywać i nabierać sił. Taki był rozkaz władz brytyjskich.

Mieszkali w dużych, dwudziestoosobowych namiotach, których środek był podwyższony kamiennymi płytami. Zrobiono to celowo, dla ochrony przed skorpionami.

Nad całością czuwali brytyjscy oficerowie, pomagał im hinduski sierżant, który trzymał w ryzach swoich współrodaków. Dobrej tuszy, średniego wzrostu mężczyzna, w kolorowym turbanie na głowie, z gęstą, krótko ostrzyżoną brodą. Nosił grubą trzcinę bambusową, którą grzmocił po turbanach swoich współwyznawców. Czasami, widać dla odmiany, walił ich po plecach.

Pracowali tu również tubylcy. Żyli w straszliwej nędzy, więc choć źle opłacani, szczęśliwi byli, że mają zajęcie, a czasami dostanie im się resztkę chleba czy konserw. Pracowali przez cały dzień. Podczas przerw w pracy posilali się czymś w rodzaju rozwałkowanego, miękkiego ciasta. Polacy nazywali ten ich chleb „onucami”, żaden z nich nie odważył się go spróbować. Dzienny zarobek tubylców stanowił równowartość paczki papierosów, które Polacy kupowali za grosze w miejscowej kantine.

W Wielką Sobotę Polacy zakupili w mesie większą ilość alkoholu i różne frykasy. Następnego dnia wczesnym rankiem jeden z nich, wyświęcony tuż przed wojną ksiądz, odprawił improwizowane nabożeństwo. Zaśpiewali „Wesoły nam dzień dziś nastał” i rozeszli się do namiotów, aby uczcić święto w „rodzinnym” gronie.

Cały namiot rozbrzmiewał pieśnią wielkanocną, gdy otworzyły się drzwi i stanęli w nich dwaj Hindusi, trzymając w rękach wiadro i szczotkę. Zjawili się tu jak co rano, by zrobić porządek. Podeszedł do nich Wacek Kordel, wyjął im z rąk narzędzia pracy. Oddali niechętnie, nie wiedząc jeszcze, o co tu chodzi.

- Sprzątania dziś nie będzie - wyjaśnił im. - Capito?

Nowak zastanawiał się, czemu Kordel użył włoskiego słowa, z równym powodzeniem mógłby mówić do nich po polsku. Oni i tak żadnego języka poza swoim własnym nie znali.

Hindusi poszarzeli ze strachu, kiedy zobaczyli, jak Polacy chwycili szczotki i sami zabrali się do pracy. Wacek tymczasem zaciągnął ich do zaimprovizowanego stolika, nalał po szklance wódki i kazał pić.

Nie wiadomo, co mówiła ich religia na temat picia alkoholu, ale po tym jednym „kieliszku” golili już wodę nie gorzej od Polaków. Nie chcieli tylko jeść wieprzowiny, toteż otworzono dla nich puszkę ze śledziami.

Hindusi bardzo szybko pokonali dystans dzielący ich od „panów”. Jeden z nich poczuł taki przyptyw uczuć przyjacielskich, że klepnął Nowaka po plecach, aż ten przysiadł.

Nagle rozległo się wołanie szukającego ich sierżanta. „Goście” znów poszarzeli ze strachu. Nowak pokazał im ręką, że będzie „frycowa” bambusem po głowach.

- Yes, Sahib - odpowiedzieli. Przytomność im wróciła.

Wtedy to, zapewne pod wpływem wypitego alkoholu, Polacy zaczęli ich przekonywać, że to oni powinni spuścić baty grubemu sierżantowi.

Nabrali odwagi. Wyszli przed namiot, nastawieni przez Polaków bojowo, oni za nimi, aby nic nie uронić z widowiska. Sierżant podskoczył do „podwładnych” i wyrznął trzymaną w ręku pałką pierwszego z nich w turban, aż się zakurzyło. Wtedy inny z Hindusów zabrał mu pałkę i zaczął go okładać, gdzie popadło. Grubas wyrwał im się w końcu i zaczął uciekać, wrzeszcząc jak opętany. Wacek podciął mu nogę, gdy przebiegał koło nich, i tamten runął jak długi. Dopadli go ziomkowie i okładali bambusem, aż trzeszczało. Uciekli dopiero na widok angielskiego oficera, który pędził na koniu w ich kierunku, coś tam krzycząc...

Polacy wycofali się dyskretnie. Okazało się, iż nie tylko w ich namiocie spojono sprzątających Hindusów. Wszędzie widać było wałęsających się żołnierzy w turbanach. Zbierali puste butelki, sprzedawali w mieście i pili dalej, tylko że tym razem już za swoje. Warto tu dodać, że żołd ich w porównaniu z żołdem wojska brytyjskiego był bardzo mały - około pięć procent tego, co otrzymywali Anglicy czy Polacy.

Angielski dowódca miał potem żal do Polaków o tę „rozbóję”.

W drugi dzień świąt Nowak z Kordelem udali się do miasta. Po obu stronach wąskiej ulicy stały wysokie gliniane parkany, za którymi znajdowały się podwórza i domy mieszkalne Persów. Z ulicy widać było tylko dachy. Co parę metrów wąskie, zamknięte drzwi do posesji właściciela. W jednym z nich przez szparkę dojrzeli czarne oko ciekawej kobiety, której nie wolno było wychodzić poza bramę bez zasłony na twarzy.

Obaj z Wackiem udali, że nic nie zauważyli. Celowo patrzyli w drugą stronę. Mijając kolejne drzwi, Nowak dał susa w bok i wsadził nogę, uniemożliwiając ich zamknięcie. Schwycił kobietę za ramię. Pisnęła przeraźliwie, wyrwała się i uciekła w popłochu, zostawiając mu szal w rękę.

Nie bardzo bezpieczne były te zabawy, bowiem Persowie nie mieli poczucia humoru i nie znali się na podobnych żartach. W pośpiechu więc opuścili to miejsce, przypominając sobie, że kilka dni temu znaleziono w pobliżu obozu ciało jednego z Polaków, zakłutego nożem przez zazdrosnego małżonka. Przeprowadzone dochodzenie, jak było do przewidzenia, nie dało rezultatu.

- Czemu się tak uśmiechasz? - wyrwała go z zadumy siostra, poprawiając mu poduszki. - To dobrze, wracasz do zdrowia. Śnisz o dziewczynie?

Nowak spojrzął na nią i przypomniał sobie, że jest w sali szpitalnej.

- Zgadłaś - odpowiedział ciągle się uśmiechając.

- Myślałem o tobie.

- Nie kłam - odpowiedziała śmiejąc się również.

- Przed chwilą byłeś daleko stąd!

Dziś Wielkanoc. Pierwszy dzień świąt. Z samego rana przyszedł wojskowy kapelan Anglik i odprawił uroczystą mszę. Nowak słuchając mówiącego po łacinie księdza chwilami myślał, że jest w Polsce, z przyjaciółmi, rodziną. Gdy kapelan po nabożeństwie rozpoczął kazanie, Henryk wrócił do rzeczywistości. Ksiądz niejednokrotnie zwracał się w jego stronę. Może dlatego, że to, co mówił, miało związek z utraconą Ojczyzną Nowaka, może dlatego, że był tu jedynym lotnikiem, a w dodatku Polakiem.

Po uroczystym obiedzie przyniesiono Henrykowi paczkę „Krzyża Maltańskiego”, przysługującą mu jako „rannemu na polu bitwy”. Coraz częściej oczy chorych kierowały się w stronę zegara i drzwi wejściowych. Spodziewano się rodzin.

Na wprost jego łóżka leżał policjant ranny podczas nalotu. Nowak zaprzyjaźnił się z nim od dnia, w którym odzyskał przytomność. Policjant opiekował się nim, pomagając siostrze. Dotrzymywał mu towarzystwa, pocieszał w cierpieniach, spełniał różne posługi, kiedy siostry nie było w pobliżu. W tym czasie był jeszcze przed operacją żołądka. Teraz, gdy od operacji minęło już kilka dni, z kolei Nowak starał mu się pomóc.

Po godzinie 14.00 otworzyły się drzwi i wtargnęła do środka ciżba roześmianych ludzi. Jedni kierowali się od razu w stronę łóżek swoich najbliższych - to stali bywalcy, drudzy zaś przystawali na chwilę w drzwiach, szukając oczyma tych, do których przyszli, aby po chwili z szerokim uśmiechem podążyć w stronę odszukanej osoby.

Do Nowaka nie przychodził nikt, nie spodziewał się zresztą nikogo. Dywizjon stał setki kilometrów stąd, toteż na radosny gwar nie zwracał zbytnio uwagi. Robił dla siebie... portfel! Przyniesiono mu z magazynu gotowy model portfela - kolor skóry dobrał sobie sam, stalowy, aby pasował do munduru - przybory do szycia i teraz powoli, aby się nie męczyć, zajmował się kaletnictwem. W ten sposób szybciej upływał czas. Pamiątkowy portfel przetrwał całe lata.

Po pewnym czasie odwiedzający, którzy nacieszyli się już widokiem swoich najbliższych, zaczęli się rozglądać po sali, po innych łóżkach, pytać o osoby leżące w pobliżu. Wymieniali z nimi zdawkowe uwagi. Coraz więcej oczu kierowało się w stronę Nowaka. Zwrócili uwagę, że koło jego łóżka nikt nigdy nie siedział. Czasami tylko przysiadł chory, do którego w tym dniu nikt nie przyszedł. Trzeba przyznać, że i wyglądem wyróżniał się spośród towarzyszy niedoli. Był, jak się to mówi, „innej rasy”.

- Polski lotnik! Myśliwiec, zestrzelony nad Francją - mimo woli dosłyszał Nowak przytłumione głosy.

Wiedział już, że był obiektem ogólnego zainteresowania. Właściwie było mu to obojętne. Czekał cierpliwie, leżąc w trochę niewygodnej pozycji na wznak, aż wszyscy sobie pójdą. Wtedy siostra poprawi mu poduszki i zrobi masaż pleców, co zawsze przynosiło mu ogromną ulgę.

Minął tydzień. I znów w niedzielę sala po południu zapełniła się bardzo szybko. Nowak czuł się w tym dniu zupełnie dobrze. Po raz pierwszy zjadł w całości doskonały obiad. Był w pozycji półleżącej, co mu pozwalało obserwować salę. Spojrzał na swojego sąsiada- -policjanta. Od operacji mijał trzeci tydzień, pacjent czuł się znacznie lepiej. Napotkał jego wzrok i uśmiechnął się do niego. Policjant zjadał właśnie przyniesione przez żonę smakołyki i pytał na migi, czy mu może trochę podzucić. Nowak kręci przecząco głową pokazując, że nie wie, co ma robić ze swoją kolejną paczką, którą otrzymywał co tydzień. W pewnym momencie żona policjanta odwróciła się w stronę Nowaka i skłoniła się. Oddała jej ukłon, a wtedy ona wstała, zawahała się lekko, potem jakby podjęła nagłą decyzję i podeszła do niego, podając mu kwiaty. Był to sygnał dla pozostałych. Po chwili łóżko i stolik Henryka pokryte były kwiatami.

Na stole znalazły się nawet świeże jajka - w tym okresie prawdziwy rarytas! Nawet w RAF niemal przez cały czas podawano im jajka w proszku, gotowane na wodzie. Tylko personel latający otrzymywał czasami, i to przeważnie w okresie letnim, po dwa.

Nowak był oszołomiony i nie wiedział, jak się ma zachować. Nikomu nie dziękował, nie mówił po prostu nic, oni też milczeli. W pewnym momencie nie mógł pohamować łez. Obcy ludzie okazali mu tyle serca!

Już do końca pobytu w szpitalu nie był samotny. W każdą niedzielę jego „magazyn żywnościowy” był zawsze obficie zaopatrzone w świeże jaja, cytryny, pomarańcze. Teraz on częstował wszystkich, którzy się tylko pojawili w pobliżu łóżka. W czasie wizyt zawsze ktoś siadał koło niego, choćby na chwilę. Być może był to objaw wdzięczności dla polskich lotników za ich wkład w ciężkich chwilach „Bitwy o Anglię” i w dalszych latach.

## Podcięte skrzydła

Powoli wracał do zdrowia. Wizyty kolegów były bardzo rzadkie, ponieważ dywizjon stacjonował w tym czasie w dalekim Coleby Grange. Czasami przyleciała jakaś załoga Mosquitom na pobliskie lotnisko, aby mu podrzucić coś z zaoszczędzonych przydziałów: papierosy czy czekoladę, i trochę polskiej prasy. Dzielili się z nim wiadomościami o życiu dywizjonu. Dowiedział się, że mjr Orzechowski wraz ze swoim nawigatorem kpt. Szponarowiczem odeszli do angielskiej jednostki i opuścili Wyspy, udając się na Maltę. Miejsce Orzechowskiego zajął kpt. Lewandowski, którego z kolei na stanowisku dowódcy eskadry „B” zastąpił por. Stanisław Andrzejewski. Koledzy powiedzieli mu też, że został awansowany w polskim stopniu.

Ale i te wizyty stawały się coraz radsze, aż w końcu ustały zupełnie. Przychodziły czasami listy. Najczęściej pisywał Wojczyński. Od niego dowiedział się o nominacji Lewandowskiego i Andrzejewskiego. Wiadomość ta ucieszyła go bardzo, bowiem obaj oficerowie byli bardzo lubiani w dywizjonie.

Został w końcu sam.

Tej niedzieli, gdy drzwi otworzyły się jak zwykle o godzinie 14, zajęty był właśnie poprawianiem sobie poduszki. W dalszym ciągu dłuższe leżenie w jednej pozycji sprawiało mu trudności. Nie chciał fatygować siostr, zawsze pomagał mu chętnie któryś z chodzących chorych.

- Henry, Henry - usłyszał podniecony głos przyjaciela-policjanta. - Henry, ktoś do ciebie!

Spojrzał w stronę drzwi. W kierunku jego łóżka szedł roześmiany Kordel, tuż za nim pobladła ze wzruszenia Joan.

- No, tośmy cię w końcu znaleźli - powiedział Wacek.

Patrzył na nich, nie mogąc powiedzieć słowa. Nie wiedział, co ma ze sobą robić. Przez długą chwilę nie mówili nic. Patrzyli na siebie. Nowakowi zaschło w gardle. Czuł, że jeśli otworzy usta, to się rozpłaczę, a tego za wszelką cenę chciał uniknąć. Był ostatnio mocno przewrażliwiony.

- No to ty, braci, powracasz z tamtego świata - powiedział po swojemu Wacek. Bardzo był wzruszony. Joan przytuliła się do niego. Wyglądała pięknie nawet teraz, gdy mocno zaawansowana ciąża zmieniała jej zgrabną figurę. Tylko piegów miała więcej na twarzy, ale to wcale nie psuło harmonii jej rysów.

Wszystkie oczy obróciły się w stronę łóżka Nowaka. Patrzyli na Wacka, który był w mundurze angielskiego kapitana lotnictwa, z baretkami odznaczeń wojskowych polskich i angielskiego Distinguished Flying Cross, i na Joan. Kiedy odezwała się do Nowaka, mówiła po polsku z bardzo ładnym, miękkim akcentem.

Oprzytomniał w końcu i zaczął robić im miejsce, aby mogli gdzieś usiąść.

Podczas tej jego „krzątania” spadła na podłogę poduszka. W tej samej sekundzie Wacek schylił się i podniósł ją, zaś Joan, strząsnąwszy lekko, podłożyła pod plecy Nowaka, poprawiając jednocześnie całą jego pościel.

Było mu teraz bardzo dobrze. Po raz pierwszy w czasie pobytu w szpitalu. Joan wyciągnęła z torebki pomarańcze, czekoladę i papierosy. Były to ich wspólne oszczędności z kartek żywnościowych. Nowak przyjął prezenty, ale zmusił ją, aby wzięła od niego nie rozpieczętowaną paczkę, którą otrzymał co tydzień od organizacji Kawalerów Krzyża Maltańskiego. W szpitalu miał swój normalny przydział papierosów i czekolady, tak że pomoc z zewnątrz naprawdę nie była mu potrzebna. Uspokoił Kordelów, że ma wszystko, na niczym mu nie zbywa.

Podeszła do nich siostra przełożona. Nowak przedstawił jej swoich gości i wtedy stało się coś nie spotykanego w historii „wardu”<sup>86</sup>. Siostra przełożona bowiem, aczkolwiek tłumaczyła się brakiem czasu, przyjęła zaproszenie i usiadła z braku miejsca na łóżku Nowaka, biorąc udział w ogólnej rozmowie. Nie na długo co prawda, bo wiedziała, że mają sobie dużo do powiedzenia, ale przez chwilę siedziała przy chorym zupełnie prywatnie.

Nowak przeprosił ją przy okazji za zachowanie podczas przebudzenia z narkozy. Wszyscy parsknęli śmiechem, kiedy opowiedziała im, jaką zrobił minę, widząc ją lecącą do tyłu. Miała jednak poczucie humoru, o co by jej Nowak nigdy nie posądził.

- Ale nie ty pierwszy i nie ostatni - kontynuowała. - Musimy być na . wszystko przygotowane, taki jest nasz zawód i myśmy go sobie świadomie wybrały. W twoim przypadku była to moja wina, po prostu zmylił mnie twój, bądź co bądź ciężki w tym okresie, stan - zakończyła, podnosząc się z łóżka. - Teraz jest już wszystko dobrze - dodała, żegnając się z Kordelami.

Ale nie było dobrze. Wiedzieli o tym wszyscy. Z lataniem musi się pożegnać chyba ostatecznie. Minęły dwa miesiące od wypadku, a on samodzielnie jeszcze chodzić nie mógł. Miał wrażenie, że jedna noga jest krótsza.

Pożegnanie z Kordelami było bardzo serdeczne. Joan się popłakała, a Wacek znów mówił „po lwowsku”. Zaprośili go do siebie na urlop zdrowotny. Wacek starał się go pocieszyć, że wszystko wróci do normy, ale nikt pocieszyć go nie był w stanie. Znał prawdę!

W końcu Joan powiedziała, chyba trafiając w sedno:

- Henry, ty dziękuj Bogu, że w ogóle żyjesz. Wszystko się jakoś ułoży, jesteś młody, na ziemi też można być użytecznym, pomyśl o tym i nie gryź się niepotrzebnie. Wiele bym dała za to, aby on przestał latać, przecież już zrobił swoje - mówiąc to patrzyła niespokojnie na Wacka.

- Joan, kochana, postaraj się go zrozumieć. Dopóki wojna trwa, nigdy dla żadnego z nas nie będzie dosyć. I wy, i my walczymy o swój kraj, o swoją wolność, o miejsce na ziemi - tłumaczył jej Nowak. - Mnie podcięli skrzydła, ale on jeszcze je ma i ty dobrze wiesz, że go nie zatrzymasz, bo by ci tego nigdy nie wybaczył. Ja ze swej strony będę robił wszystko, co w mej mocy, aby powrócić do szeregów.

- Wy jesteście wszyscy zwariowani - powiedziała jakby z żalem - ale właśnie za to was kocham. - Mówiąc to Joan mocno pocałowała Nowaka na pożegnanie.

Nadszedł czas, kiedy mu wreszcie zdjęto gips. Nie mógł się doczekać tej chwili, wydawało mu się bowiem, że zaraz po zdjęciu będzie mógł chodzić i wkrótce opuści szpital. Jeszcze na sali zabiegowej

---

<sup>86</sup> Sala szpitalna.



rozpoczął gimnastykę obu nóg, ale tylko prawa była mu posłuszna - z lewą nie mógł sobie poradzić. Mimo wielokrotnych masażu i naświetlań pozostała na pół sztywna.

On jednak chodził. Uparcie trenował, używając kul inwalidzkich, ale mimo iż obrażenia na całym ciele goiły się szybko, postępu w lewej nodze nie było i tak chyba już miało pozostać.

Opanowały go w końcu czarne myśli. Pogrążył się w apatii, nieczuły na pełne współczucia uwagi kolegów dzielących z nim salę szpitalną. Jak poinformowała go siostra przełożona, za tydzień zostanie wypisany i wysłany do ośrodka rehabilitacyjnego, skąd do jednostki już nie wróci, przyszły bowiem do kancelarii szpitala jego dokumenty i skierowanie do polskiej bazy w Blackpool. Jakiego rodzaju miały być te dokumenty, tego jeszcze nie wiedział. Zwykle bowiem przychodził tylko rozkaz wyjazdu, a dokumenty służbowe przychodziły inną drogą bez wiedzy zainteresowanego.

To go trochę ożywiło. Podjął na nowo treningi, ale kul jeszcze pozbyć się nie mógł. Wkrótce skierowano go do Horsham celem dalszej kuracji, gdzie zabrano mu kule i, na razie przy pomocy personelu szpitalnego, uczył się chodzić samodzielnie. Masaże i naświetlania nie przyniosły, niestety, pożądanego rezultatu, więc po miesiącu Nowak opuścił ośrodek rehabilitacyjny w Horsham posługując się laską, która miała mu już towarzyszyć do końca życia.

Na urlop zdrowotny pojechał do Szkocji. Jakoś nie miał ochoty pokazywać się Kordelom w takim stanie. Może w drodze powrotnej, kiedy trochę przywyknie?

W czasie odwiedzin w Klubie Polskim w Edynburgu został zaproszony przez Towarzystwo Szkocko-Polskie na przyjęcie organizowane z okazji jakiegoś tam święta. Zaproszenie przyjął. Zawsze to odmiana, zaczął się już nudzić porządnie.

W niedzielę po południu podjechał taksówką przed duży zabytkowy budynek - pałac czy willę - otoczony ogrodem. Wszedł do środka. W dużym hallu lokaj pomógł mu zdjąć letni płaszcz, który miał na sobie z uwagi na chłodny dzień, wziął czapkę z rękawiczkami. Nowak ubrany był już w uszyty w Blackpool mundur oficerski. Dla wyjaśnienia warto dodać, że chorążowie nosili mundury oficerskie, przy czym daszki czapek mieli skórzane (oficerowie - płócienne).

W drzwiach salonu stali gospodarze, którzy przywitani go bardzo serdecznie. Jego mundur z napisem „Poland” był najlepszą wizytówką. W środku było już ze dwadzieścia osób. Nowak został przedstawiony wszystkim, gospodarz podał mu cocktail i pozostawił go samemu sobie.

Nowak wszedł do dużej biblioteki i usiadł w głębokim fotelu, trzymając w ręku nie dopitą szklaneczkę. Po kilku minutach już nie był sam. Co chwila ktoś wchodził i zostawał. Byli to przeważnie starsi panowie, przybyli tu na pogawędkę. Po chwili do dyskusji wciągnięto również jego.

W przyległym pokoju tańczono. Ktoś grał na fortepianie, ktoś inny, bębniąc na krzesłach, naśladował perkusję. Nastrój panował tu swobodny. Nowak siedział w gronie starszych panów, rozmawiając z nimi na różne tematy, gdy wtem do salonu wpadła młoda osóbką i doskoczyła do niego, mówiąc ze śmiechem:

- Rekwiruję wam tego młodego człowieka, to grzech, aby się tu marnował, podczas gdy my nie mamy z kim tańczyć! - I już ciągnęła go za rękaw munduru.

Wymówił się grzecznie, a gdy to nie poskutkowało, powiedział do niej mniej uprzejmie, że niestety, tańczyć nie może i pozostanie tutaj.

Odeszła obrażona.

- Nie gniewaj się, Betty - stanął w jego obronie starszy pan w mundurze generała wojsk lądowych. - On naprawdę nie może.

Była już przy drzwiach, lecz stanęła usłyszawszy te słowa, i spojrzała na niego z zaciekawieniem. W tym momencie w drzwiach stanął lokaj. Padło sakramentalne:

- The dinner is served!<sup>87</sup>

Wszyscy wstali. Nowak chwycił laskę, opartą na poręczy obitego śliską skórą fotela, tak niefortunnie, że wypuścił ją z rąk. W jednej sekundzie obserwująca go Betty znalazła się tuż przy nim. Schylili się oboje w tym samym czasie, zderzając się lekko głowami. Stracił równowagę i lekko przysiadł na podłodze.

Zaczerwienił się ze wstydu, ale dziewczyna nie straciła rezonu. Nie mówiąc nic pomogła mu wstać - jej delikatna rączka nadspodziewanie mocno trzymała go pod ramię.

- Niech się pan oprze na mnie, chorąży - powiedziała. - I przepraszam za tamto.

Spojrzał na zapłonioną twarzą Betty i wysunął delikatnie jej rękę spod swojego ramienia. Dalej poszedł już o własnych siłach.

Nie chcę się przyzwyczajać, to zbyt niebezpieczne dla mnie - powiedział, uśmiechając się do niej, ale w gruncie rzeczy był zły.

Koło każdego nakrycia była karteczka z nazwiskiem. Nowak zauważył kątem oka, że Betty podeszła do pani domu i coś z nią mówiła. Wyglądało na to, że o coś prosi. Tamta skinęła głową i po chwili podeszła do Nowaka, który dotychczas stał spokojnie na uboczu czekając, aż większość zaproszonych zajmie swoje miejsca.

- Tu jest pana krzesło, chorąży - powiedziała gospodyni, wskazując mu miejsce obok siedzącej przy stole Betty.

Przedsiębiorcza pannica, przemknęło mu przez myśl.

Po kolacji powrócili do biblioteki na kawę i papierosa. Młodzież i reszta gości bawiła się w sąsiednim pokoju. Poprzez drzwi słychać było bardzo modne w tym czasie tango „Jealousy”.

Betty nie odstępowała go na krok. Starał się wytłumaczyć jej, że powinna być tam, wśród młodzieży, że on nie jest dla niej odpowiednim towarzyszem, że nie czuje się zupełnie dobrze. Wszystko to jakoś nie docierało do dziewczyny. Nowak musiał przyznać, że jej obecność nie była mu niemiłą, ale krępowały go jej zapędy opiekuńcze. Na szczęście ktoś wyciągnął Betty do tańca. Do Nowaka podeszedł obecny na przyjęciu generał. Zaczęli prowadzić rozmowę na różne tematy, jak to zwykle ludzie, którzy się nie znają, a przyszło im siedzieć razem na spotkaniu towarzyskim. Po chwili generał

---

<sup>87</sup> Podano do stołu!

raz jeszcze popatrzył na niego i uśmiechnął się. Nowak odwzajemnił uśmiech. Od razu poczuł sympatię do tego człowieka, spotkanego przecież po raz pierwszy.

- Wiesz co - powiedział nagle generał - opowiedz mi swoją historię.

Nowak zachmurzył się.

- Nie ma co opowiadać - odparł zakłopotany i trochę zły. - Ot, taka sobie historia, jakich jest tysiące podczas tej barbarzyńskiej wojny. Naprawdę nic ciekawego, nie warto.

- Nie o to mi chodzi - odpowiedział, patrząc mu w oczy. - Widzisz, ja nie pytam przez prostą ciekawość. Z zawodu jestem lekarzem-chirurgiem i dlatego interesuje mnie twój przypadek. Gdybym znał historię choroby, to może mógłbym ci pomóc.

Nowak wciąż jeszcze nie rozumiał, co tamten miał na myśli.

- Mnie już nikt nie jest w stanie pomóc - powiedział smutno.

Generał jednak nie dawał za wygraną.

- Przejdźmy tu obok do gabinetu. Chcę cię dokładnie zbadać - powiedział wstając i podając mu laskę. Było to wypowiedziane w formie rozkazu, tak że Nowak nie śmiał się dalej sprzeciwiać.

Przeszli do sąsiedniego pokoju i usiedli w klubowych fotelach. Zapalili. Nowak opowiedział wszystko, co wiedział na temat swego wypadku.

- No to chyba już wiem, co chciałem wiedzieć, a teraz obejrzymy ścięgna i system unerwienia.

Rozmowa i badania trwały około godziny. Betty dwukrotnie usiłowała wejść do gabinetu, ale profesor ledwo dostrzegalnym ruchem ręki powstrzymywał ją od tego.

- Dobrze jest - stwierdził na koniec. - Ale pewne ryzyko istnieje i decyzję musisz podjąć ty. Być może nic się nie da zrobić, gorzej jak jest być jednak nie powinno. Powiedziałbym nawet, że jest pięćdziesiąt procent szans, iż obywać się będziesz bez pomocy laski. To może potrwać około dwóch miesięcy. Więc jak, zdecydujesz się? - zakończył pytaniem.

- Zgadzam się nawet teraz - powiedział żywo. Serce zabiło mu nadzieją. - Mnie nie wolno zaprzepaścić żadnej szansy. Nie chciałbym wracać do Polski jako kaleka, do odbudowy zniszczonego kraju potrzebni są ludzie zdrowi, silni. Prezentu nie zrobi nam nikt! Dlatego mając choćby kilka procent nadziei przyjmuję z wdzięcznością pana pomoc.

Zaraz na drugi dzień zameldował się w szpitalu, którego ordynatorem był profesor. Do Blackpool poszła depesza zawiadamiająca o przerwaniu przez Nowaka urlopu zdrowotnego i pobycie w szpitalu w Edynburgu.

Stary chirurg dotrzymał słowa. Nowak opuścił szpital po miesiącu lekko kulejąc, ale już bez laski.

Minęły znów trzy tygodnie, zanim zameldował się w Blackpool, na Medical Board. Werdykt po zakończeniu badań, jak zresztą można się było tego spodziewać, brzmiał: „Unfit for all aircrew duties”<sup>88</sup>.

Tak, to był już koniec. Do werdyktu przyczynił się również częściowy ubytek słuchu, spowodowany, jak poinformował Nowaka laryngolog, przeglądający jego dokumenty szpitalne, mocnym uderzeniem w tył głowy.

Teraz już nie miał żadnych wątpliwości. Z lataniem definitywnie koniec!

Gdyby chodziło tylko o nogę, to pół biedy, ale na słuch nie ma rady. „Niezdolny do żadnej ze służb w powietrzu”, powtarzał sobie werdykt komisji lekarskiej. Podcięli mu skrzydła właśnie wtedy, kiedy tyle jeszcze mógłby zrobić! Już się nalatałem, powtarzał z goryczą w duchu.

Nie mógł sobie miejsca znaleźć, choć z drugiej strony ów wyrok nie powinien być dla niego zaskoczeniem. Miał jednak nikłą nadzieję, która odżyła po udanej operacji. Nie wiedział jednak nic o uszkodzeniu słuchu. Nikt do niego nigdy nie szeptął, jak ci z komisji lekarskiej...

Co ja, lotnik bez skrzydeł, będę robił? zadawał sobie pytanie. Tak to już jest. Kto raz zakosztuje latania, ten w momencie rozstania się z tym zawodem przeżywa bolesny wstrząs.

Nowak odebrał z depozytu swoje osobiste rzeczy, przysłane mu do Blackpool z dywizjonu 307. W osobnym „kitbagu” była reszta rzeczy lotnych, których nie zabrał na swój ostatni rajd. Zda je teraz do magazynu, nie będą mu już więcej potrzebne. Obraca w rękę mapę Merkatora z wykreślonym na niej kursem ich przedostatniej trasy. Na ostatnim miał inną mapę. Suwak został w spalonym samolocie. Nikt mu nie będzie robił trudności w magazynie. Przyjmują na słowo wszystko, co zgłosi jako zaginione w wypadku. Może zdać tylko to, co sam zechce. Nie korzysta jednak z okazji, nie zatrzymuje nic, co nie należało do niego.

Od chwili przybycia do bazy musiał sam za wszystko płacić, ale ponieważ na koncie urosła mu porządna sumka, nie przejmował się tym zbytnio.

Tej wiosny w Blackpool było mniej ludzi niż zazwyczaj. Nie mógł sobie jakoś znaleźć miejsca, toteż z radością powitał „posting” do 133 Skrzydła Myśliwskiego, stacjonującego w okolicy letniskowej miejscowości nadmorskiej - Brighton.

Wyjechać miał już pojutrze, a więc dziś, po załatwieniu wszystkich niezbędnych spraw, wieczorem udał się do Toweru. Usiadł na swoim stałym miejscu i czekał na występ Iny Bagi. Zamarł w bezruchu, zasłuchany w motyw melodii, grany na wstępie. Po chwili zjawiła się sama artystka, siedząca przy organach, które na stalowych szynach wyjeżdżały z głębi sceny.

W tej chwili niemal uwierzył we fluidy przepływające między ludźmi. Artystka wyraźnie wyczuła jego wzrok na swej twarzy, bo odwróciła się, spojrzała mu prosto w oczy, okazała lekkie zdziwienie i jej usta poruszyły się w bezdźwięcznym powitaniu.

Występ trwał jak zwykle pół godziny. Przez ten czas Ina Baga dała prawdziwy popis swego wirtuozowskiego kunsztu. Takiej gry Nowak jeszcze nigdy nie słyszał!

---

88 Niezdolny do żadnej ze służb w powietrzu.

Coraz więcej ludzi gromadziło się w bocznych łóżach, skąd można było doskonale obserwować grającą artystkę. Gdy zakończyła swój występ, który się trochę przeciągnął, długo nie milkły oklaski, ona zaś kłaniała się nisko, a jej piękne, czarne włosy opadały w dół, zastaniając twarz. Opuszczając scenę raz jeszcze z uśmiechem popatrzyła na Nowaka, jakby go zachęcając do zawarcia znajomości. A może tak mu się tylko zdawało?

Nazajutrz wypadła niedziela. Henryk zastanawiał się, czy nie wyjechać do Londynu już dziś, bo zaczynało mu być nudno. Poszedł na dworzec i dowiedział się, że następny pociąg będzie miał dopiero o 2 po północy. Postanowił nim pojechać. W Londynie znajdzie się wczesnym rankiem i będzie miał do swej dyspozycji cały dzień.

Udał się na spacer wzdłuż mola. Mijał bramy, w których hazardziści grali na automatach. Nawet nie zauważył, kiedy znalazł się w pobliżu Toweru. Postanowił się trochę przejść po ZOO. Gdy już tam wchodził, usłyszał muzykę organową. Zawrócił i skierował się szybkim krokiem do sali. Po drodze słyszał już całą orkiestrę.

Znalazł się w znajomej sali, w której każdego wieczoru tańczyło tysiące ludzi. Teraz stały tu krzesła. Trwał koncert symfoniczny, którego słuchało około trzystu osób. Tego popołudnia, słuchając doskonałej muzyki, przeżył niezapomniane chwile.

## Drugi front

Nowak zameldował się w swej nowej jednostce - 133 Skrzydle Myśliwskim, z przydziałem, jak już wiedział uprzednio, do jednostki łączności. Panowały tu isticie polowe warunki. Lotnicy mieszkali w namiotach, jadalni w stołówkach pod namiotami, spożywali posiłki przyrządzone w kuchniach na kołach.

Nowakowi zaczęło się tu coraz bardziej podobać. Powoli wciągał się do pracy naziemnej. Dobrze się stało, że skierowano go do takiej jednostki, którą dotychczas mało znał. Wypełnianie nowych obowiązków wymagało z jego strony wiele pracy i, co najważniejsze, nie było tam samolotów, na których latał. To pozwalało trochę zapomnieć o -przeszłości.

Często spotykał teraz Wacka. Jego jednostka wchodziła w skład 131 Skrzydła, które stało niedaleko od nich.

Kordelom urodziła się córka. Jak to już dawno zaplanowano, -Nowak został jej ojcem chrzestnym. Mała Barbara ochrzczona została w kościele katolickim w Nottingham.

Minęło znów kilka miesięcy. W życiu Nowaka nie zaszły żadne zmiany. Praca na ziemi nie obfitowała w przygody.

Ostatnio na obu lotniskach ruch się wyraźnie wzmacniał. Częstotliwość lotów myśliwców - nowoczesnych Spitfire'ów i niezawodnych garbatych Mustangów - wyraźnie się zwiększyła. Coś wisiało w powietrzu! Wszystkie samoloty, wchodzące w skład TAF (Tactical Air Force - lotnictwo taktyczne), malowane były od spodu w białoczarne zebry.

Wreszcie nadeszła historyczna noc z 5 na 6 czerwca 1944 r. Na lotnisku nie spał nikt; maszyny wyleciały o świcie. Po powrocie wiedzieli już wszyscy: otwarto wreszcie tak długo oczekiwany drugi front!

Piloci w przerwach między startami, kiedy napełniano zbiorniki i ładowano amunicję, na gorąco opowiadali, co działo się na Kanale i na francuskim brzegu. Z portów brytyjskich ciągnęła szeroką ławą masa okrętów i statków z mrowiem wojska. Pierwszy rzut uchwycił przyczółki już o świcie. Samoloty alianckie blokują lotniska Luftwaffe, niszczą węzły komunikacyjne, ostrzeliwują kolumny zdążające w stronę wybrzeża. Potężne wsparcie z powietrza ma ułatwić lądowanie własnym wojskom lądowym.

Wszystkich ogarnęła niebywała emocja. Nareszcie coś konkretnego!

Pierwsze komunikaty o desancie w Normandii wywołują żywiołową owację. Ludzie nie mogą odejść od radiodbiorników.

Polacy ze Skrzydła mieli wiadomości z pierwszej ręki. Po każdym locie zwarta grupa personelu naziemnego otaczała pilotów, słuchając najświeższych relacji. Ci, którzy z uwagi na bieżące czynności przy samolotach nie mogli wziąć udziału w rozmowie, dowiadywali się wszystkiego od innych, tuż po starcie swoich maszyn na dalsze akcje.

Minęło kilka dni, po których przyszło odprężenie. Desant się udał, alianci się utrzymali i posuwali w głąb kraju.

I znów Skrzydło przeniesiono bliżej brzegów. Przygotowywano je do przekroczenia Kanału.

Pewnego razu na niebie pojawiły się dziwne stwory. Początkowo dostrzegano je tylko w nocy. Na stosunkowo małej wysokości leciał i wył niesamowicie jakiś ziejący ogniem potwór. Gdy milkł, w chwilę potem następował wybuch, powodujący śmierć i zniszczenie wszystkiego, co znajdowało się w pobliżu. Jak się okazało, była to zapowiedziana przez Hitlera „Wunderwaffe” - samolot-pocisk V-1.

Po kilku dniach V-1 pokazały się również w dzień. Było ich coraz więcej. Docierały do Londynu i innych większych miast w pobliżu Kanału, czyniąc ogromne spustoszenie. Najgorsze było to, że nie wiadomo, jak z nimi walczyć.

Jeden z Kanadyjczyków próbował zniszczyć tajemniczą broń. Podszedł z boku, oddał krótką serię i pocisk eksplodował w powietrzu, ale i on zginął. Sytuacja zaczynała być naprawdę groźna.

W końcu lotnicy ze 133 Skrzydła zaczęli „tańczyć” wokół V-1 na garbatych Mustangach, które przewyższały je szybkością. Pilot podchodził do tego „cudactwa” od tyłu, redukowałam prędkość, chwilę leciał równolegle, potem wolno podkładał swój płatek pod skrzydło tamtego i wolno przewracał swoją maszynę w lewo, podnosząc lewy płatek „potwora” do góry. Bardzo często pocisk tracił równowagę, spadając do morza. „Zabawy” te odbywały się jeszcze nad Kanałem; chodziło przecież o to, aby nie dopuścić V-1 do brzegów Anglii.

Pewnego razu grupka lotników ze 133 Skrzydła z zapartym oddechem śledziła mistrzowski manewr jednego z ich kolegów, który „obrabiał” taką bombę już nad brzegiem Anglii, w pobliżu lotniska. Oto „potwór” lekko drgnął, kiedy tamten podniósł mu skrzydło, i wszedł po chwili w prawy skręt, biorąc kurs powrotny w stronę Francji. Zapanował entuzjazm. Głośno śmiejąc się chłopcy wyobrażali sobie miny Niemców, kiedy to „święństwo” wywali im na własnym podwórku. Szybko jednak śmiech zamienił się w pełne zdumienia okrzyki - oto pocisk, robiąc duży łuk, zawrócił raz jeszcze, skierował się na poprzedni kurs, przeszedł nad nimi na małej wysokości i tuż za lotniskiem pod kątem 40 stopni poszedł w dół, uderzył w puste na szczęście pole i eksplodował. W powietrze wzbil się ogromny tuman dymu i kurzu.

Pewnej niedzieli wybrał się Nowak do Kordelów. Wacek, aczkolwiek już nie stacjonował w Northolt, zatrzymał jednak mieszkanie, w którym przebywała Joan z małą Basią. Nowak niepokoił się o nie, myślał często, jak sobie radzą.

Siedzieli teraz w salonie jednorodzinnego domku na przedmieściu Londynu, w Leytenstone. Wacka w domu nie było, zresztą Nowak nawet nie spodziewał się go zastać. Jego dywizjon, wyposażony w nowoczesny sprzęt - Spitfire'y Mk-XIV, przewyższające szybkością V-1 - latał ostatnio bardzo intensywnie.

Mieszkańcy drugiej połowy domku dowiedziawszy się, że przyjechał Nowak, przyszli, aby dowiedzieć się, co tam słychać u nich, „na froncie”. Zawsze były to wiadomości z pierwszej ręki. Nagle zadzwonił telefon. To Wacek. Chciał się podzielić z Joan radością z sukcesu - udało mu się strącić do morza V-1. Na wiadomość, że jest Nowak, poprosił go do aparatu i opowiedział „na gorąco” o zwycięskim spotkaniu z „cudowną bronią” Hitlera. Bomba poszła pod ostrym kątem w dół i wyrznięta w wodę, eksplodując. Kordel żałował tylko, że nie można było tam popłynąć, na pewno była masa śniętych ryb. Umówili się na jutro i... jeszcze raz Joan do aparatu.

- Kochanie, uważaj na siebie, pa... - Odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Nowaka.

Wiedział, o czym myślała w tej chwili. Zazdrościła mu, że już nie lata, chciałaby, żeby to Wacek był na jego miejscu. Tak bardzo bała się o niego.

Został na obiedzie. Siedzieli wszyscy przy stole w dużym słonecznym pokoju, którego okna wychodziły na ogródek.

W sąsiedniej posesji, oddzielonej metrowej wysokości drewnianym płotkiem, mieścił się wspólny dla obu rodzin wykopany w ziemi schron.

Okna tarasu były uchylone, mimo iż na dworze siąpił drobniutki deszcz. Nagle usłyszeli zbliżający się huk silnika V-1. Zamarli w oczekiwaniu. Minie ich, czy też nie? Na wszelki wypadek przerwali obiad i udali się do schronu. Nowak przystanął na tarasie, pilnie obserwował niebo, pokryte jednolitą warstwą chmur. Ciężki stratus wisiał na około trzystu metrach, ocenił fachowo.

- Henry, chodź szybko, nie marudź - rozległ się głos Joan.

- Szybciej, szybciej! - rozległy się krzyki pozostałych.

Trochę mu było głupio, więc nie poszedł, chociaż na plecach czuł gęsią skórę. Tymczasem silnik zamilkł, i to gdzieś w pobliżu. Nowak wciąż jeszcze udawał bohatera, aczkolwiek miał szaloną ochotę pogalopować do przytulnego schronu, który nęcił swym bezpieczeństwem. Ale opanowała go duma, granicząca wprost z głupotą. Jak to, ja, kawaler Krzyża Walecznych, mam się kryć w norze razem z kobietami? pomyślał. A nuż się uda, to choć zachowam twarz.

- Henry, nie bądź głupi, biegnij do schronu! - nalegała Joan. W jej głosie przebijał strach.

I niemal jednocześnie zobaczył tę cholerną bombę! Po raz pierwszy w dzień. Początkowo myślał, że jest to amerykański myśliwiec dwukadłubowy typu Lightning, ale w tej samej sekundzie uświadomił sobie, że to jest przecież V-1 i że leci prosto na niego.

Skoczył w stronę schronu. Jeszcze chyba nigdy w swoim życiu tak nie biegł jak właśnie teraz. Błyskawicznie przesadził ogrodzenie, nie szukając już furtki, nie czując nawet bólu w dopiero co zagojonej nodze.

Dopał schronu. Kilkoro rąk wyciągnęło się w jego stronę.

Ale bomba była szybsza. Nie zdążył. Nastąpiła eksplozja. Mimo że go trzymano za rękę, podmuch odrzucił go mocno do tyłu i rzucił głową na darr, pokrywającą piwnicę. Zerwał się ogłuszony potwornym wybuchem. Spojrzał na dom, z którego przed chwilą wybiegł. Stał cały, nawet szyby nie wyleciały. Obrócił się w drugą stronę i aż zadrżał. W wąskiej przerwie między wysokimi domami dostrzegł olbrzymi słup dymu i czarnego, gęstego kurzu. Chwilami kolor zmieniał się w ciemnoczerwony. To pewnie od pyłu ceglanego.

Automatycznie skierował kroki w tamtą stronę. Słuch mu jeszcze nie wrócił, w dalszym ciągu słyszał dzwonenie w uszach.

Ognia nie widział, tylko coraz więcej wybitych szyb, wyrwanych futryn i drzwi prowadziło do miejsca, gdzie upadła bomba.



Przed jednym z domów, które mijął w tej chwili, stał mężczyzna i uprzątał szkło z chodnika.

- Panie, czy to takie pilne? - zapytał Nowak. - Tam trzeba iść, może ktoś potrzebuje pomocy.

Człowiek bez słowa położył miotłę na chodniku i udał się za nim.

Oczom ich ukazał się duży plac, wokół którego przedtem stały - teraz to już były tylko gruzy - domki jednorodzinne. Tu było epicentrum wybuchu tej cholernej bomby!

Przybywa coraz więcej ludzi. Nadjeżdża pierwszy ambulans. Nowak wyęży słuch, czy nie usłyszy gdzieś wołania o pomoc. Jest!!! W jednym z domów ktoś woła słabym głosem. Nowak wchodzi do środka przez rozwaloną ścianę. Jeszcze niedawno siedziała tu przy stole jakaś rodzina...

Nowak pomaga wyjść dziewczynce. Odgrzebuje gruzy, bo spod nich wystaje czyjaś ręka. Wyciąga mężczyznę, który nie daje znaku życia.

Podbiegli do niego żołnierze, poczuli pomagać.

- Dobrze, jest już pomoc wojska - mówi na głos do siebie.

Do ruin już nie wrócił. Poszedł dalej kierując się tam, gdzie słyszał wołanie o ratunek. Dźwigał belki, usuwał gruzy, nosił rannych. Pojawiały się wciąż nowe brygady ratownicze, zwane „warden”.

Przed jednym z domów, z którego zostały tylko drzwi, a właściwie tylko futryna, przystanął - wydało mu się, - że ze środka dużego leja usłyszał słaby jęk. Henryk zsunął się do dołu; podłoga zarwała się tu aż do piwnicy. Na samym dole w rogu zobaczył starszego mężczyznę w pizamie, skulonego w kłębek i cicho jęczącego. Nowak schylił się, aby go wziąć na ręce.

- Tam żona, ją weźcie, mnie zostawcie, później!

Wbiegło kilku żołnierzy. Henryk pokazał im wzrokiem nieruchomo leżącą w przeciwnym rogu kobietę, a potem wziął na ręce mężczyznę i po umykającym mu spod nóg gruzie próbował wydostać się na górę.

Przeliczył się jednak z siłami. Nie mógł wyjść do góry. Starzec był wyjątkowo ciężki. Podskoczyli do Nowaka żołnierze, położyli na gruzach leżące w pobliżu drzwi i pokazali mu, aby rannego położył na zaimprovizowanych noszach. On jednak, działając jakby podświadomie, wciąż starał się wynieść go sam. Tamci, nie tracąc czasu, chwycili go pod ramiona i z wyratowanym człowiekiem na rękach znalazł się na górze, na chodniku.

Rozejrzał się wokoło, wciąż trzymając rannego w ramionach. Siąpił deszcz, chodnik był mokry i zabłocony. Nie mógł się zdecydować na położenie starca na mokrej, brudnej ziemi. Trzymał go, nie bardzo wiedząc, co począć. Wtem podbiegł ku nim ktoś z krzesłem. Posadzili na nim rannego. Teraz Henryk udał się w przeciwną stronę ulicy, gdzie stał ambulans, a przed nim lekarz, udzielający pierwszej pomocy leżym rannym.

Nowak podszedł do niego prosząc, aby ten udał się z nim do uratowanego przezeń starca.

- Człowieku, nie widzisz, co się tutaj dzieje? - wykrzyknął tamten. - Wszyscy potrzebują pomocy. Zaczekaj chwilę, zaraz nadjedzie drugi ambulans.

- Chodź ze mną - powtórzył Nowak twardo.

Lekarz spojrział na niego badawczo. Przez sekundę jakby się zawahał, w końcu machnął ręką.

- Chodźmy! - powiedział krótko.

Podeszli do rannego, który skulony na krześle jęczał teraz głośno, trzymając się ręką za brzuch. Lekarz szybko się zorientował, że rana na twarzy nie jest najbardziej groźna i nie ona powoduje cierpienia staruszka. Rozpiął mu spodnie piżamy i wtedy na brzuchu rannego ukazał się wielki, sinoczerwony guz z wystającymi kawałeczkami szkła. Gdy lekarz dotknął tego miejsca, ranny krzyknął przeraźliwie.

- No już, wszystko będzie dobrze - uspokajał go lekarz. - Bądź mężczyzną, przecież jesteś Anglikiem.

Też go pociesza, przemknęło Nowakowi przez głowę. Czyżby tylko Anglicy mieli patent na męstwo?

Ale Anglik, nie bacząc na pochodzenie, darł się w dalszym ciągu. Rana musiała być jednak bardzo bolesna.

Tymczasem przybywało ambulansów. Jeden z nich właśnie podjechał ku nim. Sanitariusze szybko wyciągnęli nosze, a na nich, zgodnie ze wskazówkami lekarza, umieścili krzesło, tworząc coś w rodzaju oparcia. Ułożono rannego w karetkce, która po chwili na sygnale odjechała z miejsca wypadku. Lekarz wyjął papierosy i wysunął paczkę w kierunku Nowaka. Mógł sobie pozwolić na chwilę odpoczynku, bowiem na miejscu byli już wszyscy: specjalna brygada ratownicza, straż ogniowa, wojsko, policja. Cały teren otoczyła teraz policja i wojsko. Nie dopuszczano nikogo do miejsca wypadku.

Nowak zaciągnął się ofiarowanym papierosem z przyjemnością.

- To ty go uratowałeś? - spytał w pewnym momencie lekarz, patrząc na Nowaka.

Ten skinął głową.

- Gdzie on był?

Nowak poprowadził go do zniszczonego domu. Gdy weszli do środka przez framugę, pokazał dół, w którym ich znalazł.

- Może tam jeszcze ktoś jest? - zaniepokoił się lekarz.

- Nie, pytałem. Byli tylko oboje w tym czasie w domu, leżeli właśnie w łóżkach.

Sierżant piechoty, który uwijał się ze swoimi ludźmi w pobliżu, usłyszał chyba słowa lekarza, bo rzucił w ich stronę:

- Chorąży dźwigał sam, uparł się, chociaż chcieliśmy rannego położyć na drzwiach, tak byłoby lżej, ale wyniósł go sam.

Lekarz spojrział na Nowaka bystro.

- Jesteś lekarzem? - zapytał.

- Nie, jestem lotnikiem.

- No tak, przecież powinienem był to zauważyć. Czy wiesz - dodał po chwili mówiąc, jakby sam do siebie - że prawdopodobnie uratowałeś mu życie.

- Czy dlatego, że go wyniosłem?

- Nie, nie o to chodzi. Widzisz, gdybyś go położył na drzwiach, szkło, które miał pod skórą, przebiłoby się do środka. Chyba sam rozumiesz, co by się wtedy stało?

Tak, oczywiście, że rozumiał. Powiedział do lekarza: „Cheerio!”<sup>89</sup>, machnął mu ręką i wolno skierował się ku kordonowi policji. Teraz, gdy napięcie minęło, poczuł wielkie zmęczenie i ból w lewej nodze. Niedawna kontuzja dawała znać o sobie. Powłókł się przed siebie, mocno kulejąc.

- Poczekaj! - usłyszał za sobą głos i chrzęst szkła.

Obejrzał się. To biegł lekarz, z którym rozstał się przed chwilą.

- Człowieku, przecież ty sam jesteś ranny. Jak mogłem pozwolić ci odejść w „takim stanie. Chodź, zajmemy się tobą! - mówił szybko, łapiąc oddech, bo Nowak zdążył już ujść ładny kawałek drogi, nim tamten sobie o nim przypomniał.

- Nic mi nie jest, dziękuję. Krew na mundurze nie jest moja, a to - wskazał nogę - odnowiła się zeszłoroczna kontuzja. Zresztą mieszkam niedaleko i zaraz się mną zajmą. Idź tam, gdzie jesteś bardziej potrzebny.

- Jak chcesz - powiedział Anglik wolno i odwrócił się. - No to ci dziękuję - dorzucił, oddalając się.

Nowak przeszedł przez kordon. Policjant salutując podniósł linkę. Ludzie rozstąpili się, robiąc mu przejście. Nikt nic nie mówił. Nowak pociągnął ręką po włosach, jak to miał zwyczaj często czynić. Był bez czapki. Przypomniał sobie teraz, że wybiegł z domu bez nakrycia głowy. Obejrzał rękę. Była zabrudzona i pokrwawiona. Noga dokuczała mu coraz bardziej, widocznie sforsował ją biegnąc do schronu.

Szedł chyba ze dwadzieścia minut, nim się zorientował, że trafił do nie znanej mu dzielnicy. Zatrzymał taksówkę, która na szczęście przypadkowo znalazła się w tym rejonie, i podał kierowcy adres Kordelów. Ten popatrzył na niego współczująco. Okazało się, że pomylił drogę. Po przejściu przez kordon udał się w przeciwną stronę.

Taksówka zatrzymała się przed domem. Podczas gdy Nowak płacił kierowcy za kurs, w oknach salonu pojawiły się twarze. Po chwili kierowca skierował się przez furtkę do drzwi wejściowych, w których stała Joan z takim samym wyrazem twarzy, jaki Nowak widział u niej podczas zajścia w restauracji w Londynie.

- Stało się coś, Joan? - spytał z niepokojem.

- Ty, ty! Co się z tobą dzieje? - wykrztusiła.

Joan była bardzo wrażliwa, choć, jako żona pilota, powinna przywyknąć do różnych niespodzianek. Ale życie zawsze ją zaskakiwało. A może właśnie dlatego była taka nerwowa, że miała męża pilota i nie chciała go utracić?

Gdy Nowak powiedział, że krew nie jest jego, że po prostu brał udział w akcji ratowniczej, poczuła się strasznie dumna. Zaprowadziła go zaraz do łazienki, kazała się przebrać w mundur Wacka, a jego „strój” wzięła do czyszczenia i prasowania, w czym jej pomagały wszystkie kobiety z tego domu.

Leżąc na wygodnej kanapie Henryk odpoczywał. Musiał później wszystko drobiazgowo opowiedzieć, zaś słuchacze co chwila wtrącali jakieś nazwiska. Przecież to było w pobliżu, znali swoich sąsiadów.

A więc tak wygląda nowa broń Hitlera? To przy jej pomocy chce zapanować nad światem? rozmyślał Nowak. Mimo zwalczania V-1 przez lotnictwo i artylerię ataki nie słabły, a nawet przybierały na sile. Podnosiły się głosy krytyki, oskarżano RAF o nieudolność. Zdziwienie wzbudzał również fakt, że działania w Normandii - rozpoczęte pod znakiem głośno reklamowanego sukcesu - też zaczynały utykać, a pod Caen alianci wręcz musieli stanąć w miejscu.

W takiej sytuacji wpadł do Nowaka jego przyjaciel Wacek Kordel z wieścią, że ich 131 Skrzydło przerzucają do Normandii.

- Słuchaj, Wacek - zwrócił się do niego Nowak. - Zrób coś, aby mnie do was przeniesli, bylibyśmy razem.

- Dobry pomysł! - zgodził się. - Ale czemu ty, u diabła, nie pójdziesz sam do „Gabsia”? Przecież on też jest z pierwszego pułku, chyba musicie się znać?

- Widzisz, znać Gabszewicza to ja znam z tamtych czasów, tylko nie jestem pewny, czy on mnie teraz pozna. Przecież to teraz „szycha”, jest dowódcą Skrzydła, pułkownikiem. To już nie podporucznik, którego znałem z wyszkolenia bojowego, chodzący zawsze z „gwizdkiem”.

- Nie gadaj głupot! - rozsierdził się Kordel. - Na pewno załatwi ci przeniesienie - dodał.

- A więc do jutra. Jestem u was i melduję się u pułkownika Gabszewicza - zdecydował Nowak, podając przyjacielowi rękę na pożegnanie.

Następnego ranka bez specjalnych przeszkód zameldował się u dowódcy Skrzydła, prosząc o przeniesienie do tej jednostki.

Usłyszawszy, z czym przyszedł do niego Nowak, pułkownik naciśnął guzik na biurku. W drzwiach ukazał się jego adiutant.

- Połącz mnie ze „Szczurem” - rzucił krótko.

Z kim? zdumiał się Nowak. Któż to może być, ten „Szczur”?

- Panie pułkowniku, majora Sawicza nie ma w jednostce - wsadziwszy w drzwi głowę meldował adiutant.

- No to może pułkownik Nowierski?

- Chwileczką... proszę mówić...

- Halo! Nowierski? Cześć, tu Olek! Słuchaj, mam do ciebie prośbę... Chodzi o... - tu przedstawił krótko sprawę. - No to załatwione, dziękuję ci, cześć! Stary, trzymaj się! - mówiąc to Gabszewicz odłożył

słuchawkę. - Słyszał pan? - zwrócił się do Henryka. - Może pan uważać sprawę za załatwioną, Nowierski powiedział, a to jest święte.

Po dwóch dniach dowódca 133 Skrzydła płk Nowierski zakomunikował Nowakowi decyzję dowództwa, wyrażającego zgodę na jego przeniesienie, i polecił zameldować mu się w 131 Skrzydle celem pełnienia dalszych obowiązków. Dokumenty i rozkaz miały ukazać się w terminie późniejszym. Tym ostatnim Nowak , przejmował się najmniej.

## Lądowanie w Normandii

W paru słowach warto powiedzieć o nowo zorganizowanej jednostce, w której Nowak miał pełnić służbę. Wiosną 1944 roku, w okresie intensywnych przygotowań do inwazji, przystąpiono do formowania polowych portów lotniczych (Airfield), mających obsługiwać pod względem technicznym i zaopatrzenia materiałowego dywizjony myśliwskie po ich przetrzuceniu na kontynent. W taki sposób powstał między innymi polski 131 Airfield, który miał pracować na korzyść I (131) Skrzydła Myśliwskiego, złożonego z dywizjonów 302, 308 i 317, a także - w zależności od rzeczywistych potrzeb podyktowanych warunkami bojowymi - na korzyść innych dywizjonów sojusznicznych. Decyzja o formowaniu tych jednostek zapadła dużo wcześniej, ale dopiero w omawianym czasie dopięto je „na ostatni guzik”.

W skład 131 Airfield wchodziły: 5090 zmotoryzowana kompania łączności (Mobile Signals Unit), 408 ruchoma składnica (Air Stores Park), 411 ruchomy park lotniczy (Repair and Salvage Unit), 72 ruchomy park samochodowy (Motor Transport Light Repair Unit). Wszystkie te jednostki stosownie do swego przeznaczenia zapewniały łączność, konserwację i remont sprzętu lotniczego i samochodowego, dostawy paliwa, amunicji, części zamiennych i umundurowania. Żywność poszczególni oficerowie prowiantowi pobierali bezpośrednio z polowych składnic Grupy. Dzięki takiej organizacji dowódcy dywizjonów bojowych byli odciążeni od spraw technicznych i kwatermistrzowskich, co ułatwiało im wykonywanie podstawowych zadań operacyjnych. Personel latający miał walczyć, o resztę troszczyli się inni, co oczywiście wcale nie oznaczało, że służby techniczne i zaopatrzenia mogły pracować bezpiecznie bez ryzyka narażania życia. Na wojnie ginęło się wszędzie.

Zazwyczaj podczas zmiany miejsca postoju jednostki te dzieliły się na dwa rzuty. Drugi rzut z ciężkim sprzętem wyruszał z reguły za czołówką (Advance Party), która jako pierwsza podążała na nowe miejsce, aby przygotować lotnisko na przyjęcie samolotów. Gdy wszystko już było zabezpieczone i maszyny wylądowały, druga połowa zwijała „majdan” i podążała w ślad za pierwszą.

Dowódcą TAF, w skład którego wchodził 131 Airfield, był air vice marshal (generał brygady) Arthur William Tedder, obecny potem przy podpisaniu kapitulacji hitlerowskich Niemiec. Dowódcą 131 Polowego Portu Lotniczego mianowano ppłk. Aleksandra Gabszewicza, zaś dowódcą 131 Skrzydła Myśliwskiego został mjr Tadeusz Sawicz.

Dowódcą obsługi naziemnej Skrzydła mianowano kpt. inż. Rafała Dąbrowskiego.

Nareszcie przyszedł dzień 12 lipca 1944 roku. 131 Airfield po kilkakrotnej zmianie miejsca postoju skierowano do portu Folkestone celem przebazowania do Normandii. W pierwszym rzucie, jak zwykle, Advance Party. Na dotychczasowym lotnisku pozostała tylko niewielka liczba ludzi i trochę sprzętu.

Uformowano kolumnę złożoną z 80 najróżniejszych samochodów. Transport eskortował własny zespół motocyklistów, łączników, niezależnie od tego jednak podczas przejazdów przez większe miasta prowadzony był przez policję drogową na motocyklach. Nie zwracało się wtedy uwagi na światła uliczne.

Trzeba było widzieć, jak kolumna pędząca przez miasto z szybkością około 90 kilometrów na godzinę szła przez centrum Londynu!

Wyprzedzający konwój policjanci na motocyklach popędzali tylko gestem ręki, aby szybciej, aby przerwa w ruchu ulicznym była jak najkrótsza. W czasie przejazdu przez miasto ruch boczny był wszędzie zamknięty. Dopiero daleko za miastem kolumna zatrzymała się na odpoczynek. Ustawiona tam już poprzednio kuchnia polowa uraczyła żołnierzy gorącym, smacznym posiłkiem, który każdy bez względu na stopień musiał sobie przynieść sam, a nawet ustawić się po niego w kolejce przy kotle. Smakowało znakomicie! Policjanci, którzy zwolnieni zostali od obowiązku stania w kolejce, po zjedzeniu pożegnali się z nimi i odjechali.

W porcie załadowano żołnierzy na wielkie jednostki desantowe. Dokoła panował ożywiony ruch, kręciło się pełno wojskowych różnych narodowości, wśród których przeważali Amerykanie. Około północy lotnicy ze 131 Skrzydła znaleźli się na wodach kanału La Manche. W tym samym czasie przeprowadzała się przez Kanał część dywizji pancernej gen. Maczka.

Brzegi Normandii ujrzał Nowak i jego koledzy 15 lipca 1944 roku wczesnym rankiem. Po lewej stronie, daleko, widać było miasteczko Bayeux, nad którym dominowała wieża nad czerwoną dachówką krytym kościołem.

Wylądowali na piaszczystej plaży. Zastali tu masę wojska, przeważnie Kanadyjczyków, i pełno sprzętu wojskowego: czołgów, amfibii, samochodów pancernych i różnego rodzaju artylerii.

I wszędzie... kurz! Liście na drzewach białe od kurzu, wirującego w powietrzu, pełno kurzu w nosie, napojach, chlebie i nawet w papierosach. Z zieleni nie pozostało nawet śladu; zboże stratowały gąsienice czołgów i transporterów, w sadach nie widziało się żadnych owoców.

Z daleka słychać było kanonadę artylerii niemieckiej. Świeżo przybyli z Anglii żołnierze znaleźli się bardzo blisko frontu. Jego linia przebiegała jakieś 6-7 km od Plumetot, gdzie było urządzone lotnisko polowe. Po zbożu zalegającym szmat równego pola przeciągnęły walce, wyrównując teren. Następnie położono siatkę metalową, przybito ją specjalnymi klinami, na tym położono papę i runway był gotów na przyjęcie maszyn, które lądowały jeszcze tego samego dnia.

Rozpoczęła się normalna harówka. Alianci latali w dzień, w nocy na niebie panowała Luftwaffe. W wyniku takiego „podziału pracy” na sen nie pozostawało zbyt wiele czasu.

I rzeczywiście. Prawie każdej nocy lotnisko „odwiedzały” hitlerowskie samoloty, a miejscowa artyleria kropiła, ile sił w zenitówkach. Huk był taki, że umarłego można by zbudzić! W dzień wszyscy pracowali normalnie - samoloty latały na zadania, mechanicy robili przeglądy i szykowali maszyny do lotu. Nie było jednak spokoju - Niemcy ostrzeliwali ich z dział, których stanowiska znajdowały się niedaleko.

Dowództwo RAF uprzedziło ich po przybyciu na miejsce, że od chwili przygotowania lotniska dla Skrzydła jego teren jest niemal bez przerwy systematycznie ostrzeliwany przez hitlerowskie działa i że Niemcy używają pocisków rozpryskowych. Pociski te, rozrywając się na wysokości 30 cm, raziły wokół odłamkami. Oczywiście najbardziej narażone były kończyny dolne. Na szczęście w locie robiły one sporo hałasu, tak że zawsze był czas, aby rzucić się na ziemię i wtedy człek był jako tako bezpieczny.

Nowak miał szczęście - widocznie Niemcom pocisków zabrakło, bo nie zdarzyło się, by musiał się przed nimi kryć. Mimo to zalecono im kopanie rowów ochronnych. Najpierw, porządnie przestraszeni, zabrali się ochoczo do roboty, ale już po kilku minutach na placu boju zostało tylko kilku najtwardszych zawodników. Ziemia, w której mieli kopać, długo już chyba nie widziała deszczu. Była niesamowicie twarda. Przeszkadzały też korzenie, bowiem wybrali sobie miejsce pod drzewami. W końcu Nowak również machnął ręką. We trzech rozpięli sobie namiot w cieniu, gdyż przez cały ten czas panował niesamowity upał.

Pod konarami starego dębu spało się znakomicie do czasu pierwszego nocnego nalotu, podczas którego namiot zważył się im na głowy, zaś oni skryli się pod konarami drzewa.

Po bombardowaniu wrócili pod swój „dom”, a gdy zobaczyli posiekane pociskami z broni pokładowej płótno namiotu, odechciało im się sielankowej wygody w namiocie. Następnego dnia skończyli kopanie swoich „dołków”.

Naloty nocne nie wyrządzały większych szkód, ponieważ samoloty, wozy i inny sprzęt były okopane w ziemi. Aby to wszystko zabezpieczyć, przez kilka dni pracowały specjalne buldożery.

W „dołku” Nowaka podczas nocnych nalotów było tak bezpiecznie, że z reguły nawet się nie budził. Miewał jednak niekiedy dziwne sny. Razu pewnego śniło mu się, że znalazł się w centrum bombardowania ciężkich bombowców. Bomby zniszczyły tamę i woda powoli zaczęła zatapiać okolicę. On sam stał na wzgórzu, ale mimo to woda wciąż przybierała i dochodziła mu już do brody.

Zaczął się miotać i obudził się wreszcie. Ale sen trwał dalej... Leżał w wodzie, w dalszym ciągu słyszał wybuchy bomb i widział tak dobrze mu znane, często obserwowane z powietrza rozbitki.

Po sekundzie oprzytomniał. Na dworze szalała burza, a potoki deszczu przy akompaniamencie piorunów ze wszystkich stron ciągnęły w stronę jego „dołka”. Co chwila błyskawica oświetlała nad nim niebo.

Wygramolił się jakoś, aczkolwiek ziemia usuwała mu się spod rąk. Był cały mokry i zziębnięty. Na szczęście namiot stał! Przebrał się szybko w suche szmatki („dołek” służył tylko do spania) i czekał, aż nawałnica przejdzie.

Po chwili do namiotu wpadli dwaj pozostali lokatorzy, klnąc na czym świat stoi. Jak powiedzieli Nowakowi, zanosilo się na wielkie straty. To, czego nie mogli zniszczyć Niemcy w czasie nocnych rajdów, niszczy teraz woda. Zalewa już pomieszczenia w wykopanych głęboko schronach. Trzeba na gwałt wyciągać z błota samoloty i ciężkie wozy ze sprzętem.

Gdy się już rozwidniło na dobre i popatrzyli na siebie, wyglądali na przybyszy z innej planety. Pracowali jak szatany bez wyjątku wszyscy, bez względu na stopień czy zajmowane stanowisko, nawet „Gabsio” pomagał, a że było z niego kawał chłopca, toteż wołali go tam, gdzie było najciężej. Umazał się przy tym, niesamowicie. Na szczęście dzięki natychmiastowej akcji ratowniczej straty nie były tak duże, jak się spodziewano.

Po południu było już trochę wolnego czasu. Nowak zajął się swego „dołka”. Wody pomału ubywało. Na wierzchu pływały bibułki i tytoń z rozmiękłych papierosów. Wyciągnął z błota tylko koc i poduszkę.



Za to powietrze i -krajobraz były teraz cudne! Znów widać było zieleń, umytą przez ulewę, i kolorowe kwiaty, niewidoczne przedtem spod grubej warstwy kurzu.

Nowak wybrał się do pobliskiego miasteczka Bayeux. Ciekaw był, jak wygląda z bliska. Jedyne miasto, będące w rękach aliantów.

Od lądowania minął już tydzień, a Henryk dopiero teraz znalazł wolną chwilę i wyrwał się poza obóz. Po drodze mijał stacjonujące oddziały wojsk różnego rodzaju broni. Wszędzie lasy namiotów, dymiące kuchnie (trochę przesady z tym dymem, bowiem kuchnie opalano mazutem), gwar ludzkich głosów, krzyki wydawanych komend. Stacjonowała w tym rejonie dywizja kanadyjska. Na wszystkich pojazdach czy znakach drogowych widnieje ich znak: klonowy liść.

Widząc przechodzącego Nowaka, a właściwie napis na jego ramionach: „Poland”, Kanadyjczycy pozdrawiali go serdecznie i pytali, kiedy polska dywizja pancerna wejdzie do akcji, gdyż nie mogą się wprost jej doczekać. Nowak odpowiadał ze śmiechem, że trochę pomylili mundur i stopień, bowiem skąd on może o tych sprawach wiedzieć? Nie jest przecież ani pancernikiem, ani generałem.

Pytania Kanadyjczyków były uzasadnione - dywizja pancerna przeprawiała się jednocześnie ze Skrzydłem, ale podczas gdy lotnicy weszli do akcji tego samego dnia, przebazowanie czołgistów musiało trwać znacznie dłużej. Lotnictwo operowało normalnie od kilku dni, ale pancerniacy nie byli jeszcze gotowi.

Kanadyjczycy wysoce sobie cenili sąsiedztwo polskiej dywizji, słyszeli bowiem wiele o Polakach jako o dzielnych żołnierzach, nic więc dziwnego, że trochę już postrzępiona w akcji armia spod znaku klonowego liścia nie mogła się ich doczekać.

Nowak dotarł do Bayeux. Ulice miasteczka były zatłoczone wojskiem. Henryk pochodził trochę po zaśmieconych ulicach i zbierał się już w drogę powrotną, kiedy podeszła do niego mała dziewczynka, dość schludnie ubrana, i wyciągnęła maleńką rączkę w jego kierunku.

- Monsieur, cigarettes pour papa90 - mówiła, patrząc mu przymilnie w oczy.

Popatrzył na nią z zaciekawieniem. Nie wyglądała na żebraczkę, więc dlaczego tak się zachowuje? Kto ją wysłał? Chyba ojciec.

A to drań, pomyślał. Gdyby tylko chciał, mógłby sobie na nie zapracować. Zatrudniano przecież cywilów przy robotach gospodarczych na lotnisku, ale chętnych do pracy nie było wielu. Pracowały raczej kobiety, mężczyźni bali się o własną skórę. A nuż Niemcy zepchną z powrotem aliantów do Kanału? Powtórzy się wówczas Dunkierka, a hitlerowcy na pewno będą się mścili. Po co więc ryzykować? Wysłać na ulicę dziecko jest bezpieczniej!

Stanąła mu przed oczami własna córka, ta starsza. Była chyba w tym samym wieku, może nawet podobna trochę do tej? A może żebrze u niemieckich oficerów? ! Mrowie przebiegło mu po skórze.

Dziewczynka Zaniepokojona jego milczeniem zrobiła krok wstecz.

- Poczekaj - powiedział Nowak. - Tu jest coś dla ciebie.

Miał przy sobie dwie paczki papierosów, tabliczkę czekolady i 20 franków okupacyjnych. Wojska alianckie miały swoje własne pieniądze. Drukowano je w USA, wyglądem i rozmiarem przypominały dolara. W każdym kraju wyzwolonym przez alianckie wojska obowiązywała waluta dotychczasowa i aliancka. Waluta aliancka była sztywna, uznawana i pożądana wszędzie. Można było za nią kupić atrakcyjne towary czy też żywność w sklepach alianckich. Tam innych pieniędzy nie uznawano, z wyjątkiem dolarów czy funtów szterlingów. Tak więc 20 franków stanowiło sumę niemającą jak na ówczesne czasy.

Nowak wręczył to wszystko dziecku. Mała nie posiadała się z radości.

- Masz ty ojca? - zapytał.

- Oui, monsieur. Mamę także... - odpowiedziała rezolutnie.

Wziął ją nieco na bok, wyjął z kabury pistolet, służbowy colt, i pokazał go dziecku. Ponieważ jego znajomość francuskiego ograniczała się do paru zaledwie słów, musiał sobie pomagać „na migi”.

- Czy wiesz, co to jest? - spytał ją, pokazując broń, i w tym momencie dojrzał w jej oczach zaniepokojenie.

- Tak, wiem - odpowiedziała cicho. Z tego „Boches” strzelali do maquis.

- Właśnie, idź teraz do swojego ojca i powiedz mu, że jeśli kiedykolwiek wyśle cię prosić o papierosy, to ja przyjdę i tym pistoletem go zastrzelę. Powiedz mu również, że może przyjść do nas do pracy i będzie miał papierosy.

Na pewno to, co powiedział Nowak, nie brzmiało zbyt dydaktycznie, ale, zdenerwowany, nie zastanawiał się wówczas nad tym. Nie był pewien, czy go zrozumiała, ale od tamtej pory dziewczynki więcej już nie widział.

Spotkanie z dziewczynką rozstroiło go. Tęsknota za rodziną wróciła ze zdwojoną siłą. Teraz już nie rozdziela ich morze. Mógłby do nich dotrzeć suchą nogą. I ta dziewczynka! Przecież ona jest w wieku jego Bożeny! Boże, żeby tak mieć czarodziejskie lustro i zobaczyć, co one robią w tej chwili, chociaż chwilę popatrzeć na ukochane twarze! Jednak Nowak jest absolutnie pewien: jego żona zrobi wszystko, co w jej mocy, aby ich dzieci nie musiały żebrnąć na ulicy. Jeśli tylko żyje... Co za ironia losu! Temu obcemu dziecku mógłby dać wszystko, swoim w niczym pomóc nie jest w stanie! Może które z nich pragnie kawałka suchego chleba, nie mówiąc już o czekoladzie.

Takie jest życie!

Tymczasem wysiłki aliantów, aby przerwać obronę niemiecką w Caen, nie przynosiły jakoś rezultatów. Olbrzymie, nieraz dwutysięczne formacje „Latających Fortec” B-17 zrzucały swój śmiercionośny ładunek na odległe o około 8 km od lotniska miasto, zaś w nocy stanowiska hitlerowskie bombardowały samoloty RAF. Caen mimo zmasowanych nalotów wciąż pozostawało niezdobyte.

Nowak po raz pierwszy obserwował nalot nocny z ziemi. Górą sunęły olbrzymie formacje, dla oczu laika niewidoczne. Słychać było tylko pracujące silniki, ale gdy człowiek wpatrzył się dobrze, dostrzegął, jak kolejno gasły na niebie gwiazdy zasłaniane przez maszyny.

Niemcy bili ogniem zaporowym. Zdawało się, że nawet mysz nie zdoła się precyzyjnie przemieszczać. Ale samoloty przechodziły, bomby syptały się na stanowiska wroga. Wybuchy, od których drżała ziemia, słyszano daleko.

- Więc to tak wygląda dywanowy nalot? - mówił Nowak pół do siebie, pół do kolegi szyfranta, z którym obaj po wyjściu z wozu łączności podziwiali groźne widowisko. Mimo nieprzyjacielskiego ognia jak dotychczas żaden samolot nie został zestrzelony. Jednak taki masowy nalot to potęga!

9 sierpnia 1944 r. Caen zostało zdobyte. Zrobiło się trochę luźniej. Wojska posunęły się do przodu, a na ich miejsce zaczęły zaraz napływać dalsze transporty z zaopatrzeniem i wojskiem. Następnym punktem niemieckiego oporu było Falaise.

Zaczęto wreszcie mówić o polskiej dywizji pancerniej, która już weszła do akcji. Lotnicy przyjęli tę wiadomość z wielkim zadowoleniem. Byli z nich dumni! Jak dotychczas pancerniacy nie mieli okazji, i to wbrew własnej woli, do czynnej walki z wrogiem i zazdrościli tej szansy lotnikom czy marynarzom. Nieraz o tym mówili. Stacjonując w dalekiej Szkocji; nabawili się kompleksu, zupełnie niesłusznie zresztą, bowiem ich obecność tam również była potrzebna. Nareszcie znaleźli się w pierwszej linii, mogą odpłacić wrogowi za wszystkie krzywdy i cierpienia. Jak twierdzili jeńcy, Niemcy doskonale wiedzieli o polskiej dywizji i poważnie liczyli się z jej obecnością na tym odcinku frontu. Jeśli tylko słyszeli w radiu głos polskiego dowódcy, wiedzieli, że szykuje się ciężka przeprawa.

## Na lotnisku w Plumetot

Pewnego razu na lotnisku w Plumetot celem uzupełnienia paliwa i amunicji wylądował amerykański Mustang. Potraktował to lotnisko jako zapasowe.

Pilot, wysoki, szczupły major tuż po trzydziestce, okazał się bardzo rozmownym, wesołym facetem.

Przez cały czas oczekiwania na maszynę popijając herbatę i kurząc Lucky Strike'y opowiadał im kawały. Kiedy go powiadomiono, iż samolot gotów jest do lotu, pożegnał się z nimi, zapraszając wszystkich do odwiedzenia go na Florydzie, a potem pokołował na start.

Upał tego dnia był niesamowity. Amerykanin ustawił maszynę na pasie w pozycji do startu, krótko przepalił świece i wrzepił gaz. Mustang poderwał się do biegu z mocnym przyspieszeniem, podskakując śmiesznie na nierównościach zaimprovizowanego runwayu. I w momencie kiedy już miał oderwać się od ziemi, to się stało! Wystrzeliła mu guma na lewym kole, rozpryskując się na drobne kawałeczki. Obręcz koła uderzyła o nagrzaną i miękką papę, pokrywającą pas startowy i przecięła ją. Przecięty kawał nawinął się natychmiast na oś koła i obręcz darła papę w wielki trójkąt, rozchodzący się w obie strony.

Gdyby oberwał się tylko jeden niewielki kawałek, nie byłoby kłopotu, bowiem silnik zdołałby wyrwać maszynę, ale w tej sytuacji papa raptownie hamowała samolot, co musiało się skończyć kapotażem.

Sam przewrót maszyny odbywał się bardzo powoli. W pierwszym momencie można było sądzić, że wypadek skończy się tylko ogólnym potłuczeniem pilota, ale gdy do niego podbiegli, oczom ich przedstawił się straszny widok. Spod samolotu, który leżał na grzbiecie, rozlegał się podejrzany syk, a z kabiny zwisało na pasach bezpieczeństwa zmasakrowane, ociekające krwią zmieszaną z oliwą ciało Amerykanina.

Natychmiast przecięto pasy i ostrożnie zsunięto rannego w dół. Położyli go na noszach, bo nadjechało pogotowie, ale pilot już nie żył. Nowak patrząc na niego wprost nie mógł pojąć, że coś takiego może się stać z człowiekiem w wypadku lotniczym. Leżał teraz bardzo maleńki, cichy... Zginął na miejscu.

Nowakowi zrobiło się niedobrze. Odszedł szybko na bok.

A więc to tak wyglądał Zydel? pomyślał. I ja tak mogłem wyglądać!

Już nic więcej nie można było zrobić, jak tylko powiadomić jednostkę amerykańską o wypadku. Po kilku godzinach przyjechali, zabrali ciało. Na runwayu położono nową papę, polano ją smołą i życie potoczyło się normalnie. Tyle tylko, że jeszcze przez kilka najbliższych dni piloci przeżywali mocno moment startu i prosili Boga, aby im coś takiego się nie przydarzyło.

Przełamany został następny punkt oporu pod Falaise i Chambois. Sytuacja jeszcze nie ze wszystkim była jasna, gdyż „korek”, który stanowiła polska dywizja, wszedł za daleko do „butelki”, co przysporzyło naszym pancerniakom wiele kłopotu.

Pewnego dnia Nowak z kilkoma kolegami wziął służbowego „jeepa”, aby zobaczyć na własne oczy dopiero co zdobyty teren w okolicach Falaise. Pojechali w piątkę.

Minęli leżące w gruzach Caen, przejechali koło wiekowej katedry i skręcili w ulicę, prowadzącą w kierunku szosy na Paryż. Wskoczyli na szosę oznakowaną już przez wojska alianckie.

Po obu stronach leżą trupy niemieckich żołnierzy, panuje niesamowity fetor. Nowak zaczyna żałować, że tu przyjechali. Wszędzie wala się masa porozbijanego sprzętu wojskowego, tu i ówdzie jeńcy niemieccy grzebią swoich współtowarzyszy poległych w walce. Wśród wielu innych szukają znaku polskiej dywizji. Chcą złożyć pancerniakom wizytę. Jest! Mała tabliczka z literami „PL” i druga, większa ze skrzydłem husarskim, w którym dowcipni Kanadyjczycy dopatryli się podobieństwa do ogona wiewiórki, nazywając odtąd Polaków po prostu „Squirrels Division” - dywizją wiewiórek.

Kierują się w tę stronę. I znów pełno rozbitego sprzętu: są tu niemieckie Tygrysy i Pantery, brytyjskie Churchille, a nawet dwa amerykańskie Shermany z kanadyjskimi znakami. Oj, tu naprawdę musiało być bardzo gorąco!

Mijają wrak spalonego samochodu. Po całej szosie i okolicznym polu leżą porozrzucone kanistry z benzyną - popękane, powyginane od ognia, ale pełne! Niesamowite! Aż się wierzyć nie chce. Odbijają korek jednego kanistra i leją paliwo do swojego baku. Jadą dalej. Zagapili się nieco, zafascynowani niezwykłym widokiem, i stracili z oczu polskie znaki. Trudno, postanowili jechać dalej, na pewno gdzieś niedaleko odnajdą je znów. Po kilku minutach takiej jazdy po wybojach wybitych na szosie przez setki gąsienic czołgów i transporterów minęli skrzyżowanie dróg. Zaniepokoił się nieco. Nigdzie nie dostrzegali żadnych znaków angielskich, wszędzie natomiast widoczne były stare znaki niemieckie. Postanowili jechać prosto do następnego, widocznego w dali skrzyżowania, gdy nagle z rowu spoza krzaków wyskoczyło kilka postaci w hełmach, przykrytych w celu zamaskowania gałązkami. Oficer upewniwszy się, że jest tylko jeden samochód, wyszedł na drogę i podniósł rękę w górę.

- Co jest? - pyta Nowak, wstając z siedzenia. Poznał bowiem kanadyjskich żołnierzy.

Porucznik popatrzył na ich „Polandy”, uśmiechnął się i odpowiedział:

- No to z powrotem, pierwsze skrzyżowanie na lewo, mila drogi i znowu w lewo, tam już zobaczycie znaki. Jeszcze dziesięć minut, a jadąc dalej w tym kierunku byłibyście u Niemców. Są tam, za tamtymi krzakami - mówiąc pokazywał skrzyżowanie, w kierunku którego mieli właśnie zamiar jechać.

- Dzięki - mówi śmiejąc się Nowak. - Nie mamy najmniejszej ochoty spotkać się z nimi.

Zawrócili, pomachali ręką „Kanadyjcom” i teraz już bez trudu odnaleźli właściwy znak, który przyprowadził ich do celu.

Dywizja miała akurat moment odpoczynku. Henryk i jego koledzy znali tu kilku oficerów, którzy gościli u nich w ubiegłym tygodniu, a na pożegnanie zaprosili ich. Trafili niezbyt szczęśliwie, ale przecież nie chodziło im o rewizytę - chcieli po prostu zobaczyć pancerniaków przy pracy. Teraz właśnie wszyscy zajęci byli przeglądem sprzętu. Niemniej jednak przyjęli ich bardzo gościnnie. Zaprosili ich do czołgu, gdzie jeden z pancerniaków zademonstrował jego wyposażenie.

- Wiesz co? - powiedział Nowak, mimo ostrzeżenia nabawiwszy sobie porządnego guza. - Pancernikiem to bym już nie chciał być, za mało tu u was powietrza.

Zaśmieli się.

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić, nawet do trumny! - odpowiedział czołgista.

Po trzygodzinnym postoju i suto zakrapianej kolacji powrócili na swoje śmiecie.

W kilka dni potem dowiedzieli się, że alianci popełnili straszną pomyłkę. Zbombardowali własne pozycje i własne oddziały. Najbardziej ucierpiały dywizje polska i kanadyjska. Wśród zabitych, jak ostrożnie podał oficer wywiadu, było około 200 Anglików, 250 Kanadyjczyków i ponad 400 Polaków. Zniszczeniu uległo sporo cennego sprzętu. Z ówczesnych relacji wynikało, że zawiniła tu różnica temperamentów dowódców. Niektórym z nich było bardziej spieszo niż samemu „Monty'emu” (marszałek Montgomery), który na wszystko miał czas. Podobno marszałek zażądał wsparcia lotnictwa przy zdobywaniu obiektu, w którym jeszcze wczoraj byli Niemcy. RAF potwierdził przyjęcie, ale zbyt szybko się nie spieszył. Trzeba było wytypować dywizjony, przestać rozkazy. Słynna była przecież ich dewiza: „I tak wojnę wygramy”. Z kilkugodzinnym opóźnieniem wysłano jednostki amerykańskie, które z reguły latały tylko w dzień, jako że Jankesi nie lubili nocnych lotów. Stąd też wziął się popularny żart: „Dlaczego Amerykanie latają tylko w dzień? Bo muszą być w nocy na Picadilly”.

Wojska alianckie posunęły się w tym czasie do przodu. Gdy Amerykanie nadlecieli nad wskazany cel, byli tam już żołnierze alianccy i na ich głowy posypały się bomby przeznaczone dla Niemców. Próbowano powstrzymać bombowce za pomocą rakiet, ale jak już raz weszły do akcji, nie reagowały ani na wyłożone znaki, ani na rozpaczliwe sygnały.

Można było sobie wyobrazić radość Niemców!

Dopiero gdy wystartował łącznik i z powietrza porozumiał się z amerykańskimi załogami, zaniechały one bombardowania. Zawróciły przeto, wykonały dużą rundę i rzuciły resztę bomb na właściwe miejsce. Niestety, niewiele tego zostało!

Fatalną pomyłkę - nie pierwszą i nie ostatnią od czasu wylądowania w Normandii - personel Skrzydła komentował z oburzeniem i rozgoryczeniem. Irytująca była bowiem nonszalancja załóg ciężkich bombowców, zwłaszcza amerykańskich, które nie zadawały sobie trudu, by dokładniej zidentyfikować cel, lecz waliły seryjnie cały ładunek systemem powierzchniowym, jak podczas nalotów dywanowych na miasta w Rzeszy. Jakoś nie liczone się z tym, że własne wojska dzięki masie zmotoryzowanego sprzętu nawet na linii walki są stale w ruchu. Zdrowy rozsądek powinien powstrzymać lotników z czterosilnikowych kolosów przed rzucaniem bomb, jeśli cel nie był statyczny. A jednak wbrew temu, mimo ostrych protestów z ziemi, nie zdołano uniknąć tragicznych nieporozumień.

Jeszcze nie umilkły echa głośnego wydarzenia, a już do lotniska Plumetot dotarła nowa wieść - w Warszawie wybuchło powstanie. Lotnicy z uwagą słuchali pierwszych komunikatów radiowych, starając się wyłowić z okruczeń informacji prawdziwy obraz sytuacji w walczącym mieście. Wiadomości były często sprzeczne, można było wyczuć wiele niedomówień, a nadawany chorąg „Z dymem pożarów” już po kilku dniach doprowadzał ludzi do szału. Stolica przeżywała tragedię, po przejściowym zaskoczeniu Niemcy rzucili przeciwko powstańcom nawet czołgi i samoloty.

W polskim Skrzydle zawrzało. Lotnicy nie znali zakulisowych mechanizmów, które doprowadziły do wybuchu powstania. Prawdę odkryto dopiero po latach, toteż wówczas - w atmosferze gorączkowego napięcia - domagano się wręcz przetrzucenia Skrzydła do Polski. To był naturalny i zupełnie zrozumiały odruch ludzi, którzy nie chcieli beczynnie słuchać komunikatów zwiastujących agonię płonącego miasta. Pomysł ten okazał się jednak nierealny. Jak nigdy od początku wojny, właśnie w tych dramatycznych dniach zaczęły się rodzić głębsze refleksje. Do głosu doszła polityka, ukazując swe skomplikowane oblicze. Padały pytania, dlaczego i z czyjej inicjatywy pchnięto młodzież Warszawy na barykady, skoro nikt nie zatroszczył się o nawiązanie współdziałania z Armią Radziecką? Odpowiedź miała przynieść przyszłość, ale nawet wtedy wiele do myślenia dawał fakt dymisji naczelnego wodza PSZ generała Sosnkowskiego, który musiał odejść na skutek nacisków Brytyjczyków za ich krytykę. Wynikało z tego, że rząd emigracyjny zaczyna tracić swą pozycję, a powstanie w Warszawie zupełnie rozwiało złudne nadzieje polityków z „Rubensa” na wymuszenie brytyjskiej pomocy w szerokim zakresie czy nawet skłócenie zachodnich aliantów ze Związkiem Radzieckim.

Lotnicy boleśnie odczuwali swą bezradność, zazdroszcząc mimo wszystko załogom 301 dywizjonu, które w dniach tragedii Warszawy latały do Polski.

Mijały tygodnie. Front przesuwał się coraz bardziej na wschód. Lotnicy ze 131 Skrzydła znaleźli się w północnej Francji na lotnisku Vandeville, na przedmieściu Lille w departamencie Nord, gdzie było duże skupisko polskich emigrantów przybyłych tu w okresie międzywojennym. Lotnisko niemieckie było doskonale zamaskowane; zbudowano na nim „sztuczną” wieś, duży kościół, a nawet mały ratusz i inne budynki, które okazywały się hangarami. W niektórych były jeszcze samoloty stojące na przegładzie. W samym pseudokościele mieściła się baza remontowa, wałały się tu zapasowe części do samolotów myśliwskich. Alianci mieli jednak dobry wywiad i poczucie humoru, bo, jak opowiadali miejscowi ludzie, przylecieli pewnego razu nad „lotnisko” i zrzucili drewniane bomby. Wściekłość Niemców nie miała granic!

Po kilku dniach Nowak wybrał się motocyklem do oddalonego o 26 km Lens, miasta bombardowanego przez lotnictwo angielskie. W tym także przez załogę Nowaka. Ucierpiała wtedy ludność cywilna zatrudniona przy budowie urządzeń dla produkcji bomby V-1. Nowak zapragnął zobaczyć to miejsce „z ziemi”. Wjechał do miasteczka od strony wschodniej. Od razu rzuciły mu się w oczy napisy w języku polskim na niektórych ulicach. Zatrzymał się na rynku i starał się zlokalizować miejsce tamtego nalotu. Nie widać tu było specjalnych zniszczeń. Ot, parą na pół rozbitych domów, dwa duże leje. Polacy nie chcieli wówczas rzucać bomb na ludność cywilną i widocznie innych chętnych też nie było, skoro miasto stoi. Nie bardzo wiedział, w którą stronę się udać, kiedy posłyszał głośno wypowiedziane słowa:

- Dzień dobry, panie oficerze!

Obejrzał się za siebie. Kłaniał mu się jakiś starszy pan o bardzo sympatycznym wyglądzie. Miał siwe włosy i bardzo „polski” wygląd.

- Dzień dobry, pan tutejszy? - zapytał Nowak.

- Tak, jestem tu już od dwudziestu lat. Pochodzę z Kieleckiego - padła odpowiedź. - Proszę pana - zagadnął początkowo bardzo nieśmiało, ale gdy go Nowak zachęcił, mówił bardzo szybko, jakby się bał, że nie zdąży wypowiedzieć tego, co miał na sercu: - Proszę pana, my wiemy, że tu, w Vandeville, stoi polskie lotnictwo i są nawet ludzie, którzy mieli szczęście gościć u siebie polskich lotników. Mnie, niestety, nie udało się dotychczas nikogo zaprosić. Czy pan nie zrobiłby mi tej łaski i nie przyjąłby mojego zaproszenia? - mówił błagalnym tonem.

Nowak począł się wymawiać, tłumaczył się brakiem czasu.

- Może jednak pan oficer chociaż na trochę wpadnie - prosił dalej, ale już zniechęcony, bez nadziei w głosie. - Córki się ucieszą.

Córki? Nowak nadstawił uszu. Warto zobaczyć, pomyślał.

- No, skoro panu tak zależy, to proszę, niech pan siada z tyłu i wskazuje drogę. Czy to daleko?

- Niedaleko, proszę pana, tuż za torem!

- Za torem? - Nowak poczuł dreszcz. - Za torem, powiada pan? Tam gdzie fabryka i tor kolejowy na moście, a za mostem, po prawej stronie, dworzec?

- Fabryka jest po lewej stronie, my zaś mieszkamy po prawej, niedaleko od dworca.

- No już dobrze, niech pan siada, jedziemy - mruknął Nowak.

Pan Słowik, bo tak się nazywał jego nowy znajomy, prowadził go ulicą, którą Nowak znał dotychczas tylko z mapy. Po chwili zamajaczył wiadukt kolejowy, lekki zjazd w dół i wynurzyli się po drugiej stronie.

Zatrzymał motor i rozejrzał się ciekawie. Po prawej stronie stało kilka jednorodzinnych, usytuowanych wzdłuż toru domków. Dalej biegła już ulica. Tu było stosunkowo mniej zniszczeń. A więc typowe bombardowanie typu represyjnego, pomyślał. Myśmy nie chcieli, zrobił to ktoś inny, a może nawet i część naszych bomb tu poleciała? Wszystko jest cholernie blisko siebie, możliwe, że to były nasze bomby.

Spojrzał w lewo, gdzie stała prawie nie naruszona fabryka, dalej, również prawie nie tknięty, dworzec kolejowy. Tylko budynki w pobliżu dworca były spalone. Ładna robotą, nie ma co! - skrzywił się. Partacze z nas nie lada! A więc mimo wszystko najbardziej ucierpiała ludność cywilna. Na obiekty typu wojskowego nie padło wiele bomb! Powinny to zobaczyć załogi z dywizjonu 300.

Pan Słowik jakby się domyślał powodów jego bytności w Lens. Obserwował go bacznie, szedł za jego wzrokiem. Po chwili, jakby uzupełniając myśli Henryka, powiedział:

- Tu mieszkali ci, którzy pracowali dla Niemców. Nie wszyscy - zastrzegł się. - Ale niektórzy pracowali i dlatego ponieśli zasłużoną karę. Anglicy zrzucili ulotki, zalecając zrezygnowanie z pracy, ale oni nie wierzyli, póki nie przekonali się-na własnej skórze.

- Czy byli wśród nich Polacy? - spytał Nowak z nadzieją, że usłyszy zaprzeczenie.



- Niestety, tak - powiedział ze smutkiem w głosie pan Słowik. - Pracowali tu, znęcani wysokimi zarobkami, i dlatego ponieśli karę.

- Czy dużo ich wtedy zginęło?

- Oj, dużo, proszę pana, chyba z pięćdziesięciu!

Mrowie mu przeszło po skórze. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jakie były konsekwencje ich dalekich wypraw. Żołnierz w bezpośrednim starciu wie, do kogo strzela. Podobnie lotnik-myśliwiec w bitwie powietrznej. Członek załogi bombowca, aczkolwiek zdaje sobie sprawę, iż za dotknięciem zwalniającego guzika bomby pójdą w dół, niosąc za sobą zniszczenie i śmierć nieraz setek ludzi, z bliska niczego nie widzi.

- A ja mieszkam tu! - przerwał jego rozmyślania pan Słowik, pokazując jednopiętrowy budynek po przeciwnej stronie ulicy zniszczonego osiedla, okolony wysokim murowanym parkanem. Zatrzymali się przed domem.

- Patrzcie, kogo prowadzę! - krzyknął pan Słowik.

Po drugiej stronie zrobił się ruch. Otworzyła się jednocześnie furtka i brama.

- Niech pan chorąży wprowadzi motor do środka - usłyszał miły dziewczęcy głos. W bramie stała ładna, może dwudziestopięcioletnia dziewczyna, która podeszła do nich i przywitała się z Nowakiem, podczas gdy druga, mniej więcej siedemnastoletnia, sama prowadziła motor do środka.

Podskoczył, by jej pomóc, tymczasem pan Słowik zamykał bramę. W mieszkaniu czekała na nich cała rodzina w komplecie: pani Słowikowa, niska, zażywna, siwiejąca już, bardzo sympatyczna niewiasta, najstarsza z córek, poznana przed domem, Zosia, średnia, około dwudziestoletnia Marta i najmłodsza Janina, która zaopiekowała się motorem. Wszystkie trzy były bardzo atrakcyjne.

Powiedziały, że jest to dla nich wielki dzień. Nowak nigdy nie przypuszczał, że obecność polskiego żołnierza może sprawić tyle radości Polakom na obczyźnie. A tu tata im przyprowadził prawdziwego polskiego lotnika! Początkowo nieśmiało, potem już coraz odważniej oglądały jego mundur, odznaczenia, „gapę”, wreszcie wszystkie trzy po kolei zrobiły sobie z nim zdjęcia.

Wieczorem, bo państwo Słowikowie nawet słyszeć nie chcieli, aby wyjechał przed kolacją, towarzystwo powiększyło się do dwudziestu osób. Wiadomość o jego przybyciu rozeszła się szybko.

Najmłodsza z dziewcząt, Janka, miała narzeczonego, Francuza imieniem Pierre. Oboje byli przedmiotem żartów i kpin ze strony starszych siostr, które były zdania, że powinna poślubić polskiego chłopca. Same zresztą zaręczyły się z Polakami, obaj służyli w dywizji pancerniej: jeden w stopniu porucznika, drugi kaprala.

Francuz wiedział o niechęci siostr i dezaprobachie rodziców i robił wszystko, aby ich sobie zjednać. Kapral- -pancemiak był synem miejscowego piekarza, porucznik zaś był przed wojną dyrektorem jednej z fabryk w Lille. Obaj dostali się do Anglii w czasie ewakuacji korpusu angielskiego w Dunkierce. Sam pan Słowik prowadził zakład masarski.

Jak na warunki panujące w tym czasie we Francji - żywność była bardzo kosztowna i trudna do zdobycia - przyjęcie było wystawne.

O powrocie do jednostki tej nocy nie było nawet co marzyć. Przy koniaku i kawie mówiło się o różnych sprawach. Na prośbę Nowaka opowiedzieli mu o nalocie, który zniszczył pobliskie osiedle.

- Panie, rany boskie, co się tu wtedy działo! - opowiadał z podnieceniem któryś z sąsiadów pana Słowika. - Panie, przyszło tu ich chyba ze trzydzieści! Jeden, ten co był pierwszy, zawiesił na niebie wielką „latarnię”, która świeciła jak w dzień. Wszystko było widać, nie było się gdzie schować, myśleliśmy, że to już koniec świata! A później oni zaczęli rzucać bomby! Takie chyba po tysiąc kilo i wtedy dopiero nastał sądny dzień! Bomby gwizdały coraz głośniej i wybuchały tuż koło nas. Jeden po drugim podchodził nisko i rzucał, panie, rzucał... Skąd oni mieli tyle tego? Artyleria do nich była przez cały czas, a oni nic się nie bojeli, tylko chodzili, jak chcieli. Była ich tu chmara, panie. Może trzydzieści, albo pewnie i więcej - zakończył swe opowiadanie pan Kisielewski, miejscowy fryzjer.

- Ależ skąd, panie kolego, było nas tylko sześciu... - wyrwało się Nowakowi. Miał już porządnie w czubie, w przeciwnym razie nie pochwaliby się tym, nie było się bowiem czym chwalić, i to jeszcze przed takim audytorium...

Wszyscy zamarli.

- To pan tu był? - wyjąkał Kisielewski.

Nowak nie odpowiedział na to pytanie.

- No, to na mnie już czas - rzucił po chwili, wstając. - Przykro mi bardzo, że popsułem tak miły nastrój, ale wspomnienia nie zawsze są przyjemne i nie dla wszystkich.

- Ależ niech pan siada, panie poruczniku! - zawołała Marta, chwytając go za rękę. I w tym momencie zapanował powszechny gwar.

- Nigdzie pan nie pójdzie, panie, przecież my do pana żalu nie mamy! Tak jakoś wyszło, to po prostu zaskoczenie - powiedział drugi sąsiad. - Przecież to wojna i my jesteśmy dumni, że to byli polscy lotnicy. Daliście szkołę Niemcom! Trzeba było ich widzieć, jak się kryli po dołach niczym krety! Ten widok był dla nas wiele wart!

Teraz już mówili jeden przez drugiego.

- Zginęło trochę naszych, trudno! Takie jest prawo wojny, myśmy ich uprzedzali, żeby nie pracowali dla tych przeklętych „Boches”... Ale swoją drogą: sześciu, powiada pan? - z niedowierzaniem kręcił głową pan Kisielewski. - No, no...

Musiał im teraz zrelacjonować całą akcję. Wszyscy słuchali z zapartym tchem, nie przerywając mu, dopóki nie skończył. Patrzyli w niego jak w obrazek, pełni uwielbienia i dumy, że to też Polak, że jest pośród nich!

Potem przeszli do spraw bezpośrednio ich dotyczących. Mówili teraz o złym traktowaniu ich przez miejscowe władze francuskie. Żalili się do niego, do Polaka, który nie jest emigrantem jak oni. Opowiadali mu o swoich bolączkach, gdyż, jak mówili, reprezentował w pewnym sensie władze okupacyjne. Nawet nie mieli nadziei, że im może pomóc czy pomoże, po prostu chcieli się wyzaliczyć przed swoim. Nowak doskonale to rozumiał. W ich słowach przebijała tęsknota za porzuconym krajem. Wielu wyrażało gotowość powrotu do Polski zaraz po zakończeniu wojny. Wierzyli, że Polska

będzie niepodległa, że zapanuje w niej sprawiedliwość społeczna, i ani oni, ani ich dzieci nie będą musiały iść za chlebem. Chłopcy z kolei pytali, czy mogą być przyjęci do wojska.

- Oczywiście, nawet jutro! - zapewniał Nowak.

- Nasz dowódca ogłosił zaciąg do Polskiego Wojska i jeśli wasi rodzice nie będą temu przeciwni, to proszę do naszej jednostki jutro rano i sprawa będzie załatwiona.

- Tato, słyszałeś? - powiedział młody Kisielewski.

- Jutro, pozwolisz?

Stary popatrzył po wszystkich, łzy zalśniły mu w oczach, ale szybko przybrał srogą minę:

- No, co się tak gapicie? Myślicie, że po to wychowałem chłopca jak dęba, aby w domu siedział, jak go Ojczyzna potrzebuje? - A potem miękko do syna: - Idź, chłopcze, moje błogosławieństwo będzie zawsze z tobą. Niemiec jeszcze silny, a do Berlina daleko, no, mam, a ty?

Pani Kisielewska przygarnęła chłopca do siebie. To była cała jej odpowiedź.

W toku dalszej rozmowy dowiedział się, że w miejscowym więzieniu administrowanym przez lokalne władze francuskie przebywa około pięćdziesięciu Polaków, wcielonych przymusowo do Wehrmachtu. Miejscowi Polacy nie mogą tym jeńcom udzielić żadnej pomocy.

Następnego dnia zaraz po powrocie z Lens Nowak zameldował się u ppłk. Gabszewicza i zreferował mu sprawę więzionych Polaków. Reakcja była taka, jak przypuszczał. Gabszewicza zła krew zalała! Podjął natychmiastową decyzję. W kilka minut po ich rozmowie podjechały do wozu dowódcy trzy samochody: mały dla dowódcy „wyprawy”, drugi duży, otwarty, na którym siedziała uzbrojona po zęby drużyna w sile osiemnastu ludzi. Na dachu samochodu umieszczony był ciężki karabin maszynowy typu „Bren”. Ostatni, największy, przeznaczony był dla więzionych Polaków.

W drzwiach wozu sztabowego stanął Gabszewicz. Zlustrował okiem wyjeżdżającą jednostkę i podszedł do samochodu, z którego wyskoczył oficer w stopniu kapitana, meldując gotowość do akcji. W hełmie zakrywającym mu częściowo oczy i z pistoletem u pasa wyglądał groźnie.

- Pułkownik wręczył mu kopertę. Masz pan tu pokwitowanie na odbiór jeńców pochodzenia polskiego w więzieniu w Lens - powiedział. - Wstawi pan tylko odpowiednią liczbę. Z Grupą sam sprawę załatwię, przywieź ich pan tutaj jak najszybciej. Francuzi nie powinni sprzeciwiać się. Aha, jeszcze jedno - spojrzał na stojącego w pobliżu Nowaka. - Siadaj, pojedziesz z nimi i będziesz prowadził. Wiesz przecież, gdzie jest to więzienie.

Ruszyli. Rozpierała ich duma, że w obcym kraju z dala od ojczyzny będą mogli pomóc Polakom. Nikt nie zastanawiał się nad następstwami tej niecodziennej wyprawy. Nie interesowała ich burza, którą mogli rozpętać gdzieś na wysokich szczyblach dowodzenia PSP. Wszak nie do nich, lotników, należało załatwianie takich bądź co bądź drażliwych spraw.

Zajechali przed dom piana Słowika, który, ujrawszy ich, stracił głowę. Nie spodziewał się tak szybkiej reakcji na, zdawało się, bezsilne biadolenie przy kieliszku. Nowak popędzał go, aby się szybciej ubierał - pan Słowik nie chciał bowiem pokazać się w roboczym stroju na drugim końcu miasta, gdzie mieszkali jego przyjaciele. Drogę do więzienia miał pokazać pan Zimny.

Tymczasem wokół samochodów zebrała się spora grupka ludzi. Patrzyli na wymalowane na błotnikach trójkolorowe koła RAF, mniejsze biało-czerwone szachownice i namalowane białą farbą orły na hełmach.

Nowak zerknął na „obstawę”. Swoją drogą dobrali ich chyba specjalnie na tę akcję. Same zakazane gęby! Teraz jednak patrzył na nich z szacunkiem - zachowywali powagę, nie zaczepiali otaczających samochody dziewcząt, jak to normalnie bywało.

Czekanie przeciągało się. Nowak klął w duchu pana Słowika, który marudzi, choć każda minuta jest droga.

W końcu pojawił się pan Słowik ubrany jak do kościoła: w kapeluszu i odświętnym tużurku. Dumny i pełen godności usiadł tuż przy Nowaku na tylnym siedzeniu jeepa. Ruszyli, a za nimi pobiegli co młodsi.

Po zabranii jeszcze jednego przewodnika (pana Zimnego) stanęli w końcu przed bramą więzienia w Lens, którą na dźwięk klaksonu otwarto natychmiast. Gdy wjechali do środka, wartownik zabrał się do zamykania bramy. Nowak pokazał mu ręką, aby tego nie robił. Ten usłuchał, zdezorientowany.

Podbiegł do nich jakiś oficer. Kapitan, świetnie władający francuskim, zażądał widzenia się z komendantem więzienia, który po chwili stanął przed nimi na baczność i zameldował się.

Kapitan zażądał wydania więźniów polskiego pochodzenia. Tamten ochłonął i na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

- Więźniów polskich? Takich tutaj nie ma! - zapewnił kategorycznie.

Zapanowała konsternacja.

- No i co, panie kolego? - zwrócił się do Nowaka kapitan. - Wpakowaliśmy się w niezłą historię...

- On chyba coś ukrywa - odparł, wierząc mimo wszystko, że jego wczorajsi gospodarze nie kłamali. - Polacy tu na pewno byli - dorzucił. - Niech mu pan powie, żeby otworzył wszystkie cele. Sprawdzimy sami.

Kapitan powtórzył żądanie Francuzowi. Komendant więzienia spojrzał na Nowaka, na siedzących w samochodach żołnierzy i wolno, jakby ociągając się, podążył w stronę gmachu. Po drodze krzyknął coś i po chwili z budynku wyskoczyło jeszcze dwóch funkcjonariuszy służby więziennej.

Uzbrojeni lotnicy opuścili swoje wozy i też nie spiesząc się zajęli stanowiska przy bramie, aby mieć na oku cały dziedziniec. Tylko obsługa erkaemu siedziała na dachu jednego z samochodów, spoglądając z góry na swych kolegów. Mimo bojowej scenerii nic nie wskazywało na potrzebę użycia broni.

Do ponurego gmachu weszli we trzech. Komendant prowadził, za nim kroczył kapitan i Nowak. Klucznicy, zdumieni widokiem lotniczych mundurów, otwierali kolejno drzwi cel. Polacy rozmawiali z więźniami, ale ku ich rozczarowaniu żaden nie był rodakiem. W końcu zagadka wyjaśniła się. Komendant dopiero teraz przypomniał sobie, że rzeczywiście była tu grupa jeńców z Wehrmachtu, Polaków, ale dziś wczesnym rankiem zabrali ich Anglicy do aresztu garnizonowego.

Przeszli do jego gabinetu, gdzie okazał im pokwitowanie odbioru przez angielską Military Police pięćdziesięciu czterech ludzi.

Nie mieli tu już nic więcej do roboty. Wyszli na dziedziniec do swoich wozów. Nowak poczuł się głupio. Bardzo żałował, że przybyli za późno. A swoją drogą i jego, i kapitana zastanawiał fakt, dlaczego jeńców zamknięto w areszcie, a nie skierowano ich od razu do obozu. Na interwencję w MP nie mogli sobie jednak pozwolić, bo to groziło służbowymi konsekwencjami. Cały zresztą wypad, zainicjowany żywiołowo, też był - niezależnie od szczerzej chęci pomocy Polakom zmuszonym do noszenia munduru wroga - naruszeniem porządku w strefie frontu, gdzie obowiązywały ostre rygory, ale kto by się wtedy nad tym zastanawiał.

Nagle koło bramy dały się słyszeć jakieś głosy. Dostrzegli wjeżdżającego na rowerze księdza. Mówił coś gorączkowo do żołnierzy przy samochodach, którzy wskazali na stojących w pobliżu oficerów, i po chwili już biegł w ich kierunku.

- Panowie, co ja narobiłem! - biadolił trzymając się za głowę. - Panowie przyjechali po Polaków, Boże mój, gdybym ja wiedział wcześniej, że to zrobicie! Przecież ja ścieżki wydeptałem, aby pomóc tym nieszczęśnikom! - mówiąc to spojrzął zezem na stojącego obok nich komendanta. - Aż w końcu udało mi się ubłagać Anglików, aby ich stąd zabrali. Zawsze tam będą mieli lepiej niż tu!

Komendant mówił więc prawdę. Nie pozostało im nic innego, jak odjechać. Kapitan dał sygnał do odwrotu. Tymczasem Francuz, korzystając z okazji, zwrócił się do niego z prośbą, aby mu podarował kanister benzyny. Był to skarb, dla niego wprost nieosiągalny. W końcu dowódca wyraził zgodę.

Nowak skrzywił się, widząc, z jaką pożądlivością komendant więzienia ściągał z samochodu podany mu przez żołnierza kanister.

- Teraz to potrafi prosić, a tamtych traktował... - chciał jeszcze coś dodać, ale kapitan mu przerwał.

- Nie ma o czym mówić, kolego. Benzyny mamy dosyć, a przecież to też alianci. Sprawą jeńców zajmie się na pewno ktoś inny.

Ksiądz skinął głową, spoglądając na oficera.

- Pan kapitan ma rację - powiedział łagodnie. - Niektórzy z tych Francuzów wyrządzili nam wiele krzywdy, ale może teraz zaczną nas inaczej traktować, skoro widzą, że ktoś staje w naszej obronie. Ludzie uczą się na własnych błędach.

Nowak spojrzął szybko na księdza, gdyż wydawało mu się, że głos mu się przy tym załamał. I rzeczywiście - ksiądz miał łzy w oczach.

- Mój Boże, mój Boże - powtarzał sam do siebie. - Polskie Wojsko przyszło się za nami upomnieć!

Ocknął się dopiero na widok siedzących w samochodach, gotowych do drogi żołnierzy.

- Panowie! - zawołał. - Panowie! -! powtórzył, tkwiąc tak w bramie w rejtanowskiej niemal pozie. - Panowie, tak się nie godzi! Nie możecie odjechać bez poczęstunku. Tak nie można, panowie! Proszę do mnie na plebanie, niedaleko.

- Co robić? - patrzy na Nowaka kapitan. - Przecież nie zwalimy mu się wszyscy na kark, a ludzi zostawić nie można!

- Proszę księdza, innym razem - wymawiają się. - Teraz musimy już wracać!

Nie prosił już więcej, tylko ciągle stał w otwartej bramie: biedny, stary, siwy człowiek. Wyglądał jak skrzywdzone dziecko.

- No, już dobrze - machnął ręką kapitan. - Proszę, niech ksiądz wsiada i prowadzi - mówiąc to zrobił mu miejsce koło siebie.

- Niech tam ktoś skoczy, panie sierżancie, i rower księdza wrzuci na samochód. Jedziemy wszyscy na plebanię - powiedział kapitan sierżantowi, siedzącemu w szoferce wozu szefa eskorty.

- Tak jest! - dogonił go głos tamtego, bo już byli w drodze.

Trzeba było widzieć Polaków, stojących na zewnątrz murów więziennych i obserwujących bacznie poczynania polskich lotników. Widzieli, jak straż więzienna z ich komendantem włącznie żegnała z honorami odjeżdżających rodaków. Komendant stał na baczność (opłaciło mu się zresztą). Na twarzach tych ludzi widać było szczęście. Spoglądali na swoich francuskich kolegów i sąsiadów, a ich spojrzenia mówiły: Przypatrzcie się! Oto nasi bracia. Przyjechali tu, aby się za nami ująć! Już nie jesteśmy sami. Oni też przyłożyli rękę do waszego wyzwolenia. Oni się tak łatwo nie poddali jak wy razem z waszym Petainem! Patrzcie na białe orły na ich hełmach, to są nasze orły!

Lotnicy rozumieli rodaków i uśmiechali się do nich. Zajechali na plebanię. Za nimi biegli ludzie bez względu na wiek i narodowość, bowiem Polacy mieli wielu przyjaciół także wśród Francuzów.

Wysiedli z samochodów. Żołnierze zdjęli hełmy i czekali w cieniu pod drzewami, rosnącymi na podwórzu plebanii, podczas gdy obaj oficerowie i sierżant weszli do środka. Było już koło południa. Słońce przypiekało coraz bardziej. Ksiądz zaczynał wyciągać swoje zapasy. Dużo tam tego nie było i początkowo odmawiali, ale po chwili drzwi zaczęły się otwierać raz za razem i ktoś wchodził, przynosząc coś do jedzenia i butelczynę. Wkrótce można było nakarmić i napić kompanię wojska, a nie drużynę. Plebania niebawem okazała się za ciasna, bo kto tylko wchodził na chwilę, aby przynieść coś ze swoich zapasów, już nie wychodził.

Dziedziniec pełen był chłopców i dziewcząt pragnących wstąpić do Polskiego Wojska. Ci otrzymywali adres jednostki, który zresztą nie był potrzebny, bo wszyscy już znali ich miejsce postoju.

Wracali późną nocą. Z czupryn im się kurzyło. Wojsko śpiewało aż miło, tylko kierowcy byli w miarę trzeźwi.

Następnego dnia rano zameldowali pułkownikowi o wyniku ich misji.

- No trudno - powiedział. - Nie udało się, ale... dziękuję!

Opowiedzieli mu o przyjęciu zgotowanym przez księdza i miejscową ludność. Było mu przyjemnie.

- Okazuje się, że podróż nie okazała się taka niepotrzebna - dodał z uśmiechem.

## Zwycięstwo w Gandawie

Czas mijał, front się przesunął coraz bardziej na wschód, wraz z nim 131 Skrzydło. Polacy zmienili raz jeszcze miejsce postoju, aż znaleźli się na lotnisku polowym B-61 w St. Denis Westren w Gandawie w Belgii, gdzie spędzili kilka miesięcy. Nadszedł Nowy Rok 1945.

Czerwone słońce wyłoniło się znad otaczających lotnisko drzew, przykrytych śniegiem, skrzącym się w jego promieniach. Personel naziemny udawał się na swoje kwatery, niektórzy jeszcze kręcili się po dispersalu. Przed chwilą ostatni z trzech dywizjonów wystartował nad pozycje wroga, aby sprawić mu niespodziankę.

Wczorajszy Sylwester obchodzony był niezbyt hucznie. Wiadomo, że nasi rodacy przywykli bawić się wtedy, gdy nieco zakręci im się w głowach, a tu dowódca Skrzydła wydał pilotom rozkaz zabraniający używania alkoholu. Toasty wznoszono więc... oranżadą. Życzono sobie rychłego zakończenia wojny i jak najszybszego powrotu do kraju. Nie zabrakło jak zwykle kolęd polskich, najpiękniejszych chyba na świecie.

Nastrój wieczoru był podniosły, wszyscy wiedzieli, że coś ważnego wisi w powietrzu, tym bardziej że w ostatnich dniach normalne loty operacyjne nie grzeszyły nadmiarem atrakcji.

Przed samym świtem płk Gabszewicz zarządził odprawę pilotów i oznajmił - czego zresztą spodziewali się wszyscy po wydaniu zakazu picia alkoholu - że dowództwo Grupy wpadło na pomysł, aby złożyć wizytę panom z Luftwaffe. Po nie przespanej i tęgo zakrapianej nocy sylwestrowej Niemcy według wszelkiego prawdopodobieństwa powinni teraz wypoczywać, zaś polscy piloci, którzy nie pili alkoholu i wcześniej udali się na odpoczynek, byli w doskonałej formie.

Po krótkich przygotowaniach trzy dywizjony myśliwskie wystartowały na lot operacyjny. Na lotnisku zostało tylko kilku pilotów rezerwowych i chorych oraz obsługa naziemna.

Traf chciał, iż dowództwo niemieckie wpadło na taki sam pomysł i w czasie kiedy polscy myśliwcy „obrabiali” lotniska „szkopów”, spoza drzew na małej wysokości wyskoczyło około czterdziestu Focke-Wulfów i Me-109. Była już godzina 9.30. Od czasu startu Polaków upłynęło sporo czasu.

Zaskoczenie było kompletne! Tego się nikt nie spodziewał. Nad lotnisko wzbiły się kłęby dymu i płomieni z palących się na ziemi samolotów. Przelatująca nad lotniskiem i atakująca z broni pokładowej chmara zawróciła i teraz już buszowała bezkarnie! Ostrzelała stojące w rezerwie lub na przeglądzie technicznym maszyny, atakowała samochody dowództwa, radiostacje i stanowiska artylerii, którą szybko zmusiła do kapitulacji.

Padły pierwsze ofiary. Jeden z atakujących samolotów obrał za pierwszy cel wóz radiostacji (poznał to po wysuniętych masztach) i przejechał celną serią po wozie, w którym dyżurny radiotelegrafista plut. Cybulski starał się zaalarmować dowództwo Grupy. Nie zdążył, zważył się ranny na podłogę.

Radiostacja zamilkła. W drugim wozie znajdowały się nadajniki. Siedzący wewnątrz radiomechanik plut. Hetmański miał więcej szans. Zdążył na czas wyskoczyć z wozu, został tylko lekko ranny w nogę. Cudem uniknął śmierci, bo wóz był podziurawiony jak sito.

Do znajdującej się opodal syreny alarmowej biegł kpr. Sikora. Nie zdążył jednak, celna seria skosiła go z nóg. Zginął na miejscu. Obok palącego się Spitfire'a stał pełen paliwa jeden z dwóch samochodów-cystern, co w razie przzerwycenia się ognia groziło potężnym wybuchem. Co gorsza nie opodal znajdowały się budynki, w których między innymi mieszkało kilku pilotów i członków personelu naziemnego. Jeden z kierowców, nie namyślając się długo, wskoczył do szoferki samochodu i zapuścił silnik, starając się odciągnąć cysternę na bezpieczną odległość. Kierował ją tam, gdzie było najmniej ognia, na środek lotniska.

Silnik jednak nie chciał ciągnąć na styczniowym mrozie. Samochód szedł wolno, na pierwszym biegu, rycząc przeraźliwie, a kierowca mokry był cały od potu. W górze szalały niemieckie samoloty. Słyszał nad sobą ryk maszyn, które wychodziły z nurkowania, ale nie porzucił wozu, póki nie odprowadził go dostatecznie daleko. Dopiero wtedy wyłączył silnik i wyskoczył z samochodu, biegnąc co sił w nogach w stronę prowizorycznego schronu. Cysterna ocalała mimo dalszych nalotów, ale bohaterski kapral na pewnym momencie potknął się na śniegu i upadł, ugodzony celną serią w plecy przez nurkującego pilota hitlerowskiego.

W tym samym czasie w stronę lotniska podążał samotny myśliwiec amerykański typu Mustang. Jego pilot, major US Air Force, widać za dużo wypił ubiegłej nocy i teraz, wdychając specyficzne zapachy z wnętrza kabiny, będąc na dodatek na potężnym kacu, mimo dużego wysiłku woli nie wytrzymał i dostał torsji. Zgłosivszy przez radio swoją opłakaną sytuację otrzymał rozkaz lądowania na najbliższym lotnisku w jego zasięgu.- było to akurat St. Denis.

Zgodnie z poleceniem Amerykanin przygotowywał się do lądowania. Wszystkie czynności wykonywał automatycznie, gdyż weszły mu one już w krew przez tych kilka lat wojny, był przy tym jednocześnie tak „mętny”, iż nie zwracał uwagi na to, co się działo wokół niego. Nie widział płonących w dole maszyn ani swastyk na uwijających się wokół samolotach. Co ciekawsze, Niemcy początkowo również nie zwrócili na niego uwagi. No cóż, zdarza się i tak! Dopiero gdy z wysuniętym już podwoziem znalazł się na prostej do lądowania, jakiś Focke-Wulf wlaź mu na ogon i posłał serię.

Zadudniło po kadłubie samolotu. Pilot momentalnie wytrzeźwiał! Wrzepił pełen gaz, wyrwał świecą w górę, zamknął podwozie i zaczął się drzeć przez radio, ile sił w gardle:

- This is „Blue Jack”, calling all stations' to all stations! Jerrys over B-61, Jerrys over B-61, over Ghent. Gosh! It looks like a hell! Hundreds of them!91

Jego rozpaczliwe wołanie poszło w świat. W tym samym czasie już kierował maszynę w stronę najbliższego Focke-Wulfa, posłał mu krótką serię i tamten raptownie poszedł w dół. Po chwili buchnął w górę słup ognia. Ale dla Amerykanina była to walka beznadziejna. Za chwilę rozbił się o okoliczne przeszkody.

Na szczęście jego dramatyczny meldunek radiowy został odebrany nie tylko przez stacje radiowe lotnictwa USA, ale i przez jeden z polskich dywizjonów, który właśnie wracał z zadania i przestroił swoją stację na kontrolę lotniska w Gandawie. Był to dywizjon 308 Krakowski, dowodzony przez mjr. Karola Pniaka.

---

91 Tu „Niebieski Jack" (kryptonim) wzywa wszystkie jednostki. Hitlerowcy nad lotniskiem B-61 nad Gandawą. Boże! Tu jest piekło! Są ich setki!



- Chłopczy! Szkopy niszczą nasz dom! - rozległ się w słuchawkach głos dowódcy. - Idziemy na „buście”!

Dywizjon poderwał się jak koń dźgnięty ostrogą. Nad lotnisko przyszedł na dużej wysokości i runął w dół na nie spodziewających się niczego, bezkarnie do tej pory buszujących Niemców.

- Patrz, to Zefiry! - krzyknął radośnie szef mechaników st. sierż. Karol Blachuta do swego kolegi chor. Starzyńskiego. - No, ci im zaraz sprawią lanie!

Dywizjon 308, od wymalowanych na kadłubach samolotów znaków rozpoznawczych - liter „ZF” - nazywano „Zefirami”.

Dopiero teraz rozpoczął się cyrk! Por. Salemker przy wyjściu z piki przejechał się po Focke-Wulfie, który zarył się w ziemię. Następnie położył maszynę w lewo i ostrzelał drugiego, ale musiał odejść ostro w prawo, bo tamtemu na ogon wchodził już kpt. Olszewski, który dokończył go krótką serią.

- Halo Peacock - zawołał przez radio mjr Pniak. - Halo Peacock, jak słyszycie, odbiór!

„Peacock” był to znak wywoławczy radiowy dywizjonu 317 Wileńskiego, dowodzonego przez mjr. Mariana Chełmeckiego. Lotników tego dywizjonu z uwagi na ich litery rejestracyjne „JH” nazywano „Juhasami”, z kolei myśliwców z 303 „Rafałkami” od liter „RF”. Oba polskie dywizjony dowodzone były przez uczestników słynnej „Bitwy o Anglię”.

- Tak, jestem na odbiorze. Słyszę was, będę nad lotniskiem za cztery minuty. Ty, Karol, co się tam u was dzieje?! - krzyknął podniecony mjr Chełmecki.

- Nie mam czasu na gadanie. Wrzep „busta” i wal tu, ile sił w „koniach”. Niemcy! Jest ich tu od groma! Boję się, że nam puciekają! - słychać w słuchawkach podniecony głos Pniaka.

Po chwili „Juhasi” byli już nad lotniskiem. Przyszli na małej wysokości, od razu włączyli się do akcji. Teraz już kotłowało się na dobre! Co chwila słychać było huk spadającego i eksplodującego samolotu niemieckiego. O ratowaniu się spadochronem, z uwagi na małą wysokość, nie było nawet mowy. Tu i ówdzie rozlegał się jazgot pistoletu maszynowego. To strzelali do Niemców ze swoich Stenów żołnierze z personelu naziemnego.

Niemieccy myśliwcy w większości sprawiali wrażenie mało doświadczonych. I tak pilot jednego z Focke-Wulfów, atakując stojący na ziemi samolot z lotu nurkowego był tym tak zaabsorbowany, że wcale nie spojrzął w lusterko, by sprawdzić, co się dzieje z tyłu. Nawet nie zauważył, kiedy usiadł mu na ogonie por. Krakowian, który z uwagi na kończącą się amunicję posłał mu króciutką serię: trzy lub cztery pociski z działka. Niemiec już nie wyrównał. Rąbnął w sam środek lotniska, nie zdążywszy nawet ostrzelać wybranego celu.

Drugiemu zaszedł tył por. Mach; to samo.

- Strzelać krótko, oszczędzać amunicję! - ostrzega swoich mjr Chełmecki.

Ale co to?! Jeden ze Spitfire'ów zachowuje się jakoś dziwnie. To samolot por. Powierzy - przechylił się raptownie w prawo, skosił wierzchołki drzew i uderzył o ziemię!

Polskim samolotom kończyło się paliwo. Chor. Bednarczyk po zestrzeleniu Niemca lądował przymusowo w polu. Na szczęście ani maszyna, ani jej pilot nie odnieśli szwanku. Już po zakończeniu nalotu przyszedł na lotnisko pieszo.

Po chwili zadymił drugi Spitfire. Nawet nie miał czasu na meldunek przez radio. Zginął na miejscu. Był to por. Chojnacki. W natychmiastowym rewanżu W. Stański posłał Niemca w dół.

Jak w ukropie uwijał się na swoim myśliwcu por. Dromlewicz, który dostał swojego Niemca, gdy ten próbował wyjść świecą w górę. Por. Budzik z kolei zestrzelił Niemca atakującego jednego z Polaków.

Luftwaffe w ciągu tych kilku minut straciła 18 maszyn. Focke-Wulfy odleciały na małej wysokości, niektóre z nich mocno dymią.

Piloci lądowali teraz na resztkach paliwa gdzie się tylko dało, na lotnisku bowiem było dużo dziur, płonęły samoloty wroga i własne, będące w rezerwie lub na przeglądach.

Niemcy wycofali się tak szybko, że dywizjon 302 Poznański (dowódcą był mjr Zygmunt Bienikowski), zorientowany w sytuacji na podstawie krótkich meldunków radiowych, mimo iż spieszył, ile mocy w silnikach, nie miał już nic do roboty. Dywizjon ten wystartował jako ostatni, dlatego też jako ostatni wrócił. Z uwagi na zmęczenie pilotów i resztki paliwa w bakach nie można było zorganizować pościgu. Co bardziej porywczy chcieli natychmiast po zatankowaniu i uzupełnieniu amunicji jeszcze raz odegrać się na „Hunach”, ale płk Gabszewicz sprzeciwił się temu.

Na lotnisku zapanowała raptowna cisza, słychać było tylko trzask palących się samolotów i niekiedy wybuchy pocisków z ich załadowanej broni pokładowej. Dokoła widziało się kłęby dymu. Ze schronów, spoza budynków, zaczęli wybiegać ludzie. Jedni pędzili w stronę płonących maszyn, drudzy w kierunku dymów, unoszących się z samolotów zestrzelonych poza lotniskiem. W tamtym też kierunku pobiegł kapelan Skrzydła ks. kpt. Nowicki.

Zaroilo się wszędzie. Trzymając w rękach hauby z wiszącymi przewodami od radia i tlenu nadchodzili piloci, którzy lądowali przymusowo poza lotniskiem. Wokół słychać było gorączkowe rozmowy, relacje pilotów opowiadających służbie naziemnej swoje wrażenia. „Nadworny malarz dywizjonu” kpr. Karwowski pokazywał wszystkim swoje trofeum - Krzyż Rycerski z liśćmi dębowymi orderu Żelaznego Krzyża, zdjęty z szyi zabitego pilota hitlerowskiego.

Wszyscy zajęli się gaszeniem ognia i likwidowaniem szkód, które, z wyjątkiem spalonych maszyn, nie były zbyt wysokie. Całe szczęście, że część Skrzydła - Advance Party - opuściła dotychczasowe miejsce postoju poprzedniego dnia, udając się na nowe lotnisko Grimbergen koło Brukseli, by przygotować tu wszystko na przyjęcie samolotów Skrzydła, które miały się tam udać w dniu 2 stycznia. Lotnisko to również stało się celem ataku Luftwaffe, na skutek czego zaniechano przenosin i Advance Party powróciła do Gandawy w kilka godzin po nalocie.

W mesach zaroilo się. Opijano zwycięstwo i wetowano „nietrunkową” noc sylwestrową. Tylko piloci 302 pluli sobie w brodę narzekając, że zjawili się zbyt późno.

Obrona własnego lotniska zakończyła się bezsprzecznie wielkim sukcesem polskich pilotów. O Polakach znowu zaczęło być głośno, pokazywano ich w kinach na kronice, pisano o nich w prasie, chwalono polskie Skrzydła. Niestety, tej nocy zanotowano nie tylko sukcesy... Podczas

bombardowania zginęli por. por. Chojnacki i Powierza, kpr. Sikora i dwóch żołnierzy z obsługi naziemnej. Wielu też odniosło rany. Pogrzeb ofiar odbył się na miejscowym cmentarzu dwa dni później.

Jeszcze jeden fakt, który wydarzył się na tym lotnisku, zasługuje przy okazji na odnotowanie. Jesienią 1944 r. lądował tu przymusowo bombowiec RAF - Stirling. Specjalnie przysłana z Anglii ekipa remontowa nie bardzo spieszyła się z dokonaniem naprawy tej maszyny. Polscy mechanicy, którzy przez ten czas na pewno dokonaliby generalnego remontu samolotu, przyglądali się z ironią pracy Anglików i pokpiwali sobie, że nim „strusie” wyremontują maszynę, wojna się skończy. Oni zaś odpowiadali ze stoickim spokojem, popijając swoją „cup of tea”:

- Co wy się tak przejmujecie? Wojnę i tak wygramy! - Mówili to po polsku, bo już się zdążyli poduczyć języka.

I właśnie w dniu 1 stycznia, kiedy Anglicy wyremontowali wreszcie swojego Stirlinga i komisja techniczna dokonała odbioru, a załoga miała się zameldować nazajutrz, aby go oblać i odprowadzić do bazy, nadlecieli niespodzianie Niemcy i jakby na złość mechanikom angielskim podpalili gotowy do startu samolot.

Mieszkańcy Gandawy żywili w stosunku do Polaków wielki sentyment. Byli im wdzięczni za udział w wyzwoleniu, za to, że właśnie dzięki polskiej dywizji pancernej Gandawa nie podzieliła losu Warszawy. Byli dumni, że w ich mieście stacjonuje 131 Skrzydło. Zapraszali Polaków do swych domów. W lokalu Przyjaźni Polsko-Belgijskiej zawsze dyżurowało kilka osób pragnących gościć u siebie polskich lotników. Pewnego dnia jeden z naszych pilotów, w zacierzeniu ścigając Niemca, który uciekał nad Gandawą, zestrzelił go nad miastem. Spadający samolot wroga uderzył w narożnik kamienicy, zabijając i raniąc jej mieszkańców. W tym samym dniu przybyła do płk. Gabszewicza delegacja miasta z merem na czele, oświadczając, iż do pilota pretensji nie mają i proszą, aby o tym incydencie nie mówić z mieszkańcami miasta. Nie chcą bowiem, aby ktoś miał do Polaków żal.

Pełniące swą ciężką, przyfrontową służbę Skrzydło przeniosło się do Antwerpii. Lotnisko było tuż za miastem, a właściwie wchodziło półkolem w jego zabudowania. Tylko z jednej strony było wolne podejście, natomiast przy innych kierunkach wychodziło się przy starciu w miasto. Było ono jeszcze „ciepłe” po Niemcach, którzy uciekli stąd w popłochu, zostawiając na lotnisku wiele cennych rzeczy. Z jednej strony stały ładne, jednorodzinne domki, w których mieszkali piloci Luftwaffe. Teraz zajęli je Polacy.

Wszędzie walały się części samolotów, leżały też popalone maszyny z czarnymi krzyżami i swastykami. Pousuwanie wraków i załatanie dziur nie zajęło Polakom wiele czasu, już następnego dnia lotnisko mogło rozpocząć normalne życie.

Wieczorem, gdy podkomendni Nowaka powrócili z miasta, opowiedzieli mu zabawne zdarzenie. Jakiś angielski patrol zapuścił się w głąb miasta do dzielnicy portowej. Weszli tam sobie na drinka. Zajęli stolik i zażądali piwa. Karabiny położyli pod stół, przy którym siedzieli, przeszkadzały im bowiem podczas picia. Po kilku kuflach wydało im się, że są w angielskim pubie. Humor im się poprawił i zaczęli śpiewać! Zaintrygowany tym przechodzący patrol niemiecki wszedł do środka i zabrał rozbawioną czwórkę Anglików razem z ich karabinami.

## Rakieta V-2

Tymczasem Niemcy ujawnili V-2, kolejną odmianę swej „Wunderwaffe”. V-2 w locie słychać nie było. Kiedy się usłyszało w pobliżu eksplozję, wypadało tylko podziękować Bogu, że to gdzieś dalej... Dwie takie rakiety spadły w ciągu dnia na lotnisko. Na szczęście nie wyrządziły większych szkód, ale runway przez jakiś czas nie nadawał się do użytku.

Dysponując teraz czasem Nowak postanowił zwiedzić miasto, a po południu pójść do kina. W samym mieście nie było widać zniszczeń - przeciwnie, rzucał się w oczy, szczególnie w centrum, dobrobyt jego mieszkańców.

Henryk znalazł się w pobliżu dworca kolejowego. Tu na jednej z ulic mieściło się kilka kin. Najbardziej nowoczesne było kino „Ritz”, zarezerwowane wyłącznie dla wojsk alianckich. Wyświetlano tutaj filmy zeroekranowe angielskie i amerykańskie. Kolejne seanse rozpoczynały się co trzy godziny. Przerwa trwała bardzo krótko, nie było tu bowiem biletów. Pilnowano tylko przy wejściu, aby nie wchodził nikt z cywilów. Każdy żołnierz aliancki miał prawo wprowadzić jedną osobę. Był tam również „Albert Hall”, gdzie w przepięknie udekorowanej sali grały do tańca dwie doborowe orkiestry. Po bokach stały stoły, można było zamówić sobie coś do jedzenia czy picia. Usługiwały belgijskie dziewczęta, które również miały prawo zaprosić na wieczór dwie przyjaciółki. Ponadto prawo wstępu miały miejscowe dziewczęta, pracujące w różnorodnych biurach czy komisjach alianckich.

Nowak spojrzął na zegarek. Była 14.00, zmiana seansu w kinie „Ritz” miała odbyć się za 20 minut, postanowił więc zająć kolejkę przed kinem. Nie była to właściwie żadna kolejka, po prostu stojąc rozmawiano w luźnych grupkach. Seans dobiegał końca. Lada chwila bocznym wyjściem miało wyspać się 2000 osób, aby zrobić miejsce następnym dwu tysiącom, które czekały na zewnątrz. W tej liczbie był również Nowak. I w tym właśnie momencie, jakby specjalnie wybranym przez Niemców, uderzyła V-2, i to w sam środek kina!

Początkowo Nowak nie wiedział, co się stało. Odrzuciło go na odległość około dziesięciu metrów; znalazł się na skwerze pośrodku ulicy. Gdy się podniósł ogłuszony, z ustami pełnymi piasku, doszło do jego świadomości, że to rakieta V-2.

Ze też mam taki cholerny fart do tych hitlerowskich „Wunderwaffe”, pomyślał zły. Ciągle je na mnie próbują!

Ale faktu nie zmieni nic. Już się stało! Przed kinem działy się dantejskie sceny. Niemcy zebrali krwawe żniwo. Wystrzeliwując tę cholerną raketę zapewne nie przewidzieli takiego „sukcesu”.

Tym razem Nowak nie brał udziału w akcji ratunkowej, nie miał na to już sił. Siedział na chodniku pod żelaznym ogrodzeniem skwerku i trzymał się za rozbitą głowę. Jęcząc z cicha patrzył na to, co się działo przed kinem „Ritz”. Kurz powoli osiadał. Ocalał duży fragment, a na strzępie balkonu wisały postacie ludzkie. Jakiś człowiek cudem trzymał się kawałka gzymsu czy czegoś w tym rodzaju na ścianie. Nie wiadomo było, czy ci ludzie jeszcze żyli. Dokoła trupy, niektóre porozrywane wprost na strzępy. Tuż obok Nowak dostrzegł nogę obutą w czarny pantofel i takąż skarpetkę. Musiał to być ktoś z lotnictwa, bo wojska lądowe nosiły pantofle brązowe. Przed nim, może o dwa lub trzy metry, rozszarpane ciała. Na battledresie koloru khaki czerwienieje winiętka z napisem: „Poland”.

Chwyciły go torsje. Nie znosił widoku kiwi, a tu była po prostu jatka!

Gdy nabrał trochę sił, wstał i powoli powlókł się w stronę lotniska. Był bez czapki, zgubił ją gdzieś podczas wybuchu.

W sześć miesięcy potem miał okazję zobaczyć w polskim klubie w Nottingham młodego podoficera wojsk pancernych, znoszonego z góry na rękach przez kierownika ośrodka. Młody chłopiec nie miał obu nóg, stracił je w tym cholernym kinie „Ritz”.

Nazajutrz podjęto decyzję o powrocie Skrzydła do Gandawy. Tu w Antwerpii „klimat” był dla nich naprawdę za gorący.

I znów są na starych śmieciach. Jakoś Gandawa nie chce się ich pozbyć. Jeszcze tego samego dnia poszli z Wackiem Kordelem do wojskowej restauracji w mieście. Wszystko było pod angielskim zarządem z tym tylko, że personel był belgijski. Wrócili do domu o 3 nad ranem.

Wojsko zajmowało w St. Denis duże pomieszczenie. Był to gmach z czerwonej cegły. Mieściły się tu kuchnia, magazyny i stołówka. Personel w dalszym ciągu mieszkał w prywatnych kwaterach. Obaj z Wackiem zajmowali pokój u właściciela bistro tuż przy lotnisku.

Pewnego razu Nowak, pełniący służbę oficera inspekcyjnego, udał się do jadalni. Uwagę jego zwrócił głośny śmiech i hałasy na klatce schodowej. Zaintrygowany skierował się w tamtą stronę. Na wysokim korytarzu, stojąc na taborecie, „urzędował” kpr. Karwowski, kredką malując na ścianach naturalnej wielkości postacie. Przeważnie były to karykatury na tematy aktualne. Był to doprawdy świetny karykaturzysta.

Ostatnio w zaopatrzeniu ujawniono pewne nadużycie - kradzież konserw z magazynu żywnościowego. Karwowski z wielkim poczuciem humoru wymalował postacie winnych, stojących w workach pokutnych, i miejscowego kapelana w zakapturzonym habicie, pełniącego rolę inkwizytora.

Miał chłopak poczucie humoru i wielki talent.

Kilka dni temu wymalował dwie postacie. Jedna z nich, zgięta w pokornym ukłonie, była w podartej lotniczej kurtce, na szyi miała francuski „Croix de Guerre”, na spodniach łaty i dziurawe buty, z których wyzierały palce. Zgięta służalczo postać podawała rękę drugiej, zupełnie różnej, aczkolwiek o tej samej twarzy, jasnoblonde falowanej czuprynie i lekko wydętych ustach. Ta postać była dumnie wyprostowana, w mundurze pułkownikowskim, na piersiach miała więcej odznaczeń. Jedną jej ręką spoczywała niedbale w kieszeni spodni, podczas gdy drugą podawała łaskawie pierwszej postaci. Pod pierwszą jest napis: „1940”, pod drugą zaś: „1945”.

Nikt nie miał wątpliwości, o kogo chodzi. W końcu dowiedział się o wszystkim dowódca. Przyjechał w asyście kilku starszych stopniem oficerów. Gdy Nowak usłyszał hamujące przed budynkiem pojazdy, wybiegł i natknął się w sam raz na Gabszewicza, który szedł pierwszy. Zameldował mu się, ale ten tylko podał mu rękę i skinął, aby szedł za nim. Wkrótce znaleźli się w korytarzu, w którym stało sporo ludzi. Zatrzymał się przed karykaturami, popatrzył chwilę, zmarszczył brwi i wrzasnął na całe gardło:

- Karwowski!

Wszyscy zamarli. Nikt się już nie śmiał. No, teraz mu da do wiwatu, myślał ten i ów. „Artysta” przybiegł ledwo żywy ze strachu. Stanął przed dowódcą w pozycji na baczność i zaszalutował.

- Masz kredkę? - zapytał krótko Gabszewicz. - Dawaj!

Tamten wyciągnął z brudnej kieszeni roboczej bluzy kawałek kredki i ociągając się podał „Gabsiowi”.

Wszyscy byli pewni, że on te karykatury zamaże. Dowódca jednak pod spodem zamasyście napisał: „To jestem ja, Gabszewicz!”, a potem rzekł do Karwowskiego:

- Masz tu gwineę, kup sobie kredek i maluj, tylko już nie mnie. Znajdź ciekawszy temat.

Odetchnęli wszyscy.

Nowak i Kordel dostali po 10 dni urlopu. Postanowili odwiedzić Anglię. Pojechali do Antwerpii, skąd miał być przerzut przez Kanał. Miasto jest wyludnione, wojska nie ma prawie wcale, cywilów wypłoszyły V-2. Pamiętny wypadek w kinie „Ritz” ostrzegł władze wojskowe, że nie należy gromadzić takiej masy żołnierzy w jednym miejscu.

Baza przerzutowa mieściła się w starym forcie. Tam też spędzili prawie dwa dni, czekając na transport. W czasie oczekiwania spadły na twierdzę cztery rakiety V-2, ale ponieważ mury były bardzo grube, nikt nie poniósł żadnej szkody. Jak im powiedziano, zawsze o tej samej porze, dokładnie o godz. 18.03, na fort padała rakietka. Można było według niej regulować zegarki.

Nareszcie nadszedł czas odjazdu. Załadowano ich do specjalnego wojskowego pociągu, który zatrzymał się dopiero w Ostendzie, gdzie po krótkim pobycie w hotelu tranzytowym udali się statkiem do Anglii.

Hotel w Ostendzie, w którym mieściło się biuro tranzytowe, robił teraz przygnębiające wrażenie. Wszędzie wojsko. Poniszczone meble, potłuczone lustra, zwinięte w rulony dywany.

Jedna z najpiękniejszych plaż świata była całkiem pusta, stały tam tylko koziołki z drutem kolczastym. Pensjonaty świeciły pustkami, miasto również było wyludnione. Tylko morze pozostało to samo: wysokie fale wylewały się na piaszczysty brzeg, aby po chwili się cofnąć...

W Londynie Wacek udał się do Leytenstone, gdzie w dalszym ciągu mieszkała jego rodzina, Nowak zaś zatrzymał się w hotelu w pobliżu Liverpool Str. Station. Był tu częstym gościem podczas poprzednich pobytów w stolicy.

W Londynie pustki - każdy starał się wysłać swoją rodzinę jak najdalej od miejsca, nawiedzanego przez rakiety V-2, które spadały co kilkadziesiąt minut.

Po południu, jak zresztą już od lat, na ulicach spotykało się ludzi z tobołkami na plecach, w których mieściła się pościel i podręczny bagaż, stanowiący najbardziej cenny dobytek. Spędzali oni noce w metrze, na głęboko położonych stacjach. Znajdowały się tam specjalne trzypiętrowe prycze. Nie przeszkadzał im ruch pociągów, od których aż się trzęsło, gdy wpadały na stację, ani gwar ludzki, który zamierał dopiero o północy, aby nad ranem wybuchnąć na nowo. Za to nie przeżywali strachu, w głębokim schronie byli bezpieczni. Niejeden z nich następnego rana nie mógł odnaleźć swojego

domu, ale za to ocalał życie. Ludziom tym nigdy nic nie ginęło, nie byli nigdy okradani czy molestowani przez pijaków, nawet jeśli się tacy trafili. Do nich się po prostu przywykło tak, jak do gablotek ogłoszeniowych na stacjach.

Duże połacie stolicy leżały już w gruzach, ale te sprzątno bardzo szybko, tak że nawet nie rzucały się specjalnie w oczy. Tylko ci, co znali dobrze miasto, nie odnajdywali domów, które widzieli w poprzednich latach.

Nowak źle się czuł w tym mieście, toteż po złożeniu krótkiej wizyty Kordelom, którzy również szykowali się do opuszczenia Londynu, wyjechał do Hereford, do znajomych, poznanych podczas pobytu w szkole.

## Koniec wojny

Mijał dzień po dniu, na arenie wojny wciąż zachodziły zmiany. Wciąż jeszcze ginęli ludzie, aby innych ocalić od zagłady. Polacy mieli swój cel - nie walczyli dla interesu czy sławy, ale o Wolną Polskę. Tylko czasami przychodziła refleksja, jaka to będzie ta Ojczyzna, do której tak tęsknili? W pamięci mieli obraz Polski przedwrześniowej - ubogiej, borykającej się z mnóstwem nie rozwiązanych problemów wewnętrznych, bez pracy dla wszystkich, wstrząsanej kryzysami gospodarczymi - i takiej nie chcieli. Historia nie może się powtórzyć. Polska musi-być inna - sprawiedliwa, zasobna, łącząca interesy wszystkich rodaków. Z dystansu czasu i geograficznej odległości wielu spraw nie dostrzegali, wiele innych widzieli jednostronnie. Wydawało się, że wystarczy wrócić po wojnie do kraju, dopilnować ładu społecznego, rozdzielić obowiązki dla każdego obywatela i wszystko ułoży się inaczej niż dawniej. Ale to miało być później, za rok lub najdalej dwa lata. Teraz trwają jeszcze zmagania z wrogiem, który nie zamierza kapitulować. Trzeba go pokonać, rozbić, aby już nigdy nie odważył się podnieść uzbrojonej ręki na kogokolwiek.

Tymczasem właśnie już się rozpoczęły, ważne wydarzenia toczyły się nurtem, który zaskakiwał ludzi i wnosił coś zupełnie nowego w spojrzeniu na przyszłość Polski. W Lublinie powstał Rząd Tymczasowy reprezentujący interesy narodu w kraju. Z jego deklaracji programowej wynikało, że będzie walczył o nową Polskę, demokratyczną, silną, kierowaną przez ludzi pracy w ramach ustroju robotniczo-chłopskiego. Taki program, jeśli nawet nie wzbudzał od razu zaufania, wywierał duże wrażenie i nie mógł pozostać bez echa nawet z dala od Polski. Odwaga sformułowań w kwestiach dla narodu zasadniczych odbiegała wyraźnie od tego, co głosił rząd emigracyjny. Rzecznicy nowej władzy przemawiali w imieniu wszystkich Polaków, stawiając dobro Ojczyzny na pierwszym miejscu. Ci natomiast, skłóceni w gabinetach „Rubensa”, troszczyli się o własne interesy. Stawało się rzeczą oczywistą, że w tej otwartej rywalizacji dwóch rządów przewagę będzie uzyskiwał ten, który szybciej zdobędzie poparcie narodu.

Z Hereford Nowak udał się do Blackpool, gdzie spędził resztę urlopu. Zaraz po wyjściu z pociągu zatrzymał się przed sprzedawcą gazet. Zawsze zaopatrywał się u niego w prasę, bowiem można tu było kupić między innymi polski „Dziennik Żołnierza”. Sprzedawca mówił nawet trochę po polsku. Normalnie rzucało się na ziemię pensa i brało gazetę - było to coś w rodzaju samoobsługi. Nowak schylił się po dziennik, jak zwykle rzucając uprzednio pensa na leżącą na chodniku czapkę.

- O, o, oficer - wykrzyknął sprzedawca, który tym razem go obserwował. - Dwa pensy!

- Co, zdrożało?

- Masz dwa rządy, płać dwa pensy - filozoficznie wyrecytował po polsku. Na pewno się wyuczył tego zwrotu specjalnie. Gazeta rzeczywiście zdrożała o sto procent.

I, tu w Blackpool, zastał go koniec wojny. Zapanowała ogromna radość, ludzie tańczyli na ulicach, w oknach domów stały radia. Z głośników płynęła muzyka taneczna.

W Tower dawano nawet specjalne widowisko rewiowe poświęcone zakończeniu wojny. Z olbrzymiego basenu wypłynął okręt podwodny, a z kiosku po otwarciu wjazdu wyszły cztery młode, piękne kobiety ubrane w stroje kąpielowe o barwach narodowych krajów, biorących udział w wojnie po stronie aliantów.



Tak się złożyło, że najpiękniejsza dziewczyna ubrana była w biało-czerwony kostium.

Tak. To był już naprawdę koniec wojny. Co teraz z nami będzie? Marzenia o tryumfalnym powrocie do kraju dywizjonami w szykach pozostaną tylko marzeniem, myślał smętnie Nowak. Prędzej czy później, to było już pewne, Polskie Siły Powietrzne zostaną rozwiązane, cały sprzęt przejmą Brytyjczycy. Co więc robić dalej?

Nikt wtedy nie potrafił odpowiedzieć na to trudne pytanie. Władze emigracyjne, kierując się własnym wyrachowaniem politycznym, rozwinęły różnymi kanałami akcję propagandową przedstawiającą w krzywym zwierciadle sytuację w Polsce. Sięgnięto do straszaka represji, aresztów, nawet przymusowego wyjazdu pod eskortą w jakieś odległe północne strony... Mówiono wręcz, że w kraju nikt nie czeka na powrót żołnierzy polskich z Zachodu, nikt ich po prostu nie chce. Ponoć mieli się liczyć tylko ci, którzy walczyli na wschodnim froncie, reszta - w tym także tysiące lotników broniących z dala od ojczyzny honoru polskich skrzydeł - była niepotrzebna. Słowa okrutne, bolesne, uderzające jak biczem. Wierzyć, czy nie wierzyć - oto problem, przed którym stanął każdy, kto nosił mundur RAF z naszywkami „Poland” i orłem na czapce. Prawdę o kraju otaczała nieprzenikniona mgła. Nikogo stamtąd nie dopuszczano do lotników, a takie spotkanie, szczerą rozmową rodaków, mogłoby najszybciej rozwiać różne wątpliwości. Nic prostszego pod słońcem, a jednak to było tylko marzenie.

Nowaka ogarniała coraz większa rozterka. Rozmawiał z kolegami, uczestniczył w gorących dyskusjach, wysłuchiwał różnych racji i sam w końcu zagubił się w gąszczu nie rozwikłanych spraw. Idąc za przykładem innych, jak on zdezorientowanych, postanowił do kraju nie wracać. Od rodziny w dalszym ciągu nie miał żadnych wiadomości. Rad nierad postanowił rozejrzeć się na własną rękę za jakimś zajęciem.

Na zwolnienie z RAF musiał jeszcze długo czekać - kolej na niego miała przyjść dopiero gdzieś w połowie 1947 roku. Po tym terminie RAF gwarantował każdemu posadę i pomoc w urządzeniu sobie życia. Henryk jednak zdecydował, że tak długo w PSP pozostawać nie będzie.

131 Skrzydło stacjonowało w Niemczech, w polskiej strefie okupacyjnej z siedzibą w Meppen. Prócz lotników byli tu pancernicy z 1 DPanc i żołnierze Pierwszej Samodzielnej Brygady Spadochronowej.

Dowódcy poszczególnych jednostek pomocniczych, wchodzących w skład Skrzydła, dbali o to, aby podległe im jednostki wyposażone były w jak najbardziej nowoczesny sprzęt. W magazynach leżały nowiutkie sorty i bielizna, w magazynach technicznych najbardziej poszukiwane części zamienne - wszystko, co by się mogło przydać po powrocie do kraju. Niestety, te wspaniałe wyposażone jednostki przeszły później, po likwidacji, w ręce Anglików.

Nowak przez ten cały czas korespondował z Frankiem Wadasem, poznanym w Swansea oficerem marynarki amerykańskiej, obecnie dowódcą niszczyciela. Właściwie listy do niego pisała siostra Franka, Katherine, ponieważ Wadas w domu był rzadkim gościem. Oboje bardzo chcieli, by po zwolnieniu z RAF przyjechał na stałe do USA. Załatwili mu nawet posadę w Eastman Steam Ship Company, w marynarce handlowej, gdzie po przejściu przeszkolenia na koszt firmy miał pływać jako oficer nawigacyjny.

Przesłali mu już wszystkie dokumenty wymagane przy wjeździe do USA na stały pobyt.

A więc jedno miał już z głowy, ale że nie bardzo palił się do służby na morzu, zaczął szukać innych możliwości.

Podczas kilkumiesięcznego pobytu w Gandawie Henryk zawarł różne znajomości, które postanowił teraz wykorzystać.

Pewnego razu, przy okazji wizyty u znajomych w Brukseli, Nowak wspomniał, że rozgląda się za możliwościami pozostania na stałe w Belgii. Już następnego dnia na specjalnie zaimprovizowanym przyjęciu został przedstawiony wysoko postawionej osobistości. Pan ów zapytał, gdzie Nowak chciałby pracować.

W tym czasie reaktywowała się Sabena. Henryk miał nadzieję, że cywilna komisja lotniczo-lekarska będzie mniej surowa i że może uda mu się wrócić do latania.

Umówili się za trzy dni. W czasie następnego spotkania nowy znajomy oświadczył Nowakowi, że w zasadzie sprawa jest prosta - może latać choćby od jutra. Szkopuł tkwi jednak w tym, że istnieje w Belgii prawo, iż latać może tylko obywatel belgijski. W normalnych warunkach na obywatelstwo czekać trzeba pięć lat, ale Nowak, jako oswobodziciel Belgii, może otrzymać je w ciągu dwu tygodni.

- Bardzo to uprzejmie z pana strony - podziękował Nowak - ale czy ja koniecznie muszę zrezygnować z obywatelstwa polskiego?

- Nie bardzo rozumiem, skąd te skrupuły? Przecież postanowiłeś do Polski nie wracać? - zdziwił się rozmówca Henryka.

Nowakowi zaczęło się to coraz mniej podobać.

Nazajutrz po powrocie z Brukseli siedział Nowak u siebie w pokoju, gdy zadzwonił telefon.

- Nowak, to ty? - usłyszał Henryk pytanie.

- Tak, przy aparacie. O co chodzi?

- Tu Sławek z dowództwa. Słuchaj, przysyłają nam z Grupy chłopca z powstania warszawskiego. Stary kieruje go do ciebie. Zaopiekuj się nim - zakończył i odłożył słuchawkę.

Zaintrygowany Henryk za moment zadzwonił do niego.

- Słuchaj, Sławek - powiedział zakłopotany - a ile ten chłopak ma lat?

- Podobno dwanaście - padła odpowiedź.

- A nie wiesz przypadkiem, co ja mam z nim robić? - już nie na żarty zaniepokoił się Nowak.

- Nie wiem, weź go normalnie na stan, zaprowiantuj. Umundurowali go już w Grupie, a więc to masz z głowy. Potem pomyślimy.

Pomyślimy! Chłopiec z powstania warszawskiego. Henryk słyszał opowieści o tych małych bohaterach, ale nie bardzo w nie wierzył. Zajęty pracą, zapomniał wkrótce o telefonie.

Po południu ktoś lekko zapukał do drzwi.

- Wejść! - rzucił.

W drzwiach stanął drobny chłopiec w mundurze RAF z dystynkcjami kaprała, przepisowymi „Polandami” na ramionach i... Krzyżem Walecznych na piersi. Zameldował się przepisowo. Zaskoczony Henryk patrzył - brzuch wypięty do przodu, ręce opuszczone... Dziecko jeszcze.

- No już dobrze, syneczku – powiedział. Zameldujesz się u szefa, starszego sierżanta Zamożnego. On się tobą zaopiekuje.

Gdy tak patrzył na chłopca, który starał się przybrać bardzo poważną minę, nie mógł opanować uśmiechu. Widząc to żołnierz wyprężył się jeszcze bardziej. W końcu Nowak, nadając głosowi odcień surowości, dodał:

- A teraz, mój drogi, jesteś w wojsku i obowiązuje cię nasza dyscyplina. Zdejmij, bracie, podoficerskie dystynkcje i Krzyż Walecznych. Podrośniesz, pójdziesz do szkoły i zarobisz sobie na stopień. Odmaszerować!

Panie chorąży - powiedział prawie z płaczem chłopczyna. - Przecież to jest moje! - Schwycił się ręką za Krzyż, jakby mu ktoś chciał go odebrać. - Przecież to jest moje! - powtórzył już z płaczem. - Niech pan przeczyta list. Nowak spojrzał na nie otwarty dotychczas list, który mu wręczył chłopiec podczas meldunku. Rozerwał szybko kopertę i przebiegł treść oczyma. Rzeczywiście! List mówił: „Kierujemy do was kaprała Wiesława Przybyłkę, byłego żołnierza Armii Krajowej, odznaczonego Krzyżem Walecznych za wykazanie bohaterskiej postawy podczas powstania warszawskiego...”

Henryk zdębiał. Początkowo nie wiedział, jak się ma zachować. Chłopiec zaś stał w dalszym ciągu na baczność i patrzył mu prosto w oczy. Już nie płakał.

Nowak wstał i zsalutował dziecku na sposób amerykański, do odkrytej głowy. Teraz już traktował chłopca poważnie.

Po kilku dniach zobaczył go powtórnie, podczas przerwy w szkole - miejscowe władze wojskowe zdążyły już założyć szkołę dla dzieci polskich - jak w tym samym mundurze, z dyndającym na piersi Krzyżem Walecznych baraszkował z rówieśnikami na trawie.

Przecież to jeszcze dziecko, pomyślał Nowak. Jak to dobrze, że wraca w świat normalnego dzieciństwa. Może uda mu się zapomnieć o tragedii, którą przeżył?

Była Wigilia 1945 roku. Quackenbruck, w którym stacjonowali Polacy, nabierało powoli świątecznego wyglądu. Tu i ówdzie widać było przystrojone drzewka. Na ulicach kręcili się żołnierze z dywizji pancerniej gen. Maczka, przechodzili lub przejeżdżali przez miasteczko spadochroniarze z brygady desantowej gen. Sosabowskiego.

Nowak wybrał się motocyklem do odległej o parę kilometrów farmy po świeże jajka na dzisiejszą wieczerzę.

Zajechał na podwórze, ale na spotkanie nie wyszedł mu nikt. Tylko psy powitały go zaciekłym ujadaniem.

Postawiwszy przy ścianie motor Henryk wszedł do ciemnego, długiego korytarza. Wreszcie w kolejnej izbie znalazł jakąś staruszkę. Pozdrowił ją i zapytał, czy mógłby kupić trochę jajek. Po chwili kobiecina przyniosła mu w zapasce dziesięć jaj, tłumacząc, że więcej naprawdę nie ma. Powiedział jej, że wystarczy, i spytał, ile płaci. Staruszka nie odpowiedziała nic. Wobec tego Nowak wyjął i wręczył jej dwadzieścia marek (była to na owe czasy dość znaczna suma) i dołożył jeszcze paczkę papierosów.

Kobieta popatrzyła na niego, na pieniądze i zaczęła płakać.

- Co, za mało? - spytał i dołożył jeszcze pięć marek.

Ale kobieta mimo to nie mogła się uspokoić.

- No to ile w końcu chcesz? - spytał trochę już podenerwowany. - Tylko mi tu nie becz, nie jestem złodziejem, nie chcę nic za darmo. Ale na takie zdzierstwo też nie pozwolę!

- Płacę, bo kiedy przychodzili do mnie Niemcy, moi rodacy, ci z SS, to nigdy nie pytali o cenę. Mówili tylko „masz dać”, a jak się nie pospieszylam, bo stare nogi nie bardzo chcą nosić, to jeszcze i szturchańca dołożyli - chlipnęła żałośnie. - A ty, chociaż wróg, pytasz, ile płacić, i jeszcze dajesz tyle pieniędzy. - Przerwała, otarła zapłakaną twarz i mówiła dalej: - Jak mieliście tu przyjsć, to nam mówili, że będziecie się mścili za swoją krzywdę. Ludzie uciekali, jeden to nawet powiesił się w swojej stodole, a wy przecież jesteście dobrzy ludzie - rozczuliła się.

Nowakowi zrobiło się trochę głupio. Rzeczywiście, przed przybyciem Polaków zdarzały się tu wypadki samobójstw. Częściowo była to „zasługa” Anglików, po których tę strefę objęli. Ale później to wszystko jakoś się ułożyło. Wigilia dla całej jednostki była wspólna. Zgodnie z tradycją RAF oficerowie usługują dziś do stołu podoficerom i szeregowym. Ci ostatni już się odgrażają, że pogonią dziś kelnerom „kota”! Nowakowi bardzo się ten zwyczaj podobał, aczkolwiek niektórzy oficerowie nie byli z takiej zmiany ról zadowoleni.

Kucharz postarał się o smakołyki świąteczne, a reszta o zaopatrzenie stołu w alkohol. Każdy z oficerów raz w miesiącu fasował alkohol. Podoficerowie od sierżanta wżwyż otrzymywali około 30 procent przydziału oficerskiego, szeregowi zaś i młodszy podoficerowie fasowali tylko piwo! Taka to była „demokracja”, o której tak lubią mówić Anglicy.

Ale Polacy - szeregowi mieli swoją ambicję. Postarali się o koniak, który zakupili w Belgii.

Stoły, jak na tamte warunki, wyglądały naprawdę imponująco.

O godzinie szóstej dyżurny oficer obchodził pokoje, prosząc na Wigilię. Powoli duża sala się wypełniała, zajmowano miejsca przy stole. Po chwili weszli oficerowie wraz z dowódcą, który zajął miejsce na początku stołu. Podczas wejścia dowódcy wszyscy witając go powstali ze swych miejsc.

Grupa oficerów podeszła do stojącego w rogu sali stolika, zastawionego przygotowanymi przez kucharza potrawami, i zaczęła je podawać do stołu. Inni nalewali szampana.

Dowódca wstał ze swego miejsca. Natychmiast zapanowała cisza. Wziął do rąk duży opłatek, odłamał kawałek, resztę oddał sąsiadowi, prosząc, by podał go dalej. To samo uczynił, zwracając się do swego sąsiada z lewej strony. W ten sposób po krótkiej chwili każdy trzymał już kawałek opłatka.

Dowódca w krótkim przemówieniu podziękował wszystkim za ich postawę w ubiegłym roku. Mówił, że cieszy go ta wspólna wieczerza, na pewno już ostatnia. „Takich świąt spędziliśmy już wiele i za każdym razem życzyliśmy sobie, by były już ostatnimi spędzonymi z dala od domu, od najbliższych. Tym razem nasze życzenia się spełnią. To już nasza ostatnia Wigilia w tym gronie. Raz jeszcze dziękuję wam za wszystko i z całego serca życzę wam szczęścia”.

Po chwili wszedł kapelan, który odwiedzał kolejno wszystkie stacjonujące tu jednostki, wchodzące w skład 131 Skrzydła. W nocy wszyscy udali się na Pasterkę.

Był już marzec 1946 roku, kiedy Nowak otrzymał wezwanie do Belgii w związku ze sprawą zmiany obywatelstwa, konieczną do pracy w Sabenie. Wszystko było już tam przygotowane, na dokumencie brakowało tylko jego podpisu.

W ministerstwie Nowak wyjął, nie spiesząc się, pióro z kieszeni munduru, usiadł na podsuniętym mu krześle i w ostatniej chwili zawahał się.

- Proszę pana - spytał urzędnika - czy to naprawdę konieczne?

- Tak jest, niezbędne, sir, bardzo mi przykro - odpowiedział z uprzejmym uśmiechem. - Pan ma naprawdę szczęście, że pan to tak szybko otrzymał.

- Wobec tego - powiedział Nowak powoli do zaskoczonego urzędnika - rezygnuję z tej pracy. Dziękuję bardzo za wszystko i przepraszam za kłopot. Proszę przeprosić moich protektorów - dodał i wyszedł z biura.

- A więc Sabena się skończyła. Jakoś Henryk tym się nie przejął. Do Osnabrück przybył grubo po północy. Na szczęście przed budynkiem dworcowym czekał na niego służbowy jeep, którego przysłał troskliwy szef. Do Quackenbruck było bowiem około 50 kilometrów.

- Panie chorąży - przywitał go kierowca - czeka na pana w obozie list, list z Polski - dorzucił.

Zatkało go.

- Jak to: list z Polski. Od kogo? - zapytał jednym tchem.

- Od żony - z zadowoleniem oświadczył żołnierz, ciesząc się, że był pierwszym, który mu o tym powiedział.

- Przecież moja żona nie żyje! Powiedzieli mi o tym naoczni świadkowie!

I rzeczywiście, gdy Nowak jeździł po wszystkich miejscowościach, w których mieszkali zwalniani z obozów Polacy, poszukiwał swojej rodziny, aż w końcu natrafił na znajomych z ulicy, na której mieszkał. Oni właśnie powiedzieli mu, że Niemcy rozstrzelali na ulicy Olesińskiej na Mokotowie

wszystkich, którzy akurat byli w domach, w tym także jego rodzinę. Potem dopiero okazało się, że w tym czasie żona Nowaka wraz z dziećmi przeniosła się do swej babki.

- Jest list z Polski - upierał się kierowca. - List z Polski, od żony, sam widziałem.

- Dziękuję panu - mruknął Nowak. Wciąż jeszcze wydawało mu się, że śni.

Już dawno opłakał najbliższych, a tu ten list! A może kierowca się myli? Że nie żartował, to wiedział na pewno. Od żony. A więc żyje? Ale skąd zna jego adres, przecież jest zaszyfrowany?

- Panie kolego, czemu pan tak wolno jedzie? - zniecierpliwiał się w końcu Henryk. Kierowca uśmiechnął się wyrozumiale. Na liczniku miał 70 mil, to jest ponad sto kilometrów na godzinę, a przecież była noc i pełno zakrętów po drodze.

W pokoju Nowaka na nocnym stoliczku... leżał list. Rzeczywiście z Polski i rzeczywiście od żony. W zwykłej niebieskiej kopercie, z wielkim znaczkiem pocztowym, na którym były stemple Polskiej Misji Wojskowej.

Koperta z porozrywanymi brzegami, przez które wystaje róg fotografii. Długo trzymał w ręku kopertę, nie mając odwagi jej otworzyć, w końcu wyjął ze środka fotografię. To jednak była jego żona. Siedzi na krześle, po obu jej stronach stoją dwie dziewczynki. Córki? Patrzył z rozrzewnieniem na obce twarzyczki, ale zaraz potem poczuł, że już nie są dla niego obce, że je bardzo kocha. Młodsza, której w ogóle nie widział, wydała mu się bardzo podobna do niego.

Żyją wszyscy. Żonę wysiedlono po upadku powstania. Podzieliła los tysięcy warszawiaków wypędzonych przez hitlerowskich bandytów z miasta, które było ich domem. Udało jej się zbiec po drodze, przedostała się do matki do Radomska, gdzie przebywa obecnie z dziećmi. O dalszej rodzinie nie pisała nic.

Nowak położył się, ale sen nie przychodził. Co chwila zapalał nocną lampkę, by sprawdzić, czy jest jeszcze fotografia, czy to nie był przypadkiem sen. Ale fotografia tkwiła na swoim miejscu, a z niej patrzyły na niego oczy jego „kobiet”.

Następnego ranka zakrzętała się nad przygotowaniem paczki do Polski. Niewiele mógł w tej chwili wysłać, bo w Niemczech nic kupić nie było można. Od kucharza dostał wielkie, metalowe pudło po herbacie, które idealnie nadawało się do tego celu. W pudełko kładł wszystko, co jego zdaniem mogło się przydać tam, w kraju. Koledzy zaczęli mu znosić różne drobiazgi do paczki. Oni wiedzieli lepiej niż on, czego tam w kraju potrzebują. Po chwili zabrakło miejsca w metalowej puszcze, więc koledzy wystarali się o drugą. W ten oto sposób już następnego dnia po otrzymaniu listu poszły do kraju dwie paczki.

List z kraju był zawsze publiczną własnością. Wszyscy musieli znać jego treść. Nikogo nie obchodziły niczyje sprawy prywatne, chociaż i w tych sprawach niejednokrotnie sobie pomagano; szukano przede wszystkim prawdziwych informacji z pierwszej ręki. Każdy chciał wiedzieć, jak to właściwie w Polsce jest? Chciano poznać prawdę, prawdę bez domieszki propagandy. Niejeden nosił się z zamiarem powrotu, ale przeżywał istic hamletowskie rozterki. Nie ufano ani wiszącym w mesach biuletynom, ani oświadczeniom polskiego konsulatu, ani wypowiedziom zamieszczonym w prasie.

Listom od rodziny wierzono, bo któraż żona po tylu latach rozłąki chciałaby narazić męża na kłopoty?

Sytuację Nowaka znali teraz wszyscy; czekali na jego decyzję. Tymczasem Henryk wysyłał specjalne koperty polecane z papierosami. Pieniądze uzyskane z ich sprzedaży pomagały jego żonie przetrwać ciężki okres - poważnie chorowała wtedy starsza córka.

W następnym liście Nowak znalazł wiele ciepłych słów. Był też dopisek starszej córki i zasuszony kwiatek od młodszej. Żona namawiała Henryka do powrotu. Pisała, że wszyscy czekają na niego. Przekonywała, iż jego miejsce jest tam, w kraju. „Pamiętaj - pisała w jednym z listów - że gdziekolwiek pójdziesz, traktowany będziesz jako cudzoziemiec”. Dodawała ponadto, że z kraju nigdzie się nie ruszy, że czeka na niego z utęsknieniem, ale jeśli zdecyduje się zostać na Zachodzie, postara się zapomnieć o nim i nie przyjmie od niego żadnej pomocy.

Słowa żony pomogły Nowakowi podjąć decyzję. Wziął list i udał się z nim do dowódcy. Przeczytawszy go dowódca spojrzał na niego pytająco.

- No i co zamierzasz?

- Wracać i nie miej mi tego za złe - odpowiedział Nowak.

- Powiem ci prawdę - powiedział wolno jego bezpośredni zwierzchnik, major. - Pogardzałbym tobą, gdybyś postąpił inaczej. Co do warunków panujących w kraju, to ona zna je najlepiej, a jednak jest o twój los spokojna. Ja bym też wrócił - dodał ze smutkiem - ale jak sam wiesz, nie mam tam nikogo.

Tak, Nowak wiedział, stracił on swoich podczas okupacji.

- Pisz raport o powrót do Polski, a ja zrobię wszystko, aby to przyspieszyć.

Rozmowa Nowaka z dowódcą miała miejsce przy końcu maja 1946 roku, ale rozkaz wyjazdu do Anglii celem demobilizacji nadszedł dopiero w październiku.

W bazie przerzutowej w Ostendzie na przerzut do Anglii i powrót do kraju czekało ich trzydziestu dwóch. Widocznie nie bardzo im ufano, bo o ile zwykle dokumenty wydawano im do ręki, to teraz wszystko trzymano w tajemnicy, tak że dowódca mógł wydać swemu podwładnemu dowolną opinię.

Nowak miał pecha - teczka, w której konwojent trzymał dokumenty, została mu skradziona na dworcu w Osnabrück, gdy na chwilę postawił ją pod filarem na peronie. W związku z tym było wiele kłopotu, ale, na szczęście, oprócz polskich dokumentów wszyscy mieli angielskie. Anglicy mieli do wyjeżdżających więcej zaufania niż polskie władze emigracyjne. Wreszcie przybyli do bazy demobilizacyjnej Dunholm Lodge, koło Lincoln. Nowak w ten oto sposób znalazł się koło Ingham, miejsca, gdzie kiedyś stał dywizjon 300.

I znów długie oczekiwanie. Pogarszała je paskudna angielska aura, specjalnie przykra o tej porze roku. Nowaka i jego współtowarzyszy pożerała niecierpliwość. Długo decydowali się na powrót do kraju, ale teraz chcieli jechać jak najszybciej. Nowak dostał z RAF trzymiesięczny urlop; jeśli przed upływem tego czasu nie zgłosi chęci pozostania w RAF, będzie automatycznie zdemobilizowany. Uposażenie za okres urlopowy wypłacono mu z góry. Podoficerowie zdali część umundurowania; Henryk swoje „lotne” manele już dawno zdał, bo przecież jasne było, że o lataniu nie miał co marzyć. Otrzymali teraz wszyscy cywilne ubrania. Nowak wziął sobie ciemny granatowy garnitur, jesionkę, kapelusz, dwie koszule, pantofle, skarpetki, nawet szelki.

Wprowadzono ich po prostu do wielkiego magazynu, gdzie każdy wybierał, co mu się tylko podobało, oczywiście wszystkiego tylko po jednej sztuce.

Nowak załatwiał także sprawy finansowe. Cała suma zaoszczędzona dla rodziny, plus dwie trzecie, wpłacone przez Króla, została złożona do depozytu na jego konto. Pieniądze - a zbierało się ich sporo - będzie można podjąć po powrocie do kraju po przedstawieniu odpowiedniego zaświadczenia od władz polskich, że pozostaje we wspólnocie ze swoją żoną. A więc Król zatroszczył się, by jego fundusze nie wpadły w niepowołane ręce.

W końcu nadszedł czas wyjazdu. Trzydziestoduosobowa grupa znalazła się w Szkocji, skąd odeszły poprzednie transporty Polaków.

W obozie przejściowym z wielką radością przywitał Nowak Wojczyńskiego, który również powracał do kraju.

Henryk złożył ostatnią wizytę Kordelom, pożegnał się już z Anglią ostatecznie. Dlatego tak bardzo denerwowało go to oczekiwanie w obozie tranzytowym.

Minęły już dwa tygodnie, a o wyjeździe jeszcze nic nie było wiadomo. Nie było polskich wiz...

Każdego prawie dnia „dobijały” dalsze transporty zdecydowanych na powrót do kraju, ale lotników wśród nich nie było. Przybywali przeważnie żołnierze II Korpusu, których tu przywieziono z Włoch. Trzymali się oni oddzielnie, do lotników z niczym się nie zwracali. Nawet ich oficerowie, których było zresztą tylko kilku, nie zdradzali ochoty nawiązania towarzyskich stosunków.

Nowak zaprzyjaźnił się z komendantem obozu, rudowłosym Szkotem, i na jego prośbę, ponieważ nie umiał sobie poradzić z przybyłymi z Italii i nie znającymi z reguły języka angielskiego Polakami, został jego adiutantem.

Oczekiwanie przedłużało się. Jak informował Henryka Szkot, zgodnie z życzeniem władz polskich każdy z nich obowiązany był posiadać ważny paszport, wydany przez konsulat polski w Glasgow, i aktualną wizę na wjazd do kraju. A z paszportami były jakieś kłopoty... Początkowo Nowak przypuszczał, że ma to związek z zagubieniem ich teczek personalnych w Niemczech, ale przecież dołączyło już kilku lotników z innych jednostek, jak Wojczyński czy Blachuta. Im przecież dokumenty nie zaginęły, a wszystkich potraktowano jednakowo.

Tymczasem podstawiono statek. Wsiedli nań ci z armii lądowej, ponieważ mieli od dawna dokumenty, a lotnicy pozostali.

Obóz opustoszał. Ci, których nie zabrano, włączyli się z kąta w kąt, osowiali, zniecierpliwieni, skorzy do kłótni i awantur.

Szkot poczynił ich mieć już dość. Starał się na swoją rękę, aby przyspieszyć następny transport i włączyć węń lotników.

Wszystko na próżno. W polskim konsulacie w Glasgow niezbyt przejmowano się nimi.

Tymczasem w polskich kołach lotniczych rozeszła się wieść o długim oczekiwaniu Nowaka i jego współtowarzyszy, toteż wielu ludzi przyjeżdżało do obozu, aby ich odwiedzić i podzielić się ostatnimi wiadomościami.



Pojawił się również biuletyn informacyjny o sytuacji w Polsce. Można się domyślać, jak naświetlał panującą tam sytuację.

Minęły dalsze dwa tygodnie, a paszportów w dalszym ciągu nie było.

Rudowłosy Szkot podczas jednej z pogawędek przy kieliszku powiedział Nowakowi, iż za trzy dni odejście ostatni w tym roku transport do Polski. Wkrótce Morze Północne stanie się zbyt niebezpieczne dla statków starego typu, oddanych przez Admiralicję do przewozu Polaków do kraju. Dlatego dalsze transporty zawieszono aż do wiosny.

- A co zrobicie z nami? - spytał zaniepokojony Henryk.

- Wy? Pozostaniecie tutaj, pojedą tylko ci z wojsk lądowych, a jest ich pięciuset. Ostatni transport więc będzie niekompletny - zakończył.

- Czekaj - powiedział Nowak - przecież nie możemy w tych warunkach zostać tu przez całą zimę. Już teraz zimno jak piorun, a potem kto wytrzyma?

- Widzisz - ciągnął jego rozmówca - z punktu widzenia prawnego nie jesteście już członkami RAF. Przekazano was do dyspozycji władz polskich w kraju. RAF już umył ręce. Ponieważ wasze władze z nieznanych nam powodów nie spieszą się z przyjęciem was, my z kolei z uwagi na zasługi, jakie położyliście dla tego kraju, musimy się wami opiekować do końca lub do czasu, aż któryś z was zmieni zdanie i podejmie inną decyzję. W tym wypadku będziecie jednak zmuszeni do wstąpienia do Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, ponieważ Polskie Siły Powietrzne i Zbrojne niedługo przestaną istnieć.

Rudy Szkot, jak widać, był dobrze poinformowany.

A więc to tak? pomyślał Nowak. Ani jemu, ani jego kolegom nie bardzo się to wszystko podobało. Lotnicy zwołali naradę, by ustalić, co dalej mają robić. Lista transportowa jest już u Szkota, a ich, lotników, na niej nie ma i, jak twierdzi komendant, nie będzie!

Nowak z Wojczyńskim wybrali się do komendanta, przezornie zabrawszy „piersiówkę” z nalepką „White Horse”. Na dworze panował przejmujący ziąb, w drewnianym przemokłym od deszczu baraku nie było wcale ciepłej.

- No więc, kiedy transport? - spytał Henryk z głupia frant, jakby nic nie wiedział.

- Pojutrze, przecież wiesz - odrzekł Szkot. - Cholernie zimno, że też chce się wam tak włóczyć na takim paskudnym deszczu! Nie lepiej to siedzieć w ciepłym baraku? Ja muszę, bo w każdej chwili może ktoś się tu zjawić.

- Właśnie! Dlatego przyniosłem coś na rozgrzewkę - powiedział Henryk, wyciągając „piersiówkę”.

- Good idea!<sup>92</sup> - rozpromienił się Szkot. Lubił sobie popić, tyle że nie za własne pieniądze.

Nie minęło pół godziny, a półlitrowa prawie flaszka była pusta. Humor poprawił się wszystkim.

- Wiesz co? - zaproponował nagle Henryk. - Włącz nas do transportu na pojutrze.

---

<sup>92</sup> Dobry pomysł!

Szkot aż podskoczył.

- Oszalałeś? Paszportów nie macie!

- Słuchaj, on był - tu Nowak beczelnie wskazał na Wojczyńskiego, który skinął z powagą głową - w konsulacie polskim w Glasgow i tam mu powiedzieli, że paszporty już się robią.

No dobra! Jeśli przedstawicie mi paszporty jutro do godziny drugiej po południu, pojedziecie tym transportem - odpowiedział.

To już było coś. Teraz trzeba działać, ale jak?!

Jadą do Glasgow we trzech: Nowak, Wojczyński i Blachuta, by porozmawiać z konsulem. Lotnicy tłumaczyli mu, że to ich ostatnia szansa. Kiedy konsul zapytany, czy ma wobec nich jakieś obiekcje, odpowiedział przecząco, poprosili, by wystawił im paszporty jeszcze dziś.

- No już dobrze - mówi. - Zgoda, może mi się uda wydostać druki z Edynburga i postaramy się coś zrobić.

- Skoro już żeśmy się dogadali, panie konsulu - powiedział Nowak - to może ja tymczasem połączę się z obozem i powtórzę pan to łaskawie komendantowi. To go trochę uspokoi, a w razie potrzeby spowoduje nawet opóźnienie transportu. W każdym razie będzie nas brał pod uwagę.

Konsul bardzo niechętnie wzięt podaną sobie słuchawkę (Henryk zdążył przedtem połączyć się ze Szkotem i powiedzieć mu, o co chodzi), i oświadczył, że będą się starali naszą sprawę załatwić.

Po powrocie Nowak i jego koledzy dostrzegli w obozie ożywiony ruch. To lotnicy szykowali się do drogi. Zdumiony Henryk poszedł prosto do Szkota, by spytać, o co chodzi.

Komendant roześmiał się zadowolony.

- Oświadczam ci, iż na podstawie telefonicznej rozmowy z waszym konsulem sporządziłem odpowiednią notkę. Włączyłem was do transportu, który odpływa z Glasgow jutro o godzinie osiemnastej trzydzieści - zakomunikował Nowakowi pół żartem, pół serio. - Wasz dowódca został już o tym poinformowany. Zawiadomił już odpowiednie władze, a wasz konsul też wie, że do transportu idziecie, choćbyście nawet paszportów nie mieli. A z tobą to konsul chce mówić, zadzwoni do niego - zakończył.

Ale Szkot narozrabiał, pomyślał Nowak, patrząc nań z podziwem.

Gdy zadzwonił do konsula, okazało się, że ten jest wściekły!

- No i czego się pan „ciska”? - spytał go Henryk łagodnie. - Trzeba wypisać paszporty i kwita.

- Panie, ja nie mam ludzi! Ci, co są, pracują już ponad siły. Przecież teraz znowu trzeba wypisać ponad sto wniosków i karty wyjazdowe. Panie, ja chyba oszaleję, w co mnie pan wpakował? - biadał zrozpaczony.

- Nie szkodzi - pocieszał go Nowak. - Jeśli podrzucimy panu dziś, od zaraz, piętnastu ludzi do wypełniania formularzy i wniosków, a pan da swoich dwóch dla formalnej kontroli, to do rana

zdążymy. Ja i mój kolega jesteśmy również do pana dyspozycji, a odpoczniecie sobie po naszym wyjeździe.

- Dobrze, nie ma innego wyjścia, przyjeżdżajcie. Przyślij pan pięciu i was dwóch to wystarczy, ale przyjeżdżajcie zaraz! - zakończył już nieco udobruchany.

I rzeczywiście, o 10 rano dnia następnego wszystko było załatwione. Tylko konsul nie mógł sobie darować, że lotnicy go tak podeszli. Niemniej jednak zafundował im suto śniadanie, po którym humor wybitnie się im poprawił. Życzył nawet lotnikom powodzenia. Jednego tylko nie chciał powiedzieć, chociaż Nowak pytał go dwukrotnie - co było powodem odwołania ich wyjazdu.

Płynęli do Polski. Nareszcie, po sześciotygodniowym oczekiwaniu, które wydawało się wiekiem. Byli szczęśliwi, a jednocześnie pełni niepokoju. Jeszcze nie wiedzieli, jak ich tam, w kraju, przyjmą.

Statek szedł wolno przesmykiem pomiędzy północną Szkocją a Hebrydami. Minęli Orkney Islands i weszli na Morze Północne.

Był już 16 listopada 1946 roku. Zbliżał się okres, w którym Morze Północne zaczynało zwykle mocno kapryścić.

Polacy płynęli na małej, mocno już wysłużonej jednostce o nazwie: „Marine Raven”. Jak ich poinformował ktoś z załogi, „łajba” odbywała swój ostatni rejs przed pójściem na złom!

No to miła perspektywa, bardzo to ładnie ze strony Anglików, pomyślał Nowak. No cóż, porzekadło o Murzynie, który zrobił swoje, jest zawsze aktualne...

Wszystkie bagaże Polaków załadowano do luków bez kontroli celnej. Nowak patrzył na ich załadunek ze ściśniętym sercem. Miał dużą fibrową walizkę, a w niej radio. Był to Philips, zrobiony specjalnie na jego zamówienie! Miał być to prezent dla żony, która bardzo o nie prosiła. Henryk postarał się o naprawdę dobry aparat i, co najważniejsze, niezbyt duży, tak że można go było łatwo przewieźć. Schował go do walizki, uprzednio wymontowawszy lampy i owinąwszy je w pończochy. Wszystko obłożył jeszcze dla większej amortyzacji papierosami.

Teraz, stojąc na wysokim pokładzie, Nowak obserwował robotnika portowego, który trzymał w ręku jego walizkę. Rozglądał się chwilę, jakby szukając miejsca, po chwili znalazł je i rzucił walizkę Henryka między inne. Nie pasowała mu jednak, wystawała trochę, więc skoczył na nią z rozmachem. Pomogło. Nowak zamknął oczy. Wyobraził sobie kupę bakelitowego gruzu i trochę szkielek. Tyle pewnie zostało z jego odbiornika. No cóż, Władziu, jeszcze na radio musisz trochę poczekać, pomyślał.

Po chwili uwagę jego odwróciła głośnie kłótnia, jaka miała miejsce na dolnym pokładzie. Obrócił się i zobaczył rozgorączkowaną twarz jednego z oficerów wojsk lądowych, łamaną angielszczyzną domagającego się zwrotu swojego motocykla, który jakoby zaginął mu podczas załadunku.

- Panie, czy na tym oto motocyklu jest pański numer rejestracyjny? - pyta go cierpliwie oficer policji portowej, pokazując ręką na nowiutki motor, stojący na specjalnym stojaku.

- Tak, numer jest mój, ale motocykl nie jest mój! Ten jest nowy, a mój był stary, zniszczony. Domagam się zwrotu mojego motocykla! - denerwował się Polak.

- Co się pan przejmuje. Skoro zgadza się numer i kwit, to wszystko jest w porządku. Motocykl jest pański i jeśli pan twierdzi, że tamten był stary, to pan na tym tylko zyskuje. Nie rozumiem powodu pańskiej rozpaczy - klaruje mu policjant.

Gdy Polak nie przestawał się awanturować, jeden z czterech stojących przy nim policjantów odszedł i po chwili wrócił z komendantem transportu, Polakiem, i w jego obecności oświadczył:

- Powiedz temu obywatelowi polskiemu, że w ramie jego motocykla znaleziono sto dwadzieścia złotych monet angielskich i amerykańskich, których wywóz za granicę jest zabroniony i karany przez prawo angielskie. Ponieważ on wraca do kraju, nie chcemy robić mu dodatkowych trudności i dlatego kupiliśmy mu inny, nowy motocykl tej samej marki. Niech wraca do kraju. W przeciwnym razie jego powrót opóźni się co najmniej o dziesięć lat - zakończył policjant i czekał, aż tamten mu przetłumaczy.

Nowak widział pechowego „przemytnika” podczas podróży. Siedział osowiały i nie odzywał się do nikogo.

Na statku, który, jak przewidywał rudy Szkot, w połowie był pusty, Polacy zaciągnęli warty.

Nowaka czekała jeszcze jedna niespodzianka. Na pokładzie spotkał wracającego do kraju kapelana z pierwszej polskiej szkoły w Halton, księdza kpt. Sasinowskiego.

Był to człowiek bardzo przez żołnierzy lubiany. Stosunkowo młody, wysoki, bardzo przystojny, o wyjątkowo wysokiej kulturze. Potrafił jak mało kto nawiązać kontakt z trudną młodzieżą wojskową. Ksiądz także się ucieszył z tego spotkania.

Tymczasem w nocy rozszalał się sztorm! Ale co to był za sztorm! Nowak przypomniał sobie czytaną w dzieciństwie książkę Conrada „Tajfun”. Ale ten tajfun był chyba jeszcze gorszy!

O odprawieniu zapowiedzianej mszy nie mogło być nawet mowy, biedny kapelan położył się pierwszy, a za nim, jak na wiernych przystało, reszta.

Sztorm trwał już trzeci dzień. Jadalnie świeciły pustkami, ludzie leżeli przeważnie na podłodze na środku statku, tam mniej kołysz. Ależ ten statek „kiblował”! Po prostu skrzypiał w szwach. Coś w nim grało, jęczało, a szczególnie w nocy!

Nowak zastanawiał się chwilami, czy statek zdąży pójść na złom, czy raczej na dno razem z pasażerami.

Tej nocy Henryk wybrał się na obchód posterunków, gdyż właśnie pełnił służbę. Pełnili ją ochotnicy, którzy jako tako jeszcze się trzymali. Ludzie, zieleni z niewyspania i choroby, stali na swych posterunkach, szczególnie tam, gdzie łatwo mógł powstać pożar, i przy lukach, gdzie spoczywały bagaże. Nowak popatrzył na nie przez siatkę ze sznura. Były sprasowane, leżały jedne na drugich do wysokości dwóch pięter. Przy mocnych przechyłach statku przewalały się z miejsca na miejsce. Słabsze walizki kształtem przypominały raczej placki. Swojej dostrzec nie mógł.

Oczyma wyobraźni widział ją całkowicie zmiażdżoną. Ze swoim radiem pożegnał się już ostatecznie.

Nowak przeszedł na pokład. Przed wyjściem był co prawda posterunek i „wartownicy” nikogo nie wypuszczali, ale jego jakoś przepuścili, zalecając ostrożność. Była wysoka fala; co chwila zalewało pokład. W razie zmycia za burtę nie będzie żadnego ratunku. Henryk z trudem otworzył ciężkie,

metalowe drzwi. Bryznięto na niego słoną wodą. Trzymając się mocno poręczy wyszedł powoli na pokład. Przeraził go ogromny huk rozszalałego żywiołu. Marynarze przesuwali się w tych ciemnościach, mocując się z przedmiotami, które rozhuśtane morze usiłowało porwać w swoje szpony. Nigdy w swoim życiu Nowak nie widział takich zwałów wody, wałących się na słaby statek, który piął się dzielnie na nadbiegającą falę, aby po chwili runąć w dół!

Miał już dosyć wrażeń. Zszedłszy na dół poczuł, że dzieje się z nim to, co już położyło prawie wszystkich pasażerów.

Na morzu co prawda bywał, opłynął nawet Przylądek Dobrej Nadziei, gdzie również „kibluje” niewąsko, ale tu był koniec!

Trzeciego dnia nad ranem morze nareszcie się uspokoiło. Statek przetrwał!

Wyszli na pokład, który przez tak długi czas był dla nich niedostępny z uwagi na szalejący sztorm. Fale w dalszym ciągu tłukły o pokład, przewalały się z boku na bok, ale powoli traciły na sile.

Przed nimi skalisty brzeg Skagerraku. Morze tu uspokoiło się zupełnie. Przechodzą koło Göteborga i płyną Kattegatem.

Cieśninę Sundu przeszli wieczorem. Po obu stronach mocno oświetlone dwa duże miasta: z jednej strony mruga do nich światłami Kopenhaga, po drugiej zaś, trochę z przodu, Malmö. Po chwili znaleźli się na polskim pocziwym Bałtyku. Są w domu!

Nad ranem po źle przespanej nocy obudził Nowaka dziwny bezruch. Wskoczył szybko na pokład. Statek stał przycumowany do przystani. Opodal charakterystyczna sylwetka Kapitanatu Portu w Gdańsku, po przeciwnej stronie ruiny bohaterskiego Westerplatte.

Był naprawdę w domu. W Polsce! Może już jutro lub pojutrze będzie w Radomsku razem ze swoimi. Wyjął kalendarzyk i zanotował: „Powrót do kraju 20 listopada 1946 roku”.

Ziemię pokrywała cienka warstewka śniegu. Był mróz. Przywitała go polska zima.



Blackpool - główna ulica Princess Road i Tower



Dekoracja sierż. St. Kolińskiego Krzyżem walecznych przez gen. bryg. M. Iżyckiego



Załoga Wellingtona. Pierwszy z lewej od góry sierż. St. Koliński



Absolwenci czwartego kursu radiotelegrafistów pokładowych w Madley - rok 1943. W drugim rzędzie od dołu w środku dowódca Grupy mjr A. R. Hungerford, trzeci z lewej – autor



W szkole w Madley. Samolot Oxford, używany w czasie szkolenia radiotelegrafistów

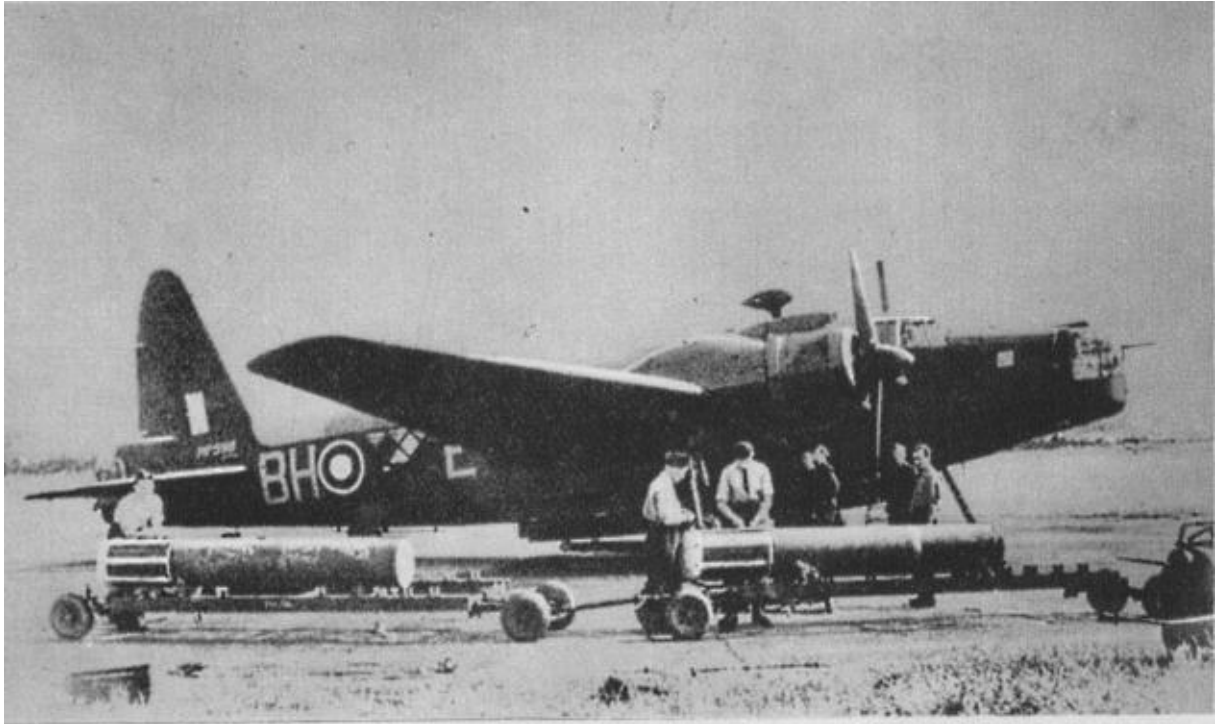




Dowódca eskadry "B" dywizjonu 300, późniejszy dowódca dywizjonu 307, mjr Michałowski (stoi trzeci od lewej)



Lotnicy dywizjonu 307. Od lewej: por. Stopa (kapelan dywizjonu), por. pol. St. Kohut (dowódca eskadry „A”), kpt. Pil. St. Andrzejewski (dowódca eskadry „B”, późniejszy dowódca dywizjonu), ppor. nawig. A. Żebrowski, ppor. pil. J. Brochocki, por. pil. A. Suskiewicz



"Dziadzia Wellington" z dywizjonu 300



"Drewniane чудо" - Mosquito z dywizjonu 307



Jeden z dowódców dywizjonu 307, kpt. M. Lewandowski



Eskadra "B" dywizjonu 307



W wolnych chwilach



Autor (z lewej)



"Pat" i "Patachon", czyli por. M. Trzebiński i ppor. St. Andrzejewski, późniejsi dowódcy dywizjonów 317 i 307



"Karmienie" Moskita



Autor (rok 1945)



Przed nocnym lotem



Mechanicy 131 Skrzydła Myśliwskiego



Ostatnia Wigilia na obczyźnie



Kpt. pil. St. Andrzejewski, przedostatni dowódca dywizjonu 307, z przyszłą żoną

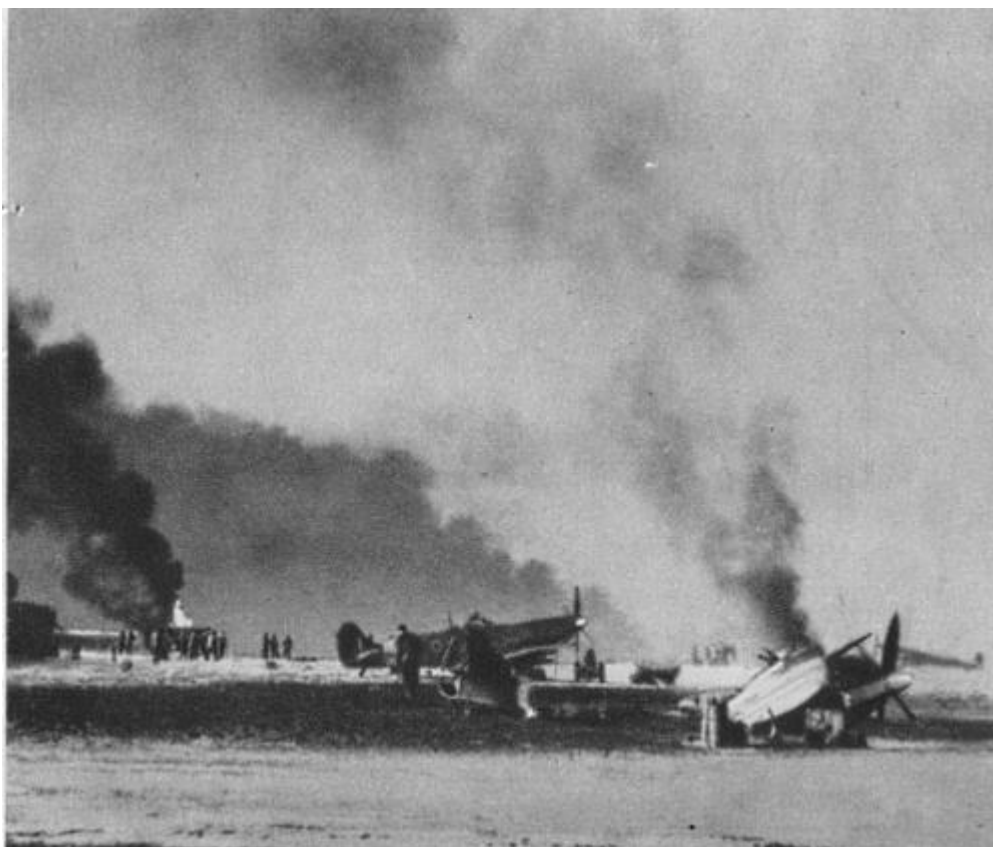




Blackpool - rok 1943



Niewypał bomby latającej V-1. Na zdjęciu widoczny personel naziemny 131 Skrzydła



Lotnisko w Gandawie tuż po nalocie Luftwaffe - 1 stycznia 1945 roku

## Spis treści

Długa podróż .....	3
Kwarantanna w Szkocji.....	7
W RAF .....	11
Pierwszy lot na Wellingtonie .....	13
„Sympatia” .....	19
W Polskiej Szkole Technicznej .....	21
U „dżemojadów” .....	26
Sylwester w ratuszu.....	30
Pierwsza Wielkanoc na obczyźnie .....	40
Radiota czy „ogonowiec”?.....	42
„Warszawski Koncert” .....	49
Sierzanckie „winkle” .....	51
Pierwszy lot bojowy.....	53
Skierowanie do dywizjonu 300.....	71
Załoga bombowca „Z jak Zebra” .....	76
„Gentlemen, target for to-night...” .....	85
„Psia załoga” .....	92
„Święta wojna” z dowódcą stacji .....	99
„Nie powrócili z zadania...” .....	113
„Podejrzany” .....	118
„Puchacz” .....	124
Awantura w barze .....	142
„Amerykański Polak” .....	148
Przymusowe lądowanie.....	153
Nieudane polowanie .....	159
Zestrzelić go! .....	165
Dramat Shakespeare'a na wesoło .....	174
Tragedia na Biskajach .....	176
Wielki odwet.....	184
Sorry, to była pomyłka.....	187
Ostatni lot „puchacza” .....	190
Zmartwychwstanie .....	198
I znowu wiosna.....	203

Podcięte skrzydła.....	207
Drugi front .....	214
Lądowanie w Normandii.....	222
Na lotnisku w Plumetot.....	228
Zwycięstwo w Gandawie .....	239
Rakieta V-2 .....	244
Koniec wojny .....	248

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Obwolutę, okładkę i kartę tytułową projektował WIKTOR CHRUCKI

Redaktor ELŻBIETA SKRZYŃSKA

Redaktor techniczny MARIAN NAPIERZYŃSKI

Zdjęcia pochodzą ze zbiorów K. Blachuty, A.R. Janczaka i autora

Pięć tysięcy siedemset dwudziesta czwarta publikacja Wydawnictwa MON

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej Warszawa 1976. Wydanie I

Nakład 20.000 + 350 egz. Objętość: 20,30 ark. wyd., 28,75 ark. druk. (z wkładkami). Papier druk. sat. IV kl., 65 g, 82X104/32 z Fabryki Celulozy i Papieru w Kluczach. Oddano do składu w sierpniu 1975 r. Druk ukończono w lutym 1976 r. Wojskowa Drukarnia w Gdyni - zam. nr 605 z dnia 19 sierpnia 1975 r.

Cena zł 35,-

Poprawiono parę literówek - zorg

